

May Karol - Skarb W Srebrnym Jezorze

Kiedy w roku 1890 ukazuje się w Saksonii powieść „Skarb w Srebrnym Jeziorze”, mało kto chyba zdaje sobie sprawę, że jej autor, Karol May -urodzony 25 lutego 1842 roku w Hohenstein w Saksonii-, stanie się niebawem w wielu krajach jednym z najbardziej poczytnych pisarzy książek przygodo-wych, awanturnicznych i indiańskich. Tematyka opisywana przez Maya znaj-duje się w owym czasie w centrum zainteresowań bardzo szerokiej rzeszy czytelników. Upłynęło bowiem zaledwie kilkanaście lat, odkąd podbój zżem leżących pomiędzy Missisipi a Górami Skalistymi oraz między Zatoką Mek-sykańską a Kanadą, ziem zwanych Dzikim Zachodem, stał się faktem doko-nanym. W ciągu około stu lat nowe państwo, Stany Zjednoczone, opanowuje niemal całe terytorium Ameryki Północnej, a rynek wydawniczy zalewają momentalnie tanie wydawnictwa zeszytowe, prezentujące często w sposób raczej niewybredny niezwykle przygody bohaterów Dzikiego Zachodu, „zdo-bywców” kontynentu. Do rzadkości należą książki takich pisarzy jak Bret Harte -1836-1902-, który kładzie główny nacisk na możliwie wierne od-tworzenie egzotyki i realiów amerykańskiego Pogranicza, czy też James Fenimore Cooper -1789-1851-, autor słynnego „Pięcioksięgu przygód Soko-lego Oka”. Zanim jednak w roku 1902 dokona się przełom w tym gatunku literackim, a to za sprawą „Wirgińczyka, jeźdźca z równin” Owena Wistera -1860-1938-, lansującego nowy typ bohatera westernu - człowieka dziel-nego, skłonnego nieść w każdej chwili pomoc pokrzywdzonym, pozytywnego, chociaż nie pozbawionego pewnych wad - w Europie triumfy święcą powie-ści Karola Maya, książki o wyrazistym czarno-białym rysunku postaci, przy czym główni ich bohaterowie - wódz Apaczów Winnetou czy też Old Shatterhand - to ludzie wręcz kryształowi: są niewiarygodnie odważni, na każdym kroku tępią Zło, choćby mogło ich to kosztować życie; są bezintereso-wni, nieustraszeni - a więc tacy, jakimi pragnęliby być chyba wszyscy, Czytelników nie razi schematyzm postaci; tym niech się przejmują krytycy.

Pociąga ich natomiast imponująca sylwetka głównego bohatera, wartka akcja o tempie nie słabnącym ani na chwilę, optymistyczna -mimo występujących tu i ówdzie momentów tragicznych- i humanistyczna wymowa książek, które w tym samym czasie, kiedy liczne komiksy i powieściidla w imię samej przygody starają się usprawiedliwić gwałt i przemoc, ukazując dzielnych

•ch dzikusów - propagują

, sławią uczciwość, odwagę

;rhand to człowiek zdumie-

, z której nie zdołałby się

luszność! Niemal nigdy, czy

lu, nie zabija przeciwnika;

m późniejszych bohaterów

•ów nimbem tajemniczości,

sprawiają, że choć na ogół

uczucia raczej mieszane.

modnych potem powikłań

itują albo Zło, albo Dobro.

nywanie oceny ich postaw

icznym, niemal sensacyjnym

`nałego, imponującego swą

;niem -Charles to przecież

: się od niego w stopniu

la był wątłej budowy ciała;

inęła go bieda, ale również

To właśnie tam, w tym

łym życiu, puszcza wodze

w innym otoczeniu, jakże
o odbyciu kary podejmuje
e publikującym powieści
; szybko zdobywa sławę.
ly w krajach obu Ameryk,
/ stworzoną przez siebie
domu w Radebeul pod
iry Indiańskiej- umieszcza
iV tymże domu umiera 30

;kich, którzy wytykali mu
wnież pewne niedostatki
ympatię szerokich rzesz
na ekran filmowy pery-
aczucia milionów czytel-

-rzemierzają wraz z Wi-nymi malowniczymi po-go Zachodu i odkrywają

Mieczysław Dutkiewicz

--r koło południa bardzo gorącego dnia
czerwcowego „Dogfish”, jeden z największych parowców osobowo-
pocztowych na Arkansasie, rozbijał swymi potężnymi kołami fale
`[rzeki. Wczesnym rankiem opuścił Little Rock, a wkrótce miał dotrzeć
T do Lewisburga.

Niesamowity upał wypędził garstkę zamożniejszych pasażerów do
kabin i kajut, większość natomiast podróżnych pokładowych leżała
•r- koło beczek, pak i innych pakunków, które użyczały im skąpego cienia. Dla
tych pasażerów kapitan kazał urządzić pod rozpiętym - płótnem „bed and board”-,
na którym stały wszelkiego rodzaju JŁ. szklanki i flaszki, a ostra ich zawartość
przeznaczona była naturalnie L nie dla zbyt delikatnych języków i podniebień. Za
bufetem siedział

T kelner z zamkniętymi oczami i, wyczerpany upałem, kiwał głową,

a ilekroć podniósł powieki, z ust jego wychodziło przekleństwo albo

i jakieś dosadne słowo. Ta jego niechęć zwracała się ku grupie około

J dwudziestu mężczyzn, którzy siedząc na ziemi koło bufetu, podawali

„f sobie z rąk do rąk kubek z kośćmi. Grano o tak zwanego drinka, to
- znaczy, że przegrywający musiał po skończeniu partii zapłacić każ-demu z
partnerów szklankę wódki; to ostatnie właśnie było przyczyną niechęci kelnera,
budzonego ciągle z drzemki. Ludzie ci nie spotkali się z pewnością dopiero
tutaj, na pokładzie steamera-- , gdyż za-chowywali się bardzo poufale względem
siebie i widać było z ich przypadkowych słów, że znają się dokładnie. Mimo tej
ogólnej poufa-łości jeden z grona cieszył się pewnego rodzaju szacunkiem.
Nazywano

go kornelem, co jest zwykłym przekształceniem słowa „colonel”, pułkownik.

- Bed and board -ang.- - dosł. stół i łoże. Tu: bufet.

-- Steamer -ang.- - parowiec.

Był to człowiek długi i chudy. Jego gładko wygoloną, ostitł i kanciasto
zarysowaną twarz okalała ruda, szpeceniasta broda krótko ostrzyżone włosy były
także rude, o czym można było się przekonać, gdyż stary, zużyty kapelusz filcowy
zsunął mu się daleko na kark. Ubranie jego składało się z ciężkich butów
skórzanych, podbitych gwoździami, oraz spodni nankinowych i krótkiej bluzy z
tejtże materii. Kamizelki nie miał, a zamiast niej nosił pomiętą i brudną
koszulę, której kołnierz, nie przytrzymywany chustką, był szeroko otwarty i
ukazywał nagie, spalone od słońca ciało. Dookoła bioder owinał czerwony szal,
spoza którego wyglądała rękojeść noża i głównie dwu pistoletów. Obok leżał
prawie nowy karabin i torba skórzana, zaopatrzona w dwa rzemienie, przy których
pomocy nosił ją na plecach.

Inni mężczyźni ubrani byli w podobny sposób, niestarannie i równie niechlujnie, ale za to także uzbrojeni po zęby. Nie było wśród nich ani jednego, który by na pierwszy rzut oka wzbudzał zaufanie. Grali namiętnie, a toczyli przy tym rozmowę tak niewybredną, że choć trochę porządniejszy człowiek nie zatrzymałby się przy nich ani na chwilę. W każdym razie łyknęli już niejednego drinka; twarze ich były rozgorączkowane nie tylko od słońca; także wódka roztaczała nad nimi swą władzę.

Kapitan opuścił mostek i udał się na tylny pokład sternika, aby mu udzielić kilku niezbędnych wskazówek.

- Co pan sądzi, kapitanie - spytał sternik - o tych drabach, którzy tam siedzą przy kościach? Zdaje mi się, że należą do tego rodzaju ludzi, których nie widzi się chętnie na pokładzie.

- I ja tak myślę - odparł zapytany. - Podali się wprawdzie za harvesterów -źniwiarzy-, udających się na Zachód, aby się najać do pracy na farmach, ale nie chciałbym być tym, u którego pytaliby o pracę.

- Well, sir. Ja nawet uważam ich za rzeczywistych trampów.

Może jednak przynajmniej na pokładzie zachowają się spokojnie.

- Nie radziłbym im uprzykrzać się nam więcej, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni! Mamy na pokładzie dosyć rąk, aby ich wszystkich wrzucić do starego, błogosławionego Arkansasu. Zresztą przygotujcie się do lądowania, bo w ciągu dziesięciu minut zobaczymy Lewisburg.

Kapitan wrócił na mostek, by wydać zwykle przy lądowaniu rozkazy. Wkrótce ukazały się domy miasta, które okręt pozdrowił przeciągłym gwizdem syreny. Z przystani dano znak, że steamer ma zabrać ładunek i pasażerów. Podróżni, znajdujący się dotąd pod

pokładem, wyszli, aby zażyć choć tej krótkiej przerwy w nudnej podróży.

Jednakże widok, jaki im się ukazał, nie był zbyt zajmujący.

Lewisburg nie miał w owym czasie jeszcze tego znaczenia co dzisiaj. Na przystani stało tylko trochę gapiów, do zabrania leżało kilka pak i pakunków, a nowych pasażerów, którzy weszli na pokład, nie było więcej jak trzech.

Jednym z nich był biały o wysokiej i nadzwyczaj silnej postaci. Nosił tak gęstą i ciemną brodę, że widać było spoza niej tylko oczy, nos i górną część policzków. Na głowie miał starą czapkę bobrową, prawie całkowicie wyłysiała i tak zdeformowaną, że określić jej dawny kształt było niemożliwością. Ubranie tego człowieka składało się ze spodni i bluzy z mocnego, szarego płótna. Za szerokim pasem tkwiły dwa rewolwery, nóż i kilka niezbędnych dla westmana drobiazgów, poza tym miał ciężką dubeltówkę, do której łożyska przywiązany był długi topór.

Kiedy zapłacił należność za przejazd, rozejrzał się badawczo po pokładzie.

Porządnie odziani pasażerowie kajutowi zdawali się go nie obchodzić. Wzrok jego badał pozostałych, którzy wstali od gry, aby się przyjrzeć wchodzącym na pokład, lustrując każdego z osobna, ujrzał komela, wtedy szybko odwrócił oczy, jak gdyby go zupełnie nie zauważył, podciągając jednak na mocne uda cholewy wysokich butów, mrucał cicho do siebie:

- Do diaska! Jeśli to nie jest czerwony Brinkley, to niech mnie uwęźdzą i pożrą razem z łupiną! Widać nie zna mnie!

Ten, o którym myślał, zdziwił się również jego widokiem i zwrócił się cicho do swoich towarzyszy:

- Spójrzcie tylko na tego czarnego draba! Czy zna go który z was?

Na pytanie odpowiedziano przecząco.

- Hm, musiałem go już kiedyś widzieć i to wśród okoliczności dla mnie nie bardzo przyjemnych. Płacze mi się jakieś niejasne wspomnienie o tym.

- To i on musiałby cię znać - odparł jeden. - Tymczasem spojrzał na nas, a na ciebie nie zwrócił uwagi.

- Hm! Może jeszcze wpadnę na to. Albo lepiej zapytam go o nazwisko. Wtedy będę wiedział, na jakim jestem świecie. Namówimy go na drinka.

- Jeśli tylko zechce!

- Nie? To byłoby haniebną obrazą, jak wiecie. Ten, komu odmówią drinka, ma w tym kraju prawo odpowiedzieć nożem lub

rewolwerem, a jeśli zakłuje obrażającego, nie zatroszczy się o to ani pies z kulawą nogą.

- Ale czarny nie wygląda na to, aby go można było zmusić do tego, co mu nie będzie miłe.

- Pshaw! Założmy się! `

- Dobrze! Zakład, zakład! - rozległo się wokoło. - Prze-grywający płaci każdemu trzy szklanki.

- Zgadzam się - oświadczył kornel.

- Ja też - odpowiedział drugi. - Ale musi być sposobność rewanżu. Trzy zakłady i trzy drinki.

- Z kim?

- Najpierw z czarnym, którego, jak utrzymujesz, znasz, ale nie wiesz, kim jest. Potem z jednym z tych dżentelmenów, którzy gapią się „l brzeg. Weźmy tego wielkiego draba, który wygląda przy nich jak olbrzym między karłami. A wreszcie z tym czerwonym Indianinem, który przyszedł na pokład z synkiem. A może się go boisz?

Odpowiedzią był ogólny śmiech, a kornel odparł pogardliwie:

- Ja miałbym się bać tego czerwonego błazna? Pshaw! A może także tego olbrzymia, przeciw któremu mnie podszczuwasz? Do wszys- tkich diabłów! Ten człowiek musi być silny! Ale właśnie tacy giganci mają zwykle najmniej odwagi, a ten jest tak wyelegantowany, że z pewnością umie się obracać tylko w salonie, a nie wśród ludzi naszego pokroju. A więc przyjmuję zakład. Drink z trzech szklanek z każdym z nich. A teraz do dzieła!

Ostatnie trzy zdania wypowiedział tak głośno, że musieli go słyszeć wszyscy podróżni. Każdy Amerykanin i każdy westman zna znaczenie słowa drink, zwłaszcza gdy zostanie wypowiedziane tak głośno i groź- nie, jak to tutaj miało miejsce. Dlatego oczy wszystkich zwróciły się na kornela. Widziano, że jest mocno pijany, tak jak i jego towarzysze, a mimo to nikt nie odchodził, ponieważ każdy oczekiwał ciekawej sceny.

Kornel kazał napełnić szklanki, wziął swoją do ręki, podszedł do czarnobrodego i rzekł:

- Good day -, sir! Chciałbym wam ofiarować tę szklankę brandy.

Uważam was naturalnie za dżentelmena, bo pijam tylko z ludźmi rzeczywiście szlachetnymi; spodziewam się, że wypróżnicie tę szklankę za moje zdrowie!

Broda zagadniętego zrazu rozszerzyła się, a potem ściągnęła, z czego można było wnosić, że przez twarz jego przebiegł uśmiech zadowolenia.

Good day! -aog.- - dzień dobry!

10

- Well - odpowiedział. - Nie jestem od tego; mogę uczynić wam tę przyjemność, ale chciałbym wiedzieć, kto mi wyświadcza ten nieoczekiwany zaszczyt.

- Zupełnie słusznie, sir! Powinno się wiedzieć, z kim się pije.

Nazywam się Brinkley, kornel Brinkley, do usług. A wy?

- Moje nazwisko jest Grosser, Tomasz Grosser, jeśli nie macie nic przeciw temu. Za wasze zdrowie!

Wypróżnił szklankę, przy czym wypili i inni, i zwrócił ją „puł-kownikowi”. W poczuciu zwycięstwa Brinkley zmierzył swego roz-mówcę lekceważącym spojrzeniem od stóp do głów i rzekł grubiańsko:

- Zdaje mi się, że to nazwisko niemieckie. Jesteście więc prze-klętym Deutschmanem, he?

- Nie, Austriakiem, sir - odpowiedział Europejczyk w sposób bardzo uprzejmy, nie dając się wyprowadzić z równowagi. - Swego przeklętego Deutschmana musicie skierować pod innym adresem; do mnie się nie stosuje. A więc dziękuję za drinka i żegnam!

Obrócił się energicznie na pięcie i odszedł szybko, mówiąc do siebie po cichu:
- A więc rzeczywiście Brinkley! I nazywa się teraz kornelem! Ten drab knuje coś niedobrego. Muszę mieć oczy otwarte.

Brinkley wygrał wprawdzie pierwszą część zakładu, lecz nie wyglądał przy tym na zwycięzcę; mina mu zrzedła. Spodziewał się, że Grosser będzie się wzbraniał wypić i trzeba go będzie zmusić do tego groźbą; ten jednak okazał się mądrzejszy: wypił i uchylił się od zwady. Kornel był wściekły. Napełniwszy szklankę, podszedł do drugiej upatrzonej ofiary - Indianina.

Wraz z Grosserem weszło na pokład w Lewisburgu dwóch Indian. Jeden starszy, drugi młodszy, liczący może piętnaście lat. Uderzające podobieństwo ich twarzy kazało się domyślać, że są to ojciec i syn. Byli tak jednakowo ubrani i uzbrojeni, że syn wydawał się od-młodzonym portretem ojca.

Odzież ich składała się ze skórzanych leggínów -, ozdobionych po bokach frędzlami, i żółtych mokasyń. Koszuli czy bluzy myśliwskiej widać nie było, gdyż ciało od ramion mieli okryte pstrymi i lśniącymi kocami zuni, z tego gatunku, które kosztują często ponad sześćdziesiąt dolarów za sztukę. Czarne włosy, gładko szesane do tyłu, opadały na barki, nadając im kobiecy wygląd. Pełne, okrągłe twarze miały nadzwyczaj dobroduszny wyraz, a powiększało go jeszcze i to, że policzki ich

- Legginy - wysokie skórzane nogawice noszone przez pohiocno-amerykańskich Indian,

11

były pomalowane cynobrem na kolor jasnoczerwony. Flinty, które trzymali w rękach, wydawały się niewarte razem ani dolara; w ogóle wyglądali obaj zupełnie niegroźnie, a przy tym tak osobliwie, że jak wspomnieliśmy, wywołali śmiech wśród pijących. Usunęli się nieśmiało na bok, jakby bali się ludzi, i stali oparci o szeroką i długą skrzynię z masywnego drzewa, wysokości człowieka. Zdawało się, że na nic nie zwracają uwagi, i nawet kiedy kornel zbliżył się ku nim, nie podnieśli głów, aż stanął tuż obok i przemówił:

- Gorąco dziś! A może nie, wy czerwoni chłopcy? Na to dobrze robi napój. Weź to, stary, i wysyp na język!

Indianin nie poruszył się. Odpowiedział tylko łamaną angielszczyzną:

- Not to drink - nie pić.

- Co, nie chcesz?! - wrzasnął właściciel czerwonej brody.

- To jest drink, rozumiano? Drink! Odmowa jest dla każdego prawdziwego dzentelmena, jakim ja jestem, śmiertelną obrazą, na którą odpowiada się nożem. Jak się nazywasz?

- Nintropan-hauey - odparł zapytany spokojnie.

- Do jakiego szczepu należysz?

- Tonkawa.

- Więc do tych łagodnych czerwonych tchórzy, którzy obawiają się nawet kota? Rozumiano? Nawet kota, choćby to był taki sobie malutki kotek! Z tobą nie będę robił żadnych ceregieli. A więc chcesz pić?

- Ja nie pić woda ognista.

Powiedział to, mimo groźby kornela, równie spokojnie, jak przed-tem. Ten jednak zamachnął się i wymierzył mu głośny policzek.

- Tu masz nagrodę, czerwony tchórz! - zawołał. - Nie będę się inaczej mścił, bo taka kanalia stoi dla mnie zbyt nisko.

Zaledwie cios został wymierzony, młody Indianin sięgał ręką pod kość, z pewnością po broń, a równocześnie spojrzenie jego pobiegło ku twarzy ojca.

Czerwonoskóry zmienił się do niepoznaki. Zdawało się, że urósł;

oczy mu zabłysły, a przez twarz przebiegł nagle żywy płomień. Lecz równie prędko opadły jego powieki i postać skurczyła się, a twarz przybrała poprzedni wyraz pokory.

- No, cóż na to odpowiesz? - zapytał kornel szyderczo.

- Nintropan-hauey dziękować.

- Czy policzek tak ci przypadł do smaku, że mi za niego dziękujesz? Dobrze, masz jeszcze jeden!

Zamierzył się, lecz ponieważ Indianin błyskawicznie pochylił głowę,
12

uderzył ręką o skrzynię, o którą tamten się opierał, ta wydała głośny, pusty dźwięk. Nagle w środku dało się słyszeć krótkie, ostre mruczenie i parskanie, które prędko przeszło w dziki i straszliwy krzyk, po którym nastąpił tak ogłuszający ryk, iż zdawało się, że okręt drży od tych przeraźliwych dźwięków. Kornel odskoczył o kilka kroków, wypuścił szklanę i krzyknął przerażony:
- Wielkie nieba! Co to? Cóż to za bestia tkwi w tej skrzyni? Ze trachu można umrzeć!

Strach ogarnął także i innych podróżnych i tylko czterech z nich ani nie mrugnęło powieką: czarnobrody, siedzący teraz na przedzie, ów olbrzym, którego Brinkley chciał zaprosić na trzeciego drinka, i obaj Indianie. Te cztery osoby musiały mieć wielką moc panowania nad sobą, osiągniętą długim ćwiczeniem. Ryk usłyszano także w kajutach i wiele pań zjawiło się na pokładzie wśród straszego krzyku.

- To nic, ladies and messurs! - zawołał bardzo przyzwoicie odziany pan, który właśnie wyszedł ze swojej kabiny. - To tylko panterka, mała panterka, więcej nic! Bardzo miła Felis panthera, tylko czarna, messurs!

- Co? Czarna pantera! - krzyknął mały człowieczek w okularach, po których widać było, że znał dzikie zwierzęta jedynie z książek zoologicznych. - Czarna pantera jest prawie najniebezpieczniejszym ze wszystkich bydła, a jest większa i dłuższa od lwa i tygrysa! I morduje z czystej żądzy krwi, a nie tylko z głodu. W jakim ona wieku?

- Ma tylko trzy lata, sir, nie więcej!

- Tylko? I to pan nazywasz „tylko”? To przecież zupełnie dojrziała pantera! Mój Boże! I taka bestia znajduje się na pokładzie! Któż zechce za to odpowiadać?

- Ja, sir, ja - odpowiedział elegancki pan kłaniając się damom i mężczyznom. - Pozwólcie mi, my ladies and gentlemen, przedstawić się. Jestem Jonatan Boyler, właściciel słynnej menażerii, a przebywam od pewnego czasu z moją trupą w Van Bueren. Ponieważ ta czarna pantera nadeszła do mnie do Nowego Orleanu, udałem się tam z moim doświadczonego pogromcą zwierząt, aby ją odebrać. Kapitan tego dzielnego statku udzielił mi za wysokim wynagrodzeniem po-zwolnienia załadowania tego zwierzęcia, stawiając przy tym warunek, aby pasażerowie, o ile możliwości, nie dowiedzieli się, w jakim znajdują się towarzystwie. Dlatego karmiłem panterę tylko w nocy i dawałem jej zawsze całe ciele, aby się tak nażarta, by się ruszać nie mogła i cały dzień przespała. Ale jeżeli pięściami bić w skrzynię, to panterka musi

13

się obudzić i wtedy daje się słyszeć także jej głos. Mam nadzieję, iż szanowne damy i panowie nie wezmą za złe pobytu na okręcie tej panterki, bo przecież nie czyni najmniejszej subiekcji.

- Co? - zawołał mały pan w okularach. - Nie czyni subiekcji?

Nie brać za złe? Do wszystkich diabłów! Muszę przyznać, że z takim żądaniem nie zwracano się do mnie jeszcze nigdy! Ja mam przebywać na tym okręcie z czarną panterą? Niech mnie powiesz, jeśli to uczynię! Albo ona musi iść precz, albo pójdę ja. Wrzucicie tę bestię do wody! Albo wysadźcie klatkę na breg!

- Ależ, sir! Nie ma rzeczywiście żadnego niebezpieczeństwa

- zapewnił właściciel menażerii. - Przypatrzcie się tej silnej skrzyni i...

- Ach, co tam skrzynia! - przerwał człowieczek. - Tę skrzynię potrafię ja rozbić, a cóż dopiero pantera!

- Proszę, pozwólcie mi wyjaśnić, że w skrzyni znajduje się właściwie klatka żelazna, której nawet dziesięć lwów czy panter nie mogło-by rozbić.

- Czy aby naprawdę? Pokażcie nam tę klatkę! Musimy wiedzieć, tak jest! - zawołało dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści głosów.

Właściciel menażerii był jankesem i pochwycił tę sposobność, aby ogólne żądanie obrócić na swą korzyść.

- Bardzo chętnie, bardzo chętnie - odpowiedział. - Ale, my ladies and gentlemen, łatwo to zrozumieć, że nie można oglądać klatki, nie widząc pantery, na to nie mogę jednak pozwolić bez pewnego wynagrodzenia. Aby przyjemność tego rzadkiego widowiska podnieść, nakazę karmienie zwierzęcia. Urządzimy trzy miejsca, pierwsze za dolara, drugie za pięćdziesiąt, a trzecie za dwadzieścia pięć centów. Lecz ponieważ tu znajdują się jedynie dżentelmeni, więc jestem przekonany, że z góry możemy wykreślić drugie i trzecie miejsca. A może jest ktoś taki, kto chce zapłacić tylko pół, a nawet ćwierć dolara?

Nikt naturalnie nie odpowiedział.

- A więc tylko pierwsze miejsca. Proszę, my ladies and my lords, dolara od osoby!

Zdjął kapelusz i zbierał dolary, podczas gdy pogromca, którego przywołał, czynił przygotowania do przedstawienia.

Podróżni byli przeważnie jankesami i jako tacy oświadczyli, że zgadzają się zupełnie z tym obrotem sprawy. Jeśli przedtem większość z nich oburzało, że kapitan zezwolił na transport tak niebezpiecznego zwierzęcia na swym steamerze, to teraz wszystkich pogodziła okoliczność, że to właśnie przyniesie pożądaną rozrywkę w nudnym życiu na

14

statku. Nawet mały uczony przemógł swą obawę i przyglądał się przygotowaniom z wielkim zaciekawieniem.

- Słuchajcie, chłopcy! - rzekł kornel do swych towarzyszy.

- Jeden zakład wygrałem, drugi przegrałem, bo czerwony drab nie wypił. To się znosi. Trzeci zakład zrobimy nie o trzy szklanki brandy, lecz o dolara wstępu. Czy zgadzacie się?

Towarzysze przyjęli naturalnie tę propozycję, bo olbrzym nie wyglądał na takiego, który by dał sobie napędzić stracha.

- Dobrze - zawołał kornel, którego nadmiar alkoholu uczynił pewnym zwycięstwa - uważajcie, jak chętnie i prędko ten Goliat będzie pił ze mną.

Kazał napełnić szklankę i zbliżył się do wspomnianego. Kształty tego człowieka musiało się rzeczywiście uważać za olbrzymie. Był jeszcze wyższy i szerszy niż czarnobrody, a liczył około lat czterdzies-tu. Jego gładko wygolona twarz była brunatna od słońca; piękne, męskie rysy miały śmiały zakrój, a siwe oczy ów szczególny, nie dający się opisać wyraz, którym odznaczają się ludzie, żyjący na wielkich płaszczyznach, gdzie horyzontu nic nie zacieśnia, a więc marynarze, mieszkańcy pustyni i ludzie prerii. Nosił elegancki garnitur podróżny, a broni przy nim nie było widać. Obok stał kapitan, który zszedł z mostka, aby również przyjrzeć się przedstawieniu z panterą.

Teraz przystąpił do nich kornel, stanął szeroko rozkraczony przed swą domniemaną trzecią ofiarą i rzekł:

- Sir, proponuję wam drinka. Prawdopodobnie nie będziecie się wzdragać powiedzieć mi, jako prawdziwemu dżentelmenowi, kim jesteście.

Zagadnięty rzucił na niego zdziwione spojrzenie i odwrócił się, aby ciągnąć dalej rozmowę z kapitanem, przerwana przez zuchwałego pijaka.

- Halo! - zawołał kornel. - Czyście ogłuchli, czy nie chcecie mnie słuchać? Tego drugiego bym nie radził, bo nie znam żartów, gdy mi kto odmówi drinka. Życzliwie radzę wam wziąć sobie przykład z Indianina.

Zaczepony wruszył lekko ramionami i zapytał kapitana:

- Czy pan słyszał, co ten chłopaczyna do mnie mówił?

- Yes, sir, każde słowo - przytaknął zapytany.

- Well, a więc jesteście świadkiem, że ja go nie przywołałem.
- Co?! - wrzasnął kornel. - Nazywacie mnie chłopaczyna?
I drinka odmawiacie? Czy ma się wam przydarzyć to, co Indianinowi, któremu ja...
Więcej nie powiedział, bo w tej chwili otrzymał od olbrzyma tak

15

siarczasty policzek, że padł na ziemię i przekoziółkował daleko. Leżał przez chwilę jak martwy, lecz zerwał się szybko, wyciągnął nóż i podniósłszy go do ciosu, rzucił się na olbrzyma.

Ten wsadził ręce do kieszeni od spodni i stał tak spokojnie, jakby mu nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo i jakby kornela zupełnie nie było.

- Psie! Mnie policzek? - zaryczał kornel. - To się płaci krwią, i to twoja!

Kapitan chciał interweniować, ale olbrzym wstrzymał go energicznym skinieniem głowy, a kiedy kornel zbliżył się do niego na dwa kroki, podniósł prawą nogę i przyjął go takim kopnięciem w brzuch, że uderzony padł po raz drugi i potoczył się po ziemi.

- A teraz dość, bo inaczej... - zawołał groźnie Goliat.

Lecz kornel zerwał się znowu, zasadził nóż za pas i rycząc z gniewu, wyciągnął jeden z pistoletów, kierując go ku przeciwnikowi;

ten jednak wyjął prawą rękę z kieszeni, uzbrojoną w rewolwer.

- Precz z pistoletem! - zawołał zwracając lufę swej małej broni ku prawej ręce napastnika.

Jeden - dwa - trzy cienkie, ostre trzaski... kornel krzyknął i wypuścił pistolet.

- Tak, chłopcze - rzekł olbrzym. - Nieprędko będziesz znowu wymierzał policzki, gdy kto odmówi pić ze szklanki, w której przed-tem umaczałeś swój ryj. A jeżeli koniecznie chcesz jeszcze teraz wiedzieć, kim jestem, to...

- Do diabła z twoim nazwiskiem! - pienił się kornel. - Nie chcę go słyszeć! Ciebie jednak samego chcę i muszę dostać. Hej, na niego, chłopcy, go on! -

Teraz dopiero pokazało się, że draby tworzyły prawdziwą zgraną bandę. Wyrwali noże zza pasów i rzucili się na olbrzyma; ten jednak wyciągnął nogę, podniósł ramiona i krzyknął:

- Chodźcie, jeśli macie odwagę zadzierać z Old Firehandem!

Dźwięk tego imienia wywołał natychmiastowy skutek; Brinkley, który chwycił znowu za nóż nie zranioną lewą ręką, zawołał przerażony:

- Old Firehand! Do wszystkich diabłów, kto by to pomyślał!

Dlaczego nie powiedzieliście tego przedtem?

- Czy tylko nazwisko chroni dżentelmena przed waszym grubiaństwem? Zabierajcie się stąd, siadajcie spokojnie w kącie i nie pokazujcie mi się więcej na oczy, bo was wszystkich zdmuchnę!

• Go on! -ang.- nuże!

16

- Well, pomówimy jeszcze potem!

Kornel odwrócił się i poszedł na przód okrętu; towarzysze powlekli się za nim jak obite psy. Usiadłszy na boku, zawiązali swemu przywódcy rękę, rozmawiając przy tym cicho a żywo i rzucając na sławnego myśliwego spojrzenia, które acz nieprzyjazne, wskazywały, jak wielką czuli przed nim obawę.

Lecz nie tylko na nich wywarło to znane nazwisko wrażenie. Wśród pasażerów nie było z pewnością ani jednego, który by nie słyszał o tym odważnym człowieku, którego całe życie złożone było z najniebezpieczniejszych czynów i przygód.

Kapitan uścisnął mu rękę i rzekł jak najuprzejmiej:

- Ależ sir, powinienem był o tym wiedzieć! Byłbym wam odstąpił własną kajutę. Na Boga, toż to zaszczyt dla „Dogfisha”, że wasze stopy dotknęły jego desek.

Dlaczego nazwaliście się inaczej?

- Powiedziałem wam moje prawdziwe nazwisko. Old Firehandem nazywają mnie westmani, bo ogień z mej strzelby, kierowany moją ręką, przynosi zawsze zgubę.

- Słyszałem, że nigdy nie chybiacie?

- Pshaw! Każdy dobry westman potrafi to tak samo, jak ja. Ale widzicie, jaka korzyść daje znane nazwisko wojenne. Gdyby nie to, doszłoby z pewnością do walki.
- I wy musielibyście ulec przemocy.
- Tak sądzicie? - po twarzy Old Firehanda przebiegł lekki uśmiech. - Skoro idzie o walkę na noże, nie obawiam się niczego;

trzymałbym się z pewnością, aż nadeszliby wasi ludzie.

- Ci w każdym razie nie zawiedliby. Ale co mam teraz robić z tymi łotrami? Jestem panem i sędzią na okręcie. Czy mam ich zakuć w kajdany?
- Nie.
- A może mam ich wysadzić na brzeg?
- I to nie. Chyba nie chcecie po raz ostatni odbywać podróży na własnym steamerze?
- Ani myślę! Mam nadzieję, że jeszcze przez wiele lat będę pływał w dół i w górę starego Arkansasu.
- Dobrze! A zatem strzeżcie się narazić na zemstę tych ludzi! Są w stanie zamelinować się gdzie bądź na brzegu i wypłatać wam figla, który kosztowałby was nie tylko statek, ale i życie.

Teraz dopiero spostrzegł Old Firehand czarnobrodego, który stał w pobliżu, utkwivszy w myśliwym proszący wzrok Old Firehand przystąpił do niego i zapytał:
Czy chcecie ze mną mówić sir? Czy mogę wyświadczyć wam jaką przysługę?"-

2 Skuto

17

- Bardzo wielką - odrzekł Austriak. - Pozwólcie mi uścisnąć waszą rękę, sir! To wszystko, o co was proszę. Potem zadowolony odejdę i nie będę się wam więcej naprzykrzał, tę zaś godzinę będę wspominał z radością przez całe życie.

Widać było po jego otwartym spojrzeniu i po tonie, że słowa te pochodziły rzeczywiście z serca. Old Firehand wyciągnął do niego rękę i zapytał:

- Czy daleko jedziecie?
- Tym okrętem? Tylko do portu Gibson, a potem dalej łódką. Obawiam się, że wy, nieustraszony, weźmiecie mnie za tchórza, ponieważ przedtem przyjąłem drinka od tego tak zwanego kornela.
- O, nie! Mogę was tylko pochwalić, że byliście tak rozważni. Chociaż, kiedy potem uderzył Indianina, postanowiłem dać mu ostrą nauczkę.
- Prawdopodobnie posłuży mu ona za przestrożę; jeśliście mu dokładnie przestrelili palce, to skończył już swoją karierę jako westman. Nie wiem jednak, co myśleć o Indianinie, zachował się jak tchórz, a przecież ani drgnął usłyszawszy ryk pantery. Nie wiem, co o tym sądzić.
- Więc ja wam pomogę. Czy znacie tego Indianina?
- Słyszałem, jak wymówił swe nazwisko, ale jest to słowo, na którym można sobie język połamać.
- Bo posługiwał się językiem ojczystym, zapewne aby kornel nie domyślił się, z kim ma do czynienia. Nazwisko jego brzmi Nint-ropan-hauey, a syn jego nazywa się Nintropan-homosz, to znaczy Wielki Niedźwiedź i Mały Niedźwiedź.
- Czy to możliwe? O tych dwu słyszałem w istocie już nieraz. Tonkawa się wyrodzili i tylko ci dwaj Nintropanowie odziedziczyli po przodkach zamiłowanie do wojny i snują się po górach i prerii.
- Tak, ci dwaj są dzielnymi ludźmi. Nie widzieliście, jak syn sięgnął pod koc po nóż czy tomahawk? Zobaczył, że twarz ojca pozostała nieporuszona, zaniechał dlatego natychmiastowej zemsty za tę obelgę. Mówię wam, tym Indianom wystarczy mgnienie oka tam, gdzie my, biali, potrzebujemy długiej mowy. Od tej chwili, gdy kornel uderzył starego w twarz, śmierć jego jest rzeczą postanowioną. Obaj Niedźwiedzie nie prędzej zejda z jego tropu, aż go zdmuchną. Ale wymieniliście mu wasze nazwisko, jak słyszałem, jesteście Austria-kiem. Jesteśmy więc rodakami.
- Jak to, sir? Wy jesteście także Austriakiem? - zapytał czarno-brody zdziwiony.

- Tak. Moje właściwe nazwisko jest Winter. I ja także jadę tym

18

okrętem dość daleko, więc będziemy mieli jeszcze nieraz sposobność porozmawiać. Czy jesteście na Zachodzie dopiero od niedawna?

- Nie - odrzekł brodacz skromnie - jestem tu już nieco dłużej.

Nazywam się Tomasz Grosser. Nazwisko rodowe się tu pomija, z Tomasa robi się Toma, a ponieważ noszę tak potężną czarną brodę, nazywają mnie Czarnym Tomem.

- Jak? Co? - zawołał Old Firehand. - Wy jesteście Czarnym

Tomem, słynnym rafterem? -

- Tom się nazywam, rafterem jestem, a czy słynnym, w to wątpię.

Ale, sir, kornel nie powinien słyszeć mojego nazwiska, gdyż mógłby mnie po nim poznać.

- A więc mieliście już z nim do czynienia?

- Trochę. Opowiem wam to przy okazji. Wy go nie znacie?

- Widziałem go dziś po raz pierwszy; jeśli jednak dłużej pozostanie na pokładzie, będę musiał mu się bacznie przyglądać. I was muszę także trochę bliżej poznać. Jesteście człowiekiem, jakiego mi właśnie potrzeba. Jeśliście się już nie zaangażowali, mógłbym was

wyzyskać.

- Tak - powiedział Tom patrząc w zamyśleniu ku ziemi - ten

zaszczyt przebywania z wami wart jest daleko więcej niż wszystko inne. Wprawdzie zawarłem umowę z innymi rafterami, a nawet obrali mnie swoim dowódcą, ale jeśli mi tylko dadcie czas zawiadomić ich, to umowę da się łatwo rozwiązać. Patrzcie! Zdaje mi się, że przed-stawienie się zaczyna.

Właściciel menażerii przygotował z pak i skrzyń kilka rzędów

siedzeń i teraz w pompatycznych słowach zapraszał publiczność do zajęcia miejsc. Tak się też stało, również załoga statku mogła przyglądać się widowisku, o ile nie była zajęta; nie zjawił się tylko kornel ze swymi ludźmi; stracił bowiem całą ochotę.

Obu Indian nie pytano o to, czy zechcą wziąć udział w przed-stawieniu. Dwu czerwonoskórych obok pań i dżentelmenów, płacących po dolarze od osoby! Na taki zarzut nie chciał się narazić właściciel zwierzęcia. Stali więc z dala i zdawało się, że nie zwracają uwagi ani na kłatkę, ani na widzów, ale ich bystrym ukradkowym spojrzeniem nie uszła nawet najmniejsza drobnostka.

Większość widzów, siedzących przed zamkniętą jeszcze skrzynią, nie miała należytego pojęcia o czarnej panterze. Drapieżniki z rodziny kotów, żyjące w Nowym Świecie, są znacznie mniejsze i mniej groźne

- Rafter -z ang.- - flisak.

19

niż koty Starego Świata. Gaucho- na przykład chwyta jaguara, którego nazywają tygrysem amerykańskim, na lasso i ciągnie za sobą. Na to nie odważyłby się z królewskim tygrysem bengalskim. A lew amerykański, puma, ucieka przed człowiekiem, nawet dręczony głodem. Toteż większość widzów spodziewała się, że zobaczy wcale nie straszego rabusia, wysokiego co najwyżej na pół metra. Jakże się zdziwili, kiedy usunięto przednią ścianę skrzyni i ujrzeli panterę.

Od Nowego Orleanu leżała ona w ciemności, bo skrzynię otwierano tylko w nocy; teraz więc po raz pierwszy zobaczyła znowu światło dzienne, które ją oślepiło. Zamknęła oczy i leżała dalej wyciągnięta; potem mrugnęła lekko powiekami, przy czym dostrzegła siedzących dokoła ludzi.

W mgnieniu oka zerwała się, wydała ryk, który wywarł takie wrażenie, że większość widzów zerwała się do ucieczki.

Tak, był to wyrosnięty, wspaniały egzemplarz, wysoki z pewnością na metr, a na dwa długi. Pantera szczerząc straszliwe zębiska chwyciła przednimi łapami pręty żelaznej klatki i tak nimi potrzasała, że aż skrzynia się poruszyła.

- My ladies and gentlemen! - powiedział właściciel menażerii tonem objaśnienia.

- Czarna odmiana pantery zamieszkuje wyspy Sunda, ale te zwierzęta są małe.

Prawdziwa czarna pantera, która jednak jest rzadkością, pochodzi z Afryki Północnej - na granicy Sahary. Jest ona równie silna, a znacznie niebezpieczniejsza od lwa i jest w stanie unieść w swej paszczy dużego wołu. Co potrafią jej zęby, zaraz zobaczycie, bo karmienie się zaczyna.

Pogromca przyniósł pół owcy i położył przed klatką. Pantera, czując mięso, zachowywała się jak wściekła: rzucała się, parskiła i ryczała tak, że bojaźliwi z widzów cofnęli się jeszcze dalej.

Zajęty przy maszynie Murzyn nie mógł oprzeć się ciekawości i wśliznął się między patrzących, ale kapitan, zobaczywszy to, kazał mu natychmiast wracać do pracy.

Jednak czarny nie posłuchał zaraz;

kapitan pochwycił linę i wymierzył mu kilka uderzeń. Skarcony cofnął się szybko, a stanąwszy w otworze, prowadzącym do maszynowni, zrobił pod adresem kapitana kilka groźnych grymasów i pogroził mu pięścią. Ponieważ jednak widzowie patrzyli tylko na panterę, nie zauważyli tego, ale spostrzegł to kornel i rzekł do towarzyszy:

- Ten smo!uch nie wydaje się żywić dla kapitana przyjaznych uczuć! Musimy się nim zająć. Kilka dolarów sprawia u Murzynów cuda.

- Gaucho -hiszp.- - konny pasterz bydła i koni na stepach Ameryki Południowej.

20

Tymczasem pogromca wsunął mięso między pręty klatki, spojrzawszy badawczo na widzów i powiedział kilka słów po cichu do swego pana, który potrzasał z powątpiewaniem głową. Tamten jednak tłumaczył mu coś dalej i zdawało się, że rozproszył jego obawy, bo właściciel menażerii skinął wreszcie głową i oświadczył głośno:

- My ladies and messurs! Mówię wam, macie ogromne szczęście!

Ułaskawionej czarnej pantery nie widziano jeszcze nigdy, przynajmniej tu w Stanach. W czasie trzytygodniowego pobytu w Nowym Orleanie mój pogromca wziął panterę do swej szkoły i teraz oświadcza, że po raz pierwszy wejdzie publicznie do klatki i usiadzie obok zwierzęcia, jeśli mu przyrzekniecie odpowiednie wynagrodzenie.

Pantera rzuciła się na swe żarcie, a jej zęby miażdżyły kości jak papier; zdawało się, że nic poza tym jej nie obchodzi, toteż można było mniemać, że wejście właśnie teraz do klatki nie będzie połączone ze zbytnim niebezpieczeństwem.

Nie kto inny, jak mały uczonek, poprzednio tak bojaźliwy, odpowiedział entuzjastycznie:

- To byłoby wspaniałe, sir! Czyn brawurowy, za który warto coś zapłacić. Ile ten człowiek chce?

- Sto dolarów, sir. Niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, jest niemałe, bo nie jest jeszcze zupełnie pewny zwierzęcia.

- Dobrze! Nie jestem wprawdzie bogaty, ale pięć dolarów ofiaruję. Messurs, kto jeszcze?

Zgłosiło się tylu chętnych, że potrzebna suma szybko się zebrała. Widowisko należało w pełni wykorzystać. Nawet kapitan dał się opanować gorączce i zaproponował zakład.

- Sir! - ostrzegł go Old Firehand. - Nie popełniajcie głupstwa!

Proszę was, nie pozwalajcie na to! Właśnie dlatego, że ten człowiek nie jest jeszcze zupełnie pewny swego zwierzęcia, macie obowiązek za-bronić przedstawienia.

- Zabronić? - zaśmiał się kapitan. - Pshaw! Czy jestem może niańką pogromcy? Tu, w tym błogosławionym kraju każdy ma prawo wystawiać swoją skórę na sprzedaż

według własnego upodobania. Jeśli go pantera rozszarpie, no, to rzecz jego i pantery, a nie moja. A więc dżentelmeni! Twierdzę, że ten człowiek nie wyjdzie bez szwanku, jeśli wejdzie do klatki, i stawiam zakład o sto dolarów. Kto się zakłada? Dziesięć procent wygranej otrzyma pogromca!

Ten przykład zelektryzował ludzi; zawarto zakłady o wcale znacz-ne sumy i okazało się, że pogromcy, jeśli szalony zamiar się uda, przyniesie to około trzystu dolarów.

Nie było powiedziane, czy pogromca ma być uzbrojony, toteż

21

przyniósł „zabijak”, bicz, którego rękojeść zawierała kulę eksplodują-cą: gdyby zwierzę rzuciło się na niego, wystarczyło silne uderzenie, aby panterę zabić w jednej chwili.

- Ja nie dowierzam nawet zabijakowi - odezwał się Old Fire-hand do Czarnego Toma. - Fajerwerk byłby daleko lepszy, bo odstraszałby zwierzę, nie zabijając go.

Tymczasem pogromca wygłosił do publiczności krótkie przemó-wienie, podszedł do klatki i odsunawszy ciężką zasuwę, usunął na bok wąską kratę, która otworzyła drzwi, mające niecałe pięć stóp wysoko-ści. By wejść do środka, musiał się schylić i przy tym kratę przy-trzymać rękami, a potem, będąc już w klatce, zamknąć ją za sobą;

dlatego wziął zabijak w zęby, przez co stawał się zupełnie bezbronny, chociaż tylko na jedną chwilę. Wprawdzie był nieraz w klatce, ale wśród zupełnie innych okoliczności. Wówczas pantera nie przebywała całymi dniami w ciemności i nie było w pobliżu tylu ludzi, a także nie płoszyły jej stukanie maszyny, szum i łoskot kół. Tych wszystkich okoliczności nie wziął pod uwagę ani właściciel menażerii, ani po-gromca, a skutki były natychmiastowe.

Kiedy pantera usłyszała szelest kraty, odwróciła się. Właśnie w tej chwili pogromca schyliwszy się wsadził do klatki głowę. Prawie jak myśl szybkie poruszenie zwierza, błyskawiczne drgnięcie i głowa, z której wypadł zabijak, znalazła się w paszczy pantery i... jedno pociśnięcie zmiażdżyło ją na miazgę. Krzyku, jaki się w tej chwili podniósł przed klatką, nie da się wprost opisać. Wszyscy zerwali się w dzikiej panice do ucieczki. Tylko trzy osoby pozostały na miejscu: właściciel menażerii, Old Firehand i Czarny Tom. Pierwszy usiłował zasunąć drzwi klatki, ale to było niemożliwe, bo ciało nieszczęsnego pogromcy leżało częścią w środku, a częścią na zewnątrz; właściciel menażerii chciał turpa chwycić za nogi i wyciągnąć.

- Na miłość boską, tylko nie to! - zawołał Old Firehand.

- Pantera wyjdzie za nim. Wepchnijcie ciało zupełnie do wnętrza, przecież to już tylko trup, a wtedy drzwi dadzą się zamknąć.

Pantera leżała przed trupem pozbawionym głowy; rozwarta, skrwawiona paszcza, w której tkwiły potraskane kości, zwracała błyszczące oczy na swego pana; zdawało się, że odgaduje jego zamiar, bo ryknęła gniewnie i poczołgała się wzdłuż trupa, przytrzymując go ciężarem ciała. Głowa jej była zaledwie o kilka cali od otworu.

- Precz, precz! Wychodzić! - wykrzyknął Old Firehand. - Tom, wasz karabin!

Rewolwer tylko powiększy nieszczęście!

Od chwili, kiedy pogromca wszedł do klatki, upłynęło zaledwie kilkanaście sekund. Cały statek tworzył mieszaninę uciekających

22

i krzyczących z trwogi, a drzwi do kajut i pod pokład zostały zupełnie zapchane. Uciekający schylali się poza beczki i paki i znowu biegali dalej, nie czując się nigdzie bezpieczni.

Kapitan rzucił się ku swemu mostkowi i wskoczył nań, przesadza-jąc po trzy, cztery schody na raz. Za nim szedł Old Firehand;

właściciel menażerii schronił się za tylną ścianką klatki, a Czarny Tom pobiegł po swój karabin. Po drodze jednak, przypomniawszy sobie, że przywiązał do niego

topór, więc nie będzie go mógł natychmiast użyć, wyrwał starszemu Indianinowi strzelbę z ręki.

- Sam strzelać - rzekł ten, wyciągając rękę ku broni.

- Puść! - krzyknął rozkazująco brodac. - Ja strzelam w każ-dym razie lepiej niż ty!

Odwrócił się ku klatce, którą pantera opuściła; podniósłszy głowę do góry, ryknęła. Czarny Tom złożył się i strzelił. Strzał zagrział, ale kula chybiła; wyrwał więc spieszenie młodszemu Indianinowi strzelbę i wypalił z niej ku zwierzęciu - z tym samym skutkiem.

- Źle strzelać. Karabin nie znać - rzekł stary Niedźwiedź tak spokojnie, jakby siedział bezpiecznie w swym wigwamie przy pieczeni.

Austriak, nie zważając na te słowa, odrzucił strzelbę i pobiegł ku przodowi, gdzie leżała broń ludzi kornela. Ci dżentelmeni nie mieli bynajmniej ochoty podjąć walki ze zwierzem, więc czym prędzej się pochowali.

Nagle w pobliżu mostka kapitańskiego rozległ się straszny krzyk. Pewna kobieta chciała się tam schronić, kiedy ujrzała ją pantera i przysiadłszy, skoczyła w długich dalekich susach ku niej. Kobieta znajdowała się jeszcze u dołu, gdy Old Firehand stał na piątym lub szóstym stopniu; w mgnieniu oka pochwycił ją, przyciągnął ku sobie i podniósł silnymi ramionami w górę, gdzie odebrał ją kapitan.

Było to dziełem dwu sekund. Pantera znalazła się teraz przy mostku, a oparłszy przednie łapy na jednym ze stopni, już kurczyła się, by skoczyć na Old Firehanda, gdy ten błyskawicznie wymierzył jej potężne kopnięcie w nos i strzelił pozostałymi trzema kulami rewolweru w głowę.

Ten sposób obrony był właściwie śmieszny; kopnięciem i kilku kulkami rewolwerowymi, nie większymi od grochu, nie odstraszy się czarnej pantery, ale Old Firehand nie miał pod ręką skuteczniejszej broni; był przekonany, że zwierzę pochwyci go teraz, lecz stało się inaczej; pantera, pozostając w postawie wyprostowanej na schodach, odwróciła powoli głowę, jakby się rozmyśliła. Czyżby kula, która mogła na milimetr przebić się przez twardą czaszkę, wystrzelona z takiej odległości, przyprawiła panterę o pewnego

23

rodzaju otumanienie? A może kopnięcie, wymierzone w jej czuły nos, było za bolesne? Dość na tym, że nie zwróciła więcej oczu na Old Firehanda, lecz na pokład przedni, gdzie stała trzynastoletnia może dziewczynka bez ruchu, jakby odurzona strachem, wyciągając obie ręce ku mostkowi. Była to córka owej kobiety którą Old Firehand uratował przed panterą. Dziecko samo uciekało, gdy zobaczywszy matkę w niebezpieczeństwie, osłupiało w przerażeniu, a jasna, z dala widoczna sukienka wpadła w oczy zwierza. Pantera zdjęła łapy ze schodów, obróciła się i w długich na sześć do ośmiu łokci skokach rzuciła się na dziewczynkę.

- Moje dziecko, moje dziecko! - rozpaczła matka.

Wszyscy, widząc to, krzyczeli, lecz nikt nie mógł nic pomóc. Nikt? Przecież znalazł się jeden, i to ten, któremu najmniej przypisywano by odwagi i przytomności umysłu: młody Indianin.

Stał z ojcem w oddaleniu może dziesięciu kroków od dziewczynki, kiedy spostrzegł straszne niebezpieczeństwo; błysnął oczyma i spojrział na prawo i lewo, jakby szukając drogi ratunku; potem zrzucił koc z ramion, a krzyknawszy na ojca w języku Tonkawa: „Tiakaifaf szai szoyana! - Pozostań; będę pływał” - skoczył w dwu susach ku dziewczynce, chwycił ją wpół, rzucił się z nią ku relingowi i stanął na nim. Tam zatrzymał się na chwilę, aby się obejrzeć. Pantera była poza nim i właśnie gotowała się do ostatniego skoku. Indianin rzucił się z poręczą w rzekę, nabierając rozpędu w bok, aby w wodzie nie znaleźć się obok zwierzęcia.

Woda zakryła go wraz z dziewczynką;

w tej chwili pantera, której siła skoku była ogromna, skoczyła na poręcz i runęła w rzekę.

- Stop, stop, na miejscu! - zakomenderował przytomny kapitan przez tubę do hali maszyn.

Dano kontraparę, steamer zatrzymał się i stanął spokojnie, bo koła nabierały tyle wody, ile było potrzeba, aby umknąć cofania się.

Ponieważ niebezpieczeństwo dla podróżnych minęło, wszyscy wybiegli pośpiesznie ze swych kryjówek ku burcie. Matka dziecka wpadła w omdlenie, a ojciec krzychał przeraźliwie:

- Tysiąc dolarów za uratowanie mej córki! Dwa, trzy, pięć tysięcy dolarów.

Nikt go jednak nie słuchał: wszyscy pochylili się nad burta, patrząc w rzekę, gdzie pantera, będąc znakomitym pływakiem, leżała w y/o-dzie z szeroko rozłożonymi łapami i rozglądała się za łupem - nada-remnie.

- Utonęli, dostali się pod koło! - biadał ojciec wyrывая sobie włosy.

24

Nagle rozległ się po drugiej stronie statku ostry głos starego Indianina:

- Nintropan-homosz być mądry; przepłynąć pod okrętem, żeby pantera nie zobaczyć. Tu być, w dole!

Podróżni tłoczyli się ku sterowi, a kapitan rozkazał rzucić liny. Rzeczywiście, w dole, tuż przy ścianie okrętu, płynął na wznak, aby go nie uniosły fale, Mały Niedźwiedź, podtrzymując nieprzytomną dziewczynkę. Liny prędko znalazły się pod ręką i zrzucono je; chłopiec jedną przywiązał dziewczynkę pod ramiona, a sam wdrapał się zwinnie po drugiej na pokład.

Przyjęto go burzliwie i radośnie, lecz on odszedł dumnie, nie rzekłszy ani słowa. Kiedy jednak przechodził koło kornela, który również się przypatrywał, stanął przed nim i odezwał się tak głośno, aby każdy musiał go usłyszeć:

- No, czy Tonkawa obawia się małego wściekłego kota? Kornel uciekł wraz z dwudziestu bohaterami, a Tonkawa skierował wielkiego potwora na siebie, aby uratować dziewczynkę i pasażerów. Kornel wnet jeszcze więcej usłyszeć od Tonkawa!

Uratowaną wyciągnięto i zaniesiono do kajuty. Wtem sternik wskazał ręką ku przodowi okrętu i zawołał:

- Patrzcie na panterę! Patrzcie, tratwa!

Teraz skoczyli wszyscy ku wskazanej stronie, gdzie oczekiwało ich nowe, nie mniej emocjonujące widowisko. Nie spostrzeżono przedtem małej tratwki, zbudowanej z chrustu i sitowia, na której siedziały dwie osoby, chcąc z prawego brzegu rzeki dostać się do steamera;

poruszały one wiosłami, sporządzonymi byle jak z gałęzi. Jedną z tych osób był chłopiec, drugą, jak się zdawało, kobieta, ubrana bardzo osobliwie. Zobaczono nakrycie głowy, rumianą twarz z małymi oczkami. Reszta postaci tkwiła w szerokim worku czy czymś podobnym, czego fasonu i kroju nie można było określić, bo osoba ta siedziała.

Czarny Tom zapytał Old Firehanda:

- Sir, znacie tę kobietę?

- Nie. A czy powinienem ją znać?

- Tak sędzę. Nie jest to mianowicie kobieta, lecz mężczyzna

- myśliwy preriowy i zastawiacz sideł. A tam płynie pantera. Zobaczą-cyście teraz, czego potrafi dokonać kobieta, która jest mężczyzną.

Potem pochylił się przez poręcz i krzyknął:

- Hola! Ciotko Droll, baczność! To bydlę ma na was chrapkę!

Tratwa była oddalona od steamera o jakieś pięćdziesiąt kroków.

Pantera, szukając swych ofiar, jeszcze ciągle pływała obok okrętu; teraz zobaczyła tratwę i skierowała się ku niej. Domniemana kobieta,

25

znajdująca się na tratwie, spojrziała na pokład, a poznawszy tego, który do niej wołał, odpowiedziała wysokim falsetem:

- Co za traf, czy to wy, Tom? Bardzo się cieszę, że was tu widzę, jeśli to potrzebne! Co to za zwierzę?

- Czarna pantera, która zeskoczyła z okrętu. Zejdźcie jej z drogi! Prędko, prędko!

- Oho! Ciotka Droll nie ucieka przed nikim, nawet przed pan-terą, obojętne - czarna, niebieską czy zieloną. Czy można to bydlę zastrzelić?

- Pytanie! Ale tego nie dokażecie! Należała do menażerii, a jest najniebezpieczniejszym na świecie drapieżnikiem. Uciekajcie na drugą stronę okrętu!

Śmieszna postać zdawała się znajdować przyjemność w zabawie ze ścigającą panterą; poruszała kruchym wiosłem prawdziwie po mistrzowsku i umiała ze zdumiewającą zręcznością omijać zwierzę.

W czasie tego zawołała swym piskliwym głosem:

- Zaraz ci pokażę, stary Tomie, gdzie się strzela do takiej kreatury, jeśli to potrzebne!

- W oko! - odpowiedział Old Firehand.

- Well! Pozwólmy teraz temu szczeruowi wodnemu zbliżyć się.

Po tych słowach przyciągnął wiosło i chwycił za strzelbę, leżącą obok niego. Tratwa i pantera posunęły się szybko ku sobie.

Drapieżca szeroko otwartymi, nieruchomymi oczyma patrzył na wroga, który przyłożywszy strzelbę do ramienia, zmierzył się i wypalił dwukrotnie. Odłożył strzelbę, chwycił za wiosło i cofnął tratwę - było dziełem jednej chwili.

Pantera zniknęła, a tam, gdzie ją po raz pierwszy widziano, wir wskazywał na miejsce walki jej ze śmiercią;

potem zobaczono, że wypłynęła znacznie niżej na powierzchnię bez ruchu i martwa, płynęła tak przez kilka sekund, po czym woda pociągnęła ją znowu w głąb.

- Mistrzowski strzał! - zawołał Tom z pokładu, a zachwyceni pasażerowie mu wtórowali.

- Były dwa strzały - odpowiedziała awanturnicza postać na rzece. - W każde oko jeden! Dokąd płynie steamer, jeśli to potrzebne?

- Tam, gdzie znajdzie dość wody - odparł kapitan.

- Chcemy się dostać na pokład i w tym celu zbudowaliśmy tę tratwę. Czy zechcecie nas przyjąć?

- Czy możecie zapłacić za jazdę, madame czy też sir? Nie wiem, czy mam was wyciągnąć na pokład jako mężczyznę czy jako kobietę?

- Jako ciotkę, sir. Jestem mianowicie Ciotką Droll, zrozumiano,

26

jeśli to potrzebne? A co się tyczy zapłaty, to zwykłem płacić dobrym złotem albo nawet nuggetami.

- To chodźcie na pokład!

Kiedy spuszczano drabinę sznurową, wszedł na pokład chłopiec, również uzbrojony w strzelbę. Po czym „Ciotka”, zrzuciwszy karabin na plecy, podniósł się, chwycił drabinę, odepchnął tratwę i z kocia zręcznością wdrapał się na pokład, gdzie go przyjęto niezmiernie zdziwionymi spojrzeniami.

„kŁ-tany Zjednoczone Ameryki Północnej pomimo, a raczej wskutek, swych wolnomyślnych urządzeń, są krajem szczególnych chorób społecznych, które w państwie europejskim były-by zupełnie niemożliwe”.

Znawca tamtejszych stosunków przyzna, że to twierdzenie współ-czesnego geografa ma swe uzasadnienie. Te choroby, o których mówi, można by podzielić na chroniczne i ostre. Do pierwszych należy zaliczyć przede wszystkim szukających wszędzie zwady próżniaków i awanturników, a potem przemytników, którzy grasują zwłaszcza wśród emigrantów. Przywary te są w Ameryce zakorzenione i, jak się zdaje, będą istniały przez niejedną jeszcze dziesiątek lat. Inaczej się ma sprawa z chorobą drugiego rodzaju, która prędzej się rozwija i krócej trwa. Są to bezprawne stosunki dalekiego Zachodu, wskutek których potworzyły się bandy rabusiów i morderców, a których może wytępić tylko master Lynch- przez swe

nieubłagane postępowanie. Dalej należy wspomnieć o ku-klux-klanistach uprawiających swe rzemiosło w czasie wojny domowej, a także i później. Do najgorszych jednak i najniebezpieczniejszych chorób należą trampowie, jako przedstawiciele naj ordynarniej szego i najbrutalniejszego włóczęgostwa. Kiedy przez pewien czas handel i życie znalazły się w ciężkim położeniu i stanęło tysiąc fabryk, a dziesiątki tysięcy robotników znalazły się bez żadnego zajęcia, bezrobotni udawali się na wędrówki, które kierowały się przede wszystkim w stronę zachodnią. Stany, leżące po tamtej stronie Missisipi, zostały przez nich formalnie zalane.

Jednak nastąpiła wkrótce segregacja; uczciwsi wzięli się do byle jakiej - Lynch Charles - sędzia ze stanu Wirginia. Od jego nazwiska wywodzi się nazwa linczu, samosądu dokonywanego przez tłum, praktykowanego w połowie XIX wieku w Stanach Zjednoczonych na obszarach kolonizacyjnych przed wprowadzeniem na nich administracji państwowej.

28

pracy, nawet gdy zajęcie było mało płatne a wytężające; najmowali się po większej części na farmy do pomocy przy żniwach i stąd nazywano ich haryesterami, żniwiarzami. Natomiast elementy stroniące od pracy połączyły się w bandy żyjące z rabunku, mordu i pożogi; spadły one szybko na najniższy stopień zepsucia moralnego, a przewodzili im ludzie, ku którym wyciągała się groźna ręka sprawiedliwości.

Ci trampowie pojawiali się w większych skupiskach, czasem .do trzystu ludzi liczących, a napadali nie tylko na pojedyncze farmy, ale nawet na małe miasteczka, aby je złupić doszczętnie; opanowywali koleje, terroryzowali urzędników i posługiwali się pociągami, aby przenosić się szybko w inne strony i tam popełniać nowe przestępstwa. To zło tak się rozpanoszyło, że w niektórych stanach gubernatorzy byli zmuszeni wzywać pomocy policji, by staczać z łotrami formalne bitwy.

Za takich trampów kapitan i sternik „Dogfisha” uważali komela Brinkleya i jego towarzyszy. Banda liczyła około dwudziestu osób;

była wobec tego za słaba, aby zadzierać z resztą pasażerów i załogą, jednak ostrożność nie była bynajmniej zbyt cenna.

Kornel naturalnie zainteresował się ową cudaczną postacią, która, zbliżając się do okrętu na kruchej tratwie, tak wspaniale rozprawiła się z potężnym drapieżnikiem. Kiedy Tom wymienił owo szczególne nazwisko „Ciotka Droll”, kornel się śmiał; ale teraz, gdy obcy wszedł na pokład, ściągnęły mu się brwi i szepnął do swych ludzi:

- Ten łotr wcale nie jest tak śmieszny, za jakiego chce uchodzić.

Mówię wam, musimy się mieć przed nim na baczności.

- Po cóż więc to przebranie? - zapytał któryś z nich.

- To nie jest wcale przebranie. Ten człowiek jest rzeczywiście oryginałem, a przy tym najniebezpieczniejszym, jaki może istnieć, detektywem.

- Pshaw! Ciotka Droll i detektyw! Ten osobnik może być, czym chcesz, ale detektywem nie jest; v/ to nigdy nie uwierzę.

- A mimo to jest nim. Słyszałem już o Ciotce Droll, ma być na pół zwariowanym stawiaczem sideł, który ze wszystkimi szczepami Indian jest na najlepszej stopie, dzięki swej wesołości. Nie wiedziałem, że go znam. Zobaczywszy jednak teraz, poznałem go. Ten grubas jest detektywem, jak amen w pacierzu. Spotkałem go w górze Missouri w forcie Sully, gdzie wyłowił pewnego kamrata spośród naszego towarzystwa i wydał na stryczek; on sam jeden, a nas było przeszło czterdziestu.

29

- To niemożliwe! Mogliście mu przynajmniej wywiercić czter-dzieści dziur w skórze!

- Nie, właśnie, że nie mogliśmy. Droll działa więcej podstępem niż przemocą. Przypatrzcie się tylko tym oczkom, małym i chytrym jak u kreta! Nie ujdzie im nawet mrówka w najgęstszej trawie. Czepia się swej ofiary z największą i nie znoszącą żadnego oporu przyjaźnią i zatraskuje pułapkę, zanim zdoła się pomyśleć o zaskoczeniu.

- Czy zna ciebie?

- Chyba nie; wówczas nie mógł mi się przyjrzeć, a od tego spotkania upłynęło wiele czasu i ja bardzo się zmieniłem. Mimo to jestem zdania, że wskazane jest, abyśmy się zachowywali spokojnie i cicho, byle nie zwrócić na siebie jego uwagi. Sądzę, że możemy tu spłatać dobrego figla, a nie chciałbym, ażeby Droll stanął nam na drodze.

Wygląd Drolla, mimo stów kornela, budził raczej wesołość niż strach. Jego nakrycie głowy nie było ani kapeluszem, ani czapką czy czepkiem, choć można je było określić każdym z tych wyrazów. Składało się z pięciu różnego kształtu kawałków skóry, środkowy, leżący na czubku głowy, miał kształt miski odwróconej do góry dnem, tylny okrywał kark, a przedni czoło - miała to być pewnego rodzaju osłona czy kreza; czwarty i piąty kawałek tworzyły szerokie kłapy zasłaniające uszy.

Kaftan nosił bardzo długi i nadzwyczaj szeroki, a złożony wyłącz-nie ze skórzanych łat, przyszytych jedna na drugiej; żadna nie była tego samego wieku i widziało się, że ponaszywano je stopniowo w różnych odstępach czasu. Z przodu brzegi tej bluzy opatrzone były rzemieniami, które, związane razem, zastępowały brakujące guziki. Ponieważ nadzwyczajna długość i szerokość tej niezwyklej garderoby utrudniała chodzenie, właściciel rozciął ją z tyłu od dołu do pasa, a obie poły obwiązał tak dokoła nóg, że tworzyły szerokie szarawary, co poruszenia Ciotki Droll czyniło wprost śmiesznymi. Te ni-by-spodnie sięgały do kostek, a skórzane trzewiki uzupełniały kostium od dom. Rękawy bluzy były również niezwykle szerokie i za długie dla tego człowieka, toteż zeszył je z przodu, a dalej, ku tyłowi, umieścił dwa otwory, przez które wystawiał ręce. Tym sposobem rękawy tworzyły dwie zwisające kieszenie skórzane, w których mógł chować najrozmaitsze przedmioty.

Ta część ubioru nadawała figurze Ciotki Droll wygląd nieforemny, a poza tym pobudzało prawie do śmiechu pełne, czerwone i niezwykle przyjazne oblicze, którego oczka, zdawało się, nie umiały ani na sekundę spocząć, lecz znajdowały się w ustawicznym ruchu, tak że nic nie mogło ująć ich baczności.

30

W ręce trzymał dwururkę, która liczyła też bardzo szacowne lata. Czy miał poza tym jaką broń, tego się można było najwyżej domyślać, gdyż kaftan obejmował całą postać jak związany worek, kryjąc zapewne niejednen przedmiot.

Chłopiec, który towarzyszył temu oryginałowi, miał może lat szesnaście i był blondynem, silnie zbudowanym, spoglądał bardzo poważnie, a nawet dumnie, jak człowiek, który potrafi iść już własną drogą.

Odzież jego składała się z kapelusza, koszuli myśliwskiej, spodni, pończoch i butów, a wszystko sporządzone było ze skóry. Oprócz strzelby miał jeszcze nóż i rewolwer.

Kiedy Ciotka Droll wstąpił na pokład, wyciągnął rękę do Czar-nego Toma i zawołał swym cienkiem falsetem:

- Witaj, stary Tomie! Co za niespodzianka! Wieki upłynęły doprawdy, odkąd widzieliśmy się. Skąd i dokąd się udajesz?

Przyjaciele uścisnęli sobie dłonie bardzo serdecznie i Tom od-powiedział:

- Od Missisipi w górę, chcę się dostać w głąb Kansasu, gdzie moi rafterzy siedzą w lasach.

- Well, to wszystko w porządku. Ja także tam się udaję, a nawet jeszcze dalej, będziemy więc jakiś czas razem. Lecz przede wszystkim opłata za przejazd, sir. Co mamy zapłacić, mianowicie ja i ten mały mąż, jeśli to potrzebne?

Pytanie skierowane było do kapitana.

- To zależy od tego, jak daleko jedziecie i jakie chcecie miejsce

- odpowiedział tamten.

- Miejsce? Ciotka Droll jeździ tylko pierwszym! A więc kajuta, sir. Jak daleko? Powiedzmy, tymczasem do portu Gibson, możemy przecież w każdej chwili przedłużyć lassa. Bierzecie nuggety?

- Tak, bardzo chętnie.

- A jak tam z waszą wagą? Jesteście uczciwi?

To pytanie wyszło tak pociesznie, oba oczka mrugały przy tym tak osobliwie, że nie można go było brać za złe, mimo to kapitan zrobił obrażoną minę i mruknął:

- Nie próbujcie pytać po raz drugi, bo wyrzucę was w tej chwili poza burzę.

- Oho! Czy sądzicie, że Ciotkę Droll tak łatwo wsadzić do wody?

Spróbujcie!

- No, no! - bronił się kapitan. - Wobec dam należy być grzecznym, a ponieważ jesteście ciotką, więc należycie do płci pięknej, przeto nie biorę waszego pytania tak poważnie. Zresztą z płaceniem się nie śpieszy!

31

- Nie, na kredyt nie biorę - ani na minutę - taka już moja zasada, jeśli to potrzebne.

- Well! Chodźmy więc do kasy!

Po tych słowach oddalili się, a pozostali wypowiadali swe uwagi na temat tego szczególnego człowieka.

Kapitan, który powrócił prędzej niż Droll, rzekł zdumiony:

- Messurs, żebyście widzieli te nuggety, och, te nuggety! - Sięgnął jedną ręką w rękaw, a kiedy ją wysunął, miał dłoń pełną ziarenek złota wielkości grochu, orzechów laskowych, a nawet jeszcze więk-szych. - Ten człowiek musiał odkryć bonanzę i wyplukał ją!

Tymczasem Droll, zapłaciwszy w kasie za przejazd, rozejrzał się wokół i spostrzegł ludzi kornela. Począł powoli ku przodowi okrętu i przyglądał się im. Spojrzenie jego zatrzymało się dłużej na kornelu, którego zagadnął:

- Przepraszam, sir, czyśmy się już kiedy nie widzieli?

-- Ja przynajmniej nic o tym nie wiem - odparł zapytany.

- O, jestem pewny, żeśmy się już spotkali. Czy byliśmy może nad górną Missouri?

- Nie.

- A w porcie Sully także nie?

- Nawet go na oczy nie widziałem.

- Hm! Mogę się zapytać o wasze nazwisko?

- A to po co?

- Bo mi się podobacie, sir, a kiedy poczuję do kogoś życzliwość, to nie prędzej zaznam spokoju, aż dowiem się, jak się nazywa.

- Co się tego tyczy, to wy mi się także podobacie - od-powiedział kornel ostro - mimo to nie byłbym tak niegrzeczny, aby pytać was o nazwisko.

- Czemu? Ja tego nie uważam za niegrzeczność i zaraz od-powiedziałbym na wasze pytanie. Nie mam żadnego powodu kryć się ze swoim nazwiskiem. Tylko ten, kto nie ma zupełnie szczerych zamiarów, stara się przemilczeć, jak się nazywa.

- Czy to ma być obraza, sir?

- Ani mi to w głowie! Ja nie obrażam nigdy nikogo, jeśli to potrzebne! Adieu, sir, zachowajcie swe nazwisko dla siebie. Nie chcę go już słyszeć! - Odwrócił się i odszedł.

- To do mnie pił - syknął rudy. - I ja muszę to znosić!

- Dlaczego? - zaśmiał się jeden z jego ludzi.

- Ja bym temu workowi odpowiedział pięścią.

- I źle byś na tym wyszedł!

- Pshaw! Ta żaba nie wygląda na bardzo silną!

32

- Ale człowieka, który pozwala czarnej panterze zbliżyć się do siebie na długość ręki, a potem strzela z tak zimną krwią, jakby miał przed sobą kurę preriową, nie można lekceważyć. Zresztą, idzie tu nie tylko o niego samego, zaraz miałbym przeciw sobie także i tamtych, a musimy unikać wszelkiego hałasu.

Droll wrócił na tył okrętu, po drodze natknął się na obu Indian, którzy siedzieli na pace z tytoniem. Ci, ujrawszy go, powstali. Droll zatrzymał się, potem zbliżył się szybko do nich i zawołał:

- Mira, el oso Viejo y el oso Moro! - Patrzcie! To stary Niedźwiedź i młody Niedźwiedź.

Wyrzekł to po hiszpańsku, a więc musiał wiedzieć, że obaj czer-wonoskórzy słabo znają angielski, a mówią biegle i rozumieją po hiszpańsku.

- Que sorpresa, la Tia Droll! - Co za niespodzianka. Ciotka Droll! - odpowiedział stary Indianin.

- Co robicie tutaj na wschodzie i na tym statku? - pytał Droll podając obu rękę.

- Byliśmy w Nowym Orleanie i wracamy do domu. Upłynęło wiele księżyców, odkąd nie widzieliśmy twarzy Ciotki Droll.

- Ten młody Niedźwiedź stał się tymczasem dwa razy większy, niż był wtedy. Czy moi czerwoni bracia żyją z sąsiadami w pokoju?

-- Zakopali topór wojenny w ziemi i pragną, by nie musieli go wydobywać.

- Kiedy wrócicie do swoich?

- Tego nie wiemy. Wielki Niedźwiedź nie może wrócić do domu, dopóki nie utopi swego noża we krwi tego, który go obraził.

- Kto to taki?

- Ten biały pies tam, z rudymi włosami. Uderzył Wielkiego Niedźwiedzia ręką w twarz.

- Do wszystkich diabłów! Czy ten drab nic jest przy zdrowych zmysłach? Musi przecież wiedzieć, co to znaczy - podnieść rękę na Indianina, i to na starego Niedźwiedzia!

- On nie wie, kim jestem. Powiedziałem mu swoje nazwisko w języku mego ludu i proszę mojego białego brata zachować je w tajemnicy.

- Nie obawiaj się! Als pójdę teraz do tamtych białych; chciałbym z nimi pomówić; przyjdę jsdnak jeszcze potem do was.

**Oddalił się ku rufie okrętu. Tam wyszedł właśnie z kajuty ojciec uratowanej dziewczynki i oznajmił, że córka jego obudziła się z om-
dlenia i czuje się stosunkowo dobrze; potrzebuje tylko spokoju, aby**

3 - Sk"rb..

33

zupełnie przyjść do siebie. Potem pośpieszył do Indian, aby odważ-nemu chłopcu podziękować za ten niesłychanie dzielny i szlachetny czyn. Droll słyszał jego słowa i zapytał się, co zaszło. Kiedy Tom opowiedział całą przygodę, rzekł:

- Tak, tego spodziewałem się po tym chłopcu; nie jest już dzieckiem, ale zupełnie dojrzałym mężczyzną.

- Czy znacie małego i jego ojca? Widzieliśmy, że rozmawialiście z nimi.

- Spotkaliśmy się kilka razy.

- Spotkaliście? On nazwał się Tonkawa, a ten prawie wymarły szczep nigdy się nie włóczy, lecz siedzi w swych nędznych rezerwatach w dolinie Rio Grandę.

- Wielki Niedźwiedź nie stał się osiadłym, lecz pozostał wiemy zwyczajom swoich przodków. Przebiega kraj wzdłuż i wszerz, podobnie jak wódz Apaczów Winnetou, a swą siedzibę otacza tajemnicą. Mówi wprawdzie czasem o „swoich”, ale kim oni są i gdzie przebywają - nie mogłem się dowiedzieć. I teraz chciał się udać do nich, ale zatrzymuje go zemsta, jaką chcę wyrzucić na kornelu.

- Czy mówił o tym?

- Tak; nie spocznie prędzej, aż jej dokona. Kornel w moich oczach jest człowiekiem straconym.

- Tak i ja mówiłem - powiedział Old Firehand. - O i2e znam Indian, Niedźwiedź ścierpiał policzek nie z tchórzostwa!

- Tak? - zapytał Droll spoglądając na olbrzyma. - Wy po-znaliście także Indian, jeśli to potrzebne? Nie wyglądacie mi na to, chociaż wydajecie się prawdziwym Goliatem. Myślę, że nadajecie się więcej do salonu niż na prerię.

- O biada, Ciotko! - zaśmiał się Tom. - Toż dopiero paskud-nie spudłowaliście! Zgadnijcie, kim jest ten sir?

- Ani mi w głowie! Bądźcie raczej tak dobrzy i powiedzcie mi sami.

- Nie. Tak łatwo wam nie pójdzie. Ciotko! Ten sir należy do naszych najsławniejszych westmanów.

- Tak? Nie do sławnych, tylko do najsławniejszych?

- Tak!

- Tego gatunku ludzi jest, moim zdaniem, tylko dwu. - Tu zrobił pauzę, przymknął jedno oko, a drugim mrugnął ku Old Fire-handowi, zaśmiał się krótko, co zabrzmiało jakby „hi hi hi!” wydobycie na klarncie, a potem mówił dalej: - Tymi dwoma są mianowicie Old Shatterhand i Old Firehand. Ponieważ pierwszego znam, jeśli to

34

potrzebne, przeto ten sir nie może być nikim innym, jak Old Firehandem. Zgadłem?

- Tak, jestem nim - przyznał wymieniony.

- Na Boga! - Droll cofnął się o dwa kroki i patrzył nań szeroko otwartymi oczami. - To wy rzeczywiście? Postać macie zupełnie taką, jak opisują, ale - może tylko żartujecie?

- No, czy to żart? - zapytał Old Firehand i chwyciwszy Drolla prawą ręką za kołnierz bluzy, podniósł go w górę, okręcił trzy razy dookoła siebie i postawił potem na pobliskiej skrzyni.

Twarz Drolla stała się ciemnoczerwona, spróbował nabrać oddechu i zawołał w przerywanych, krótkich zdaniach:

- Rany boskie, sir! Czy uważacie mnie za perpendykuł, czy za chorągiewkę na dachu? Czy jestem na to stworzony, by tańczyć wokół was w powietrzu? Prawdziwe szczęście, że mój sleeping-gown - jest z mocnej skóry, inaczej by pękł i wrzucilibyście mnie do rzeki! Ale próba była dobra, sir! Widzę, że jesteście Old Firehandem. Muszę w to uwierzyć, już choćby z tego powodu, że inaczej gotowicie jeszcze raz na mnie pokazać tym dżentelmenom obrót księżyca dookoła ziemi. Często, gdy o was była mowa, myślałem, jak się będę cieszył, gdy was kiedy ujrzę. Tu jest moja ręka i - nie odtrącajcie jej!

- Odtrącać? Ja rękę podaję chętnie każdemu dzielnemu człowiekowi, tym chętniej więc temu, który się nam zarekomendował tak wybitnym czynem.

- Zarekomendował? Jak to?

; - Żeście zastrzelili czarną panterę.

- Ach, tak! To nie był czyn, nad którym warto się rozwodzić. To zwierzę nie całkiem dobrze czuło się w wodzie. Więc mu pomogłem.

- To było mądrze z waszej strony! Pantera nie obawia się wody, a ponieważ jest doskonałym pływakiem, byłaby dostała się do brzegu bez żadnego wysiłku. Co by to była za katastrofa, gdyby się jej udało! Uratowaliście w każdym razie życie wielu ludziom. Ściskam waszą dłoń i pragnę, abyśmy się bliżej poznali.

- To jest i moim gorącym życzeniem, sir. A teraz proponuję wypić za pomyślność nowej znajomości. Nie przyszedłem na ten steamer po to, aby cierpieć pragnienie. Chodźmy więc do salonu.

Wszyscy poszli za tym wezwaniem.

Kiedy dżentelmeni odeszli, wyszedł z maszynowni ów Murzyn, któremu nie pozwolono przyglądać się panterze. Zastąpił go inny palacz, a on szukał teraz cienistego miejsca na drzemkę poobiednią.

• Sleeping-gown -ang.- - szlafrok.

35

Gdy powoli i leniwie włókł się ku przodowi, widać było zupełnie wyraźnie, że jest w kiepskim humorze. Zauważył to także komel, a zawoławszy nań, skinął, by się zbliżył.

- Czego sobie życycie, sir? - zapytał Murzyn podchodząc do niego. - Jeśli macie jakie życzenie, to zwróćcie się do stewarda. Ja nie jestem na posługę gości.

- Jestem tego samego zdania - odrzekł komel. - Chciałem was tylko zapytać, czy nie wypilibyście z nami szklanki brandy?

- Jeśli o to idzie, jestem na wasze usługi. Przy piecu człowiekowi wysycha gardło dokładnie. Ale nie widzę wódki ani na jeden łyk.

- Macie tu dolara. Przynieście z baru to, na co macie ochotę, i usiądźcie obok nas.

Wyraz lenistwa zniknął z twarzy Murzyna. Przyniósł czym prędzej dwie pełne flaszki, kilka szklanek i usiadł obok kornela, który gościnnie zrobił mu miejsce.

Prędko i chciwie wychylił czarny dwie szklanki i zawołał:

- To jest orzeźwienie, sir, na które ludzie naszego stanu nie mogą sobie pozwolić! Ale jak wpadliście na myśl zaproszenia mnie? Wy, biali, nic jesteście zwykle tak uprzejmie usposobieni wobec nas, czarnych!

- Dla mnie i moich przyjaciół Murzyn wart jest tyle, co i biały.

Zauważyłem, że stoicie przy kotle; ta ciężka praca wywołuje pragnienie, a nie sądzę, aby kapitan opłacał je setkami dolarów. Pomyślałem, że dobry łyk bardzo wam się przyda.

- Mieliście znakomitą myśl! Kapitan płaci rzeczywiście źle i nie można z tego pozwolić sobie na zbyt obfity poczęstunek, zwłaszcza że nie daje żadnej zaliczki, przynajmniej mnie, a otwiera kabzę dopiero przy końcu podróży. Niech to diabli!

- Czy tylko względem was tak postępuje?

- Tak. Mówi, że moje pragnienie jest za duże; innym płaci codziennie, ale mnie nie. Nic więc dziwnego, że moje pragnienie staje się coraz większe.

- No, będzie to zależeć tylko od was, czy zaspokoicie je dzisiaj, czy też nie. Jestem gotów dać wam kilka dolarów, jeśli mi za to oddacie pewną przysługę.

- Hura! Za to dostanę kilka flaszek. A więc kawa na ławę, sir!

Jeśli idzie o to, aby zarobić na brandy, jestem zawsze gotów.

- Możliwe. Ale należy wziąć się chytrze do rzeczy. Musicie trochę powęszyc, trochę posłuchać.

- Gdzie? Kogo?

- W salonie.

36 `

r _ 1--9 Hm' - mrucał Murzyn namyślając się. - Po co, sir?

- Ponieważ... no, będę otwartym wobec was! - nalał mu szklankę na nowo i ciągnął dalej w tonie poufnym. __ Jest tam wielka zbudowany jak olbrzym sir, którego nazywają Old Firehand, dałq fegomość ciemnobrody, zwany Tomem, a w końcu pewien przebrany

pasazer w długiej bluzie skórzanej, na którego wołają „clo.kaDroll, Ten Old Firehand jest farmerem, a tamci dwaj Jego gośćmi, ktorcyca wiezie do siebie. Przypadkowo udajemy się do tej samej farmy aby się nająć do pracy. Chcielibyśmy więc wiedzieć, co to za ludzie, z którymi będziemy mieli do czynienia. Widzicie, że nie żądam od was niczego nieuczciwego i zakazanego. . , ,

- Macie rację, sir! Żaden człowiek nie może mi zabronić stuchac,

gdy inni mówią. Najbliższe sześć godzin należą do mnie; jestem wolny i mogę robić, co mi się podoba.

- Lecz jak tego dokonacie? Czy możecie wejść do salonu?

- Zakazane nie jest, ale nie mam tam czego szukać, mogę tylko coś przynieść lub wynieść. Trwa to jednak tak krótko, że nie mógłbym przy tym wypełnić swego zamiaru.

- Czy nie ma jakiej roboty, przy której moglibyście się tam dłużej

zatrzymać?

- Nie, albo raczej tak. Przychodzi mi coś na myśl. Okna są brudne - mógłbym je umyć.

- Czy to nie zwróci uwagi?

- Nie. Ponieważ salon jest zawsze zajęty, nic można tej pracy wykonać w takim czasie, aby nie było tam nikogo. Jest to właściwie robota stewarda, ale sprawię mu wielką przyjemność, jeśli go wyręcę.

- Lecz on może powziąć jakie podejrzenie.

- Nie. Wie, że nie mam pieniędzy, a lubię brandy. Powiem mu, że mam pragnienie i że za pełną szklankę umyję za niego okna. Nie potrzebujecie się o to troszczyć, sir; uda mi się na pewno. A więc, ile obiecujecie dolarów?

- Zapłacę wam według wartości wiadomości, które przyniesiecie

- najmniej trzy dolary.

- Ali right. Należycie mi jeszcze brandy i idę.

Kiedy Murzyn się oddalił, zapytano kornela, w jakim celu wydał mu takie polecenie.

- Jesteśmy biednymi trampami - odpowiedział - i musimy wiedzieć, na jakim jesteście świecie. Mamy zapłacić za przejazd, chcę więc spróbować przynajmniej, czy nie wydostaniemy w jaki sposób tych pieniędzy. Również do dalekiej podróży, o której myślimy, musimy poczynić pewne przygotowania, a wiecie, że nasze mieszki są dość puste.

37

- Chcemy je przecież napełnić z kasy kolejowej!

- Czy wiecie na pewno, że nasz plan się uda? Jeśli zaś tutaj można zarobić trochę pieniędzy, byłoby największą głupotą pominąć tę sposobność.

- A więc, powiedzmy otwarcie, kradzież na statku? To niebez-pieczne! Kiedy okradziony zauważy swą stratę, nastąpi straszliwy huczek, po którym przyjdzie do obszukania wszystkich osób i kątów, a my będziemy pierwszymi, na których padnie podejrzenie.

- Jesteś największym głupcem, jakiego widziałem. Taka sprawa jest niebezpieczna i nie jest; zależy od tego, jak się do niej zabrać. A ja nie należę do tych, którzy zabierają się do rzeczy ze złej strony. Jeśli będziecie mnie słuchać, to musi nam się udać wszystko, a także później i to ostatnie największe zadanie.

- Przy Srebrnym Jeziorze? Hm! Jeśli cię tylko nie nabrano.

- Pshaw! Co wiem, to wiem! Nie myślę wam teraz dawać dokładnych wyjaśnień. Kiedy będziemy na miejscu, dowiecie się o wszystkim. Do tego czasu musicie mi ufać i wierzyć, gdy wam mówię, że tam w górze są bogactwa, które wystarczą nam wszystkim do końca życia. Teraz jednak musimy unikać wszelkiej zbytecznej gadaniny i spokojnie czekać, jakie wiadomości przyniesie ten głupi smoluch.

Po tych słowach oparł się o burtę i zamknął oczy na znak, że rozmowa skończona. Reszta także ułożyła się, jak mogła najwygodniej; jedni próbowali usnąć, inni szeptali cicho ze sobą o wielkim planie, dla którego związali się na śmierć i życie.

„Głupi smoluch” zdawał się dorastać do swego zadania: gdyby napotkał trudności, byłby pewno powrócił, aby o tym donieść. Tymczasem poszedł najpierw do kajuty służby, aby pomówić ze stewardem, a potem zniknął we drzwiach prowadzących do salonu i nie pokazywał się. Minęła przeszło godzina, zanim pojawił się na pokładzie, trzymając w ręce kilka ścierek; odniósł je, wrócił do towarzysztwa i usiadł, nie wiedząc, że czworo oczu bystro obserwuje jego

i trampów. Oczy te należały do obu Indian, starego i młodego Niedźwiedzia.

- A więc - zapytał kornel niecierpliwie - jak poszło?

Zapytany odpowiedział niechętnie:

- Zadałem sobie wiele trudu, ale nie sądzę, abym za to, com

usłyszał, dostał więcej jak owe umówione trzy dolary, bo pomyliliście się, sir.

- W czym?

- Olbrzym wprawdzie nazywa się Old Firehand, ale nie jest

38

farmerem, a przeto nie mógł do siebie prosić owego Toma i Ciotki Droll.

- A to dopiero! - zawołał kornel udając rozczarowanie.

- Tak, tak jest! - zapewniał Murzyn. - Olbrzym jest słynnym myśliwym i udaje się w dalekie góry.

- Dokąd?
- Tego nie mówił. Słyszałem wszystko i nic nie uszło mojej uwagi. Ci trzej siedzieli z dala od innych gości z ojcem dziewczynki, którą pantera chciała pożreć. Ów ojciec nazywa się Butler i jest inżynierem; on także udaje się z Old Firehandem.
- Inżynier? Czego ci dwaj chcą w górach? Może odkryto minę, którą Butler ma zbadać?
- Nie. Old Firehand zna się na tym lepiej niż największy inżynier. Mają oni najpierw odwiedzić brata Butlera, który ma w Kansas obszerną farmę. Ten brat musi być bardzo bogaty; dostarczył bowiem bydło i zboże do Nowego Orleanu, a teraz inżynier podjął pieniądze, aby mu je odwieźć. Oczy komela zabłysły, ale ani on, ani żaden z trampów nie zdradził ruchem ni miną, jak ważna była dla nich ta wiadomość.
- Tak, w Kansas istnieją bogaci farmerzy - potwierdził dowód-ca tonem obojętnym.
- Ten inżynier jednak jest człowiekiem nieo-strożnym. Wielka to kwota?
- Dziewięć tysięcy dolarów w papierach; mówił o tym szeptem, ale mimo to zrozumiałem.
- Takie- sumy nie nosi się przecież wszędzie ze sobą - na cóż byłyby banki? Gdyby tak wpadł w ręce trampów, pieniądze byłyby stracone.
- Nie, bo nie znaleźliby ich.
- O, to są przebiegłe draby.
- Ale tam, gdzie on je schował, pswno by nie szukali.
- Znacie więc schowek?
- Tak, pokazywał go tamtym; czynił to ukradkiem, ponieważ ja byłem w pobliżu. Zwróciłem się ku nim plecami, ale zapomnieli o lustrze i widziałem wszystko.
- Hm...! Lustro jest zwodnicze: kto przed nim stoi, widzi swoją prawą stronę na lewo, a lewą na prawo.
- Tegom jeszcze nie zauważył i nie rozumiem, ale co widziałem, to wiem. Inżynier ma stary nóż „bowie” z wydrażoną rękojeścią, a w niej tkwią banknoty.
- Tak? No, to nas wcale nie interesuje. My nie jesteśmy tram-pami, lecz uczciwymi żniwiarzami. Przykro mi, że pomyliłem się co do

>._39

tego olbrzymia, ale podobieństwo do farmera, o którym mówiłem, jest bardzo wielkie, a przy tym nosi to samo nazwisko.

- Może jest bratem tamtego? Zresztą nie tylko inżynier ma tyle pieniędzy przy sobie. Ten z czarną brodą mówił o znacznej sumie, jaką otrzymał do rozdziału między towarzyszy, którzy są rafterami.
- A gdzie się oni znajdują?
- Teraz ścinają drzewa nad rzeką Black-bear, której ja jednak nic znam.
- Jaja znam. Wpada do Arkansasu poniżej Tuloi. Czy towarzys-two jest liczne?
- Około dwudziestu ludzi - wszystko dzielni chłopcy, jak mó-wił. A ten wesoły drab w skórzanym szlafroku ma przy sobie masę nuggetów. On także udaje się na Zachód; chciałbym wiedzieć, po co bierze ze sobą złoto? Tego wszak nikt nie wlecze po dziczy.
- Dlaczego nie? Na Zachodzie człowiek odczuwa także różne potrzeby. Są tam forty, stores -sklepy- i wędrujące kramy, w których można stracić dość złota i nuggetów. No, ci ludzie są mi zupełnie obojętni. Nie pojmuję tylko, dlaczego inżynier, udając się w Góry Skaliste, ciągnie ze sobą małą dziewczynkę.
- To jest jego jedyne dziecko, a córka kocha go bardzo i nie chciała się z nim rozłączyć. Ponieważ zamyśla zatrzymać się w górach

niezwykle długo, będzie musiał zbudować baraki, więc ostatecznie zdecydował się wziąć ze sobą ją i matkę.

- Baraki? Czy mówił o tym?

! - Tak.

- Dla niego i córki wystarczyłby przecież jeden barak, więc prawdopodobnie nie będzie sam. W jakim celu tam się udaje?

- Chciał się o tym dowiedzieć także brodac, ale Old Firehand oświadczył mu, że dowie się później.

- A więc trzyma to w tajemnicy. Chodzi prawdopodobnie o bo-nanżę, o żyłę złota, którą chcą potajemnie zbadać i w szczęśliwym

razie eksploatować. Chciałbym wiedzieć, do jakiej miejscowości się udają.

- Tej, niestety, nie wymieniono. Jak się zdaje, chcą zabrać brodacza i Ciotkę Droll. Znajdują oni w swoim towarzystwie wielką przyjemność, tak wielką, że śpią w sąsiadujących kabinach. Pod numerem pierwszym inżynier, numer drugi zajmuje Old Firehand, trzeci Tom, czwarty Droll, a piąty należy do małego Freda.

- Kto to jest?

i - Boy, którego Ciotka przyprowadza.

i' - Czy syn Ciotki Droll?

40

Nic, jak się domyślam

A jak się nazywa i dlaczego znajduje się tutaj?

O tym nic nie mówiono

Czy kabiny numer pierwszy do piątego leżą po prawej, czy po lewej ręce?

Po stronie steru, więc na lewo. Córeczka inżyniera śpi z matką w kabinie damskiej.

- Ponieważ pomyliłem się co do tych ludzi, przeto jest mi zupełnie obojętne, gdzie leżą i śpią. Nie zazdroszczę im tych ciemnych kajut, w których można się udusić, podczas gdy tutaj na otwartym pokładzie mamy tyle powietrza, ile dusza zapagnie.

- Well! Ale świeże powietrze mają także w kajutach, bo wyjęto okna, a wsadzono gazę. Najgorzej jednak jest nam, bo jeśli w nocy nic ma roboty, musimy spać właściwie tam w głębi - wskazał na otwór, który nie opodal prowadził pod pokład.

- To wielka łaska, jeżeli oficer pozwoli nam położyć się obok pasażerów. Przez wąski otwór powietrze nie dochodzi do nas, a z magazynów wy-dobywa się zgnilizna.

- Czy wasza sypialnia jest połączona z magazynami? - zapytał komel zaciekawiony.

- Tak. Stamtąd prowadzą schody.

- Czy można je zamknąć?

- Nie, bo byłoby w sypialni nie do wytrzymania.

- Jesteście rzeczywiście godni litości. Lecz dość tego gadania, mamy jeszcze brandy we flaszcze.

- Słusznie, sir. I od gadania gardło wysycha. Napiję się, a potem poszukam gdzie cienia, aby się przespać, bo jak minie moje sześć godzin, muszę iść znowu do kotła. A co z dolarami?

- Słowa dotrzymam, chociaż płacę zupełnie za nic. Ponieważ jednak ja sam popełniłem tu omyłkę, więc nie powinniście ponosić na tym szkody. Tu są trzy dolary. Więcej wymagać nie możecie, bo wasze Bstugi nie przyniosły mi żadnej korzyści.

- Ja też nie żądam więcej, sir. Za te trzy dolary dostanę tyle brandy, że upiję się na śmierć. Jesteście dżentelmenem, a jeśli będziecie jeszcze czego potrzebować, to zwróćcie się tylko do mnie, nie szukając innego. Możecie na mnie liczyć!

Wychylił napełnioną szklankę i odszedł na stronę, gdzie ułożył się w cieniu wielkiej paki.

Trampowie spoglądali na swego dowódcę z zaciekawieniem; w za-sadzie wiedzieli, o co idzie, ale nie mogli połączyć ze sobą niektórych pytań i wiadomości.

41

- Chcecie teraz wyjaśnień? - zapytał komel, a na twarzy jego ukazał się uśmiech dumy i zadowolenia. - Dziewięć tysięcy dolarów w banknotach, a więc gotówka, a nie jakieś tam czeki czy weksle, przy których wymianie człowiek naraża się na niebezpieczeństwo. Toż to spora sumka, bardzo pożądana!

- Tylko jak ją dostać? przerwał ten, który zwykł był przema-wiać w imieniu reszty.

- Nie martw się! Będziemy ją mieli.

- No, ale jak? Jak zdobędziemy ów nóż?
- Przyniosę go z kabiny.
- Ty sam?
- Naturalnie. Tak ważnej roboty nie powierzę nikomu
- A gdy cię przyłapią?
- Niemożliwe. Plan mam gotowy i musi się udać.
- Jeśli to prawda, będzie mi bardzo przyjemnie; ale inżynier zauważy po obudzeniu się brak noża, a wtedy rozpęta się burza!
- Tak, i to porządna. Ale my będziemy już daleko.
- Gdzie?
- Co za pytanie? Naturalnie na brzegu.
- Czy wpław?
- Nie. Tego nie żądam od was. Jestem niezłym pływakiem, ale w nocy nie powierzyłbym się tej szerokiej rzece.
- Myślisz, że opanujemy jedną z dwu łódek?
- I to nie.
- Więc nie widzę sposobu dostania się na ląd, zanim spostrzegą kradzież.
- To jest właśnie dowodem, żeś niedomyślny. Po cóż pytałem tego czarnucha z takim zainteresowaniem o magazyny?
- Tego nie wiem.
- Wiedzieć nie, ale domyślać się możesz. Obejrzyj się! Co stoi obok bloku z liną kotwiczną?
- Paka z przyrządami, jak się zdaje.
- Zgadłeś! Widziałem, że zawiera między innymi kilka świderów;

jeden o średnicy półtora cala. No, połącz te dwie rzeczy, magazyn i świder!

- Do pioruna! Chcesz może okręt podziurawić? - zawołał tamten.
- Oczywiście. Jeśli okręt nabiera wody, musi być dziura. A jeśli jest w kadłubie, przybija się do brzegu, aby uniknąć niebezpieczeństwa i okręt dokładnie zbadać.
- Lecz gdy za późno spostrzegą?

42

- Nie obawiaj się. Kiedy okręt tonie, co odbywa się bardzo powoli, linia wodna się podnosi. Musi to spostrzec oficer lub sternik. Wtedy powstanie taki gwałt i rwetes, że inżynier w pierwszej chwili nie pomyśli o swoim nożu, a kiedy odkryje stratę, nas już dawno nie będzie.
- A jeśli pomyślą o tym i wprawdzie przybija do brzegu, ale nie pozwolą wysiąść? Należy wszystko obmyślić.
- To również niczego nie znajdują. Przywiązany nóż do sznurka, spuścimy go do wody i umocujemy drugi koniec na zewnętrznej ścianie okrętu.
- Ta myśl jest rzeczywiście niezła! Ale co będzie potem, gdy opuścimy okręt?
- Sądzę, że wnet spotkamy jaką farmę lub obóz Indian, gdzie nabędziemy konie, nie płacąc za nie.
- Na to się zgadzam. A potem dokąd pojedziemy?
- Najpierw ku rzece Black-bear do refterów, o których mówił Murzyn. Znaleźć obóz będzie rzeczą łatwą. Naturalnie, nie pokażemy się tam, lecz zaczaiemy się na brodacza, aby i jemu odebrać pieniądze. Potem będziemy mieli dosyć, aby się wykwipować do dalszej jazdy.
- A więc nic z napadu na kasę kolejową?
- Bynajmniej. Będzie zawierać wiele, wiele tysięcy i my te pieniądze zabierzemy. Bylibyśmy głupcami, nie zabierając wszystkiego, co nam w ręce wpada. Teraz wiecie więc, o co idzie. Dziś wieczór będzie dość roboty i nie należy myśleć o spaniu. Trzymajcie więc uszy w pogotowiu.

Wezwania tego posłuchano. W ogóle wskutek wielkiego upału panowała na okręcie niezwykła cisza. Ponieważ krajobraz nie przed-stawiał niczego, co mogłoby ściągnąć na siebie uwagę pasażerów, spędzano czas na spaniu, a przynajmniej na drzemce.

Dopiero koło wieczora zapanował na pokładzie znowu ruch. Upał się zmniejszył i zerwał się lekki wiaterek. Panie i panowie wyszli ze swych kabin, aby zażyć

świeżego powietrza; wśród nich znajdował się także inżynier z żoną i córką, która już przyszła do siebie po szoku i mimowolnej kąpieli. Te trzy osoby skierowały się ku Indianom, aby obie damy mogły im podziękować za ratunek. Stary i młody Niedźwiedź spędzili całe popołudnie z iście indiańskim spokojem, nieruchomo na tej samej pace, na której siedzieli, kiedy ich powitał Droll.

- Hę - el bakh szai - bakh matelu makik! - Teraz dadzą nam pieniądze! - rzekł ojciec w języku Tonkawa, ujrawszy zbliżającego się inżyniera z żoną i córką.

43

Twarz jego zachmurzyła się, bo ten rodzaj wdzięczności jest dla Indian obelgą. Syn wyciągnął przed siebie prawą rękę, zwróconą dłonią ku dołowi, i opuścił ją szybko, co oznaczało, że jest innego zdania. Wzrok jego spoczywał z upodobaniem na dziewczynce, którą ocalił. Ta zbliżała się szybko i ujawszy jego rękę w swe dłonie, uściśnęła ją i rzekła:

- Jesteś dobrym, dzielnym chłopcem. Szkoda, że nie mieszkamy blisko siebie: wnet bym cię polubiła.

On spojrzał poważnie i odpowiedział:

- Moje życie należeć do ciebie. Wielki Duch słyszeć te słowa i widzieć, że są prawdziwe.

- Chciałabym dać ci przynajmniej jakiś upominek, który by ci przypomniiał o mnie. Czy mogę?

Kiedy chłopiec skinął głową, zdjęła z palca cienki złoty pierścionek i włożyła mu na mały palec lewej ręki. Indianin spojrzał na pierścienie, a potem na nią, sięgnął ręką pod koc, odwiązał coś z szyi i podał jej. Był to czworokątny kawałek skóry, biało garbowany i wygładzony, a na nim kilka wyciętych znaków.

- Ja tobie też dać upominek - odezwał się. - To być totem Nintropan-homosza, tylko ze skóry, a nie złoto, ale gdy ty znaleźć się wśród Indian w niebezpieczeństwie i pokazać to, to niebezpieczeństwo zniknąć. Indianie znać i kochać Nintropan-homosza i słuchać jego totem.

Dziewczynka nie wiedziała, co to jest totem i jaką może mieć wartość, rozumiała tylko, że w zamian za pierścionek dał jej kawałek skóry. Nie okazała jednak po sobie rozczarowania. Była zanadto łagodna i dobroduszna, aby mogła zdobyć się na obrazę przez odrzucenie jego na pozór ubogiego daru, dlatego zawiesiła totem na szyi, na widok czego oczy młodego Indianina zabłysnęły radością.

- Dziękuję ci! - odpowiedziała dziewczynka. - Mam coś od ciebie, a ty ode mnie. To cieszy nas oboje, chociaż i bez darów nie zapomnielibyśmy o sobie.

Teraz podziękowała mu także matka dziewczęcia prostym uściśnięciem ręki, a ojciec odezwał się:

- Jak mam wynagrodzić za ten czyn Małego Niedźwiedzia? Nie jestem biedny, ale wszystkiego, co mam, byłoby za mało w zamian za to, co on mi ocalił. Muszę więc pozostać jego dłużnikiem. Mogę mu tylko ofiarować upominek, którym by bronił się wobec wrogów tak, jak obronił moją córkę przed panterą. Czy Mały Niedźwiedź przyjmie tę broń? Proszę go o to!

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni dwa nowe, pięknie wykończone

44

rewolwery z rękojeściami wyłożonymi masą perłową i podał mu je. Młody Indianin ani chwili nie namyślał się, co ma uczynić: cofnął się o krok, wyprostował i rzekł:

- Biały człowiek ofiarować mi broń, to być wielka cześć, bo tylko mężowie otrzymywać broń. Ja przyjąć ją i używać, gdy bronić dobrych ludzi, a strzelać do złych. Howgh!

Po czym, wzięwszy rewolwery, zasadził je za pas. Teraz i ojciec jego nic mógł się dłużej powstrzymać. Widać było po jego twarzy, że walczy ze wzruszeniem.

- Ja także dziękować białemu mężowi - rzekł do Butlera - że nie dać pieniędzy jak niewolnikom lub ludziom, którzy nie mieć czci. To być wielka nagroda,

której my nie zapomnieć. My zawsze przyja-ciele białego męża, jego skwaw i jego córki. On dobrze schować totem od młodego Niedźwiedzia, bo być także mój. Wielki Duch dawać mu zawsze słońce i radość!

Biali odeszli. Obaj Indianie usiedli na pace. j - Tua eneokh - dobrzy ludzie - rzekł stary. ; - Tua, tua eneokh - bardzo dobrzy ludzie - zgodził się syn. Że podziękowanie inżyniera wypadło według pojęć Indian tak tkliwie, nie było jego zasługą; sam za mało znał mentalność czer-wonoskórych i ich zwyczaje, aby wiedzieć, jak się powinien w tym wypadku zachować. Dlatego zapytał o radę Old Firehanda, a ten go pouczył.

Inżynier powrócił do myśliwego, który siedział z Tomem i Drollem przed kajutą, i opowiedział o przyjęciu, z jakim spotkał się jego dar. Kiedy wspomniał o totemie, można było z tonu jego głosu wyczuć, as T.U.C umie ocenić wartości upominku.

Dlatego Old Firehand zapytał:

- Czy wiecie, sir, co to jest totem?

- Tak. Jest to własnoręczny znak Indianina, coś jak u nas pieczętka, umieszczony na najrozmaitszych przedmiotach.

- Objaśnienie jest słuszne, ale niezupełne. Nie każdy Indianin może mieć totem, lecz tylko naczelnicy; że ten chłopiec go ma, jest dowodem, iż dokonał czynu, który nawet czerwonoskórzy uważają za niezwykły. Totemy są rozmaite, stosownie do swego celu. Pewien rodzaj używany jest jako legitymacja lub potwierdzenie, a więc jak u nas pieczęć lub podpis. Ten jednak, który dla nas, białych, jest najważniejszy, uchodzi za polecenie tego, który go otrzymał, i stosow-nie do swej wartości, może być rozmaity. Pozwólcie mi tę skórę obejrzeć!

- Dziowocoyoka podała mu ją, a on obejrzał dokładnie.

- Czy możecie te znaki odcyfrować, sir? - zapytał Butler.

Tak - odparł Old Firehand. - Przebywałem często i długo u najrozmaitszych szczepów i nie tylko mówię ich gwarami, ale także rozumiem pismo. Ten totem jest tak cenny, jak rzadko który. Napi-sano go w narzeczu Tonkawa i brzmi: „Szakhe - i - kanwan

- ehlaten, henszon - szakin henszon szkin szkhe - i kauwan

- ehlatan, hę - el ni - ya". Słowa te w dosłownym tłumaczeniu znaczą: „Jego cień jest moim cieniem, a jego krew jest moją krwią; on jest moim starszym bratem”. Pod tym znak młodego Niedźwiedzia. Określenie „starszy brat” jest jeszcze zaszczytniejsze niż samo „brat”. Totem zawiera polecenie tak gorące, jak tylko można pomyśleć. Kto uczyni coś złego jego posiadaczowi, powinien oczekiwać surowej zemsty Wielkiego i Małego Niedźwiedzia i wszystkich jego przyjaciół. Zawińcie, sir, dobrze totem, aby znaki zachowały swą czerwoną barwę. Nie można przewidzieć, jak wielkie usługi może nam oddać, gdyż udajemy się w okolice zamieszkane przez sprzymierzeńców Tonkawa. Od tego kawałeczka skóry może zależeć życie wielu ludzi.

Steamer minął Ozark, Fort Smith i Van Buren i zbliżał się teraz do miejsca, gdzie łożysko Arkansasu robi wyraźne zagięcie ku północy. Kapitan ogłosił, że około drugiej po pomocy dopłyną do portu Gibson. Aby mieć dość sił, większość podróżnych położyła się wcześniej spać, bo można było się spodziewać, że w porcie Gibson trzeba będzie czuwać do rana. Pokład opróżnił się, a również w salonie pozostało zaledwie kilka osób. W sąsiadującej palarni siedzieli Old Firehand, Tom i Droll, rozmawiając o swoich przygodach. Ostatni zachowywali się wobec Old Firehanda z szacunkiem, połączonym z głęboką czcią. Goliat skierował rozmowę na szczególną nazwę „Ciotka Droll”. Ten odpowiedział:

- Znacze zwyczaj westmański dawania każdemu przezwiska czy imienia bojowego. Ja w moim sleeping-gown wyglądam rzeczywiście jak kobieta, a wrażenie potęguje jeszcze mój wysoki głos. Przedtem mówiłem basem, ale wskutek straszliwego zaziębienia straciłem owe głębokie tony. A ponieważ mam przyzwyczajenie opiekować się każ-dym dzielnym chłopcem, jak matka lub ciotka, przezwano mnie „Ciotką Droll”.

; - Czy Droll - to prawdziwe wasze nazwisko?

- Tak. Ale jestem także wesoły, a może cokolwiek zabawny i dlatego znakomicie nadaje się do mnie.

„” Droll -ang.- - imMznv. zabawny.

46

- Nazwisko nie wygląda na angielskie, czy jesteście może z pochodzenia Europejczykiem, jak Czarny Tom i ja?

- Tak!

- Urodzonym w Stanach Zjednoczonych?

: Na to Droll zrobił chytrą a figlarną minę i odpowiedział:

- Nie, ani mi na myśl nie wpadło; wyszukałem sobie Austriaków na rodziców.

- Co? Więc rodowity Austriak? - zawołał Old Firehand. - Kto by pomyślał? Toście naszym rodakiem.

Zdawało się, że zawiąże się bardzo ożywiona rozmowa, lecz nie doszło do tego, bo paru znajdujących się w salonie panów, mając dosyć gry, weszło do palami, aby teraz pociągnąć kilka mocnych „smoke”, czyli dymów. Wciągnęli oni westmanów tak do rozmowy, że musieli wyrzec się swego tematu. Kiedy się rozchodzono na spoczynek, Droll rzekł do Old Firehanda:

- Wielka szkoda, że nie mogliśmy rozmawiać, ale i jutro będzie dość na to czasu. Dobrej nocy, rodaku. Śpijcie spokojnie i prędko, bo po północy mamy przecież wstać!

Podróżni zajęli kabiny i w salonie pogaszono światła. Na pokładzie paliły się dwie przepisowe latarnie, jedna na przedzie, druga w tyle okrętu. Pierwsza oświecała rzekę tak jasno i daleko, że ewentualne przeszkody w żegludze mógł dość wcześnie zauważyć marynarz, stojący na mostku, i o nich donieść. Ten marynarz, sternik i oficer, chodzący po pokładzie, byli, jak się zdawało, jedynymi czuwającymi ludźmi oprócz obsługi maszyny.

Także trampowie zachowywali się, jakby spali; przebiegły komel umieścił swych ludzi dookoła otworu prowadzącego pod pokład, tak że nikt nie mógł się tam dostać nie widziany.

- Przekłęta historia! - szepnął do swego sąsiada. - Nic pomyślałem o tym, że w nocy stoi na pokładzie człowiek, uważający na

wodę. Ten drab przeszkadza.

- Niewiele. Nie może dojrzeć otworu. Noc wszak zupełnie ciemna, a na niebie nie ma ani jednej gwiazdy. Ponadto musiałyby patrzeć w obręb światła latarni, które by go oślepią, gdyby się obrócił w naszą stronę. Kiedy zaczynamy?

- Zaraz. Nie ma chwili do stracenia. Musimy być gotowi przed przybyciem do portu Gibson. Świder mam; teraz zejść na dół. Gdybyś mnie musiał ostrzec, to kaszlnij głośno.

, Pod osłoną gęstych ciemności przysunął się ku Otworowi i postawa

47

nogi na wąskich schodach. Dziesięć prowadzących w głąb stopni przebył szybko i zbadał dyle, macając je rękami. Znalazłszy otwór, prowadzący w głąb kadłuba, zszedł po drugich schodach, liczących więcej stopni niż górne. Kiedy dotarł do spodu, potarł zapałkę i poświecił wokoło.

Przestrzeń, w jakiej się znajdował, miała wysokość człowieka i sięgała prawie środka okrętu, a ciągnęła się od jednej do drugiej burty. Dookoła leżało kilka małych pakunków.

Kornel przystąpił ku przedniej stronie i przyłożył świder do ściany okrętu, oczywiście poniżej linii wodnej. Pod silnym naciskiem jego ręki narzędzie szybko dziurawiło drzewo. Nagle natrafiło na silny opór; była to blacha, którą obłożono część kadłuba okrętowego, znajdującą się pod wodą. Należało ją przebić świdrem. Aby jednak woda szybko zalała wnętrze okrętu, potrzeba było dwu otworów. Kornel wywiercił więc drugi, a dotarłszy do blachy podniósł jeden z kamieni służących za balast i uderzał tak długo w rękojeść świdra, aż ten przeszedł przez blachę. Woda wdarła się do wnętrza i zmoczyła mu rękę; kiedy zaś wyciągnął świder, uderzył w niego tak silny strumień, że musiał się szybko cofnąć. Szum maszyny

okrętowej zagłuszył uderzenia. Kornel przebił blachę w drugim otworze i wrócił na górę. Świder odrzucił dopiero wtedy, gdy się znajdował przed górnymi schodami. Po cóż brać go ze sobą?!

Kiedy stanął wśród swoich, a ci zapytali, czy się udało, odpowiedział twierdząco i oświadczył, że teraz wśliźnie się do kabiny nr 1.

Salon i przytykająca do niego palarnia leżały na tylnym pokładzie,

• po obu stronach były kajuty, z których każda miała osobne drzwi, prowadzące do salonu. Ściany zewnętrzne, opatrzone dość dużymi oknami, zasłonięte były gazą. Między obu szeregami kajut a burta ciągnął się wąski korytarz.

Kornel musiał się zwrócić ku chodnikowi po lewej ręce, to jest od strony steru. Kajuta nr 1, jako pierwsza, leżała na rogu. Kornel położył się na ziemi i poczołgał się ostrożnie naprzód, tuż przy burcie, aby go nie spostrzegł dyżurny oficer. Wkrótce dotarł szczęśliwie do celu. Przez gazę pierwszego okna przebijał lekki blask, a w kabine paliło się światło. Czyżby Butler jeszcze czuwał?

Lecz kornel przekonał się, że i w innych kajutach się świeciło; to go uspokoiło. Wyciągnął nóż i przeciął bez szmeru gazę od góry do dołu. Firanka przeszkadzała mu zajrzeć do wnętrza, odsunął ją więc cicho i omal nie krzyknął z radości na widok tego, co ujrzał. -

48

Na lewej ścianie nad łóżkiem paliła się lampka nocna, okryta od dołu, aby nie raziła leżącego.

Inżynier spał odwrócony twarzą ku ścianie. Obok na krześle leżała jego odzież, a pod drugą ścianą na składanym stoliku zegarek, sakiewka i - nóż „bowie”. Z zewnątrz łatwo go było dosięgnąć.

Kornel wsadził rękę i zabrał nóż - pozostawiając jednak zegarek i pugilares - wyciągnął go z pochwy i spróbował odkręcić rękojeść - ruszyła się. To wystarczało.

- Do wszystkich diabłów, ależ łatwo poszło! - szepnął. - Mog-łem wejść do środka i w razie czego nawet go udusić.

Nikt tej kradzieży nie widział, gdyż okno wychodziło na wodę od strony steru. Kornel wsadził nóż za pas i poczołgał się ku swoim ludziom. Szczęśliwie prześliznął się obok porucznika. O kilka łokci dalej, gdy wzrok jego padł na lewo, spostrzegł dwa słabo fosforyzujące punkty, które natychmiast znikły. Były to oczy, był tego pewny.

Rzucił się więc naprzód silnym, ale niedosłyszalnym ruchem, a potem równie szybko potoczył się na stronę.

I słusznie! Z miejsca, gdzie zobaczył oczy, odezwał się szmer.

Usłyszał to oficer i zbliżył się.

- Kto tu? - zapytał.

r - Ja. Nintropan-hauey - odpowiedziano.

: - Ach, Indianin! Idź spać!

- Tu czołgać się człowiek, coś złego uczynić, ja widzieć go, ale on

prędko precz naprzód, gdzie kornel leżeć, może on sam być.

- Pshaw! Po co miały się czołgać on czy kto inny? Śpij i nie

przeszkadzaj drugim!

- Ja spać, ale nie być winny, gdy się co stać.

Oficer nadśluchiwał, lecz że nic go nie doszło, uspokoił się. Był przekonany, że Indianin się pomylił.

Minęło dużo czasu. Wtem zawołano go.

- Sir - rzekł wartownik - nie wiem, co się dzieje, lecz woda

prędko się podnosi; okręt tonie.

- Bzdura! - zaśmiał się oficer. ;

- Spójrzcie jednak!

Porucznik spojrział i, nic nie mówiąc, pośpieszył do kapitana. W dwie minuty byli już na pokładzie, a w rękach trzymali latarnie i świecili poza burzę. Porucznik wszedł do otworu przedniego, a kapitan do tylnego, aby zbadać wnętrze kadłuba. Trampowie usunęli się szybko. Po krótkiej chwili powrócił kapitan i podszedł do sternika.

- Nie chce robić alarmu - szepnął kornel do swych ludzi.
- Zobaczycie, że steamer popłynie ku brzegowi.

4-Skarb..

49

Nie mylił się. Obudzono majtków i służbę i okręt zmienił kierunek. Nie obeszło się jednak bez pewnego hałasu; pasażerowie przebudzili się i kilku weszło na pokład.

- Nic się nie stało, messurs! - zawołał kapitan. - Mamy trochę

wody w pudle i musimy ją wypompować. Rzucimy kotwicę, a kto się boi, może wyjść na brzeg.

Chciał ich uspokoić, lecz wywołał wręcz przeciwny skutek. Zaczęto krzyżeć i wołać o pasy ratunkowe: kabiny się opróżniły - zapanało straszne zamieszanie. Wtem światło latarni padło na wysoki brzeg; okręt zawrócił ku niemu i stanął. Spuszczono kotwicę, zrzucano pomosty i bojaźliwsi poczęli się cisnąć ku lądowi, a przede wszystkim

naturalnie trampowie, którzy szybko zniknęli w ciemnościach nocy.

Na pokładzie oprócz załogi pozostali tylko Old Firehand, Tom, Droll i stary Niedźwiedź. Old Firehand zszedł w głąb kadłuba, aby przyjrzeć się wodzie. Po chwili powrócił ze świdrem w ręce i zapytał kapitana, nadzorującego ustawianie pomp:

- Sir, gdzie jest miejsce na ten świder?
- W skrzyni - odpowiedział jeden z majtków.
- Tak? A ja go znalazłem na środkowym pokładzie. Koniec

zagiął się o płyty okrywające okręt. Założę się, że przedziurawiono ścianę. Wrażenie tych słów powiększyło się jeszcze przez dodatkowe odkrycie. Inżynier, który, wyprawivszy żonę i córkę na brzeg po-wrócił, aby dokończyć ubrania, wybiegł teraz z kajuty, krzyżąc głośno:

- Okradli mnie! Dziewięć tysięcy dolarów! Przerżnęli gazę w oknie i wzięli je ze stołu!

Wtedy zawołał stary Niedźwiedź jeszcze głośniej:

- Ja widzieć! Kornel ukraść i przedziurawić okręt. Ja go widzieć
- oficer nie wierzyć. Spytać czarny palacz! On pić z kornelem, on

pójść do salonu i myć okna; on przyjść i pić znowu, on musieć wszystko powiedzieć!

Obecni okrzykli Indianina i inżyniera, aby ich dokładniej wybadać.

Nagle od strony lądu poniżej miejsca, do którego przybił okręt, zabrzmiał okrzyk.

- To być młody Niedźwiedź! - zawołał Indianin. - Ja posłać za kornel, który prędko na ląd; on powiedzieć, gdzie być kornel.

Wkrótce nadbiegł młody Niedźwiedź i wskazując na rzekę, jasno oświetloną lampami okrętowymi, zawołał:

- Tam być! Kornel odciąć łódź i płynąć.

Rzeczywiście spostrzeżono uciekających. Trampowie zakrzyżczeli

50

szyderczo; załoga i pasażerowie odpowiedzieli z wściekłością. Wśród ogólnego podniecenia nikt nie zwracał uwagi na Indian, którzy nagle zniknęli. W końcu

udało się Old Firehandowi przywrócić spokój i wtedy usłyszano od strony wody jeszcze inny głos:

- Stary Niedźwiedź pożyczył mała łódka. On ścigać kornel, aby się zemścić. Łódkę na brzeg przywiązać; kapitan ją znaleźć. Wódz Tonkawa nie pozwolić kornelowi uciec Wielki Niedźwiedź i Mały Niedźwiedź mieć jego krew. Howgh!

Kapitan kłął i wymyślał straszliwie. Podczas gdy załoga zajęta była pompowaniem wody, przesłuchano czarnego palacza. Old Firehand tak go przycisnął pytaniami, że powtórzył każde słowo swej rozmowy z kornelem. Wszystko się wyjaśniło; Brinkley był złodziejem i prze-wiercił ścianę okrętu, aby jeszcze przed wykryciem kradzieży zbiec ze swoimi ludźmi. Murzynowi nie uszła zdrada na sucho: został związa-ny, a rano miał otrzymać kije; sądownie jednak ścigać go nie było można.

Wkrótce okazało się, że popmy prędko opanują napór wody i okręt będzie mógł w niedługim czasie podjąć dalszą drogę. Podróżni uspokojeni powrócili na statek i udali się na dalszy odpoczynek.

Najmniej przyjemności przyniosła ta przerwa okradzionemu in-żynierowi. Old Firehand starał się go pocieszyć mówiąc:

- Jeszcze jest nadzieja, że otrzymacie te pieniądze. Jedźcie W unię Boże dalej z żoną i córką. Spotkamy się u waszego brata Jak to? Chcecie mnie opuścić?

Tak. Udam się za kornelem, aby mu łup odebrać Ależ to niebezpieczne!

Pshaw! Old Firehand nie obawia się takich drabów.

- Proszę was, porzućcie ten zamiar! Wolę już stracić pieniądze

Sir, tu idzie nie tylko o wasze dolary! Trampowie dowiedzieli się od Murzyna, że i Tom ma ze sobą pieniądze i że oczekują go towarzysze nad Black-bear. Nie myślę się zapewne, że i tam się zwrócą, aby popełnić nowe przestępstwo. Obaj Tonkawa idą za nimi jak psy gończe, a o wschodzie słońca i my pójdziemy ich śladami: ja, Tom, Droll i jego Fred. Czy tak, panowie-

Tak odpowiedział po prostu, a poważnie Tom.

Tak jest przytaknął Droll - Kornela musimy dostać, choćby ze względu na innych. A jak go schwyjemy - no, to możemy mu okazać łaskę, jeśli to potrzebne'

51

N.

-Ł - a wysokim brzegu rzeki Black-bear

płonęło wielkie ognisko. Wprawdzie księżyc świecił na niebie ale światło jego nie przebijało przez gęste gałęzie drzew i gdyby nie ognisko, panowałaby głęboka ciemność Płomień oświecał pewnego rodzaju barak, zbudowany w niezwykły sposób, u czterech drzew, stojących na rogach regularnego czworoboku, ścięto korony, a na pnie nałożono poprzeczne kłocę, na których wspierał się dach, zrobiony z „ciap-boards”, to jest desek, ociosanych grubo z cyprysów i czerwonych dębów. W przedniej ścianie umieszczono trzy otwory, większy jako drzwi, a mniejszy jako okna. Przed tym właśnie domem płonęło ognisko, a wokoło siedziało ze dwadzieścia dzikich postaci, po których widać było, że od dłuższego czasu nie stykały się z tak zwaną cywilizacją. Odzież mieli obdartą, a twarze, spalone od słońca, wiatru i niepogody, wyglądały jak garbowane; prócz noży nie nosili żadnej broni - znajdowała się zapewne w baraku.

Nad ogniskiem wisiał na mocnym konarze kocioł żelazny, w któ-rym gotowały się potężne kawały mięsa. Obok ogniska leżały dwa olbrzymie wydrażone arbuzy z fermentującym miodem. Kto miał ochotę, czerpał z arbuza lub brał z kotła polewkę kubkiem.

Prowadzono ożywioną rozmowę. Towarzystwo czuło się widocznie zupełnie bezpieczne, bo nikt nie zniżył głosu. Gdyby się spodziewali nieprzyjaciela, to i ogień podsycaliby sposobem Indian, aby dawał mało światła. Tego zaś nie robili.

O ścianę domu oparte siekiery, topory, piły i inne narzędzia pozwalały się domyślać, że jest to towarzystwo rafterów - drwali i flisaków.

Rafterzy są szczególnego rodzaju mieszkańcami lasów, stoją bo-wiem pośrodku między farmerami a zastawiaczami sideł. Nie przywią-zani do żadnego miejsca, prowadzą życie wolne, prawie niezależne.

Wędrują z jednego stanu do drugiego, lecz ludzkie siedziby odwiedzają

5.2 --,,-

bardzo niechętnie, bo ich rzemiosło jest właściwie przeciwne prawu. Rafter bowiem, jeśli znajdzie odpowiedni las, a w pobliżu wodę nadająca się do spławu drzewa, rozpoczyna pracę i nie troszcząc się o to, czy miejsce, które wybrał, jest własnością prywatną czy rządową, ścina, rżnie i obrabia pnie, wyszukując jak najlepsze drzewa, wiąże je w tratwy i spławia w dół rzeki, aby tak zdobyty materiał sprzedać gdziekolwiek.

Rafter nie należy do mile widzianych gości. Wprawdzie niejedyn świeży osadnik ma dużo roboty z lasem, jaki na swoim gruncie zastaje, i cieszyłby się, gdyby go znalazł wykarczowanym, jednak rafter nie karczuje bynajmniej lasu. Wybiera najlepsze pnie, lecz odpiłowuje korony, pozostawiając je na miejscu, a pod nimi i wśród nich wyras-tają potem nowe odrośla, które łączą się z dziką winoroślą i innymi roślinami, pnącymi się tak wysoko, że nie tylko siekiera, ale i nawet ogień nie da im już rady.

Mimo to nikt mu nie przeszkadza, bo jest silny i odważny. W dzikiej okolicy, z dala od wszelkiej pomocy, nieprędko odważa się z nim zadzierać, tym bardziej że nie pracuje samotnie, lecz łączy się w związki, czterech do ośmiu najczęściej, a zdarza się czasem, że towarzystwo liczy i więcej osób; wówczas rafter czuje się podwójnie bezpiecznym, bo z taką ilością ludzi żaden farmer nie rozpocznie zwady, obawiając się narazić na szwank swe życie. Rafterzy wiedzą być twardy i pełen niedostatku, lecz ich zysk jest niemały. Wszyscy pracują, a jeden lub kilku stara się o żywność. Są to myśliwi, którzy po całych dniach włóczą się wokół, aby przygotować mięso.

Towarzystwo koczujące nad Rzeką Czarnego Niedźwiedzia zda-wało się nie cierpieć biedy, jak wskazywał pełny kocioł. Toteż wszyscy byli w dobrych humorach i po całodziennej pracy sypały się gęsto żarty. Opowiadano wesołe i ciekawe przygody.

- Żebyście znali owego westmana, którego spotkałem w porcie Niobrara - mówił stary, siwobrody rafter. - Ten człowiek był mężczyzną, lecz nazywano go Ciotką.

- Masz chyba na myśli „Ciotkę Droll”? - zapytał drugi.

- Tak, nikogo innego. Czy znasz go?

- Widziałem Ciotkę raz jeden. Było to w Des Moines, w oberży, gdzie zjawienie się jego wywołało żywe poruszenie i śmiech ogólny. Zwłaszcza jeden człowiek nie dawał mu spokoju; Droll wziął go za kołnierz i wyrzucił przez okno. Człowiek ten więcej się nie pokazał.

; - Tego można się po Ciotce spodziewać. Droll lubi żarty i nie ma nic przeciw temu, jeśli się z niego śmieją, ale w miarę. Jeśli zaś

53

przekroczą dozwoloną granicę, pokazuje zęby. Zresztą, ja sam zabił-bym każdego, kto by go chciał obrazić.

- Ty, Blenter? Z jakiego powodu?

- Bo mu zawdzięczam życie. Byliśmy razem w niewoli u Sjuksów.

Mówię wam, że bez jego pomocy czerwonoskórzy z wszelką pewnością posłaliby mnie do wiecznych ostępów. Nie należę do tych, co boją się paru Indian, i nie mam zwyczaju skamleć, gdy mi się noga powinie, ale wtedy rzeczywiście nie było już żadnej nadziei. Ten Droll jednak jest nieporównanym spryciarzem; tak zamydlił oczy czerwonoskóрым, że nie mogli przejrzeć, no i uciekliśmy.

- Jak to było? Jak to się stało? Opowiedz!

- Jeżeli nie masz nic przeciw temu, będę raczej milczał. Nie należy do przyjemności opowiadać o przygodzie, w której odegrało się mamą rolę. Dość gdy powiem, że jeżeli jeszcze z wami siedzę i oblizuję palce po tej pieczeni, zawdzięczam to jedynie Ciotce Droll.

- No, chyba błoto, w którym siedziałeś, było bardzo głębokie i lepkie. Starego Missouri-Blentera znają jako westmana, który zawsze znajdzie wyjście, jeśli jakieś istnieje.

- Wtedy jednak nie znalazłem i prawie stałem pod słupem męczeńskim.

- Naprawdę? To rzeczywiście kiepska sprawa. Diabelski wynalazek ten pal męczeński. Nienawidzę czerwonych drabów sto razy więcej, skoro tylko wspomnę o nim.

- To nie wiesz, co robisz. Kto nienawidzi Indian, ten sądzi o nich fałszywie i nie myśli o tym, co przecierpeli. Gdyby teraz ktoś przyszedł, aby nas stąd wypędzić, co powiedziałabyś na to?

- Broniłbym się.

- A czy miejsce to jest twoją własnością?

- Nie wiem, do kogo należy, ale ja na pewno go nie kupiłem.

,- Widzisz? Do czerwonoskórych należy cały ten kraj, a myśmy go zagarnęli!. A kiedy się bronią, potępiasz ich za to!

- Hm! Słusznie mówisz, ale czerwonoskóry musi ustąpić, musi umrzeć, takie już jego przeznaczenie.

- Tak, Indianie wymierają, bo ich mordujemy. A mówi się; że nie są zdolni do przyjęcia kultury, więc muszą zniknąć. Ale kultury nie wypalisz jak kuli z lufy; na to trzeba czasu, dużo czasu. A czy daje się im czas na to? Czy gdy pošlesz do szkoły sześciolatniego chłopca, palniesz mu w łeb, jeśli po kwadransie nie został jeszcze profesorem? Nie zamierzam bronić Indian, ale znalazłem wśród nich tylu dobrych ludzi, co wśród białych, a może jeszcze więcej. Komuż zawdzięczam, że nie mam ani domu, ani rodziny i choć stary, wałęsam się jeszcze po Dzikim Zachodzie? Białym czy czerwonym?

54

- Tego nie wiem, nie mówiłeś nigdy.

- Bo mężczyzna raczej stłumi w sobie takie rzeczy, niż powie o nich. Szukam jeszcze jednego, który mi umknął. Przywódca - naj-gorszy!

Wymówił te słowa powoli, jakby kładąc na nie nacisk. To zwróciło uwagę reszty towarzyszy, którzy przysunęli się bliżej i spoglądali, nie mówiąc jednak ani słowa. On patrzył przez chwilę w ognisko, kopnął nogą palące się polano i ciągnął dalej, jakby sarn do siebie:

- Nie zastrzeliłem ich, lecz zaćwiczyłem na śmierć, jednego po drugim. Żywcem musiałem ich dostać, aby umierali tak, jak zmarła moja rodzina, żona i obaj synowie. Sześciu ich było, a pięciu zdmuchnąłem w krótkim czasie; szósty uszedł. Ścigałem go po całych Stanach, aż udało mu się zatrzeć ślady za sobą. Ale on żyje, bo był znacznie młodszy ode mnie, i myślę, że zobaczę go jeszcze, zanim zamknę

powieki...

Nastąpiło głębokie milczenie: wszyscy czuli, że idzie o rzecz niezwykłą. Dopiero po dłuższej chwili odważył się jeden zapytać:

- Blenter, kim był ten człowiek?

Stary ocknął się z zadumy.

- Kim był? Na pewno nie Indianinem! Biały potwór, jakiego wśród czerwonoskórych nie znajdziesz. Tak, ludzie, powiem wam nawet, że był tym, czym my wszyscy jesteśmy - był... rafterem!

- Jak to? Rafterzy wymordowali twoją rodzinę?

- Tak, rafterzy! O, nie mamy bynajmniej powodu do dumy z naszego rzemiosła.

Wszyscy przecież jesteśmy prawie złodziejami!

Uwaga spotkała się z żywymi protestami. Blenter jednak ciągnął nie zmieszany:

- Ta rzeka, nad którą jesteśmy, ten las, którego drzewa wyprzedajemy, nie są naszą własnością. Zabieramy cudze, a zastrzelilibyśmy każdego, kto by chciał nas przepędzić. Czy to nie kradzież? Czy to nie rabunek?

Spojrzał wokoło, a że milczeli, mówił dalej:

- Iz takimi mordercami miałem wtedy do czynienia. Przybyłem z Missouri z rzetelnym kontraktem w kieszeni. Żona i synowie byli ze mną; mieliśmy bydło, kilka koni, świnie i wielki wóz pełen sprzętów, gdyż byłem wcale zamożny. W pobliżu nie mieszkał żaden osadnik, ale też nie potrzebowaliśmy nikogo; mieliśmy

wszak osiem rąk silnych i dostatecznie pracowitych. Wkrótce stanął barak. Wykarczowaliśmy las pod uprawę i zaczęliśmy obsiewać rolę. Pewnego dnia zginęła mi krowa; udałem się do lasu, aby jej poszukać. Wtem usłyszałem uderzenia siekier; poszedłem za ich głosem i zobaczyłem sześciu

55

rafterów, którzy ścinali moje drzewa. Przy nich leżała krowa; za-strzelili ją, aby mieć żarcie. No, messurs, co byście uczynili na moim miejscu?
- Ubiłbym tych drabów - odpowiedział jeden - i miałbym do tego prawo. Według praw Zachodu kradzież konia lub krowy pod-pada karze śmierci.
- Słusznie, ale ja tak nie postąpiłem. Mówiłem uprzejmie do tych ludzi i żądałem tylko, aby moją ziemię opuścili i zapłacili za krowę. Wyśmiali mnie. A następnego dnia brakło drugiej krowy. Rafterzy ją ukradli. Kiedy znowu zaszedłem, była poćwiartowana, a pasy jej suszyły się na pemikan -mięso suszone na słońcu-. Groziłem, że zrobię użytek z przysługującego mi prawa, i zażądałem odszkodowania. Wtedy jeden, który uchodził za ich dowódcę, podniósł broń do mnie. Roztrzaskałem mu ją kulą. Nie chciałem go ranić i celowałem w ka-rabin. Potem pośpieszyłem, aby przyprowadzić synów. We trzech nie obawialiśmy się wcale owych sześciu; kiedy jednak przyszliśmy, już ich nie było. Teraz naturalnie wskazana była ostrożność; przez parę dni nie oddaliliśmy się poza najbliższy obręb baraku. Czwartego dnia skończyła się nam żywność; udałem się więc ze starszym synem, aby zdobyć mięso. Mieliśmy się na baczności, ale nie było ani śladu rafterów. Kiedyśmy powoli i cicho przedzierali się przez las, ujrzałem nagle, może o dwadzieścia kroków, owego dowódcę za drzewem. Lecz i on spostrzegł mego syna i wymierzył do niego z karabinu. Nie było nigdy moją pasją zabijać bez potrzeby człowieka, toteż przyskoczyłem tylko szybko, wyrwałem mu strzelbę z ręki, a nóż i pistolet zza pasa i wymierzyłem taki policzek, że upadł na ziemię. Nie stracił jednak przytomności, a nawet był zwaśny ode mnie; w jednej chwili zerwał się i znikł, zanim mogłem wyciągnąć ku niemu rękę.
- Do wszystkich diabłów! Za tę głupotę musiałeś potem od-pokutować! - zawołał jeden z towarzyszy. - Założę się, że ten człowiek zemścił się za to uderzenie!
- Tak, zemścił się - potwierdził stary zerwawszy się; przeszedł-szy kilka razy tam i z powrotem, usiadł i ciągnął dalej: - Szczyście sprzyjało nam na polowaniu. Kiedy wróciliśmy, poszedłem poza dom złożyć zdobycz. Zdawało mi się, że słyszę okrzyk przerażenia, ale, niestety, nie zwróciłem na to uwagi. Wchodząc do izby, ujrzałem przy ognisku moich bliskich powiązanych i zakneblowanych; równocześnie i mnie pochwycono i rzucono na ziemię. Rafterzy przyszli w czasie naszej nieobecności do farmy i pokonawszy żonę i młodszego syna, czekali potem także na nas. Kiedy starszy syn nadszedł przede mną, rzucili się tak szybko na niego, że zaledwie miał czas wydać okrzyk

56

ostrzegawczy. Mnie poszło ni gorzej, ni lepiej. Stało się to wszystko tak niespodziewanie i tak prędko, że leżałem związany, zanim mogłem pomyśleć o oporze. Nadto wsadzili mi jakąś szmatę w usta, abym nie mógł krzyczeć... Tego, co teraz nastąpiło, nie da się opowiedzieć. Urządzono sąd, a 10, że strzeliłem, poczytano mi za zbrodnię, za-sługującą na karę śmierci. Te opryszki dobrały się zresztą do brandy i tak popili, że nie mieli w sobie nic ludzkiego. Postanowili nas zabić. Dowódca -jako karę za uderzenie, którym go uraczyłem - zażądał, abyśmy nadto otrzymali plagi, to znaczy, aby nas zatłuczono na śmierć. Dwu głosowało za tym, trzech było przeciwnych; on jednak przeforsował swoje żądanie. Wyprowadzono nas na dwór. Pierwsza była moja żona. Związano ją mocno i zaczęto bić pałkami. Jeden z nich poczuł na szczęście jakiś rodzaj litości i wpakował jej kulę w głowę. Synom poszło gorzej; zostali dosłownie zaćwiczeni. A ja leżałem i musiałem na wszystko patrzeć, bo miałem być ostatni. Ludzie! Mówię wam, teu czas wydał mi się wiecznością. Byłem jak szalony, a nie mogłem ani palcem ruszyć. W końcu przyszła kolej na mnie. Razów, które otrzymałem, nie czułem. Wiem tylko tyle, że nagle od strony pola z kukurydzą zabrzmiał głośny okrzyk i że kiedy rafterzy nie zaraz zwrócili na niego uwagę, padł strzał. Zemdlałem...
- Przyszli ludzie, którzy cię wyratowali?

- Ludzie? Nie, to był tylko jeden! Już z daleka poznał, że życie moje nie będzie warte ani jednego centa, jeśli natychmiast nie wkroczy. Stąd pochodził jego okrzyk i strzał. Był to strzał ostrzegawczy, a więc dany w powietrze, bo nie myślał, żeby to byli mordercy. Kiedy potem szybko się zbliżył, poznał go jeden z drabów i, przerażony, wykrzyknął jego imię. Mordować jak tchórze umieli, ale aby stawić opór w sześciu tej jednej osobie, zabrakło im odwagi; uciekli w las, kryjąc się poza domem.

-To ów przybysz wzbudzający obawę musiał być znakomitym westmanem?

- Westmanem? Pshaw! To był Indianin! Tak, ludzie, mówię wam, uratował mnie czerwonoskóry!

- Czerwonoskóry? I wzbudził taki postrach, że sześciu rafterów uciekło przed nim? Niemożliwe!

- To był Winnetou!

- Winnetou, Apacz? Wielkie nieba! To rzeczywiście możliwe! Czy i wtedy był już tak znany?

- Był wówczas wprawdzie w początkach swej sławy, ale jeden z rafterów, ten, który wykrzyknął jego imię i pierwszy znikł, poznał go już widocznie w sposób taki, że nie życzył sobie powtórnego

57

spotkania. Ponadto, kto widział choć jeden raz Winnetou, ten wie, jakie wrażenie wywiera już samo pojawienie się jego.

- Ale pozwolił tym drabom umknąć?

- Zrazu tak! Czy ty byś inaczej postąpił? Po ich pośpiesznej ucieczce poznał wprawdzie, że nie mają czystego sumienia, ale przecież nie znał rzeczywistego stanu rzeczy. Dopiero podszedłszy zobaczył na ziemi trupy, których przedtem nie mógł dostrzec. Wiedział już wprawdzie, że popełniono zbrodnię, ale nie mógł ścigać zbiegów, bo musiał się mną zająć. Kiedy się obudziłem, klęczał nade mną, zupełnie jak ów Samarytanin z Pisma Świętego. Oswobodził mnie od więzów i knebla. Nie czułem z odrętwienia żadnego bólu, toteż chciałem się podnieść, ale Indianin mi nie pozwolił. Przeniósł trupy i mnie do domu, gdzie mogłem się łatwo obronić przed rafterami, gdyby im przyszło na myśl powrócić; potem udał się do najbliższego sąsiada, aby sprowadzić kogoś, kto by mnie pielęgnował w chorobie. Musicie wiedzieć, że ten sąsiad mieszkał w odległości przeszło trzydziestu mil, a Winnetou nigdy jeszcze nie był w tej okolicy. Nad ranem przybył z nim i jego parobkiem.

Potem opuścił nas, aby pójść śladem morderców. Nie wracał przez tydzień. Ja tymczasem pochowałem zmarłych i poleciłem sąsiadowi, aby sprzedał posiadłość. Moje rozbite członki nie były jeszcze wprawdzie zupełnie zdrowe, ale ze straszliwą męką oczekiwałem powrotu Apacza. Dogonił rafterów, a podsłuchawszy ich, dowiedział się, że mają zamiar udać się do fortu Smoky-hill. Nie pokazał się ani im nic nie zrobił, bo zemsta należała do mnie. Kiedy nas pożegnał, wziąłem strzelbę, siadłem na konia i pojechałem. Resztę wiecie albo możecie się domyślić.

- Nie wiemy nic! Opowiadaj dalej, opowiadaj!

- Bądźcie pewni, że nie jest to dla mnie przyjemnością. Pięciu zostało zdmuchniętych, jeden po drugim; tylko szósty, i to najgorszy, umknął. Był rafterem, a może dotąd trudni się tym rzemiosłem;

dlatego i ja zostałem rafterem, bo myślę, że go w ten sposób najpewniej spotkam. A teraz... Patrzcie tylko! Co to za ludzie?

Skoczył, a inni poszli za jego przykładem, bo w tej chwili z ciemnego lasu weszły w obręb światła, padającego z ogniska, dwie postacie okryte pstrymi kocami. Byli to dwaj Indianie: stary i młody. Pierwszy podniósł uspokajająco rękę do góry i rzekł:

- Nie obawiać się, my przyjaciele! Czy pracować tu rafterzy, którzy znać Czarnego Toma?

- Tak, znamy go - odpowiedział stary Blenter.

- On pójść, ażeby przynieść dla was pieniądze?

- Tak, miał je podjąć, a powróci pewnie w przeciągu tygodnia.
 - On przyjąć jeszcze prędzej. My więc być u właściwych ludzi, u rafterów, których szukać. Ogień mały zrobić, inaczej daleko widać, a także cicho mówić, bo daleko słychać.

Odrzucił koc, przystąpił do ogniska i rozrzuciwszy polana, zagasił je, pozostawiając tylko kilka. Młody Indianin pomagał mu. Kiedy to uczynił, rzucił okiem do kotła i rzekł:

- Dać nam kawał mięsa, bo my daleko jechać i nic nie jeść.
 Jego tak samowolne postępowanie wywołało naturalne zdziwienie u rafterów, toteż stary Missourijczyk zawołał tonem oburzenia:
 - Ależ, człowiecze! Co ci wpadło do głowy? Przychodzisz do nas, jakby to miejsce tobie się tylko należało!
 - My nic nie ośmielać się - brzmiała odpowiedź. - Czerwony mąż nie musieć być zły człowiek. Blade twarze się dowiedzieć.
 - Ale kim ty jesteś właściwie? W każdym razie nie należysz do żadnego szczepu żyjącego nad rzeką czy na prerii. Po twoim wyglądzie muszę przypuszczać, że przychodzisz z Nowego Meksyku. A może jesteś pueblo?
 - Z Nowego Meksyku przychodzić, ale nie być pueblo - osiadły Indianin-. Być wódz Tonkawa, a nazywać się Wielki Niedźwiedź. To być mój syn.
 - Co? Wielki Niedźwiedź! - zawołało kilku rafterów zdziwionych, a Missourijczyk dodał:
 - To ten chłopiec jest zatem Małym Niedźwiedziem?
 - Tak - skinął Indianin.
 - To co innego! Obaj Niedźwiedzie są wszędzie mile widziani.
 Bierzcie mięso i miód, ile tylko chcecie, i pozostańcie z nami, póki wam się podoba. Ale co sprowadza was w te okolice?
 - Przychodzimy ostrzec rafterów.
 - Dlaczego? Czy grozi nam niebezpieczeństwo?
 - Wielkie niebezpieczeństwo.
 - Jakie? Powiedz!
 - Tonkawa najpierw jeść i przyprowadzić konie, a potem mówić.
 Dał znak chłopcu, po czym ten oddalił się, a on wziął z kotła kawał mięsa i zaczął spożywać z takim spokojem, jakby siedział w bezpiecznym wigwamie.
 - Macie konie ze sobą? - zapytał stary. - W czasie nocy, tu w ciemnym lesie? A przy tym szukaliście nas i znaleźliście? To istny cud!
 - Tonkawa mieć oczy i uszy. On wiedzieć, że rafterzy mieszkać zawsze nad wodą, nad rzeką. Wy bardzo głośno mówić i wielki ogień

palić, który my widzieć daleko, a czuć jeszcze dalej. Rafterzy bardzo nieostrożni, bo nieprzyjacieli łatwo ich znaleźć.
 - Tu nie ma żadnych nieprzyjacieli. Jesteśmy zupełnie sami w tej okolicy, a mamy na wszelki wypadek dosyć siły, aby obronić się przed ewentualnym wrogiem.
 - Missouri-Blenter się mylić.
 - Co? Ty znasz moje nazwisko?
 - Tonkawa stać długi czas za drzewem i słyszeć, co blade twarze mówić; słyszeć także twoje nazwisko. Gdyby nieprzyjaciele tu nie być, to jednak przyjąć. Ale gdy rafterzy nieostrożni, to być pokonam, nawet przez kilku wrogów.

Teraz usłyszano uderzenia kopyt po miękkim gruncie. To Mały Niedźwiedź przyprowadził dwa konie. Przywiązawszy je do drzewa, wziął kawałek mięsa z kotła, usiadł obok ojca i zabrał się do jedzenia. Stary Niedźwiedź zjadł tymczasem swoją porcję, zasadził nóż za pas i rzekł:

- Teraz Tonkawa mówić, a potem rafterzy wypalić z nim fajkę pokoju. Czarny Tom mieć dużo pieniędzy, trampowie przyjąć, aby na niego czatować i zabrać mu je.
 - Trampowie? Tu nad Black-bear-mer? Chyba się mylisz?
 - Tonkawa się nie mylić, lecz na pewno wiedzieć i wam opowie-dzieć wszystko.

Swą łamaną angielszczyzną opowiedział im o przygodzie na stea-merze; za dumny był jednak na to, aby choć jednym słowem wspomnieć o bohaterskim czynie swego syna. Opowiadania jego słuchano naturalnie z wielkim napięciem. Stary i młody Niedźwiedź łódką, jaką zabrali ze steamera, goniąc uciekających trampów, dostali się wkrótce na brzeg Arkansasu, gdzie przeleżeli do świtu, bo w nocy nie mogli iść dalej ich śladami. Te były bardzo wyraźne, a prowadziły, omijając port Gibson, między Cana-dianem a Red-fork na zachód, a potem zwróciły się ku pomocy. W czasie jednej z następnych nocy napadli trampowie na wieś Indian szczepu Creek, aby zrabować konie. W południe następnego dnia napotkali obaj Tonkawa wojowników szczepu Szoktów, u których mogli kupić dla siebie konie. Jednakże na ceremoniach, zwyczajowych przy kupnie koni, zeszło im tyle czasu, że trampowie wyprzedzili ich o cały dzień drogi. Przeszli następnie przez Red-fork i otwartą prerię, udając się ku Black-bear-river; tutaj trampowie rozłożyli się obozem na brzegu rzeki, na małej polanie, a Tonkawa wyszukali przede wszystkim rafterów, aby ich powiadomić o grożącym niebezpieczeństwie.

60

Skutek tego opowiadania dał się zaraz widzieć; mówiono teraz tylko po cichu, a ogień zgaszono zupełnie.

- Jak daleko stąd do obozowiska trampów? - zapytał Mis-souryjczyk.

- Taki czas drogi, jaki blade twarze nazywać połową godziny.

- Do pioruna! Wprawdzie naszego ogniska widzieć nie mogą, lecz dym z niego zapewne poczuli. Rzeczywiście, byliśmy zanadto pewni siebie! A odkąd tam obozują?

- Na godzinę przed wieczorem przybyć, i

- To z pewnością nas szukali. Czy wiesz co o tym?

- Tonkawa nie może śledzić trampów, bo jeszcze być jasny dzień, i zaraz pójść dalej, aby ostrzec rafterów, bo...

Zatrzymał się nagle i począł nasłuchiwać, a potem rzekł pełnym szeptem:

- Wielki Niedźwiedź coś zobaczył, jakiś ruch na rogu domu.

Cicho siedzieć i nic nie mówić! Tonkawa podpełzać i popatrzeć.

Położył się na ziemi i pozostawiwszy strzelbę, poczołgał się ku domowi.

Rafterzy nadstawili uszu. Przeszło może dziesięć minut, gdy wtem rozległ się ostry, krótki okrzyk, jaki zna dobrze każdy westman - śmiertelny krzyk człowieka. Po krótkiej chwili powrócił Nint-ropan-hauey.

- Szpieg trampów - odezwał się. - Tonkawa pchnąć go nożem, ale móc tu być jeszcze jeden. On pewnie powrócić do swoich i zawia-domić. Dlatego biali mężowie prędko iść, jeśli chcecie podsłuchać trampów.

- Prawda - przyznał Missourijczyk szeptem. - Ja pójdę, a ty mnie poprowadzisz, bo znasz miejsce, na którym obozują. Teraz jeszcze nie spodziewają się wcale, że wiemy o ich obecności, a więc czują się bezpieczni i będą rozmawiać o swoich zamiarach. Jeśli zaraz udamy się w drogę, to może dowiemy się, jakie mają plany.

- Tak, ale zupełnie cicho i po kryjomu, aby drugi szpieg, gdyby jeszcze tu był, nie zobaczył, że my pójdę. I flint nie brać, tylko noże. Strzelby nam przeszkadzać.

Rady tej posłuchano. Rafterzy udali się do chaty, gdzie ich nic można było śledzić, a Missourijczyk poczołgał się wraz z wodzem.

Tam gdzie znajdował się teren pracy rafterów, opadał wysoki brzeg stromo ku wodzie, co było dla nich bardzo korzystne, bo

61

umożliwiło założenie tak zwanych stoczni - są to tory, po których rafterzy mogą bez wielkiego wysiłku spuszczać na wodę pnie i kłocę. Chociaż brzeg wolny był od zarośli, niełatwo było jednak iść tamtędy w ciemności. Missourijczyk był starym, obrotnym i bardzo doświadczonego westmanem, a mimo to podziwiał, jak wódz, wzięwszy go za rękę, posuwał się bez szelestu i omijał pnie tak pewnie, jakby to był biały dzień. W dole słychać było szum rzeki; głośny był szmer, wywołany stąpieniem.

Minęło więcej nieco niż kwadrans, zanim zeszli w dolinę, która krzyżowała się z brzegiem rzeki. Tę również porastały gęsto drzewa, a skraplał cicho szemrzacy

strumyk. W pobliżu miejsca, gdzie wpadał do rzeki, znajdował się plac wolny od drzew, na którym rosło kilka tylko krzaków. Tam rozłożyli się trampowie dookoła roznieconego ogniska, którego blask uderzył obu podchodzących, kiedy znajdowali się jeszcze pod sklepieniem drzew lasu.

- Trampowie tak samo nieostrożni, jak rafterzy - szepnął wódz Tonkawa do towarzysza. - Palić wielki ogień, jakby chciałeś upiec całego wielkiego bizona. Czerwoni wojownicy zawsze robić tylko mały ogień; tak płomieni nie widać, a dymu bardzo mało. My do nich dostać się łatwo i tak zrobić, że nas nie zobaczą.

- Tak, podkraść się możemy - rzekł stary - ale wielkie pytanie, czy tak blisko, abyśmy mogli usłyszeć, co mówią.

- My dojszć całkiem blisko i słyszeć; ale sobie pomagać, gdy nas trampowie odkryć. Napastników zakłuć i pędzić w las.

Doszedłszy do ostatnich drzew, ujrzeli ognisko i ludzi siedzących wokoło. Tu, w dole, moskitów, zwykłej plagi tej nadbrzeżnej okolicy, było więcej niż w górze w obozie rafterów. Zapewne dlatego trampowie rozpalili tu wielkie ognisko. Z boku stały konie; widać ich nie było, lecz dawały się słyszeć. Moskity je tak cięły, że dla obrony przed ukąszeniem ustawicznie się ruszały; toteż wyraźnie słyszało się uderzenia ich kopyt.

Położyli się teraz obaj na ziemię i poczołgali w stronę ogniska, używając jako osłony krzaków rosnących na brzegu polany. Trampowie siedzieli blisko potoku, którego brzeg porośnięty był gęstym sitowiem, sięgającym aż do obozowiska i mogącym dać bardzo dobrą sposobność ukrycia się.

Indianin, pełznący na przedzie, okazał się prawdziwym mistrzem. Należało przedrzeć się przez wysokie a cienkie łądygi tak, aby nie wywołać najmniejszego szmeru, niemożliwego prawie do uniknięcia wśród sitowia; również wierzchołki sitowia nie powinny były się poruszać, gdyż mogłoby to łatwo spowodować odkrycie. Stary Nie-dźwiedź starał się zaradzić temu niebezpieczeństwu w ten sposób, że po prostu wycinał drogę ostrym nożem, a sitowie kładł przed siebie. Uważał jednocześnie na Missouryjczyka, pomagając mu w posuwaniu się za sobą;. Ścinanie twardego sitowia odbywało się tak cicho, że starzec nawet nie mógł pochwycić uchem szmeru padających łądyg.

Wreszcie zbliżyli się ku ognisku; zatrzymali się dopiero wtedy, gdy znaleźli się tak blisko trampów, że mogli usłyszeć ich rozmowę, prowadzoną co prawda wcale nie cicho. Blenter spojrział na siedzących przed nimi i zapytał szeptem wodza:

- Który jest owym kornelkiem, o którym nam opowiadałeś?

- Kornela tu nie być, on pójsz precz - odpowiedział Indianin również szeptem.

- Zapewne, aby nas poszukać?

- Ja tak myśleć.

- To jest w takim razie tym, którego zakłueś?

/ - Nie. On nim nie być.

-- Tego przecieź nie mogłeś widzieć?

- Blade twarze widzieć tylko oczami, a Indianin widzieć także rękami. Moje palce z pewnością poznać kornela.

- A więc nie był sam, lecz w towarzystwie innego i tego ty zakłueś.

- Tak być! Teraz my tu czekać, aż kornel powróci.

Trampowie prowadzili bardzo ożywioną rozmowę, a gadali o wszystkim możliwym, tylko nie o tym, co dla obu podsłuchujących mogło mieć wartość. Wreszcie jeden odezwał się:

- Ciekawym bardzo, czy aby kornel się nie pomylił. Byłoby to nieprzyjemne, gdyby rafterzy nie znajdowali się tutaj.

- Są jeszcze, i to bardzo blisko - odpowiedział drugi. - Wióry, które woda niosła, są zupełnie świeże; pochodzą z wczoraj lub co najwyżej z przedwczoraj.

- Jeśli to prawda, to musimy się cofnąć, bo jesteśmy zbyt blisko tych drabów i mogą nas zauważyć, a przecieź nie powinni nas widzieć. Z nimi nie mamy właściwie żadnej sprawy, a chcemy dostać tylko Czarnego Toma i jego pieniądze.

- I nie dostaniemy ich - przerwał trzeci. - Czy sądzicie, że rafterzy nas nie spostrzegą, gdy zawrócimy nawet kawałek drogi? Pozostawimy ślady, które się zatrzeć nie dadzą. A jeśli dowiedzą się o naszym pobycie tutaj, piękny plan diabli wzięli!

- Wcale nie. Wystrzelamy drabów!

- Pytanie tylko, czy się ustawią i pozwolą spokojnie wystrzelać?

63

Dałem komelowi bardzo dobrą radę, ale, niestety, odtrącił ją. Na Wschodzie, w wielkich miastach, okradziony idzie na policję i jej pozostawia odszukanie złodzieja; ale tu, na Zachodzie, każdy do-chodzi swych praw sam. Jestem przekonany, że będą nas ścigać przynajmniej przez pewien czas. A cóż to są za jedni, którzy ruszyli naszym śladem? W każdym razie tylko ci spośród pasażerów, którzy się na tym rozumieją, a więc Old Firehand, Czarny Tom i co najwyżej owa zabawna Ciotka Droll. Powinniśmy byli na nich poczekać, a bardzo łatwo dałoby się zabrać Tomowi pieniądze. Zamiast tego jednak odbyliśmy tę daleką drogę i siedzimy teraz nad Rzeką Nie-dźwiedzią, nie wiedząc, czy co zdobędziemy. A to, że Kornel teraz po nocy włóczy się po lesie, aby szukać rafterów, jest również głupotą. Mógł poczekać do rana i...

Wywody jego przerwało ukazanie się komela, który wyszedł w tej chwili spoza drzew i przystąpił do ogniska. Widział spojrzenia towa-rzyszy. skierowane z zaciekawieniem na niego; zdjął kapelusz z głowy, rzucił go na ziemię i rzekł:

- Nie przynoszę wam, ludzie, żadnej dobrej wieści; miałem pecha!
- Jakiego? Co się stało? Pecha? - pytano dokoła. - Gdzie jest Bruns?
- Bruns? - odrzekł komel siadając. - Ten w ogóle nic wróci;

zabity!

- Zabity? Co ty pleciesz, u diabła? Kto go zabił? ;
- Biedak zginął od noża, który wpakowano mu w serce.

Ta wiadomość wywołała wielkie poruszenie. Kornel nakazał spo-
•kój i gdy ochłonęli, odezwał się:

- Bruns i ja przypuszczaliśmy, że rafterzy znajdują się w dole rzeki; udaliśmy się więc w tym kierunku. Musieliśmy posuwać się bardzo ostrożnie i powoli, gdyż inaczej spostrzeżono by nas. Tym-czasem zrobiło się ciemno. Ja chciałem zawrócić, ale Bruns na to się nie zgodził, bo widzieliśmy liczne ślady, które pozwalały się domyślać, że niedaleko już do miejsca spławu. Bruns był zdania, że poczujemy woń ogniska, jakie rafterzy muszą rozpalić choćby ze względu na moskity. I rzeczywiście. Poczuliśmy dym, a na wysokim brzegu widać było nawet słabą jasność, jakby ogniska, przebijająca się poprzez krzaki i drzewa. Wdrapaliśmy się na brzeg. Przed nami płonął ogień, a wokoło siedziało dwudziestu rafterów. Poczłógaliśmy się bliżej; ja pozostałem pod drzewem, a Bruns ukrył się za domem. Nie zdążyliś-my jeszcze usłyszeć, o czym mówią, kiedy nadeszło dwu drabów. Byli to obaj Indianie z „Dogfisha” - żeby ich diabli wzięli!

64 /

Trampów zaskoczyła ta wiadomość, a wprost jak piorun uderzyła w nich wieść o tym, co wódz Tonkawa powiedział rafterom. Kornel ciągnął dalej:
- Widziałem, jak czerwonoskóry zgasił ogień. Rozmawiano po-tem tak cicho, że nie mogłem niczego zrozumieć. Chciałem się więc oddalić, ale musiałem czekać na Brunsa. Nagle spoza baraku, za którym się ukrył, rozległ się krzyk tak straszny, że mnie ciarki przeszły. Bałem się o Brunsa i poczołgałem się ku chacie. Było tak ciemno, że musiałem rękami macać, aby rozpoznać drogę. Natknąłem się przy tym na ciało ludzkie, leżące w kałuży krwi; zląkłem się straszliwie, poznawszy po ubraniu, że to Bruns. Otrzymał pchnięcie w plecy - przeszło przez serce. Cóż miałem robić? Wypróżniłem jego kieszenie, wziąłem nóż i rewolwer i zawróciłem ku domowi! Dopiero wtedy zauważyłem, że rafterzy schronili się do baraku. Wycofałem się więc szybko i jestem. A teraz nie traćmy czasu, lecz szybko uchodźmy!

- Dlaczego? - zapytali trampowie.

- Dlaczego? Czyż nie słyszeliście, że czerwonoskórzy znają nasz obóz? Naturalnie zechcą nas napaść; a ponieważ mogą przewidzieć, że znaleźliśmy trupa i przez to nabierzemy podejrzania, więc praw-dopodobnie wkrótce tu nadejdą. Jeżeli zaskoczą nas - będziemy

zgubieni. Musimy więc natychmiast wiać i wyrzec się pieniędzy raf-terów. To będzie najmądrzejsze i...

Nagle przerwał i wykonał ręką gest zdziwienia.

- Co się stało? - zapytał jeden z trampów. - No, gadaj dalej!

Lecz komel powstał. Blisko tego miejsca, gdzie siedział, leżeli obaj zwiadowcy; nie znajdowali się jednak obok siebie jak poprzednio. Kiedy bowiem Missouryjczyk spostrzegł kornela i usłyszał jego głos, ogarnęło go niezwykle podniecenie. Stary nie mógł uleżeć spokojnie i posuwał się coraz dalej ku skrajowi sitowia. Oczy jego pałały i zdawało się, że wyjdą z orbit. Podniecony, zapomniał o koniecznej ostrożności i nie zważał na to, że głowa jego wystawała z ukrycia.

- Nie pokazać się? - szepnął wódz i ujawszy go, usiłował odepchnąć do tyłu. Lecz było za późno, komel zobaczył głowę raftera. Dlatego to przerwał opowiadanie i szybko powstał, chcąc unieszkodliwić zwiadowcę. Postąpił przy tym bardzo chytrze, mówiąc:

- Przypomniałem sobie właśnie, że tam, przy komach... lecz wy dwaj chodźcie ze mną!

Skinął na trampów, siedzących po jego prawej i lewej ręce, a kiedy powstali, szepnął:

- Ja udaję tylko, bo tam z tyłu w sitowiu leży jakiś drab, na pewno rafter. Jeśli zauważy, że poluję na niego, ucieknie. Skoro więc

-.Ł3-tl

5 Skarb...

rzucę się, chwycicie go także, w ten sposób dostaniemy go tak mocno, że nie będzie się mógł bronić. A więc - naprzód!

Obrócił się błyskawicznie i skoczył ku miejscu, gdzie ujrzał głowę.

Wódz Tonkawów był nadzwyczaj ostrożnym, doświadczonym i bystrym człowiekiem, widział, że kornel szeptał z owymi ludźmi i że jeden wykonał niechcący nich do tyłu. Choć było to prawie niedostrzegalne, zdradziło jednak Wielkiemu Niedźwiedziowi, o co idzie; dlatego dotknął ręką raftera i szepnął:

- Szybko precz! Kornel cię zobaczyć i schwycić. Prędko, prędko!

- Równocześnie odwrócił się i nie podnosząc z ziemi, rzucił się za najbliższy krzak. Było to dziełem najwyższej paru sekund, ale już zabrzmiał za nim okrzyk kornela „naprzód”, a kiedy się obejrzał, zobaczył, jak ten rzucił się na Missouryjczyka. Za jego przykładem

poszli obaj trampowie.

Stary Blenter mimo swej sławnej przytomności umysłu został zupełnie zaskoczony. Trzej napastnicy trzymali go silnie za ręce i nogi, a i reszta trampów szybko przybiegła ku nim. Indianin wyciągnął nóż, chcąc ratować starego, lecz zrozumiał, że takiej przewadze nie podoła.

Nie pozostało mu nic innego, jak popelznać nieco w bek i ukryć się za krzakiem.

Trampo ;s, zobaczywszy jeńca, chcieli krzyczeć, ale kornel na-kazał milczenie:

- Cicho! Nie wiemy wszak, czy nie ma jeszcze innych. Trzymajcie

go mocno; ja pójdę sprawdzić.

Obszedł ognisko dookoła, lecz uspokoił się, nie zobaczywszy nikogo. Wrócił przeto do jeńca i pochylił się nad nim, aby mu badawczo spojrzeć w twarz. Po czym rzekł:

- Drabie! Muszę cię skądś znać! Gdzie ciebie widziałem?

Bl-nter był na tyle ostrożny, że mu tego nie powiedział. W sercu jego wrzała nienawiść, ale starał się okazać twarz możliwie obojętną.

- Tak, musiałem cię gdzieś widzieć! - powtórzył kornel. - Kim jesteś? Czy należysz do rafterów pracujących w górze Black-bear?

- Tak - odpowiedział zapytany.

- Po coś się zakradł? Dlaczego podsłuchujesz?
- Dziwne pytanie! Czy na Zachodzie zabronione jest przypatrywanie się ludziom? Ja myślę raczej, że jest to koniecznością. Dosyć chyba jest takich, przed którymi należy się mieć na baczności.
- Słyszałeś, co mówiliśmy?
- Nic jeszcze nie słyszałem. Byłem w dole nad rzeką; wracając do obozu, ujrzałem wasze ognisko i naturalnie poczołgałem się, aby zobaczyć, kto tu obozuje. Nie miałem jednak czasu słuchać, co mówiliście; byłem nieostrożny i wpadłem w wasze ręce.

66

Blenter sądził, że kornel nie widział go przy baraku, lecz omylił się.

Rudy odezwał się szyderczo:

- To ci wykręt! Widziałem cię poprzednio z rafterami, a nawet słyszałem, jak mówiłeś; poznaję cię teraz! Przyznajesz się do tego?

- Ani mi w głowie! To, co mówię, jest prawdą.

- Więc byłeś rzeczywiście sam jeden?

- Tak!

- I twierdzisz, że nie słyszałeś naszej rozmowy?

- Ani słowa!

- Jak się nazywasz?

- Adams - kłamał Missourijczyk, sądząc, że ma wszelkie powody do zatajenia prawdziwego nazwiska.

- Adams... - powtórzył kornel z namysłem. - Adams! Nigdy nie znałem żadnego Adamsa, który by miał twoją twarz. A przecież poznaję, żeśmy się już widzieli!

- Nie - zaprzeczył starzec. - Ale teraz puśćcie mnie! Nie uczyniłem wam nic i spodziewam się, że jesteście uczciwymi west-manami, którzy Bogu ducha winnych ludzi pozostawiają w spokoju.

- Tak, jesteśmy niewątpliwie uczciwymi ludźmi, bardzo uczciwymi - śmiał się rudy. - Ale wyście zakłuli jednego z nas, a według praw Zachodu wymaga to zemsty. Możesz być sobie, kim chcesz, lecz z tobą koniec!

- Co? Chcecie mnie zamordować?

- Tak, właśnie to! Idzie teraz tylko o to, czy masz umrzeć tak, jak nasz towarzysz, od pchnięcia nożem, czy też mamy cię utopić w rzece. Wielkich ceregieli w żadnym razie robić z tobą nie będziemy. Nie ma czasu do stracenia. Głosujemy prędko! A zawiązać mu usta, by nie krzyczał! Kto jest za tym, aby go wrzucić do wody, niech podniesie rękę!

Wezwanie zwrócone było do trampów; większość zaraz podniosła rękę.

- A więc utopić! - rzekł kornel. - Zwiążcie mu mocno ręce i nogi, aby nie mógł pływać; potem szybko z nim do wody i dalej w drogę, zanim rafterzy nadejdą!

W czasie przesłuchania trzymało starego Missourijczyka kilku drabów. Teraz miano mu najpierw zawiązać usta. Blenter bronił się, dobywając wszelkich sił, i mimo że wiedział, iż Indianin nie mógł jeszcze dotrzeć do rafterów, a więc na pomoc nie ma co liczyć - wołał o ratunek, a krzyk jego rozchodził się daleko wśród nocy.

- Do wszystkich diabłów! - złościł się rudy. - Nie pozwólcie mu krzyczeć! Jeśli mu nie dacie rady, to go sam uspokoję! Uważajcie!

67

Chwylił za karabin i zamierzył się, aby zadać starcowi cios w głowę. W tej chwili z gęstwiny wysunął się olbrzymi cień, a potężny cios spadł na komela i rozciągnął go na ziemi...

Na krótko przed wieczorem czterech konnych jechało w górę rzeki śladami trampów. Byli to Old Firehand, Czarny Tom i Ciotka Droll ze swoim chłopcem. Ślad prowadził pomiędzy drzewami, a choć był wyraźny, trudno było oznaczyć, kiedy go zrobiono. Dopiero, gdy siad zawrócił ku polanie pokrytej trawą, Old Firehand zsiadł z koma, aby go zbadać, bo żdźbła trawy dawały lepsze wskazówki niż niski mech w lesie. Przypatrzwszy się dobrze, rzekł:

- Te draby są o milę przed nami, bo ślady pochodzą sprzed pół godziny; musimy popędzić konie.
- Dlaczego? - zapytał Tom.
- Musimy jeszcze przed nocą tak się zbliżyć do trampów, ażeby dowiedzieć się, gdzie mają obóz.
- Nie będzie to zbyt ryzykowne? Rozbija obóz w każdym razie, zanim się ściemni, i musimy się przygotować na to, że wpadniemy im

w ręce.

- Tego się nie obawiam. Nawet gdyby wasze przypuszczenia były słuszne, nie dościgniemy ich przed nocą. Jak sędzę, znajdujemy się w pobliżu rafterów, których mamy ostrzec; byłoby więc dobrze poznać miejsce, gdzie trampowie obozują. Dlatego trzeba się po-spieszyć. Jeszcze zaskoczy nas noc, w ciągu której może się zdarzyć wiele rzeczy. Co myślisz o tym, Droll?
- Wypowiedzieliście moje zdanie - odparł zagadnięty. - Im prędzej ruszymy, tym szybciej ich dostaniemy! A więc, panowie, dalej kłusem, tak aby się drzewa chwiały!

Ponieważ drzewa nie rosły gęsto, można było radę wykonać. Jednak trampowie wykorzystali światło dzienne i zatrzymali się dopie-ro wtedy, gdy ich ciemność do tego zmusiła. Gdyby Old Firehand nie trzymał się ich śladów, a jechał bliżej brzegu, natknąłby się na ślad obu Tonkawów, którzy wyprzedzali go niewiele. Zrobiło się ciemno i śladów nie można już było z konia rozpoznać. Toteż Old Firehand zsiadł znowu, przyjrzał się trawie i rzekł:
- Zbliżyliśmy się o pół mili, ale niestety, trampowie jechali także prędzej, mimo to spróbujemy ich doścignąć. Musimy jednak iść pieszo. Konie prowadźcie za uzdę.

Lecz wnet tak się ściemniło, że śladów nie było widać; czwórka zatrzymała się.
68

- Co teraz? - zapytał Tom. - Chyba musimy się zatrzymać.
- Nie - odpowiedział Droll. - Nie zatrzymamy się, lecz pój-dziemy dalej, aż ich znajdziemy.
- Usłysz, że idziemy!
- Chodźmy po cichu! Mnie nie schwytają! Czy jesteście mojego zdania, Mr Firehand?
- Tak - odpowiedział zapytany. - Ostrożność nie pozwala nam jednak trzymać się dalej śladów. Musimy zboczyć więcej na prawo, a wtedy będziemy mieli trampów między sobą a rzeką i zobaczymy ich ogień, sami nie będąc widziani.
- A jeżeli nie palą ogniska? - zauważył Tom.
- To poczujemy konie - odpowiedział Droll. - W lesie czuć je łatwiej niż na otwartym polu. A mój nos dotąd jeszcze mnie nie zawiódł. Więc dalej! Bardziej na prawo!

Przodem szedł Old Firehand, prowadząc konia za uzdę, a za nim gęsiego pozostali. Rzeka tworzyła tu dość duży łuk na lewo, skutkiem czego idący zbyt się od niej oddalili. Zauważył to Old Firehand i zboczył ku rzece. Nagle stanął, poczuwszy woń dymu. Droll wciągnął powietrze i rzekł:
- To dym; idzie z góry. Bądźmy ostrożni! Wydaje mi się, jakby tam było jaśniej. To może być światło ogniska.

Postąpił naprzód, lecz zatrzymał się zaraz, bo ostry słuch jego wyczuł zbliżające się kroki. Usłyszał je także Old Firehand, puścił więc cugle swego konia i posunął się kilka kroków naprzód, aby znaleźć się obok nadchodzącego. Z ciemności panującej w lesie, w której nawet oko sławnego myśliwca zaledwie mogło coś rozróżnić, wynurzyła się postać, chcąca szybko przemknąć się dalej. Old Firehand schwytał ją silnie.
- Stój! - zawołał głosem przyciszonym. - Ktoś ty?
- Szai nek - enokh, szai kopeia. - Nie wiem, nikt - od-powiedział zapytany próbując się wyrwać.

Nawet najodważniejszy człowiek, gdy się przerazi, posługuje się mimo woli językiem ojczystym. Old Firehand, zrozumiałwszy owe słowa, rzekł zaskoczony:
- To Tonkawa! Wielki Niedźwiedź ze swym synem wyprzedzili nas. Czyżbyś ty...
Powiedz, kim jesteś?

Teraz człowiek ów przestał się opierać; poznał bowiem głos słynnego westmana i, zdyszany, odpowiedział swą łamaną angielszczyzną:

- Ja Nintropan-hauey. Ty Old Firehand. To bardzo, bardzo dobrze! Czy więcej ludzi z tobą?
- Wielki Niedźwiedź! Co za szczęśliwy przypadek! Tak, jestem

69

Old Firehand. Ze mną są trzy osoby i mamy konie. Co tu robisz?
Wszak trampowie w pobliżu!

- Ja ich widzieć. Oni schwytać starego Missouryjczyka Blentera. Chcieć go zabić. Ja biec po pomoc do rafterów, wtem mnie Old Firehand schwytać.
- Chcą zabić raftera? Musimy go wydostać! Gdzie obozują?
- Tam między drzewami, gdzie być jaśniej.
- Czy rudy komel jest z nimi?
- Tak, on tam być.
- Gdzie mają konie?
- Jak Old Firehand do nich pójść, to konie stać na prawo, zanim dojsz do ogniska.
- A gdzie znajdują się rafterzy?
- W górze rzeki. Wielki Niedźwiedź już być u nich i z nimi mówić!

Opowiedział pobieżnie, co się stało, po czym odezwał się Old Firehand:

- Jeśli trampa zabito, to zechcą zamordować Missouryjczyka. My przywiążeray nasze konie i udamy się szybko ku ognisku, aby przeszkodzić morderstwu. Ty biegnij do rafterów i sprowadź ich szybko!

Po tych słowach wszyscy czterej położyli się na ziemi i poczołgali się ku ognisku. Old Firehand obrócił się do Freda, chcąc mu powie-daeć, aby udał się do koni i zastrzelił trampów, gdyby chcieli uciekać, nim jednak zdążył coś rzec, rozległ się przed nimi głośny, przejmujący krzyk. Było to wołanie o pomoc starego Blentera.

- Mordują go! - zawołał Old Firehand. - Szybko naprzód i na

nich! Nie oszczędzać nikogo!

Mówiąc to, podniósł się i skoczył ku ognisku, roztrzając trzech czy czterech trampów, aby się dostać do rudego, który właśnie zamierzył się do ciosu. Old Firehand przyszedł w porę i powalił kometa uderzeniem kolby. Również obaj trampowie, zajęci wiązaniem i kneblowaniem Missouryjczyka, padli pod jego ciosami; potem odrzuciwszy strzelbę, wyciągnął rewolwer i wystrzelił do pozostałych wrogów. A przy tym ani jeden okrzyk nie wydarł się spoza warg tego straszego wojownika.

Tym głośniej zachowywali się trzej inni. Czarny Tom wpadł między trasapów jak burza i powalił ich kolbą na ziemię, miotając straszliwe obelgi, przezwiska i groźby. Szesnastoletni Fred, wystrzeliwszy ze strzelby, wyciągnął rewolwer i oddając strzał za strzałem, krzyczał z całych sił, aby powiększyć postrach.

70

Najgłośniej jednak słyhać było skrzeczący, piskliwy głos Drolla. Krzyczał i kłął za dziesięciu, a ruchy jego były tak szybkie, że żaden z nieprzyjaciół nie mógł do niego wystrzelić. Trampowie, zaskoczeni niespodziewanym napadem, byli tak oszołomieni, że początkowo nie myśleli o oporze, a kiedy ochłonęli z przerażenia, zobaczyli na ziemi tylu towarzyszy zabitych i rannych, że uznali za

najlepsze rzucić się do ucieczki, nie wiedząc nawet, jak wielką mieli przewagę nad wrogiem. Od chwili gdy Old Firehand wymierzył pierwszy cios, aż do ucieczki trampów nie upłynęła nawet minuta.

- Za nimi! - krzyknął Old Firehand. - Ja zostanę tutaj. Nie dopuścić ich do koni!

Tom, Droll i Fred popędzili z wielkim krzykiem ku miejscu, gdzie stały konie, toteż ci spośród trampów, którzy się tam schronili!, aby skoczyć na siodła, przerażeni, zniknęli szybko w lesie.

Tymczasem w górze przy baraku rafterzy czekali na powrót zwiadowców, Missourijczyka i wodza Tonkawa, a kiedy usłyszeli strzały znad rzeki, sądzili, że obaj znaleźli się w niebezpieczeństwie. Chwycili więc za broń, a porzuciwszy chatę, rzucili się pędem w stronę strzałów. Krzyczeli przy tym, co się w płucach, chcąc w ten sposób odstraszyć trampów od zagrożonych towarzyszy. Przodem biegł młody Niedźwiedź, wołając od czasu do czasu, aby wskazać rafterom kierunek. Nie ubiegli jeszcze połowy drogi, gdy przed nimi zabrzmiał głos starego Niedźwiedzia.

- Prędko iść! - wołał Tonkawa. - Tam być Old Firshand i strzelać do trampów. On być z trzema ludźmi; pomagać mu!

g-

JLa-iedy rafterzy zjawili się przy ognisku,

Old Firehand, Tom, Droll, Fred i Missourijczyk siedzieli tak spokojnie, jakby nie zaszło nic niezwykłego. Po jednej stronie ogniska leżały tropy zabitych, a po drugiej skrupowani trampowie - wśród nich rudy kornel.

- Do pioruna! - zawołał do starego Missourijczyka jeden

z przybyłych. - Myśleliśmy, żeście w niebezpieczeństwie, a wy siedzi-cie spokojnie jak na łonie Abrahama!

- I tak było! - odpowiedział Blenter. - Byliby mnie posłali na

łono Abrahama. Kolba karabinu kometa wisiała nade mną, gdy nadeszli ci panowie i wyciągnęli mnie z opresji. Prędka to była i dobra robota! Możecie się czegoś od nich nauczyć, chłopcy.

- Czy Old Firehand jest rzeczywiście tutaj?

- Tak, siedzi przed wami. Popatrzcie na niego i uściśnijcie mu dłoń! Pomyślcie tylko! Trzech mężczyzn i jeden chłopiec rzuca się na dwudziestu drabów. Zabijają dziesięciu, a sześciu chwytają, sami nie

odniósłszy nawet draśnięcia.

Przy tych słowach powstał, a inni podnieśli się także. Rafterzy stanęli w pewnym oddaleniu, z oczyma skierowanymi na olbrzymią postać Old Firehanda. Ten wezwał ich, aby się zbliżyli, i uściśnął każdemu z osobna rękę; obu Tonkawów powitał oddzielnie, mówiąc:

- Moi czerwoni bracia dokonali nie lada sztuki, ścigając tram-pów; pozwoliło mi to iść za nimi.

- Pochwała mojego białego brata przynosić więcej czci, niż my

zasługiwać - odparł skromnie stary Niedźwiedź. - Trampowie pozostawić ślad tak głęboki, jakby iść stado bizonów. Kto go nie widzieć, ten być ślepy. Ale gdzie być kornel? Czy także nie żyć?

- Nie, żyje. Uderzenie mojej kolby ogłuszyło go tylko; wrócił już

do przytomności i związaliśmy go. Tam leży.

Wskazał ręką ku miejscu, gdzie leżał kornel. Tonkawa podszedł do trampa, wyciągnął nóż i rzekł:

- Kiedy nie umrzeć od ciosu, to umrzeć od noża. On ranie bić
- ja wytoczyć jego krew!
- Stój! - zawołał stary Missouryjczyk. - Ten człowiek należy do mnie!
- Ty także nosić zemstę do niego?
- Tak, i to nie byle jaką.
- Krew?
- Krew i życie!
- Odkąd?
- Od wielu, wielu lat. Kornel zaćwiczył na śmierć moją żonę i dwóch synów.
- Ty się nie mylić? - spytał Indianin, któremu ciężko przychodziło wyrzec się zemsty, do czego jednak zmuszało go prawo preriowe.
- Nie! Takiej twarzy się nie zapomina...
- Ty go więc zabić?
- Tak, bez żadnej litości.
- Więc ja ustąpić, ale nie całkiem. On mnie musieć dać krew, a tobie życie. Tonkawa nie móc darować kary; on mu wziąć uszy! Ty przystawać?
- Hm! A gdybym się nie zgodził?
- To Tonkawa natychmiast zabić kornela.
- Dobrze, zabierz więc jego uszy! Może to nie po chrześcijańsku, że się zgadzam, ale kto wycierpiał tyle mąk, ile on mi zgotował, ten trzyma się praw prerii i nie oszczędza takich łotrów!
- Tak, uszy być moje i ja je wziąć!

Ukląkł obok kornela, aby wykonać swój zamiar. Kiedy ten ujrzał, że to nie żarty, wykrzyknął:

- Co wam wpadło do głowy, panowie! Czy to po chrześcijańsku?
- Co wam uczyniłem, że pozwalacie temu czerwonemu diabłu kaleczyć mnie?
- O tym, co mi uczyniłeś, pomówimy potem - odpowiedział Blenter zimno i poważnie.
- A co mamy do ciebie, to się pokaże - dodał Old Firehand.
- Jeszcześmy nie przeszukali twoich kieszeni. Zobaczymy, co się w nich znajduje.

Dał znak Drollowi, a ten wypróżnił kieszenie jeńca. Między innymi znaleziono portfel, który, jak się okazało, zawierał całą skradzioną inżynierowi sumę.

73

- Ach! Jeszcze nie podzieliłeś tego? - śmiał się Old Firehand.
- To dowód, że twoi ludzie mieli więcej zaufania do ciebie niż my. Jesteś złodziejem, a może czymś gorszym jeszcze. Nie zasługujesz na żadne względy. Wielki Niedźwiedź może czynić, co mu się podoba!
- Kornel wrzeszczał straszliwie, ale wódz, nie zwracając uwagi na krzyk, ujął go za czuprynę i dwoma pewnymi ruchami odciął mu muszle uszne i rzucił do rzeki. Po czym rzekł:
- Tonkawa się pomścić i móc jechać dalej.
- Teraz? - zapytał Old Firehand. - Nie zechcesz przynajmniej

przez tę noc pozostać z nami?

- Tonkawa być obojętne, czy dzień, czy noc. Jego oczy być

dobrze, a czas mieć krótki. On stracić wiele dni, aby ścigać kornela, i teraz musi jechać dniem i nocą, aby dostać się do swego wigwamu.

On być przyjaciel białych mężów i wielki przyjaciel i brat Old Firehanda. Wielki Duch dawać zawsze dużo prochu i wiele mięsa bladym twarzom, które być przychylne dla Tonkawa. Howgh!

Zarzucawszy karabin na ramię, odszedł, a syn, zabrawszy strzelbę, poszedł jego śladem.

- Gdzie mają konie? - zapytał Old Firehand.
- W górze przy naszym baraku - odpowiedział Missouryjczyk.
- Poszli pewnie, aby je zabrać, ale czy po nocy znajdą drogę, za to

bym...

- Nie bójcie się! - przerwał myśliwy. - Znają drogę, inaczej by

pozostali. Pozwólmy im więc jechać, a zajmijmy się własnymi sprawa-mi. Co zrobimy z zabitymi i jeńcami, panowie?

- Pierwszych wrzucimy do wody; nad drugimi urządzimy według

starego zwyczaju sąd. Przedtem jednak trzeba się upewnić, czy ze strony zbiegów nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

- O, tych jest tak mało, że nie potrzebujemy się obawiać, będą

uciekać, póki sił starczy. Możemy zresztą postawić strażę.

Od strony rzeki nie trzeba było się niczego obawiać, zaś od strony lasu postawiono kilka straży, po czym Old Firehand kazał przy-prowadzić pozostawione konie. Teraz mógł się odbyć „sąd preriowy”.

Najpierw sądzono towarzyszy kornela. Nie można było dowieść, aby który z nich wyrządził komuś z obecnych krzywdę, za to, co zamierzali zrobić, policzono im jako karę odniesione przy napadzie rany i utratę koni, przez noc miano ich strzec surowo, a rano puścić wolno.

Teraz przyszła kolej na głównego sprawcę, na kornela, wijącego się z bólu po utracie uszu. Przeniesiono go do ogniska.

Zaledwie na twarz jego padł blask ognia, młody Fred wydał głośny okrzyk i zwróciwszy się do Drolla, zawołał:

74

” - To on! To on! Mamy go wreszcie!

Droll przyskoczył do niego, pytając:

- Nie mylisz się? To niemożliwe!

- Tak, to on, morderca! - upierał się chłopiec. - Patrz, jakie zrobił oczy!

Wszak widać w nich śmiertelną trwogę! Widzi, że jest odkryty i że musi teraz wyrzec się wszelkiego ratunku!

- Ale gdyby tak było, to poznałbyś go już na statku.

- Wtedy tylko trampów widziałem; ale nie jego. Musieli mi go inni zasłaniać.

- Tak, rzeczywiście. Ale jeszcze jedno! Opisywałeś sprawcę jako czarnego, o włosach kędzierzawych, a ten ma włosy krótkie, twarde i rude.

Chłopiec zrazu nie odpowiedział; dotknął ręką czoła, potrząsnął głową i cofnąwszy się o krok, rzekł tonem, w którym przebijało wahanie:

- Prawda! Twarz ta sama, ale włosy inne...

- Widocznie, Fredzie, wziąłeś go za tamtego. Ludzie bywają bardzo do siebie podobni.

- Ależ - wmieszał się Missourijczyk - włosy można obciąć i nałożyć perukę.

- Ach! Czyżby... - Drol! nie skończył rozpoczętego zdania.

- Naturalnie! Ja nie dam się zwieść jego rudym włosom! Ów, którego tak długo szukałem, morderca mojej żony i dzieci, miał także czarne włosy, a ten drab ma rudą głowę, a mimo to twierdzą, że jest owym mordercą. On nosi perukę!

- Niemożliwe - powiedział Droll. - Czy nie widzieliście, że Indianin, obcinając uszy, chwycił go za włosy? Gdyby łotr nosił perukę, toby mu ją ściągnął z głowy.

- Pshaw! Jest dobrze zrobiona i przymocowana! Zaraz dowiodę wam tego.

Kornel leżał rozciągnięty na ziemi ze związanymi ramionami i nogami. Z uszu jego ściekała krew; musiały mu sprawiać wielki ból, ale nie zważał na to. Całą swą uwagę zwrócił na słowa rozmawiają-cych, a jeśli początkowo patrzył na nich dość beznadziejnie, to teraz -/yrazjego twarzy zmienił się zupełnie: trwoga ustąpiła nadziei, obawa - szyderstwu, a rozpacz - pewności zwycięstwa. Missourijczyk, mocno przeświadczony, że kornel nosi fałszywe włosy, podniósł go, posadził schwywszy za czuprynę, pociągnął, chcąc zedrzeć z głowy erukę. Ku wielkiemu jego zdziwieniu włosy trzymały się mocno „>wy; były to więc rzeczywiście własne włosy kornela.

- Do wszystkich diabłów, ten łotr ma prawdziwe włosy na swej

łysinie! - zawołał zdumiony i zrobił tak przerażoną minę, że inni na pewno śmieliby się z tego, gdyby położenie nie było zbyt poważne.

Twarz kornela wykrzywiła się w szyderczym uśmiechu; zawołał tonem bezgranicznej nienawiści:

- No, ty kłamco i potwarco, gdzie jest peruka? Łatwo to oskarżyć fałszywie człowieka z powodu, że jest podobny do kogoś innego.

Daj dowód, iż jestem tym, za kogo mnie uważasz!

Blenter spoglądał to na niego, to na Old Firehanda i rzekł wreszcie bezradnie do tego ostatniego:

- Sir, co o tym sądzicie? Tamten miał rzeczywiście włosy czarne

i kręcone, a ten ma gładkie i rude. Ale mimo to przysięgnę, że to on.

Niemożliwe, ażeby mnie oczy myliły.

- A jednak możecie się mylić - odpowiedział myśliwy. - Jak

się zdaje, tutaj zachodzi takie podobieństwo.

- To chyba już nigdy nie będę mógł ufać swoim oczom!

- Otwórz je lepiej! - szydził kornel. - Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem o tym, że gdzieś tam zamordowano kogo albo też na śmierć

zaćwiczone!

- Ale znasz mnie jednak! Sam to mówiłeś!

- Jeśli cię nawet widziałem, to czy muszę być koniecznie tym, o którym mówisz? Ten chłopiec również się pomylił. W każdym razie człowiek, o którym wspominał, jest tym samym, o którym ty mówiłeś,

lecz ja nie znam tego chłopca i...

Nagle przerwał, jakby przerażony, ale w mgnieniu oka opanował się i mówił dalej:

- ...nigdy go nie widziałem. A teraz wnieście skargę przeciwko

mnie, ale dajcie dowody! Jeśli chcecie mnie potępić dla przypadkowego podobieństwa i zlinczować, to jesteście mordercami, a tego się nie spodziewam po sławnym Old Firehandzie. Oddaję się pod jego opiekę!

To, że poprzednio przerwał rozpoczęte zdanie, miało bardzo ważną przyczynę. Siedział mianowicie tam, gdzie leżały trupy, a głowę oparł na jednym z nich. Kiedy go Missouryjczyk posadził, sztywne i pozbawione życia ciało wykonało lekkie poruszenie i potoczyło się;

nie mogło nikomu wpaść w oczy, ponieważ trup stracił podporę po usunięciu rudego. Teraz ciało leżało tuż za komelem, i to w cieniu rzucanym przez niego. A człowiek ów nie był wcale martwy ani nawet ranny. Należał do tych, których Old Firehand powalił kolbą swej strzelby. Krew ranionego towarzysza bryznęła mu na twarz i to nadało mu wygląd zabitego. Kiedy wrócił do przytomności, ujrzał, że znajduje się między zabitymi; opróżniano im właśnie kieszenie i zabie-

76

rano broń. Byłby wprawdzie chętnie się zerwał i uciekł - wiedział, że wrogów jest tylko czterech - ale rzucać się w rzekę nie miał ochoty, a od strony lasu rozbrzmiewał krzyk zbliżających się rafterów. Po'-stanowił więc czekać na pomyślniejszą sposobność. Wyciągnął jednak nóż i schował go w rękaw. Gdy Blenter przystąpił do niego, obrócił go w jedną i drugą stronę, a uważając za zabitego, zabrał wszystko, co znalazł w kieszeniach i za pasem, i pociągnął ku miejscu, gdzie miały leżeć trupy.

Odtąd tramp obserwował ognisko spod lekko uchylonych powiek;

a ponieważ nie był skrupowany, więc w stosownej chwili mógł zerwać się i uciec. Wtem położono na nim komela, natychmiast przyszyła mu do głowy myśl, aby przywódcę uwolnić. Kiedy rudego podniesiono, domniemany trup potocz-7! się za nim i znalazł się poza plecami kornela, któremu ręce związane w tyle. Podczas gdy komel mówił i uwaga wszystkich była na niego zwrócona, tramp wyciągnął nóż z rękawa i ostrożnie przeciął mu więzy, po czym wsunął rękojeść noża do ręki, aby ten szybkim ruchem mógł uwolnić swe nogi i, zerwawszy się, uciec. Rudy poczuł dotknięcie na swoich rękach; czuł rękojeść noża, który natychmiast ujął, i tak się tym zdumiał, że na chwilę stracił panowanie nad sobą i zająknął się; ale trwało to zaledwie sekundę.

Kiedy kornel odwołał się do sprawiedliwości Old Firehanda, ten odrzekł:

- Tam gdzie ja mam coś do powiedzenia, nie ma miejsca na morderstwo, na tym możesz polegać; ale również możesz być pewny, że nie dam się oszukać barwą twoich włosów. Mogą być farbowane.
- Oho! Czy można włosy, siedzące mocno na głowie, farbować także na czerwono?
- Oczywiście - odpowiedział myśliwy z naciskiem.
- Może ochrą do pieczętowania owiec? - zapytał komel z wy-muszonym uśmiechem.
- Śmieję się, śmieję! Niedługo będziesz szydził! - odpowiedział spokojnie Old Firehand.
- Innych możesz oszukać, ale nie mnie!

Przystąpił do odebranych jeńcom rzeczy, schylił się, podniósł skórzaną torbę, należącą do kornela, i otwierając ją, rzekł:

- Przeszukałem to przedtem i znalazłem kilka przedmiotów, których cel był mi niejasny; teraz jednak zaczynam się wszystkiego domyślać.

Wydobył małą, zakorkowaną flaszeczkę, pilniczek i kawałek gałązki, nie odłupanej jeszcze z kory, a podsunawszy te trzy przedmioty pod nos rudego, spytał:

- Dlaczego wozisz te rzeczy ze sobą?

77

Twarz zagadniętego stała się cokolwiek bledsza, jednak odpowiedział pewnym tonem:

- A to dopiero! Wielki Old Firehand troszczy się o takie drobno-stki! Kto by to pomyślał! Flaszeczka zawiera lekarstwo; pilniczek jest dla każdego westmana niezbędnym narzędziem, a ten kawałek drzewa dostał się przypadkiem do torby. Czyście teraz zadowoleni, sir?

Pytanie to wypowiedział, rzucając szydercze, a przy tym bojaźliwe i badawcze spojrzenie na twarz my-uwego. Ten odpowiedział poważnie a stanowczo:

- Tak, jestem zadowolony, ale nie z twojej odpowiedzi, tylko

z moich wniosków. Trampowi zbyteczny pilnik, zwłaszcza tak mały, większy pożytek przyniosłaby mu piła. Ta flaszeczka zawiera opłki w spirytusie, a ten kawałek drzewa jest, sądząc po korze, gałęzią obrostnicy. Wiem zaś, że opłkami obrostnicy, namoczonymi w spirytusie, można zabarwić na czerwono nawet najciemniejsze włosy. Cóż powiesz na to?

- Że z całego tego uczonego wykładu nie rozumiem ani słowa

odparł gniewnie kornel. - Chciałbym zobaczyć człowieka, któremu mogłaby przyjść do głowy myśl farbowania na rudo czarnych włosów. Ten drab musiałby istotnie mieć smak godny podziwu!

- Smak tu jest zupełnie obojętny, idzie tylko o cel. Człowiek,

ścigany za zbrodnie, na pewno chętnie zabarwi włosy nawet na czerwono, jeśli przez to zdoła ocalić życie. Jestem przekonany, że jesteś owym poszukiwanym, i jak się tylko rozwidni, zbadam dokładnie twoje włosy.

- Tak długo nie ma potrzeby czekać - przerwał Fred. - Ma on

znak, po którym można go poznać. Kiedy mnie rzucił na ziemię i przydeptał nogą, przebiłem mu nożem łydkę na wylot. Niech pokaże nogę; jeśli to on, będą widoczne owe blizny.

Nic nie mogło być dla rudego dogodniejsze niż ta propozycja.

Gdyby ją wykonano, nie musiałby rozcinać więzów na nogach.

Dlatego odpowiedział szybko:

- Well, mądry chłopcze! Przekonasz się wtedy, że wy wszyscy się

mylicie. Dziwię się tylko, że przy całym swym rozumie wymagasz, aby związany człowiek mógł podwinąć sobie nogawice!

Chłopiec w zbytniej gorliwości podszedł ku jeńcowi, ukląkł, rozwiązał rzemień i próbował odwinąć nogawkę nankinowych spodni-otrzymał jednak od rudego tak silne kopnięcie, że zatoczył się daleko-

**a kornel, zerwawszy się, zawołał: **
- Good bye, messurs! Zobaczymy się jeszcze! - i podniósłszy

nóż, przebił się przez rafterów i znikł między drzewami.

78

Ucieczka człowieka, którego byli pewni, tak zaskoczyła rafterów, że stali jak przygwożdżeni. Jedynie Old Firehanda i Ciotkę Droll me zawiodła wrodzona przytomność umysłu. Skoro tylko kornel zerwał się z postawy siedzącej i podniósł nóż, Old Firehand wykonał skok, chcąc go ująć. Nagle jednak natknął się na nieprzewidzianą prze-szkodę; mianowicie tramp, udający zabitego, sądził, że nadeszła chwila dla niego stosowna, bo uwaga wszystkich skierowana była na kornela. Zerwał się i rzucił ku ognisku, aby przerwać koło utworzone przez rafterów. W tej chwili Old Firehand, potężnym skokiem przesadzając ognisko, zderzył się z trampem; chwycić go, podnieść i rzucić na ziemię było dla niego dziełem paru sekund.

- Zwiążcie tego draba! - zawołał Old Firehand i zwracając się w kierunku kornela, któremu to zdarzenie dało czas na wyrwanie się poza obręb obozowiska, porwał za karabin i złożył się, chcąc go zatrzymać celnym strzałem. Lecz zrozumiał niemożliwość wykonania tego zamiaru, bo Droll znajdował się w równej linii ze zbiegiem i kula mogła go trafić. Dlatego rzucił strzelbę i biegł za nim.

Rudy kornel zmykał co siłą, wiedząc, że tylko w ten sposób ocali swe życie; za nim pędził Droll i byłby go pewnie doścignął, gdyby nic miał na sobie swego sławnego, skórzanego sleeping-gownu - bcfwiem ta część garderoby okazała się w takim pościgu zbyt niewygodna.

- Stać, Droll! - wołał Old Firehand do biegnącego przed nim.

Ten jednak nie zważał na wołanie i biegł dalej. Teraz kornel, mając za sobą światło padające od ogniska, znikł w ciemnościach lasu.

- Stać, na miłość boską, stać, Droll! - zwołał znowu Old Firehand, mocno rozgniewany.

- Muszę go dostać, muszę go dostać! - odpowiedział swym cienkim falsetem podniecony Droll i rzucił się także między drzewa.

Wówczas Old Firehand, jak dobrze wytresowany koń, który nawet w galopie słucha wędzidła, zatrzymał się w pełnym biegu i zawrócił powoli ku ognisku, jak gdyby nigdy nic. Tam stała reszta ludzi w pojedynczych ożywionych grupach i patrzyła w las, oczekując wyniku pościgu.

- Co? Powróciliście sami? - zawołał stary Missourijczyk do Old Firehanda.

- Jak widzicie - odparł tenże spokojnie.

- Czy nie można go było doścignąć?

- Nawet bardzo łatwo, gdyby nie ten przeklęty tramp, z którym się zderzyłem.

- Fatalna historia, że właśnie herszt nam umknął!

- No, wy, stary Blenter, najmniej możecie się skarżyć.

- Dlaczego?
- Bo tylko wy sami jesteście temu winni.
- Ja? - zapytał stary. - Tego nie pojmuję. Szanuję bardzo

wasze słowa, sir, ale wytłumaczcie mi to.

- Nic łatwiejszego! Kto przeszukiwał zabitego, który nagle ożył?
- Oczywiście, ja.
- I wzięliście go za nieżywego. Jak może się zdarzyć coś podobnego tak doświadczonemu rafterowi i myśliwemu jak wy! A kto mu

wypróżnił kieszenie i odebrał broń?

- Także ja.
- A nóż zostawiliście?
- Nie miał go wcale!
- Schował tylko. Potem, leżąc za plecami kometa, nie tylko

przeciął mu rzemienie, ale także dał nóż.

- Czyżby rzeczywiście tak było, sir? - zapytał stary zmieszany,
- - Zapytajcie jego samego! Leży przecież tutaj związany.

Blenter poczęstował trampa kopniakiem i groźbą zmusił do odpowiedzi; okazało się, że wszystko odbyło się tak, jak przypuszczał Old Firehand. Stary rafter chwycił się za głowę.

- Sam bym się wypoliczkował! Takiej głupoty w całych Stanach

jeszcze dotąd nis popełniono. Ja jestem winien, tylko ja! Głowę daję, że to ten drab, o którego mi szło.

- Naturalnie, że to był ten sam, inaczej przecież dałby spokojnie

obejrzeć swą nogę; gdyby nie miał tych blizn, nie stałoby się nic złego. Za kradzież pieniędzy inżyniera nie moglibyśmy go ukarać według `praw prerii, bo na sądzie nie było okradzionego.

Teraz powrócił także Droll z nosem opuszczonym na kwintę.

Biegł, jak myślał, za zbiegiem jeszcze dość daleko przez las, obijając się wielokrotnie o drzewa; potem stanął, nasłuchując, lecz że wokoło naj-mniejszy szmer nie zdradzał miejsca pobytu kornela, musiał zawrócić.

Old Firehand polubił tego dziwnego człowieka, nie chcąc go więc wobec rafterów zawstydzać, zapytał wzięwszy go na bok:

- Ależ, Droll, czy nie słyszeliście, jak kilkakrotnie wołałem za

wami?

- Słyszałem zupełnie dobrze - odrzekł grubas.
- A czemu nie zatrzymaliście się?
- Bo chciałem schwytać tego draba.
- I dlatego biegliście za nim w las?
- Jakże inaczej mógłbym to zrobić? Czy może sądzicie, że wrócił-by dobrowolnie i rzucił mi się w ramiona?
- To nie, ale coś w tym rodzaju. Założę się, że kornel był na tyle

mądry, by nie chodzić daleko. Wszedł tylko cokolwiek w las i ukrył się za drzewem, aby wam pozwolić przebiec obok siebie.

- Jak? Co? Przebiec obok niego? Gdyby to była prawda, to nie mogłoby mi się większe głupstwo przydarzyć!
- Na pewno tak było! Dlatego wzywałem was, abyście stanęli;

gdybyśmy się znaleźli w ciemnościach lasu, położylibyśmy się i nasłuchiwalibyśmy. Przytknąwszy uszy do ziemi, usłyszeliśmy jego kroki i moglibyśmy rozpoznać ich

kierunek, a gdyby stanął, łatwo byłoby go podejść. Podchodzić wszakże umiecie doskonale. Wiem coś o tym.

- To się rozumie - odpowiedział Droll, któremu ta pochwała pochlebiała. - Kiedy o tym myślę, zdaje mi się, że macie zupełną słuszość. Byłem wtedy głupi, trochę za głupi. Ale może to naprawię?

Co myślicie o tym?

- Jest to zupełnie możliwe, ale łatwo nam to nie przyjdzie.

Musimy czekać do rana i wtedy odszukać jego ślady. Pójdziemy potem za nimi i prawdopodobnie schwytny go. - To zdanie zakomunikował także rafterom, na co stary Missouryjczyk oświadczył:

- Sir, ja jadę z wami. Koni zdobyliśmy dosyć, tak że jeden i mnie się dostanie. Rudy komej jest tym, którego szukam od lat wielu. Teraz mam wreszcie jego ślad, a towarzysze nie wezmą mi za złe, że ich opuszczę. Szkody przy tym także nie poniosę, bo zaczęliśmy robotę

dopiero niedawno.

- Bardzo mi to miłe - odpowiedział Old Firehand. - Zresztą

chcę wam wszystkim uczynić pewną propozycję.

- Jaka?

- O tym później. Teraz mamy coś ważniejszego do roboty;

musimy udać się do waszego baraku.

- Dlaczego nie mamy tu pozostać do rana, sir?

- Ponieważ wasza własność jest w niebezpieczeństwie! Po komelu można się wszystkiego spodziewać; może bardzo łatwo wpaść na myśl

odwiedzenia waszej chaty.

- Rany boskie! To byłoby fatalne! Mamy tam narzędzia i broń

zapasową, a także proch i ładunki. Prędko, spieszmy tam!

- Bardzo dobrze! Idźcie przodem, Blenter, i weźcie jeszcze dwu ze sobą. Reszta pójdzie za wami z końmi i jeńcami; drogę będziemy sobie oświecać łuczywem, które zabierzemy z ogniska.

Bystry myśliwy osądził rudego kometa zupełnie słusznie; ten rzeczywiście, znalazłszy się w lesie, ukrył się za drzewem; słyszał, jak Droll przebiegł obok niego, i widział, że Old Firehand powrócił do

6-Skarb... 81

ogniska. Ponieważ Droll obrał kierunek nie ku barakowi, rudy prędko wpadł na pomysł, aby się cicho oddalić w tamtą stronę, i spieszenie skierował swe kroki ku wzgórzom. Przyszło mu na myśl, ja-k wielką korzyść może mu przynieść zawładnięcie barakiem, a że był już tam, nie bał się, iż zabłądzi. Barak zawierał z pewnością większą część własności rafterów i kornel mógł się na nich pomścić. Dlatego przy-spieszył kroku, o ile na to ciemności pozwalały.

Przyszedłszy na górę, przede wszystkim stanął nasłuchując; byto

przecież możliwe, że pozostał tam który z rafterów. Ponieważ jednak wszędzie panowała cisza, zbliżył się ku drzwiom baraku. Właśnie miał zbadać, w jaki sposób zostały zamknięte, kiedy nagle chwycono go za gardło i rzucono na ziemię. Kilku ludzi klęczało nad nim.

- Mamy przynajmniej jednego i ten nam za wszystko zapłaci!

- odezwał się któryś.

Kornel poznał głos n-sowiącego i zdumiał się, lecz zarazem ucieszył; uczynił gwałtowny wysiłek, aby oswobodzić gardło, i udało mu się wykrztusić:

- Woodward! Czyś oszalał? Puść mnie, do wszystkich diabłów!

Woodward był to poddowódca trampów. Poznał głos kornela i puścił go.

- To kornel! - zawołał, odepchnawszy innych. - Naprawdę

kornel! Skąd się zjawiasz? Sądzieliśmy, żeś został schwytany!

- Tak było - dyszał rudy, prostując się - als uciekłem. Czy nie mogliście być ostrożniejsi? O mało nie zadusiliście mnie! Co robicie

tutaj?

- Spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo tam w dole. Jest nas

trzech; gdzie są inni, nie wiemy. Widzieliśmy, że rafterzy pozostali przy ognisku, więc postanowiliśmy przyjść tutaj i wypłatać im figła.

- Słusznie! Ta sama myśl i mnie przywiodła. Chętnie spaliłbym

im budę!

- Taki zamiar mamy i my, ale przedtem należy zobaczyć, co

chata zawiera. Może /'najdziemy coś potrzebnego dla nas?

- Na to trzeba światła. Te łotry zabrały mi wszystko, a wewnątrz możemy szukać do sądnego dnia, zanim znajdziemy krzesiwo.

- Zapominasz, że mamy swoje, bo nas przecież nie ograbiono.

- To prawda! A przekonaliście się, czy nie nia tu jakiejś zasadzki?

- Żywej duszy nie ma; otworenie drzwi pójdzie łatwo i właśnie

mieliśmy wejść do środka, gdy ty nadszedłeś.

- Prędko więc do dzieła, zanim te łotry wpadną na myśl po-wrotu.

82

Woodward odsunął zasuwę i weszli do chaty. Przymknawszy za sobą drzwi, zapalili światło. Nad pryczami były umieszczone deski, a na nich leżały świece z łoju jeleniego, jakie westmani sami sobie sporządzają. Każdy z czterech drabów zapalił jedną i zaczęto pośpiesznie szukać przydatnych przedmiotów. Było tam kilka strzelb, różki pełne prochu, siekiery, topory, piły, noże, kartony z nabojami, mięso i inne prowianty. Każdy z trampów brał to, czego potrzebował lub co mu się podobało. Skończywszy plądrowanie, wetknęli płonące świece w trawę, pokrywającą łóżka; ta natychmiast się zajęła. Podpalacze wybiegli na pole, pozostawiając drzwi otwarte, aby ogień miał do-stateczny dopływ powietrza, i stanęli nasłuchując. Lecz słycać było jedynie trzask ognia i szum drzew.

- Jeszcze nie nadchodzą - odezwał się Woodward. - Co teraz?

- Naturalnie, musimy szybko wiać - odparł kornel.

1 - Ale dokąd? Nie znamy przecież okolicy.

- Rano poszukają naszych śladów i pójda za nimi; byłoby mądrzej wcale ich nie zostawiać.

- To niemożliwe, chyba w wodzie.

- Tak. Popłyniemy wodą.

- Ale na czym i jak?

- W łódce naturalnie! Czy nie wiesz o tym, że każde towarzystwo rafterów przygotowuje sobie jedno, a nawet kilka czółen, bo przy tym zajęciu są koniecznie potrzebne? Założę się, że leżą tam niżej przy spławie.

- Ale miejsca spławu nie znamy.

- Łatwo je będzie znaleźć. Patrzcie! Tędy spuszczają drzewo.

Spróbujmy więc, czy nie będziemy mogli zejść także.

Właśnie płomienie przedarły się przez dach i oświectliły cały plac. Na skraju lasu w kierunku rzeki widać było wolną przestrzeń wśród drzew. Szła tędy prosta, stroma a wąska ścieżka, a obok przymocowana była lina służąca za poręcz.

Zbrodnicza czwórka zeszła ku rzece; kiedy znaleźli się na brzegu, usłyszeli w oddali głośne okrzyki, zbliżające się ku barakowi.

- Nadchodzą! - rzekł kornel. - Teraz prędko; żebyśmy tylko mogli znaleźć łódkę!

Nie szukali jej długo, bo tam, gdzie stali, leżały właśnie trzy czółna, przywiązane do brzegu. Były to, zbudowane na sposób indiański z kory drzewnej i wykpięne smołą, canoe, każde na cztery osoby.

- Przywiążcie te dwa z tyłu! - rozkazał rudy. - Musimy je zabrać i później zniszczyć, aby nie mogli nas ścigać wodą.

Posłuchano go, a potem wszyscy czterej wsiedli do pierwszego

83

canoe i chwyciwszy za leżące w nim wiosła, odbili od brzegu. Kornel sterował. Jeden z ludzi uderzył wiosłem, jakby chciał płynąć w górę rzeki.

- Źle! - zawołał przywódca. - Popłyniemy w dół.

- Ale mamy przecież udać się do K-ansasu na wielki mityng trampów! - odrzekł tamten.

- Naturalnie! Ale o tym dowie się Old Firehand, bo z pewnością nie omieszka wydobyc tej wiadomości z jeńców. Będzie więc nas rano szukał w górze rzeki i dlatego musimy popłynąć w dół, aby go wyprowadzić w pole.

- Ogromne zboczenie z drogi!

- Wcale nie. Popłyniemy aż do najbliższej prerii, dokąd do-staniemy się rano; zatopimy czółna i postaramy się skraść konie tamtejszym Indianom. Potem pojedziemy już szybko na północ i nad-robimy tę małą zwłokę w ciągu jednego dnia, gdy tymczasem rafterzy będą szukać naszych śladów powoli, mozolnie i bezskutecznie.

Łodzie trzymano w cieniu brzegu, aby nie padł na nie blask ognia płonącego w górze. Po pewnym czasie kornel skierował łódkę ku środkowi rzeki; równocześnie rafterzy przybyli z końmi i jeńcami na polanę.

Widząc, że ich mienie strawił ogień, podnieśli niemały krzyk, rzucając tysiące przekleństw i dosadnych życzeń na głowy podpalaczy.

Old Firehand uspokoił ich jednak mówiąc:

- Spodziewałem się, że kornel coś podobnego uczyni. Niestety przybyliśmy za późno. Ale nie bierzcie tego zbyt do serca; jeżeli zgodzicie się na propozycję, jaką zamierzam wam zrobić, to wkrótce otrzymacie więcej, niż wynosi strata. Lecz o tym później. Teraz musimy się przede wszystkim upewnić, czy nie ma tu gdzie jeszcze

któregoś z tych łotrów.

Przeszukano najdokładniej całą okolicę, ale nie znaleziono nic podejrzanego. Wówczas Old Firehand położył się przy ognisku. Jeń-ców umieszczono na boku tak, że nie mogli słyszeć, o czym mówiono.

- Najpierw, panowie - zaczął myśliwy - dajcie mi wasze słowo, że tego, co wam powiem, nie zdradzicie nawet wtedy, gdy się nie zgodzicie na mój projekt! Wiem, że jesteście džentelmenami, na

których słowie mogę polegać.

Otrzymawszy żądane przyrzeczenie, mówił dalej:

- Czy zna kto z was wielkie jezioro tam w górze, które nazywają

Srebrnym Jeziorem?

Ja - odpowiedział tylko jeden, a mianowicie Ciotka Droll.

Każdy z nas słyszał tę nazwę, ale z wyjątkiem mnie nikt tam pewnie nie był, jak się domyślałem z milczenia tych džentelmenów. -

84

- Well! Wiem, że w górze istnieją bardzo bogate pokłady, stare miny, sztolnia i składy rudy - wszystko z pradawnych czasów. Ja sam znam kilka sztolni i składow,

a udaję się teraz w góry z dzielnym inżynierem, aby obejrzeć, czy można je eksploatować na wielką skalę i czy z jeziora da się wydobyć potrzebną do tego siłę. Zadanie nie jest oczywiście zupełnie bezpieczne i dlatego potrzebuję gromady dzielnych i doświadczonych westmanów, którzy by z nami poszli. Pozostawcie więc waszą pracę na pewien czas w spokoju i jedźcie ze mną nad jezioro, dzentelmeni! Zapłacę wam dobrze!

- Tak, to jest piękny projekt! - zawołał Missouryjczyk zachwycony. - Ja zgodziłbym się na to natychmiast, ale nie mogę i nie powinienem, bo muszę dostać w swe ręce tego kornela.

- I ja także, ja także! - przyłączył się Droll. - Bardzo chętnie poszedłbym z wami, sir, nie dla zapłaty, lecz dla samych przygód;

uwzględniłem też za bardzo wielki zaszczyt móc jechać z Old Firehandem.

Ale nie mogę, bo i ja muszę deptać temu łotrowi po piętach.

Po twarzy Old Firehanda przebiegł lekki uśmiech, kiedy odpowiedział:

- Wy dwaj żywicie pragnienie, które najpewniej wtedy się spełni, gdy pozostaniecie ze mną. Opuszczając ognisko trampów, aby przyjść tutaj, musieliśmy naturalnie prowadzić powiązanych jeńców; jednego, najmłodszego z nich, wziąłem w swoje ręce. Miał odwagę przemówić do mnie i dowiedziałem się z jego słów, że właściwie nie należy do trampów i martwi go to, iż był razem z nimi; przyłączył się do nich tylko ze względu na brata, który dziś został zabity. Dał mi wyjaśnienie co do zamiarów kornela na przyszłość. Chciałbym go zatrzymać przy sobie tak ze względów humanitarnych, jak i roztropności. Czy mam tego człowieka przyprowadzić?

Kiedy obecni zgodzili się na to, Old Firehand poszedł po trampa. Ten miał niewiele ponad lat dwadzieścia, wyglądał na roztropnego i był silnej postaci. Old Firehand zdjął mu więzy i kazał mu usiąść obok siebie.

- No - zwrócił się do niego - widzisz, że nie waham się spełnić twego życzenia. Brat sprowadził cię na manowce; jeśli więc złożysz mi przyrzeczenie, że będziesz odtąd uczciwym człowiekiem, to uwolnię cię w tej chwili i będziesz mógł stać się dzielnym westmanem. Jak się nazywasz?

- Nolley, sir - odpowiedział zapytany, podając mu rękę wśród potoku łez. - Będę wam wdzięczny całe życie, jeśli spełnicie me życzenie.

- Jakie?

85

- Przebaczcie mi szczerze to, że znalazłem się w tak złym towarzystwie, i pozwólcie mi rano pogrzebać zabitego brata. Niech nie

gnije w wodzie i nie szarpia go ryby!

- Te życzenia wskazują, że nie pomyliłem się co do ciebie. Odtąd

należysz do nas i nie będziesz się pokazywał dawnym towarzyszom, bo oni nie powinni wiedzieć, że trzymasz z nami. Wspomniałeś o zamiarach kornela. Czy znasz jakie?

- Tak. Długo ukrywał je, ale wczoraj opowiedział nam o nich.

Najpierw zamierza udać się na wielki mityng trampów, który ma się odbyć niedługo.

- Do kaduka! - zawołał Droll, - Więc dobrze mnie poinformowano mówiąc, że niedaleko za Harperem mają się spotkać setki tych włóczęgów, aby omówić kilka sprawek, do których wykonania

trzeba ich wielkiej liczby. Czy znasz to miejsce?

- Tak - odpowiedział Nolley. - W każdym razie znajduje się

ono, idąc stąd, za Harperem, a nazywa się Osage-nook.

- Nie słyszałem jeszcze nigdy o tym „nook” - to dziwne!

Chciałem udać się na ten mityng, aby tam może znaleźć tego, kogo szukam, a nie miałem pojęcia, iż jechałem z nim na steamerze.

Gdybym mógł schwytać go zaraz na pokładzie! A więc kornel udaje się do Osage-nook? Dobrze; jedziemy więc za nim - nieprawdaż, master Blenter?

- Tak! - skinął stary. - Szkoda, że musimy się rozstać z sir

Firehandem.

- To całkiem zbyteczne - odpowiedział myśliwy. - Mój naj-bliższy cel leży w pobliżu tego miejsca; jest nim farma Butlera, należąca do brata inżyniera, który tam na mnie czeka. Pozostaniemy więc razem przynajmniej kawał drogi. Czy kornel ma jakie plany na

dalszą przyszłość?

- Naturalnie - odparł nawrócony tramp. - Po mityngu udaje

się do Eagle-tail, aby napaść na tamtejszych urzędników kolejowych i zabrać im kasę.

- Dobrze, że się o tym dowiedzieliśmy! Jeśli go nie schwytemy na

mitingu, to znajdziemy tym pewniej w Eagle-tail.

- A jeśliby i tam umknął - ciągnął dalej Nolley - to możecie

go ująć później nad Srebrnym Jeziorem.

Te słowa wywołały ogólne zdziwienie, a Old Firehand spytał prędko:

- Nad Srebrnym Jeziorem? Co wie i czego chce kornel w tym

miejscu?

- Chce odszukać jakiś skarb.

86

- Skarb?

- Tak! Mają tam być ogromne skarby, zakopane czy zatopione

jeszcze przez dawne ludy w odległych czasach. Kornel ma dokładny plan miejsca, na którym należy ich szukać.

- Czy widziałeś ten plan?

- Nie! Nie pokazuje go nikomu.

- Przecież obszukaliśmy go dokładnie i zabraliśmy wszystko:

planu nie miał przy sobie.

- Schował go zapewne; myślę nawet, że go wcale przy sobie nie

nosi, lecz gdzieś dobrze zakopał.

Uwaga słuchaczy zwrócona była na mówiącego, dlatego nikt nie uważał na Drolla i Freda, których to, co usłyszeli, wprawiło w niemałe wzruszenie. Droll patrzył na trampa szeroko otwartymi oczyma, a Fred, kiedy opowiadający skończył, zawołał:

- To on! Ten plan należał do mojego ojca!

Wzrok wszystkich zwrócił się ku chłopcu. Zarzucono go pytania-mi, lecz Droll skinął energicznie głową i rzekł stanowczo:

- Teraz ani słowa, panowie! Później dowiecie się o tej sprawie.

Najważniejsze, że mogę oznajmić, iż ja i Fred na wszelki wypadek jesteśmy na usługi Old Firehanda.

- Ja także! - oświadczył wesoło stary Missourijczyk. - Wpadliśmy tu w takie mnóstwo tajemnic, że nie wiem, jak je rozplączemy. Wy pójdziecie przecież także, towarzysze?

- Tak, tak! Naturalnie! - odpowiedzieli chórem rafterzy.

- Well! - oświadczył Old Firehand. - Ruszamy więc rano.

Teraz nie potrzebujemy się troszczyć o ślady kornela, bo wiemy, gdzie go znaleźć. Będziemy go ścigać przez lasy i prerie, góry i doliny, a jeśli trzeba, to nawet aż do Srebrnego Jeziora. Czekają nas bardzo ruchliwe życie. Bądźmy więc dobrymi towarzyszami, džentelmeni!

L

„olling-prairie” zalana była słońcem południowym. Pagórek za pagórkiem, porośnięte gęstą trawą, podobne były do szmaragdowego morza, którego fale nagle stężyły. Nic nie było widać dookoła, jak daleko horyzont sięgał, tylko same pagórki faliste. Kto się tu nie kierował kompasem lub słońcem, ten musiał zablądzić, jak gubi się na szerokim morzu niedoświadczony żeglarz w małej łódce.

Zdawało się, że w tym zielonym pustkowiu nie ma żadnego życia - lecz był to tylko pozór; bo w tej właśnie chwili dało się słyszeć mocne parskanie i spoza jednego ze wzgórz ukazał się jeździec, i to

w nadzwyczaj dziwnym stroju.

Człowiek ten, ani za wysoki, ani za mały, ani za gruby, ani za chudy, wydawał się silnym. Odziany był w długie spodnie, kamizelkę i krótką bluzę, a całe to ubranie sporządzone było z nieprzemakalnej materii gumowej. Na głowie miał hełm korkowy z zasłoną na kark, jaki zwykli nosić oficerowie angielscy w Indiach i krajach tropikalnych. Nogi jego tkwiły w indiańskich mokasynach.

Człowiek ów trzymał się na koniu jak doświadczony jeździec; twarz jego - tak, ta twarz była właściwie bardzo osobliwa. Wyraz jej był głupawy, a to głównie z powodu nosa, którego obie strony były do siebie zupełnie niepodobne. Lewa, biała, miała kształt lekko zakrzywionego nosa oriego; prawa natomiast była jakby nabrzmiała, o barwie, której nie można by nazwać ani czerwoną, ani zieloną, ani niebieską. Twarz tę okalała broda, której długie włosy sterczały z szyi aż poza podbródek. Brodę zaś podtrzymywał ogromny kołnierz, a błękitnawy jego połysk wskazywał, że jeździec nosi bieliznę gumową. Do rzemienia strzemion przymocowane miał z prawej i lewej strony po jednym karabinie, których kolby opierały się obok nogi jeźdźcy na strzemieniu kształtu trzewika.

88

Przed siodłem leżał na poprzek długi wałek czy puszka blaszana, której celu trudno się było domyślić. Na plecach człowiek ten dźwigał tornister średniej wielkości, a za nim kilka blaszanych naczyń i szcze-gólnego kształtu druty żelazne. Pas nosił szeroki, również skórzany, podobny do tak zwanej kalety; zwiisało z niej kilka woreczków, a od przodu tkwiły rękojeści noża i kilku rewolwerów, z tyłu zaś miał umocowane do niego dwie kieszenie, które mogły uchodzić za schowki na naboje.

Koń był zwierzęciem zwyczajnym, nie za dobrym i nie zanadto złym na trudy Zachodu; nie można było w nim zauważyć nic szcze-gólnego, chyba to, że za czaprak miał koc, który na pewno kosztował wiele pieniędzy.

Zdawało się, że jeździec jest zdania, iż koń jego więcej rozumie się na podróżach po prerii niż on sam; przynajmniej nie widać było, aby nim kierował; owszem pozwalał mu biec, jak i dokąd chciał. Toteż zwierzę przeszło kilka dolin, wspięło się potem na pagórek, znowu zbiegło truchtem na dół, czasem puszczało się dobrowolnie kłusem, to znowu szło wolniej, słowem - ów człowiek w korkowym hełmie o arcyniemądrym wyrazie twarzy nie miał widocznie żadnego okreś-lonego celu, ale za to tym więcej wolnego czasu.

Nagle koń stanął i nastawił uszy, a jeździec wzdrygnął się lekko, bo przed nim dał się słyszeć ostry, rozkazujący głos:

- Stop! Ani kroku dalej, bo strzelam! Kto jesteście, master?

Jeździec podniósł głowę, spojrzął przed siebie, za siebie, spojrzął w prawo i w lewo, ale nigdzie nie było widać żadnego człowieka. Jednak twarz jego ani drgnęła; zdjął pokrywę z owej długiej puszkii blaszanej w formie wałka, która wisiała na przedzie siodła, wytrząsnął z niej perspektywę i rozłożył ją tak, że wyciągnęła się na pięć stóp może, przymrużył lewe oko, umieścił lunetę przed

prawym i... zwrócił ją ku niebu, które tak długo obserwował bacznie i starannie, aż nie odezwał się wśród śmiechu ten sam głos:

- Złóżcie z powrotem wasz teleskop astronomiczny! Ja siedzę nie na księżycu, lecz tu w dole na naszej poczciwej matce ziemi. A teraz powiedzcie mi, skąd jedziecie?

Jeździec, posłuszny rozkazowi, złożył lunetę, wsadził ją do puszki, zamknął troskliwie i powoli, wcale się nie spiesząc, po czym dopiero wskazał ręką poza siebie i odpowiedział:

- Stamtąd!

- To widzę, mój staruszkule! A dokąd zmierzacie?

- Tam! - odrzekł zapytany, wskazując ręką przed siebie.

- Jesteście rzeczywiście niezrównanym chłopcem! - śmiał się

89

pytający, którego ciągle jeszcze widać nie było. - Ponieważ jednak znajdujecie się teraz na tej przeklętej prerii, więc sądzą, że znacie jej zwyczaje. Włóczy się tu tyle podejrzanego hołoty, że człowiek uczciwy jest zmuszony każde spotkanie brać nieco poważniej. Z powrotem możecie jechać w imię Boże, jeśli macie ochotę, gdybyście jednak zamierzali jechać dalej, jak wszystko na to wskazuje, to musicie nam dać odpowiedź, i to prawdziwą. A więc gadajcie! Skąd jedziecie?

- Z zamku Castlepool - odpowiedział zapytany tonem ucznia,

bojącego się surowego oblicza nauczyciela.

- Nie znam go! Gdzie to miejsce można znaleźć?

- Na mapie Szkocji - objaśnił posłusznie jeździec, a twarz jego

przybrała wyraz bardziej niemądry niż dotąd.

- Niech Bóg się zlituje nad waszym rozumem, sir! Co mnie

obchodzi Szkocja! A dokąd jedziecie?

- Do Kalkuty.

- Także mi nie znana. Gdzie leży ta piękna miejscowość?

- W Indiach Wschodnich.

- Tam do licha! Czy chcecie się tego słonecznego popołudnia

dostać konno ze Szkocji przez Stany Zjednoczone do Indii Wschodnich?

- Dziś niekoniecznie.

- Tak? No, to by nie było takie łatwe! Jesteście więc Englishman?

- Yes!

- Jaki wasz zawód?

- Lord.

- Do stu piorunów! Angielski lord z okrągłym pudłem na kape-lusze na głowie!

Trzeba się wam dokładniej przyjrzeć! Chodź, Uncle!

Ten człowiek może nas nie ugryzie. Mam wielką ochotę uwierzyć jsgo słowom. Albo jest niespełna rozumu, albo to rzeczywiście angielski lord z pięciu hektolitrami splinu!

Teraz ukazały się na szczycie najbliższego pagórka dwie postacie leżące dotąd w trawie; jedna długa, druga bardzo mała. Obie były odziane zupełnie jednakowo, całe w skórze, jak na prawdziwych westmanów przystało, nawet kapelusze z szerokimi kresami nosili ze skóry. Postać długa stała na pagórku sztywno jak słup, mały zaś był garbaty i miał nos krogulczy, którego grzbiet wyglądał ostro jak nóż.

Karabiny ich były to bardzo stare, długie rifles'y - strzelby. Garbus oparł swą kolbę o ziemię, a mimo to koniec lufy wystawał o kilka cali ponad jego kapelusz.

Zdawało się, że przemawia za obu, bo kiedy długi nie wyrzekł ani słowa, mały mówił dalej:

90

Stójcie jeszcze chwilę, master, inaczej strzelamy! Jeszcześmy ze sobą nie skończyli!

- Założymy się? zapytał Anglik.

O co?

- O dziesięć, pięćdziesiąt, sto dolarów! Zresztą, jak chcecie!

Ocof

Że ja was prędzej zastrzelę niż wy mnie.

- To przegracie!

- Tak myślicie? Well! Stawiamy więc po sto dolarów!

Sięgnął ręką ku jednej z toreb na naboje, przesunął ją naprzód i, otworzywszy, wyciągnął z niej kilka banknotów. Dwaj ludzie, stojący w górze, spoglądali na siebie zdumieni.

- Master - zawołał mały - zdaje mi się, że włączycie się po prerii z kieszenia pełną banknotów!

- A czy mógłbym się zakładać, gdybym nie miał pieniędzy przy sobie? A więc sto dolarów, mówicie? A może chcecie postawić więcej?

- My nie mamy wcale pieniędzy!

- To nic nie szkodzi. Ja wam tymczasem pożyczę na tak długo, póki nie będziecie mogli mi oddać.

Powiedział to z takim spokojem, że długi ze zdziwienia otworzył szeroko usta, a garbaty zawołał zupełnie zmieszany:

- Nam pożyczyc, aż będziemy mogli zwrócić! Czy jesteście tak pewni, że zakład wygracie?

- Naturalnie!

- Ależ, master! Żeby wygrać, musielibyście zabić nas, nim my was zastrzelimy, a jako zabici nie moglibyśmy wam długu zwrócić!

- To obojętne! Ja bym mimo to wygrał, a mam tyle pieniędzy, że waszych nie potrzebuję.

- Uncle! - rzeki mały do długiego, kiwając głową. - Takiego chłopca jeszcze nie widziałem. Musimy zejść ku niemu, aby mu się lepiej przypatrzeć.

Zszedł szybko z góry, a długi kroczył za nim sztywno, jakby kij połknął.

Stanąwszy w dolinie, garbaty odezwał się:

- Schowajcie wasze pieniądze! Z zakładu nic nie będzie. Przyjmijcie jednak radę ode mnie: nie pokazujcie tego portfela nikomu. Moglibyście gorzko żałować, a może nawet przypłacić życiem. Nie wiem doprawdy, co mam o was myśleć i co z wami począć. Zdaje mi się, że w waszej głowie nie wszystko jest w porządku. Musimy was wziąć na próbę. Lecz chodźcie kilka kroków dalej!

Wyciągnął rękę, aby wziąć konia Anglika za uzdę, gdy wtem

91

w obu rękach lorda błysnęły dwa rewolwery i ten krzyknął krótko surowym tonem:

- Ręce precz - albo strzelam!

Mały cofnął się przerażony i chciał chwycić za swój karabin.

- Puścić! Ani jednego ruchu, inaczej strzelam!

Postawa i twarz Anglika zmieniły się nagle. Nie były już te rysy, jak przedtem, nacechowane głupotą, a oczy jego błyszcząły tak wielką inteligencją i energią, że obu przeciwnikom odebrały moc wykrztuszenia choćby jednego słowa.

- Czy myślicie naprawdę, że jestem szalony? - rzekł lord.

- Uważacie mnie rzeczywiście za takiego, wobec którego możecie się zachowywać, jakby preria była tylko waszą własnością? To się mylicie!

Dotąd wy pytaliście mnie, a ja odpowiadałem. Teraz jednak ja także chcę wiedzieć, kogo mam przed sobą. Jak się nazywacie i kim jesteście?

Pytanie było zwrócone do małego; ten spojrział w bystro badające oczy obcego, które wywarły na nim szczególne wrażenie, i odpowiedział na pół gniewny, na pół zmieszany:

- Jesteście obcym i dlatego nie wiecie, że od Missisipi aż do Frisco -San Francisco- znają nas jako uczciwych myśliwych i za-stawiaczy sideł. Znajdujemy się teraz w drodze ku góróm, aby po-szukać jakiego towarzystwa łapaczy bobrów, do których chcielibyśmy się przyłączyć.

- Well! A wasze nazwiska?

- Nasze prawdziwe nazwiska nie zdadzą się wam na nic. Mnie nazywają Humpy-Billem, ponieważ jestem, niestety, garbaty - co zresztą wcale nie psuje mi humoru, a ten mój towarzysz znany jest jako Gunstick-Uncle, czyli Wujek Wycior, gdyż łązi po świecie tak sztywno, jakby połknął pręt armatni. No, teraz znacie nas i możecie powiedzieć także prawdę o sobie, nie robiąc głupich żartów!

Anglik patrzył na nich wzrokiem przeszywającym, jakby chciał zajrzeć im w głąb serc; potem rysy jego przybrały wyraz przyjazny, wyciągnął z portfela jakiś papier, rozłożył go, a podając tamtym, odpowiedział:

- Nie żartowałem. Ponieważ uważam was za dzielnych i uczci-wych ludzi, to popatrzcie na ten paszport.

Ci obejrzelili papier, przeczytali go i spojrzeli ku sobie, potem długi otworzył oczy i usta jak mógł najszerzej, a mały odezwał się tym razem bardzo przyjaznym tonem:

- Rzeczywiście lord, lord Castlepool! Ależ, mylordzie, czego chcecie na prerii? Wasze życie...

92

f - Pshaw! - przerwał Anglik. - Czego chcę? Poznać prerię i Góry Skaliste, potem zaś dojść do Frisco. Byłem już wszędzie na świecie, a tylko jeszcze Stanów Zjednoczonych nie znam. Lecz chodź-cie teraz do waszych koni! Bo myślę, że macie konie, chociaż ich jeszcze nie widziałem.

- Naturalnie, że mamy; stoją tam za pogórkiem, gdzie zatrzyma-liśmy się, aby wypocząć.

- To chodźcie ze mną!

Sądząc po jego tonie, uważał się za uprawnionego do wydawania im rozkazów. Zsiadł z konia i szedł przodem; za pagórkiem skubały trawę dwa konie tego gatunku, jakie pospolicie nazywa się ślepakami, kozłami, a nawet po prostu szkapami. Koń Anglika szedł za swym panem jak pies. Gdy tamte dwa chciały się do niego zbliżyć, zarżał gniewnie i wierzgnął kopytami.

- A to zjadliwa ropucha! - odezwał się Humpy-Bill. - Wydaje się nietowarzyski.

- O, nie! - odparł lord. - Tylko wie, że nie zaznajomiłem się jeszcze dobrze z wami, i dlatego chce przez pewien czas trzymać się z dala od waszych koni.

- Czy rzeczywiście taki mądry? Nie widać tego po nim. Wygląda na konia roboczego.

- Oho! Jest to prawdziwy kurdyjski „huzahn”, czyli ogier, jeśli łaska!

- Tak? A gdzie leży ten kraj?

- Między Persją a Turcją. Tam kupiłem to zwierzę i zabrałem je ze sobą do ojczyzny.

Powiedział to tak obojętnie, jakby przewieźć konia z Kurdystanu do Anglii, a stamtąd daiej do Stanów Zjednoczonych było równie łatwo, jak kanarka z Gór Harcu do Lasu Turyńskiego.

Myśliwi spojrzeli na siebie ukradkiem; lord zaś usadowił się wygodnie na trawie, gdzie przedtem siedzieli tamci. Leżało tam napoczęte udo jelenia; lord wyciągnął nóż, szybkim ruchem odciął potężny kawałek i swobodnie zaczął jeść.

- To dobrze! - rzekł garbus. - Tylko żadnych ceremonii na prerii.

- Ja ich też nie robię - odpowiedział lord. - Jeśli wczoraj zdobyliście tę pieczeń dla siebie i dla mnie, to to samo zrobię ja dziś lub jutro.
- Tak? Myślicie, mylordzie, że jutro będziemy jeszcze razem.
- I jutro, i jeszcze dłużej. Założmy się! Stawiam dziesięć dolarów, a nawet więcej, jeśli chcecie! - odparł chwytając za portfel.
- Pozostawcie w spokoju wasze banknoty - odpowiedział Hum-

pły. - Nie zakładamy się.

- To siadajcie przy mnie! Zaraz wam to wyjaśnię.

Obaj usiedli naprzeciw niego. Lord obejrzał ich jeszcze raz badawczo, a potem rzekł:

- Przybyłem w górę Arkansasu i wysiadłem w Mulvane. Chciałem

tam nająć jednego lub dwu przewodników, ale nie znalazłem takiego, który by mi się podobał. Sama hołota! Ruszyłem zatem w drogę, bo powiedziałem sobie, że prawdziwych westmanów znajdę tylko na prerii. Spotkałem was i podobacie mi się. Czy pójdziecie ze mną do Frisco?

- Mówicie to tak spokojnie, jakby to była jazda na jeden dzień.

- To jest jazda, a czy potrwa dzień, czy rok, to obojętne.

- Hm, tak. Ale czy macie pojęcie, co może was spotkać

w drodze?

- Mam nadzieję, że się dowiem.

- Nie życzyście sobie za wiele! Zresztą, nie możemy jechać z wami.

Nie jesteśmy tak bogaci, jak wy. My żyjemy z polowania i nie możemy robić wycieczki mogącej trwać całymi miesiącami.

- Zapłacę wam!

- Tak? No, to można by jeszcze o tym pomówić.

- Umiecie strzelać?

Garbus rzucił na lorda spojrzenie prawie obrażone i odpowiedział:

- Myśliwy na prerii i czy umie strzelać? To jeszcze gorsze, niż gdybyście zapytali, czy niedźwiedź umie gryźć. Obie te rzeczy są tak

pewne, jak mój garb.

- Chciałbym jednak zrobić próbę. Czy możecie zestrzelić te sępy

tam w górze?

Humply zmierzył okiem wysokość, na jakiej unosiły się ptaki, i odrzekł:

- Dlaczego nie? Wy naturalnie nie potraficie tego zrobić waszymi

pięknymi flintami.

Wskazał przy tym na konia lorda, u którego siodła wisiały jeszcze karabiny; były tak oczyszczone, że wyglądały jak nowe, co dla westmana jest wstydem.

- To strzelajcie! - rozkazał lord nie zwracając uwagi na ostatnie

słowa garbatego.

Ten wstał, złożył się, zmierzył krótko i pociągnął za kurek. Widać było, że jeden z sępów otrzymał postrzał, bo zatrzepotał skrzydłami i próbował się utrzymać w powietrzu, ale daremnie; musiał opaść, najpierw powoli, potem coraz prędzej, a wreszcie ściągnął skrzydła, przycisnął je do ciała i runął z góry na ziemię jak ciężka bryła.

94

-- No, mylord, co powiecie na to? - zapytał strzelec.

- Nieźle! - brzmiała odpowiedź.

- Co? Tylko nieźle? Weźcie pod uwagę tę wysokość i to, że kula trafiła ptaka prosto w serce, bo już w górze był martwy! Każdy znawca nazwałby ten strzał mistrzowskim.

- We!!! Drugi - skinął lord na długiego, nie odpowiadając na zarzut garbusa.

Gunstick-Unc'3 podniósł się sztywno z ziemi, oparł lewą rękę na swym długim karabinie, wzniosł prawą jak deklamator, zwrócił oczy w niebo ku drugiemu sępowi i odezwał się patetycznie:

- Kraży orzeł po przestworzach nieba, gdzie się rozciąga ziemi gleba; czy gdzie nie leży martwe ciele; ja go jednakże i tak zastrzelę!

Przy wygłaszaniu tych rymów postawa jego była tak sztywna i kanciasta jak u manekina. Nie odezwał się dotychczas ani słowem, toteż tym większe wrażenie musiały wywołać te wspaniałe rymy. Tak myślał długi; dlatego opuścił wyciągniętą rękę, zwrócił się ku lordowi i spojrział na niego w dumnym oczekiwaniu. Anglik od dawna przybrał już swą niemądrą minę; teraz przez twarz jego przebiegło drgnienie, jakby walczył ze śmiechem lub płaczem.

- Czy słyszeliście dobrze, mylordzie? - zapytał garbaty. - Tak.

Gunstick-Uncle jest wykształconym człowiekiem. By! dawniej ak-torem, a dotąd jest jeszcze poetą. Mówi nadzwyczaj mało, ale gdy raz otworzy usta, to płyną z nich tylko anielskie pienia, to jest rymy.

- Well! - odparł Anglik. - Czy mówi w rymach, czy nie, to jego rzecz; ale czy umie strzelać?

Długiemu poecie wyciągnęły się usta od ucha do ucha i wyrzucił rękę daleko przed siebie, co miało być gestem pogardy; potem podniósł karabin, aby się złożyć, ale opuścił go zaraz, bo stracił stosowną chwilę; podczas jego patetycznego występu samica, przerażona śmiercią swego towarzysza, postanowiła się oddalić. Ptak odleciał już dość daleko.

- Niemożliwe trafić - rzekł Humpy. - Prawda, Uncle?

Zapytany podniósł obie dłonie ku niebu w stronę, gdzie widać było sępa, i odpowiedział doniosłe:

- Niosą go skrzydła hen, w przestwory, gdzie widać w dali ciemne bory i ku swej wielkiej radości uniósł stąd zdrowe swe kości, a kto by go chciał zastrzelić, musiałby lot z nim dzielić!

- Bzdura! - krzyknął lord. - Czy sądzicie rzeczywiście, że nie można go trafić?

- Tak, sir - odparł Humpy. - Żaden westman tego JUŻ nie dokona.

95

-- - Tak?

Przez twarz lorda przeszło szybkie jak błyskawica drgnienie. Przy-stąpił spiesznie do konia, zdjął z rzemienia jeden ze swych karabinów, odsunął bezpiecznik, złożył się, wycelował, nacisnął kurek - a wszys-tko to w ułamku sekundy - spuścił sztucer ku ziemi, usiadł, chwycił udo jelenie, aby odciąć z niego jeszcze kawałek, i rzekł:

- No i jak? Można go było trafić?

Na twarzach obu myśliwych pojawił się wyraz najwyższego zdumienia, a nawet podziwu. Ptak został trafiony, i to dobrze, bo spadał na ziemię ze zwiększającą się szybkością po linii spiralnej, coraz się zwężającej.

- Wonderful -! - zawołał Humpiy zachwycony. - Mylordzie,

jeśli to nie przypadek...

Przerwał, bo obróciwszy się ku Anglikowi, ujrzał, że ten siedzi na ziemi odwrócony plecami w tę stronę, w którą skierował swój strzał myśliwski. Było to wprost nie do wiary.

- Ależ, mylordzie - podjął. - Obróćcież się przecież! Nie tylko trafiliście tego sępa, ale rzeczywiście zabiliście go!

- Wiem o tym - odparł Anglik i nie oglądając się, wsadził do

ust nowy kawałek mięsa.

- Przecież nawet nie patrzycie na to!

- To niepotrzebne. Moje kule nigdy nie chybiają.

- Jesteście więc człowiekiem, który, przynajmniej co się tyczy strzelania, może zupełnie śmiało mierzyć się z najznakomitszymi westmanami Zachodu: Winnetou, Old Firehandem lub Old Shatter-

handem. Czy nie, Uncle?

Wujek Wycior przybrał znowu swą postawę aktora i odpowiedział gestykulując obu rękami:

- Sępowi na zgon grajmy, bo strzał był nadzwyczajny, a mojej

sławy dzwony...

- I przestań pleść androny! - przerwał Anglik, wpadając w jego ton. - Po co te rymy i pozy! Chciałem wiedzieć, jakimi strzelcami jesteście. Teraz usiądźcie i pomówmy rozsądnie! A więc pojedziecie ze mną, a ja wam zapłacę za podróż. Zrozumiano?

Tamci spojrzeli po sobie, porozumieli się skinieniem głowy i odpowiedzieli zgodnie:

- Tak!

- Well! A ile żądacie?

- Hm! Mylord, wasze pytanie wprawia nas w kłopot. Jeszcze

- Wonderful -ang.- - cudownie.

96

nigdy nie byliśmy w niczyjej służbie, a o tak zwanej zapłacie-wobec scoutów, przewodników, za jakich mamy uchodzić, właściwie nie może być mowy.

- Ali right! Macie swój honor i to mi się podoba. Może tu być mowa tylko o honorarium, do którego, gdy będę z was zadowolony, dodam gratyfikację.

Przyszedłem na prerię, aby zażyć przygód i zoba-czyć sławnych myśliwych; dlatego stawiam wam taką propozycję: za każdą przeżyta tu przygodę płacę pięćdziesiąt dolarów.

- Sir! - zaśmiał się Humpiy. - Staniemy się ludźmi bogatymi, bo przygód tu nie brak. Dożyć ich można, tak, ale czy przeżyć także, to jeszcze pytanie. My dwaj nie uchylamy się od nich, ale dla obcego byłoby lepiej unikać przygód, zamiast ich szukać.

- Ja ich jednak chcę doświadczyć! Zrozumiano? Chcę się również zetknąć ze sławnymi westmanami. Wymieniliście poprzednio trzy nazwiska, o których już wiele słyszałem. Za spotkanie każdego z tych myśliwych płacę sto dolarów!

- Do wszystkich diabłów! Czy macie tyle pieniędzy przy sobie,

mylordzie?

- Mam tyle, ile potrzebuję na drogę. Pieniądze otrzymacie dopie-ro we Frisco u mojego bankiera. Czy jesteście zadowoleni?

- Tak, bardzo! Tu nasze ręce!

Obaj podali mu ręce, po czym lord przesunął drugą torbę ku przodowi, otworzył ją i wyciągnął książeczkę.

- To jest mój notatnik, w którym wszystko zostaje zapisane

- oświadczył}. - Każdemu z was otworzę w nim konto, a nad tym umieszczę jego głowę i nazwisko.

- Jego głowę? - zapytał garbus zdziwiony.

- Tak! Głowę! Siedźcie przez chwilę, nie ruszając się, tak jak

teraz.

Otworzył książeczkę i wziął do ręki ołówek.

Widzieli, jak na przemian spoglądał to na nich, to znowu na papier, a przy tym poruszał ołówkiem. Po paru minutach pokazał im, co narysował: ujrzeli swe twarze, dosyć podobne, a pod nimi nazwiska.

- Na tych kartkach będziemy kolejno umieszczać, co wam będę winien - oświadczył lord. - Jeśli przydarzy mi się nieszczęście, to zabierzcie tę książeczkę do Frisco i pokażcie ją bankierowi, którego nazwisko tu wpisałem; ten wypłaci wam natychmiast należną sumę bez żadnych potrąceń.

- To wspaniała urządzenie - odparł Humpiy. - Wprawdzie nie życzymy wam, byście... Patrz no, Uncle, spojrzysz tylko na nasze konie!

7 - Skarb

97

Strzygą uszami i wydymają nozdrza. Musi być w pobliżu ktoś obcy.

Rolling-prairie jest niebezpieczna. Gdy się jest na górze, każdy de spostrzeże, a zostaniesz na dole, to nie możesz zauważyć zbliżania snę nieprzyjaciela. Muszę jednak wejść na górę.

- Ja pójdę z wami - oświadczył lord.

- Pozostańcie tu lepiej, sir! Moglibyście mi zepsuć sprawę.

- Pshaw! Ja niczego nie psuję.

Poszli więc obaj z doliny ku szczytowi pagórka. Kiedy go już prawie dosięgli, położyli się na ziemi i poczołgali ostrożnie na górę. Trawa zakrywała ich ciała, a głowy podnosili tylko tyle, ile było konieczne, aby rozejrzeć się dookoła.

- Hm, jak na nowicjusza zaczynacie, sir, wcale nieźle - chwalił

Humply. - Ja sam mógłbym zaledwie to lepiej zrobić. Czy widzicie tego człowieka tam na drugim pagórku, wprost przed nami?

- Yes, Indianin, jak się zdaje.

- Tak, to czerwonoskóry. Czyżbym - ach, sir, pobiegnijcie na

dół i przynieście waszą perspektywę, abyśmy mogli zobaczyć twarz tego człowieka.

Lord usłuchał wezwania.

Indianin leżał w trawie na pagórku i patrzył uważnie ku wschodo-wi, gdzie jednak nic nie było widać. Kilkakrotnie unosił tułów, aby rozszerzyć swój widnokrąg, zaraz jednak opuszczał się szybko na ziemię. Jeśli oczekiwał kogo, musiała to być zapewne osoba wroga.

Tymczasem lord przyniósł perspektywę, nastawił ją i podał gar-busowi.

Gdy Humply skierował szkła na Indianina, ten spojrział właśnie na

krótką chwilę w tył, tak że można było zobaczyć jego twarz. Garbus

odjął natychmiast lunetę od oczu, zerwał się zupełnie, aby Indianin

mógł ze swego stanowiska dojrzeć jego postać, przyłożył ręce do ust

i zawołał głośno:

- Meneka szecha, meneka szecha! Niech mój czerwony brat

przyjdzie do swego białego przyjaciela!

Indianin obrócił się szybko, a poznawszy garbatą postać wołające-go, zsunął się błyskawicznie ze szczytu pagórka i znikł w dolinie.

- Teraz, mylordzie, będziecie musieli zaraz zapłacić pierwsze pięćdziesiąt dolarów - odezwał się Humply do Anglika, schylając ramię

znowu.

- Czy będzie jaka przygoda?

- Bardzo prawdopodobne, bo wódz z pewnością wypatrywał

wrosa.

- On jest wod-zcm?

- Tak, to dzielny człowiek, wódz Osedżów. Uncle i ja wypaliliś-my z nim fajkę pokoju i braterstwa: jesteście więc zobowiązani przyjść mu z pomocą.
- Well. W takim razie chciałbym, żeby oczekiwał nie tylko jednego, ale możliwie wielu przeciwników!
- Nie wywołujcie wilka z lasu! Tego rodzaju życzenia są niebez-pieczne, bo się bardzo łatwo spełniają. Chodźmy na dół. Uncle się ucieszy, ale też i zdziwi, że wódz znajduje się w tej okolicy.
- Jak nazwaliście Indianina?
- W języku Osedżów „Meneka szecha”, co znaczy „Dobre Słoń-ce”, albo „Wielkie Słońce”. Słońce jest bardzo odważnym i doświad-czonym wojownikiem, a przy tym przyjacielem białych, chociaż Ose-dżowie należą do nie ujarzmionego jeszcze plemienia Sjuksów.

Przyszedłszy na dół, zastali Uncle'a w jego sztywnej, teatralnej pozie; słyszał, co mówili, i chciał jak najgodniej przywitać swego czerwonego przyjaciela. Tymczasem konie zaczęły znów parskać i ukazał się Indianin. Nosił zwykłą indiańską odzież skózaną, podartą jednak w kilku miejscach i poplamioną świeżą krwią. Broni nie miał żadnej. Na jego policzkach widniało wytatuowane słońce. Skórę na przegubach obu rąk miał startą: widocznie związano go, lecz zdołał te więzy rozerwać - w każdym razie uciekał sagany przez wrogów. Mimo niebezpieczeństwa, które mu groziło i mogło być już blisko, zbliżał się bardzo powoli i nie zwracając początkowo uwagi na Anglika, podał rękę obu myśliwym. Rzekł też spokojnie najczystsza angielszczyzna:

- Poznałem zaraz głos i postać mojego brata i przyjaciela, cieszę się, że mogę was powitać.
- My cieszymy się również, możesz być tego pewny - od-powiedział Humply, a drogi Uncle, trzymając obie ręce wyciągnięte nad głową Indianina, jakby go chciał pobłogosławić, zawołał:
- Witaj mi po tysiąc razy, gdyś zestąpił na te głązy, wielki wodzu, skarbie mój
- siadź tu przy mnie i nie stój; i uciawszy kęs pieczeni, zjedz, usiadłszy, ot na ziemi!

Tu wskazał na trawę, gdzie leżało to, co lord z uda zostawił, mianowicie kość z kilku żyłami, których nawet nożem nie można było przeciąć.

- Cicho, Uncle - nakazał Humply. - Teraz rzeczywiście nie ma czasu na twoje poezje. Czy nic widzisz, w jakim stanie wódz się znajduje?
- Związany, lecz uwolniony, umknął aliczkiem w nasze strony i tu będzie ocalony
- odpowiedział złajany.

- \ Garbus odwrócił się od niego, wskazał na lorda i rzekł do Osedża:
- Ta blada twarz jest mistrzem w strzelaniu, a naszym nowym

przyjacielem. Polecam go tobie i twemu szczerpowi.

Teraz czerwonoskóry podał także Anglikowi rękę i odpowiedział:

Jestem przyjacielem każdego dobrego i uczciwego białego;

złodziei, morderców i gwałcicieli niechaj jednak pożre mój tomahawk!

- Czy spotkałeś się z tak złymi ludźmi? - dowiadywał się Humply.

- Tak! Niech moi bracia trzymają swe strzelby w pogotowiu, bo d, którzy mnie tropią, mogą tu zjawić się każdej chwili, chociaż ich dotąd dojrzeć nie mogłem. Oni jadą konno, a ja musiałem iść pieszo, ale nogi Dobrego Słońca są tak szybkie i wytrwałe jak nogi jelenia, którego żaden koń nie dopędzi. Zrobiłem w ucieczce wiele łuków i zakrętów, a także wracałem często z powrotem. Oni dybiają na moje

życie.

- Czy jest ich wielu?

- Tak, jest wiele, wiele ludzi, kilkuset złych mężów, których blade

twarze nazywają trampami.

- Trampowie? Skąd się tu wzięli i czego chcą w tej ustronnej

okolicy? Gdzie się znajdują?

- W tym kącie lasu, który nazywa się Osage-nook, a jak my

mówimy „róg mordu”, ponieważ tam zamordowano podstępnie naszego najslawniejszego wodza wraz z jego dzielnymi wojownikami. Każdego roku, kiedy księżyc wypełni się po raz trzynasty, kilku wysłańców naszego szczepu odwiedza to miejsce, aby przy grobach zabitych bohaterów odprawić taniec śmierci. Tak samo i w tym roku ja z dwunastu wojownikami opuściliśmy nasze pastwiska, aby udać się do Osage-nook. Przybyliśmy tam przedwczoraj i rozbiliśmy obóz przy grobach, a dziś mieliśmy rozpocząć święte obrzędy. Wystawiłem dwie straże, lecz białym mężom udało się niepostrzeżenie podkraść w nasze pobliże. Widzieli zapewne ślady, pozostawione przez nasze stopy i przez kopyta naszych koni, i w czasie tańca napadli na nas tak nagle, że zaledwie znaleźliśmy czas do oporu. Byli w sile kilkuset głów; zabiliśmy kilku z nich, a oni zastrzelili ośmiu naszych; mnie i czterech pozostałych pokonali i związali. Dowiedzieliśmy się, że dziś wieczór mamy być męczeni i spaleni na stosie. Trampowie rozłożyli się obozem przy grobach; odsunęli mnie od moich wojowników, abym nie mógł z nimi rozmawiać, i przywiązali do drzewa. Pozostawiono przy mnie jednego białego strażnika, ale rzemień, którym byłem skrupowany, był dość słaby i rozerwałem go. Wprawdzie werznął mi się głęboko w ciało, jednak uwolniłem się, a kiedy strażnik na chwilę się oddalił, skorzystałem z tego, aby się po kryjomu wymknąć.

100

- A twoi czterej towarzysze? - zapytał Bili.

- Ci są tam jeszcze. Czy sądzisz, że powinienem być ich po-szukać? Nie mógłbym ich uratować i sam zginąłbym wraz z nimi. Postanowiłem pospieszyć do farmy Butlera, który jest moim przyja-cielem, i stamtąd sprowadzić pomoc.

Humpy-Bill potrząsnął głową i powiedział:

- Prawie niemożliwe! Z Osage-nook do farmy Butlera jest dob-rych sześć godzin konno; na złym koniu trzeba jeszcze znacznie więcej czasu. Jak możesz więc powrócić stamtąd na wieczór, zanim twoi towarzysze umrą?

- Nogi Dobrego Słońca są równie szybkie, jak konia - od-powiedział wódz pewny siebie. - Moja ucieczka będzie miała ten skutek, że odłożą wykonanie wyroku śmierci i będą się przede wszys-tkim starali wszelkimi siłami schwytać mnie na powrót. Pomoc nade-szłaby w stosownym czasie.

- Ten wniosek może być prawdziwy lub też nie. Dobrze, że spotkałeś się z nami, bo teraz nie potrzebujesz pędzić do farmy Butlera. Pójdziemy z toba, aby ocalić twoich towarzyszy.

- Czy mój biały brat chce rzeczywiście tak uczynić? - zapytał radośnie Indianin.

- Naturalnie! Jakżeby inaczej? Osędzowie są przecież naszymi przyjaciółmi, gdy tymczasem trampowie to wrogowie każdego uczci-wego człowieka.

- Ale jest ich tak dużo, tak bardzo dużo, a my mamy zaledwie osiem rąk.

- Pshaw! Cztery chytne głowy mogą się ważyć na to, aby się podkraść pod całą bandę trampów dla wydobycia z ich rąk kilku jeńców. Co myślisz o tym, stary Uncle?

Zapytany wyciągnął obie ręce, zamknął w ekstazie oczy i zawołał:

- Pojadę chętnie, z radością dużą, tam gdzie te białe łotry leżą, i bez obawy dla mej przyszłej doli wyciągnę wszystkich czerwonych z niewoli!

- Pięknie! A wy, mylordzie?

Anglik wyjął tymczasem swój notatnik, aby zapisać w nim imię wodza; teraz schował go do kieszeni i odpowiedział:

- Naturalnie, że jadę z wami, przecież to jest przygoda!

- Ale bardzo niebezpieczna, sir!

- Tym lepiej! Za to zapłacę o dziesięć dolarów więcej, a więc sześćdziesiąt. Jeśli jednak chcemy jechać, to musimy postarać się o konia dla Dobrego Słońca!
- Hm, tak! - odrzekł garbaty, patrząc na niego badawczo.
- Ale skąd go weźmiecie, hę?

101

- Naturalnie, że od jego prześladowców, którzy prawdopodobnie

znajdują się niedaleko za nim.

- Bardzo słusznie, bardzo słusznie! Nie jesteście, sir, niezaradny i myślę, że możemy z przyjemnością popracować razem. Tylko byłoby przy tym pożądanym, ażeby nasz czerwony przyjaciel miał jaką broń.

- Odstąpię mu jeden z moich karabinów. Oto jest! Sposób użycia zaraz mu wyjaśnię. A teraz nie traćmy czasu, lecz ustawmy się tak, aby prześladowcy, przyszedłszy tutaj, znaleźli się zamknięci ze wszystkich

czterech stron.

Wyraz zdumienia na twarzy małego stawał się coraz wyraźniejszy.

Zmierzył Anglika pytającym wzrokiem i odpowiedział:

- Mówicie, sir, jak stary, doświadczony myśliwy! Jakże właściwe

mamy to uczynić?

- Bardzo prosto! Jeden z nas pozostanie tutaj na wzgórzu i przywita drabów w taki sposób, jak wy przyjęliście mnie przedtem. Trzej inni zakreślą łuk i wejdą na sąsiednie pagórki. Tak draby znajdują się między czterema obsadzonymi wzgórzami, a my będziemy ich mogli, w razie potrzeby, zdmuchnąć, podczas gdy oni zauważą tylko dym

naszych strzałów.

- Well! Widzę, że nie ma z wami kłopotu, i bardzo się z tego cieszę. Przyznaję, że chciałem zaproponować zupełnie ten sam plan. Czy zgadzasz się, stary Uncle?

- Tak jest! Zostaną otoczeni - i wszyscy trupem połozeni!

- zadeklamował Gunstick.

- Dobrze, ja więc zostaję, aby do nich przemówić, skoro nadejdą.

Mylord pójdzie na prawo, ty na lewo, a wódz umieści się na pagórku tam przed nami. W ten sposób dostaniemy ich między siebie, a czy ich zabijemy, czy nie, to zależy będzie od tego, jak się zachowają. Jeśli zaś strzelę do którego, będzie to znakiem, że macie strzelać. Oszczę-dzajcie jednak konie, bo są nam potrzebne.

A teraz naprzód, panowie;

sądzę, że nie ma co zwlekać!

Po tych słowach wszedł na pagórek, a również trzej inni zniknęli po obu stronach doliny. Lord zabrał ze sobą perspektywę.

Minał może kwadrans, a nie dostrzeżono jeszcze żadnej ludzkiej istoty.

Nagle z pagórka, na którym leżał Anglik, dał się słyszeć głośny okrzyk:

- Baczość! Nadchodzą!

- Ciszej! - odpowiedział garbaty.

- Pshaw! Nie usłyszą, są prawie o milę.

- Gdzie?

102

- Wprost na wschód. Zobaczyłem przez lornetę dwu ludzi stojących na wzgórzu. Patrzą zapewne, czy nie ujrzą gdzie wodza.

Przeszedł znowu jakiś czas w spokoju, nim dał się słyszeć stukot kopyt końskich. Wreszcie ukazało się dwóch ludzi, jadących obok siebie; byli bardzo dobrze uzbrojeni i siedzieli na dobrych komach;

oczy mieli utkwione bacznie w ślady wodza, którego ścigali. Tuż za nimi ukazało się jeszcze trzech; było więc pięciu prześladowców. Kiedy dotarli do połowy doliny. Bili zawołał:

- Stop, panowie! Ani kroku dalej albo posłyszycie moją strzelbę!
- Przybyli zatrzymali się zaskoczeni i spojrzeli w górę, ale nie zobaczyli nikogo, bo garbus leżał głęboko w trawie; jednakże po-słuchali jego rozkazu, a jadacy przodem odpowiedzieli:
- Do wszystkich diabłów! Cóż to za opryszki? Pokażcie się i powiedzcie, jakie macie prawo zatrzymywać nas?
 - Prawo każdego myśliwego!
 - My jesteśmy także myśliwymi. Jeśliście człowiekiem uczciwym, to się pokażcie!

Trampowie wzięli przy tych słowach karabiny do rąk; choć nie wyglądali wcale pokojowo, Humpty odpowiedział:

- Jestem uczciwym człowiekiem i mogę się wam pokazać. Oto jestem!

Zerwał się tak, że mogli zobaczyć całą jego postać, ócz;' jednak miał bacznie zwrócone na nich.

- Do pioruna! - zawołał jeden. - Jeśli się nie mylę, to jest Humpty-Bill.
- Tak mnie rzeczywiście nazywają.
- To i Gunstick-Uncle jest w pobliżu, bo ci dwaj nie rozłączają się nigdy.
- Czy nas znacie?
- ; - To się rozumie! Mam z dawna z wami do pogadania!
- A ja was jednak nie znam.
- Możliwe, widzieliście mnie z daleka. Chłopcy, ten drab włazi nam w paradę, a może i zwąchał się z czerwonoskórymi. Musimy go skrócić o głowę!

Zmierzył do małego człowieczka i nacisnął kurek. Humpty-Bill upadł błyskawicznie, jakby ugodzony kulą.

- Tam do licha, to było dobrze wycelowane! - zawołał drab.
- Teraz jeszcze Guń...

Nie dokończył zdania. Bili rzucił się na ziemię, aby nie zostać trafionym; teraz obie lufy jego strzelby błysnęły szybko, a zaraz potem zagrzechotały karabiny trzech innych. Pięciu trampów runęło,

103

a zwycięzcy zeszli w dolinę, aby nie dopuścić do ucieczki koni. Trampów przeszukano.

- Niezła robota - rzeki Bili. - Ani jeden strzał nie chybił! Śmierć nastąpiła natychmiast.
- Wódz Osedżów przyglądał się obu ludziom, do których celował w czoło, a widząc małe otwory tuż nad nasadą nosa, zwrócił się do lorda:
- Strzelba mojego brata jest małego kalibru, lecz to niezwykła broń, na której można polegać.
 - Tak myślę! - odparł Anglik. - Zamówiłem obie straelby specjalnie na prerię.

Ossdż zwrócił karabin, lecz zrobił to z wyraźnym żalem. Zabitym zabrano wszystko, co się mogło przydać, po czym Anglik zapytał:

- Czy teraz do trampów?
- Naturalnie! Znam tę okolicę i wiem, że przed wieczorem nie dostaniemy się do Osage-nook, bo musimy zatoczyć łuk, aby dostać się do lasu poza nimi.
- A te trupy?
- Pozostawimy je po prostu. A może macie ochotę wyprawić tym drabom pogrzeb i zbudować mauzoleum? Niech ich pochowają sępy i kujoty w swych brzuchach!

Konie związane razem, po czym wszyscy dosiedli wierzchowców i ruszyli wprost na północ, aby potern zawrócić ku wschodowi. Wódz był przewodnikiem. Przez całe

popołudnie jechano przez falistą prerię. Kiedy słońce miało się już skryć za horyzontem, ujrzano w oddali ciemny pas lasu. Osedź oświadczył:

- To jest tylna ściana lasu; przednia zgina się ku wewnątrz i tworzy kąć - „róg mordy”. Tam leżą grobowce naszych pomordowanych. Za ćwierć godziny możemy się dostać do obozu trampów.

Na to Humpy-Bill zatrzymał konia, zeskoczył i nie mówiąc ani słowa, siadł na trawie. Uncle i Indianin poszli za tym przykładem. Wobec tego i Anglik zsiadł również.

- Myślę, że nie powinniśmy tracić czasu. Jak uwolnimy Osedźów, jeśli będziemy siedzieli tutaj z założonymi rękami? - zapytał.

- Nie macie racji, sir! - odpowiedział garbaty. - Czy sądzicie, że trampowie będą siedzieć spokojnie w swoim obozie?

- Chyba nie!

- Z wszelką pewnością nie! Muszą przecież jeść, a w tym celu będą, polować. Będą więc włóczyć się po lesie, który w tym miejscu, gdzie do niego wejdziemy, ma szerokości co najwyżej kwadrans drogi.

Należy się spodziewać, że właśnie tam znajdują się ludzie, którzy by

104

nas zobaczyli. Musimy więc poczekać, aż się ściemni; wtedy wszystkie draby ściągną do boru, a my będziemy mogli dostać ss/f. niepostrzeżenie do lasu. Czy zgadzacie się?

- Well - skinął lord siadając teraz również. - Nie myślałem, że mogę być taki głupi!

- Tak! Wpadlibyście tym włóczęgom prosto w ręce, a Uncle i ja

musielibyśmy nosić wasz notatnik aż do Frisco, a co nie dano by nam ani dolara.

- Nie dano? Dlaczego?

- Bośmy naszej przygody nie przeżyli jeszcze.

- Przeżyliśmy! Już się skończyła i została wciągnięta. Spotkanie z wodzem i zastrzelenie pięciu trampów było całą przygodą - za

pięćdziesiąt dolarów. Już jest w notatniku zapisane. Uwolnienie Osedźów jest nową przygodą.

- Także za pięćdziesiąt dolarów?

- Yes!

- No, to notujcie ciągle, sir! - śmiał się BiU. - Jeśli każde zdarzenie rozkładać na tyle podprzygód, to zapłacicie nam w Frisco taką sumę, że nie będziecie wiedzieć, skąd wziąć pieniądze!

Lord uśmiechnął się lekko.

- Wystarczy! Mogę wam zapłacić, nie będąc zmuszonym do sprzedania zamku Castlepool.

Słońce wreszcie zaszło, a przez dolinę przemykały JUŻ cienie mroku, podnosiły się coraz wyżej, zalały także pagórki, a wreszcie osłoniły całą ziemię ponurą szatą. Niebo było ciemne i bez gwiazd.

Teraz ruszono w dalszą drogę, ale nie dojechano do samego lasu.

Ostrożność nakazywała pozostawić zwierzęta na miejscu otwartym; drewniane paliki, które wbija się w ziemię, aby uwiązać do nich konie, nosi każdy westman ze sobą. W taki też sposób przywiązano zwierzęta i zwrócono się potem gęsiego ku lasowi.

Czerwonoskóry szedł przodem. Stopy jego dotykały ziemi tak cicho, że ucho nie mogło usłyszeć żadnego szmeru. Lord, idący za nim, zadawał sobie wiele trudu, aby iść równie niedosłyszalnie. Wokoło nie było nic słyhać, jedynie lekki wiaterek poruszał wie-rzchołki drzew.

Nagle Osedź chwycił Anglika za prawą rękę i szepnął:

- Niech mój brat poda rękę następnemu, aby blade twarze tworzyły łańcuch, który ja poprowadzę.

Macając przed sobą wyciągniętą ręką, drugą ciągnął za sobą białych. Tak szli przez dłuższy czas. W końcu wódz stanął i szepnął:

- Niech moi bracia słuchają! Głosy trampów'

105

Rzeczywiście usłyszeli rozmowę, choć w wielkiej odległości, tak as słów nie można było zrozumieć. Po kilim jesacze krokach spost-rzeżono słaby blask.

- Niech moi bracia zaczekają, aż powrócę powiedział Słońce

i natychmiast pomknął naprzód

Minęło przeszło pół godziny, zanim powrócił, a nikt nie widział ani

- nie słyszał jego przyjścia; tak nagle wychylił się przed nimi, jakby

wyrósł spod ziemi.

- No? - zapytał Bili. - Co nam powiesz?

- Że więcej trampów przyszło, znacznie więcej.

- Do licha! Czy draby myślą odbywać tu mityng? Wtedy biada

farmerom tej okolicy! Czy coś słyszałeś?

- Rozpalono kilka ognisk i cały plac był oświetlony, a trampowie

utworzyli koło, w którym stała jakaś blada twarz z czerwonymi włosami i przemawiała długo i bardzo głośno. Uwaga moja jednak zwrócona była na to, aby odszukać czerwonych braci, i dlatego zapamiętałem bardzo mało z tego, co tramp mówił. Wiem tylko, że obiecywał im, iż bardzo prędko się wzbogacą, jeżeli pójdą za jego radą i ograbiają bogatych.

- Cóż jeszcze?

- Nie zważałem dobrze na jego słowa. Wspomniał również o ja-kiejś wielkiej, pełnej kasie kolejowej, którą chce opróżnić. Potem jednak nie słuchałem więcej, bo zobaczyłem miejsce, w którym znaj-dują się moi czerwoni bracia

- Gdzież to jest?

- Przy mniejszym ognisku. Stoją przywiązani do drzewa, a przy

każdym z nich siedzi tramp, pilnując go.

- To niełatwo tam się zakraść?

- Można. Mógłbym nawet sam rozciąć ich więzy, ale chciałem wpierw sprowadzić moich białych braci. Poczłgałem się jednak do moich wojowników i powiedziałem im, że będą uratowani.

- Ci trampowie nie są wcale westmanami! Jest to przecież wielką głupotą nie umieszczać jeńców w środku obozu. Zaprowadź nas do

nich!

Prowadzona przez wodza czwórka przemykała się od drzewa do

drzewa, starając się przy tym pozostać o ile możności w cieniu pni.

Tak zbliżyli się szybko do obozu, w którym naliczyli teraz siedem

ognisk. Najmniejsze płonęło w samym środku kąta, bardzo blisko

drzew, i tam wódz skierował swe kroki. Raz zatrzymał się na krótko

i szepnął do towarzyszy:

- Teraz siedzi przy tym ognisku kilka bladych twarzy. Przedtem

106

nie było przy nim nikogo. Mąż z czerwonymi włosami jest tam także. Ci ludzie są, jak się zdaje, przywódcami. Czy widzicie o kilka kroków dalej, przy drzewach, moich Osedźów?

- Tak , - odpowiedział garbus. - Rudy przestał przemawiać i teraz te draby siedzą z dala od innych, zapewne dla narady. Będzie więc bardzo ważne dowiedzieć się,

co zamierzają. Tak wielu trampów nie zgromadziło się tu dla drobnostki!
Szczęściem, pod drzewami jest

kilka krzaków. Podczołgam się więc, aby podsłuchać, o czym rozmawiają.

- Niech mój brat tego nie czyni - ostrzegł Wielkie Słońce.

; - Dlaczego? Czy myślisz, że dam się schwytać?

- Nie! Ja wiem, że mój brat zna się dobrze na podkradaniu, ale mogliby jednak zobaczyć.

- Zobaczyć, ale nie schwytać!

- Tak. Mój brat ma lekkie nogi i potrafi szybko uciec, ale wówczas będzie dla nas. niemożliwe uwolnić Osędzów.

- Nie! Powalimy strażników i rozetniemy Osędzom więzy, a po-tem szybko przez las i do koni. Chciałbym zobaczyć trampa, który by nam przeszkodził! A więc poczołgam się. Jeśli mnie zauważą, to

skoczcie szybko po jeńców. Stać nam się nic nie może. Tu moja strzelba, Uncle! Oddawszy towarzyszowi strzelbę, położył się na ziemi i poczołgał ku ognisku. Celu swego dopiął znacznie łatwiej, niż myślał. Tram-powie bowiem rozmawiali tak głośno, że Bili zatrzymał się prawie w pół drogi, a mimo to słyszał każde słowo. Wódz nie pomylił się, sądząc, że czterej ludzie, siedzący przy małym ognisku, są przywódcami. Jednym z nich, owym z czerwoną głową, był kornel Brinkley, który z kilku swymi ludźmi, zbiegłymi przed rafterami, przybył do obozu tego dnia pod wieczór. Właśnie przemawiał w tej chwili, a Humply-Bill słyszał jego słowa:

- Mogę wam przyrzec, że wynik będzie nadzwyczajny, bo tam znajduje się główna kasa. Zgadzaście się więc?

- Tak, tak! - odpowiedzieli pozostali.

- A co będzie z farmą Butlera? Czy chcecie ją napaść razem re mna, czy też mam to zrobić na własną rękę?

- Idziemy naturalnie z tobą! - oświadczył jeden. - Nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy pozwolić, ażeby pieniądze wpadły jedy-nie do twojej kieszeni. Pytanie tylko, czy rafterzy się tam znajdują?

- Jeszcze nie. Rafterzy nie mieli koni, podczas gdy ja zaraz następnego dnia zdobyłem dobrego kłusaka. Nie mogą zatem być już na farmie. A Butler jest dość bogaty. Napadniemy na farmę, złupimy

107

ja, a potem będziemy spokojnie oczekiwać przybycia rafterów i tych łotrów, którzy nimi dowodzą.

- Czy wiesz na pewno, że przyjdą?

- Z wszelką pewnością. Ten Old Firehand ma tam przybyć ssę względu na inżyniera, który zapewne już kawał czasu na niego

oczekuje.

- Jakiego inżyniera? Co to za interes?

- Nic. To jest sprawa dla was zupełnie obojętna. Może opowiem wam o tym innym razem. A może was wezmę jeszcze i do innej sprawy, przy której będzie można zarobić pieniędzy w bród.

- Gadasz zagadkami! Otwarcie mówiąc, wolałbym z tym Old

Firehandem nie mieć nic do czynienia.

- Bzdura! Cóż wam może zrobić? Pomyśl tylko, że jest nas czterystu chłopców, którzy by z diabłem nie wahali się zadrzeć.

- Hm, to prawda. A kiedy ruszamy?

- Jutro po południu, tak żebyśmy do farmy dostali się wieczorem. Jest spora i da ładny ogień, przy którym uwędzimy niejedną

pieczeń.

Humply-Bill usłyszał dosyć; powrócił do towarzyszy i wezwał ich, aby udali się teraz na oswobodzenie Osędzów. Zdaniem jego, każdy z nich miał podkraść się do jednego jeńca. Wódz przerwał mu:

- To, co teraz trzeba zrobić, jest rzeczą nie białych, lecz czer-wonych mężów. Pójdę sam, a moi bracia skoczą mi na pomoc tylko wtedy, gdyby mnie zauważono.

Po tych słowach poczołgał się ku Osedżom.

- Co wódz zamierza zrobić? - zapytał cicho Anglik.

- Figiel - odpowiedział Bili. - Patrzcie tylko uważnie, gdzie stoją jeńcy. Jeśli się nie uda, to popędzimy z pomocą. Trzeba nam będzie tylko przeciąć rzemienie, a potem pędem do koni.

Lord posłuchał wezwania. Ognisko, przy którym siedzieli dowódcy trampów, znajdowało się może o dziesięć kroków od drzew, do których przywiązano jeńców. Obok każdego z nich siedział albo leżał uzbrojony strażnik. Anglik wysiłał wzrok, chcąc zobaczyć wodza, ale na próżno; widział tylko, że jeden z siedzących strażników położył się teraz, i to ruchem tak szybkim, jak gdyby upadł. Także trzech pozostałych poruszyli się po kolei i, dziwnym trafem, głowy ich znalazły się w cieniu rzucanym przez drzewa. Przy tym nie było słychać żadnego dźwięku ani nawet najłżejszego szmeru.

Minęła znowu krótka chwila, a potem lord zobaczył wodza pomię-dzy sobą a Billem na ziemi.

- Gotowe? - zapytał Humpy.

108

- Tak - odpowiedział czerwonoskóry.

- A przecież twoi Osedżowie są jeszcze skrępowani - szepnął do niego lord.

- Nie. Czekają tylko w tej samej postawie, aż się z wami rozmówię.

Mój nóż ugodził strażników w samo serce, a potem zabrałem im skalpy. Teraz wrócę jeszcze do nich, aby pójść z moimi czerwonymi braćmi do koni trampów, przy których i nasze się także znajdują. Ponieważ wszystko poszło tak dobrze, nie odejdziemy nie odebrawszy swoich koni.

- Dlaczego narażać się jeszcze i na to niebezpieczeństwo? - ostrzegał Bili.

- Mój biały brat się myli! Teraz nie ma już żadnego niebez-pieczństwa. Skoro zobaczycie, że Osedżowie zniknęli spod drzew, odejdźcie stąd. Wkrótce potem usłyszycie tętent koni i krzyk trampów. Zejdziemy się w miejscu, gdzieśmy poprzednio się zatrzymali. Howgb!

Tym ostatnim słowem chciał dać do zrozumienia, że wszelki sprzeciw jest daremny; potem oddalił się. Lord patrzył na jeńców; stali oparci sztywno o drzewa, aż nagle zniknęli w jednej chwili, jakby się w ziemię zapadli.

- Wonderful! - zawołał zachwycony do garbusa. - Zupełnie jak w romansie!

- Hm! - odpowiedział mały. - Przeżyjecie u nas jeszcze nieje-den romans; chociaż czytać jest łatwiej niż przeżyć samemu.

- Idziemy?

- Jeszcze nie. Chciałbym widzieć miny tych drabów, gdy spost-rzegą ucieczkę. Zaczekajmy jeszcze chwilę!

Nie upłynęło wiele czasu, gdy z drugiej strony obozu rozległ się głośny krzyk trwogi; odpowiedział mu drugi, po czym nastąpiło kilka przeraźliwych okrzyków, po których łatwo było poznać, że pochodzą z gardeł indiańskich - wreszcie dało się słyszeć parskanie, tętent, rżanie i dudnienie, tak iż się zdawało, że ziemia drży.

Trampowie zerwali się. Każdy krzyczał, wrzeszczał i pytał, co się stało. Nagle rozległ się głos rudego komeła:

- Osedżowie uciekli! Do wszystkich diabłów! Kto ich...

Przerwał przerażony, gdyż mówiąc te słowa, skoczył do strażników i chwycił jednego, aby go podnieść; lecz spostrzegł jego szkliste oczy i krwawą, pozbawioną włosów czaszkę. Pociągnął więc drugiego, trzeciego, czwartego ku światłu ogniska i krzyknął straszliwie:

- Zabici! Oskalpowani! Wszyscy czterej! A czerwonoskóczy ude-kffi

- Indianie! Indianie! - rozległo się w tą chwilę od strony, w której stały konie.

Za broń' Do koni' rycał kornel Zostaliśmy napadnięci!

Chcą naca ukraść komę!

Nastąpiło teraz straszne zamieszanie. Wszyscy biegali w popłochu, choć nieprzyjaciela nie było widać. Dopiero kiedy po dłuższym czasie nieco się uspokoiło, okazało się, że brakło tylko złupionych koni Indian. Teraz przeszukano okolice obozu, lecz bez żadnego skutku.

Trampowie doszli więc do przekonania, że w lesie znajdowali się jeszcze inni Osedźowie i ci podkradli się, aby uwolnić swoich towarzyszy, a przy tym, zakławszy strażników, oskałpowali ich i uprowadzili konie, zabrane jeńcom. Trudno jednak było pojąć trąpom, że/ zamordowanie strażników odbyło się bez żadnego szmeru. Dziwiliby się jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli, że tylko jeden człowiek dokonał tego.

Kiedy przywódcy zebrali się znowu dookoła ogniska, odezwał się korael:

- To zajście nie stanowi wprawdzie żadnego nieszczęścia, ale zmusza nas do zmiany planu. Musimy jutro ruszyć stąd skoro świt.

- Dlaczego? - zapytano.

- Ponieważ Osedźowie słyszeli wszystko, o czym rozmawialiśmy.

Prawdziwe szczęście, że nie wiedzą nic o naszych zamiarach co do Eagle-tail, bo o tym mówiliśmy nie tutaj, lecz poprzednio przy dużym ognisku. Wiedzą jednak, jakie mamy zamiary co do farmy Butlera.

- Czy myślisz, że nas zdradzą?

- Naturalnie!

- Czyżby te łotry były zaprzyjaźnione z Butlerem?

- Zaprzyjaźnieni czy nie, doniosą mu o tym, aby się na nas zemścić i zgotować nam gorące przyjęcie.

- Racja! Wyruszamy rano! Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie się-dzą nasi ludzie, którzy ścigają wodza?

- Dla mnie to także niepojęte! Gdyby Osedź szukał schronienia w lesie, to znaleźć byłoby go ciężko, a nawet niemożliwe; ślad jego jednak prowadzi na prerię, a konia nie miał. Musieli go chyba pochwycić.

- Z pewnością. Ale w drodze powrotnej pewnie ich noc za-skoczyła i jutro rano natkniemy się na nich. W każdym razie znaj-dziemy ich ślady, bo poszli w tym samym kierunku, którego musimy się i my trzymać.

Jednakże mówiący był w błędzie. Niebo, a raczej chmury postarały się o to, ażeby wszelkie ślady zostały zatarte, bo wkrótce spadł gwałtowny deszcz, trwający kilka godzin, który zmył ślady tak ludzi, jak i koni.

KU, Uncle i Anglik pospieszyli, o ile na to pozwalały ciemności, przez las czym prędzej do swoich koni. Jedynie zmysłowi orientacji obu myśliwych zawdzięczano, że nie zabłądzono, gdyż w nocy wzgó-rza i doliny jeszcze bardziej były do siebie podobne niż za dnia. Odwiązawszy konie, dosiedli ich, a luźne ujęli za lejce. Zaledwie to uczynili, usłyszeli, że Indianie nadciągają.

- Ci trampowie są ślepi i głusi - rzekł Wielkie Słońce. - Wielu z nich powędruje do wiecznych ostępów, aby służyć duchom Osedźów.

- Czy chcesz się pomścić? - zapytał Bili.

- Czyż nie zginęło dziś ośmiu Osedźów, których śmierć musi być pomszczona? Czyż my, pozostali przy życiu, nie mieliśmy być umęczeni i zamordowani? Pojedziemy do wigwamów Osedźów, aby sprowa-dzić wielu wojowników. Potem pójdziemy śladami tych błądych twa-rzy, aby tylu z nich sprzątnąć ze świata, ilu Manitou odda nam w ręce.

- W której stronie pasą się trzody Osedźów?

- Ku zachodowi.

- To musicie przejeżdżać koło farmy Butlera?

- Tak.

- A jak długo musicie jechać stamtąd, aby dostać się do swoich?

- Pierwsze trzody można napotkać już po upływie połowy dnia, jeśli się ma dobrego konia i jedzie szybko.
- To bardzo dobrze! Będziemy musieli się spieszyć, aby uratować farmę Butlera.
- Co mówi mój brat? Butler jest przyjacielem i obrońcą Ose-dźów. Czy grozi mu jakieś niebezpieczeństwo?
- Tak. Nie mówmy jednak teraz o tym. Musimy przede wszystkim jak najszybciej odjechać stąd, aby oddalić się z sąsiedztwa trampów. Mają oni jutro napaść na farmę: trzeba się tam udać, aby mieszkańców ostrzec.
- Uff! Niech moi czerwoni wojownicy poprowadzą luźne konie, ażeby biali bracia mogli łatwiej iść za mną!

Ludzie jego, posłuchawszy tego wezwania, wzięli do rąk zdobyte luźne konie; potem ruszono galopem pomiędzy niskimi wzgórzami i po śladach, które rano pozostawili wódz i jego prześladowcy. Ślady te prowadziły prosto w tym kierunku, gdzie leżała farma Butlera, do której Osedź chciał się dostać.

Galopem! I to w takich ciemnościach! Nawet za dnia jodynie dla dobrze znającego tę okolicę było możliwe utrzymać się we właściwym kierunku bęc zabłądzenia w prerii falistej, lecz w nocy niezmylenie

111

drogi mogło uchodzić prawie za cud. Kiedy Anglik uczynił tego rodzaju wzmiankę małemu Billowi, jadącemu obok niego, ten odpowiedział:

- Tak, sir! Zauważyłem już wprawdzie, że i wy jesteście nie

w ciemną bicia, ale ujrzyście tu i usłyszycie, a także przeżyjecie jeszcze niejedno, czegoście przedtem nie uważali za możliwe.

- Czy i wy nie zabłądzilibyście tutaj?

- Ja? Hm! Prawdę mówiąc nie przyszłoby mi do głowy tak pędzić między te falujące pagórki. Jechałbym bardzo powoli i badałbym dokładnie zakręty każdej doliny z osobna. Mimo to jednak jestem pewny, iż jutro rano nie znalazłbym się na tym miejscu, do którego

bym chciał się dostać.

- To może się przecież przydarzyć także wodzowi?

- Nie. Taki czerwonoskóry wprost węszy kierunek i wyczuwa drogę, a co jest rzeczą najgłówniejszą, ma teraz znowu własnego konia. To zwierzę nie zboczy ani na krok ze śladu, który zrobił dziś jego pan. Niebo jest czarne jak worek pełen sadzy i nie widzę ziemi ani na owinięcie palca; mimo to pędzimy galopem, jakby w jasny dzień po równej drodze, a założę się, że nim jeszcze sześć godzin minie, konie nasze zatrzymają się tuż u bram farmy Butlera.

- Doprawdy? - zawołał Anglik ucieszony. - Chcecie się założyć? To wspaniale! A więc jesteście tego pewni? To ja twierdzę przeciwnie i stawiam pięć dolarów albo dziesięć. A może chcecie

więcej postawić?

- Dziękuję, mylordzie! To był tylko zwykły sposób mówienia.

Powtarzam, że nie zakładam się nigdy. Zatrzymajcie swe pieniądze! Będziecie ich potrzebować na co innego. Pomyślcie tylko, ile musicie zapłacić jedynie za dzisiejszy dzień mnie i Uncle'owi.

- Sto dolarów. Pięćdziesiąt za pięciu zabitych trampów i pięćdziesiąt za uwolnienie Osedźów. A napad na farmę, który odeprzemy, jest nową przygodą, kosztującą pięćdziesiąt dolarów.

- Czy odparcie napadu poszczęści się nam, nie jest tak pewne, jak sądzicie. Ale jak to było właściwie z Old Shatterhandem, Winnetou i Old Firehandem? Ile zapłacicie, jeśli przypadkiem zobaczycie którego z tych trzech mężów?

- Sto dolarów.

- Dobrze! Jest bardzo prawdopodobne, że jutro lub pojutrze spotkamy Old Firehanda. Ma mianowicie przybyć na farmę Butlera.

Słowa te słyszał jadący na przedzie wódz; odwrócił się, nie po-wstrzymując jednak konia, i zapytał:

- Old Firehand, ta słynna blada twarz, ma tam przybyć?

112

l t

- Tak. Kornel to mówił.

- Człowiek z czerwonymi włosami, który przemawiał? Skąd wie o tym? Czy widział wielkiego myśliwego, a może nawet z nim mówił? Bili opowiedział, co słyszał.

- Uff! - zawołał wódz. - Wobec tego farma jest uratowana, bo rozum tej bladej twarzy wart jest więcej niż broń tysiąca trampów. Jakże się cieszę, że go zobaczę!

- Czy znasz go?

- Palilem z nim kalumet. Czy czujesz, że zaczyna deszcz padać?

To dla nas dobrze, bo deszcz pozwoli stratowanej trawie wkrótce się podnieść i trampowie nie będą mogli jutro rano dostrzec naszych śladów.

Droga sama nie nastroczała żadnych trudności, ani kamień, ani rów, ani żadna tego rodzaju przeszkoda nie zatrzymywała jazdy, a doliny były tak szerokie, że zupełnie wygodnie mogło biec razem obok siebie kilka koni. Grunt stanowiła wyłącznie miękka murawa.

Czasem jeźdźcy pozwalali koniom iść stępa, aby ich zbytnio nie nużyć; przeważnie jednak jechano kłusem lub galopem. Kiedy minęło kilka godzin, zdawało się, że poprzednia ufność cokolwiek Billa opuściła, bo zapytał wodza:

- Czy mój brat jest pewny, że jedziemy w dobrym kierunku?

- Niech się mój biały brat nie obawia - odpowiedział zapytany.

- Spieszyliśmy się bardzo i niedługo już staniemy w tym miejscu, gdzie spotkałem dziś ciebie i Uncle'a.

Wkrótce koń wodza przeszedł nagle z galopu w powolnego stępa, a potem nawet, chociaż go jeździec nie wstrzymywał, stanął i parsknął cicho.

- Uff! - odezwał się Indianin głosem stłumionym. - Przed nami muszą znajdować się jacyś ludzie. Niech moi bracia posłuchają, nie ruszając się, i niech mocno pociągną powietrze nosem!

Kiedy zatrzymali się cicho, posłyszano, że wódz bada woń powietrza.

- Ogień! - szepnął po chwili.

- Nie widać przecież ani śladu ognia! - zauważył Bili.

- Ja jednak czuję dym, który wychodzi, jak mi się zdaje, spoza najbliższego pagórka. Niech mój brat zsiądzie z konia i wejdzie ze mną na wzgórze.

Pozostawiwszy konie, pomknęli obok siebie ku pagórkowi; nie uszli jednak dziesięciu kroków, gdy dwie ręce pochwyciły Indianina, ściskając go mocno za gardło; ten, przygnieciony do ziemi, bił wokoło siebie rękami i nogami, nie mogąc jednak wydobyć głosu.

t - Skarb...

113

Równocześnie dwie inne ręce pochwyciły garbusa za gardło i po-ciągnęły również ku ziemi.

- Trzymacie go mocno? - spytał zupełnie dcho tea, który trzymał obezwładnionego Indianina.

- Tak jest, chwyciłem go tak mocno, że nawet mówić nie może

- brzmiała również cicha odpowiedź.

- A więc szybko stąd za pagórek! Musimy się dowiedzieć, kogo mamy przed sobą. A może tamten za ciężki dla was?

- Nic podobnego! Ten drab jest lżejszy od muchy, która od trzech tygodni nic nie jadła ani nie piła. Przebóg! Zdaje mi się, że ma

z tyłu garb, jak nazywają taki krzywy kręgosłup! Chyba to nie...

- Co?

- Chyba to nie będzie Humply-Bill, mój dobry przyjaciel!

- Dowiemy się o tym przy ogniu. Na teraz jesteśmy spokojni, że nikt nas nie będzie ścigał. Tamci ludzie nie poruszają się z miejsca, bo mają czekać na powrót naszych jeńców.

Wszystko to odbyło się błyskawicznie i bez najmniejszego szmeru, tak że towarzysze obu pojmanych, mimo tak małej odległości, ani się tego domyślali. Old Firehand - bo on to był - wziął swego jeńca na ręce, a Droll ciągnął swojego za sobą po trawie. Po drugiej stronie pagórka leżały strudzone konie i palił się niewielki ogień, a przy jego blasku widać było przeszło dwadzieścia postaci, stojących z wycelowanymi karabinami i gotowych przywitać ewentualnych nieprzyjaciół tyłuż kulami.

- Do pioruna! - odezwał się Old Firehand, przyniósłszy swego jeńca do ogniska. - To Meneka szecha, wódz Osedżów. Z jego strony nie potrzebujemy się niczego obawiać.

- Do kaduka! - dodał Droll. - To rzeczywiście Humply-Bill!

Chłopie, przyjacielu, dziecko kochane, czy nie mogłeś mi tego powiedzieć, kiedym cię brał za gardło? Teraz leżysz tutaj, nie mogąc ani mówić, ani nawet dychać! Wstawaj i chodź w moje ramiona, bracie mój najukochańszy! Ale chyba mi nie umrzesz! Wstańże wreszcie,

skarbie drogi! Ja de naprawdę nie chciałem udusić, choć to się na poły stało! Przyduszony leżał z zamkniętymi oczyma, chwytając z trudem powietrze; wreszcie podniósł powieki, rzucił długie, przytomne spoj-rzenie na pochylonego nad nim Drolla i zapytał ochrypłym głosem:

- Czy to możliwe? Ciotka Droll!

- Naturalnie, to ja! - zawołał ten radośnie.

- Zostałem tak nagle pochwycony, że... Nieba! Old Firehand!

Ujrzał sławnego myśliwego i ta nowa niespodzianka przywrócili

114

mu zdolność ruchu. Ucisk dłoni Old Firehanda był jednak znacznie silniejszy niż Ciotki Droll, wódz bowiem leżał ciągle jeszcze na ziemi nieruchomo z zamkniętymi oczyma.

- Czy nieżywy? - zapytał Bili.

- Nie - odpowiedział olbrzym podając małemu rękę. - Jest tylko nieprzytomny, lecz wnet przyjdzie do siebie. Witajcie, Bili! Kto jest z wami? Prawdopodobnie Indianie ze szczepu wodza?

- Tak, czterech.

- Tylko? Więc macie ze sobą luźne konie?

- Rzeczywiście. Poza tym jest z nami Gunstick-Uncle i pewien

lord angielski.

- Lord? A więc zaszczytne spotkanie! Sprowadźcie tutaj tych ludzi!

Bili pobiegł pospiesznie i zaledwie przebiegł połowę drogi, zawołał z daleka:

- Uncle! Chodźcie wszyscy prędko! Jesteśmy wśród przyjaciół.

Old Firehand i Ciotka Droll są tutaj!

Zawołany posłuchał tych słów. Rafterzy, którzy leżeli w trawie gotowi do walki, podnieśli się, aby przywitać przybyszów. Jakże zdumieni się ci ostatni, dowiedziawszy się, co zaszło, i widząc, że wódz leży nieprzytomny.

Osedżowie, zsiadłszy z koni, stanęli z daleka i spoglądali na słynnego myśliwego wzrokiem pełnym uszanowania.

Lord zrobił wielkie oczy i zbliżył się do niego krokiem powolnym; uczynił przy tym tak niemądraminę, że można było śmiać się zarówno z niej, jak i z nosa opuchniętego z jednej strony. Old Firehand podał mu rękę i rzekł:

- Witajcie, mylord! Byliście w Turcji, w Indiach, a może i w Af-ryce?

- Skąd wiecie o tym, sir? - zapytał Anglik.

- Domyślam się tego, bo jeszcze teraz nosicie na nosie ślady „Bouton d’Alep”
-Guz z Aleppo-. Kto odbył takie podróże, ten da

sobie zapewne radę i tutaj, chociaż...

Zamilkł i, uśmiechając się, rzucił okiem na wyekwipowanie Anglika, a zwłaszcza na przyrząd do pieczenia, przyczepiony do tornistra.

W tej właśnie chwili wódz przyszedł do siebie, a otworzyć oczy, zerwać się i wyciągnąć nóż - było dziełem jednej sekundy. Nagle jednak wzrok jego padł na myśliwego; opuścił więc rękę, trzymającą nóż i zawołał:

- Oki Firehand! Czy to ty mnie pochwycałeś?

- Tak. Było tak ciemno, że nie mogłem poznać mego czerwonego

brata.

115

- To się cieszę. Być zwyciężonym przez Old Firehanda nią jest wcale hańbą. Czy mój biały brat udaje się na farmę Butlera?

- Na farmę pójdę później. Teraz celem moim jest Osage-nook.

- Kogo tam mój słynny brat szuka?

- Pewnego białego, który nazywa się kornel Brinkley, i jego towarzyszy - samych trampów.

- To może mój brat jechać spokojnie z nami na farmę, bo kornel jutro tam przyjdzie, aby na nią napaść.

- Skąd wiesz o tym?

- Sam to mówił, a podsłuchiwał go Bili. Trampowie napadli dziś na mnie i na moich Osędzów; ośmiu z nich zabili, a mnie i pozostałych wzięli do niewoli. Ja jednak umknąłem i sprowadziłem Billa i Uncle’a, którzy razem z tym Anglikiem pomogli mi uwolnić moich czerwonych braci.

- To ciebie ścigało aż tutaj pięciu trampów?

- Tak!

- A BiU i Unde obozowali na tym miejscu?

- Tak jest!

- A Anglik spotkał się z nimi na krótko przedtem?

- Jest tak, jak mówisz; ale skąd wiesz o tym?

- Jechaliśmy wzdłuż Black-bear-river w górę i dziś rano opuściliśmy ją, aby się dostać do Osage-nook. Tu znaleźliśmy zwłoki pięciu trampów i...

- Sir - przerwał mu Humpy-Bfll. - Skąd wiecie, że d łudzę byfi trampami?

- Ten kawałek papieru powiedział mi to - odrzekł Old Fire-hand. - Obszukaliście wprawdzie tych drabów, ale pozostawiliście w kieszeni jednego z nich kawałek gazety.

Wyjawszy skrawek kuriera, zbliżył się do ognia i czytał:

- „Dzięki komisarzowi biura krajowego Stanów Zjednoczonych wyszło na jaw zapomnienie czy przeoczenie, którego by nikt nie mógł uważać za możliwe. Urzędnik mianowicie zwrócił uwagę rządowi na ten niewiarygodny fakt, że w środku Stanów Zjednoczonych istnieje pas ziemi, większy niż niejeden stan, który jest w tym niezwykłym. a nrliłym położeniu, że nie podlega żadnemu rządowi ani administracji.

Ów godny uwagi obszar kraju jest czworobokiem szerokości 40, a długości 150 mil i obejmuje blisko 4 miliony akrów ziemi. Leży między terytorium Indian a Nowym Meksykiem, na północ od Teksasu, a na południe od Kansas i Kolorado. Jak się okazało, obszar ten pominięto przy publicznym pomiarze, toteż swoje wyjątkowe położenie zawdzięcza błędowi, jaki wkraść się przy wyznaczaniu linii granicz-

116

nej między sąsiednimi terytoriami. Wskutek tego nie przydzielono go do żadnego stanu i nie podlega rządowi w żadnej formie, a więc również nie ma nad nim żadnej jurysdykcji. Ustawy i prawa są tam nie znane. Raport komisarza określa ten obszar jako okolicę najpiękniejszą i najżyźniejszą na całym Zachodzie,

nadająca się nadzwyczajnie pod hodowlę bydła i rolnictwa. Jednak tych kilka tysięcy „wolnych Amerykanów”, którzy zamieszkują ten obszar, nie zajmuje się wcale rolnictwem czy pasterką, lecz tworzy bandy, złożone ze zbierającej się tu ze wszystkich stron świata hołoty, drabów, koniokradów, „de-sperados” i zbiegłych zbrodniarzy. Są oni postrachem sąsiednich terytoriów, a zwłaszcza hodowcy bydła cierpią wiele na ich wyprawach rabunkowych.

Ci udręczeni sąsiedzi żądają usilnie, aby położono kres temu wolnemu państwu rozbójników przez wprowadzenie na jego obszarze prawowitej władzy”.

Indianie, słysząc te słowa, pozostali obojętni, biali jednak spojrzeli po sobie zdumieni.

- Czy to prawda? Czy to możliwe? - zapytał lord.

- Ja uważam to za prawdę - odpowiedział Old Firehand.

- Zresztą, czy artykuł kłamie, czy nie, jest rzeczą podrzędną; znamienne jest, iż tylko tramp mógł taką gazetę nosić ze sobą tak długo i daleko, i ten papier jest powodem, dla którego uważałem tych pięciu ludzi za trampów. Kiedyśmy przybyli i ujrzeli trupy, domyśliliśmy się naturalnie, że odbyła się tu jakaś walka. Przeszukaliśmy martwych i wszystkie ślady, a to pozwoliło ustalić przebieg zajścia. Kiedy zobaczyłem, że biali z Indianinem ruszyli w kierunku Osage-nook, postanowiłem pośpieszyć im z pomocą, ale tymczasem zapadła noc i musiałem czekać, gdyż po ciemku nie mogliśmy podążać za śladami.

- Dlaczego mój biały brat napadł na nas? - zapytał wódz.

- Bo musiałem uważać was za trampów, wiedząc o tym, że przy Osage znajduje się wielka ich liczba. Pięciu z nich wyruszyło, aby ścigać Indianina. Zastrzelono ich, a więc nie wrócili do swoich. To musiało u reszty wywołać zaniepokojenie; było więc możliwe, że wysłano pomoc za nimi. Dlatego wystawiłem strażę, które mnie uprzedziły, że zbliża się oddział jeźdźców, a ponieważ wiatr wiał od Osage-nook, więc mogliśmy wasze nadejście zauważyć bardzo wcześnie. Kazałem moim ludziom chwycić za broń, a sam poczołgałem się z Drollem naprzeciw was. Dwaj ludzie zsiadli z koni, aby nas podpatrzyć. Resztę wiecie!

- A co teraz myśli mój brat czynić? Czy trampowie są jego osobistymi wrogami?

`117

- Tak. Ścigam rudego. Co jednak zrobię, będę wiedział dopiero wtedy, gdy się dowiem, jak sprawy stoją przy Osage-nook i co tam zaszło. Czy zechcecie mi to opowiedzieć. Bili?

Humpy-BiIl złożył mu dokładne sprawozdanie i zakończył słowami:

- Widzicie więc, sir, że musimy działać szybko. Chyba pojedziecie z nami zaraz na farmę?

- Ani mi w głowie! Pozostanę tutaj, chociaż wiem, że niebezpieczeństwo jest znacznie większe, niż myślicie. Czy sądzicie, że te draby wyruszą dopiero po południu?

- Tak!

- A ja wam mówię, że rozpoczną swą wyprawę z samego rana

- Jednakże korne! tak mówił.

- A tymczasem się rozmyślił. Gdzie przywiązano pojmanyh Osedźów?

- Blisko ogniska, przy którym siedział rudy. `

- Czy Indianie słyszeli, że trampowie mają napaść na farmę Butlera?

-Tak.

- Otóż to? A potem umknęli. Czy komel nie musi wpaść na tę prostą myśl, że pospieszą do Butlera, aby go o napadzie powiadomić?

- Do diabła. To zupełnie zrozumiałe!

- Naturalnie. Chcąc możliwie zmniejszyć szkodę, jaką Indianie

im mogą wyrządzić, ruszą wcześniej. Zakład, że już teraz postanowili o świcie dosiąść koni.

- Zakład? - zawołał lord. - WelS! Wy jesteście, sir, człowiekiem w moim guście! Zakładacie się, że trampowie ruszą już z rana?

Dobrze! Więc ja utrzymuję, że opuszczą Osage-nook dopiero jutro

wieczór! Stawiam dziesięć dolarów, nawet dwadzieścia, trzydzieści!

A może wolicie pięćdziesiąt?

- Schowajcie, sir, wasz portfel. Ani mi się śni brać zakład na serio.
- Ale ja chętnie się założę! - upierał się lord.
- Ale ja nie.
- To szkoda, wielka szkoda! Tak dużo dobrego i pięknego

słyszałem o was. Taki dżentelmen jak wy powinien się bezwarunkowo zakładać!

- Idzie o własność i życie wielu ludzi i jest naszym obowiązkiem zapobiec nieszczęściu. Zakładem zaś tego nie dokażemy.
- Słusznie, sir. Ja też zakładam się tylko ubocznie. Jeśli przyjdzie czas na czyny, znajdziecie mnie na stanowisku równie pewnie, jak

118

sami będziecie na swoim. Siła fizyczna nie jest jeszcze wszystkim! Lord wpadł w gniew i obrzucił herkulesową postać myśliwego obraźliwym wzrokiem. Ten przez chwilę nie wiedział, jak postąpić z Anglikiem, lecz zachmurzona twarz jego szybko się rozjaśniła i odpowiedział:

- Dajmy spokój, siri. Zanim się lepiej nie poznamy, nie mówmy przynajmniej sobie grubiaństw. Wy jesteście na Zachodzie jeszcze nowym człowiekiem.

Lecz słowo „nowy” wywarło skutek wręcz przeciwny i lord zawołał jeszcze gniewniej niż przedtem:

- Coście powiedzieli? Czy może wyglądam na nowicjusza? Jestem wyekwipowany, jak życie prerii wymaga, wy zaś wyglądacie, jakbyście przyszli wprost z klubu!

Old Firehand istotnie miał na sobie ten sam elegancki garnitur podróżny, co na parowcu. Nie zmienił go jeszcze, gdyż jego odzież myśliwska znajdowała się na farmie Butlera. Toteż uśmiechając się, odparł:

- Nie mogę wam, sir, nie przyznać racji, ale może się jeszcze przystosuję do Zachodu; na wszelki wypadek pozostanę przy-jaciółmi.

- Jeśli tak myślicie na serio, to nie gniewajcie się więcej o zakład.

Ale nie pojmuję, dlaczego chcecie tutaj pozostać, zamiast jechać na farmę?

- Mam do tego słuszny powód.

- Czy mój biały brat zechce nam ten powód wyjaśnić? - zapytał Osedź.

- Tak. Wystarczy, jeśli ty pojedziesz i zawiadomisz Butlera. Jest to człowiek, który potrafi poczynić wszelkie przygotowania. Ja pozostanę zaś z rafterami i będę trzymać trampów w szachu, tak że z pewnością nie prędzej przybędą pod farmę, aż ta będzie przygotowana na ich przyjęcie

- Mój brat ma zawsze dobre pomysły; ale Butlera nie ma w jego wigwamie.

- Nie ma? - zapytał Old Firehand zaskoczony.

- Nie. Jadąc do Osage-nook, wstąpiłem na farmę, aby wypalić kalumet z moim białym bratem Butlerem. Lecz nie zastałem go w domu. Przyjechał do niego brat ze swoją córką i Butler pojechał wraz z nimi do fortu Dodge celem zakupienia odzieży dla białej panienki.

- A więc brat jego już przybył! Czy wiesz, -ak długo zannicza Butler pozostać w forcie?

119

- Jeszcze kilka dni.

- To naturalnie muszę się tam udać! - zawołał Old Firehand.

- Jak długo potrwa, zanim mógłbyś sprowadzić z pomocą twoich Osedźów?

- Jeśli zaraz wyruszę, to do jutra wieczór.

- Zbyt długo. Czy Osedźowie są teraz w przyjaźni z Szq,9nam” i Arapahoesami?

- Tak. Zakopaliśmy topór wojenny.

- Te szczepy mieszkają po drugiej stronie rzeki i stąd można się tam dostać w cztery godziny. Czy mój brat wyruszy, aby im zanieść poselstwo ode mnie?

Wódz nie wyrzekł ani słowa i dosiadł konia.

- Powiedz - ciągnął dalej Old Firehand - obu wodzom, że ja proszę ich, aby przybyli zaraz do farmy Butlera: każdy ze stu ludźmi. Osedź uderzył konia

piętami i po chwili znikł w ciemnościach. Również Old Firehand nie tracił czasu. Nim lord ochłonął ze zdumienia, że wódz usłuchał tak bezwzględnie tego człowieka ubrane-go jak w salonie, słynny westman siedział już w siodle, wołając:

- W drogę, panowie, nie traćmy ani chwili. Naprzód!

Ogień zagaszono i w okamgnieniu utworzył się pochód. Początkowo jechali powoli, lecz kiedy oczy przyzwyczaiły się do ciemności, ruszono galopem. Lord przysunął się do Bula i zapytał:

- Czy Old Firehand nie zmyli drogi?

- Nie, równie jak wódz Osedżów. Mówią nawet, że widzi w nocy jak kot.

- A ma garnitur salonowy... Dziwny człowiek!

- Czekajcie tylko, aż zobaczycie go w bhizie bawolej! Wtedy wygląda zupełnie inaczej!

- No, postawę ma już i teraz. Ale kmi jest ta pani, która porwała się na was?

- Pani? Ta lady jest mężczyzną.

- Przecież nazywają ją ciotką!

- To tylko dla żartu, ponieważ ma wysoki, piskhwy głos i ubiera się tak niezwykle. Nazywa się Droll i jest bardzo dzielny i myśliwym. Lecz przestańmy teraz rozmawiać. Przy takiej jeździe, jak ta, trzeba się mieć na baczności.

Miał słuszność. Old Firehand jechał przodem jak opętany, a inni za nim mniej więcej z równą szybkością. A wszystko wśród głębokiej ciemności. Zdawało się, że konie poruszają się w bezdennej, zupełnie światła pozbawionej otchłani, a mimo to nie zrobiły ani jednego fałszywego kroku, ani jednego potknięcia. Sady dokładnie jeden za

120

drugim, a wszystko zależało od Old Firehanda. Lord począł odczuwać szacunek dla tego człowieka.

Jechano tak godzinę i jeszcze drugą z krótkimi tylko przerwami, w czasie których koniom dawano wytchnąć. Deszcz padał nieustannie, jednak już drobny i lekki. Po pewnym czasie usłyszano od przodu głos

Old Firehanda:

- Baczność, panowie! Droga prowadzi w dół, a potem przez bród, lecz woda dosięgnie koniom zaledwie brzuchów.

Kiedy zwolniono biegu, usłyszano szum rzeki i ujrzano fosforyzu-jącą powierzchnię wody. Stopy jeźdźców zanurzyły się w wodzie i wkrótce dotarło do przeciwnego brzegu. Nastąpiła jeszcze kilkuminutowa jazda, po czym się zatrzymano. Rozległ się ostry głos dzwonka.

- Co to? Kto dzwoni i gdzie jesteśmy? - zapytał Anglik Hump-

ly-Billa.

- Przed bramą farmy Butlera - odparł tamten. - Podjedźcie

kilka kroków dalej, a dotkniecie muru.

Psy zaszczeły, a wkrótce potem dał się słyszeć głos:

- Kto dzwoni? Kto chce wejść?

- Czy master Butler powrócił? - zapytał Old Firehand.

- Nie.

- To przynieście klucze od lady i powiedzcie, że Old Firehand

przybył.

- Old Firehand? Well, sir! Zaraz się zrobi, Madame jeszcze nie

śpi, a również inni czuwają. Osedż tu był i doniósł, że przyjedziecie.

- Co za ludzie! - szepnął lord. - Toż wódz jechał jeszcze

prędzej niż my!

Po jakimś czasie usłyszano, jak odpędzono psy; potem zadźwięczał klucz, zastukały żelazne zasuwki i wreszcie ujrano latarnie podwórzo-
we. Nadbiegli parobcy, odebrali konie i wprowadzono gości do
wysokiego, posepnie wyglądającego domu. Jedna ze służących po-
prosiła Old Firehanda, aby udał się do „Madam”, a dla pozostałych
otwarto na parterze wielką salę, u której powały zwisała lampa
naftowa. Przygotowano tam, dzięki temu, że wódz zawiadomił o przy-
byciu oddziału, mniejsze i większe stoły, pełne wszelkiego rodzaju
prowiantów, flaszek i szklanek, a wokoło nich dostateczną ilość ławek
i stołków.

Rafterzy i Osedżowie zabrali się zaraz dzielnie do jedzenia, west-
man bowiem nie lubi niepotrzebnej gadaniny. Również lord zasiadł, przyzwawszy do
swego boku Humpy-Billa i Gunstick-Uncle'a, potem zbliżył się do nich Droll z
Fredem Engelem i Czarnym Tomem, a wreszcie przysiadł się także stary
Missouryjczyk Blenter.

121

Po pewnym czasie nadszedł Old Firehand z panią domu, która bardzo uprzejmie
powitała gości, po czym Old Firehand oświadczył, że towarzystwo ma przez resztę
nocy wypocząć, aby rano móc stanąć ze świeżymi siłami na stanowisku; na dziś
wystarczą mu parobcy i pastuchy, przy których pomocy poczym konieczne
przygotowania.

Lord nie mógł oderwać od niego oczu, bo słynny westman wdział swój strój
myśliwski. Nosił, przybrane we frędzle, sięgające tylko do kolan i po obu bokach
bogato haftowane legginy, których końce tkwiły w wysoko podciągniętych butach;
kamizelka jego i bluza myśliwska były z miękkiej, garbowanej białej skóry
jeleniej; na tym miał mocną kurtkę ze skóry bawolej. Za szerokim pasem skórzanym
tkwiły rewolwery, a na głowie nosił czapkę bobrową. Na szyi jego, na długim
łańcuchu z zębów szarego niedźwiedzia, wisiała fajka pokoju z główką wyrobioną
po mistrzowsku ze świętej gliny. Szwy kurtki obramowane były pazurami
grizzly'ego, a ponieważ taki człowiek jak Old Firehand nie nosiłby cudzej
zdobyczy, więc zarówno ta ozdoba, jak i łańcuch do fajki wskazywały, jak wiele
tych zwierząt padło od jego niechybnej kuli i pewnej pięści. Kiedy się oddalił z
panią domu, lord odezwał się do sąsiadów:

- Teraz wierzę wszystkiemu, co o nim opowiadają. Ten człowiek to prawdziwy
gigant!

- Pshaw! - odpowiedział Droll. - Westmana nie ocenia się tylko po jego postaci;
duch tu ma większą wartość. Old Shatterhand nie jest taki szeroki ani wysoki,
jak Old Firehand, a Winnetou jest

jeszcze znacznie szczuplejszy. A wszak obaj dorównują tamtemu pod każdym
względem.

- Czy również pod względem siły fizycznej?

- Tak. Mięśnie westmana stają się z biegiem czasu jak z żelaza, a ścięgnięta jak ze
stali, nawet wtedy gdy nie ma wzrostu olbrzyma.

- To i wy jesteście pewnie ze stali i żelaza, master Droll?

- zapytał ironicznie lord.

Mały człowieczek uśmiechnął się jednak uprzejmie

- Czy chcecie się o tym przekonać, sir?

Yes, bardzo chętnie.

- Zdaje się jednak, że wątpicie w to?

- Naturalnie, sir! Ciotka i stalowe mięśnie! Założmy się!

- O co i jak?

- Kto silniejszy, wy czy ja.

- Dlaczego nie?

Wreszcie znalazł lord kogoś, kto nie odtrąca! jego propozycji.

Zerwał się więc ucieszony.

122

- Ależ, Ciotko! Położyłem już niejednego, który musiałby się schylać, ażeby tylko spojrzeć na was' Czy naprawdę odważycie się?
- Rozumie się!
- O pięć dolarów?
- Well!
- Ja wam je skredytuję.
- Dziękuję! Droll nie korzysta z kredytu.
- Macie więc pieniądze?
- Na to, co wygracie, sir, wystarczy na pewno.
- Nawet dziesięć dolarów?
- I to.
- A dwadzieścia?
- Dlaczego nie?
- A może pięćdziesiąt? - zawołał lord uradowany.
- Zgoda! Ale nic więcej, bo nie chcę was odzierać z pieniędzy, sir!
- Czyżby? Lorda Castlepool odzierać z pieniędzy? Czyście zwa-riowali, Ciotko? Na stół z nimi! Tu jest pięćdziesiąt dolarów!

Otworzywszy jedną z kieszeni, wiszących na rzemiennym pasie dookoła bioder, wyjął z niej dziesięć banknotów pięciodolarowych i położył na stole. Droll sięgnął ręką do zwisającego rękawa swego sleeping-gownu i wydobyl woreczek; kiedy go otworzył, pokazało się, że pełno w nim było nuggetów. Położywszy pięć z nich na stole, schował woreczek i rzekł:
- Wy madę papier, mylordzie? Fi! Ciotka Droll używa tylko czystego złota. No, zaczynamy!
- Wy najpierw, ja po was - potem odwrotnie.
- Nie. Ja jestem tylko „ciotką”, wy zaś lordem; macie zatem pierwszeństwo.
- Dobrze! Ale stójcie mocno i brońcie się! Podniosę was na stół!
- Spróbujcie!

Droll rozstawił nogi, a lord chwycił go wpół; lecz nogi Ciotki nie podniosły się ani o cal nad ziemią, jakby Droll był z ołowiu. Anglik nadaremnie się natęzał i w końcu musiał przyznać, że nie może dokonać swego zamiaru.
- Jeśli ja was nie podniosłem, to wy dopiero nie dacie sobie ze mną rady! - pocieszał się lord.
- Zobaczmy! - roześmiał się Droll, podnosząc wzrok ku powa-le, gdzie nad stołem umieszczony był hak żelazny do zawieszania drugiej lampy.

Inni, widząc to jego spojrzenie i znając pocieszoną Ciotkę, będącą rzeczywiście niezwykle silnym mężczyzną, tracili się ukradkiem.

123

- No, naprzód - zawołał lord.
- A .więc tylko na stół? - zapytał Droll.
- Czy chcecie podnieść mnie jeszcze wyżej?
- Tak wysoko, jak tylko możliwe. Uważajcie, sir!
Mimo krępującego ruchu ubrania jednym skokiem stanął na stole i chwycił Anglika za ramiona. Ten powędrował szybko w górę, wysoko ponad stół, i w chwilę później zawisł na pasie na wspo-mnianym haku; Droll zaś zeskoczył na ziemię i śmiejąc się, zapytał:
- No, jesteście w górze, sir?
- Nieba! Gdzież jestem! Biada mi! Na powale! Zdqmijcie mnie!
Zdepnijcie mnie, bo kark skręczę!
- Powiedzcie przedtem, kto wygrał?
- Wy, naturalnie, że wy!
- A druga część zakładu?
- Daruję wam! Zdejmijcie mnie teraz! Prędko, prędko!
Droll wszedł znowu na stół, pochwylił Anglika wpół, podniósł go wyżej, tak że rzemień zsunął się z haka i spuścił najpierw na stół, a potem na ziemię. Zeskoczywszy za nim, położył mu rękę na ramieniu:
- No, sir, jak się wam podoba „ciotka“?

- Much, how much, too much! - Bardzo, jak bardzo, nad-zwyczajnie - odpowiedział zapytany prędko.
- Więc do worka z tymi starymi papierami! - Potem, schowaw-szy banknoty i nuggety do worka, ciągnął dalej z uśmiechem: - Pro-szę was, mylordzie, jeśli byście mieli jeszcze kiedyś ochotę zakładać się, to zwróćcie się spokojnie do mnie. Ja wam zawsze dotrzymam placu.

Lord usiadł i począł dotykać rąk, nóg i bioder, aby się przekonać, czy jakaś śruba się nie rozluźniła; lecz, że wszystko było w porządku, uśmiechnął się.
- Śliczny zakład! Przecież to wspaniali ludzie, ci westmani! Nale-ży tylko odpowiednio się z nimi obchodzić!
- No, sir, ja obszedłem się z wami wręcz przeciwnie!
- Także prawda! Jesteście dzielnym chłopcem. Ciotko! Bardzo mi się podobacie. Słuchajcie! Pochodzicie z Europy; czym był wasz ojciec i dlaczego przybyliście do Stanów Zjednoczonych?
- Mój ojciec nie był lordem, ale czymś o wiele, wiele większym.
- Pshaw! To niemożliwe!
- Owszem! Wy jesteście tylko lordem i prawdopodobnie niczym więcej. Mój ojciec zaś miał wiele zajęć.
- No, jakie? - napierał lord.
- Był drużbą na weselach, kumem na chrzcinach, łapiduchem na

124

pogrzebach, dzwonnikiem, kościelnym, kelnerem, grabarzem, szlifie-rzem, stróżem w ogrodach, a zarazem sierżantem gwardii obywatelskiej. Czy to nie wystarczy?
- Well, aż nadto! Mówicie: „był”. Czy umarł?
- Dawno. Nie mam już żadnych krewnych.
- Iz żalu udaliście się za ocean?
- Nie z żalu. Żyłka podróżnicza, ar, żyłka podróżnicza!
W tej chwili wrócił Old Firehand, zwracając uwagę, że byłoby pożądanym udać się na spoczynek, bo muszą wstać bardzo wcześnie. Posłuchano wezwania i udano się do izby, gdzie znajdowały się naciągnięte na drewniane ramy skóry, mogące służyć zarówno za hamaki, jak i za łóżka. Dla wygody położono na nie miękkie podkłady i koce. W tych prawdziwie zachodnich łóżkach spało się naszym znajomym znakomicie. Wczesnym rankiem obudzono obrońców farmy. Dzień letni zapowiadał się ciepły, a nawet gorący. W miłym świetle porannym budynek, przedstawiający się wczoraj tak posępnie, teraz wyglądał zupełnie inaczej. Urządzony dla wielkiej liczby mieszkańców, zbudowany był z palonej cegły. Była to długa i głęboka budowla, składająca się z parteru oraz piętra z płaskim dachem. Okna, choć bardzo wysokie, tak były wąskie, że człowiek nie mógłby się przez nie przecisnąć. Ta ostrożność nie wadziła w okolicy, przez którą przebiegali często rozbójniczy Indianie. Zdarza się tam lub przynajmniej zdarzało się często, że taka samotna farma musiała się bronić przez wiele dni przed czerwonoskórymi opryszkami. Nie mniej przezornie zbudowano wielkie i obszerne podwórze, otoczone murem zaopatrzonym w strzelnicę. Pomiędzy otworami umieszczono szerokie ławy murowane, na których można było stanąć, gdyby wypadło strzelać poza mur.
Nie opodal domu szumiała przepływająca rzeka, której bród przebyto wczoraj. Można go było wygodnie ostrzeliwać spoza muru, a w nocy na rozkaz Old Firehanda zamknięto przejście przez niego za pomocą zasieków. Za drugi i za bardzo potrzebny środek ostrożności uważał Old Firehand, aby również jeszcze tej nocy zagnać trzody Butlera na pastwiska najbliższego sąsiada. Potem wysłał posłańca w kierunku fortu Dodge, aby ostrzec przed trampami obu braci Butlerów, w razie gdyby już znajdowali się w drodze powrotnej.
Old Firehand wyprowadził towarzyszy na dach, skąd rozciągał się

125

bardzo daleki widok - od wschodu i północy na falistą prerię, skapaną w trawie - od południa i zachodu na obszerne pola, obsiane kukurydzą i zbożem.
- Kiedy nadejdą oczekiwani Indianie? - zapytał Droll.
- Według wczorajszej rachuby wodza mogą się tu zjawić wkrótce
- odpowiedział Old Firehand.

- Na to nie liczę. Ci czerwonoskórzy muszą się najpierw zebrać, może nawet z daleka; nie wyruszają nigdy na wyprawy wojenne, zanim nie uczynią zadość swoim starym obyczajom. Będziemy mogli się cieszyć, jeśli przybędą na południe. Wtedy jednak mogą i trampowie znajdować się w pobliżu. Co do mnie, to nie mam zbyt wielkiego zaufania do tych Szejenów i Arapahoesów.
- Ja także nie - zgodził się BUL - Oba te szczepy są bardzo nieliczne i od długiego czasu nie miały w rękach toporów wojennych. Nie możemy się zdać na nich; również silnych sąsiadów nie ma, musimy więc przygotować się na długie oblężenie.
- Nie mamy potrzeby łamać sobie nad tym głowy, bo w piwnicach znajdują się wszelkie zapasy żywności - oświadczył Old Firehand.
- Ale woda, która przecież jest rzeczą główną! - zauważył Droll.
- Kiedy trampowie staną pod murem, nie będziemy mogli dostać się do rzeki, aby zaczerpnąć wody.
- Co jest niepotrzebne. W jednej z piwnic znajduje się studnia dostarczająca wyśmienitej wody ludziom, a zwierzętom dostarczy jej kanał.
- Czy aby jest taki?
- Tak. Wszystko tu zostało urządzone i przystosowane na wypadek walki. Poza domem możecie zauważyć spuszczone drewniane drzwi. Jeśli je otworzycie, zobaczycie schody prowadzące do sklepio-nego kanału, który tam na zewnątrz łączy się z rzeką.
- Czy głęboki?
- Wysokości wzrostu ludzkiego; woda sięga prawie do piersi.
- Czy ujście do rzeki ma otwarte?
- O nie! Wróg nie powinien go zauważyć i dlatego odpowiednia przestrzeń na brzegu została gęsto zasadzona krzakami i pnączami.

Droll nie miał właściwie żadnego skryzalizowanego planu w głowie, kiedy tak dokładnie pytał o ów kanał, jednakże wiadomość ta miała mu się później bardzo przydać.

Stoły, stołki i ławki, przy których posilano się wczoraj, przeniesiono na podwórze, aby śniadanie spożyć na świeżym powietrzu. Potem zgromadzono wszelką znajdującą się w domu broń i zapasy amunicji.

126

Old Firehand usiadł z żoną i siostrą Butlera na tarasie domu i patrzył ku południowi, skąd musieli nadejść oczekiwani niecierpliwie Indianie. Wreszcie, a było już południe, zbliżył się długi szereg czerwonoskórych wojowników, idących gęsiego; na czele ich jechał konno Wielkie Słońce.

Kiedy przechodzili przez bramę, Old Firehand naliczył przeszło dwustu. Niestety, rzeczywiście dobrze uzbrojonych było tylko niewiele. Większość nie miała nawet koni, a ci, którzy je posiadali, wzbłąkali się wziąć je ze sobą - woleli raczej sami odnieść ranę lub dać się zastrzelić, byle nie utracić zwierząt.

Old Firehand podzielił Indian na cztery oddziały: mniejszy miał pozostać na farmie, a reszta pod przewodnictwem wodza Osędzów stanęła na granicy pastwisk sąsiada, na które spędzono trzody. Ludzie ci mieli odeprzeć ewentualny napad trampów, gdyby ci próbowali tam wypaść. Aby ich zachęcić do bacności i odwagi, wyznaczono nagrodę za każdego zabitego trampa.

W murach farmy znajdowało się teraz pięćdziesięciu z górą Indian, dwudziestu rafterów i czterech westmanów. Wobec wielkiej liczby trampów była to z pewnością garstka, ale jeden westman czy rafter mógł stanąć za wielu trampów, a osłony, jaką dawał dom i mur, również nie należało lekceważyć. Wielkim szczęściem było to, że pani Butler patrzyła niebezpieczeństwu w oczy z dostatecznym spokojem. Nie myślała przez narzekanie oziębłać zapału obrońców, owszem, przyrzekła im odpowiednią nagrodę za wierność i odwagę. Poza tym było około dwudziestu parobków, umiających obchodzić się z bronią, i Old Firehand mógł na nich śmiało liczyć.

Kiedy poczyniono wszystkie przygotowania, powrócił słynny west-man z damami i Anglikiem na górną terasę i trzymając w ręce olbrzymią lornetę lorda, badał pilnie tę część horyzontu, skąd powinni byli pojawić się trampowie. Po długim, nadaremny oczekiwaniu ujrzał w końcu trzy postacie, które poruszały się w kierunku farmy, nie konno, lecz pieszo.

- Może to zwiadowcy - rzekł Old Firehand. - Zażądają pewnie, aby ich wpuszczono.
- O taką zuchwałość ich nie posadzam - zauważył lord.
- Czemu nie? Wysyłają trzech drabów, których tutaj nikt nie zna.
Ci zaś wejdą pod jakimkolwiek pozorem; któż by mógł im coś zarzucić? Zejdźmy na piętro, aby nas nie widzieli. Będziemy ich jednak obserwować przez okno za pomocą lornety.

Konie znajdowały się poza domem, tak że nie można ich było dostrzec. Również wszyscy obrońcy musieli się ukryć, gdyż trzej

. 127

trampowie powinni byli nabrać przekonania, że dom jest bez do-statecznej obrony.

Trampowie z trudem i pozornym zdziwieniem przeszli przez bród zamknięty zasiekami; zbliżali się powoli, a Old Firehand dostrzegłszy, że jeden podniósł drugiego, aby ten mógł przez otwory strzelnicze spojrzeć w podwórze, szybko zszedł na dół. W tej chwili pociągnięto za dzwonek. Myśliwy podszedł ku bramie i zapytał, kto i dlaczego się dobija.

- Czy farmer w domu? - zapytał jakiś głos.

- Nie, wyjechał - odpowiedział westman.

- Chcieliśmy prosić o robotę. Czy nie potrzeba pastucha lub

parobka?

- Nie!

- To prosimy przynajmniej o trochę pożywienia. Idziemy z dale-ka i jesteśmy głodni. Proszę, wpuść nas!

Słowa te wypowiedział bardzo płaczkliwym głosem. Na całym Zachodzie nie znajdzie się farmera, który by głodnego odpędził. U wszystkich ludów pierwotnych i we wszystkich okolicach, gdzie nie ma hoteli ani zajazdów, panuje zwyczaj przestrzegania gościnności;

tak jest i na dalekim Zachodzie. Wpuszczono więc tych ludzi, a kiedy zaryglowano z powrotem bramę, wskazano im siedzenia, znajdujące się z boku domu. To jednak zdawało się nie być po ich myśli. Wprawdzie starali się zachować pozory szczerości, ale nie mogło ująć uwagi, że przyglądali się bystro i badawczo domowi i jego otoczeniu.

Jeden odezwał się:

- Jesteśmy biednymi i skromnymi ludźmi i nie chcemy się na-przykrzać. Pozwólcie nam pozostać przy bramie, gdzie będziemy mieli więcej cienia niż tam. Przyniesiemy sobie stół.

Zgodzono się na tę prośbę, chociaż krył się w niej podstęp: chcieli pozostać przy bramie, aby ją otworzyć swoim towarzyszom. Przynieśli stół i stołki, a służąca podała im obfite jadlo. Po tej stronie domu nie było żywej duszy, bo wszyscy usunęli się, nawet służąca. Rzekomi robotnicy byli z tej okoliczności bardzo radzi, jak to poznały bystre oczy Old Firehanda z ich min i gestów, które towarzyszyły cichej rozmowie. Po jakimś czasie jeden wstał i podszedł ku najbliższemu otworowi w murze, przez który wyjrzał na zewnątrz.

Old Firehand stanął tymczasem przy oknie i przez lunetę obserwował okolicę, z której mieli nadejść trampowie.! rzeczywiście, nagle z oddali wynurzył się potężny oddział jeźdźców galopujących ku farmie. Widać było, że znajdują się wśród nich ludzie znający okolicę, bo jechali wprost na bród. Dotarłszy do niego spostrzegli, że jest

zamknięty zasiekami; zatrzymali się więc, aby zbadać to miejsce. Teraz nadszedł dla Old Firehanda czas działania. Kiedy skierowali się ku bramie, właśnie jeden ze szpiegów stał przy otworze i wyglądał Śni swoim towarzyszom. Spostrzegłszy, że go na tym przydybano, skon-sternowany, cofnął się szybko.

- Co tutaj robisz? Czego szukasz przy strzelnicy? - zapytał Old Firehand ostro.

Zapytany spojrział z zakłopotaniem na olbrzyma i odpowiedział:

- Ja... ja chciałem zobaczyć, dokąd się teraz mamy udać!
- Nie kłam! Drogę swoją znacie dobrze. Prowadzi nad rzekę do ludzi, którzy się tam znajdują.
- O jakich ludziach mówicie, sir? - zapytał drab 2 udanym zdziwieniem. - Nie zauważyłem nikogo.
- Nie zadawaj sobie trudu udawania; to zbyt ciężkie. Należycie do trampów z Osage-nook, którzy chcą na nas napaść, i zostaliście przez nich wysłani, aby otworzyć od wewnątrz wrota. Stąd też, usiedliście tak blisko bramy.
- Sir! - wrzasnął drab sięgając do kieszeni.

Ale i Old Firehand chwycił w tej chwili rewolwer i odezwał się groźnie:

- Pozostaw w spokoju ukrytą broń! Skoro ja tylko ujrzę, pociągnę za kurek. Wasze przybycie tutaj było zuchwalstwem; mógłbym was kazać ująć i pociągnąć do odpowiedzialności, ale jesteście tak mało niebezpieczni, że pozwolę wam odejść. Wynoście się i powiedzcie tej hołocie, że każdemu, kto przejdzie przez rzekę, wpakuję kulę w łeb. Basta! Zabierajcie się stąd!

Po tych słowach otworzył bramę. Draby milczały, widząc rewolwer skierowany ku sobie. Kiedy jednak znaleźli się poza bramą i zasunięto na nowo rygle, roześmiali się szyderczo.

- Głupcze! Dlaczego pozwoliłeś nam odejść? Policz tylko, ilu nas jest! Z twoimi kilkoma ludźmi sprawa będzie krótka. W ciągu kwad-ransa będziecie wisieć'

Old Firehand dał umówiony znak i niewidoczni dotąd obrońcy wyszli spoza domu. Zajęli stanowiska przy otworach, aby wraz z myśliwym obserwować ruchy napastników.

Wypędzeni szpiedzy, dotarłszy do brzegu rzeki, krzyczeli coś do stojących po drugiej stronie, czego jednak z murów nie można było zrozumieć. Potem trampowie pojechali kawałek wzdłuż rzeki i próbując stamtąd przepłynąć na drugi brzeg, spędzili konie do wody.

- Weźcie szpiegów na siebie, aby nie uszli kary' - zawołał Old Firehand do Czarnego Toma, Blentera i Humply-Billa, stojących

blisko niego. - Ja cduję do dwóch pierwszych, którzy wyjdą na brzeg. Po mnie strzelają Uncle, Droll, lord i inni kolejno tak, jak stoją. Każdy więc będzie miał przed sobą oznaczony cel; niechaj dwu z nas nie mierzy do tego samego. Unikajmy wszelkiego marnowania amunicji!

- Dobrze! - odpowiedział Humply-Bill. - Ja jaz mam jednego na muszce.

A jego przyjaciel Gunstick-Uncle dodał:

- Skoro który przejdzie przez rzekę, wraz na kulę go nawlekę; po kolei w nich celuję i do piekła ekspeduję.

Właśnie pierwszy jeździec dotarł do brzegu, a za nim szedł drugi. Na miejscu, gdzie mieli wyjść na brzeg, stali rzekomi robotnicy. Old Firehand dał znak i prawie równocześnie huknęło pięć strzałów: obaj jeźdźcy spadli z koni; obok nich legli na ziemi trzej szpiedzy. Trampowie, wydawszy okrzyk wściekłości, poczęli się cisnąć naprzód, aby dosięgnąć brzegu; jeden drugiego pchał ku zgubie, bo skoro tylko jaki koń stanął na suchej ziemi, natychmiast kula któregoś z obrońców farmy wyrzucała jeźdźcę z siodła. W ciągu zaledwie paru minut na brzegu biegało ze trzydzieści koni bez jeźdźców.

Takiego przyjęcia trampowie się nie spodziewali. Wiadomość, jakiej im szpiedzy udzielili, była pomyślna. Na farmie znajdowało się śmiesznie mało obrońców. A teraz spoza murów padał strzał za strzałem i żadna kula nie chybiła! Wycie wściekłości zamieniło się w okrzyki trwogi; wśród zamętu jednak dał się słyszeć rozkazujący głos, po czym wszyscy znajdujący się w wodzie jeźdźcy zawrócili konie, aby się przedostać na drugi brzeg.

- Odparcii - odezwał się Missouri-Blenter. - Ciekaw jestem, co teraz zrobią?
- Spróbują przepłynąć przez rzekę w innym miejscu, poza donio-słością naszych strzałów - odpowiedział Old Firehand.

- A potem?
- Potem? To aę nie da powiedzieć. Jeśli wezmą się mądrze do rzeczy, to będziemy mieli ciężką przeprawę.
- A co uważacie za mądre?
- Nie powinni zbliżać się gromadnie, kcz rozproszyć luzem. Jeści zejda z koni i zbliżą się pędem ze wszystkich stron ku murom, szukając za nimi osłony, to będziemy za słabi, aby ich odeprzeć, gdyż musieli-byśmy się rozdzielić na cztery fronty. Gdyby wtedy zebrali się nagle w jednym punkcie, to mogliby nawet przedostać się przez mur.
- To prawda, ale wielu z nich zostało sprzątniętych. My natural-nie znaleźlibyśmy się wobec nich także prawie bez osłony.

130 `

- Pshaw! To mnie nie przerażał Czekałjmy, co zrobia.
- Zdawało się, że tymczasem trampowie powzięli jakiś plan; cała icfa gromada ruszyła w górę rzeki, a więc ku północy, poza obręb strzałów, padających z farmy. Tam przeszli na drugi brzeg, gdzie utworzyli gęstą ciżbę, której front zwrócony był ku bramie w murze. Dotychczas obrońcy znajdowah się po stronie wschodniej, teraz jed-nak Old Firehand zawołał głośno:
- Wszyscy co tchu na stron? pómocn?? Trampowi® chcą uderzyć na bramę.
 - Nie mogą przecież przedostać SSE przez nią - zauważył Blentę.
 - Nie, ale gdyby do niej dotarli, mogliby z siodeł tak szybko przelcść przez bramę i mury, że łatwo by nas zgnetli w podwórzu.
 - Przedtem jednak wielu z nich padnie!
 - Lecz jeszcze więcej pozostanie! Nie strzelajcie, aż dam rozkaz, a wtedy wszyscy razem wypalimy w sam ich środek!

Szybko obsadzono pomocną część muru. Obrońcy stali częścią przy otworach strzelniczych, a częścią na podwyższeniach pomiędzy nimi. Ostatni pochyłili się, aby ich nacierający nie zobaczyli za wcześnie. Oddział ruszył galopem wprost ku bramie. Dopiero kiedy tram-powie znaleźli się w odległości najwyżej osiemdziesięciu kroków od niej, Old Firehand dał rozkaz; huknęły strzały.

Zdawało się, jakby trampów w pełnym galopie wstrzymała linia pociągnięta w poprzek. Utworzyli dziki kłęb, którego nie mogli dość szybko rozerwać. Stąd obrońcy farmy mieli czas powtórnie naładować i strzelali teraz w tę bezładną masę nie salwami, lecz bez komendy nieustannie. To rozgromiło trampów do ostatka, rozbiegli się, pozos-tawiając zabitych i rannych. Konia, puszczone luzem, biegły instynk-townie ku farmie, gdzie otwarto bramę, aby je wpuścić. Kiedy później trampowie próbowali zabrać rannych, me przeszkadzano im, bo był to akt miłosierdzia. Rannych przeniesiono, jak widać było z farmy, ku odległej grupie drzew, aby im tam przewiązać rany, o Bc na to okoliczności pozwalały. Tymczasem nadeszło południe i dzielnym obrońcom rozdano żyw-ność i napoje. Wkrótce ujrzano, że trampowie, pozostawiwszy ranio-nych pod drzewami, oddalili się; odjechali w kierunku zachodnim.

- Co to, odchodzą? - zapytał Humply-Bill. - Otrzymali dobrą nauczkę i zrobiliby najmądrzej, gdyby sobie wzięli ją do serca.
- Ani im to w głowie - odpowiedział Ciotka Droll. - Gdyby rzeczywiście poniechali swego zamiaru, to zabrałiby rannych. Ja

131

sądzę, że przypomnieli sobie teraz o trzodach, należących do farmy. Spójrzcie na dach! Tam stoi Old Firehand z lunetą w ręce. Obserwuje drabów i myślę, że wkrótce otrzymamy rozkaz pójścia z pomocą pastuchom i Indianom.

Przypuszczenie Ciotki okazało się słuszne, bo nagle Old Firehand zawołał:

- Siodłać szybko konie! Te draby zdażają na południe; spotkają

się teraz z Wielkim Słońcem i jego ludźmi.

Nie upłynęło pięć minut, gdy konie stały gotowe i wszyscy dosiedli ich z wyjątkiem kilku parobków, którzy mieli pozostać na farmie i w razie potrzeby otworzyć szybko bramę. Z Old Firehandem na czele jeźdźcy, skręciwszy za najbliższym węglem domu, skierowali się na południe.

Teraz nie widać już było trampów gołym okiem, ale Old Firehand wziął ze sobą lunetę, aby ich obserwować. Dzięki temu oddział, niewidzialny dla trampów, mógł jechać równoległe z nimi. Po kwadransie Firehand zatrzymał się, trampowie również stanęli. Dotarli do granicy posiadłości sąsiada, gdzie zobaczyli nie tylko pasące się tam zwierzęta, ale również i zbrojnych obrońców.

Old Firehand badał kępy zarośli, rosnące na łące, szukając zasłony. Ukryty za nimi, zbliżył się ze swymi ludźmi ku miejscu, gdzie przypuszczalnie miało nastąpić starcie. Potem jeźdźcy zeskoczyli z koni i pochylając się, przemknęli dalej, aż do obszernej grupy krzaków, ku którym prawdopodobnie trampowie w czasie walki musieli się zbliżyć. Z miejsca tego widać było nawet gołym okiem zarówno napastników, jak i obrońców.

Obecność Indian zaskoczyła trampów. Wkrótce jednak spostrzegli, że Indianie uzbrojeni są niedostatecznie, bo nie mają broni parnej, i to ich uspokoiło. Przywódcy odbyli krótką naradę, a potem wydano rozkaz do natarcia. Po sposobie przeprowadzenia tegoż można było zaraz poznać, że nie mają zamiaru zabawić się długo walką na odległość, lecz chcą po prostu stratować kopytami czerwonoskórych.

W zwartym szeregu i wśród groźnych okrzyków jeźdźcy rzucili się wprost na nich.

Teraz okazało się, że Wielkie Słońce w zupełności dorósł do swego zadania. Wydał głośny rozkaz, wskutek którego jego ludzie, stojący dotąd gęsto obok siebie, rozproszyli się tak, że o stratowaniu nie mogło być mowy. Zrozumieli to trampowie, bo wykonali zwrot, chcąc dostać się na prawe skrzydło Indian, aby ich potem zepchnąć na lewe.

Lecz wódz Osedżów przewidział ten zamiar i znowu zabrzmiał jego donośny głos. Indianie krzyknęli, utworzyli na chwilę spleatany pozor-

132
nie kłęb a potem rozbiegli się znowu. Stanowisko ich teraz zmieniło się zupełnie; przedtem stali w linii idącej ze wschodu na zachód, icraz zaś uszykowali się od południa na pomoc. Osedż nakazał zmianę frontu nie dlatego, iżby wiedział o bliskości sprzymierzeńców, lecz aby jak napadnięty bizon nastawić wrogowi nie odsłonięty bok, lecz uzbrojone szsnymi rogami czoło.

Ta kunsztowna zmiana miała jeszcze ten nie oczekiwany przez niego skutek, że rozbójnicy znaleźli się teraz nagle między Indianami, a ukrytymi poza zaroślami białymi. Trampowie widząc, że zamiar ich został udaremniony, zatrzymali się; było to nieostrożnością, za którą srogo zapłacili. Okazało się, że pomylili się co do doniosłości broni Indian.

T? przerw? wyzyska? Osedż?; wyda? okrzyk, po którym jego ludzi® skoczyli szybko naprzód i nagle zatrzymawszy się, wypuścili strzały, po czym cofnęli się równie szybko. Pociski dosięgły celu; widu trampów padło trupem, a jeszcze więcej było rannych, zarówno jeźdźców, jak i koni. Te ostatnie poczęły się wspinać, chcąc pójść w rozsypkę, i zaledwie można je było uspokoić. Wywołało to zamieszanie, z którego skorzystał Old Firehand.

- Teraz zaczynamy! - zawołał. - Ale nie strzelajcie do korni Huknęły strzały; kule trafiły na gromadę trampów, którzy z" Strachu wrzasnęli.

- Uciekać! - ryknął wśród nich jakiś gło?. - Jesteśmy otoczeni! Przerwać Unię czerwonych diabłów!

Rozkazu tego posłuchano natychmiast. Trampowie, porzuciwszy zabitych i ciężko rannych, rzucili się na Indian, którzy chętnie zrobili im przejście, podniósłszy za nimi triumfalne wycie.

- Ale wrywają! - śmiał się stary Blenter. - Q więcej nio wróca. Czy wiecie, kto był ten, co wzywał do ucieczki?

- Naturalnie! - odpowiedział Tom. - Głos ten znam dosko-nale. To rudy kornel, którego widocznie diabli wzięli w obronę prz"d naszymi kulami. Czy pójdziemy za tymi hultajami, sir?

Old Firehand, do którego pytanie było skierowane, odpowiedział:

- Nie. Jesteśmy za słabi na to, aby podjąć z nimi walkę. Może zresztą domyśla się, iż pierwotnie nie znajdowaliśmy się tutaj, lecz że przyszedliśmy z farmy na pomoc Indianom. W tym wypadku jest bardzo prawdopodobne, że zawróca, aby się wedrzeć do farmy w czasie naszej nieobecności. Musimy więc czym prędzej wracać.
- A co się stanie z rannymi trampami i z rozprozoayari Iwśau?
- Maamy to pozostawić Indianom. Nte traćmy ćer-z czas-. Lesz szyblco do koni!

133

Powiewając kapeluszami i rzucając Indianom gromkie „hura”, na które ri odpowiedzieli przeraźliwym zwycięskim wyciem, dosiedli koni i wrócili do farmy. Old Firehand udał się natychmiast na płaski dach domu, aby za pomocą lunety zlustrować okolicę.

Zastał tam panią Butter pogrążoną w trosce. Jakże wielka była jej radość, gdy dowiedziała się, że napad odparto.

- Więc jesteście uratowani? - zapytała odetchnawszy z widocz-ną ulgą. - Ponieważ trampowie ponieśli tak ciężkie straty, to można chyba się spodziewać, że odeszła im ochota do dalszych zakusów.

- Może - odpowiedział zamyślony myśliwy.

- Tylko może?

- Niestety! Na stada wprawdzie nie ważą się więcej napaść, bo sądzą, że strzegą ich nie tylko Indianie, lecz także dostateczna ilość białych. Inaczej jednak ma się sprawa z farmą. Te draby rozumieją naturalnie, że za dnia nie mogą nic wskórać, jednak mogą uważać za możliwe wtargnięcie tutaj pod osłoną ciemności. W każdym razie musimy być przygotowani na napad nocny. Możliwe, że...

Przerwał, bo patrząc ciągle jeszcze przez lornetę, skierował ją właśnie w stronę północną.

- Co się stało? - zapytała pani Butler. - Dlaczego nie koń-czycie, sir? Dlaczego zrobiliście nagle tak pełną wątpliwości minę?

Old Firehand patrzył jeszcze chwilę przez lornetę, a potem spuścił ją i odpowiedział spokojnie:

- Nic takiego, co by nas mogło przejmować szczególną obawą, my lady. Możecie spokojnie zejść na dół, aby podać ludziom jaki napój.

Odeszła uspokojona; kiedy jednak znikła, myśliwy zwrócił się do lorda, który właśnie ukazał się na tarasie ze swą olbrzymią perspek-tywą:

- Mam słuszny powód, aby teraz usunąć tę kobietę. Weźcie, mylordzie, swą lornetę do ręki i spójrzcie wprost na zachód! Kogo tam widzicie?

Lord posłuchał wezwania, a potem odpowiedział:

- Trampowie. Widzę ich dokładnie. Nadchodzą.

- Czy rzeczywiście nadchodzą?

- Naturalnie, a cóż by mieli czynić?

- Zdaje się, że moje szkła są lepsze od waszych, chociaż o wiele mniejsze. Czy widzicie, że trampowie są w ruchu?

- Nie. Oni stoją.

- A twarze dokąd mają zwrócone?

Ku pomocy.

134

- Więc zwróćcie lornetę w tym kierunku! Moas zobaczycie wte-dy, dlaczego draby stanęły.

- Well, sir! Zobaczę... Tam jedzie trzech luda, nie spostrze-tfec trampów.

- Jeźdźcy? Rzeczywiście?

- Yes! Lecz nie! Zdaje się, że jest z nimi jakaś lady. Słusznie. To dama. Widzę jej długą amazonkę i powiewający welon.
- A czy wiecie, kim są o troje?
- Nie! Jakże mógłbym o tym wiedzieć?... Na Boga, to chyba me...
- Niestety... - skinął Old Firehand. - To farmer i jego brat z córką. Posłanko, którego wysłaliśmy dla ostrzeżenia, me spotkał si? z nimi.

Lord złożył swą lornetę i zawołał:

- Musimy szybko wsiąść na konie i popędzić ku nim, inaczej wpadną trampom w ręce!

Chciał odejść, ale myśliwy wstrzymał go.

- Pozostańcie sir i nie podnoście hałasu! Kobiety nie powinny się teraz o tym dowiedzieć. Nie możemy tamtych ostrzec, ani ha poJnoc, bo już za późno. Patrzcie! Prędko!

Lord, przyłożywszy znowu lornetę do oka, ujrzał, że trampowie ruszyli z miejsca galopem naprzeciw owych ludzi.

- Do wszystkich diabłów! - zawołał. - Zabijają ich!

- Ani im się śni! Jaką korzyść może im przynieść śmierć tych trzech osób? Żadnej. Jeśli zaś pozostawia ich przy życiu jako zakład-ników, to mogą wymusić na nas ustępstwa. Patrzcie! Już się stato! Otoczono ich. Nie mogliśmy temu zapobiec.

- Well, to słusznie, sir - odpowiedział lord. - Ale czy rzeczy-wiście pozwolimy im wymusić jakiegokolwiek ustępstwa? Musielibyśmy się wstydzić, wdając się choćby tylko w rokowania z tymi ludźmi.

Old Firehand wzruszył ramionami w szczególny sposób; na ustach jego pojawił się lekki uśmiech, kiedy odpowiedział:

- Pozostawcie to mnie, sir! Nie uczyniłem nigdy niczego, czego bym musiał się wstydzić. Jeśli wam mówię, że tym trzem osobom, które tam właśnie pochwycono, nie grozi żadne niebezpieczeństwo, to mo?ecie mi wierzy?. Mimo to jednak, prosz? was, m® dajcie poznać kobietom, co się stało!

- Czy nikt więcej nie ma o tym wiedzieć?

- Powiemy to tylko najbliższemu, aby przynajmniej om wiedzieli, jak sprawy stoja. Jeśli zechcecie to uczynić, to zejdźcie teraz do nich, ale niech tego dalej nie rozgłaszają. Ja będę nadal obserwował tych drabów.

135

Lord zszedł na dziedziniec, Old Firehand zaś zwrócił swą uwagę znowu na trampów, którzy wzięwszy jeńców w środek, ruszyli ku wspomnianej grupie drzew i tam, zsiadłszy z koni, rozbili obóz. Myśliwy widział, że zawiązała się między nimi bardzo ożywiona rozmowa czy też narada, i domyślał się, co było jej przedmiotem. Myśli te przerwał mu Droll, który wyszedłszy z wielkim pośpiechem na terasę, zapytał:

- Czy to prawda, co nam lord powiedział? Obaj Butlerzy dostali się do niewoli, a z nimi i panienka?

- Rzeczywiście tak jest - przytaknął Old Firehand.

- Kto by pomyślał! Teraz trampowie są pewni, że wygrab' sprawę; pewnie przyjdą i będą stawiać ciężkie warunki. A my? Co na to odpowiemy?

- No, a co byście radzili? - zapytał Old Firehand spojrzawszy badawczo a filuternie na Drolla.

- I wy jeszcze pytacie! Na nic się nie zgódźmy! A może chcecie im nawet okup złożyć!

- Czyż nie jesteśmy do tego zmuszeni?

- Nie, stanowczo nie, i jeszcze raz nie! Te draby nie mogą nic zrobić. Co? Może mogą jeńców zabić? To im nie przyjdzie do głowy, bo wtedy musieliby się obawiać naszej zemsty. Wprawdzie będą grozić, lecz my w to nie uwierzemy i wyśmiejemy ich po prostu.

- Ale nawet gdyby wasze przypuszczenie było słuszne, musimy mieć wzgląd na jeńców, których położenie jest bardzo przykre. Cho-ciażby nawet oszczędzili ich życie, to z pewnością nie poskapia żadnej możliwej przykrości, a nadto przydadza im grózb.

- To im nie zaszkodzi i muszą się z tym pogodzić. Dlaczego wleźli tak nieostrożnie w pułapkę? Posłuży im to za przestrożę na przyszłość, a zresztą niewola ich wnet się skończy. Przecież my jesteśmy tutaj i chyba by diabli się w to wdali, gdybyśmy nie znaleźli sposobu wyciągnięcia ich •; tego potrzebasku, jeśli to potrzebne.

- Jak się do tego zabrać? Czy macie jakiś plan?

- Nie, jeszcze nie. nie potrzeba go nawet. Najpierw musimy poczekać, co się dalej stanie, a potem dopiero możemy działać. Ja nie mam żadnej obawy, przynajmniej o siebie, bo mam się dobrze. Kiedy nadejdzie stosowna chwila, z pewnością przyjdzie mi właściwy pomysł do głowy. Wy i ja podejmowaliśmy się już dużo cięższych zadań. Nie mamy kielbi we łbie. Ja myślę, że... Stój! - przerwał nagle. ~ Patrz-cie! Teraz nadchodzą. Dwa draby, i to prosto ku domowi. Powiewają chustkami w paluchach, abyśmy widzieli, że należy ich respektować jako parlamentariuszy. Czy będziecie z nimi mówić?

- Naturalnie! Ze względu na jeńców musimy wiedzieć, czego od nas żądają! Chodźcie!

Zeszli na dziedziniec. Wysłańcy stanęli za doniosłością strzałów i powiewali chustkami. Old Firehand otworzył bramę, wyszedł i dał znak, aby podeszli. Tamci, zbliżywszy się, pozdrowili go uprzejmie;

widać jednak było, że zadają sobie wiele trudu, aby okazać pewność siebie.

- Sir, przychodzimy jako wysłańcy - odezwał się jeden - aby przedstawić wam nasze żądania.

- Tak?! - odpowiedział myśliwy z ironią. - Odkąd to zające preriove odważają się przychodzić do grizzly'ego, aby mu wydawać rozkazy?

Porównanie, którego użył, było niezłe. Stał przed nimi tak wysoki, szeroki i potężny, a z oczu jego strzelało tak groźne spojrzenie, że aamo woli cofnęli się o krok.

- My nie jesteśmy zającami, sir! - oświadczył mówca.

- Nie? A więc chyba tchórzliwymi kujotami, które zadowalają się padliną!

Podajecie się za parlamentariuszy? Jesteście rozbójnikami. złodziejami i mordercami, wyjętymi spod prawa, i każdy uczciwy człowiek może was powystrelać, jeśli mu się to spodoba!

- Sir - przerwał tramp - musimy się przed takimi obrażający-mi słowami...

- Milcz, łotrze! - zagrział Old Firehand. - Pozwoliłem wam zbliżyć się tutaj tylko w tym celu, aby się przekonać, do jakiego stopnia zuchwałości może się taka hołota posunąć. Macie słuchać, co powiem. Jeśli jeszcze wykrztusicie jedno słowo, które by mi się nie podobało, to grzmotną wami natychmiast o ziemię. Czy wiecie, kim jestem?

- Nie - odpowiedział pokornie przerażony drab.

- Nazywają mnie Old Firehandem. Powtórzcie to tym, którzy was wysłali; będą wiedzieć, że nie jestem człowiekiem, z którym można żartować; musieli to już dzisiaj odczuć i wiedzą o tym. A teraz krótko! Jakie macie zlecenie?

- Mamy wam donieść, że farmer ze swoim bratem i bratanicą wpadli w nasze ręce.

- Wiem o tym!

- Te trzy osoby umrą...

- Pshaw! - przerwał mu myśliwy.

- ...gdybyście nie zgodzili się na nasze warunki - ciągnął dalej parlamentariusz

- i nie wydali nam farmy. Jeśli nie posłuchacie, to jeńcy zostaną na waszych oczach powieszani.

- Owszem, zróbcie tak! Jest tu na farmie i dla was dość

stryczków.

Tego tramp się mię spodziewał. Wiedział dobrze, że nie mogą odważyć się na wykonanie groźby. Spojrzał więc zakłopotany ku ziemi, a potem niepewnie powiedział:

- Pomyślcie tylko, trzy życia ludzkie!
 - Myślę o tym bardzo dobrze. A teraz precz stąd, bo zginiecie!
- Wyciągnął rewolwer. Obaj trampowie cofnęli się szybko, lecz jeden z nich odważył się w pewnym oddaleniu przystanąć i zapytał:
- Czy możemy powrócić, jeśli otrzymamy inne polecenie?
 - Nie! Tylko rudy komel będzie mógł ze mną mówić, ale nie

dłużej niż jedną minutę.

- Czy przyrzekacie mu wolną drogę powrotu do nas?
- Tak, o ile mnie nie obrazi.
- Powiemy mu to.

Popędzili tak prędko, że poznać było ich zadowolenie, iż mogli oddalić się sprzed oblicza słynnego westmana.

Old Firehand nie wrócił na dziedziniec, lecz ruszył spod bramy w kierunku trampów. Doszedłszy do połowy odległości, usiadł na kamieniu, oczekując rudego kornela. Przypuszczał, że ten nie omieszka przyjąć.

Wkrótce okazało się, że się nie mylił. Koło, utworzone przez trampów, otworzyło się i powoli zbliżył się do niego komel, a wykonał ukłon, który mimo wysiłku wypadł bardzo niezgrabnie, odezwał się:

- Good day, sir! Żądaliście rozmowy ze mną?
- Nic o tym nie wiem - odparł westman. - Powiedziałem tylko, że z nikim innym nie będę rozmawiał; najprzyjemniej jednak byłoby roi, gdybyście wy także nie pokazywali się.
- Master, używacie bardzo dumnego tonu!
- Mam do tego słuszne powody. Warn jednak nie radziłbym tego samego.

Spojrzeli sobie oko w oko; pierwszy spuścił oczy komel i odpowiedział, z trudem hamując gniew:

- Stoimy wobec siebie jak równy z równym!
 - A tak! Tramp wobec uczciwego westmana, zwyciężony przed zwycięzcą... Czy to nazywacie równością?
 - Jeszcze nie jestem pokonany. Tylko w naszych rękach leży odwrócić ten stosunek.
 - Spróbujcie! - zaśmiał się wzgardliwie Old Firehand.
- To rozgniewało trampa i odpowiedział:
- Wystarczyłoby nam tylko wykorzystać waszą nieostrożność!
 - Ach! Jakże to? Jaką nieostrożność popełniłem?
 - Tę, że oddaliliście się aż tu z farmy. Gdybyśmy zechcieli, wpadlibyście w nasze ręce. Niezwyciężonym, za jakiego chcecie ucho-dzić, jeszcze długo nie będziecie. Znajdujecie się w środku pomiędzy nami a farmą i potrzeba tylko, aby kilku naszych dosiadło koni, żeby odciąć wam powrót, a bylibyście naszym jeńcem.
 - Czy rzeczywiście tak myślicie?
 - Tak. Choćbyście byli najlepszym biegaczem, koń biegnie prędzej od was; z tym się chyba zgodzicie. Otoczono by was, zanim byście dosięgli domu.
 - Wasze obliczenie zgadza się z wyjątkiem jednego punktu. Nie wzięliście pod uwagę tego, że ci, którzy by mnie chcieli schwytać, musieliby wejść w obręb strzałów moich ludzi, a ci zmiotliby ich po prostu. Ale nie o tym mamy mówić!
 - Nie, nie o tym, sir! Przyszedłem, aby wam dać sposobność uratowania życia trojga ludzi.
 - Toście się niepotrzebnie trudzili, bo życiu tych ludzi nie grozi żadne niebezpieczeństwo.
 - Nie? - zapytał komel uśmiechając się szyderczo. - To się mocno mylicie, sir. Jeśli nie zgodzicie się na nasze żądania, to ich powiesimy.
 - Już wam kazałem powiedzieć, że wy wszyscy wisielibyście wówczas.
 - Śmieszne! Czy liczyliście, ilu nas jest?
 - Bardzo dobrze. Ale czy wiecie może również, jaką ilość ludzi mogę ja wam przeciwstawić?
 - Bardzo dokładnie! ,, . "
 - Pshaw! Nie mogliście nas przecież policzyć.

- To zbyt bezpieczne. Wiemy, ilu parobków znajduje się zwykle na farmie Butlera; teraz także nie będzie ich więcej. Do nich doliczyć należy co najwyżej rafterów, których przyprowadziliście z Black-bear-river.

Spojrzał z ukosa na myśliwego, gdyż rzeczywiście nie był pewny, iloma ludźmi rozporządza. Old Firehand jednak zrobił wzgardliwy ruch ręką i odpowiedział:
- Policzcie waszych zabitych i rannych, a potem powiedzcie, czy tych kilku rafterów mogłoby tego dokazać. Poza tym widzicie moich Indian, a także innych białych, którzy zajęli wam tyły.
- Innych białych? - zaśmiał się tramp. - To nic byli inni, ale właśnie tylko rafterzy. Przyznaję chętnie, żeście nas tym podeszli.

139

rzyszliście z farmy na pomoc Indianom: domyśliłem się tego niestety za późno. Powinniśmy byli natychmiast wrócić na farmę, a wtedy wpadłaby w nasze ręce. Nie, sir, liczbą nas nie przerazicie. Jeśli zabijemy jeńców, nie będziecie mogli ich pomóc.

Znowu spojrzawszy spod łba na Old Firehanda; ten wzruszył lekceważąco ramionami i odrzekł:

- Nie spierajmy się! Nawet gdybyśmy liczyli tak mało ludzi jak to błędnie przyjmujecie - to i tak wyżej stoimy od was. Trampowie, trampowie, cóż to za ludzie? Próżniacy, lenie, włóczęgi, wagabundy! Tam zaś wewnątrz za murami znajdują się najsławniejsi westmani i scouci Dzikiego Zachodu. Każdy z nich może wziąć na siebie przynajmniej dziesięciu trampów. Gdyby nas było tylko dwudziestu westmanów, a wy poważilibyście się zabić jeńców, to następowalibyśmy wam tygodniami, a nawet miesiącami na pięty, ażbyśmy was wytępilli do ostatniego. O tym wiecie bardzo dobrze i dlatego będziecie się strzegli, by tym trzem osobom nie spadł chociażby jeden włos z głowy.

Słowa te wypowiedział tonem tak groźnym i pewnym, że komd spuścił oczy ku ziemi; wiedział bowiem, że myśliwy jest człowiekiem, który słów swych nie rzuca na wiatr. Był już nieraz świadkiem, że Jeden odważny człowiek ścigał całą bandę, aby na niej wyrzucić zemstę, i że wszyscy po kolei legli od jego nie chybiającej strzelby. A jeśli po kim można się było spodziewać, że pójdzie za tym przewkładem, to był nim właśnie Old Firehand. Jednakże tramp nie chciał zdradzić swych myśli, podniósł oczy, wbił je szyderczo w twarz westmana i rzekł:

- Zaczekajmy! Gdybyście byli tak pewni swego, to me stalibysd tutaj; tylko troska o jeńców mogła was przynęcać.

- Nie plećcie głupstw! Okazałem gotowość do rozmowy z wami i tylko z wami, nie z obawy o nich, lecz aby jeszcze raz wryć sobie dokładnie w pamięć waszą twarz i głos. Taki był powód. Teraz siedzicie w mej pamięci tak pewnie, że nie rozłączymy się więcej. Skończyłem.

• - Jeszcze nie, sir! Uczynię wam nową propozycję, a mianowicie: wyrzekniemy się obsadzenia farmy.

- Ach! Co za łaska! A co dalej?

- Wydacie nasze konie, któreście zdobyli, nadto dostarczyć!! n"m potrzebnej ilości bydła, abyśmy mogli przygotować sobie żywność, a w końcu wypłacicie nam dwadzieścia tysięcy dolarów, tvlc chyba znajdziecie na farmie.

. - Tylko tyle? Nte więcej? Bardzo płętauc. A co nam za te ofiarujecie?

140

- My wypuścimy jeńców i odjedziemy, jeśli nam dacie słowo honoru, że wstrzymacie się na przyszłość od wszelkich kroków nie-przyjacielskich wobec któregokolwiek z nas. Teraz wiecie, czego chcę, i proszę o decyzję. Niepotrzebnie gadaliśmy tak długo.

Powiedział to takim tonem, jakby miał największe prawo do stawiania żądań. Old Firehand wyciągnął rewolwer i odpowiedział nie gniewnie, lecz bardzo spokojnie i z nieopisanie wzgardliwym uśmiechem:

- Tak, dosyć już bredni oapletliście i dlatego wynoście się stąd w tej chwili, inaczej dostaniecie kulą w łeb!
- Jak? Czy to...
- Precz w tej chwili! - przerwał myśliwy podniesionym głosem i skierował ku niemu lufę rewolweru. - Raz... Dwa...

Kornel wolał nie czekać na „trzy”; obrócił się i, rzuciwszy prze-kleństwo, odszedł szybko. Myśliwy patrzył za nim, by się upewnić, że tramp nie strzeli do niego z tyłu; potem powrócił do farmy i złożył swym towarzyszom krótkie sprawozdanie z tej osobliwej rozmowy.

- Postąpiliście bardzo słusznie, sir - oświadczył lord. - Takim łajdakom nie należy bezwarunkowo robić żadnych ustępstw. Oni czują trwogę i będą się strzegli porwać na jeńców. Jak myślicie, co teraz zrobia?

- Hm! - odpowiedział zapytany. - Słońce już zachodzi. Przy-puszczam, że będą czekać, aż zrobi się ciemno, aby raz jeszcze podjąć próbę, czy nie uda się im przeleźć przez mur. Nie uda się, to zawsze jeszcze pozostaną jeńcy do dalszych prób wymuszenia...

- Czyżby rzeczywiście mieli odważyć się na atak?

- Prawdopodobnie. Wiedzą o tym, że liczbą przewyższają nas kilkakrotnie. Musimy się przygotować do obrony. Przeważnie na-kazuje obserwować ich dokładnie. Skoro zapadnie zmrok, kilku musi wyjść za mury, aby się do nich podkraść i zawiadomić mnie o każdym ich ruchu.

Słońce dosięgało tymczasem horyzontu, a promienie jego, spływa-jące na szeroką równinę, jak płynne złoto, oświeciły grupę trampów w ten sposób, że z farmy można było dokładnie rozpoznać każdego z nich. Nie czynili żadnych przygotowań ani do odjazdu, ani celem rozbicia obozu. Można było stąd wnosić, że nie myślą opuszczać okolicy, lecz że i tam, gdzie się teraz znajdowali, nie zamierzają pozostać.

Old Firehand nakazał naznosić w cztery kąty dziedzińca drwa

141

i węgla, a nadto kilka beczek z naftą. Kiedy zrobiło się zupełni< ciemno, wysiał Ciotkę Droll, Humpy-Billa i Gunstick-Uncle'a na zwiady; ażeby zaś na wypadek spiesznego powrotu nie musieli czekać na otwarcie bramy, umocowano w kilku miejscach do muru silne lassa-i spuszczone na zewnątrz, aby po nich mogli się szybko wspiać i dostać na podwórze. Potem szczapy drzewa umoczone w nafci< zapalono i wyrzucono poza mur, a kiedy dodano węgla, zapłonęły m rogach cztery ogniska, które oświeciły zewnętrzną stronę muru i teren leżący przed nimi, tak jasno, że łatwo było zauważyć zbliżenie si nawet pojedynczego trampa. Płomień podsycano ciągle z murów, prz czym nie trzeba było wystawiać się na kule wrogów. Minęła z górą godzina i zdawało się, że nic się na zewnątrz ni< porusza. Wtem nadszedł, przelazłszy przez mur, Gunstick-Uncle a wyszukawszy Old Firehanda, zawiadomił go na swój sposób:

- Trampowie drzewa opuścili, gdzie indziej się rozłożyli.

- Spodziewałem się tego. Ale gdzie? - zapytał myśliwy śmiejąc się z rymów.

Zapytany wskazał na róg muru na prawo od bramy i odpowiedzią z niewzruszoną powagą:

- Między krzaki ponad rzeką; właśnie teraz się tam wleka.

- Odważyli się tak blisko podejść? Przecież słyszelibyśmy ich konie?

- Te na prerię odpędzono i wśród trawy umieszczono; lecz j, miejsce to poznałem, lampy zaś nie posiadałem.

- A gdzie są Bili i Droll?

- Ci za nimi się skradają i łotrzyków podglądają.

- Pięknie! Muszę znać dokładnie to miejsce, gdzie są trampowie, Bądźcie więc tak dobrzy i udajcie się z powrotem do tamtych dwóch myślą zapewne, że mądrze zrobili, ale wpadli właśnie w pułapkę, którs należy nam tylko zamknąć.

Uncle oddalił się, a lord, który przysłuchiwał się tej rozmowie, zapytał Old Firehanda, jaką pułapkę ma na myśli.

- Nieprzyjaciel znajduje się nad rzeką; poza sobą ma wodę, z przodu mur; jeśli trampów zamkniemy z pozostałych dwóch stron, to mamy ich w potrzasku.
- Zupełnie słusznie! Ale jak dokonacie tego zamknięcia?
- Każę sprowadzić Indian; podkradną się ku nim od południa my zaś, znajdujący się tutaj, uderzymy od północy.
- A mury pozostawicie bez osłony?
- Nie. Zostaną parobcy i ci wystarczą. Naturalnie, źle byśmy n?. tym wyszli, gdyby trampowie wpadli na to, aby uderzyć na mury; a i.'

nie spodziewam się po nich takiej przebiegłości. Nie domyśla się, że jesteśmy tak zuchwali, że porzuciliśmy punkt obronny. Każę się także wywiedzieć, gdzie są ich konie, gdyż z pewnością nie będzie trudno pokonać tych kilku strażników, jakich przy nich pozostawili. Kiedy dostaniemy w ręce konie, draby znajdą się w rozpaczliwej sytuacji, bo będziemy mogli za dnia ścigać każdego, który nam dziś wieczór ujdzie.

Teraz na polecenie Old Firehanda Czarny Tom i stary Blenter poszli poszukać koni. Następnie wysłano dwu parobków, znających bardzo dobrze okolicę, do wodza Osędzów, Wielkiego Słońca, aby mu zanieść dokładne wskazówki.

Przeszedł dość długi czas, zanim parobcy powrócili; znalazłszy Indian, przyprowadzili ich ze sobą. Indianie usadowili się w odległości zaledwie kilkuset kroków od trampów nad rzeką i byli gotowi uderzyć na odgłos pierwszego strzału. W końcu powrócił także Droll z Billom i Uncle'em.

- Wszyscy trzej? - zapytał Old Firehand z wyrzutem. - Powi-nien był przynajmniej jeden pozostać.
- Nie wiem dlaczego, jeśli to potrzebne!
- Naturalnie, aby obserwować trampów!
- To zbyt cenne! Wiem, jak sprawy stoją, bo podkradłem się tak blisko nich, że mogłem ich dokładnie słyszeć. Złoszczą się straszliwie na nasze ogniska, które uniemożliwiają im napad, i chcą zaczekać, aż zabraknie nam drzewa i węgla. Są przekonani, że po kilku godzinach wyczerpie się nasz zapas, bo farmer nie mógł być naturalnie przygotowany na tak wielkie zużycie paliwa. Potem chcą zacząć.
- To bardzo korzystne dla nas, bo zyskamy czas na zamknięcie pułapki.
- Jakiej pułapki?

Old Firehand wyjaśnił mu, jaki miał plan.

- To wspaniałe! Hi, hi, hi! - chichotał Droll, jak to zwykł był czynić, gdy go coś wprawiło w dobry humor. - To musi się udać i uda się na pewno. Te draby mianowicie są przekonane, że sądzymy, iż znajdują się jeszcze ciągle pod drzewami. Ale, sir, trzeba przy tym pomyśleć o czymś, co ma wielkie znaczenie.
 - O czym?
 - O położeniu jeńców. Boję się, że ich zabiją, skoro tylko rozpoczną się kroki nieprzyjacielskie.
 - Czy sądzą, że ja nie zastanawiałem się także nad tym?
- Podkradliśmy się tam, a trzej z nas będą mieli obowiązek czuwać nad obu Butlerami i młodą damą, skoro tylko zaczniemy walkę. Czy ich związano?

\ 143

- Tak, ale nie mocno.
- No, to musi się ich szybko uwolnić z węzów, a potten...
- A potem z nimi do wody - przerwał Droll.
- Do wody? - zdumiał się Old Firehand.
- Tak, do wody. Hi! hi, hi, hi! To będzie najlepszy figiel, jaki można wypłatać. Co za miny zrobią! A jak sobie będą suszyć głowy! Uprowadzimy im jeńców jeszcze przed napadem!
- Czy uważacie to za możliwe?
- Nie tylko za możliwe, ale nawet za bardzo potrzebna. W czasie walki byłoby trudno czuwać nad bezpieczeństwem jeńców; musimy ich więc już poprzednio usunąć z niebezpiecznego miejsca. A to wcale nie jest trudne.
- Nie? No, jak to sobie wyobrażacie? Wiem, że z w8s szcawany

lis?

- Do tego nie potrzeba wielkiej mądrości. Dziwię się, żeście sami na to jeszcze nie wpadli. Pomyślcie tylko o kanale, który z dziedzińca, tam z tyłu domu, prowadzi do rzeki! Ciągnie się pod ziemią i trampowie nie mają pojęcia o jego istnieniu. Poczłogałem się obok nich aż nad rzekę i mimo ciemności, po kamieniach wrzuconych w wodę dla utworzenia niewielkiej tamy, doprowadzającej wodę do kanału, znalazłem miejsce, gdzie się kanał kończy. I pomyślcie, panowie, właśnie przy ujściu kanału trampowie rozbili obóz. Utworzyli na brzegu półkole, w którego wnętrzu znajdują się jeńcy. Draby sądzą, że w ten sposób mają ich pewnie w rękę, a to właśnie umożliwi nam ich

uprowadzenie.

- Ach, zaczynam pojmować - powiedział Old Firehand.

- Chcecie zejść z podwórza do kanału i dostać się nim do rzeki?

- Tak. Naturalnie nie sam; musi ze mną pójść jeszcze dwu innych, aby na każdego jeńca wypadł jeden z nas.

- Hm! Ta myśl jest rzeczywiście wyśmienita. Musimy się zaraz przekonać, czy można kanału użyć do przejścia.

Old Firehand, zapytawszy o to kilku parobków, dowiedział się ku swej radości, że kanał jest wolny od mułu, a powietrze ma wcale dobre; można było przez niego przejść i, co było szczególnie szczęśliwą okolicznością, u ujścia ukryto małą łódź mogącą pomieścić troje ludzi, a łódka była tam zawsze ukryta, aby jej nie skradli Indianie lub jacyś obcy.

Plan chytrej Ciotki omówiono dokładnie i zgodzono się na to, że wykonać go mają Droll, Humpy-Bill i Gunstick-Uncle.

Tymczasem powrócili Blenter i Tom. Przeszukali okolicę w dość znacznym promieniu, ale koni, niestety, nie znaleźli. Trampowie byli

144

na tyle przezorni, że odprowadzili je możliwie najdalej od farmy.

Droll, Bili i Uncle ściągnęli z siebie wierzchnią odzież i zeszli z latarnią do kanału. Gdy okazało się, że woda sięga im tylko do piersi, karabiny wzięli na ramiona, a noże, rewolwery i worki z prochem uwiązali u szyi. Przodem szedł długi Gunstick-Uncle z latarnią.

- Kiedy zniknęli w otworze kanału, Old Firehand wyruszył także ze swymi ludźmi. Bramę przymknęto z lekka, aby w razie potrzeby móc ją łatwo otworzyć, na straży pozostał jeden z parobków z poleceniem natychmiastowego zamknięcia bramy, gdyby się trampowie zbliżyli. Inni parobcy, a także i dziewczki, stanęli przy murze od strony rzeki, gotowi w miarę sił odeprzeć ewentualny napad.

Rafterzy pod wodzą Old Firehanda zatoczyli najpierw łuk ku północy, aby usunąć się spod światła ogniska, potem, kiedy dosięgli rzeki, wrócili czołgając się brzegiem ku południowi, w pobliżu tram-pów. Old Firehand poczołgał się sam jeszcze dalej, aż jego bystre oczy mimo ciemności dostrzegły półkole, utworzone przez obozujących włóczęgów; wiedząc teraz, dokąd skierować napad, powrócił do swoich ludzi, aby czekać na znak umówiony z dzielną trójką, która wybrała się celem oswobodzenia jeńców.

Ci przebrnęli tymczasem przez kanał. Niedaleko ujścia, jeszcze wewnątrz kanału, znajdowała się mała łódeczka, przyczepiona do żelaznego haka; w jej wnętrzu leżały dwa wiosła. Uncle zgasił latarnię i powiesił ją na haku; Droll kazał towarzyszom, aby na niego czekali, bo chciał najpierw się rozejrzeć. Minęło więcej niż kwadrans, zanim powrócił.

- No? - zapytał Humpy-Bill z ciekawością.

- Nie było to łatwe zadanie - odpowiedział Droll. - Woda nam nie będzie przeszkadzać, bo z zewnątrz także nie jest głębsza niż tutaj, ale ciemności, panujące między krzakami i drzewami, dały mi się we znaki. Wprost nie było nic widać i musiałem sobie pomagać rękami!

- Chyba widać dość wyraźnie, jeśli się patrzy pod światło nasze-go ogniska?

- Tak, ale nie z wody, tylko z brzegu, bo powierzchnia wody leży niżej. A więc trampowie siedzą w półkolu, którego średnicę stanowi rzeka, wewnątrz zaś niego, niedaleko od wody, znajdują się jeńcy. Siedzi przy nich na straży jeden tramp, który ich bacznie pilnuje.

Musimy go sprzątnąć, nie będzie wielkiej szkody, gdy tego draba nie stanie!

- Macie więc jakiś plan?

- Tak. Jeńcy nie muszą wchodzić do wody, bo łódkę podprowadzimy aż na miejsce.

10 Skarb.-

145

- To zobaczą nas, bo zarysy łódki będą się odbijać od błysz

czących fal.

- Też coś! Po wczorajszym deszczu woda jest tak mętna, że zwłaszcza pod drzewami na brzegu nie można jej odróżnić od ładu. Podprowadzimy więc tam łódkę i przywiążemy ją; wy pozostaniecie przy niej w wodzie; ja pójdę sam na brzeg, aby poczęstować nożem strażnika i jeńców uwolnić z więzów. Potem przyprowadzę ich do was. Popłyną oni do kanału, gdzie będą bezpieczni, a my usadowimy się zupełnie spokojnie na miejscu, które zajmowali jeńcy. Wtedy damy znak, krzyk sępa, i zaraz zaczną się taniec. Zgoda?

- Well, nie może być lepiej.

- A wy, Uncle?

- Pięknie wasz plan obmyślony i ślicznie będzie spełniony - odpowiedział zapytany na swój sposób.

- Pięknie! A więc naprzód!

Odwiązawszy łódkę, wypchnęli ją z kanału na rzekę, Droll stero-wał. Posuwali się tuż przy brzegu, powoli i ostrożnie, dopóki Droll nie kazał stanąć; zauważyli, że przywiązał łódkę przy brzegu.

- Jesteśmy na miejscu - szepnął do nich. - Teraz czekajcie, aż

wrócę!

Brzeg nie był tu wysoki i Droll cicho poczołgał się w górę. Po drugiej stronie zarośli gorzał, przy dwu rogach muru, ogień, wskutek czego przedmioty odcinały się tak, że łatwo je było rozpoznać. W odległości najwyżej dziesięciu kroków od brzegu siedziały cztery osoby; byli to jeńcy ze swym strażnikiem. Dalej widnieli trampowie, spoczywający we wszystkich możliwych pozycjach. Nie odkładając karabinu, Droll poczołgał się dalej, aż znalazł się poza strażnikiem; dopiero teraz położył strzelbę, a chwycił za nóż. Tramp musiał zginać bez wydania głosu. Droll podciągnął pod siebie kolana, zerwał się szybko, pochwycił owego człowieka lewą ręką z tyłu silnie za gardło, a prawą wbił mu ostrze tak sprawnie i dokładnie w plecy, że przeszło przez serce. Potem, opuściwszy się znowu szybko, pociągnął trampa na ziemię, obok siebie. Odbyło się to tak błyskawicznie, że jeńcy niczego nie spostrzegli. Dopiero po pewnym czasie odezwała się dziewczynka:

- Pa! Nasz strażnik odszedł!

- Naprawdę? Ach, tak! Dziwi mnie to. Ale siedźcie spokojnie;

naturalnie chce nas wystawić na próbę.

- Cicho, cicho! - szepnął im Droll. - Nikt nie powinien słyszeć.

Strażnik leży zakłuty w trawie; ja zaś przyszedłem, aby was ratować.

- Ratować? Wielkie nieba! Niemożliwe! Wy sami jesteście straż' nikiem!

146

- Nic, szr. Ja jestem waszym przyjacielem. Znaćcie mnie z Arkan-sasu. Jestem Droll, którego nazywają Ciotką.

- Mój Boże! Czy to prawda?

- Ciszej, ciszej, sir! Old Firehand jest także tutaj; równieź Czarny Tom i wielu innych. Trampowie chcą złupić farmę, ale myśmy ich odparli. Widzieliśmy, jak

was pochwycili, i ja z dwoma dzielnymi chłopcami podkradłem się tutaj, aby was uprowadzić. A jeżeli mi nic ufacie, bo nie możecie widzieć mojej twarzy, to dowiodę wam prawdziwości moich słów przez to, że was rozwiążę. Podajcie mi wasze ręce!

Kilka cięć nożem i jeńcy byli wolni.

- Teraz po cichu na dół do czółna - szepnął Droll. - Przeszliśmy przez kanał i mamy łódkę. Wy wsiadźcie do niej z małą miss - schronicie się do kanału, który przecież znacie - i czekajcie, aż się taniec skończy.

- Taniec? Jaki taniec?

- Właśnie zaraz się zacznie. Tu po tej stronie trampowie mają rzekę, a naprzeciw mur, to znaczy dwie przeszkody, których nie będą mogli przebić. Na prawo od nas znajduje się Old Firehand z pewną liczbą rafterów i myśliwych, a tam na lewo czeka na mój znak do ataku wódz Osedżów Wielkie Słońce z gromadą czerwonoskórych.

- Ach, więc tak? A my mamy w łódce schronić się w bezpieczne miejsce? Czy rzeczywiście myślicie, że mój brat i ja jesteśmy takimi tchórzami i będziemy siedzieć z założonymi rękami, gdy tymczasem inni będą narażać dla nas życie? Nie, sir, mylicie się!

- Hm! Pięknie! Miło to słyszeć. Będziemy mieć dwu ludzi więcej.

Ale mała miss nie może pozostać tutaj, bo kule będą latać.

- Naturalnie. Bądźcie tak dobrzy i zawieźcie ją do kanału. Ale eo Z I-rC'''-? Czy nie możecie nam pożyczyć rewolweru lub noża?

- To zbyt cenne, sir. Tego, co mamy, potrzebujemy sami; ale tu leży strażnik, którego broń wystarczy dla jednego z was. Dla drugiego postaram się o nią, bo podkradnę się do jakiego trampa, aby mu... Pst! Cicho! Właśnie ktoś nadchodzi. To pewnie jakiś dowódca choć się przekonaj, czy jesteście dobrze strzeżeni. Pozwólcie mi działać!

Pod światło można było dojrzeć człowieka, obchodzącego stano-wiska trampów dla przekonania się, czy wszystko jest w porządku.

Nadszedł powoli, a stanawszy przed jeńcami, zawołał:

- Hej, Collins! Czy zaszło coś nowego?

- Nie - odpowiedział Droll, którego tamten uważał za strażnika.

- Well! Trzymaj oczy otwarte! Idzie o twoją głowę, gdybyś nie uważał. Zrozumiano?

147

- Yes! Moja głowa siedzi z pewnością lepiej; - na karku niż twoja.

Uważaj na siebie!

Droll użył umyślnie tych groźnych słów i wypowiedział je również umyślnie nie zmienionym głosem, chciał, aby drab pochylił się ku niemu.

Celu tego dopiął. Tramp zbliżył się o krok, pochylił głowę i zapytał:

- Co ci przyszło do głowy? Co ty sobie wyobrażasz? Czyj to głos?

Czy nie jesteś Collinsem, którego ja...

Nie dokończył, bo Droll pochwycił go za kark obu rękami jak w kleszcze, przyciągnął ku sobie i ścisnął mu gardło. Usłyszano krótkie kopanie nogami, a potem ucichło. Droll odezwał się szeptem:

- Tak, ten także przyniósł swoją broń, to bardzo uprzejmie z jego strony.

- Czy trzymacie go mocno? - zapytał farmer.

- Jak możecie nawet pytać o to! Zdmuchnięty! Bierzcie jego broń i wszystko, co ma przy sobie. Ja tymczasem zaprowadzę małą miss do łódki.

Droll podniósł się, ujął Ellen Butler za rękę i poprowadził ku wodzie, gdzie oczekujących nań towarzyszy zawiadomił o tym, co zaszło. Bili i Uncle przewieźli dziewczynkę do kanału, gdzie przywiąza-ali mocno łódkę, potem pobmęli z powrotem, aby się połączyć z Drollem i Butlerami.

- Teraz możemy zaczynać - rzekł Ciotka. - Te draby przyjdą naturalnie tutaj, aby zabezpieczyć sobie jeńców; to mogłoby być dla nas ryzykowne. Aby tego uniknąć, poczołgajmy się naprzód nieco dalej w górę - na prawo.

Po tych słowach ruszyli ostrożnie brzegiem rzeki, dopóki nie znaleźli stosownego miejsca. Tam podnieśli się i każdy stanął za drzewem, używając go jako osłony. Znajdowali się w zupełnej ciemności; widzieli przed sobą trampów dość dokładnie, tak że mogli do nich dobrze mierzyć. Teraz Droll przyłożył dłoń do ust naśladując krzyk sępa, zbudzonego na chwilę ze snu. Ten głos tak zwykły na prerii nie mógł zwrócić na siebie uwagi trampów; toteż nie zważali na niego nawet kiedy powtórzył się raz, drugi i trzeci. Przez kilka sekund panowała cisza, potem dał się słyszeć rozkaz Old Firehanda, wypowiedziany donośnym głosem:

- Naprzód! Ognia!

Z prawej strony zagrzecotały strzelby rafterów, którzy podkradli się tak blisko, że każdy z nich mógł wziąć innego człowieka na cel. Potem zabrzmiał na lewo przeraźliwy, mrozący krew w żyłach okrzyk wojenny Indian, którzy wyrzuciwszy na trampów chmurę strzał. rzucili się na nich z tomahawkami.

14.S

- Teraz my! - rozkazał Droll. - Najpierw kulami w nich, potem kolbami.

Trampowie czuli się zupełnie bezpieczni, tak że ten nagły napad przejął ich największym przerażeniem. Toteż zrazu niezdolni do oporu zbili się w gromadę jak zające, nad którymi zawisły szpony orła;

potem, kiedy napastnicy znaleźli się między nimi i zaczęli ich obrabiać kolbami, tomahawkami, rewolwerami i nożami, zniknęło ich chwilowe osłupienie i poczęli się bronić. Nie byli jednak w stanie policzyć przeciwników; stąd gromada ich w ciemnościach nocy, słabo tylko rozświetlanych blaskiem ognia, wydawała się im dwa i trzy razy większa, niż była rzeczywiście. To zwiększyło ich obawę i ucieczka wydawała im się jedynym środkiem ratunku.

- Precz, precz! Do koni! - krzyczał, a raczej ryczał jakiś głos.

- To kornd! - zawołał Droll. - Rzućcie się na niego; nie dajcie aro ujść!

Sam pospieszył w stronę, skąd ten głos dochodził, inni poszli za nim, ale daremnie. Rudy komel był na tyle przebiegły, że natychmiast skrył się w zaroślach. Czołgał się jak wąż od krzaka do krzaka, pozostając ustawicznie w cieniu, tak że nie można go było dojrzeć. Zwycięzcy zadawali sobie dużo trudu, aby możliwie niewielu trampom pozwolić uciec, ale liczba ich była tak wielka, że gdy wreszcie ochłonęli z przerażenia, łatwo udało im się przebić ławą. Zwrócili się ku północy.

- Dalej za nimi! - krzyknął Old Firehand. - Nie dajcie im żapnąć!

Chciał razem z trampami dostać się do koni, ale to okazało się niepodobieństwem. Im więcej oddalano się od farmy, tym bardziej zmniejszał się blask płonącego ognia i w końcu otoczyły ich ciemności tak zwarte, że nie można było rozróżnić swoich od wrogów. Old Firehand był zmuszony nakazać zbiórkę; upłynęło jednak dosyć czasu, zanim się skupili, a to pozwoliło zbiegom tak ich wyprzedzić, że nie mogli już im sprostać. Wprawdzie ścigający pędzili dalej w dotychczasowym kierunku, ale wkrótce usłyszeli szydercze wycie trampów, a liczny i gromki odgłos uciekających koni pouczył ich, że dalszy trud był daremny.

- Zawracać! - rozkazał Old Firehand. - Pozostaje nam jeszcze jedno: przeszkodzić rannym ukryć się, aby nam nic uszli.

Troska jego okazała się zbyteczna. Indianie nie brali udziału w pościgu; pożądamy skalpów białych twarzy, zatrzymali się i przeszukali dokładnie plac boju i przytykające do niego zarośla, zabijając i skalpując każdego trapię, którego znaleźli jeszcze przy życiu.

t49

Kiedy potem przy świetle ognisk porachowano trupy, okazało się, że wliczając zabitych za dnia, przypadały na każdego zwycięzcę po dwie głowy. Straszliwe żniwo! Mimo to liczba zbiegłych była tak znaczna, że z ucieczki ich można było jedynie się cieszyć.

EUen Butler wyprowadzono naturalnie zaraz z kryjówki. Młode dziewczę nie okazywało strachu; w ogóle od chwili dostania się do niewoli zachowywała się nad podziw spokojnie i roztropnie.

Ponieważ powrotu trampów już się nie obawiano, więc resztę nocy można było poświęcić, przynajmniej jeśli idzie o Indian, radości z odniesionego zwycięstwa. Otrzymawszy dwa woły, ubili je, pokrajali i wkrótce rozszedł się znad ognisk smakowity zapach pieczonego mięsa. Następnie rozdzielono łupy. Broń zabitych i wszystko, co znaleziono przy nich, pozostawiono Indianom. Dopiero kiedy dzień nastał, ucichła wrzawa i zamilkły objawy radości. Czerwonoskórzy okryli się kocami, aby nareszcie zasnąć.

Inaczej zachowali się rafterzy. Szczęściem żaden z nich nie padł, kilku tylko odniosło rany. Old Firehand zamierzał z brzaskiem dnia ruszyć śladami trampów, aby sprawdzić, dokąd się zwróca. Dlatego położono się spać, aby oznaczona godzina znalazła ich pokrzepionych i wypoczętych. Rano przekonali się, że ślady prowadzą z powrotem ku Osage-nook. Kiedy tam jednak dotarto, miejsce było już puste. Old Firehand zbadał je dokładnie i przekonał się, że tymczasem nadeszły nowe gromady trampów, zbiegowie, połączywszy się z nimi, odjechali bez zwłoki w kierunku pomocnym, nie przeczuwając, że Old Firehand zna dokładnie cel, do którego teraz zdążali.

JL rzeź prerię szedł krokiem powolnym i znużonym piechur - rzadkie zjawisko tam, gdzie nawet najuboższy posiada konia. Do jakiego stanu ten człowiek należał, trudno było odgadnąć. Odzież jego - miejska, ale bardzo znoszona - nadawała mu wygląd człowieka spokojnego, temu jednak przeczyła długa, potężnie długa flinta, którą nosił na ramieniu. Twarz miał bladą i zapadniętą, zapewne wskutek niedostatku i długiej wędrówki pieszej.

Czasami przystawał, aby odpocząć, ale nadzieja spotkania ludzi zmuszała szybko do nowych wysiłków jego znużone nogi. Raz po raz daremnie badał horyzont, aż nareszcie oko jego zabłysło radośnie;

daleko na widnokręgu spostrzegł człowieka, również piechura, który zbliżał się z prawej strony, tak że drogi ich musiały się zetknąć. To dodało jego członkom nowych sił, ruszył szybko długimi krokami i wkrótce przekonał się, że tamten spostrzegł go również, bo przy-stanął, aby mu pozwolić się zbliżyć.

Ten drugi odziany był bardzo osobliwie. Miał na sobie niebieski frak z czerwonym, sztywnym kołnierzem i żółtymi guzikami; czerwone aksamitne spodnie do kolan, wreszcie wysokie buty z żółtymi skórzanymi sztylpami. Szyję owijała mu niebieska chustka, związana w wie-lki i szeroki, podwójny fontaż, zakrywający całą pierś. Głowę osłaniał słomiany kapelusz z szerokimi kresami. Na rzemieniu, przerzuconym przez kark, wisiała z przodu skrzynka z polerowanego drzewa. Człowiek ten był długi, suchy, a gładko wygolona twarz jego miała rysy ostre. Kto spojrzał na te rysy i w małe, chytne oczka, ten wiedział zaraz, że ma przed sobą prawdziwego jankesa - z gatunku tych, których przebiegłość stała się przysłowiową.

Kiedy obaj zbliżyli się na taką odległość, że można było wygodnie rozmawiać, człowiek ze skrzynką uniósł lekko kapelusz i pozdrowił drugiego:

151

- Good day, kolego! Skąd idziecie?

- Tam z dołu, z Kinsley - odpowiedział zapytany ukazując ręką poza siebie. - A wy?

- Zewsząd. Ostatnio z farmy, która leży za mną.

- Czy jest tu jaka farma?

- Tak. Trzeba iść do niej nie dłużej jak pół godziny.

- Dzięki Bogu! Dłużej bym nie wytrzymał - wędrowiec podszedł bliżej i przystanął; nogi się pod nim uginały.

- Nie wytrzymał? Dlaczego?

- Z głodu.

- Do wszystkich diabłów! Z głodu? Czy to możliwe? Czekaście, zaraz temu zaradzimy! Usiądźcie tu na mojej skrzynce. Dostaniecie coś do jedzenia.

Postawiwszy skrzynkę na ziemi i zmusiwszy obcego, aby usiadł, wyciągnął z kieszeni fraka dwie olbrzymie kromki chleba z masłem, a z kieszeni poły wielki kawał szynki. Jedno i drugie podał zgłodniałemu i ciągnął:

- Jedzcie, kolego! Nie są to wprawdzie delikatesy, ale głód ugłaszcza.

Tamtén porwał je łapczywie. Tak był wygłodzony, że chciał natychmiast podnieść chleb do ust, jednakże rozmyślił się i powiedział:

- Jesteście bardzo dobrzy, sir! Ale te rzeczy są przeznaczone dla was. Jeśli ja zjem, to wy będziecie pościć.

- O nie! Zapewniam was, że na najbliższej farmie dostaniemy tyle jedzenia, ile tylko zechcemy.

- Czy znają was tam?

- Nie. Nie byłem jeszcze nigdy w tej okolicy. Ale nie traćmy czasu, użyjcie ust ku lepszej sprawie.

Zgłodniały poszedł za tym wezwaniem, a jankes usiadł na trawie i patrząc na niego, cieszył się, że olbrzymie kawały znikają tak szybko za zębami głodomora. Kiedy zniknęły już i chleb, i szynka, zapytał:

- Nakarmieni pewnie jeszcze nie jesteście, ale przynajmniej na jakiś czas zaspokoiliście głód?

- Jakbym się na nowo narodził, sir. Pomyślcie tylko, jestem od trzech dni w drodze, a nic nie miałem w ustach.

- Czy to możliwe?! Od Kinsley jeszcze nic nie jedliście? Czy nie mogliście wziąć ze sobą jakichś prowiantów?

- Nie! W drogę wybrałem się niespodzianie.

- Ach! Ale macie przy sobie karabin i mogliście przecieź upolować jakie zwierzę?

152

- Och, sir! Nie jestem strzelcem. Trafie prędzej do księżycy niż do psa, choćby siedział tuż przede mną.

- To cóż wam po karabinie?

- Do ewentualnego postrachu czerwonych czy białych waga-bundów.

Jankes zmierzył go badawczym spojrzeniem.

- Słuchajcie, master! Coś z wami jest nie w porządku! Jak się zdaje, umykacie stamtąd, a mimo to wyglądacie na osobnika zupełnie poczciwego. Dokąd właściwie prowadzi wasza droga?

- Do Sheridanu na kolej.

- Tak daleko i bez żywności! Jestem wam wprawdzie obcy, ale kiedy bieda, to dobrze mieć kogoś zaufanego. Powiedzcie mi więc, jaki to nagniotek wam dokucza?

- To bardzo krótka sprawa. Nazywam się rfełler. Przez całe swe życie nie stąpałem po różach. Pracowałem i chwytalem się niejednego, aż przed dwoma laty zostałem pisarzem kolejowym. Ostatnio otrzy-małem posadę w Kinsley. Sir, jestem człowiekiem, który by muchy nie skrzywdził; ale jeśli się dozna zbyt wielkiej obrazy, to wreszcie każdego złość ogarnia. Zadarł ze mną tamtejszy redaktor - doszło do pojedynku. Pomyślcie tylko, pojedynek na flinty. A ja nigdy w życiu nie miałem w rękach morderczego narzędzia. Pojedynek na strzelby, trzydzieści kroków odległości! W oczach mi pociemniało, kiedy to usłyszał. Krótko powiem: kiedy nadeszła umówiona godzina, stanęliś-my naprzeciw siebie. Sir, myślcie o mnie, co chcecie, ale jestem człowiekiem zgodliwym i nie chciałbym mieć krwi na sumieniu. Już na samą myśl, że mógłbym zabić przeciwnika, przeszły mnie dreszcze. Dlatego celowałem umyślnie o kilka łokci w bok. Nacisnąłem kurek, tamten również. Huknęły strzały... I pomyślcie, mnie ani tknęło, kula zaś moja przeszła tamtemu przez serce. Trzymając w ręce flintę, która nie należała do mnie, uciekłem przerażony. Jestem przekonany, że lufa jest krzywa, a kula z niej idzie o całe trzy łokcie za daleko na lewo. Co jednak najgorsze, redaktor miał licznych i wpływowych stron-ników, a to na Zachodzie znaczy bardzo dużo. Musiałem uciekać, uciekać natychmiast i pozostało mi tylko tyle czasu, aby się krótko pożegnać z moim przełożonym. Ten poradził mi iść do Sheridanu i zaopatrzył mnie w list polecający do tamtejszego inżyniera. Możecie go przeczytać i przekonać się, że mówię prawdę.

Wyciągnął z kieszeni list, otworzył go i podał jankesowi. Ten czytał:
Kochany Charoy!

Posyłam ci master Józefa Hellera, mojego dotychczasowego pisana.

153

Jest to człowiek uczciwy, wierny i skrupulatny. Wydarzyło mu się jednak nieszczęście, że strzelając Panu Bogu w okna, pofożył trupem swego przeciwnika. Z tego powodu musi oddalić się stąd na pewien czas. Zrobisz mi przyjemność, jeśli zatrudnisz go w swoim biurze tak długo, aż tę sprawę pokryje pył zapomnienia.

Twój Bent Norton

Jankes złożył list i zwrócił go właścicielowi. Przez usta jego przemknął uśmiech na pół ironiczny, na pół litościwy.

- Wierzę waszym słowom, master Heller, choćbyście mi nawet nie pokazywali tego listu. Kto was zobaczy i posłyszcy, ten wie, że ma przed sobą z gruntu uczciwego człowieka. Ze mną jest tak samo, jak z wami: anim wielki myśliwy, ani strzelec. Jednakże na waszym miejscu nie pozwoliłbym się ogarnąć trwodze. Zdaje mi się, że daliście się trochę kiwnąć.

- O, nie! Położenie było rzeczywiście niebezpieczne.

- Więc jesteście przekonani, że was ścigano?

- Z pewnością! Dlatego unikałem dotąd wszystkich ferm, aby się nie dowiedziano, dokąd idę.

- I jesteście pewni, że W Sheridanie przyjmą was dobrze i że otrzymacie posadę?

- Tak, bo mister Norton i mister Charoy, inżynier w Sheridanie, żyją w wielkiej ze sobą przyjaźni.

- Jaka pensję spodziewacie się otrzymać?

- Miałem teraz osiem dolarów tygodniowo i myślę, że zapłacą mi tam tak samo.

- Mam dla was posadę z dwa razy większą pensją, a więc szesnastu dolarami i wolnym mieszkaniem.

- Rzeczywiście? - zawołał pisarz uradowany, zrywając się z miejsca. - Szesnaście dolarów? Gdzie można dostać taką posadę?

- U mnie.

- U... was? - zabrzmiało tonem rozczarowania.

- Naturalnie. Prawdopodobnie nie spodziewacie się tego po mnie?

- Hm! Nie znam was.

- Temu możemy zaraz zaradzić. A zatem przedstawiam się:

jestem magister i doktor Jefferson Hartley, physician and farrier.

- A więc lekarz ludzi i koni?

- Lekarz dla ludzi i zwierząt - skinał jankes. - Jeżeli macie ochotę, to możecie zostać moim służącym. Zapłacę, ile przyrzekłem.

- Ale ja nie rozumiem się wcale na waszym zawodzie - oświadczył skromnie Heller.

154

-- Ja także nie.

- Nie? Musieliście przecież studiować medycy Q?

- Ani mi się śniło!

- Ale jeżeli jesteście magistrem, a nawet doktorem...

- Jestem rzeczywiście! O tym wiem najlepiej, bo godność tę sam sobie nadałem.

- Wy... wy sami?

- Oczywiście! Mówię z wami otwarcie, bo myślę, że przyjmiecie moją propozycję. Z zawodu jestem krawcem; potem byłem fryzjerem, następnie nauczycielem tańców; później założyłem instytut wychowawczy dla młodych ladies; kiedy się to skończyło, chwyciłem za harmonię i zostałem wędrownym muzykiem. Od tego czasu odznaczyłem się w dziesięciu czy dwudziestu innych zawodach. Poznałem życie i ludzi, a szczytem tej znajomości jest doświadczenie, że człowiek z głową nie powinien być głupcem. Ludzie chcą, aby ich oszukiwano. Tak! Sprawia im to największą przyjemność, jeśli kto „A” poda za „B” - takiego darzą nadzwyczajnym uznaniem. Należy zwłaszcza schlebiać ich błędom, błędom i wadom, tak duchowym jak fizycznym. Dlatego właśnie zostałem lekarzem. Oto moja apteka!

Odemknął skrzynię i podniósł wieko; wewnątrz jej miało imponujący wygląd: pięćdziesiąt przedziałów, wyłożonych aksamitem i ozdobionych złotymi liniami i arabeskami. W każdym przedziale znajdowała się flaszeczka z pięknie zabarwionym płynem we wszystkich możliwych odcieniach kolorów.

- To jest wasza apteka? Skąd bierzecie lekarstwa?

- Sam je przyrządzam.

- Mam wrażenie, że nie rozumiecie się wcale na tym!

- O, na tym się rozumiem! To przecież dziecinna igraszka! To, co tu widzicie, nie jest niczym więcej, jak odrobiną farby i wody zwanej aqua. Słowo to stanowi całą moją łacinę. Do tego sfabrykowałem sobie sam resztę wyrazów; muszą brzmieć możliwie pięknie. I tak widzicie tu napisy: Aqua salamandra, Aqua peloponesia, Aqua chimb-rassolaria, Aqua invocabalataria i inne. Nie macie pojęcia, jakie choroby już tą wodą wyleczyłem; ale nie biorę wam za złe, że mi nie wierzycie, bo ja sam również w to nie wierzę. Rzecz najważniejsza - nie czekać na skutek, lecz brać honorarium i wynosić się czym prędzej! Stany Zjednoczone są rozległe i zanim w dane miejsce powrócę, minie wiele, wiele lat, a tymczasem porosnę w pierze.

**Utrzymanie zaś nie kosztuje ani szeląga, bo gdzie tylko przyjdę,
stawiają przede mną więcej, niż mogę pochłoniąć, a kiedy odchodzę,
-Wypychają mi jeszcze kieszenie. Indian obawiać się nie mam potrzeby,**

,

155

bo jako człowiek obznajomiony z lekarstwami, jestem dla nich świętym i nietykalnym. Podajcie rękę na zgooł Chcecie zostać moim famulusem?

- Hm! - mrukna! Heller skrobiąc się za uchem. - Sprawa wydaje mi się niebezpieczna. To nieuczciwość!

- Nie bądźcie śmieszni! Wiara jesi wszystkim. Pacjenci wierzą w skuteczność moich leków i to ich uzdrawia. Czy to oszustwo? Spróbujcie przynajmniej jeden raz! Posililiście się teraz, a ponieważ farma, do której zdążam, leży na waszej drodze, więc nis straciecie nic na tym.

- No, sprób-uję, dbodażby z wdzięczności; ate nie mam zdoln-ośd przekonywania ludzi.

- To zupełnie niepotrzebne; o to ja się sam postaram. Wy macie tylko milczeć z szacunkiem, a cała wasza praca polega na tym, aby wydobyć ze skrzynki flaszeczkę, którą wam wskażę. Naturalnie musi-cie się na to zgodzić, że będę do was mówił „ty”. A więc naprzód! Ruszajmy!

Przewiesił skrzynkę przae raauę i ruszyli ku farmie. Po upływie może pół godziny ujrzeni ją z daleka. Teraz skrzynkę musiał ponieść Heiler, bo pryncypałowi, doktorowi i magistrowi nie wypadało.

Główny budynek farmy zbudowany był z drzewa, z boku i z tyłu otaczał go dobrze uprawny sad i ogród warzywny, budynki gospodar-skie znajdowały się w pewnej odległości ud mieszkania. Tam stały uwiązane trzy konie, co dowodziło, że przebywali tu obcy. SiedzieH w izbie i pili domowe piwo, przyrządzone przez samego farmera. Wkrótce spostrzegli szarlatana z jego służącym.

- Do stu piorunów! - zawołał jeden z nich. - Czy widzę dobrze? Tego znam z pewnością! Jeśh się nie myię, jest to Hartley, ów muzykant z harmonią.

- Twój znajomy? - zapytał drugp. - Czy miałaś co z nim wspólnego?

- Oczywiście. Ten hultaj robi świetne mtaeaey i miał kieszwoie wypchane dolarami. Ja naturalnie robiłem interesy równie dobre, bo wypróżniałem mu je w nocy.

- Czy wie, że to ty byleś?

- Hm, prawdopodobnie. Jak to dobrze, że wczoraj przemalowa-łem włosy na czarnel Nie nazywajcie mnie czasem Bnnkleyem czy też komelem. Muzykus mógłby nam pomieszać szyki.

Obaj przybysze zbliżyli się tymczasem do domu. Żona farmera, wyszedłszy ze stajni, powitała ich grzecznie i zapytała, czego sobie aycz?. Kiedy us?ysza?a, ?
® ma przed sobą lekarza i jago służącego, ze czcia, poprosiła icfa do izby.

- Messurs! - zawołała wchodząc do wnętrza. - Oto bardzo uczony doktor ze swym aptekarzem. Myślę, że wam towarzystwo tych panów nie będzie nieprzyjemnym.
 - Bardzo uczony lekarz? - mruknął do siebie kornel. - Bezczel-ny drab! Ja bym mu pokazał, co o nim myślę!

Wchodzący ukłonili się i bez ceremonii zajęli miejsca przy stole.

Kornel zauważył ku wielkiemu zadowoleniu, że Hartley go nie poznał. Podał się więc za zastawiacza sideł i oświadczył, że udaje się z obu towarzyszami w góry. Kiedy obiad był już gotowy, gospodyni wyszła przed dom i zwyczajem owych okolic zadęła w róg, aby zwołać domowników. Ci nadeszli z pól, leżących w pobliżu; był tam farmer, jego syn, córka i parobek. Gościom, a zwłaszcza lekarzowi, podali rękę z niewymuszoną uprzejmością i siedli obok nich, aby spożyć obiad, poprzedzony i zakończony modlitwą. Byli to ludzie prości, otwarcy i pobożni, toteż nie dorównywali naturalnie prawdziwemu jankesowi z jego chytrą. W czasie obiadu farmer zachowywał milczenie; potem jednak zapalił fajkę, oparł łokcie na stole i odezwał się do Hartleya:

- Po obiedzie musimy, doktorze, pójść znowu w pole; teraz jednak mamy trochę czasu do pomówienia ze sobą. Może będę mógł odwołać się do pomocy waszej sztuki. Na jakich chorobach się znacie?

- Co oznacza to pytanie? - zawołał szalbierz. - Jestem physy-dań i farrier; leczę choroby wszystkich ludzi i wszystkich zwierząt.

- Well, więc jesteście człowiekiem, jakiego mi potrzeba. Prawdopodobnie nie należycie do tych oszustów, rzekomych lekarzy, którzy zajmowali się wszystkim i wszystko obiecują, ale niczego się nie nauczyli.

- Czy wyglądam może na hultaja? - zawołał Hartley uderzając się w piersi. - Czy byłbym złożył egzamin doktora i magistra, gdybym nie studiował? Tu siedzi mój służący. Zapytajcie go: powie wam, ile setek, a nawet tysiący ludzi, nie licząc już zwierząt, za-wdzięcza mi zdrowie i życie.

- Wierzę temu, wierzę, sir! Przychodzicie właśnie w porę. W stajni stoi krowa. Co to znaczy, wiecie zapewne. Tu na stepie krowa tylko wtedy idzie do stajni, gdy jest ciężko chora. Biedaczka nie je nic od dwu dni i zwiesiła łeb ku ziemi. Uważam ją za straconą.

- Pshaw! Ja opuszczam chorego dopiero wtedy, gdy wyzionie ducha! Niech mi ją parobek pokaże.

Kornel się zaprowadził do stajni, aby zbadać krowę. Wróciwszy, oświadczył z miną nader poważną:

- Był najwyższy czas, bo krowa padłaby do wieczora. Najadła się

szaleju. Szczęściem mam na to niezawodny środek; rano będzie zdrowa jak dawniej. Przynieście mi wiadro wody, a ty, służący, wyjmij Aqua sylvestropolia.

Heller, otworzywszy skrzynkę, wyjął odpowiednią flaszeczkę; Har-

tley wlał z niej do wiadra kilka kropel; z tej mieszniny miano co trzy godziny dawać krowie po pół galona. Potem przyszła kolej na dwunożnych pacjentów. Farmer, który cierpiał na reumatyzm, dostał Aqua sensationa. Żona jego, której rosło wole, otrzymała Aqua sumatralia. Córka nie cierpiała na, nic, jednak dała się łatwo nakłonić do wzięcia przeciw kilku przyszczom Aqua furonia. Parobek trochę kulał, już od dziecka, lecz skorzystał ze sposobności, aby zaradzić swej wadzie przez Aqua ministerialia. Wreszcie Hartley zapytał trzech obcych, czy może i im służyć swoimi lekarstwami. Kornel potrząsnął głową i rzekł:

- Dziękuję, sir! Jesteśmy niezwykle zdrowi, a jeśli czuję się kiedy

niedobrze, to radzę sobie szwedzką metodą.

- Jak to?
- Gimnastyką leczniczą. Każę sobie mianowicie zagrać na harmonii wesoły kawałek i tańczy przy nim tak długo, aż się spoczę. To wypróbowany środek. Zrozumieliście? - mrugnął porozumiewawczo.

Szarlatan zamilkł zakłopotany i odwrócił się od niego, aby zapytać gospodarza o najbliższą farmę. Leżała o osiem mil na zachód, druga była w odległości piętnastu mil ku północy. Kiedy magister oświadczył, że musi bezzwłocznie wyruszyć ku pierwszej, farmer zapytał go o honorarium. Hartley zażądał pięciu dolarów, które mu też bezzwłocznie zapłacono; potem ruszył w drogę ze swym służącym obarczonym skrzynką. Kiedy oddalili się już tak daleko, że z farmy nie można ich było zobaczyć, odezwał się:

- Szliśmy w kierunku zachodnim, teraz jednak zawrócimy na północ, bo nie mam zamiaru iść do tamtej farmy; poszukamy drugiej. Krowa była tak chora, że zdechnie z pewnością już w ciągu godziny. Gdyby wtedy farmerowi wpadło do głowy puścić się za mną w pogoń, mogłoby się to źle skończyć. Ale obiad i pięć dolarów za dziesięć;

kropel anilinowej wody, czy to nie pociągające? Spodziewam się, że zrozumiecie cały interes i przyjmiecie służbę u mnie!

- Zawiedliście się, sir - odpowiedział Heller. - To, co mi obiecujecie, stanowi sumę wielką, bardzo wielką; za to jednak musiałbym jeszcze więcej bezceństw popełniać. Nie bierzcie mi tego za złe! Jestem człowiekiem uczciwym i chcę nim pozostać. Sumienie zabrania mi przystać na waszą propozycję.

Powiedział to tak poważnie i stanowczo, że „magister” zrozumiał.

158

iż wszelkie dalsze namowy będą bezskuteczne; dlatego odezwał się, kiwając z politowaniem głową:

- Pragnąłem waszego dobra. Szkoda, że macie tak delikatne sumienie!

- Dziękuję Bogu, że nie dał mi innego. Macie waszą skrzynkę z powrotem.

Chciałbym się wam odwdziżyć za to, coście dla mnie uczynili, ale nie mogę; nie mam środków.

- Well! Każdy człowiek jest panem swojej woli; dlatego nie chcę dłużej na was napierać. Ale mimo to niekoniecznie musimy się zaraz rozstawać; przynajmniej do najbliższej farmy możemy pozostać razem.

Po tych słowach wziął znowu na plecy skrzynkę. Jego długie milczenie jednak kazało się domyślać, że uczciwość pisarza nie pozostawała na nim bez wrażenia. Wędrowali tak dalej z oczyma zwróconymi przed siebie, gdy nagle usłyszeli za sobą tętent koni. Obejrząwszy się, ujrzeli owych trzech, z którymi spotkali się na farmie.

- Biada mi! - wyrwało się Hartleyowi. - Zdaje się, że idzie tu o mnie. Te draby miały się przecież udać w góry. Dlaczego nie jada na zachód? Nie dowierzam im; wyglądają prędzej na hultajów niż na traperów.

Wkrótce miał się na swe nieszczęście przekonać, że przewidywania go nie omyliły. Jeźdźcy zatrzymali się przy nich, a kornel szyderczo spytał szarlatana:

- Master! Dlaczego zmieniliście kierunek? Teraz was farmer nie znajdzie.

- Nie znajdzie?

- Tak. Kiedyście odeszli, powiedziałem mu otwarcie, jak się sprawa ma z waszymi pięknymi tytułami; ruszył czym prędzej, aby was dopędzić i odebrać pieniądze.

- Bzdura, sir!

- To nie bzdura, lecz prawda! Udał się w stronę farmy, którą, jak mówiliście, chcecie uszczęśliwić swoją osobą. Lecz myśmy byli mądrzejsi od niego. Umiemy odczytywać ślady i poszliśmy waszym tropem, aby przedłożyć wam pewną propozycję.

- Nie znam was i nie mam z wami nic wspólnego.

- Tym więcej my z wami, bo was znamy. Pozwalając szukać tych pocziwych farmerów, staliśmy się waszymi współnikami; dlatego obyczaj wymaga, abyście

wypłacili nam naszą część honorarium. Was jest dwóch, a nas trzech, stąd należa nam się trzy piąte zapłaty.

159

Widzicie, że postępujemy sprawiedliwie. Gdybyście się nie zgodzili, to... Wskazał na towarzyszy, którzy tymczasem wymierzili strzelby w Hartleya. Ten zrozumiał, że wszelkie wybiegi są daremne. Był szczerze przekonany, iż ma do czynienia z prawdziwymi opryszkami, i w głębi serca czuł się zadowolony, że tak tanio się wykupił. Dlatego wyciągnął 2 kieszeni trzy dolary i podał je komelowi. - Zdaje się, żeście się pomylili co do mnie - rzekł. - Pewnie znajdujecie się w takim położeniu, że ta część mojego uczciwie za-służonego honorarium wam się przyda. Biorę wasze żądanie za żart i godzę się. Tu są trzy dolary, które według rachunku przypadają na was.

- Trzy dolary? Czyście oszaleli? - zaśmiał się komet. - Czy myślicie, że dla takiej bagateli jeździlibyśmy za wami? Mówiłem nie tylko o dzisiejszym zarobku. Żądamy naszej części z tego, coście w ogóle dotąd zarobili. Przypuszczam, że macie przy sobie dostateczną sumę.

- Ależ wprost przeciwnie! - zawołał Hartley przerażony.

- Zobaczmy! Ponieważ przeczycie, muszę was obszukać. Myślę, że zachowacie się przy tym spokojnie, bo moi towarzysze nie noszą strzelb od parady. Życie nędznego grajka na harmonii nie jest dla nas warte ani grosza!

Zsiadłszy z konia, przystąpił do ja-nkesa. Ten próbował wszelkich możliwych sposobów, aby odwrócić grożące mu nieszczęście, ale na próżno. Otwory strzelb patrzyły na niego tak groźnie, że poddał się swemu losowi. Spodziewał się jednak, że komel nic nie znajdzie.

Rudy, obecnie na czarno przefarbowany, przeszukał wszystkie kieszenie, lecz znalazł zaledwie kilka dolarów. Obmacał przeto jego odzież cal za cal, aby się przekonać, czy przypadkiem pieniądze nie zostały tam zaszyte. Ale i to pozostało bez skutku. Teraz Hartley myślał, że uniknął już niebezpieczeństwa, ale kornel był szczwany. Kazał otworzyć skrzynkę i począł się jej dokładnie przyglądać.

- Hm! - mrucał. - Ta aksamitna apteczka jest tak głęboka, że jej przedziały z pewnością dna nie sięgają. Spróbujmy, czy nie da się wyjąć.

Hartley zbladł, bo łotr był na dobrej drodze. Tramp pochwycił obu rękami poprzeczne ściany przedziałów i pociągnął!... Słusznie! Apteka dała się wyjąć, a pod nią leżało wiele pakietów, owiniętych w papier. Kiedy je rozwiązał, ujrzał pełno banknotów rozmaitej wartości.

- Ach! Tu się znajduje ukryty skarb! - śmiał się zadowolony.

- Tego się spodziewałem! „Physician and farrier” zarabia pieniędzy do diabła - musiały więc gdzieś być.

Pochwyciwszy je, chciał schować. To wprawiło jankesa w największą wściekłość; rzucił się na niego, aby mu wydrzeć pieniądze. Wtem huknął strzał; kula byłaby go przeszła na wylot, gdyby nie wykonał szybkiego ruchu; tak trafiła go tylko w ramię i strzaskała kość. Ranny, krzyknawszy głośno, padł na trawę.

- Dobrze ci, ty łajdaku! - zawołał kornel. - Próbuj powstać albo zełgaj jeszcze raz, to druga kula trafi cię skuteczniej. Teraz obszukamy także master famulusa.

Włożywszy koperty z pieniędzmi do kieszeni, przystąpił do Hel-lera.

- Nio jestem jego służącym; spotkałem go niedaleko od farmy

- oświadczył ów z trwogą.

- Tak? Kim lub czym jesteś?

Heller powiedział kornelowi prawdę i dał mu list polecający. Ten, przeczytawszy, zwrócił mu pismo i rzekł pogardliwie:

- Wierzę wam; kto na was spojrzy, ten na pierwszy rzut oka pozna, że jesteście z gruntu poczciwym durniem, który prochu nie wynajdzie. Owszem! Idźcie do Sheridanu; do was nic nie mam!

- A zwróciwszy się do jankesa, ciągnął dalej: - Mówiłem o naszej części; ponieważ nas jednak okłamałeś, nie możesz się skarżyć na to, iż zabierzemy ci wszystko. Staraj się dalej robić dobre interesy, jeśli się kiedy znowu spotkamy, podzielimy się dokładniej.

Hartley próbował grzecznymi słowami wydobyć z powrotem przy-najmniej część pieniędzy, lecz miało to tylko ten skutek, że go wyśmiano. Kornel dosiadł konia i odjechał z towarzyszami ku pół-nocy, co wyraźnie świadczyło, iż ani myślał o górach.

W drodze zaśmiewali się hultaje, omawiając świeżą przygodę; zgodzili się pieniądze podzielić między siebie nie mówiąc o tym nic towarzyszom. Znalazłszy po dłuższym czasie odpowiednie miejsce, skąd mogli widzieć całą okolicę i gdzie nie można ich było podsłuchać ani podpatrzeć, zsiadli z koni, aby przeliczyć łup. Kiedy każdy schował swoje, odezwał się jeden z trampów do kornela:

- Powinieneś być obszukać i drugiego. Pytanie, czy powiedział prawdę i czy rzeczywiście jest pisarzem. Co było w tym liście, który ci pokazał?

- To by? list polecający do inżyniera Chardy w Sheridananie.

- Co? Naprawdę? I tyś mu go zwrócił?

- Tak. Na cóż by się nam przydał ten świstek.

- Jeszcze pytasz o to? To przecież jasne jak dzień, że list byłby e-StGtpie pomógł przy wykonaniu naszego planu. Opuściliśmy na-szyta, aby pozHgc miejscowość i stosunki w kasie, co jest tym

11-Skarb...

161

inGidniejsze, że nie powinniśmy się dać widzieć. Gdybyśmy zabrali temu człowiekowi list, to jeden z nas mógłby udać się do Sheridanu i podać się za pisarza; z pewnością zatrudniono by go w biurze; miałby wgląd w książki i mógłby może już w pierwszym lub drugim dniu udzielić potrzebnych wiadomości.

- Do diabła! - zawołał komel. - To prawda! Jak mogło się stać, że nie przyszło mi to na myśl? Ty właśnie jesteś obznajrniony z piórem; mógłbyś się podjąć tej roli.

- I byłbym się z tego należyście wywiązał. W ten sposób usunęli-byśmy wszystkie trudności. Czy nie można jeszcze powetować tej

straty?

- Z pewnością! Naturalnie, że jeszcze czas! Wiemy przecież,

dokąd się tamci udają; droga, którą im wskazał farmer, prowadzi tędy. Potrzeba więc tylko zaczekać, aż nadejdą.

- Bardzo słusznie! Zrobmy tak! Lecz nie wystarczy odebrać pisarzowi listu, bo poszedłby do Sheridanu i mógłby nam wszystko popsuć. Musimy przeszkodzić w tym tak jemu, jak i szalbierzowi.

- To się rozumie. Wpakujemy każdemu kulę w łeb i zagrzebiemy ich. Ty pójdziesz potem z listem do inżyniera; spróbujesz dowiedzieć się wszystkiego, czego nam potrzeba, i dasz nam o tym znać.

- Ale gdzie i jak?

- My dwaj zawrócimy, aby sprowadzić resztę. Znajdziesz nas więc tam, gdzie kolej przechodzi przez Eagle-tail. Dokładnie nie mogę już teraz oznaczyć miejsca.

Wystawię w kierunku Sheridanu placówki, na które będziesz się musiał bezwarunkowo natknąć.

- Pięknie! A jeśli moje oddalenie się zwróci uwagę i obudzi

podejrzanie?

- Hm, na to musimy się naturalnie przygotować. Ale możemy tego uniknąć, jeśli nie pójdziesz sam, lecz weźmiesz ze sobą Dug-by'ego. Powiesz, żeś go spotkał po drodze, a on oświadczy, że szuka zajęcia przy budowie kolei.

- Znakomicie! - zgodził się drugi tramp. - Pracę otrzymam natychmiast, a jeśli nie, to tym lepiej, bo będę miał wtedy możliwość zanieśienia wiadomości do Eagle-tail.

Plan omówiono szczegółowo i postanowiono go wykonać. Potem czekali na nadejście szarlatana i jego towarzysza, ale upływały godziny, a ci się nie pokazywali. Należało więc przypuszczać, że zmienili pierwotny kierunek, aby nie natknąć się na trampów. Dlatego ci postanów'- zawrócić i podążyć nowym śladem.

Tymczasem pisarz od biedy opatrzył ranę jankesa. Ramię było ciężko uszkodzone i okazało się, że ranny musi wyszukać jakąś miejscowość, gdzie by mógł przynajmniej przez parę dni znaleźć opiekę. Miejscem takim mogła być farma, do której zamierzali się dostać. Lecz ze trampowie obrali ten kierunek, jankes odezwał się:

- Czy chcesz im jeszcze raz wpaść w ręce? Należy się spodziewać, że żałują, iż nie unieszkodliwili nas, i gdybyśmy się z nimi znów spotkali, mogliby próbować nadrobić to. Pieniądze moje już mają, ale życia nie myślę im oddać. Poszukajmy innej farmy!

- Kto wie, kiedy ją znajdziemy - odrzekł Heller. - Czy wytrzymacie tak długą podróż?

- Myślę. Jestem człowiekiem tak silnym, że znajdziemy się pewnie na miejscu, zanim wystąpi gorączka z odniesionej rany. W każdym razie spodziewam się, że mnie przedtem nie opuścicie?

- Z pewnością nie. Gdybyście w drodze ustalili, to poszukam ludzi, aby was zabrali do siebie. Teraz jednak nie traćmy czasu. Dokąd się zwrócimy?

- Na pomoc, jak przedtem, tylko nieco więcej na prawo. Widno-krag tam jest ciemny; widocznie więc znajdziemy las lub zarośla, a gdzie są drzewa, tam musi być woda, której potrzebuję do ochłodzenia rany.

Heller wziął skrzynkę i opuścili miejsce wypadku. Przypuszczenie jankesa okazało się słuszne. Po pewnym czasie dotarli w okolice, gdzie wśród zielonych zarośli płynęła woda; zmieniono opatrunek. Hartley, wylawszy wszystkie barwione krople, napełnił flaszki czystą wodą, aby po drodze móc w razie potrzeby zmieniać opatrunek.

Weszli teraz na prerię o tak niskiej trawie, że zaledwie znać było na niej ślady, a tylko oczy bardzo doświadczonego westmana mogły osądzić, czy pochodzą od jednego czy dwu ludzi. Po dłuższym czasie ujrzeli znów ciemną linię na horyzoncie: był to znak, że zbliżają się znowu w okolice lasista. Kiedy teraz jankes nagle się odwrócił, ujrzął poza sobą kilka ruchomych punktów; punktów tych było trzy. Do-szedł więc do przekonania, że to trampowie zawrócili. Szło o życie. Inny zwróciłby uwagę pisarza na pościg; Hartley jednak tego nie zrobił. Ruszył w drogę ze zdwojoną szybkością, a kiedy Hellera zdziwił ten nagły pośpiech, wytłumaczył się bólem, jaki mu sprawia rana.

Jeźdźców widać naturalnie na większy dystans niż pieszych. Pierwsi znajdowali się w takiej odległości, że prawdopodobnie jeszcze nie zauważyli Hartleya i jego towarzysza. Na tym ścigany budował plan ocalenia. Musiał sobie powiedzieć, że opór nie zda się o nic i gdyby

163

ich dopędzono, byliby obaj zgubieni. Ocaleć mógł co najwyżej jeden, drugi musiał paść ofiarą. A tym drugim miał być naturalnie pisarz; nie powinien się jednak domyślić, jakie mu grozi niebezpieczeństwo, i dlatego chytry jankes milczał.

Tak szli szybko coraz dalej i dalej, aż dotarli do zagajnika, złożonego z gęstych zarośli, nad którymi wznosiły się wierzchołki kilku dębów, orzechów i wiązów wodnych. Lasek nie był głęboki, ale ciągnął się daleko na prawo. Kiedy go przeszli i znaleźli się po drugiej stronie, jankes przystanął.

- Master Heller! - rzekł. - Zastanowiłem się nad tym, jakim ciężarem jestem dla was. Wy udajecie się do Sheridanu i musieliście z mojego powodu zejść z prostej drogi. Kto wie, czy i kiedy znajdziemy w dotychczasowym kierunku jaką farmę; musielibyście wówczas całymi dniami męczyć się ze mną, gdy tymczasem jest bardzo prosty sposób umknięcia tej ofiary.

- Jakiż to? - zapytał Heller.
- Idźcie dalej w imię Boże, a ja wrócę na farmę, z której wyszedłem, zanim się z wami spotkałem.
- Na to nie mogę się zgodzić; to zbyt daleko.
- Wcale nie. Szedłem najpierw w kierunku zachodnim, a potem z wami wprost na pomoc, a więc pod kątem prostym; jeśli go teraz przetnę, to będę miał niecałe trzy godziny drogi, a tyle wytrzymam z pewnością.
- Tak myślicie? No, dobrze, aleja pójde z wami. Przynależem, że was nie opuszczę.
- Muszę, niestety, was zwolnić z przysiężenia. Żona bowiem farmera, do którego się udaję, jak mi opowiadała, jest siostrą szeryfa z Kinsley. Gdyby was stamtąd ścigano, to idę o zakład, że szeryf pošle przede wszystkim jej ostrzeżenie. Wpadlibyśmy im po prostu w ręce.
- Ha! W takim razie nie pójde! - zawołał Heller przerażony.
- Czy rzeczywiście chcecie się tam udać?
- Tak. To będzie najlepsze dla mnie, a również i dla was.
Szarlatan począł Hellerowi przedstawiać korzyści tego postanowienia w sposób tak przekonujący, że biedny pisarz zgodził się wreszcie na rozstanie. Hartley odebrał od niego skrzynkę, uścisnęli sobie ręce, życząc szczęśliwej drogi, i rozstali się wreszcie. Heller poszedł dalej w stronę otwartej prerii, Hartley, patrząc za nim, mówił do siebie:
- Żał mi tego biedaka; ale nie mogłem postąpić inaczej. Gdyby pozostał przy mnie, toby i tak zginął, a ja musiałbym umrzeć razem z nim. Ale teraz najwyższy czas w drogę. Kiedy go dopędzą i zapytają

164

o mnie, powie im, że poszedłem na prawo. Udam się więc na lewo i wyszukam sobie jakiegoś miejsca, gdzie bym się mógł ukryć.

Nie był wprawdzie ani myśliwym, ani zastawiaczem sidła, ale wiedział, iż nie powinien zostawiać za sobą śladów. Słyszał także czasem, co należy robić, aby zatrzeć tropy. Wcisnąwszy się więc w zarośla, wyszukał takie miejsce, na którym nie widać było odcisków nóg; jeśli zaś zauważył je za sobą, zacierał starannie zdrową ręką. Toteż posuwał się naprzód bardzo powoli; ale wreszcie znalazł na szczęście miejsce, gdzie krzaki stały tak gęsto obok siebie, że wzrok nie mógł ich przebić. Wcisnąwszy się tam, złożył na ziemi skrzynkę i usiadł na niej. Zaledwie to zrobił, usłyszał głosy trzech jeźdźców i stąpanie koni. Przejechali obok, nie zauważywszy, że ślad był odtąd pojedynczy. Jaukes rozsunał ostrożnie gałęzie tak, że mógł spojrzeć na prerię. W oddali szedł Heller. Trampowie, zobaczywszy go, puścili konie galopem. Tamten usłyszał tętent i obróciwszy się, stanął przerażony. Wkrótce dopędzali go i o coś zagadnęli, a on wskazał na wschód;

widocznie mówił im, że jankes wrócił w tym kierunku na farmę. Potem rozległ się huk pistoletu i Heller padł na ziemię.

- Stało się! - mruknął Hartley. - Czekać! Jeśli was jeszcze kiedy spotkam, to drogo zapłacicie za ten strzał! Ciekawy jestem, co teraz zrobią.

Widział, że trampowie zsiadli z koni i zajęli się zabitym. Potem, po naradzie, kornel przerzucił przez siodło zamordowanego i ku wielkiemu zdziwieniu jankesa zawrócił, obaj zaś jego współnicy pojechali dalej. Kiedy kornel dotarł do zarośli, wparł w nie konia dość głęboko, aby zrzucić trupa. Wycofawszy konia, odjechał, ale dokąd, tego Hartley nie mógł dojrzeć; przez krótki czas słyszał jeszcze uderzenia kopyt; potem wszystko ucichło.

Jankesa ogarnęła zgroza. Teraz prawie żałował, że nie ostrzegł pisarza. Był świadkiem strasznego czynu, nadto trup leżał w jego pobliżu; chętnie byłby się stamtąd oddalił, nie miał jednak odwagi, bo przypuszczał, że kornel będzie go szukał. Tak przeszedł kwadrans, jeden, drugi; wtedy postanowił opuścić okropne miejsce. Spojrzał jednak przedtem jeszcze raz na prerię i zobaczył coś, co go zmusiło do pozostania w kryjówce.

Z prawej strony jechał przez prerię jeździec, prowadząc obok luźnego konia. Natknąwszy się na ślad obu trampów, zsiadł z wierz-

chowca, a potem obejrzał się uważnie na wszystkie strony i schylił, aby zbadać trop. Ruszył za śladem - konie szły same za nim - aż do miejsca, gdzie popełniono mord. Tu znowu się zatrzymał, aby je obejrzeć. Dopiero po dłuższym czasie wyprostował się i utkwawszy

165

oczy w ziemię, szedł śladem kometa. Może o pięćdziesiąt kroków od zarośli stanął, wydał charakterystyczny głos gardłowy i wskazał ręką ku krzakom. Odnosiło się to widocznie do konia, bo uskoczył, zatoczył niewielki łuk i pobiegł ku zaroślom, wciągając powietrze w szeroko otwarte nozdrza. Ponieważ jednak nie okazywał niepokoju, jeździec zbliżył się również.

Teraz jankes poznał, że ma przed sobą Indianina. Ten miał na sobie legginy ozdobione frędzlami i bluzę myśliwską również z frędzlami i wyszywaniem na szwach. Maie stopy tkwiły w mokasynach. Długie, czarne włosy były zebrane w węzeł podobny do hełmu, ale nie tkwiło w nich ani jedno orle pióro. Z szyi jego zwieszał się potrójny łańcuch z pazurów niedźwiedzi z fajką pokoju i woreczkiem na „leki”. W ręce trzymał dwururkę, której kolba obita była licznymi srebrnymi gwoździemi. Jego matowa, jasnobrunatna, z lekkim nalo-tem brązowym twarz miała rysy prawie rzymskie, a tylko nieco wydatniejsze kości policzkowe zdradzały typ rasy amerykańskiej.

Właściwie sąsiedztwo czerwono-kórego mogło jankesa, który nie cierpiał na nadmiar odwagi, przejąć obawą. Ale im dłużej wpatrywał się w twarz Indianina, tym więcej nabierał przekonania, że obawa była nie na miejscu. Czerwonoskóry zbliżył się może na dwadzieścia kroków; koń jego poszedł jeszcze dalej, podczas gdy drugi trzymał się jeźdźca. Teraz... podniósł już małe i zgrabne kopyto, aby zrobić dalszy krok, gdy nagle stanął na tylnych nogach i rzucił się wstecz z głośnym, ostrzegawczym parsknięciem; poczuł bowiem woń jankesa czy też odór trupa. Indianin błyskawicznie uskoczył w bok i znikł, a z nim i drugi koń. Hartley przez długą, długą chwilę wstrzymywał oddech w pier-siach, gdy nagle uszu jego doszedł na pół zduszony dźwięk. Usłyszał wyraz „uff”, a kiedy obrócił twarz w stronę, skąd głos go doszedł, ujrzał, że Indianin klęczy nad trupem pisarza i bada go. Potem poczołgał się z powrotem i nie było go widać może przez kwadrans;

nagle jankes wzdrygnął się przerażony, bo tuż obok niego zabrzmiały słowa:

- Dlaczego blada twarz siedzi ukryta? Dlaczego nie wyjdzie, aby pokazać się oczom czerwonego wojownika? Czy nie mogłaby mi powiedzieć, dokąd uszli mordercy drugiej bladej twarzy?

Kiedy Hartley odwrócił głowę, ujrzał Indianina, klęczącego obok z nożem w ręce. Słowa te dowodziły, że dobrze odczytał ślady i z nadzwyczajną bystrością wytłumaczył je sobie. Nie uważał jankesa za mordercę; Hartley, uspokojony tym, odpowiedział:

- Ukryłem się przed nimi. Dwu udało się na prerię, a trzeci rzucit

166

trupa tutaj; pozostałem w ukryciu, bo nie wiem, czy on już odszedł, czy jeszcze nie.

- Odszedł! Ślad jego prowadzi przez zarośla, a potem na wschód.

- Udał się do farmy, aby mnie ścigać. Ale czy rzeczywiście nie ma go już tutaj?

- Nie, mój biały brat i ja jesteśmy jedynymi żywymi istotami..

Wyjdź na wolne miejsce i opowiedz mi, co zaszło!

Czerwonoskóry doskonale władał angielskim, a to, co mówił, i sposób, w jaki przemawiał, natchnęło jankesa zaufaniem. Wypełznął z zarośli i ujrzał, kiedy już krzaki miał za sobą, że konie były uwiązane z boku na dość długich linewkach. Czerwonoskóry dłuższą chwilę przyglądał się białemu wzrokiem, który zdawał się wszystko przenikać, a potem rzekł:

- Od południa nadeszło dwu ludzi; jeden ukrył się tutaj, tym byłeś ty; drugi poszedł dalej na prerię. Potem przybyło trzech jeźdź-ców, którzy go ścigali; ci wpakowali mu kulę w głowę. Dwóch odjechało. Trzeci wziął trupa na konia, podjechał ku zaroślom, wrzucił go tutaj, a potem ruszył galopem na wschód. Czy tak?

- Tak. Zupełnie tak! - powiedział Hartley.

.- Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego zabili twego białego brata? Kto ty jesteś i co robisz w tej okolicy? Czy ci sami ludzie zranili ciebie w ramię?

Przyjazny ton, w jakim te pytania zadał, świadczył, że Czerwono-skóry jest do niego dobrze usposobiony i że nie żywi żadnych podejrzeń. Dlatego Hartley szczerze odpowiedział na postawione sobie pytanie. Indianin, słuchając, nie patrzył nie niego, potem jednak zwrócił nań przenikliwy wzrok i zapytał:

- A więc twój towarzysz musiał za ciebie narazić swe życie?

Jankes spuścił oczy i odpowiedział, prawie jękając się:

- Nie! Prosiłem go, aby się ze mną ukrył, ale nie chciał.

- Czy pokazałeś mu, że mordercy idą za wami?

- Tak.

- I powiedziałaś, że chcesz się tutaj ukryć?

- Tak.

- Dlaczego wskazał mordercy, kiedy ten pytał o ciebie, farmę na wschód stąd?

- Aby go oszukać.

- A więc chciał cię ocalić! To był dzielny towarzysz! Czy ty byłeś jego godny? Tylko Wielki Manitou wie wszystko. Moje oko nie może wejrzeć w twe serce. Gdyby to było możliwe, musiałbyś się może wstydzić; ja będę milczał - twój Bóg niech będzie twoim sędzią. Czy znasz mnie?

167

- Nie - odpowiedział Hartley pokornie.

- Jestem Winnetou, wódz Apaczów. Moja ręka ściga złych łyda, moje ramię ochrania każdego, kto ma czyste sumienie. Obejrzę twą ranę. Przedtem jednak powiedz, dlaczego mordercy zawrócili, aby was

ścigać?

Hartley słyszał już nieraz o Winnetou, toteż odpowiedział ze zdwojoną uprzejmością:

- Powiedziałem ci już. Chcieli nas usunąć, abyśmy nie mogli

zdradzać, że mnie obrabowali.

- Nie! Gdyby tak było, to sprzątnęliby was natychmiast. Musiał

być jakiś inny powód, który im przyszedł dopiero później do głowy.

Czy obszukali cię dokładni??

- Tak.

- I zabrali wszystko? Czy i twemu towarzyszowi?

- Nie. Powiedział im, że jest biednym zbiegiem, a na dowód

pokazał im list,

- List? Czy go zatrzymali?

- Nie. Dostał go z powrotem.

- Gdzie go schował?

- Do kieszeni surduta na piersiach.

- Nie ma go tam. Przeszukałem wszystkie kieszenie zabitego, ale żadnego listu nie znalazłem. A więc to pismo skłoniło ich do tego, że

zawrócili, aby was ścigać.

Indianin wyniósł trupa z zarośli i obszukał jeszcze raz jego kieszenie. Stan zmarłego przejmował grozą, nie z powodu ran od kuli, lecz ponieważ mordercy pokrajali mu twarz nożami wszerz i wzdłuż, tak że zupełnie nie można go było poznać. Kieszenie miał puste; karabin zabrano naturalnie także.

Indianin patrzył zamyślony w dal, a potem wyrzekł tonem najgłębszego przekonania:

- Twój towarzysz chciał się dostać do Sheridanu; dwaj mordercy

pojechali na północ, właśnie w kierunku tej miejscowości, a więc chcą się także tam dostać. Zabrali mu list; chcą się nim posłużyć. Zmasakrowali twarz zabitego, aby go nie można było poznać. Nikt nie powinien wiedzieć, że zginął, bo jeden z morderców chce się podszyć pod jego nazwisko.

- Ale w jakim celu?

- Tego wprawdzie nie wiem, ale się dowiem.

- A więc chcesz się udać za nimi?

- Tak. Zdażałem nad Smocky-hi'l-river, a Sheridan leży w jej

pobliżu; jeśli pojedę do tej miejscowości, to nie o wiele nadłożę drogi.

168

Te blade twarze z pewnością knują coś złego. Muszę pokrzyżować ich plany. Czy mój biały brat uda się tom ze mną?

- Chciałem się dostać do najbliższej farmy, aby wyleczyć się z rany. Naturalnie wolałbym pójść do Sheridanu. Może tam odbiorę zrabowane mi pieniądze. Moja rana...

- Zaraz ją zbadam. Na farmie miałyby wprawdzie mój biały brat opiekę, ale nie byłoby lekarza. Winnetou rozumie się na leczeniu ran;

mnie składać strzaskane kości i posiada znakomite środki na gorączkę od ran. Pokaż mi ramię!

Pisarz już rozciął jankesowi rękaw fraka, toteż przyszło mu teraz bez trudu obnażenie ramienia. Winnetou zbadał je i oświadczył, że rana nie jest tak ciężka, jak się wydaje. Ponieważ strzał dano z bliska, kula nie strzaskała kości, tylko przebiła ją gładko. Indianin wyjął z torby przy siodle jakąś zasuszoną roślinę, zwilżył ją i przyłożył do rany. Potem wystrugał z drzewa dwie deszczułki i za ich pomocą zawiązał ranę tak kunsztownie, że lepiej nie sprawiłby się najwytrawniejszy lekarz.

- Mój brat może spokojnie ze mną jechać. Gorączka wcale nie przyjdzie, ale dopiero wtedy, gdy już dawno będziemy w Sheridananie.

- Czy nie powinniśmy przedtem starać się dowiedzieć, co robi trzeci z morderców?

- Nie, on szuka ciebie, a nie znalazłszy twych śladów, pojedzie za tamtymi. Może ma jeszcze innych wsporników, których zechce przedtem wyszukać, aby wraz z nimi udać się do Sheridanu. W Kan-sas zebrało się wiele błądych twarzy, które nazywają trampami. Możliwe, że mordercy należą do tych ludzi i że trampowie knują coś przeciw Sheridanowi. Nie możemy tracić czasu, musimy jechać pręd-ko, aby ostrzec tamtejszych białych.

- A kiedy przybędziemy do Sheridanu?

- Nie wiem, jak mój brat jeździ.

- No, mistrzem w jeździe konnej naturalnie nie jestem. Mało siedziałem w siodle, ale zrzucić się z niego nie dam.

- Więc me będziemy się spieszyć, za to nadrobimy to ciągłą jazdą. Będziemy jechać przez całą noc i rano staniemy na miejscu. Ci, za którymi pojedziemy, rozbiją na noc obóz, przybędą więc później niż my.

- A co się stanie ze zwłokami biednego Hellera?

- Pochowamy je, a mój brat niechaj odmówi nad nimi modlitwę.

Ziemia była miękka, toteż choć mogli użyć tylko noży, bardzo prędko stanął grób gotowy; złożyli w nim zmarłego i zasypali wy-rzuconą ziemią. Jankes zdjął kapelusz i złożył dłonie do modlitwy.

159

Apacz patrzył poważnie w zachodzące słońce, jakby oczy jego starały się tam na zaćwdzie dojrzeć Wieczne Ostępy.

- Niech biały brat dosiadzie mojego zwierzęcia - odezwał się, kiedy poszli do koni. - Ma chód spokojny, jednostajny i równy jak canoe na wodzie. Ja siadę na luzaka.

Dosiadłszy koni, ujechali szmat drogi na zachód, potem skręcili ku północy. Konie szły tak rażno i rześko, jakby dopiero wróciły z past-wiska. Słońce zapadało coraz niżej i niżej, aby wreszcie skryć się pod widnokręgiem; zmierzch bardzo szybko zgęstniał w ciemną noc, przejmując jankesa obawą.

- Czy aby nie zbłądzisz w tej ciemności?

- Winnetou nie zbłądził ani w dzień, ani w nocy.

- Ale jest tyle przeszkód, których nie można zobaczyć!

- Oczy Winnetou widzą także w nocy. A czego nie może zauważyć, to nie ujdzie baczności jego konia. Niechaj mój brat jedzie oie obok mnie, ale za mna, to koń jego nie uczyni fałszywego kroku.

Jakże pewnie poruszali się koń i jeździec. To stępa, to klusem, to nawet galopem jechano godzinę za godziną, omijając każdą przeszkodę. Należało objeżdżać bagna i brodzić przez potok; Winnetou zawsze wiedział, gdzie się znajduje. To uspokoiło jankesa. Wprowadzcie ramię jeszcze dawało znać o sobie, ale ziele działało nadzwyczajnie. Przestał prawie odczuwać ból i nie mógł się na nic skarżyć, chyba na niewygodę tej mezwyldej jazdy. Kilkakrotnie zatrzymano się, aby napoić konie i zwilżyć opatunek zimną wodą. Po pomocy Winnetou wyjął kawałek mięsa i zmusił Hartleya do spożycia go. Chociaż nie przerywali podróży, kiedy wzmagający się chłód zwiastował poranek, Hartley stwierdził, że czuje się zupełnie dobrze.

Wnet poczęło szarzeć na wschodzie, jednakże nie można było rozeznąć okolicy, bo ziemię zasłaniała gęsta mgła.

- To są opary Smocky-hill-mer - oświadczył wódz. - Wkrótce dostaniemy się do niej.

Przerwał i wstrzymując konia począł nadśłuchiwać, gdyż z lewej strony zbliżał się miarowy tupot koński. Jakiś jeździec galopem przemknął obok. Nie widzieli ani jego, ani konia; mignął tylko ciemny kapelusz z szerokimi krzssami.

- Uff! - zawołał Winnetou zdziwiony. - Błada twarz! Tak jeździć umie tylko niewielu białych. Tak jeżdżą Old Shatterhand i Old Firehand; pierwszego tu me ma, bo mam się z nim spotkać w górach przy Srebrnym Jeziorze; ale Old Firehand ma się teraz znajdować w Kansas. Czyżby to był on?

- Old Firehand? To sławny westman!

170

-- On i Oid Shatterliand to najlepsze, najdzielniejsze i najbardziej doświadczone blade tw-rzc, jate Wumetoa m-. Oujest ich przyjaciele-m.

-- Zdaje się, że ten człowiek bardzo się spieszy. Dokąd jedzie?

- Do Sheridanu, bo jedzie w tym samym Iderunicu, w i my. Na lewo leży Eagle-taii, a przed nami znajduje się bród, prowadzący przez rzekę. Zaraz się tam dostaniemy. W Shendanie zaś dowiemy się, kto był tym jeźdźcero.

Mgły zaczęły się rozwiewać; wiatr poranny rozpędził je i wkrótce ujrzeli przed sobą Smocky-hiU-mcr. I u" Apacz okazał swą nad-zwyczajną zdolność orientacji. Do brzegu dotarł dokładnie w tym miejscu, gdzie się bród znajdował. Woda sięgała koniom zaledwie po brzuchy, tak że przeprawa wypadła bezpiecznie i łatwo. Dostawszy się na drugą stronę, musieli jeźdźcy przejść przez zarośla ciągnące się wzdłuż brzegu, a potem jechali znowu przez otwartą prerię, aż oczom ich ukazał się cel podróży - Sheridan.

V V czasie kiedy odbywają się zdarzenia tutaj opowiedziane, Sheridan nie był ani miastem, ani miasteczkiem, tylko świeżo założoną osadą robotników kolejowych. Była ni spora ilość domów kamiennych, lepianek i baraków; budowle nędzne, nad których drzwiami widniały jednak najdumniejsze napisy; wreszcie kilka bardzo miłych domków drewnianych, które każdej chwili można było rozebrać i złożyć z powrotem na innym miejscu. Największy z tych budynków stał na wyniosłości i miał widoczną z daleka wywieszkę: Charles Charoy, inżynier. Tam zajechali nasi dwaj znajomi i zsiadli przed drzwiami, obok których stał uwiązany koń, osiodłany i okiełzany na sposób indiański.

- Uff! - odezwał się Winnetou patrząc na niego roziskrzonym okiem. - Ten koń wart dobrego jeźdźcy. Należy z pewnością do bladej twarzy, która przejechała obok nas.

Zsiadłszy z koni, przywiązali je również. W pobliżu nie było nikogo z powodu wczesnej godziny. Drzwi jednak stały otworem. Weszli do środka. Naprzeciw nich wyszedł Murzyn i zapytał, czego sobie życzą. Zanim jednak zdążyli odpowiedzieć, otwarły się z boku drzwi i ukazał się młody biały człowiek przypatrując się okiem zdumionym, lecz przyjaznym Apaczowi. Był to inżynier.

- Kogo szukacie o tak wczesnej porze, panowie? - zapytał składając Indianinowi ukłon pełen szacunku.

- Szukamy inżyniera mister Charoy - odpowiedział Apacz biegłą angielszczyzną, przy czym francuskie nazwisko wymówił zupełnie poprawnie.

- Well, ja nim jestem. Bądźcie tak uprzejmi i wejdźcie!

Cofnął się do pokoju, tak że dwaj przybysze mogli wejść za nim.

Pokój był mały i skromnie urządzone. Gospodarz przysunął gościom

dwa krzesła i czekał z widocznym zaciekawieniem. Jankes usiadł

172

zaraz, leo2" Indianin stał jeszcze uprzejmie, skinąłna powitanie głową i zaczął:

_ Jeasestem Winnetou, wódz Apaczów...

_ W-iem ° ty"1-

- Wijesz o tym? Czy widziałeś mnie kiedy?

- Ni"”s. a- J6- tu ktoś, kto cię zna i widział przez okno, jak zbliżaliście się- Jestem niezmiernie uradowany, że mam sposobność poznać sły-1111-0 Winnetou. Usiądź i powiedz, co cię do mnie sprowa-dza; potefl11 poproszę cię, abyś był moim gościem.

Indian-„1" usiadł na krześle i odpowiedział:

- Cz'-y znasz bladą twarz, która mieszka w Kinsley i nazywa się Bent Nortfton?

- Tal-k> bardzo dobrze. Ten człowiek jest moim zażyłym przyja-cielem -. odparł zapytany.

- A <3=zy znasz także bladą twarz - Hellera, jego pisarza?

- Nie-Odkąd mój przyjaciel mieszka w Kinsley, nie odwiedziłem go jeszcze, -

- Terft pisarz przyjedzie dziś do ciebie z jeszcze jednym białym, aby ci wręczyć Ust polecający od Nortona. Pierwszego umieścisz w swym biurze, a drugiemu dasz robotę. Te dwie blade twarze są mordercarr-i- Jeśli będziesz rozumnie postępował, to dowiemy się, skoro się z; t0- rozmówią, do jakiego celu zmierzają.

- Czy vaoże chcą mnie zamordować? - zapytał Charoy uśmie-chając się z niedowierzaniem.

- Mo-@' - potwierdził poważnie Winnetou. - I nie tylko ciebie, ale i innych-Uważam ich za trampów.

- Za t-PÓw? - zapytał inżynier szybko. - Ach, to co innego!

Właśnie dowiedziałem się, że banda trampów zmierza do Eagle-tail i tutaj, aby Das obrabować. Te draby mają ochotę aa naszą kasę.

- Od i-ogo się o tym dowiedziałeś?

- Od..< no, lepiej będzie, jeśli nie wymienię nazwiska tego czło-wieka, lecz S° sprowadzę.

Twarz j6;go jaśniała zadowoleniem, że może słynnemu Winnetou zgotować radosną niespodziankę; zaraz też otworzył drzwi do bocz-nego pokoje z którego wyszedł Old Firehand. Jeśli inżynier myślał, że Winnetou bidzie się rozplýwał w słowach zachwytu, to nie znalazł zwyczajów Indian. Toteż, chociaż oczy Apacza zabłyśły, pozostał nadal spokojny. Podszedł ku myśliwemu i wyciągnął do niego rękę. Ten przyciągnął go do swej szerokiej piersi, ucałował w oba policzki i odezwał się głosem wzruszonym, w którym dźwięczała radość:

- Mój przyjacielu, mój kochany bracie! Jakże się zdziwiłem

173

i radowałem, zobaczywszy cię, gdyś nadjechał i zsiadł z konia! Jakże długo nie widzieliśmy się!

- Ja widziałem de dzisiaj o brzasku dwa. - odpowiedział In-dianin - kiedy z tamtej strony rzeki przemknąłeś jak burza obok nas wśród mgły.
- Musiałem prędko jechać, aby przybyć tu wcześniej niż tram-powie. Również musiałem sam podjąć się tej jazdy, bo sprawa jest tak ważna, że nie mogłem jej nikomu innemu powierzyć. Nadciąga prze-szło dwustu trampów.
- A więc się nie myliłem. Mordercy są szpiegami idącymi przodem.
- Czy mogę się dowiedzieć, jak się ma sprawa z tymi ludźmi?
- Wódz Apaczów nie jest mężem języka, lecz czynu. Tu jednak stoi blada twarz, która wszystko dokładnie opowie.

Wskazał przy tym na Hartleya, który przy wejściu Old Firehanda podniósł się z krzesła i jeszcze teraz przyglądał się z podziwem olbrzymowi.

Kiedy wszyscy usiedli, Hartley opowiedział swe wczorajsze przeży-cia, a potem Old Firehand przedstawił im, jak mógł najzwięźlejsz, swoje spotkanie z rudym kornelem na steamerze, u rafterów, a wreszcie na farmie Butlera. Teraz kazał sobie opisać herszta owych trzech drabów, tego, który zastrzelił pisarza. Kiedy jankesowi udało się możliwie wiernie opisać wygląd mordercy, odezwał się myśliwy.

- Zahróę się, że to był kornel. Włosy ufarbował sobie na ciemno. Prawdopodobnie wpadnie mi wreszcie w ręce!
- Wtedy zapłaci za wszystkie łajdactwa - irytował się inżynier
- Przeszło dwustu trampów! Toż by dopiero było morderstw, pożóg i spustoszenia! Panowie, jesteście naszymi zbawcami i nie wiem, jaŁ mam wam dziękować! Ten' komet musiał się w jakiś sposób dowie-dzieć, że otrzymuję pieniądze dla catej linii, które potem rozdzielał do wypłaty między kolegów. Teraz, kiedy zostałem ostrzeżony, może przyjsć ze swymi trampami! Będziemy czekać z bronią w ręku!
- Nie bądźcie zanadto pewni swego bezpieczeństwa - ostrzegał Old Firehand. - Dwustu gotowych na wszystko drabów także coś znaczy!
- A niech będzie! Lecz ja mogę w ciągu laiku godzin mieć tysiąc robotników kolejowych.
- Odwaga godna pochwały, sir, ale podstęp zawsze lepszy niż przemoc. Jeślibym mógł nieprzyjaciela podstępem unieszkodliwić, dlaczego miałbym poświęcać życie tylu ludzi?
- O jakim podstępie myślicie, sir? Chętnie uczynię, co mi pora-

174

dziele, i gdybyście się zgodzili, jestem gotów natychmiast oddać wam dowództwo nad osadą i moimi ludźmi.

- Nie tak prędko, sir! Przede wszystkim trampowie nie powinni wiedzieć o naszym pobycie tutaj. Czy macie jaką kryjówkę dla koni?
- Te mogę zaraz ukryć, sir. Szczęściem przybyliście tak wcześnie, że robotnicy was nie widzieli, bo szpiedzy mogliby się od nich o tym dowiedzieć. Mój Murzyn, który jesi chłopcem wiernym, zaraz ukryje konie i będzie miał o nie staranie.
- Dobrze, wydajcie mu odpowiednie rozkazy! A wy sami musicie wziąć na siebie tego master Hartleya, który jest ranny. Użyczcie mu jakiego łóżka, aby się mógł położyć. Ale nikt nie powinien wiedzieć o jego obecności tutaj, nikt prócz naa. Murzyna i lekarza. Lekarz chyba tu jest?
- Tak. Zaraz każę go zawołać.

Inżynier oddalił się z jankesem. Kiedy po pewnym czasie powrócił, oznajmiając, że już zajęto się zarówno ranny", jak i końmi, rzekł Old Firehand:

- Chciałem uniknąć wszelkich narad w obecności tego człowieka, bo mu nie dowierzam. W jego opowiadaniu jeden szczegół jest niejasny. Mam wrażenie, że wysłał tego biednego pisarza rozmyślnie na śmierć, aby siebie samego ocalić. Z takimi ludźmi wolę nie mieć do czynienia.
- A więc jaki plan nam przedstawicie? - zapytał inżynier zacie-kawiony,
- Nie. Plan możemy ułożyć dopiero wtedy, gdy poznamy zamia-ry trampów, a to nie nastąpi wcześniej, aż nadejdą szpiedzy i roz-mówią się z wami.
- Słusznie. Musimy więc uzbroić się na pewien czas w cierp-liwość.

Teraz Winnetou podniósł rękę na znak, że jest innego zdania, i rzekł:

- Każdy wojownik może walczyć w dwojaki sposób: może sam zaatakować lub tylko bronić się. Winnetou, jeśli nie wie, esy i jak się bronić, to raczej sam atakuje. To jest sposób szybszy, pewniejszy, a także dzielniejszy.

- A więc mój czerwony brat nie chce nic wiedzieć o pianie trampów? - zapytał Old Firehand.

- On go naturalnie pozna; ale dlaczego wódz Apaczów ma pozwolić, aby musiał działać według ich planu, jeśli łatwo mu przyjdzie zmusić ich do stosowania się do jego planu?

- A więc masz już jakiś plan?

175

- Tak. Te kreatury nie są wojownikami, z którymi można walczyć uczciwie, lecz wściekłymi psami, które należy kijami zatłuc. Dlaczego miałbym czekać, aż taki pies mnie ugryzie, gdy mogę przedtem zabić go uderzeniem kija, lub zdusić w sidłach! • - Czy znasz takie sidła dla trampów?

- Znam i zastawimy je. Te kujoty przyjdą, aby obrabować kasę.

Jeśli kasa będzie tutaj, to oni przyjdą tu, jeśli będzie gdzie indziej - to udadzą się gdzie indziej, a gdyby się znajdowała w wozie ognistym, to wsiądą do niego i pojedą na własną zgubę, nie wyrządzając najmniej-szej szkody ludziom, mieszkającym tutaj.

- Ach! Zaczynam pojmować! - zawołał Old Firehand. - Co za plan! Czy sądzisz, że powinniśmy tych drabów zwabić do pociągu?

- Tak. Winnetou nie rozumie się na koniach ognistych i nie umie nimi kierować. Podał plan, a moi biali bracia niechaj nad nim pomyślą.

- Zwabić do pociągu? - zapytał inżynier. - Ale w jakim celu?

Możemy przecież czekać tutaj i zniszczyć ich z zasadzki.

- Przy czym jednak wielu z nas będzie musiało zginąć! - odparł Old Firehand. - Jeśli natychmiast wsiądą do pociągu, to możemy ich zawieźć na takie miejsce, gdzie zmusimy ich do poddania się, a sami nie poniesiemy żadnej szkody.

- Ale im wcale nie przyjdzie do głowy wsiadać.

- Wsiądą, jeśli ich zwabimy za pomocą kasy.

- A więc mam wstawić kasę do pociągu?

Było to pytanie, jakiego trudno się było spodziewać po tym bystrego umysłu

inżynierze. Winnetou zrobił lekceważący ruch ręką, a Old Firehand odpowiedział:

- A kto wymaga tego od was? Jedyne trampowie muszą być przekonani, że pieniądze znajdują się w pociągu. Przyjmijcie szpiega jako pisarza i udajcie, że macie do niego pełne zaufanie. Powiedzcie mu w tajemnicy, że tu zatrzymuje się pociąg, który wiezie wielką sumę oieniedzy. Wtedy przyjdą na pewno i wszyscy wcisną się do wagonów. Jeśli się tam znajdują, to sprawa pójdzie dobrze. Czy nie macie de rozporządzenia w tym celu jakiego pociągu?

- O, tyle wagonów, ile tylko chcecie! A odpowiedzialność za to wziąłbym też chętnie na siebie, gdybym tylko mógł mieć taką pewność, że się zamiar uda. Ale zachodzi jeszcze jedna kwestia. Kto ma pociąg prowadzić? To pewne, że trampowie zastrzelą maszynistę i palacza.

- Pshaw! Maszynista się zapewne znajda, a palaczem będę ja.

Bliższe szczegóły potem omówimy. Przypuszczam, że trampowie przy-

176

jadą jeszcze dziś do Eagle-tail, bo tam przede wszystkim zacierają.

Możemy więc przyjąć, że figiel ten da się wykonać jutro"-w nocy. Wtedy należałoby wybrać miejsce, dokąd drabów zawieziemy. Miejsce takie wyszukamy jeszcze przed południem, bo szpieg przyjdą zapewne już po południu. Czy macie dreżynę, sir?

- Naturalnie.

- Dobrze, to pojedziemy. Winnetou jechać nie może; musi pozostać w ukryciu, bo jego obecność mogłaby zdradzić nasze zamiary. Również i mnie nie powinien nikt poznać; dlatego przywozłem ze sobą stare ubranie płócienne.

Inżynier robił minę coraz bardziej zaambarasowaną, a wreszcie odezwał się:

- Sir, mówicie o tej sprawie, jakby to nie było niczym nad-zwyczajnym. Mnie jednak nie wydaje się to tak łatwe i naturalne. Jak zawiadomimy trampów? Jak skłonimy ich do tego, aby się wygodnie dla nas ustawili?

- Co za pytanie! Ów nowy pisarz doniesie potajemnie trampom to, co mu powiecie...

- No, dobrze! A jeśli im wpadnie do głowy myśl, aby nie wsiadać do pociągu!

Gdyby woleli gdzie zerwać szyny i spowodować wykolejenie?

- Temu możecie łatwo zapobiec, gdy powiecie pisarzowi, że przed każdym takim pociągiem ze względu na zawartość jego ładunku idzie maszyna próbna. Wtedy zaniechają zrywania szyn. Jeśli mądrze weźmiecie się do rzeczy, wszystko pójdzie gładko. Pisarza musicie tak zatrudnić i uprzejmością starać się go tak ująć, żeby nie opuścił domu aż do udania się na spoczynek i żeby nie mógł z nikim rozmawiać. Potem wyznaczycie mu na piętrze izbę o pojedynczym oknie. Płaski dach wznosi się nad piętrem tylko o pół łokcia; ja wyjdę na dach i będę słyszał każde wymówione słowo.

- Czy jesteście zdania, że będzie rozmawiał z kimś z okna?

- Naturalnie. Jeden, ten tak zwany Heller, ma was śledzić, a drugi, co z nim przyjdzie, ma być pośrednikiem między nim a trampami. Z pewnością tak będzie i wnet się o tym przekonacie. Ten drugi zażąda także roboty, aby móc tutaj pozostać, ale nie obejmie jej pod jakimkolwiek pozorem, żeby móc opuścić osadę według upodobania. Będzie próbował rozmówić się z pisarzem, aby się czego dowiedzieć, a przed nocą nie będzie mógł się do niego dostać. O tej porze zaś będzie się kręcił koło domu; pisarz otworzy okno, a ja będę leżał na dachu, aby wszystko podsłuchać

Howgh! potwierdził Indianin Niech moi biali bracia

Skarb

177

poszukają teraz miejsca, gdzie by można pułapkę zastawie. Kiedy powróca, wyślizgnę się stąd, aby nie siedzieć beczynnym.

- Dokąd mój brat chce się udać?

- Winnetou jest wszędzie u siebie w domu, w lesie czy aa prerii.

- Wódz Apaczów może mieć towarzyszy, jeśli zechce. Ja kazałem rafterom i myśliwym udać się na miejsce leżące o godzinę jazdy poniżej Eagle-lail. Mają obserwować trampów. Z nimi jest również Ciotka Droli.

- Uff! zawołał Apacz, a jego poważna zwykle twarz przybrała wyraz wesołości. - Ciotka jest dzielną, odważną i mądrą bladą twarzą. Winnetou pójdzie do niej.

- Pięknie! Mój czerwony brat znajdzie tam jeszcze innych dzielnych mężów: Czarnego Toma, Humply-Bula i Gundsck-Uncle'a;

wszystko to ludzie, których imiona słyszał. Tymczasem jednak niech pójdzie do mojej izby i czeka, aż powrócimy.

Wkrótce drewna była przygotowana. Old Firehand zajął wraz z inżynierem przednie siedzenie, a dwu robotników stanęło przy drążku poruszającym koła. Po chwili drewna toczyła się poprzez osadę, potem wyjechała na tor biegnący aż do Kit Karson.

Tymczasem Apacz urządził się wygodnie i nie stracił sposobności przespania się chociaż przez krótki czas. Inżynier po powrocie obudził go. Dowiedziawszy się, że Old Firehand znalazł odpowiednie miejsce, skinął zadowolony:

- To dobrze! Te psy będą drzeć z trwogi i wyć ze strachu.

Winnetou pojedzie teraz do Ciotki Droll i powie jej i rafterom, aby byli w pogotowiu.

Po tych słowach wymknął się z domu do kryjówki, gdzie stały konie.

Zaledwie minęła południowa przerwa w pracy, gdy ujrzano dwu, jeźdźców, zbliżających się powoli od strony rzeki. Dzięki opisowi podanemu przez jankesa nie było wątpliwości, że są to oczekiwani. Zbudzono Hartleya, który rozpoznał ich z całą pewnością. Teraz Old Firehand udał się do izby leżącej obok biura, aby przez uchylone drzwi przysłuchać się rozmowie.

Inżynier znajdował się w swym pokoju, kiedy owi dwaj ludzie weszli. Pozdrowili go grzecznie, a potem jeden wręczył list polecający, nie mówiąc początkowo nic o powodach swego przybycia. Inżynier przeczytał list. .

- Byliście zajęci u mojego przyjaciela Nortona? Jak mu siei powodzi? - spytał. •

Nastąpiły zwykle w takich okolicznościach pytania i odpowiedzi.

178

Zagadnięty o powód, jaki go wygnał z Kinsley, przybyły opowiedział jakąś bardzo żalną historię, która wprawdzie zgadzała się z treścią listu, lecz którą jednak sam sobie wymyślił. Inżynier wysłuchał go uważnie.

- Wasze smutne dzieje rzeczywiście wzbudzają we mnie współ-czucie, zwłaszcza że, jak widzę z listu, posiadacie życzliwość i zaufanie Nortona. Dlatego prośba jego o zajęcie was u mnie nie będzie daremna. Wprawdzie mam już pisarza, ale od dłuższego czasu po-szukuję człowieka, któremu mógłbym powierzyć listy ważne i wyma-gające zaufania. Czy mogę was do tego użyć?

- Sir - odpowiedział z radością rzekomy Heller - spróbujcie!

Jestem pewny, że będziecie ze mnie zadowoleni.

- Well! Spróbujemy. Im będziecie zręczniejsi, tym lepiej was wynagrodzę. Teraz jestem bardzo zajęty. Rozejrzyjcie się tymczasem po osadzie i wróćcie około godziny piątej. Będziecie mieszkać u mnie w/ domu i jeść przy moim stole; musicie się więc zastosować do porządku, jaki u mnie panuje. Nie życzę sobie, abyście się zadawali ze zwykłymi robotnikami. Punktualnie o dziesiątej zamyka się drzwi.

- To bardzo dobrze, sir, bo tak właśnie zawsze dotychczas żyłem.

A teraz jeszcze jedna prośba, która dotyczy mojego towarzysza. Czy nie mielibyście przypadkiem dla niego roboty?

- Jakiej roboty?

- Jakiegokolwiek - odpowiedział drugi skromnie. - Cieszyłbym się, gdybym w ogóle znalazł jakie zajęcie.

- Jak się nazywacie?

- Dugby. Spotkałem master Hellera po drodze i przyłączyłem się do niego, słysząc, że tu pracują koło kolei.

- A czym byliście dotychczas, mister Dugby?

- Byłem dłuży czas cowboyem na farmie po tamtej stronie w okolicy Las Animas. To było życie próżniacze, jakiego nie mogłem dalej prowadzić, i odszedłem. Na domiar złego w ostatnim dniu wdałem się w kłótnię z innym cowboyem, brutalem, który zranił mnie nożem w rękę. Rana nie jest jeszcze zupełnie zagojona, spodziewam się jednak, że za dwa, trzy dni będę mógł użyć ręki do pracy, jeśli mi jąka zechcecie dać.

- Dobrze. Pracę możecie otrzymać w każdej chwili. Pozostańcie więc tutaj i leczcie rękę, a gdy będzie zdrowa, zgłóście się. Teraz możecie odejść.

Kiedy opuścili biuro, inżynier udał się do Old Firehanda i powiedział:

- Mielicie zupełną słusność, sir! Ten Dugby postarał się, aby nie musieć pracować. Ma rękę obandażowaną.

179

- Naturalnie jest zupełnie zdrowa. Dlaczego zamówiliście pisarza dopiero na godzin? piątą?

- Bo mam go zająć do czasu, aż pójdzie spać. To by znużyło jego i mnie, a jemu mogłoby wydać się dziwnym, gdyby trwało za długo. Do godziny dziesiątej i tak pozostanie pełnych pięć godzin.

Tak więc pierwsza część przygotowań została ukończona; do drugiej można było przejść dopiero podsłuchawszy rozmowę obu trampów. Do tej chwili pozostawało jeszcze dużo czasu, który Old Firehand obrócił na spoczynek. Kiedy się obudził, było prawie ciemno; Murzyn przyniósł mu wieszak. Koło godziny dziesiątej przyszedł

inżynier z wiadomością, że pisarz dawno już zjadł kolację i teraz udał się do swego pokoju.

Old Firehand wszedł więc na piętro, skąd czworokątne drzwi prowadziły na dach. Tam położył się i poczołgał ku krawędzi, w to miejsce, gdzie było umieszczone odpowiednie okno.

Przez pewien czas leżał spokojnie, czekając, aż wreszcie usłyszał, że na dok otworzono drzwi. Zbliżyły się czyjeś kroki; blask światła padł przez okno na pole. Old Firehand słyszał pod sobą kroki pisarza, lecz i ten mógł łatwo usłyszeć jego poruszenia, należało zatem zachować wielką ostrożność.

Myśliwy natężył wzrok, chcąc przebić ciemności nocy; udało mu się. W pobliżu smugi światła, padającego z okna, stała jakaś postać. Potem zabrzączało okno widocznie otwierane.

- Ośle! - odezwał się z gniewem cichy szept. - Usuń lampę;

światło pada przecież wprost na mnie!

- Tyś sam osioł! - padła odpowiedź. - Dlaczego przychodzisz już teraz? W domu jeszcze nie śpią. Przyjdź za godzinę.

- Dobrze! Ale powiedz przynajmniej, czy masz jakie wiadomości!

- I to jakid

- Dobrze?

- Nadzwyczajne! O wiele, wiele lepsze, niż mogliśmy się spodziewać. Ale teraz idź, bo mógłby cię kto zobaczyć.

Okno zostało zamknięte, a postać zniknęła spod domu. Teraz Old Firehand był zmuszony czekać jeszcze godzinę, i to bez ruchu. Czas mijał powoli. Wreszcie Old Firehand usłyszał, że otworzono okno;

lampa już nie świeciła. To rzekomy pisarz oczekiwał swego współnika.

Niebawem dało się słyszeć ciche skrzypnięcie podłogi, po której ktoś stapał.

- Dugby! - szepnął pisarz z okna.

- Jestem! - odpowiedział wołany.

- Gdzie jesteś? Nie widzę.

180

- Tuż przy ścianie, wprost pod twoim oknem.

- Czy wszędzie w domu ciemno?

- Wszędzie. Obszedłem dom dwa razy dokoła. Nikt już nie czuwa. Czy masz mi co do powiedzenia?

- Że nic nie będzie z tutejszą kasą. Tu trzymają pieniądze do wypłaty tylko na czternaście dni, a właśnie wczoraj był dzień wypłat. Musielibyśmy czekać całe dwa tygodnie, a to przecież niemożliwe.

W kasie nie ma nawet trzystu dolarów; gra niewarta świeczki.

- I to nazwałś przedtem znakomitą i wspaniałą wiadomością?

- Milcz! Z tutejszej kasy nie będzie wprawdzie nic, ale jutro w nocy będzie przechodził tędy pociąg z przeszło czterystoma tysiącami dolarów.

- Brednie!

- Niej To prawda! Przekonałem się o tym na własne oczy. Pociąg przyjdzie z Kansas City i odejdzie do Kit Karson, gdzie pieniądze mają użyć dla nowej linii. Czytałem Ust i depeszę o tym. Ten głupi inżynier ma do mnie zaufanie jak do siebie samego.

- Co nam to pomoże! Pociąg przecież tylko przejedzie tędy!

- Głupcze! Zatrzymuje się na całe pięć minut.

- Do pioruna!

- A Ja i ty staniemy na lokomotywie!

- Do wszystkich diabłów! Chyba bredzisz?

- Ani mi się śni! Pociąg ma objąć w Cariyłe specjalny urządnik;

ten człowiek przyjedzie na lokomotywie aż tutaj, a potem pojedzie nawet do Wallae, aby tam oddać ładunek.

- A tym nadzwyczajnym urządnikiem masz być właśnie ty?

- Tak! A ty masz, a raczej możesz jechać ze mną. Inżynier pozwoli! mi wyszukać sobie pomocnika, który by ze mną pojechał, a kiedy go zapytałem, kogo by proponował, odpowiedział, że mi nie stawia żadnych ograniczeń. Rozumie się więc samo przez się, że wybiorę ciebie.

- Czy tak prędkie i wielkie zaufanie nie wydaje ci się podejrzane?

- Właściwie tak. Ale wszystko wskazuje na to, że potrzebuje on człowieka zaufanego, a nigdy takiego nie miał. Ów słynny list polecający pomógł mi naturalnie bardzo. A przy tym to zaufanie nie wydaje mi się tak bardzo zastanawiające, bo jest tu pewne „ate”. To zlecenie nie jest tak całkiem bezpieczne.

- Ach! To uspokaja mnie całkowicie! Czy może tor niedbale zbudowany?

- Nie, chociaż tor jest właściwie tylko tymczasowy, jak to widziałem z ksiąg i planów. Ale możesz się chyba domyślić, że przy tak

181

wielkiej a nowej linii nie ma dostatecznej liczby wypróbowanych I urzędników. Są tu maszyniści, których jeszcze się nie zna, a na palaczy zgłaszają się ludzie o podejrzanym pochodzeniu i wygiądzie. Wyobraź sobie teraz, że taki maszynista i palacz prowadzi pociąg wiozący prawie pół miliona dolarów. Gdyby d dwaj ludzie porozumieli się, mogliby pociąg zatrzymać gdziekolwiek na luni i ulotnić się z pieniędzmi. Dlatego masa dozorować ich urzędnik, a ponieważ tamtych jest dwu - możemy dobrać pomocnika. Zrozumiałeś? Jest to pewnego rodzaju rola policjanta. Każdy 2. nas dwii, i ty, i ja będzie miał w kieszeni naładowany rewolwer, ażeby zastrzelić natychmiast tych drabów, gdyby tylko zdradzili jakie zbrodnicze zamiary.

- A to komedia! My i pilnowanie pieniędzy! Zmusimy po drodze drabów do zatrzymania -ię i zabiei-zemy doiry.

- 'I ak się nie uda, oprócz maszynisty i palacza będzie jeszcze konduktor i urzędnik kasowy z Kansas City, który powiezie pieniądze w kufrze, a obaj będą dobrze uzbrojeni. Gdyby naw-i. latało się nam palacza i maszynistę zmusić do zatrzymania pociągu, to ci dwaj natuuliby zaraz podejrzema i broniliby się w wagonie. Nie, musimy się do Lego zabrać w zupełnie inny sposób. Musimy napaść na pociąg z przeważającymi sihirm, i to w takim .-mejscu, gdzie nie można się czegoś podobnego spodziewać, a więc tutaj.

- I mysSis-, że się to uda?

- Naturalnie; Nie ma najmniejszej obawy i żadnemu z nas nie spadnie wio-s z głowy. Jestem la- pc"ny tego, że ci- wyślę już teraz z wiadomością dla kometa.

- Nie sposób jechać w tych ciemnościach; nie znam okolicy.

- Więc zaczekaj do rana; będzie to najwyższy czas,, bo do południa muszę mieć wiadomość. Popędzaj koma, cnoćby miał paść.

- A co mam powiedzieć?

- To, coś ode mnie usłyszał. Pociąg nadejdzie punktualnie o go-dzinie trzeciej w nocy. My dw/aj wsiądziemy na lokomotywę, a skoro pociąg się zatrzyma, weźmiemy maszynistę i palacza na siebie. W razie potrzeby zastrzelimy ich. Kornel musi potajemnie stanąć z naszymi ludźmi przy lorze i natychmiast wsiąść do wagonów. Przy takiej przemocy czuwający ewentualnie mieszkańcy Sheridanu i tych trzech czy czterech urzędników, z którymi będziemy mieli do czynienia, tak zbaranieją, że zbraknie im czasu do obrony.

- Hm, plan jest niezły. Straszna to suma. Gdyby kaady z nas otrzymał równą część, wypadłoby na człowieka dwa tysiące dolarów. Spodziewam się, że kornel przystanie na twoją propozycję. W jaki sposób dać ci odpowiedź?

182

- W tym sęk! Musimy unikać osobistego spotkania. Nie wiem również, czy znajdziemy do tego odpowiednią, a nie zwracającą uwagi sposobność. Musisz mnie zawiadomić listownie.

- Czy to właśnie nie może nas zdradzić? Jeśli ci przyślę posłań-ca...

- Posłańca? A kto mówi o tym? - przerwał pisarz. - To byłoby największym głupstwem, jakiego moglibyśmy się dopuścić. Nie wiem jeszcze, czy uda mi się wyjść z domu, musisz mi więc wszystko napisać, a kartkę ukryć zupełnie blisko.

- A gdzie?

- Hm, trzeba obrać miejsce, do którego mógłbym się dostać nie zwracając na siebie uwagi i nie tracąc dużo czasu. Wiem, że przed południem będę musiał porządnie pracować; trzeba wypełnić długie listy wypłat, jak mi mówił inżynier. W każdym razie znajdę może czas, aby wyjść przynajmniej do drzwi domu. Tuż obok nich stoi beczka na deszczówkę, za którą możesz ukryć kartkę. Jeśli przyciśniesz kamieniem, to nikt niepowołany jej nie znajdzie.

- Ale jak się dowiesz, że kartka leży w tym miejscu? Przecież nie możesz zbyt często chodzić do beczki.

- I to się da zrobić. Muszę ci przecież powiedzieć sam lub przez kogoś, że masz ze mną wsiąść na pociąg wiozący pieniądze. Zaraz po południu każę cię szukać. Wtedy przyjdiesz, aby się dowiedzieć, czego chcę od ciebie. Przy tym ukryjesz kartkę, a ja będę wiedział, że jest ona w oznaczonym miejscu. Zgoda?

- Tak!

- A śpiesz się w drodze! No, dobranoc!

Tamten, odpowiedziawszy na to życzenie, oddalił się. Okno cicho zamknięto. Old Firehand leżał jesusze chwilę na dachu, potem ostro-żnie posunął się ku kłapie, prowadzącej na dół, Inżynier czuwał. Myśliwy opowiedział mu wszystko, co słyszał, wyrażając przekonanie, że sprawa pójdzie zamierzonym losem. Nazajutrz Old Firehand obudził się wcześniej; przyzwyczajonemu do czynu i mchu, niełatwo było siedzieć w izbie, w ukryciu, jednakże musiał się z rym pogodzić. Była może godzina jedenasta, gdy podszedł do niego inżynier; opowiedział, jak pisarz zapamiętałe przykłada się do wyznaczonej mu pracy, ile zadaje sobie trudu, aby uchodzić za wzorowego w/ednika. W tej chwili Old Firehand zobaczył małego, garbatego człowieczka, idącego w górę; odziany był w strój myśliwego: pr-re- ramię miał przewieszony długi karabin.

- Humpy-Bili' - zawołał zaskoczony westman i dodał tonem objaśnienia: - Ten człowiek należy do mojej gromadki. Musiała zająć

183

jakaś niespodzianką, inaczej nie zobaczylibyśmy go tutaj. Mam nadzieję?, ?e nic z?eg@. Wie, że jestem niejako incognito, więc nie będzie pytał o mnie, tylko o was. Czy zechcecie go tu wprowadzić, sir? Inżynier wyszedł, w tej samej chwili Bili przestąpił próg domu.

- Sir! - odezwa? się do inżyniera. - Przeczytałem na tablicy, że tu mieszka inżynier. Czy mogę się widzieć z tym panem?

- To ja sam. Wejdźcie! - Po tych słowach zaprowadził go do izby Old Firehanda, który przyjął małego pytaniem, czemu przybył do Sheridanu wbrew poprzedniej umowie.

- Nie obawiajcie się, sir, nic złego. Wybrano mnie, abym wam zaniósł wiadomość. Jechałem ostro, trzymając się toru kolejowego, gdzie naturalnie trampowie się nie pokażą; nie spostrzegli mnie przeto. Konia ukryłem w lesie, a sam przemyciłem się tak, by mnie tutejsi ludzie nie mogli zobaczyć.

- Dobrze - skinął Old Firehand. Cóż się więc stało?

- Wczoraj pod wieczór przyszedł do nas, jak zapewne wiecie, Winnetou, ku niezJniemej radości Ciotki; inni byli także dumni, że mogą widzieć tego człowieka u siebie. Na obóz wybraliśmy miejsce, którego by żaden z tych drabów nie odkrył. Cóż jednak zdoła ujść oczu Winnetou? Zaraz nas znaleźli! Na krótko przed swym przybyciem wyśledził również obozowisko trampów, a gdy się zupełnie ściemniło, udał się tam, aby ich obserwować, a moż-e podsłuchać. Kiedy do wschodu słońca, a nawet przez kilka godzin dnia, jeszcze nie wrócił, zaczęliśmy się o niego obawiać; ale to było zbyteczne; nic mu się nie stało; owszem, w biały dzień podkra?ł się tak blisko do trampów, że mógł zrozumieć ich rozmowę! Zresztą nie była to wcale rozmowa, a raczej wrzaski. Przyszedł z Sheridanu posłaniec, a wiadomość, jaką przyniósł, wyprowadziła całą bandę z równowagi.

- Aha, Dugby!

- Tak, Dugby' Tak się ten przybyły drab nazywał. Opowiadał, że pociąg ma przewieźć pół miliona dolarów. - To prawda!

- Tak! Apacz mówił o tym także. To więc jest pułapka, w którą chcecie tych łajdaków wciągnąć? Dugby powiedział trampom tylko to, czego się od was dowiedział.

- I to leżało w naszym planie.
- Ale musicie też wiedzieć, co oni postanowią?
- Naturalnie. W tym celu poczyniliśmy przygotowania, aby wnet po powrocie Dugby'ego dowiedzieć się o tym.
- To już zbyt wiele. Winnetou wszystko podsłuchał. Łajdaki z radości tak głośno krzyczeli, że słycać ich było na milę. Dugby ma

184

kiepskiego konia, będzie „więc mógł przybyć dopiero po południu. Dlatego było bardzo przezornie ze strony Winnetou, że wysłał mnie do was. Mianowicie trampowie zgodzili się zaraz na plan pisarza, zmieniając w nim tylko jeden punkt.

- Jaki?
- Miejsce, gdzie napad ma nastąpić. Ponieważ tu w Sheridanie mieszka wielu robotników, a taki pociąg specjalny budzi w każdym razie zainteresowanie, trampowie obawiają się, że bardzo wielu robotników opuści obóz, aby przyjrzeć się pociągowi. To mogłoby wywołać niespodziewany opór, a te draby pragną wprawdzie pieniędzy, ale nie chcą w zamian narażać swej skóry. Dlatego pisarz ma pozwolić, aby pociąg wyruszył z Sheridanu, a wnet potem zmusić maszynistę i palacza do zatrzymania się w otwartym polu.
- Czy oznaczono jakie miejsce?
- Nie, ale trampowie chcą rozpałcić na torze ognisko, koło którego lokomotywa ma się zatrzymać. Gdyby maszynista i palacz nie chcieli usłuchać, mają ich zastrzelić. Czy może ta zmiana jest wam niemiła, sir?
- Nie, wcale nie, bo przez to unikniemy niebezpieczeństwa, z którym w każdym bądź razie należało się liczyć. Mogło przyjść do walki między tutajszymi robotnikami i trampami. Nie będziemy mu-sieli również udawać się z obu szpiegami do Cariyle. Teraz w ogóle nie potrzebujemy ich dalej zwozić. Czy Winnetou powiedział wam, gdzie macie się ustawić?
- Tak, przed tunelem, który zaczyna się po tamtej stronie mostu.
- Słusznie! Ale macie pozostać w ukryciu, aż pociąg wejdzie do niego. Reszta zależeć będzie od okoliczności.

Teraz wiedziano już, jak sprawa stoi, i można było porobić przygotowania. Puszczono w ruch druty telegraficzne do Cariyle, aby zestawiono pociąg, a do Fort Wallace z prośbą o żołnierzy. Tym-czasem Humpty-Bill, podjadłszy sobie, oddalił się równie niepostrzeżenie, jak przyszedł.

Około południa nadeszły z obu wymienionych stacji wiadomości, że zarządzenia zostaną wykonane. Niemal w dwie godziny później zobaczono, że nadchodzi Dugby, którego rzekomo Heller wezwał do siebie przez posłańca. Old Firehand siedział z inżynierem w jego izbie, obserwując ukradkiem trampa.

- Przyjmijcie go w biurze - odezwał się Old Firehand - i rozmawiajcie z nim tak długo, aż przyjdę. Chcę przeczytać kartkę, którą zostawił koło beczki.

Inżynier udał się do swej pracowni, a skoro tylko wpuszczono

185

Dugby'ego, Old Firehand wyszedł za drzwi domu; rzuciwszy okiem na beczkę, ujrzał tam kamień, podniósł go i znalazł oczekiwany papier; rozwinął więc i przeczytał słowa, skreślone ręką kornela. Treść listu zgadzała się dokładnie z doniesieniem Humpty-Billa. Myśliwy włożył papier z powrotem pod kamień i wszedł następnie do biura, gdzie Dugby stał przed inżynierem w postawie pełnej uszanowania. Tramp nie poznał myśliwego odzianego w płócienne ubranie i dlatego zląkł się bardzo, kiedy ten położył mu rękę na ramieniu i zapytał groźnie:

- Czy wiecie, master Dugby, kim jestem?
- Nie - brzmiała odpowiedź przerażonego.
- To mieliście chyba oczy zamknięte pod farmą Batlera. Jestem Old Firehand.

Wyciągnął przy tym trampowi nóż zza pasa i rewolwer z kieszeni, a tramp przestraszony nie uczynił żadnego ruchu, aby mu w tym przeszkodzić. Potem myśliwy zwrócił się do inżyniera;

- Proszę was, sir, idźcie na górę do pisarza i powiedzcie mu, że Dugby był, ale nic więcej. Potem wróćcie tutaj.

Inżynier oddalił się, a Old Firehand posadził trampa przemocą na krześle i przywiązał do poręczy silnym sznurem leżącym na biurku.

- Sir - odezwał się drab, który teraz dopiero ochłonał ze strachu

- skąd to postępowanie? Dlaczego mnie wiążecie? Ja was nie CTam!

- Milcz teraz! - krzyknął westman chwytając za rewolwer. - Jeśli się jeszcze raz odezwiesz bez pozwolenia, wpakuję ci kulę w łeb.

Tramp zbladł jak trup i cxiątd nie odważył się otworzyć ust. W tej chwili wszedł znowu inżynier Old Firehand skinał na niego, aby pozostał przy drzwiach, a sarn stanął przy oknie, jednakże tak, że go z zewnątrz nie można było dojrzeć. Był przekonany, że ciekawość nie pozwoli pisarzowi powstać długo w pokoju. Nic minęły też dwie minuty, kiedy ujrział jakąś rękę, sięgającą poza beczkę; właściciela tej ręki nie było widać, bo stał tuż przy drzwiach, OSd Pireband skinał na inżyniera, a ten otworzył szybko drzwi, właśnie w tej chwili, kiedy pisarz chciał się obok nich przesunąć.

- Master Heller, czy nie 7"chceci.? wejść? - zapytał.

Zagadnięty trzymał jeszcze papier w ręce, schował go więc szybko i posłuchał skierowanego do niego wezwania z widocznym zakłopotaniem. Jakaż dopiero zrobił minę, kiedy ujrział towarzysza przywiązanego do krzesła! Jednakże szybko zapanował nad sobą i rzeczywiście udało mu się przybrać minę dość swobodną.

- Co to za papier schowaliście do kieszeni? - zapytał Old Firehand.

- To stara tutka - odpowiedział tran?p.

186

- Tak? Pokażcie no ją!

Pisarz spojrział na mego zdumiony i odpowiedział:

- Co wam strzeliło do głowy, aby mi wydawać tak niepojęty rozkaz? Kim wy jesteście? Ja was nie znam.

- Znaćcie go dobrze! - wtrącił inżynier. - To Old Firehand.

- Old Fi... - larzyknął niemal tramp. Dwie ostatnie zgłoski nis mogły mu z przestachu przejść przez gardło. Szeroko otwarte oczy utkwili nieruchomo w westmanie.

- Nie spodziewaliście się umie tutaj, co? A co się tyczy zawartości waszej kieszeni, to mam chyba do niej więcej prawa niż wy sami, Pokażcie no tu!

Firehand zabrał trampowi, który nie odważył się opierać, najpierw nóż, następnie naładowany rewolwer, wreszcie kartkę.

- Sir - pytał pisarz z uporem - jaJdm prawem czynicie to?

- Po pierwsze, prawem silniejszego „uczciwego, a po drugie, mister Charoy będący w osadzie władzą policyjną udzielił mi po-zwolenia zastąpienia go w tej sprawie.

- W jakiej sprawie? To, co noszę przy sobie, jest moją własnością. Nie uczynitem mc przeciwnego prawu i muszę wiedzieć, z jakiego powodu obchocuae się w muą jak ze złodziejem!

- Jai- -as, złodziejem? Pshawi Byłoby to szczęściem dla was! Idzie tu nie lyiko o kradzież, ale po pierwsze, o morderstwo, a po drugie, o coś gorszego oiz zwykle morderstwo, bo o napad i obrabowanie pociągi- przy czym prawdopodobnie niejeden człowiek straci zyde. Należycie do trampów, kióray przy Osage-nook napadu na Osędzów, potem targnęli się aa farmę Butlera, a teraz chcą z pociągu zrabować pół miliona dolarów.

Widać było po obu trampach, jak wielki ogarnął ich lęk, jednak rzekomy Heller opanował się i odpowiedział tonem człowieka zupełnie niewinnego:

- Nic o tym wszystkim nie wiem!
- A przecież tylko w tym celu przyszliście tutaj, aby szpiegować, a potem zawiadomić o wszystkim swoich współników!
- Ja? Ja nie wyszedłem ani na chwilę z tego domu!
- Całkiem słusznie, ale wasz towarzysz był posłańcem. O czym to rozmawialiście wczoraj wieczorem przez otwarte okno? Leżałem nad wami na dachu i słyszałem każde słowo. Ta kartka zawiera odpowiedź przesłaną wam przez rudego korneia. Trampowie obozują w górze przy Eagle-tail; mają tej nocy przejść przez rzekę, rozłożyć się poza Sheridanem przy torze i rozpaścić ognisko; to wskaże wam obu miejsce, gdzie macie zmusić maszynistę do zatrzymania pociągu, z którego chcecie zabrać pieniądze.

18?

- Sir - wyjąkał pisarz nie mogąc już ukryć trwogi - jeśli rzeczywiście jest ktoś, kto ma taki zamiar, to zachodzi tu jakiś nie znany mi splot okoliczności, które sprawiają wrażenie, że jestem w spółce z tymi zbrodniarzami. Jestem uczciwym człowiekiem i...
-? - Milczeć! - krzyknął Old Firehand. - Uczciwy człowiek nie morduje.
- Czy twierdzicie może, że ja mordowałem?
- Naturalnie! Wy obaj jesteście mordercami! Gdzie jóst lekarz i gdzie jest jego towarzysz, którego ścigaliście z rudym komelem? Czy nie zastrzeliliście tego drugiego dlatego, że potrzebowaliście jego listu, aby w Sheridanie przedstawić się jako pisarz Heller i w ten sposób ułatwić sobie zadanie szpiega? Czyż nie zabraliście może szarlatanowi wszystkich jego pieniędzy?
- Sir, ja nie... rozumiem... ani słowa z tego." wszystko -jąkał się tramp.
- Nie? To zaraz wam wytłumaczę. Abyście jednak nie wpadli na myśl ucieczki, musimy sobie zabezpieczyć waszą osobę. Mister Cha-roy, bądźcie tak dobrzy, zwiążcie temu nicponiowi ręce na plecach. Ja go przytrzymam.

Tramp, usłyszawszy te słowa, zwrócił się szybko ku drzwiom, chcąc uciec, ale Old Firehand był jeszcze szybszy; przychwyciwszy go, zawrócił z powrotem i mimo silnego oporu trzymał tak mocno, że inżynier mógł go bez trudu związać. Potem odwiązano Dugby'ego od krzesła i zaprowadzono razem z pisarzem do pokoju, w którym leżał ranny Hartley. Kiedy ten zobaczył obu drabów, usiadł na łóżku i zawołał:

- Hola! To te łotry, które mnie obrabowały, a biednego Hellera pozbawiły życia. Gdzie trzeci?
- Tego brak jeszcze, ale i on wpadnie nam w ręce - odpowiedział Old Firehand. - Pieniądze również się znajdują. Przede wszystkim odebrałem im broń i tę kartkę, która ich zdemaskowała.

Trampowie nie odezwali się ani słowem, poznawszy, że dalsze wypieranie się byłoby śmieszne. Wypróżniono im kieszenie do reszty; znalazły się banknoty, które stanowiły część łupu, a które zwrócono Hartleyowi. Resztę, jak oświadczyli, miał rudy komel. Następnie związano im nogi i położono na podłodze, ponieważ w domu nie było ani piwnicy, ani karceru, gdzie by można ich było osadzić. Hartley był tak na nich rozeźlony, że trudno było o lepszego strażnika. Otrzymał naładowany rewolwer z poleceniem natychmiastowego zastrzelenia ich, gdyby tylko próbowali uwetafó się z więzów. Potem można było poczynić dalsze przygotowania do Wytomaffia

188

planu. Nie trzeba już była .umieszczać obu trampów na I-omp);ywię i wozić ich w tym celu dreżyną do Cariyle. Zatelegrafowano natomiast z poleceniem, aby pociąg wyjechał stamtąd o oznaczonym czasie i aby zatrzymał się w pewnej odległości przed Sheridanem na umówionym miejscu, gdzie obejmie go Old Firehand. Jeszcze w ciągu popołudnia nadszedł z Fort Wallace telegram, że z nadejściem ciemności wyruszy oddział żołnierzy i już około północy stanie na miejscu spotkania. Robotnicy w Sheridanie nie wiedzieli jeszcze nic o przewidywanych wypadkach, gdyż przypuszczano, że komel wysła szpiegów, a ożywie-nie wśród robotników mogłoby ich ostrzec. Kiedy nadeszła pora zakończenia pracy dziennej, inżynier

poinformował swego nadzorcę o tym, co uważał za konieczne, i polecił, aby w sposób możliwie oględny zapoznał robotników ze stanem rzeczy. Nadzorca pochodził z New Hampshire; miał za sobą burzliwe życie. Przeznaczony pierwotnie do zawodu budowniczego, pracował w nim przez szereg lat, nie doszedłszy jednak do stanowiska samo-dzielnego, chwycił się innej pracy, co dla jankesa nie jest wstydem. Kiedy jednak i tu szczęście mu nie dopisało, pożegnał Wschód i udał się poza Missisipi, aby tam o coś zaczepić, ale również bez skutku. Teraz wreszcie otrzymał w Sheridanie stanowisko, na którym mógł zużyć poprzednio zdobyte wiadomości, ale nie dawało mu ono zado-wolenia. Kto raz odetchnął powietrzem prerii i lasów dziewiczych, temu trudno było pogodzić się z ładem miasta.

. Człowiek ten, nazwiskiem Watson, był niezmiernie uradowany, dowiedziawszy się o nadchodzących wypadkach.

- Dzięki Bogu! Nareszcie jakieś ożywienie w tej codziennej sza-rzyźnie życia! Moja stara strzelba już zbyt długo wisi na kołku i tęskni, aby choć raz jeszcze przemówić. Spodziewam się, że dziś znajdzie do tego sposobność. Ale jak to było? Nazwisko, któreście wymienili, sir, wydaje mi się znane. Rudy komel? A ma się nazywać Brinkley? Poznałem raz pewnego Brinkleya, który miał fałszywe rude włosy, podczas gdy jego naturalny skalp był barwy ciemnej. Spotkania tego mała nie przyplącałem życiem.

- Gdzie i kiedy to było? - zapytał Old Firehand.

- Przed dwoma laty nad Grand-river. Byłem z jednym towarzy-szem nazwiskiem Engel, tam w górze nad Srebrnym Jeziorem. Chcie-liśmy się udać do Pueblo, a potem wzdłuż Arkansasu na wschód, aby zakupić narzędzia do pewnego przedsięwzięcia, które by nas uczyniło milionerami.

189

Old Firehand nadstawił ucha i zapytał:

- Egel naawał się ten człowiek? Przedsięwzięcie, które miało. przynieść wam miliony? Czy mogę się o tym czegoś więcej dowiedzieć?

- Owszem! Wprawdzie przysięgliśmy sobie najgłębsze milczenie, aSe miliony rozwiały się z dymem, bo zamiar się nie udał, i dlatego sędzę, że język mam już rozwiązany. SzSo mianowicie o wydobycie ogromnego skarbu, który zatopiono w wodach Srebrnego Jeziora.

Inżynier zaśmiał się krótko z niedowierzaniem, dlatego nadzorca ciągnął dalej:

- Może to zakrawa na bujkę, ale nie ma w tym odrobiny fałszu.

Wy, master Firehand, jesteście jednym z najślawniejszych westmanów; doświadczyliście i przeżyliście niejedno, czemu by nikt nie uwierzył, gdybyście zechcieli opowiedzieć. Więc przynajmniej wy nie powinniś-cie się śmiać z moich słów.

- Ani mi to w głowie! - odparł z powagą myśliwy. - Jestem gotów uwierzyć wszystkiemu, a mam do tego poważne powody. Ja również dowiedziałem się jako o rzszy zupełnie pewnej, że w głębi jeziora leży zatopiony skarb.

- Doprawdy? I ja mogę przysiąc, że historia z tym skarbem jest prawdziwa. Ten, co nam to opowiadał, z pewnością nie kłamał.

- Kto to był?

- Stary Indianin. Nigdy jeszcze nie widziałem tak starego czło-wieka. Wysechł na wiór, a sam mówił, że przeżył znacznie więcej niż sto słońc. Nazywał siebie Hauey-kolakakho, ale raz oświadczył nam w zaufaniu, że jest właściwie Ikhaczi-tatli. Co te indiańskie słowa mają znaczyć, tego nie wiem.

- Ale ja wiem - przerwał Old Firehand. - Pierwsze należy do narzecza Tonkawa, drugie jest z języka Azteków, a oba mają zupełnie to samo znaczenie, mianowicie „Wielki Ojciec”. Mówcie dalej, mister Watson! Jestem niezmiernie ciekawy, w jaki sposób poznaliście tego Indianina.

- No, właściwie nie było w tym nic szczególnego ani niezwykłego.

Nie zorientowałem się w czasie i zabawiłem za długo w górach, tak że zaskoczył mnie pierwszy śnieg. Musiałem więc pozostać i obejrzeć się za jakim miejscem, gdzie bym mógł przezimować bez narażenia na śmierć głodową. Sam jeden, zasypany śniegiem, to nie żart! Szczęściem dostałem się nad Srebrne Jezioro i zobaczyłem

tam chatkę zbudowaną z kamienia, z której unosił się dym; byłem uratowany. Właścicielem chatki okazał się właśnie ów stary Indianin. Miał wnuka i prawnuka; nazywali się Wielki i Mały Niedźwiedź; ci...

- Ach! Nintropan-hauey i Nintropan-homosz? - zawołał Old Firehand.

- Tak, tak brzmiały te imiona w języku Indian. Czy znacie może tych dwu, sir?

- Tak. Lecz mówcie dalej!

- Obaj Niedźwiedzie udali się w góry Wahsacz, gdzie musisli pozostać aż do wiosny. Zima bowiem nastąpiła za prędko i nie sposób się było przedostać stamtąd poprzez zwały śniegu do Srebrnego Jeziora. W chacie zastałem oprócz starca owego Engla. W trójkę przeżyliśmy całą zimę. Głodu nie cierpiałem, bo zwierzyny było w bród, als zimno tak osłabiło staroego, że kiedy nadeszły pierwsze ciepłe wiatry, musieliśmy go pogrzebać. Polubił nas jak dzieci rodzone i chcąc okazać swą wdzięczność, powierzył nam tajemnicę skarbu w Srebrnym Jeziorze. Posiadał kawałek bardzo starej skóry, na której znajdował się dokładny opis miejsca, i pozwolił zrobić z niego kopię. Na szczęście Engel miał przy sobie papier, bez którego nie mogliśmy się obejść, bo stary nie chciał nam dać skóry, przechowując ją dla obu Niedźwiedzi. W wigilię śmierci zakopał ją, ale gdzie, tego nie wiem, i nie mogliśmy jej szukać, bo musieliśmy uszanować jego wolę. Po złożeniu go w grobie ruszyliśmy w drogę; Engel zaszył rysunek w swej bluzie.

- Nie czekaliście na powrót obu Niedźwiedzi? - zapytał Old Firehand.

- Nie.

- To było wielkim błędem!

- Możliwe, ale byliśmy całe miesiące zagrzebani w śniegu i tęskniliśmy do ludzi. Wkrótce też dostaliśmy się między ludzi, ale jakich! Opadła nas gromada Indian z plemienia Utah i doszczętnie ob-rabowała. Byliby nas z pewnością zabili, ale znali staroego Indianina, którego otaczali wielką czcią, a kiedy się dowiedzieli, żeśmy zajęli się nim i pogrzebali go, darowali nam życie, zwrócili odzież i kazali uciekać; broń naszą jednak zatrzymali; za to nie mogliśmy im być wdzięczni, bo bez broni zdani byliśmy na niebezpieczeństwa, a nawet na śmierć głodową. Na szczęście albo raczej na nieszczęście spotkaliś-my trzeciego dnia pewnego myśliwca, który dał nam trochę mięsa. Kiedy usłyszał, że idziemy do Pusbio, oświadczył, że także tam zmierza i pozwoli nam przyłączyć się do siebie.

- To był rudy Brinkley?

- Tak. Mianował się wprawdzie inaczej, ale później poznałem iego prawdziwe nazwisko. Pytał nas o wszystko, a my powiedzieliśmy prawdę, przemilczawszy ty-o o skarbie i rysunku, który Engel nosił przy sobie, bo rudy wcale nie wzbudzał w nas zaufania. Nie wiem flaczego, ale zawsze miałem wstręt do rudzielców, chociaż jestem

190

191

pewny, że wśród nich nie ma więcej łotrów niż wśród tych, którzy na swej głowie noszą skalpy innej maści. Naturalnie milczenie nic nam nie pomogło. Ponieważ tylko on miał broń, odchodził często na polowanie, a wtedy my dwaj rozmawialiśmy prawie wyłącznie o skarbie. Pewnego razu powrócił po kryjomu; podkradłszy się do nas, podsłuchał naszą rozmowę. Kiedy następnie znowu udał się na zdobycie mięsa, wezwał mnie, abym z nim poszedł, bo czworo oczu zawsze lepiej widzi niż dwoje. Po godzinie, kiedyśmy już dość daleko odeszli od Engla, oświadczył mi, że słyszał wszystko, a za karę za nasz brak zaufania odbierze nam rysunek.

Równocześnie, wyciągnawszy nóż, rzucił się na mnie. Bronilem się, co miałem sił, ale na próżno; wbił mi nóż w piersi. Szczęściem nie trafił w serce. Sądził jednak, że mnie zabił. Kiedy się ocknąłem, ujrzałem wokoło siebie gromadę osadników, którzy mnie znaleźli i opatrzyli. Opowiedziałem im, co zaszło, lecz ci hreczkosieje nie czuli się na siłach, by pójść śladem mordercy, a co do mnie, to upłynęło wiele wody, zanim powróciłem do zdrowia. Ponieważ nie znalazłem ani grobu, ani trupa Engla, przypuszczałem, że umknął mordercy.

- Tak. Umknął mordercy - potwierdził Old Firehand.

- Jak to? - zapytał nadzorca. - Czy wiecie co o tym?

- O tym później. Teraz opowiadajcie dalej!

- Skierowałem się do najbliższej osady, gdzie znalazłem życzliwe przyjęcie i pomoc. Nie gardziłem tam przez pół roku żadną robotą, byle umożliwić sobie podróż na Wschód.

- Dokąd zmierzaliście?

- Do Engla. Wiedziałem, że miał brata w Russelville w Kentucky. Postanowiliśmy go obaj odwiedzić, aby poczynić u niego przygotowania do naszej wyprawy nad Srebrne Jezioro. Kiedy tam przybyłem, dowiedziałem się, że ów brat udał się do Arkansasu, ale dokąd, tego nikt nie umiał mi powiedzieć. Pozostawił u sąsiada list do Engla;

ten przybył tam przede mną i podjął list, w którym naturalnie było podane nowe miejsce zamieszkania brata; potem zniknął bez śladu, a ów sąsiad tymczasem umarł. W Russelville jednak Enge! opowiedział o swej przygodzie i nazwał mordercę Brinkleyem. Jak i w jaki sposób odkrył nazwisko, nie wiem. Tak, panowie, oto cała historia. Jeśli to jest rzeczywiście ów Brinkley, cieszę się niezmiernie, że spotkałem tego łotra. Sądzę, że będę mógł zakończyć z nim porachunki.

- Są tu i inni, co mają ten sam zamiar - zauważył Old Firehand.

- Teraz jeszcze jedno jest dla mnie niejasne. Powiedzieliście przedtem, że rude włosy Brinkleya są fałszywe. Skąd wiecie o tym?

- Te bardzo proste. Etdy ptztfbyws-śa- KBSBBB, wyszła mu widocznie farba, bo przeglądały spośród ru'dyc'h czarne włosy.

192

- Well! A więc nie ma najmniejszej wątpliwości, że mieliście do czynienia z rudym kornelem. Całe życie tego człowieka to, jak widać, jedno pasmo zbrodni. Prawdopodobnie dziś uda się nam położyć temu kres.

- I ja pragnę tego z całego serca. Ale nie powiedzieliście mi jeszcze, jak mamy bronić się przed spodziewanym napadem.

- Dowiedcie się o tym w stosownej chwili. Przede wszystkim niech się robotnicy zachowują spokojnie i niechaj będą gotowi do czuwania przez całą noc. Również niech oczyszczą broń. Jeszcze przed północą wsiadą do pociągu, który ich zawiezie w odpowiednie miejsce.

- Well! Muszę się zadowolić tą odpowiedzią. Wasze rozkazy zostaną spełnione.

Kiedy się oddalił, Old Firehand zapytał inżyniera, czy nie ma dwóch robotników, którzy by przypominali z postaci i rysów twarzy obu pojmanych trampów; zarazem musieliby mieć dosyć odwagi, aby w miejsce uwięzionych stanąć na lokomotywie. Charoy po namyśle wysłał Murzyną, aby sprowadzić ludzi, których uważał za odpowiednich do tego celu. Kiedy weszli, Old Firehand poznał, że wybór wypadł wcale nie najgorzej; wybrani mieli prawie ten sam wzrost, a co do rysów twarzy, to można się było spodziewać, że mroki nocy zatra różnicę. Teraz należało się jeszcze postarać, aby ich głos nie kłócił się za bardzo z głosem trampów. Dlatego Old Firehand w obecności obu robotników przeprowadził krótkie przesłuchanie pojmanych. Tak tedy robotnicy oswoili się z ich głosami i mogli je później od biedy naśladować.

Kiedy się z tym wszystkim uporano, myśliwy opuścił dom, aby j․ znowu raz zwyczajem westmanów przeszukać okolicę.

Jeśli szpiegzy nadeszli, to znajdowali się z pewnością w takim miejscu, skąd w nocy z najmniejszym ryzykiem, a największą wygodą mogli obserwować osadę robotniczą. Takie miejsce znajdowało się niedaleko domu inżyniera. Dla przeprowadzenia toru musiano przekopać teren i dlatego tuż przy torze wznosiła się skarpa, na której szczycie rosło kilka drzew. Stamtąd rozciągał się widok w dół na osadę, a drzewa dawały niezbędne ukrycie. Jeśli gdzie, to tam właśnie należało szpiegów szukać.

Old Firehand, z przeciwnej strony, po kryjomu dostawszy się nad rzekę, ku owemu wzniesieniu, poczołgał się cicho w górę. Kiedy tam dotarł, ujrzał obraz zgodny ze swymi przewidywaniami. Pod drzewami siedział} dwie postacie rozmawiając półgłosem. Myśliwy zbliżył się do

nich na taką odległość, że głową dotykał pnia drzewa, przy którym tamci swdżitó. Mó- ich obu dociągnąć ręką. A mógł śmiało tak

13-„”--,
198

zbliżyć się do nich, bo dzięki szaremu ubraniu nawet najbystrzejsze oko nie odróżniłoby go od otaczającego gruntu. Niestety, właśnie w tej chwili nastąpiła w rozmowie przerwa i minęło dość dużo czasu, zanim jeden z nich odezwał się znowu:

- Czy wiesz, co będzie potem, jak tu skończymy cały ten kram?

- Nic pewnego nie wiem. Przebakują rozmaicie, ale dokładnie wie zaledwie kilku wtajemniczonych.

- Tak. Kornel jest skryty i nielicznym tylko ufa. Jego prawdziwy plan znają zapewne tylko ci, którzy już przed nami z nim przebywali.

- Czy myślisz o Woodwardzie, który razem z nim umknął rafterom? No, ten, jak mi się zdaje, wobec ciebie nie ma tajemnic. Czy nic ci nie mówił?

- Napomykał to i owo. Wnioskuje z jego słów, że komel nie ma zamiaru zatrzymać przy sobie całej naszej gromady. Tak wielka liczba ludzi przeszkadzałaby tylko w dalszych planach i muszę mu przyznać rację: im więcej ludzi, tym mniejszy zysk przypada na każdego. Myślę, że wybierze najlepszych i z nimi zniknie zupełnie niespodziewanie.

- Tam do diaska! Czyżby innych chciał oszukać?

- Jak to oszukać?

- No, gdyby tak na przykład komel jutro rano zniknął z tymi, których chce przy sobie zatrzymać?

- To by nic nie szkodziło; ja bym się tylko cieszył. Przecież to oczywiste, że my dwaj nie należymy do tych, którzy źle wyjdą na tej separacji.

- Czy możesz za to ręczyć? Jeśli nie, to będę miał oczy szeroko otwarte i narobię hałasu.

- O dowód nietrudno! Czyż nie przysłał de tutaj wraz ze mną?

- Więc co z tego?

- Tylko ludzie odpowiedni i godni zaufania otrzymują takie polecenia. A ponieważ nam powierzył śledzenie tej miejscowości, dał przez to najlepszy dowód zaufania. Co z tego wynika? Jeśli rzeczywiście ma zamiar pozbyć się całej gromady naszych, to my naturalnie należymy do tych, których ze sobą weźmie.

- Hm! Miło jest słyszeć testowa; wniosek jest dobry i uspokaja mnie. A jeśli sądzisz, że ja mam należeć do wybranych, to dlaczego mnie trzymasz w niepewności i nie mówisz, co ci Woodward wyjawiał z jego planów?

- Bo sam jeszcze nie wiem nic dokładnie. Ale powiem ci wszyst-ko, co słyszałem. Idzie o wyprawę w góry. Tam mieszkał w bardzo dawnych czasach pewien lud, którego imię wypadło mi z pamięci. Ten lud albo wywędrował na południe, albo został wytępiony, a przedtem zatopił w jeziorze niezmierne skarby. „

194

_ Banialuki! Kto ma takie skarby, zabiera je ze sobą.

_ Mówię ci przecież, że został zatopiony!

- Co to za skarb? Pieniądze?

_ Nie jestem archeologiem, nie mogę więc powiedzieć, że te stare ludy używały pieniędzy. Woodward mówił, że lud był pogański i że posiadał ogromne świątynie, w których znajdowały się posągi bogów, od stóp do głów ze złota i srebra, a także niezliczone naczynia z tego samego kruszcu. Te skarby leżą w Srebrnym Jeziorze, które stąd właśnie wzięło swą nazwę.

- Tak? A gdzie leży to Srebrne Jezioro?

- Nie wiem. Kornel powie to naturalnie dopiero wtedy, gdy się zdecyduje, kogo ze sobą weźmie. Jest to rzecz zupełnie zrozumiała, że przedtem nie chce rozgłaszać swych zamiarów.

- Naturalnie! Ale w każdym razie sprawa jest niebezpieczna.

- Dlaczego?

- Z powodu Indian.

- Pshaw! Mieszka tam tylko dwóch czerwonoskórych, wnuk i prawnuk owego Indianina, od którego pochodzi rysunek. Tych można przecież sprzątnąć dwoma strzałami.

- Jeśli tak, to świetnie. Najpierw jednak powinniśmy, moim zdaniem, zwrócić całą uwagę na nasze dzisiejsze przedsięwzięcie. Czy sądzisz, że się uda?

- Naturalnie! Popatrz tylko, jaki spokój panuje w całej osadzie.

Żaden człowiek tam nie ma pojęcia o naszej obecności i zamiarze, a dwaj najlepsi i najchytrzejsi z naszych ludzi są już tutaj, aby nam grunt przygotować. Któż by mógł pomyśleć o zawodzie! Pociąg zatrzymuje się tutaj na pięć minut i jedzie dalej, a o godzinę drogi stąd będzie płonąć nasze ognisko. Tam nasi dwaj towarzysze, którzy będą na lokomotywie, przyłożą maszyniście rewolwer do łba i zmuszą go do zatrzymania pociągu, który my otoczymy; kornel wsiądzie i weźmie...

- Oho! - przerwał tamten. - Kto wsiądzie? Czy może sam komel? A może tylko z kilkoma, z którymi potem całkiem swobodnie odjedzie? Później każe stanąć, wysiądzie i zabrawszy pół miliona dolarów, zniknie? A inni będą tu czekać, wzbogaceni jedynie własnymi ogłupiałymi minami? Czy nie tak?

- Co ty pleciesz? - odezwał się tamten gniewnie. - Powiedzia-łem ci przecież: jeśli komel rzeczywiście ma taki zamiar, to my dwaj będziemy między tymi, którzy z nim wsiądą do pociągu. Jeśli wreszcie Srebrne Jezioro zawiera takie niezmierne skarby, to możemy co do kasy popisać się uczciwością wobec dotychczasowych towarzyszy.

195

-Podzielimy się, każdy otrzyma „wą część, a potem komel wybierze sobie tych, których chce wziąć w góry. Basta, o tym ani słowa więcej! Teraz chciałbym tylko wiedzieć, na co cacka tam w dole ta lokomotywa. Pod kotłem płonie ogień, a więc stoi gotowa do jazdy. Dokąd?

- Może to jest maszyna próbna, która pójdzie przodem dix bezpieczeństwa?

- Nie, nie stałaby już gotowa. Pociąg ma przyjść dopiero o trzy-ciej w nocy. Ta maszyna nie wydaje mi się tak niewinna i ciekaw jestem, co mają zamiar z nią począć.

Człowiek ten powziął podejrzenie, z którym należało się liczyć. Old Firehand zrozumiał, że nie można pozostawić dłużej maszyny.

Była to zwykła, mała lokomotywa, używana przy pociągach, rozwożących materiał budowlany, do której przyczepiano wagony do przewożenia ziemi. W tych wagonach miano teraz przewieźć robot-ników; obecnie nic można było czekać z tym do północy; należało działać natychmiast, aby rozproszyć podejrzenia szpiegów. Old Fire-hand poczołgał się więc z powrotem i wśliznął do domu inżyniera, aby mu opowiedzieć, co usłyszał.

- Well! - rzekł inżynier. - Musimy tych ludzi zaraz wyalać. Ala szpiedzy zobaczą ich, gdy będą wsiadać!

- Nie, każemy robotnikom wymknąć się niepostrzeżenie. Niech odejdą stąd o jaki kwadrans drogi, a potem zaczekają przy torze, aż nadejdzie próżny pociąg, który ich zabierze; ponieważ odgłos lokomo-tywy nie dochodzi tak daleko, tor zaś skręca, szpiedzy nie zobaczą ani posłyszają, że pociąg przystanie.

- A ilu ludzi mam tutaj zatrzymać?

- Dwudziestu zupełnie wystarczy do obrony waszego domu i pil-nowania obu jeńców. Zarządzenia te możecie wydać w przeciagu pół godziny, a potem pociąg odjedzie. Ja zakradnę się znowu do szpiegów, , aby posłuchać, co będą mówić.

; Niedługo potem leżał koło obu drabów, którzy siedzieli teraz i w milczeniu.

Myśliwy widział tak samo jak oni całą przestrzeń leżącą j przed nimi i wysilał się, jak mógł, aby dostrzec poruszenia mieszkań-! ców, ale - na próżno.

Robotnicy odeszli tak ostrożnie, że szpiedzy nie domyślali się niczego. Zreszta światło, płonące w budynkach i chatach, nie oświetlało osady na tyle, aby można było dokładnie rozróżnić postacie ludzi.

Wtem ujrzano, jak z domu inżyniera zbliżył się do toru ktoś z jasną latarnią, wołając tak głośno, że słychać było daleko:

- Z pustym pociągiem odjazd do Wallace! Tam brak wagonów!

Był to głos inżyniera. Maszynista, zgodnie z umową, odpowiedział równie głośno:
- Well, sir. Bardzo się cieszę, że wreszcie odjadę i nie będę palił węgla na darmo. Czy macie jakie zlecenie do Wallace?
- Nie, chyba tylko życzenie dobrej nocy dla inżyniera, który pewnie będzie siedział przy kartach, gdy przyjedziecie. Dobrej drogi!
- Dobrej nocy, sir!

Świstawka kilka razy odezwała się przeraźliwie i pociąg ruszył.

Kiedy turkot kół ucichł, odezwał się jeden ze szpiegów:

- No, czy wiesz już, jak sprawa stoi z tą lokomotywą?
- Tak, jestem teraz wreszcie spokojny o nią. Odprowadza do Wallace puste wagony, których tam potrzebują. Moje podejrzenie okazało się zupełnie nieuzasadnione.
- Wszelki cień podejrzenia jest tu w ogóle głupotą. Plan został tak ułożony, że bezwarunkowo musi się udać. Moglibyśmy właściwie odejść już teraz.
- Nie. Kornel kazał nam czekać do północy i musimy go słuchać.
- Oczywiście! Ale jeśli mam do tego czasu tu siedzieć, to nie widzę powodu, dla którego bym miał nadwerężyć oczy. Położę się i pokrzepię snem.
- Ja także, to bardzo rozsądna myśl. Potem nie będzie ani czasu, ani ochoty do snu.

Old Firehand, powróciwszy do inżyniera, udał się z nim do wnętrza domu, gdzie przy winie i cygarach oczekiwali chwili wyruszenia. W osadzie pozostało jeszcze dwudziestu robotników; ilość zupełnie nie wystarczająca. Reszta wyszła po kryjomu, stosownie do otrzymanego rozkazu. Poza Sheridanem zebrali się razem i poszli dalej torem, aż oddalili się na odległość, jaką im wskazano. Tam zatrzymali się, póki nie nadszedł pociąg, który zabrał ich i zawiózł do Eagle-tail.

Old Firehand wybrał okolicę niezwykle stosowną do swych celów. Tor przechodził przez rzekę, którą w tym miejscu zwały wysokie brzegi, połączone prowizorycznym mostem. Szyny po drugiej stronie wchodziły w tunel długości około siedemdziesięciu metrów. O kilka kroków przed mostem pociąg się zatrzymał. Nie składał się, jak sądzili szpiegi, z samych pustych wagonów; dwa ostatnie były wyładowane suchym drzewem i węglem. Zaledwie pociąg stanął, podszedł do lokomotywy z roztaczającej się wokół ciemności mały, gruby człowiek, wyglądający jak kobieta, i zapytał kierownika wysokim, piskliwym głosem:

- Sir, eo was sprowadza tak weszaśnie? Przywoźcie może robotników?

196

197

_ Tak! - odpowiedział zapytany, oglądając ze zdumieniem osobliwą postać, która właśnie stanęła w świetle padającym z paleniska. _ Kj-n wy jesteście?

_ Ja? - zaśmiał się grubas. - Ja jestem Ciotka Droll. No, tylko nie przerażajcie się tak bardzo. Mogłoby to zaszkodzić waszym nerwom. Ciotka jestem tylko - ubocznie; później wam to wyjaśnię. A więc dlaczego przyjeżdżacie?

_ Dzieje się to na rozkaz Old Firehanda, który podsłuchał dwóch szpiegów wysłanych przez trampów. Byliby nabrali podejrzeń, gdybyśmy wyruszyli później. Czy są tu ludzie słynnego Old Firehanda?

_ Tak, tylko nie pierzchajcie z przerażenia; są to sami wujowie, a ja jestem jedyną wśród nich ciotką.

_ Ani mi w głowie obawiać się was, miss czy mistress. Gdzie są trampowie?

_ Odeszli, wyruszyli już przed trzema kwadransami.

_ Możemy więc wyładować węgiel i drzewo?

_ Tak. Zbierzcie waszych ludzi, ja wsiadę do was, aby dać potrzebne wskazówki.

_ Wy? Dawać wskazówki? Chyba was nie zrobiono generałem tej annii.

_ Owszem, jestem nim, jeśli łaskawie pozwolicie na to. A teraz puście swego konia przez most stępa i zatrzymajcie go dokładnie tak, ażeby wagony z węglem stanęły tuż przy wejściu do tunelu.

Droll wdrapał się na lokomotywę. Robotnicy, którzy przy zatrzymaniu pociągu opuścili wagony, musieli znowu do nich powrócić. Nadzorca spojrział jeszcze raz

na grubasa wzrokiem, po którym widać było, że niełatwo mu poddać się zarządzeniom tej podejrzanej „Ciotki”.

_ No, jak tam? - zapytał Droll.

_ Czy jesteście rzeczywiście człowiekiem, którego mam słuchać?

_ Tak jest! A jeśli nie uczynicie tego w tej chwili, to wam w tym pomot??- Nie mam ochoty tkwić na tym moście do końca świata.

Wyciągiwszy nóż, skierował jego ostrze w brzuch Watsona.

_ ' Do pioruna! A to z was prędko i zjadliwa ciotka! Ale właśnie dlatego że pokazujecie mi nóż, muszę was uważać nie za sprzymierzeńca. lecz za trampa. Czy możecie się wylegitymować?

_ Nie plećcie dub smalonych! - odpowiedział grubas tonem poważnym, chowając nóż za pas. - Siedzimy tam z drugiej strony za tunele-Właśnie przez to, że przeszedłem przez most naprzeciw was, dowiodłem, że wiem o waszym przyjsciu i że nie należę do trampów.

- No, więc jedźmy.

198

Pociąg, przebywszy most, wjechał do tunelu tak, aby dwa ostatnie wagony pozostały na zewnątrz. Robotnicy wysypali zawartość jed-nego wozu. Potem pociąg ruszył dalej i zatrzymał się w polu po drugiej stronie tunelu, a pełny jeszcze wagon stanął u wylotu i można go było z kolei opróżnić. Robotnicy zeskoczyli na ziemię, ażeby przed i za tunelem ułożyć z węgla i drzewa stos, który by można było łatwo zapalić. Kierownik ujechał nieco, zatrzymał lokomotywę i sam zawrócił.

Podejrliwość jego zniknęła, bo to, co widział, musiało go przekonać, że znajduje się wśród przyjaciół. Tunel był przebitý przez wysoką skałę, poza którą płonął ogień, niewidoczny jednak w dolinie rzeki, gdzie obozowali trampowie. Dookoła ogniska rozłożyli się rafterzy i ci wszyscy, którzy przybyli do Eagle-tail z Old Firehandem.

Robotników zaproszono na pieczeń z bizona „a la prairie” i wkrótce wszyscy siedzieli przy obfitej wieczerzy. Naturalnie przy ogniu niewielu tylko znalazło miejsce; rafterzy, uważając się za gospodarzy, usługiwali robotnikom. Prócz mięsa bizona znalazła się jeszcze mniej-sza dziczyzna, tak że mimo wielkiej liczby robotników kolejowych jadła było dość. Droll odkroił sobie wielką porcję polędwicy i od-cinając olbrzymie kęsy, pakował je do ust. Żuł tak bezmyślnie z wielką gorliwością i nabożeństwem, gdy naraz zwrócił się do niego nadzorca:

- Słuchajcie, sir! Old Firehand odesłał mnie do was po wiadomości o waszym znajomym, Englu.

- O Englu? O którym Englu mówicie?

- O myśliwym i zastawiaczu sideł, który był w górach nad Srebrnym Jeziorem.

- O tym? O nim mówicie? - podjął Droll.-Gdzie poznaliście go?

- Tam właśnie, nad Srebrnym Jeziorem. Musieliśmy w górach spędzić całą zimę, bo nas śniegi zasypały...

` - Czy nazywacie się Watson? - zawołał Droll przerywając mu.

- Tak, sir, tak brzmi moje nazwisko.

- Watson, Watson, wielkie nieba! Master, ja was znam jak własną kieszeń, choć nigdy jeszcze was nie widziałem.

- A więc opowiadano wam o mnie? Kto to był?

- Brat waszego towarzysza Engla. Popatrzcie tu! Ten chłopiec nazywa się Fred Engel i jest bratankiem waszego towarzysza znad Srebrnego Jeziora; wybrał się ze mną na poszukiwanie mordercy swego ojca.

- To ojca jego zamordowano? - zapytał Watson podając chłopcu rękę i kiwając nad nim z politowaniem głową.

199

- Tak, i to z powodu pewnego rysunku, który...

- Znowu ten rysunek! - przerwał nadzorca. - Czy zaada mordercę? Z pewnością jest nim rudy komci!

- Tak, to on, sir! Ale... przecież miał i was zamordować.

- Tylko zranił, sir, tylko zranił. Cios nie dosięgnął mi na szczęście serca. A wy, master Droll, możecie mi powiedzieć, co się stało z moim towarzyszem?

- Umarł. Kornel zranił go tak samo jak was i od tego bwtek umarł.
- Opowiadajcie, sir, opowiadajcie!
- Historia bardzo krótka. Kiedy komel wywabił was z obozu, Engel nabrał podejrzania. Dlaczego ten człowiek zabrał was, chociaż nie mieliście broni? Musiał mieć w tym jakiś szczególny cel, nic związany z polowaniem. Wy obaj przecież nie dowierzaliście kor-nelowi i teraz Engel poczał się niepokoić. Ta obawa nie dawała mu spokoju i dlatego ruszył waszymi śladami. Troska o was podwajała szybkość jego kroków i po upływie może godziny zbliżył się na tyle, że mógł was widzieć. Właśnie dotarł do końca zarośli, kiedy was ujrzął; ale to, co zobaczył, zmusiło go do cofnięcia się. Rudy zadał wam cios i teraz klęczał nad wami, aby się przekonać, czy rana jest śmiertelna. Co miał Engel robić? Czy rzucić się, nie mając żadnej broni, na mordercę, aby was pomścić? To byłoby szaleństwem. Engel zawrócił i uciekł początkowo pozostawionym przez siebie tropem, następnie, kiedy znalazł się w odpowiedniej okolicy, na wschód. Ale wkrótce przekonał się, że morderca następuje mu na pięty. Wyszedłszy na jakiś pagórek, ujrzął, że rudy idzie za nim. Dzieliła ich stroma przestrzeń może najwyżej dziesięciu minut drogi. Po drugiej stronie wzgórze była preria. Engel rzucił się na dół, a potem dalej, ciągle przed siebie, ile tylko sił. Gonitwa trwała może już godzinę, kiedy Engel ujrzął przed sobą zarośla; uważał się za uratowanego, ale zarośla stały z rzadka, a między nimi rozciągała się gęsta trawa, na której jeszcze wyraźniej odbijały się ślady nóg. Niedostatek, jaki znosił wśród ciężkiej zimy, pozbawił uciekającego siły i prześladowca zbliżał się z każdą chwilą. Już dzieliło ich zaledwie sto kroków, gdy ujrzął przed sobą wodę. Był to Orfork, wpadający do Grand-river. Ostatnim wysiłkiem rzucił się ku niej, ale jeszcze jej nie dosięgnął!, kiedy padł strzałą. Engel poczuł silny ból w prawym boku, lecz skoczył w wodę. żeby przepłynąć na przeciwległy brzeg. Wtem na lewo spostrzegł potok, wpadający do rzeki; zwrócił się ku jego ujściu, aby przepłynąć pewną przestrzeń w górę, spostrzec chwasty, których gęste gałęzie, nieprzebyte dla oka dzięki naniesionej i zaczepionej o nie trawie,

zwisały z brzegu do wody. Wsunął się więc pod nie i dosięgnawszy nogami dna, zatrzymał się tam, drżąc z podniecenia, wysiłku i trwogi. Tymczasem kornel również dosięgnął brzegu, a ponieważ rzeka była wąska, Engla zaś nigdzie nie dostrzegł, sądził, że tamten przepłynął na drugą stronę. Wszedł również do wody; musiał zachować jednak ostrożność, aby nie zamoczyć broni i amunicji; dlatego sporo minęło czasu, zanim zdołał przepłynąć na drugi brzeg i zniknąć w krzakach.
- Zapewne powrócił - odezwał się Humply-Bill. - Ponieważ po drugiej stronie nie znalazł śladów, musiał przypuszczać, że zbieg jest jeszcze po tamtej stronie.
- Naturalnie. Początkowo szukał go na brzegu, potem wrócił na drugą stronę, aby i tam poszukać. Ale na próżno. Wszelki brak śladu wprowadził rudego w błąd. Dwa razy przeszedł obok kryjówek, a jednak nie spostrzegł ukrytego w niej Engla. Ten nadśluchiwał jeszcze dłuższy czas, lecz dopiero kiedy się dobrze ściemniło, odważył się przepłynąć na drugi brzeg i szedł przez całą noc wprost na zachód, możliwie najdalej od tego miejsca.

- Czy był ranny?

- Tak, został draśnięty w plecy poniżej ramienia. Wskutek pod-niecenia i zimnej wody nie zauważył tego, a może nie zwracał uwagi, ale w czasie marszu zaczęła mu rana dolegać. Opatrzył ją więc, jak mógł, kojącymi liśćmi. Wyczerpany był do cna. Szalony głód za-spokajał znajdowanymi korzonkami. Dopiero pod wieczór dostał się do napotkanego obozu; tam go podjęli gościnni mieszkańcy. Był tak osłabiony, że nie mógł im nawet opowiedzieć, co przeżył, i popadł w omdlenie. Kiedy odzyskał przytomność, leżał w jakimś starym łożku. Potem dowiedział się, że przeleżał prawie dwa tygodnie w feb-rze, w której mówił ciągle o zabójstwie, krwi, ucieczce i wodzie. Teraz dopiero opowiedział swe przygody, sam zaś posłyszał, że cowboy spotkał rudego człowieka, który go pytał, czy przypadkiem nie przy-szedł do obozu jako obcy. Cowboy raz już zetknął się z tym człowiekiem w Colorado-Spring i wiedział, że nazywa się Brinkley. Nie czując doń nadmiernego zaufania, odparł przecząco. Tak Engel dowiedział się nazwiska mordercy. Rana poczęła się goić, a potem przy sposobności zabrano go do Las Animas.

- A więc nie do Puebla - rzekł nadzorca - inaczej byłbym znalazł jego ślady. Co robił potem?

_ - Przyłącz}'}) się jako woźnica do pewnej wyprawy kupieckiej, która starym zwyczajem udawała się wzdłuż Arkansasu do Kansas City. W ten sposób miał już środki potrzebne do odszukania brata.

Przybywszy do Russeiyille, dowiedział się o jego wyjeździe; otrzymał jednak od sąsiada list z wiadomością, że znajdzie brata w Benton, w Arkansasie.

- Do licha! Właśnie Benton należy do tych nielicznych miejscowości, do których nie zaszedłem! A co się stało z rysunkiem, który

miał przy sobie?

- Ucierpiał znacznie w wodzie Orforku i Engel musiał go skopio-wać. Naturalnie, opowiedział wszystko brat i skłonił go do tej ekspedycji. Niestety, wkrótce okazało się, że przejścia pociągnęły za sobą przykre skutki. Dostał straszliwego kaszlu, z dnia na dzień chudł, wreszcie lekarz oświadczył, że cierpi na galopujące suchoty. W osiem tygodni po przybyciu brata rozstał się z życiem. Brat Engla był zamożnym człowiekiem; uprawiał rolę, a poza tym prowadził zyskowy handel. Miał dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, rodzinę dopełniał, oprócz obojga rodziców, chłopak - posługacz do wszystkiego. Otóż pewnego dnia jakiś obcy przedłożył Englowi tak korzystną ofertę handlową, że był nią wprost zachwycony. Obcy podał się za przedsięwzięcę, utrzymującego łódki na kanałach, i oświadczył, że dorobił się majątku jako poszukiwacz złota. Przy tej sposobności zgadali się;

obcy poznał niedawno pewnego myśliwego nazwiskiem Engel. Naturalnie myślał o bracie gospodarza, a miał tyle do opowiadania o nim, że minęło południe i wieczór nawet, a obcy nie pomyślał o odejściu. Proszono go naturalnie, aby pozostał przez noc, na co, po pewnym wzdraganiu się, przystał. Engel opowiedział mu o śmierci swego brata i to, co było śmierci przyczyną - wizerunek na skórze - wyciągnął z małej szufladki ściiennej. Potem udano się na spoczynek. Cała rodzina spała na piętrze w izbie leżącej od tyłu; parobek również na piętrze, lecz po drugiej stronie w małej komórce. Gościowi wskazano najlepszy pokój, leżący w przedniej części domu. Na dole było wszystko pozamykane. Engel zabierał klucze ze sobą na górę. Niedawno przypadła urodziny Freda, jego syna, na które chłopiec otrzymał w podarunku dwuletnie źrebię. W nocy przyszło Fredowi na myśl, że wieczorem, z powodu licznych i zajmujących przygód, o których opowiadano, zapomniał źrebię nakarmić; wstał więc i opuścił sypialnię na palcach, aby nikogo nie budzić. Na dole odsunął zasuwę przy tylnych drzwiach i przeszedł przez podwórze na stronę stajni. Nie uważał za potrzebne brać światła, tym bardziej że kuchnia, w której latarnia wisiała, była zamknięta. Toteż musiał źrebię karmić po ciemku; trwało to dłużej niż zwykle. Jeszcze nie skończył, kiedy mu się wydało, że posłyszał krzyk; wyszedł ze stajni na dziedziniec, ujrzał, jak gaśnie światło w sypialni i wkrótce ukazuje się w komórce parobka.

Tam podniósł się wielki hałas; parobek krzyczał i słychać było łomot

202

sprzętów; chłopiec ze zgrozą zrozumiał, że na górze toczy się rozpaczliwa walka. Nagle padły dwa strzały. Fred krzyknął głośno z przerażenia; w tej samej chwili w oknie ukazał się obcy; odrzuciwszy dymiący jeszcze rewolwer, zeskoczył na ziemię, rzucił się na chłopca i począł go tratować nogami. Przy tym wypadł mu nóż, który trzymał gotowy do pchnięcia. W tej ostateczności udało się Fredowi schwycić za broń i w rozpaczliwym wysiłku wbić ją przeciwnikowi w łydkę. Ów ryknął z wściekłości i bólu i odskoczył. Fred zerwał się błyskawicznie; zdołał ująć, bo rana przeszkodziła mordercy w pościgu. W śmiertelnej trwodze pobiegł chłopiec do najbliższego sąsiedniego domu, który, podobnie jak dom Engla, leżał w pewnej odległości od osady. Ludzie, zbudzeni wołaniem Freda o pomoc, wyszli przed dom; dowiedziawszy się, co zaszło, zbrojnie udali się za chłopcem. Jeszcze nie dotarli do domu Engla, gdy ujrzeni, że pali się na piętrze. Obcy, podłożywszy ogień, uciekł. Pożar szerzył się tak szybko, że już nie można było - dotrzeć na górę; uratowano jedynie dobytek znajdujący się w izbach - dolnych; szafeczka jednak stała otworem; była opróżniona. Trupy zaś, a do których nie można się było dostać, spłonęły. Wypadek ten wywołała powszechna

oburzenie. Szukano mordercy na wszystkie strony, ale na A próżno. Bracia Engel mieli w St. Louis siostrę, żonę bogatego kupca. •, Ta wyznaczyła dziesięć tysięcy dolarów nagrody za schwytanie mor-- , dercy, rabusia i podpalacza. Lecz i to nie odniosło skutku. WtedyY v. powzięła myśl zwrócenia się do biura prywatnych detektywów Harrisa.-` i Blothera; to poskutkowało.

- Poskutkowało? - zapytał Watson. - Morderca jest przecież- - jeszcze wolny! Jestem pewny, że to nikt inny, tylko komel. J

- Tak, jeszcze jest wolny - odpowiedział Droll - ale prawie już- y schwytany. Udałem się do Benton, aby tam choć raz otworzyć oczy-i '. lepiej, niż to inni uczynili, i...

- Wy? Dlaczego wy?

- Aby zarobić pięć tysięcy dolarów!

- Było przecież dziesięć tysięcy!

- Honorarium idzie do podziału - zauważył Droll. - Jedną połowę otrzymują Harris i Blother, drugą detektyw. -

Teraz spoglądano na Drolla zupełnie innymi oczyma. Wyznanie-Ą że jest detektywem, rzuciło na jego osobę i na wszystkie pozornej'. dziwactwa inne światło. Ukrywał się pod śmieszłą powierzchowność— cią, aby tym pewniej móc dosięgnąć ręką tego, kogo zechce ująć. -

- A więc - ciągnął Droll - zabrałem się przede wszystkim dco-Freda, aby go wy badać; pozbierałem również wszystko, co opowiada- no o tym wypadku. Szafeczkę, wiszącą na ścianie, morderca otworzył.!vV

„/

202-

nie mógł jej jednak wyłamać, gdyż wywołany tym hałas byłby pobu-dził mieszkańców domu; dlatego też zamordował ich, aby dostać w swe ręce rysunek; miał zamiar udać się następnie nad Srebrne Jezioro. Musiałem więc iść za nim i wziąłem ze sobą Freda, który go widział i mógł rozpoznać. Już na steamerze powziąłem co do tego draba podejrzenia, a u rafterów Fred go poznał; teraz wpadnie mi zapewne w ręce.

- Tobie? - zapytał stary Blenter. - Oho! Co chcesz z niw

zrobić?

- To się pokaże! Niekoniecznie muszę wlec go do Benton. Jeśli dam dowody jego śmierci i wykażę, że się do tego przyczyniłem, to nagroda jest tak pewna, jak ten sleeping-gown. No, na dzisiaj się dosyć nagadałem i teraz chcę się przespać. Obudźcie mnie, jak nadejdzie czas!

Wstał, aby sobie wyszukać gdzieś na uboczu jaki ciemny kącik. Reszta jednak nie myślała o śnie. To, co usłyszeli, zajmowało ich jeszcze przez długi czas; nadto spodziewane starcie z trampami dostar-czyło niewyczerpanego tematu do rozmowy. Winnetou nie brał w niej udziału. Oparłszy się o skałę, zamknął oczy, ale bynajmniej nie spał, bo od czasu do czasu podnosił powieki, a wtedy wybiegało spoza nich ostre i badawcze jak strzała spojrzenie.

Było już koło północy, kiedy Old Firehand oświadczył inżynierowi, że wyroszą naprzeciw pociągu. Zawołał obu robotników, którzy mieli stanąć na lokomotywie zamiast trampów, i udał się z nimi na tory, lecz tak, żeby pozostali przypadkiem szpiedzy nie mogli ich spostrzec.

Zapadł gęsty mrok. Niepostrzeżenie dotarli do miejsca, w którym można było połączyć się telegraficznie, i usiedli na trawie, aby czekać na przybycie pociągu. Nie było jeszcze godziny trzeciej, gdy pociąg nadjechał i zatrzymał się przy nich; składał się z maszyny i sześciu wielkich wagonów osobowych. Old Firehand zlustrował wagony; były puste. W przednim wozie leżał zamknięty kufer; napełniony kamieniami-mi. Maszynista prosił, czy by nie mógł prowadzić pociągu,

podczas gdy palacz miał wsiąść w Sheridanie, bo Old Firehand chciał sam zająć miejsce palacza. Myśliwy, skinąwszy uprzejmie głową maszyniś-cie, wsiadł z obu robotnikami, po czym uczernił sobie twarz sadzą; w płóciennym ubraniu wyglądał zupełnie jak palacz. Pociąg ruszył. Wagony były zbudowane na sposób amerykański; aby się dostać do przednich, należało wsiąść do ostatniego; naturalnie wszystko było

204

oświetlone. Lokomotywa, z gatunku tak zwanych maszyn tendero-wyca, otoczona była wysokimi, silnymi ścianami z mocnej blachy dla ochrony przed napadami czy burzą. Okoliczność była pomyślna, bo te ściany zakrywały prawie zupełnie stojących na lokomotywie ludzi i w razie strzelaniny mogły chronić przed kulami.

Wkrótce pociąg dotarł do Sheridanu, gdzie palacz niepostrzeżenie zeskoczył. Na stacji znajdował się tylko inżynier; zamieniwszy z maszynistą kilka obojętnych słów, dał znak do odjazdu.

Tymczasem dwaj szpiedzy, których Old Firehand podsłuchiwał na skarpie, przybyli na miejsce, gdzie obozował komel z trampami. Zawiadomili go, że w Sheridanie nikt nawet nie przeczuwa tego, co ma nastąpić. Wieść ta wywołała ogólną radość. Trampowie oczekiwali w ciemności; dopiero dobrze po północy rozpalono przy torze ogień.

Było już kwadrans po trzeciej, kiedy oczekujący usłyszeli daleki łoskot nadchodzącego pociągu, a wkrótce potem ujrzeli ostre światło lokomotywy. Old Firehand zamknął drzwi od pieca, aby ani jego, ani trzech pozostałych nie można było rozeznąć. Może o sto kroków od ognia maszynista dał kontraparę, jakby ulegając niespodziewanemu przymusowi; odezwała się syrena, koła zazgrzytały - pociąg stanął. Trampowie zawyli z radości i poczęli się cisnąć do tylnych wagonów. Jedyne komel pamiętał o tym, co było pierwszej wagi. Przystąpiwszy do lokomotywy, rzucił okiem w górę ponad jedną ze ścian ochronnych i zapytał:

- Czy wszystko w porządku, chłopcy?

- Okay! - odpowiedział jeden z robotników, przyłożywszy maszyniście rewolwer do piersi. - Ci muszą siedzieć cicho. Popatrz, kornelu! Przy najmniejszym poruszeniu pociągniemy za kurki.

Old Firehand przycisnął się jakby przerażony do zbiornika z wodą; przed nim stał drugi robotnik z rewolwerem. Kornel dał się zwieść.

- Pięknie! - zawołał. - Dobrze sprawdziliście się i otrzymacie za to osobne wynagrodzenie. Pozostańcie tam jeszcze, aż wszystko załatwimy, a potem, jak dam znak, zeskoczą, aby ci poczciwi ludzie nie umarli ze strachu i mogli jechać dalej.

Odszedł od maszynisty i znikł w ciemnościach; Old Firehand wychylił się, aby rzucić okiem na miejsce spotkania z trampami. Nie spostrzegł nikogo. Ale w wagonach roiło się od ludzi. Słychać było, jak spierają się przy kufrze;

- Naprzód, naprzód! - rozkazał myśliwy maszyniście. - I to

205

nie powoli, ale od razu prędko. Zdaje się, że teraz wsiadł także komel.

Nie możemy zwlekać!

Maszynista puścił pociąg w ruch.

- Stój, stój! - krzyknął jakiś głos. - Zistrzelić tych psów!

Kiedy potoczyły się wagony, trampowie, ogarnięci nie tyle strachem, ile zdziwieniem, chcieli wsiąść lub wyskoczyć, ale wobec szybkości, jaką maszynista nadał pociągowi, próba ta pociągnęłaby niechybną śmierć. Old Firehand musiał podtrzymywać ogień; płomień oświecił jego i towarzyszy. Nagle wyłamano przednie drzwi pierwszego wagonu i ukazał się w nich Woodward; ujrzawszy teraz przed sobą na lokomotywie jasno oświetloną twarz myśliwego i domniemanych trampów, stojących zwarciem przy nim.

- Old Firehand! - ryknął tak głośno, że usłyszano go, pomimo łoskotu toczących się kół i sapania maszyny. - Ty psie! Jedź do

diabła!

Wyciągnąwszy pistolet zza pasa, wystrzelił. Old Firehand rzucił się na ziemię, aby uniknąć strzału. Ale już w następnej chwili błysnął w jego ręce rewolwer i Woodward, trafiony w serce, runął z powrotem do wagonu. W otwartych drzwiach pojawili się i inni; natychmiast dosięgła ich kula z broni myśliwego. Obu robotnikom udało się wstawić jedną z bocznych ścian w fugę poprzeczną, a więc między wóz a maszynę. Teraz mogli trampowie strzelać!

Pociąg mknął dalej; maszynista bacznie śledził tor oświetlony latarniami. Tak minął kwadrans i na wschodzie ukazało się światło.

Wtedy dał się słyszeć gwizd, nie w krótkich przerwach, ale przeciągłym, rosnącym rykiem. Zbliżano się do mostu i maszynista dawał sygnał, że pociąg nadjeżdża.

Tam już od dawna zajęto stanowiska. Na krótko przed północą przybyli dragoni z Fortu Wallace i ustawili się po obu brzegach rzeki pod mostem, aby schwytać każdego trampa, który by chciał uciec.

Tam gdzie się zaczynał most, zajął miejsce Winnetou z rafterami i myśliwymi, a przy drugim wylocie tunelu oczekiwali uzbrojeni robotnicy. Przy tych znajdował się nadzorca, który podjął się wcale nie bezpiecznego zadania - odpięcia we wnętrzu tunelu lokomotywy od pociągu.

Usłyszawszy ryk świstawki, Watson zawołał na swych ludzi:

- Rozpalić ognisko!

Niezwłocznie zapalono u wylotu stos drzewa i węgla; teraz Watson wszedł do tunelu i przycisnąwszy się do ściany, oczekiwał pociągu, który przejechawszy ze zmniejszoną szybkością przez most, zbliżał się do nich. Old Firehand na widok ustawionych ludzi zawołał:

206

- Zapalić za nami!

W chwilę później pociąg zatrzymał się, a lokomotywa stanęła właśnie tam, gdzie czekał nadzorca. Wczołgał się szybko między maszynę i pierwszy wagon, rozluźnił połączenie i rzucił się ku wyjściu. Lokomotywa natychmiast ruszyła za nim; wewnątrz tunelu pozostały tylko wagony; przed nimi i za nimi robotnicy przerzucili płonące ognisko na środek toru, zabarykadowawszy szyny kamieniami. Stało się to wszystko o wiele prędzej, niż można opowiedzieć, a tak szybko, że trampowie nie mogli się zorientować w nowym położeniu. Już w czasie szalonej jazdy na sam dźwięk imienia Old Firehand stracili pewność siebie; nie wątpili jednak, że odzyskają wolność, gdy się pociąg zatrzyma, chociażby nawet na ożywionej stacji. Byli dobrze uzbrojeni i w tak wielkiej liczbie, że z pewnością nikt by się nie odważył ich zatrzymać.

Teraz pociąg stanął, a na to przecież czekali. Kiedy wyjrzelili przez boczne okna, oczy ich napotkały nieprzeniknioną ciemność. Ci, którzy cisnęli się ku drzwiom ostatniego wagonu, odnieśli wrażenie, jakby przez wąską a ciemną rurę patrzyli w potężne, mocno dymiące ognisko. Ci zaś, którzy znajdowali się w przednim wozie, widzieli, że lokomotywa zniknęła, a na jej miejscu znajduje się stos płonących węgla.

- Tunel, tunel! - zawołał ktoś przerażony, a głos jego wywołał szerokie echo: - Tunel, tunel!

Zaczęto się pchać i napierać na siebie tak, że ci, którzy stali przy drzwiach - bo teraz można było wyskoczyć również przez drzwi przedniego wagonu - nie mogli wyjść, ale zostali po prostu wyrzuceni. Walili się na ziemię, gniotąc swych poprzedników. Powstało kłębowisko ciał, rąk i nóg i wrzawa pełna okrzyków, złorzeczeń i przekleństw. Znaleźli się tacy, którzy chwycili za broń, aby strącić tych, co wisieli lub leżeli na nich.

Ciemności - których nawet na odrobinę nie rozświetlały ognie płonące u wejścia i wylotu tunelu ani też lampy wagonów - dopełnił teraz gęsty i ciężki dym węgla, przywiany przez wiatr poranny.

- Do diabła! Chcą nas udusić! - skrzeczał jakiś głos. - Wy-chodzić, wychodzić!

Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto głosów poczęło za nimi wołać i w śmiertelnej trwodze gnieść, cisnąć, pchać i napierać ku obu wyjściom. Ale tam trzaskał ogień i wysoko buchającymi jęzorami zasłonił przejście. Kto by chciał się wydostać, musiał skakać przez stos ognia. Zrozumiano to w pierwszych szeregach; ludzie zawrócili i parli z powrotem; dalsze jednak szeregi nadal rwały się naprzód, nic chcąc

207

ustępować; wywiązała się więc w pobliżu obu ognisk straszliwa watki: między ludźmi, którzy jeszcze niedawno temu byli przyjaciółmi i braćmi we wszelkiej zbrodni. Tunel powiększał dziesięciokrotnie wycit i hałas, jak gdyby rozpętały się żywioły piekiel.

Old Firehand obszedł skałę, aby się dostać do ogniska płonącego na przedzie.

- Możemy pozostać statystami! - zawołał do niego jakiś rafter.

- Ta dzicz sama się wymorduje. Posłuchajcie tylko, sir!

- Tak, zabrali się do siebie na ostro - odpowiedział west-

man. - Ale to przecież ludzie. Musimy ich oszczędzać. Zróbcie mi przejście!

- Czy chcecie tam wejść, sir?

- Tak.

- Na miłość boską, sir, nie róbcie tego! Oni rzucają się na was i zaduszą!

- Nie. Będą zadowoleni, jeśli wskażę im drogę ratunku.

Westman pomógł odsunąć na bok ognisko, tak że utworzył się

odstęp, przez który można było przeskoczyć. Jednym susem znalazł się

w tunelu, sam jeden wobec tylu oszalałych ludzi. Z pewnością jeszcze

nigdy w życiu nie okazał się tak zuchwałym; ale też nigdy jego

pewność siebie nie dosięgała tej miary, co teraz. Niejednokrotnie już

doświadczył, jak fascynuje i obezwładnia masę odwaga jednego czło-wieka.

- Halo! - rozległ się spiżowy głos, zagłuszający krzyk setek gardzieli, - Słuchajcie, co wam powiem!

- Old Firehand! - zabrzmiało zewsząd zdumieniem i podziwem.

- Tak, to ja! A wiecie, że gdzie ja działałem, tam nie ma oporu.

Jeśli nie chcecie się udusić, to pozostawcie tutaj broń i wychodźcie, ale po jednemu. Ja stanę przy ogniu i będę wami kierował. Kto wyskoczy, nie czekając na mój znak, tego natychmiast powitamy kulą, zapowiadam, że nie uniknie jej również, kto zatrzyma przy sobie jakąkolwiek broń. Jest nas wielu: robotników, myśliwych, rafterów i żołnierzy, w każdym razie dość, aby moją groźbę wprowadzić w czyn. Zastanów-cie się nad tym i wyrzucicie czapkę lub kapelusze; zastąpi to białą flagę.

W przeciwnym razie sto strzelb zwróci się na ogień, aby nikogo nie przepuścić.

Ostatnie słowa mógł z powodu dymu wypowiedzieć tylko z wysił-

kiem. Skoczył szybko z powrotem, aby nie stać się celem dla jakieg-

Iculi. Ale była to zbędna ostrożność. Wywarł na trampach tak wielkie

208

wrażenie, że żaden z nich nie ważył się podnieść na niego karabinu.

Słychać było, jak się naradzali, bo wiele głosów przekrzykiwało się naraz.

Okoliczności nie pozwalały im tracić dużo czasu; dym, wypełniający tunel, z każdą chwilą gęstniał i coraz bardziej zatykał oddech w piersiach. Wobec takiego człowieka jak Old Firehand stracili odwagę, przekonani, że gotów spełnić swą groźbę; innej zaś drogi ocalenia nie widzieli. Toteż z tunelu przeleciał ponad ogniem kapelusz i zaraz potem okrzyk O'd Firehanda pouczył ich, że pierwszy z tram-pów może wyjść. Kiedy ten się ukazał, musiał, nie zatrzymując się, przejść przez most, gdzie przyjęli go rafterzy i myśliwi. Zaopatrzeni w liny, sznury i rzemienie, wiązali każdego, kto tylko dostał się na drugą stronę. Trampów wypuszczono z tunelu w odstępach, tak że było dość czasu na skrępowanie każdego, zanim następny nadszedł. Odbywało się to tak prędko, że po półgodzinie wszyscy znaleźli się w rękach zwycięzców. Ale ku wielkiemu rozgorzyczeniu myśliwców i rafterów brak było rudego komela. Jeńcy, których o niego zapyty-wano, wyznali,

że z dwudziestu innymi nie wsiadł do pociągu; szukano go gorliwie w tunelu i w wagonach, ale nie znaleziono nawet śladu. Ludzie mówili prawdę.

Czyżby miał właśnie uciec ten człowiek, na którym najwięcej im zależało? Nie! Jeńców oddano żołnierzom i robotnikom, po czym Old Firehand powrócił z Winnetou, myśliwymi i rafterami na miejsce, gdzie się pociąg zatrzymał, aby zbadać ślady zbiegłych. Westman wysłał do Sheridanu czterech rafterów, aby mu przyprowadzili jego konia, odzież myśliwską i obu pojmanych trampów. Nie chciał już wracać do Sheridanu, lecz zamierzał udać się z towarzyszami do Fortu Wallace, dokąd miano zawieźć jeńców, bo tam pod strażą wojskową można ich było trzymać pewniej niż gdzie indziej.

Gdy odnaleziono miejsce, gdzie obozowali trampowie, czekając na pociąg, okazało się po zbadaniu odcisków nóg i kopyt, że rzeczywiście uszło około dwudziestu ludzi. Zabrali tyleż koni ze sobą, resztę zaś rozpędzili na wszystkie strony.

- Kornel postąpił bardzo chytrze - odezwał się Old Firehand.

- Gdyby zabrał ze sobą wszystkie konie, zbyt wielkim ciężarem obarczyłby swój mały oddział, a siady zostawiałyby tak wyraźne, że dziecko by za nimi trafiło. PTTSZ to zaś, że pozostałe konie rozegnał, utrudnił nam poszukiwania i zyskał wiele czasu. W dodatku musimy się udać do Fortu Wallace, aby tam złożyć zeznanie. Stracimy na tyra cały dzień, tak że dopiero jutro będziemy mogli puścić się w pogoń za zbiegłymi.

- W ten sposób zyskają wiścq niż jeden dzień.

309

- Tak, ale my wiemy, dokąd się udają, i nie potrzebujemy tracić czasu na to, aby iść za ich tropem. Udamy się wprost nad Srebrne Jezioro.

- Czy oni jeszcze tam zmierzają?

- Naturalnie! Chcieli przecież dostać w swe ręce pieniądze, aby porobić za nie zakupy. Bez tych zakupów można się jednak od biedy obejść. Żyć mogą przecież zwierzną. Broń, a zapewne i amunicję mają. A gdyby im nawet brakowało prochu, to znajdują po drodze sposobność zaopatrzenia się w sposób mniej lub więcej uczciwy. Jestem przekonany, że pójda nad Srebrne Jezioro.

- Howgh! - potwierdził zdanie Old Firehanda milczący Apacz.

- Mój biały brat ma rację.

Rzeczywiście wkrótce natrafiono na ślady zbiegów; prowadziły ku rzece, a potem ciągle wzdłuż jej brzegów w górę w kierunku na Bush-Creek; był to niemal przekonujący dowód, że mieli zamiar zwrócić się ku Colorado, a stamtąd naturalnie nad Srebrne Jezioro.

Tymczasem czterej rafterzy powrócili z Sheridanu, przyprowadziwszy ze sobą Hartleya i inżyniera Charoy, którzy również chcieli się udać do Fortu Wallace, gdzie ich zeznania mogły być potrzebne. Robotnicy wrócili do Sheridanu pieszo, w nagrodę trudów otrzymawszy broń odebraną trampom. Myśliwi zaś, żołnierze i jeńcy ruszyli pociągiem do Wallace.

-A- o przeciwległej stronie Cumison-river,

tam gdzie wznoszą się Elk-mountains, jechało czterech mężczyzn przez równinę. Jak okiem sięgnąć, nigdzie ani śladu krzaka. Chociaż na dalekim Zachodzie co krok spotyka się niezwykle postacie, to jednak ci czterej jeźdźcy musieli zwrócić na siebie specjalną uwagę.

Jeden siedział na wspaniałym karym ogierze z gatunku tych, które hodują niektóre plemiona Apaczów. Człowiek ten, mimo że nie nazbyt rozrośnięty, wywoływał wrażenie niespożytej siły i wytrwałości. Twarz jego, spaloną od słońca, okalała pełna, ciemnoblon broda; nosił skórzane legginy, koszulę z tego samego materiału i długie buty, które można było podciągać aż poza kolana. Głowę osłaniał mu filcowy o szerokich kresach kapelus, dookoła którego szedł sznur z na-wleczoneymi końcami uszu niedźwiedzia grizzly. Szeroki, pleciony x pojedynczych rzemieni pas pęczniał od naboarów, a nadto tkwiły za nim dwa rewolwery i nóż „bowie”. Poza tym zwisały z niego dwie pary podków na śrubach oraz cztery prawie okrągłe, grube plecionki z sitowia i słomy, zaopatrzone w rzemienie i sprzączki. Były one przeznaczone na to, aby przymocować je do kopyt końskich w razie, gdyby szło o zmylenie pościgu. Od lewego ramienia ku prawemu biodru zwisało zwinięte lasso, a na szyi, na silnym sznurze jedwabnym, widniała

fajka pokoju ozdobiona skórkami z kolibrów. W prawej ręce trzymał karabinek o krótkiej lufie i o zamku dziwnej konstrukcji, a na plecach miał na szerokim pasie bardzo długą, silną dubeltówkę nad-zwyczaj rzadkiego dziś gatunku, nazywaną dawniej „niedźwiedziów-ka”, a do której nadawały się kule tylko największego kalibru.

Człowiekiem tym był Old Shatterhand, słynny westman, zawdzięczający swój przydomek temu, że mógł przeciwnika powalić uderzeniem pięści.

Obok niego jechał mały, szczupły człowieczek bez zarostu,

211

w niebieskim fraku o długich połach z żółtymi, bardzo pięknie wyczyszczonymi guzikami. Na głowie dźwigał wielki damski kapelusz, tak zwaną amazonkę, na którym chwiało się olbrzymie pióro. Spodnie miał za krótkie, a nagie stopy tkwiły w starych, grubych skórzanych butach, do których przypiął wielkie ostrogi meksykańskie. Jeździec ten zawiesił na sobie cały arsenał broni, co naturalnie wcale nie licowało z jego pocziwą twarzą. Był to bowiem pan Heliogabal Morfeusz Frankę, zwany przez towarzyszy Hob-ble „-Frankiem, ponieważ na skutek dawnej rany kulał na jedną nogę.

Za tymi dwoma na starym, niskim mule, który, rzekłbyś, ma zaledwie tyle sił, aby nie paść pod jeźdźcem, jechała osoba, s?<óra i kości, na sześć stóp wysoka. Donkiszot ten miał na sobie spodnie skórzane, przykrojone w każdym razie na miarę osoby znacznie niższej, ale też znacznie cięższej. I on również na bosych nogach nosił skórzane buty, tak często naprawiane i łatanie, że teraz składały się wyłącznie z kawałków i łatek i ważyły co najmniej po dwa lub trzy kilogramy. Koszula ze skóry bizona osłaniała mu piersi, bez pomocy guzików, haftek czy pętlic; rękawy jej sięgały zaledwie po łokcie. Dokoła szyi nosił chustkę bawełnianą, której pierwotnej barwy nie można już było odcyfrować; na spiczastej zaś głowie siedział kapelusz, zapewne przed wielu laty szary wytworny cylinder; wówczas zdobił głowę może jakiegoś milionera, potem jednak staczał się coraz niżej, aby w szczerzej prerii osiąść na głowie obecnego właściciela. Ten, uważając rondo za zbyt ciężkie, oddarł je, pozostawiając zaledwie mały rąbek, za który chwycił, ilekroć miał obnażyć głowę. Za grubym sznurem, naśladowującym pas, tkwiły dwa rewolwery i nóż do skal-powania, a nadto kilka woreczków z najrozmaitszymi drobiazgami, bez których westman obejść się nie może. Na ramiona miał zarzucony gumowy płaszcz, ale jaki! Ta chluba jego garderoby po pierwszym deszczu tak zeszczała się i skurczyła, że już nigdy więcej nie mogła spełnić swego pierwotnego zadania i odtąd właściciel musiał widzieć w niej jedynie burkę huzarską. V/ poprzek swych nóg, długich jak Cumison-river, człowiek złożył jedną z owych strzelb, z których doświadczony myśliwy nigdy nie chybiał celu. Ile miał lat, tego nie odgadłby nawet ten, kto by zdołał określić wiek jego rumaka. Co najwyżej można się było domyślać, że obaj znają się dokładnie i że już niejedną przygodę przeżyli razem.

Czwarty jeździec siedział na bardzo wysokim i silnym kłusaku. Był otyły jak beczułka, ale tak kusy, że krótkimi nogami mógł zaledwie do

• Hobbie -ang.) - utykać, kuleć.

212

połowy objąć boki konia. Chociaż słońce nie szczędziło ciepła, nosił futro tak wylusiało, że wszystkie jego włosy, zgarnięte razem, starczyłyby na pokrycie zaledwie skórki polnej myszy. Na głowie miał gigantyczny kapelusz panama, a spod futra wyglądały dwa olbrzymie buty z cholewami do podnoszenia. Ponieważ dłońmi nie sięgał wylotu rękawów, więc z całej postaci tego człowieka widać było właściwie tylko tłustą, czerwoną, pocziwą, a zarazem chytrą twarz. Uzbrojony był w długą strzelbę. Futro nie pozwalało dostrzec, czy miał przy sobie jeszcze jakąś inną broń.

Ci dwaj - David Yroners i Jakub Pfefferkorn - znani jako „długi Davy” i „gruby Jemmy”, byli niemal tak nierozłączni, jak bracia syjamscy.

Chociaż zaledwie minęło południe, to jednak, jak świadczył kurz okrywający konie, jeźdźcy musieli już dziś odbyć znaczną drogę, i to nie tylko po miękkiej trawie. Aliści ani zwierzęta, ani też oni nie okazywali znużenia. Jeśli nawet

czuli się zmęczeni, to można było o tym wnosić jedynie z milczenia, w jakim jechali.

Pierwszy milczenie to przerwał Hobbie-Frank, zwracając się do Old Shatterhanda:

- Jak obliczacie, daleko tam jeszcze do Elk-fork?

- Dostaniemy się tam pod wieczór.

- Dopiero pod wieczór? Olaboga! Któż to wytrzyma! Siedzimy w siodle już od wczesnego rana. Musimy się przecież zatrzymać, aby przynajmniej koniom pozwolić odetchnąć. Czy nie?

- Naturalnie. Zaczekajmy jednak, aż przebedziemy prerię; dalej ciągnie się przez pewną przestrzeń las, w którym znajdziemy wodę.

- Dobrze! Będzie można konie napoić i nakarmić trawą. Ale co my tam znajdziemy? Wczoraj zjedliśmy ostatni kawałek polędwicy, a dziś rano mieliśmy tylko kości. Od tego czasu nie nawinął się pod strzał nawet wróbel, a ja muszę wnet dostać coś do schrupania, bo umrę z głodu.

- Nie obawiajcie się! Jużem pomyślał o pieczeniu.

- Tak, ale o jakiej? Ta stara łąka jest tak pusta, jak mój brzuch;

zdaje mi się, że tutaj nie ułowimy muchy. Gdzie więc uczciwie głodny westman dostanie pieczeń?

- Już ją widzę. Weź mojego konia za cugie i jedź z innymi powoli caprzód.

- Naprawdę? - zapytał Frank oglądając się z niedowierzaniem.

- Widzicie już pieczeń? Ja jednak nie mogę nic podobnego zwęszyć!

Niemniej jednak, ujawszy lejce konia Old Shatterhanda, pojechał dalej z Davym i Jemrny, myśliwy zaś skierował się w bok, gdzie
213

wśród trawy widać było wielką ilość kopców. Była to kolonia psów preriowych, jak nazywają świstaki amerykańskie z powodu ich głosu przypominającego szczekanie. Są to stworzenia Bogu ducha winne, nieszkodliwe i bardzo ciekawe, a co szczególniejsze, mieszkają razem z grzechotnikami i sowami. Jeśli się kto do nich zbliży, to stają prosto, aby mu się przypatrzeć; a skoro tylko powezmą jakieś podejrzenie, błyskawicznie zapadają w swe nory i nic już ich nie zdoła stamtąd wywabić. Myśliwy, który może zdobyć trochę innej żywności, gardzi mięsem tych zwierząt, nie dlatego, żeby było niejadalne, ale że czuje doń jakieś uprzedzenie. Jeśli mimo to zechce zapolować na psa preriowego, to nie próbuje nawet zbliżyć się po kryjomu, bo stworzenie tym nie zbywa na ostrożności, lecz musi wzbudzać w nich zaciekawienie tak długo, aż zbliży się na odległość strzału. Może to osiągnąć jedynie przez najśmieszniejsze pozy i najpocieszniesz poruszenia; wówczas pies preriowy nie wie, kim jest zbliżający się i co ma o nim sądzić. Old Shatterhand więc, kiedy zauważył zwierzątko siedzące na kopcach, począł tańczyć, schylać się, to znowu podnosić, obracając się w kółko i poruszając ramionami jak wiatrak.

Hobbie-Frank, jadący teraz obok Jemmy'ego i Davy'ego, na ten widok odezwał się głosem zatroskanym:

- Laboga! A temu co strzeliło do głowy? Nie ma też przypadkiem ćwieka we łbie? Buzuje, jakby się napił szaleju! Słuchajcie! Strzela!

Old Shatterhand dał teraz dwa strzały tak szybko po sobie, że zabrzmiały jak jeden. Tamci zobaczyli, że podbiegł naprzód i schylił się dwukrotnie, aby coś podnieść, po czym powrócił do nich. Dwa psy preriowe włożył do torby przy siodle i wsiadł na konia. Hobbie-Frank zrobił niewyraźną minę.

- Czy to może owa pieczeń? Dziękuję za nią unieżenie! Takich specjałów nie jadam!

- A czy próbowałeś już kiedy?

- Nie! Ani mi się śniło!

- To nie wiesz również, czy taki pies preriowy da się jeść, czy nie.

Czy jadłeś może kiedy mięso młodego kozłęcia?

- Młode kozłę? - odparł Frank mlaskając językiem. - Naturalnie, że jadłem.

- Naprawdę? - zaśmiał się Old Shatterhand. - A przecież setki ludzi śmieje się z tego!

- Tak, ale głupców liczy się właśnie na setki. Mówię wam, że rozumiem się na potrawach jak nikt w Europie. Młode kozłę w rond-lu, do tego mały zabek czosnku

i kilka listków majeranku, to przyrumienić dobrze i upiec, tak żeby chrupało, toż dopiero prawdziwa

214

boska strawa dla wszystkich baronów i markiz Olimpu. Wiem o tym dobrze, bo około Wielkiej Nocy, kiedy już są młode kozy, jadałem w domu we wszystkie niedziele i święta tylko kozlinę.

- Bardzo pięknie. Ale powiedz mi, czy jadłeś już także „trusień”?

- Trusień? Co to takiego?

- Swojski zając, zając domowy. Właściwie nazywa się królikiem.

- Królik? A la bonne heure -! To również przedni przysmak. Za moich czasów w domu zawsze w czasie uroczystości jadano króliki. Mięso mają tak delikatne, że wprost rozplywa się w ustach.

- Aie jest wiele ludzi, którzy by cię wykpiłi, gdybyś im to powiedział.

- Bo sami mają zajaczka w głowie. Taki królik, co je tylko najlepsze i najdelikatniejsze części jarzynek, musi mieć wspaniałe mięso, to się rozumie chyba samo przez się. A może nie wierzycie?

- Owszem, wierzę; ale za to żądam, abys się nie wyśmiewał z mojego pieska. Zobaczysz, że smaczny jak mięso królicze. Mówię ci, że... Stać, czy to nie jeźdźcy?

Wskazał ku południowemu zachodowi, gdzie majaczyło kilka posuwających się postaci, ale tak jeszcze odległych, że nie można było rozpoznać, czy to zwierzęta, czy jeźdźcy. Nasi myśliwi jechali powoli dalej, mając oczy zwrócone na ową grupę. Po pewnym czasie przekonali się, że to jeźdźcy, a wkrótce potem, że noszą mundury; byli to więc żołnierze.

Zmierzali właściwie w kierunku północno-wschodnim, ale zobaczywszy jeźdźców, zmienili kierunek i zbliżyli się do nich w galopie. Było ich dwunastu; przewodził porucznik. Zatrzymali się w odległości trzydziestu może kroków; oficer początkowo mierzył czterech jeźdźców wzrokiem posępnym i badawczym; wtem spojrzenie jego padło na obie strzelby, które nosił Old Shatterhand: oczy mu zabłysły i zapytał, wskazując na strzelbę o krótkiej lufie ze szczególnym znakiem kulistym:

- Do kaduka! Czy to nie sztucer Henry'ego, sir?

- Niewątpliwie - potwierdził westman. - Czy znacie strzelby tego gatunku?

- Nie widziałem jeszcze żadnej, ale opisano mi je dokładnie.

Wynalazca miał być szczególnego rodzaju dziwakiem i sporządził ich tylko kilka, bo obawiał się, że Indianie i bizona zostaliby wkrótce wytępieni. Tych kilka sztuk zaginęło i tylko Old Shatterhand jest jeszcze w posiadaniu jednej.

- A la bonne heure -franc.) - i owszem, właśnie.

215

- To prawda, sir. Z tych jedenastu czy dwunastu sztucsrów Henry'ego, jakie w ogóle istniały, pozostał jedynie mój; inne zginęły aa. Dzikim Zachodzie ze swymi właścicielami.

- A więc wy jesteście naprawdę... naprawdę Old Shatterhand? Co za radość! Czy nie bylibyście tak dobrzy udać się z nami? Moi towarzysze uważaliby to za zaszczyt, gdyby się wam spodobało być naszym gościem.

- Dokąd mamy Jecliáo?

- Do Fortu Mormon, dokąd i my się udajemy.

- Niestety, nie możemy przyjąć waszego zaproszenia, bo musimy jechać w kierunku przeciwnym, aby spotkać się o oznaczonym czasie z przyjaciółmi.

- Czy mogę zapytać, dokąd jedziecie, sir?

- Najpierw ku Elk-mountains; stamtąd zaś ku Book-mountains.

- To muszę was ostrzec przed Utahami, którzy przed niedawnym czasem wykopali topór wojenny; dlatego jeździmy ustawicznie jako patrol od Fortu Mormon do Indian-fort. Jakaś banda białych poszukiwaczy złota napadła na obóz Utah ów, aby im konie zrabować;

było to podczas nocy. Utahowie jednak obudzili się i zaczęli bronić, lecz znacznie lepiej uzbrojeni biali wielu z nich położyli trupem i uszli z końmi. Rano czerwonoskórzy puścili się za nimi w pogoń. Rabusie zostali doścignięci; wywiązała się walka, która znowu przelała sporo krwi. Miało przy tym paść około sześćdziesięciu Indian, ale też tylko kilku białych zdołało ujsć z życiem. Teraz Utahowis krążą po okolicy, chcąc znaleźć tych pozostałych, a zarazem wysłali poselstwo do Fortu Union z żądaniem odszkodowania; za każdego konia żądają w zamian innego, za utraconą własność razem tysiąc dolarów, a za każdego zabitego Indianina po dwa konie i karabin.

- Wcale niedrogo, moim zdaniem. Czy zgodzono się na te żądania?

- Nie. Biali nie mają zamiaru przyznawać czerwonoskórym prawa do jakichkolwiek żądań. Poselstwo wróciło do domu, nie wskón wszy nic, i wobec tego zostały wykopane tomahawki. Utahow powstałi jak jeden mąż, a ponieważ na tym terytorium nie mam:;, niestety, dosyć wojska, aby ich móg pokonać w pierwszym starciu, więc obejrzano się za sprzymierzeńcami. Kiiku oficerów udało się w dół do Nawahów, aby ich pozyskać przeciw Utahom, co ten się też powiodło.

- A co ofiarowano Nawahom za pomoc?

- Wszystko, co zdobęda.

Old Shatterband nachmurzył czoło.

216

- A więc najpierw Utahowie zostali napadnięci i obrabowani i wielu z nich padło; następnie, kiedy żądali ukarania zbrodniarzy i odszkodowania, odepchnięto ich, a gdy sprawę tę ujęli w swe ręce, podszczuwa się na nich Nawahów i płaci tym ostatnim zdobyczą pokrzywdzonych! I czyż można się tu dziwić, że to popchnęło ich do ostateczności? Rozgoryczenie musi być straszliwe; biada teraz białe-mu, który wpadłby im w ręce!

- Ja mam tylko słuchać i nie wydawać swych sądów. Powiadomi-łem was o tym, sir, chcąc was ostrzec.

- Przyjmijcie podziękowanie, master, a jeśli opowiecie w forcie o spotkaniu z nami, to nadmieńcie, że Old Shatterhand jest przyjacie-lem czerwonoskórych i żywo ubolewa nad tym, że bogato wyposażony przez naturę naród musi ginać dlatego, że rząd amerykański nie daje mu czasu na rozwój naturalny, zgodny z prawami powszechnej ewolucji, lecz żąda od niego, aby raptem z narodu myśliwskiego przekształcili się w nowożytne państwo. Z taką samą zupełnie słuszością można zabić stolarza za to, że nie posiada dostatecznie sprytu i wiadomości, aby zostać generałem albo profesorem astronomii. Good bye, sir!

Zawrócił konia i odjechał z towarzyszami, nie rzuciwszy już nawet okiem na żołnierzy. Uniesiony gniewem rzucił Old Shatterhand te ostatnie i, jak zresztą wiedział, daremne słowa; tym bardziej milczał teraz, gdy rozmyślał nad tym, że nie masz słów ani czynów, aby przekonać „brata Jonatana” -, gdy przypisuje sobie większe prawa do życia od Indian, których pędzą z miejsca na miejsce, szcują jak zwierzęta, aż ci - osaczeni zewsząd - nawet śmiercią swoją nie wzbudzają litości.

Minęło pół godziny; wreszcie Old Shatterhand otrząsnął się z za-dumy, aby zwrócić baczniejszą uwagę na widnokrąg, który przybrał teraz kształt ciemnej, coraz bardziej rozszerzającej się pręgi.

- Tam jest las, o którym mówiłem. Dodajmy ostrogi, a po pięciu minutach będziemy na miejscu.

Puszczono konie galopem i wkrótce jeźdźcy dotarli do wysokiego i gęstego lasu świerkowego, którego skraj zdawał się tak gęsto zarosły, że nie było mowy o przebyciu go konno. Ale Old Shatterhand wnet znalazł radę. W obranym miejscu, wparłszy konia w wąskie poszycie, znalazł się na tak zwanej ścieżce indiańskiej, szerokości może trzech stop, którą wydeptali zachodzący tu czasem Indianie. Westman przede

- Jonatan - typowy Amerykanin. Przewisko nadawane szczególnie w Nowej

wszystkim zsiadł z konia, aby poszukać na niej nowych śladów; kiedy ich jednak nie znalazł, dosiadł z powrotem wierzchowca i wezwał towarzyszy, aby szli za nim.

Tu w tym tajemniczym lesie dziewiczym nie zawiął najlżejszy wiaterek, a poza stąpieniem koni żaden dźwięk nie zakłócił ciszy. Old Shatterhand trzymał w prawej ręce sztucer gotowy do strzału i patrzył bacznie przed siebie, aby być przygotowanym na ewentualne spotkanie z nieprzyjacielem. Był jednak przekonany, że żadne niebezpieczeństwo teraz nie grozi. Jeśli czerwonoskórzy przebiegali konno po okolicy, to było ich tylu razem, że z pewnością nie szukali takiej ścieżki, gdzie niczego nie mogliby odkryć, a gęstwina leśna tylko utrudniałaby ich ruchy. Na ścieżce było niewiele bowiem miejsca, gdzie by jeździec mógł konie zawrócić.

Po dłuższym czasie droga wyprowadziła jeźdźców na polanę, pośrodku której leżało sporo wielkich bloków skalnych, spiętrzonych wysoko jeden na drugim. Były pokryte mchem, a w szparach między nimi krzaki znalazły dość oparcia dla swych korzeni. Spod kamieni wypływało małe źródółko, które wiło się przez polanę i ginęło w lesie.

Tu zatrzymał się Old Shatterhand mówiąc:

- Oto miejsce, na którym możemy dać koniom mały wypoczynek i upiec nasze pieski.

Jeźdźcy zeskoczyli z koni, którym wyjęli z pysków wędzidła, aby mogły skubać trawę, a potem poszukali suchych gałęzi na ognisko. Jemmy podjął się ściągnąć z psów skórę i wypatroszyć je, a Old Shatterhand oddalił się, aby się przekonać, czy miejsce jest bezpieczne;

las bowiem można było przebyć może w trzy kwadransy, a przecinała go wszczepiona owa ścieżka indiańska. Polanka leżała mniej więcej pośrodku lasu.

Niedługo nad ogniem piekło się mięso, a po polance rozszedł się wcale przyjemny zapach. Wkrótce Old Shatterhand powrócił. Dotarł szybko do przeciwnego brzegu lasu, skąd roztaczał się widok daleko na otwartą prerię. Oko jego nie spostrzegło nic podejrzanego, toteż wrócił do towarzyszy z zapewnieniem, że nie należy się obawiać żadnej niespodzianki. Po godzinie pieczeń była gotowa.

- Hm! - mruczał Hobbie-Frank. - Jeść psią pieczeń! Gdyby kiedy komu przyszło na myśl powiedzieć mi, że będę zjadał mięso najwierniejszego przyjaciela człowieka, to dałbym mu taką odpowiedź, że by mu włosy na głowie stanęły. Ale jestem głodny i muszę go skosztować.

. - To przecież nie pies - przypomniał mu Jemmy. - Słyszałeś, że świstak otrzymał zupełnie fałszywie nazwę psa preriowego ze względu na swój głos.

218

_. To sprawy nie zmienia; owszem, to ja właśnie pogarsza. Pieczeń ze świstaka! Kto by pomyślał? No zobaczymy!

Uciał sobie kawałek piersi pieczeniowej i ociągając się spróbował;

zaraz jednak rozjaśniła mu się twarz; wsadziwszy większy kawałek do ust, oświadczył żując:

_ Rzeczywiście, wcale niezłe, na honor! Smakuje naprawdę jak królik, chociaż nie jest tak doskonałe, jak pieczeń z kozłęcia. Dzieci, myślę, że z tych dwu pieczeni niewiele pozostanie.

- Musimy schować coś na wieczór - ostrzegał Davy. - Nie wiemy przecież, czy dziś jeszcze co upolujemy.

- Nie troszczę się o to, co będzie później. Jeśli tylko będę mógł rzucić się w objęcia Orfeusza, to niczego nadto nie żądam.

- Orfeusza - poprawił go Jemmy.

- Siedź cicho! Chyba mojemu Orfeuszowi nie zechcesz przypisać jakiegoś M z przodu. Znam go bardzo dobrze; u nas na wsi pod Pragą istniał związek śpiewacki, który nazywał się „Orfeusz na ziemi”; te hultaje śpiewały tak przyjemnie, że słuchacze zapadali zawsze w bar-dzo miły sen. Dlatego stamtąd pochodzi owo przysłowie o wpadaniu w objęcia Orfeusza. Nie kłóć się przeto ze mną, lecz zjadaj pieśki w pobożnym milczeniu; wtedy będzie ci lepiej smakował, niż gdybyś się spierał z człowiekiem o takim doświadczeniu, jak ja!

Siedzący przy ognisku, nie czując zagrożenia, byli w grubym błędzie, bo oto zbliżało się niebezpieczeństwo w postaci dwu oddziałów, które skierowały się również ku lasowi.

Jeden z oddziałów był mały, a składał się z dwu tylko jeźdźców, którzy nadjeżdżali od północy; natknąwszy się na ślady Old Shatter-handa, zeskokczyli z koni, aby zbadać trop. Sposób, w jaki się do tego zabrali, kazał się domyślać, że nie byli greenhomami. Świadczyło o tym również dobre uzbrojenie i odzież mocno zniszczona. Pewne oznaki pozwalały przypuszczać, że w ostatnim czasie nie mieli zbyt wiele szczęścia. Co się tyczyło ich koni, dobrze odżywionych i żwawych, to pozbawione siodeł i uzd, miały tylko wędzidła z rzemieni. Tak zwykły się paść konie Indian w pobliżu obozu.

- Co myślisz o tych śladach, Knox? - zapytał jeden. - Czyżbyś-my mieli przed sobą czerwonoskórych?

- Nie - odpowiedział zapytany tonem pewnym. - Konie są podkute, a ludzie ci jechali obok siebie, a nie gęsiego, jak to robią Indianie. /

- A ilu ich jest?

- Tylko czterech. Nie mamy więc się czego obawiać, Hiltonie.

- Chyba że to żołnierze!

2-19

- Pshaw! Nawet wtedy nie. W żadnym razie nie powinniśmy się naturalnie pokazywać, bo tam zwykle jest tak dużo oczu i tak wypytują, że z pewnością byśmy się zdradzili. Ale czterech kawalerzystów! Pshaw! Ci zapewne niczego z nas nie wydostaną. A zresztą, z jakich to powodów mieliby nabrać podejrzenia, że należymy do tych

białych, którzy napadli na Utahów?

- Tak i ja wprawdzie myślę, ale często diabli nawarzą licha, że się ani nie spodziewasz. Znajdujemy się w nędznym położeniu. Szczuci przez czerwono'skórych i tropieni przez żołnierzy błakamy się tu i tam po obszarze Utahów. Co za głupota z naszej strony, że uwierzyliśmy obietnicom tego rudego komela i jego trampów.

- Głupota? Z pewnością nie. Szybko się wzbogacić to przeciw bardzo dobra rzecz i ja nieprędko jeszcze wyrzeknę się tego. Wkrótce nadejdzie kornel z resztą swych kompanów, a wtedy nie będziemy potrzebowali się trapić. Musimy spróbować wydostać się z tarapatów. Widzę dla nas tylko jedną drogę, a ta się nam właśnie teraz otwiera.

- Jaką?

- Musimy znaleźć jakich białych, aby się do nich przyłączyć.

W ich towarzystwie będziemy uchodzić za myśliwych i nikomu nie przyjdzie nawet na myśl szukać związku między nami a tymi, którzy zmusili Utahów do wykopania topora wojennego.

- I myślisz, że takich właśnie ludzi mamy przed sobą?

- Tak, takie jest moje zdanie. Siedzą poza lasem; chodźmy do

nich.

Rudy komel starał się powiększyć swój oddział, który, jak wiado-mo, składał się z dwudziestu trampów, rozbitków spod Eagle-tail.

Doszedł do przekonania, że w górze oddział jego zostanie prawdopodobnie mocno przetrzebiony przez Indian, a więc dwudziestu Suda będzie stanowczo za mało. Dlatego w czasie jazdy przez Colorado ścigał do siebie każdego, kto do tego okazał ochotę. Naturalnie, byU to wyłącznie ludzie pozbawieni wszelkiego zajęcia, w których na próżno by szukać śladów moralności. Pomędzy nimi znajdowali się także Knox i Hilton. Nowa banda komela wkrótce tak wzrosła, że musiała na siebie zwracać uwagę, a zaprowiantowanie jej stawało się z dnia na dzień trudniejsze. Dlatego kornel powziął postanowienie

podzielenia jej; z jedną połową miał sam przejść w okolicy La Veta przez Góry Skaliste, reszta miała się zwrócić ku Morrison i Georgetown, aby tam przejść przez góry. Ponieważ Knox i Hilton byli ludźmi doświadczonymi, przeto oni mieli kierować drugim oddziałem. Prz"-
byli szczęśliwie góry i zatrzymali się w okolicy Brecken-ridge. Tam apotkał ich przykry wypadek: spłoszona stadnina pewnego hac-ndera

220

przeszła koło nich; przy tym zerwały się ich własne konie i uciekły z tamtymi. Chcąc zdobyć nowe, napadli na obóz Utahów, lecz Indianie doścignęli ich i pobili. Sześciu uszło, ale czerwonoskórzy następowali tym sześciu niezmordowanie na pięty; czterech padło jeszcze poprzedniego dnia i tylko przywódcem, Knoxowi i Hiltonowi, udało się ująć pociskom mściwych Indian.

O tym rozmawiali zbliżając się do lasu; przybywszy do niego, znaleźli ścieżkę indiańską, którą ruszyli. Do polanki dotarli właśnie w tej chwili, kiedy zakończył się pojedynek słowny między Jemym i Hobbie-Frankiem.

- A więc jesteście myśliwymi, zgoda? - szepnął Knox do Hiltona. - Pozwól tylko mnie mówić!

Old Shatterhand teraz ich dopiero zobaczył; wzięwszy do rąk sztucer, patrzył w poważnym oczekiwaniu na zbliżających się.

- Good day, messurs! - powitał ich Knox. - Czy pozwolicie nam wypocząć nieco przy was?

- Każdy uczciwy człowiek jest nam miły - odpowiedział Old Shatterhand spojrzawszy badawczo najpierw na jeźdźców, a potem na konie.

- Maro nadzieję, że nie myślicie o nas inaczej! - odparł Hilton wytrzymując na pozór zupełnie spokojnie przenikliwe spojrzenie myśliwego.

- Ja sadz? o ludziach dopiero wtedy, gdy ich poznam.

- No, to pozwólcie, że damy wam do tego sposobność!

Zeskoczywszy z koni usiedli przy ognisku; byli naturalnie głodni, bo rzucali dość tęskne spojrzenia na pieczeń. Dobroduszny Jemmy podsunął im kilka kawałków mięsa; oczywiście, nie czekali na po-wtórne zaproszy. Teraz grzeczność zabraniała im stawiać jakie-kolwiek pytania, dlatego minął dłuższy czas w milczeniu, aż się nasycili.

Drugi ze wspomnianych oddziałów, zbliżający się z przeciwnej strony do lasu, stanowiła gromada około stu Indian. Old Shatterhand był wprawdzie i na tej stronie, aby się rozejrzeć po rozciągającej się tam prerii, lecz nie mógł jeszcze dojrzeć nadjeżdżających czerwono-skórych, bo w tym czasie byli oni dopiero za wybiegającym naprzód rogiem lasu. Ci musieli również dobrze znać okolice, bo zmierzali wprost ku wyjściu wąskiej ścieżki, którą biali dostali się na polanę.

Indianie znajdowali się na ścieżce wojennej, jak wskazywały jaskrawe barwy, którymi pomalowali twarze. Większość nosiła broń palną, a tylko niewielu miało łuki i strzały. Na ich czele jechał olbrzym, który był widocznie wodzem, bo miał orle pióro wpięte we

221

włosy. Wieku jego nie można było rozpoznać pod pokrywającymi całą twarz czarnymi, żółtymi i czerwonymi kreskami.

Stanąwszy na ścieżce, zeskoczył z konia, aby ją zbadać. Wojownicy, jadący na przedzie, zatrzymawszy się za jego przykładem, przy-patrywali się z napięciem jego poczynaniom. Wtem jeden z koni parsknął. Wódz podniósł ostrzegawczo rękę, a jeździec położył zwie-rzęciu dłoń na nozdrzach. Wódz musiał zauważyć coś podejrzanego, kiedy nakazał większą ciszę. Powoli, krok za krokiem, pochylony głęboko ku ziemi, postępował dalej w las ścieżką. Kiedy potem powrócił, odezwał się cicho w języku Utahów:

- Błada twarz była tu przed czasem, którego potrzebuje słońce do przebycia drogi jednej piędzi. Niech wojownicy Utahów ukryją się ze swymi końmi pod drzewami. Ovuts-awaht pójdzie poszukać bladej twarzy.

Wódz, Ovuts-awaht, to znaczy „Wielki Wilk“, niemal wyższy i szerszy od Old Firehanda, poczołgał się w las; kiedy powrócił może po upływie pół godziny,

ludzi jego nie było widać; gwizdnął jednak cicho i natychmiast Indianie wyszli spod drzew, pozostawiając tam konie. Na dany znak podeszło do niego pięciu czy sześciu poddowódców.

- Sześć bladych twarzy leży pod skałą - odezwał się do nici
- To jest z pewnością tych sześciu, którzy wczoraj uciekli. Jedź mięso, a konie pasą się przy nich. Niech moi bracia pójdą za mną a tam, gdzie ścieżka się kończy; potem niech się rozdzielią: połowa poczołga się na prawo, a inni na lewo, aż polana zostanie otoczona. Wtedy dam znak, a czerwoni wojownicy niechaj wyskoczą. Białe psy tak się przerażą, że nie sięgną po broń, my zaś pochwycimy ich i zawlecemy do wsi, aby ich przywiązać do pala. Pięciu ludzi zostanie, aby pilnować koni. Howgh!

Pod kierownictwem wodza Indianie weszli bezszelestnie po ścieżce w las. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie droga wychodziła na polankę, rozeszli się na obie strony, aby otoczyć to miejsce.

Biali właśnie skończyli posiłek. Hobbie-Frank wetknął nóż za pas i odezwał się:

- No, podjedliśmy sobie, a konie wypoczęły; możemy więc ruszyć w dalszą drogę, aby jeszcze przed nocą dotrzeć do celu.

- Tak - zgodził się Jemmy. - Ale przedtem musimy się koniecznie zapoznać i dowiedzieć, dokąd zmierzamy.

- Słusznie - potwierdził Knox. - A więc, czy możemy wiedzieć, jakie to miejsce chcecie jeszcze dzisiaj osiągnąć?

- Jedziemy do Elk-mountains.

222

- My także. To się znakomicie składa, możemy jechać razem.

Old Shatterhand nie powiedział ani słowa, dał tylko Jemmy'emu ukradkiem znak, aby dalej prowadził swe indagacje.

- Będzie mi bardzo miło - odpowiedział grubas. - Ale dokąd się potem udacie?

- Tegośmy jeszcze nie postanowili. Może nad Green-river, aby poszukać bobrów.

- To niewiele znajdziecie. Kto chce łapać tłuste ogony, ten musi iść dalej na północ. Jesteście więc poszukiwaczami bobrów? '

- Tak. Ja nazywam się Knox, a mój towarzysz Hilton.

- A gdzie macie, master Knox, sidła na bobry, bez których przecież nie możecie ich łowić?

- Te skradli nam jacyś złodzieje, chyba Indianie, tam w dole rzeki San Juan.

Może natrafimy na jakiś kamp, gdzie będziemy mogli kupić nowe. Czy myślicie, że możemy się do was przyłączyć?

- Nie mam nic przeciw temu, jeśli tylko moi towarzysze się zgodzą.

- Dobrze, master. Czy możemy wieś poznać wasze nazwiska?

- Dlaczego nie! Mnie nazywają grubym Jemmy. Mój sąsiad na prawo to...

- Długi Davy pewnie? - przerwał szybko Knox.

- Tak. Domyśliliście się tego?

- Naturalnie! Jesteście znani szeroko i daleko, a gdzie znajduje się gruby Jemmy, tam nie trzeba długo szukać Davy'ego. A ten mały master, tu po waszej lewej ręce?

- Tego nazywamy Hobbie-Frank; słynne chłopisko; poznacie go jeszcze.

Frank obrzucił mowę gorącym i wdzięcznym spojrzeniem, a ten ciągnął dalej:

- Ostatnie nazwisko, które wam wymienię, jest w każdym razie jeszcze bardziej znane niż moje. Myślę bowiem, że słyszeliście o Old Shatterhandzie?

- Old Shatterhand? - zawołał z wielką radością, zaskoczony tym, Knox. -

Rzeczywiście? Czy to prawda, sir? Wy jesteście Old

Shatterhand? Pozwólcie mi powiedzieć sobie, że bardzo się cieszę, mogąc was poznać! .

Po tych słowach wyciągnął ku myśliwemu rękę i rzucił na Hiltona spojrzenie, którym chciał wyrazić: „Ty! Ciesz się, bo teraz jesteście bezpieczni!”

Old Shatterhand udał jednak, że nie spostrzega podanej mu ręki, i odparł zimno:

'223'

- Czy naprawdę się cieszyacie? Szkoda więc, że nie mogę podzielać waszej radości.
- Dlaczego nie, sir?
- Bo jesteście ludźmi, którzy w ogóle nie mogą sprawić radości.
- Jak to rozumiecie? - zapytał Knox, zmieszany tą otwartością.
- Chyba żartujecie?
- Mówię poważnie. Jesteście obaj krętaczami, a może nawet jeszcze czymś o wiele gorszym.
- Oho! Czy myślicie, że zniesiemy spokojnie taką obelgę?
- Tak. Tak myślę, bo coś możecie innego uczynić?
- Czy znacie nas może?
- Nie. Nie byłoby to dla mnie wcale zaszczytem.
- Sir, stajecie się coraz bardziej nieuprzejmy. Udowodnijcie, że jesteśmy kłamcami!
- Dlaczego nie? - odpowiedział Old Shatterhand obojętnia. - A więc zastawialiście sidła na San Juan? Kiedyż to?
- Przed czterema dniami.
- Przychodźcie wprost stamtąd?
- Tak.
- Przyszliście więc z południa? To kłamstwo. Przybyliście tutaj tuż po nas, musielibyśmy więc widzieć was tam na otwartej prerii. Ku północy jednak las tworzy występ i za tym właśnie występem tkwiliście, kiedy ostatni raz rozglądałem się, zanim skręciliśmy na tę ścieżkę. Przyszliście z północy.
- Ależ, sir, powiedziałem prawdę. Nie mogliście nas widzieć.
- Ja? Ja nie widziałem was? Gdybym miał tak kiepskie oczy, tobym już sto razy musiał zginąć. Nie, tego mi nie wmówicie! A teraz dalej: gdzie macie siodła i uzdy?
- Skradziono nam!
- Człowiecze! Czy uważasz mnie za greenhorna? - zaśmiał się?

Old Shatterhand pogardliwie. - Pewnicście wsadzili siodła i uzdy razem z siódmymi na bobry do wody, kiedy wam to wszystko skradziono. Jakież myśliwy zdejmuję koniowi uzdę? A skąd macie te indiańskie wędzidła?

- Kupiliśmy je od czerwonoskórych.
- A może także i konie?
- Nie - odparł Knox, widząc, że to zuchwałe kłamstwo z pewnością by mu nie uszło.
- A więc Indianie Utah handlują wędzidłami? O tym nic nie wiedziałem dotąd. A skąd macie konie?
- Kupiliśmy je w Fortcie Dodge

224

- Tak daleko stąd? A ja założyłbym się, że te zwierzęta w ostatnich czasach całymi tygodniami przebywały na pastwisku. Koń, który by przyniósł jeźdźca z Fortu Dodge aż tutaj, wyglądałby zupełnie inaczej. A jak się to stało, że wasze konie nie są podkute?
- O to musicie zapytać handlarza, od którego je kupiliśmy.
- Banialuki! Te zwierzęta zostały skradzione!
- Sir! - zawołał Knox chwytając za nóż. Również i Hilton sięgnął ręką do pasa.
- Pozostawcie noże w spokoju, bo inaczej powalę was na ziemię!
- zagroził Old Shatterhand. - Czy myślicie, że nie poznaję w tych koniach tresury indiańskiej?
- Przecież widzieliście nas na koniach tylko przez krótką chwilę, gdyśmy od ścieżki jechali do tych kamieni!
- Słusznie, ale widzę, że unikają naszych zwierząt, a trzymają się razem. Konie zostały skradzione Utahom, a wy należycie do bandy, która napadła na tych biedaków.

Knox nie wiedział już, co ma mówić, nie dorównywał przenik-liwością Old Shatterhandowi. Stało się z nim to, co zwykle dzieje się w podobnych wypadkach z tego rodzaju ludźmi: szukał ucieczki w grubiaństwie.

- Sir, słyszałem o was wiele i uważałem was za zupełnie innego człowieka. Mówicie jak nieprzytomny! Kto upiera się przy takim twierdzeniu, jak wasze, musi być po prostu szaleńcem. Nasze konie i indiańska tresura! Można by umrzeć ze śmiechu, gdybym się nie musiał gniewać o to. Widzę, że nie pasujemy do siebie i odjedziemy, aby uniknąć waszych fantazji! Do wszystkich diabłów! Co to?!

Mówiąc o koniach, zwrócił oczy na nie i przy tym spostrzegł coś, co przykuło całą jego uwagę. Konie podniosły mianowicie nozdrza do góry, kręcąc się na wszystkie strony i wciągając powietrze, po czym, rżąc radośnie, ruszyły ku skrajowi polanki.

- Tak! Co to? - zawołał również Jemmy. - Indianie w pobliżu-Niezawodne oko Old Shatterhanda objęło jednym bystrym spoj-rzeniem grożące niebezpieczeństwo, toteż odpowiedział:

- Jesteśmy otoczeni przez Utahów. Konie zdradziły ich obec-ność, muszą teraz nas napaść.

- Co mamy więc robić? Czy będziemy się bronić?

- Najpierw pokażemy im, że nie mamy nic wspólnego z tymi rozbójnikami. To jest najważniejsze!

Uderzył tak silnie Knoxa w skroń zwiniętą pięścią, że ten padł jak kłoda na ziemię; potem taki sam cios otrzymał Hilton.

- A teraz prędko na skałę! - rozkazał Old Shatterhand. - Tam

525

se-f

mamy osłonę, której brak tutaj. Potem zobaczymy, -° ładnie nam-dalej czynić. . -

Wejście na olbrzymie głazy nie było łatwe, ale w .teg0. rodza-„-li położeniu podwajają się zdolności człowieka: trzy, P-0' dziesięć se-i kund i myśliwi znaleźli się na górze, gdzie zniknąwszy- -oza-spa™] i krawędziami przykucnęli za krzakami. . . • r ., .'

Od czasu gdy odezwało się rzenie koni indiańskich-` az J chw;" minęły zaledwie dwie minuty. Wódz chciał natycb-„"" „-Y0 d{-ataku, ale zaniechał tego, zobaczywszy, że jedna z „-„y0" twarz:

powaliła na ziemię dwie inne. Nie mógł sobie te/0 -„"-s071" i zawahał się, a dzięki temu czwórka zyskała tyle czas'/' y osta bezpiecznie na skałę. Teraz siedzieli na górze, a kule i s - me ni ich dosięgnąć; sami natomiast byli w stanie opano' /-0 a v" przestrzeń i wysyłać kule we wszystkich kierunkach. . „. - Co począć? - zastanawiał się wódz. Indianin, •Ie mus1;. dzielny, śmiały, a nawet zuchwały; ale jeśli może os/4-0 SWOJ chytrnością bez narażania się na niebezpieczeństwo, nawet przyjdzie mu na myśl ryzykować życie. ` A ` -.

Wódz więc, gwizdnąwszy, zawołał do siebie poddov/° ` y z nimi naradzić.

Wynik narady dał się wkrótce widzieć albo rac/- SIyszec•

skraju polany zabrzmiał donośny głos wodza: . . , ,

- Blade twarze są otoczone przez wielu czerwonych v/o]ownlk•i:l niechaj przeto zejda na dół!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzył wezwania -ł-20- dw krotnie, a kiedy i teraz nie doczekał się odpowiedzi, za/0

- Jeżeli biali mężowie nie posłuchają, zabijemy icbf Na to odparł Oid Shatterhand:

- Co uczyniliście czerwonym wojownikom, że nas -to'•-`zyA!' cn- nas napaść?

- Jesteście psami, które zabiły naszych mężów i zr- --Y nar konie.

- Mylisz się! Tylko dwóch z tych drabów jest t-` P-Y5211 dopiero niedawno do nas, a kiedy domyśliłem się, że sa wroLaml Utahów, powaliłem ich na ziemię. Oni

nie umarli; wkrót- znowu s' obudzą. Jeśli chcecie ich mieć, to zabierzcie ich sobie. , ,
- Chcesz nas tylko do siebie zwabić, aby nas pozabi-0' Nie! Kto ty jesteś! Jakie jest twoje imię?

Jestem Ovuts-avaht, wódz Utahów.

.tichem. Jest

- Słyszałem o tobie. Wielki Wilk jest silny ciałem i óvcnem••'esL naczelnikiem Yampa-Utahów, którzy są dzielni i sprawil' lwl ` nle mszcza się na niewinnych za zbrodnie winnych.

226 .

_ Mówisz jak kobieta! Płaczesz z obawy o życie. Nazywasz siebie niewinnym z trwogi przed śmiercią. Gardzę tobą! Jak brzmi twoje imię? Jest to pewnie imię starego ślepego psa!

- Czy Wielki Wilk nie jest sam ślepy? Zdaje się, że nie widzi naszych koni! Czy należały do Utahów? Wśród nich jest muł. Czy i ten został im skradziony? Jak może Wielki Wilk uważać nas za konio-kradów? Niechaj spojrzy na mojego karego! Czy Utahowie posiadali kiedykolwiek takie zwierzę? Płynie w nim krew, jaką hoduje się tylko dla Winnetou, wielkiego wodza Apaczów. Niechaj wojownicy Utahów posłuchają, czy moje imię jest imieniem psa. Blade twarze nazywają mnie Old Shatterhand. W języku Utahów nazywam się Pokai-mu

- Zabijająca Ręka.

Cisza, która teraz nastąpiła, była dowodem, że imię myśliwego wywołało należyte wrażenie. Dopiero po pewnym czasie dał się słyszeć głos Wielkiego Wilka:

- Błada twarz podaje się za Old Shatterhanda, lecz my temu nie wierzymy. Old Shatterhand nie zna trwogi; tobie zaś obawa odebrała odwagę, aby się nam pokazać.

- A dlaczego to wojownicy Utahów kryją się, a ty z nimi, przed czterema tylko mężami? Dowiodę ci, że nie znam obawy. Będziecie mnie widzieć!

Wyszedłszy ze swej kryjówki, wstąpił na najwyższy punkt skały i rozejrzał się powoli dokoła. Stał tam w górze tak swobodnie i odważnie, jakby w pobliżu nie było ani jednej strzelby, z której kula mogłaby go trafić.

- Ing Pokai-mu, Pokai-mu, howgh! - zabrzmiało wiele głosów.

- To Zabijająca Ręka, to Zabijająca Ręka, tak jest!

Westman nadal stał bez obawy, wołając do wodza:

- Czy słyszysz okrzyki twoich własnych wojowników? Czy teraz wierzysz, że jestem rzeczywiście Old Shatterhandem?

- Tak, wierzę! Twoja odwaga jest wielka. Nasze kule sięgają znacznie dalej, niż ty stoisz. Jakże łatwo mogłaby któraś cię zabić!

- To się nie stanie, bo wojownicy Utahów są bohaterami, a nie mordercami. A gdybyście mnie zabili, śmierć moja zos-łaby drogą na was pomszczona.

- My nie boimy się zemsty!

- Ona by was dosięgła i pochłonęła, nie pytając o to, czy się Joicie. Spełniłem życzenie Wielkiego Wilka i pokazałem się; ale dlaczego on pozostaje dalej w ukryciu? Czy obawia się, czy też uważa ronię za mordercę, który czatuje na jego życie?

- Wódz Utahów tak nie myśli. On wie, w Old Shatterhand

227

chwycił tylko wtedy za broń, kiedy zostanie napadnięty/On się pokaże.

Wyszedł spoza drzew, tak że widać było całą jego wysoką postać.

- Czy Old Shatterhand jest teraz zadowolony? - zapytał.

- Nie! Chciałbym pomówić z tobą z mniejszej odległości, aby wygodniej poznać wasze życzenia. Chodź więc bliżej, aż do połowy.-drogi, a ja zejdem ze skały i wyjde naprzeciw ciebie. Potem usiadziemy, J jak przystało wojownikom i wodzom, aby się naradzić, i

- Czy nie przyjdiesz raczej do nas?

- Nie. Jeden drugiego uczci przez to, że wyjdziemy naprzeciw sobie na jednakową odległość.
- To będę siedział na otwartym miejscu, wystawiony na strzały twoich ludzi. \,
- Daję ci słowo, że nic ci się nie stanie. Będą strzelać tylko wtedy,, jeśli czerwoni wojownicy poślą mi kulę. Wtedy byłbyś naturalnie! zgubiony. \
- Jeśli Old Shatterhand daje słowo, to można mu ufać; jest ono równie święte dla niego, jak największa przysięga. A więc przyjdę. Jak wielki biały myśliwy będzie uzbrojony?
- Odłożę wszystką moją broń i pozostawię ją tutaj; tobie jedna;

wolno robić, co ci się podoba.

- Wielki Wilk nie zhańbi się, okazując mniej odwagi i zaufania.

Zejdź więc!

Wódz złożył broń w trawie, tam gdzie stał, i czekał potem na Old Shatterhanda. -

- Odważacie się na zbyt wiele! - ostrzegał myśliwego Jemmy.1
- Czy rzeczywiście jesteście przekonani, że możecie uczynić to bez-

piecznie?

- Tak. Gdyby wódz odszedł na bok, aby się naradzić ze swymi ludźmi, albo dał im jakiś rozkaz czy znak, to mógłbym naturalnie powziąć podejrzenie. Ponieważ jednak tego nie uczynił, mogę mu śmiało zaufać.
- A my co mamy tymczasem robić?
- Nic. Skierujcie na wodza karabiny, ale tak żeby tego nie spostrzeżono, i zastrzelicie go natychmiast, gdyby się chciał na mnie

rzucić.

Po tych słowach zeskoczył ze skały; potem obaj przeciwnicy ruszył. powoli ku sobie. Kiedy się zbliżyli, Old Shatterhand wyciągnął ręk-j do wodza. -

- Jeszcze nigdy Wielkiego Wilka nie widziałem, ale słyszałem często, że jest w radzie najmędrszym, a w walce najdzielniejszym

228

Cieszę się, że widzę jego oblicze i że mogę pozdrowić go jako przyjaciela. Indianin odtrącił rękę białego, zmierzył badawczym spojrzeniem iea0 postać i twarz i odpowiedział wskazując na ziemię:

_ Usiądźmy! Wojownicy Utahów musieli wykopać topory wojen-ne przeciw bladym twarzom; nie istnieje więc ani jeden biały, którego miałbym prawo pozdrowić jako przyjaciela.

Usiadł, a Old Shatterhand naprzeciw niego.

Ognisko tymczasem wygasło; Knox i Hilton, którzy leżeli przy nim, ciągle się jeszcze nie poruszali. Mustang Old Shatterhanda zwietrzył Indian, zanim rozległ się głos wodza, i parszając schronił się w poblizę skały. Stary muł Davy'ego miał również dobry nos i poszedł za jego przykładem, a ponieważ konie Franka i Jemmy'go skorzystały z tej wskazówki, przeto wszystkie cztery zwierzęta stały teraz tuż przy skale, a ich postawa i zachowanie wskazywały, że są zupełnie świadome niebezpieczeństwa, w jakim znaleźli się ich panowie.

Zdawało się, że żaden z obu siedzących naprzeciw sobie nie chce zacząć rozmowy. Old Shatterhand patrzył w oczekiwaniu w ziemię tak obojętnie, jakby nic złego nie mogło mu grozić. Czerwonoskóry jednak nie mógł badawczego wzroku oderwać od białego. Farba, pokrywająca grubą warstwą jego twarz, nie pozwalała widzieć jego wyrazu, ale kąty ust, przeciągnięte szeroko i nieco ku górze, wskazywały, że wyrobił sobie o myśliwym, o którym wiele mówiono, zdanie, które nie chciało się teraz pogodzić z jego wyglądem. Widać to było, kiedy uczynił prawie ironiczną uwagę:

- Sława Old Shatterhanda jest wielka, ale jego postać nie dorosła do niej.

Siła Old Shatterhanda przechodziła zwykłą miarę, na pozór jednak nie wyglądał na giganta. W wyobraźni zaś Indianina żył jako prawdziwy Goliat. Myśliwy odpowiedział na to, śmiejąc się:

- Co ma wspólnego postać ze sławą? Czy mam może odpowiedzieć wodzowi w ten sposób: „Ciało Wielkiego Wilka jest wielkie, ale jego sława i jego dzielność nie rosły z nim równomiernie”?

- To byłoby obelgą - oświadczył Indianin z błyskiem w oczach

- po której natychmiast opuściłbym cię, aby wydać rozkaz do rozpoczęcia walki!

- Dlaczego więc pozwalasz sobie na taką uwagę co do mojej osoby? Wprawdzie twoje słowa nie mogą obrazić Old Shatterhanda, ale zawierają wzgardę, której ścierpieć nie mogę! Jestem co najmniej równie wielkim wodzem jak ty; będę mówił z tobą uprzejmie i żądam od ciebie takiej samej uprzejmości. To muszę ci powiedzieć, zanim

229

rozpoczniemy naszą rozmowę, bo inaczej nie doprowadzi ona do

Był zobowiązany ze względu na siebie i na swoich towarzyszy udzielić czerwonoskórym nauki. Im silniej występował, tym więcej imponował, a od wrażenia, jakie teraz wywoła, zależały ich dalsze losy.

- Istnieje jeden tylko cel naszej rozmowy: wasza śmierć! - oświadczył Wielki Wilk.

- To byłoby morderstwo, bośmy wam nic złego nie uczynili. ;

- Pshaw! Znajdujesz się w towarzystwie morderców, których! ścigamy! Jechałeś z nimi.

- Nie. To nieprawda! Poślij jednego ze swoich wojowników, aby odszukał nasz ślad. Wkrótce przekona się, że ci dwaj ludzie przyszli dopiero potem i natknęli się na nas.

- To i tak nie zmieni niczego! Białe twarze napadły Uts wśród zupełnego spokoju, zrabowały im konie i zabiły wielu wojowników. Nasz gniew był wielki, lecz nie mniejsza była ich odwaga i lojalność. Wysłaliśmy mądrych mężów do przedstawicieli Ojca z tego Domu, aby zażądali ukarania winnych i wynagrodzenia na;

strat; wyśmiano ich i odepchnięto. Dlatego wykopaliśmy to wojenne i poprzysięgliśmy, że dopóki nie dopełni się nasza zemsta, każdy biały, który wpadnie w nasze ręce, zostanie zabity. Tej przysięgi musimy dotrzymać, a ty jesteś białym!

- Ubolewam szczerze nad tym, co się stało. Wielki Wilk wu;

zapewne, że jestem prawdziwym przyjacielem czerwonych mężów.

- Wie o tym, ale mimo to musisz i ty umrzeć. Kiedy niesprawiedliwe białe twarze, które nie uwzględniły naszych skarg, dowiedzą, że swoim postępowaniem stały się winne śmierci sprawiedliwej, a nawet Old Shatterhanda, będą miały smutną naukę i może przyszłość będzie działać mądrzej i rozważniej!

Brzmiało to groźnie: Indianin mówił zupełnie poważnie, wni, jaki wyciągnął, nie był bynajmniej nielogiczny.

Mimo to Old Shatterhand odpowiedział:

- Wielki Wilk myśli tylko o swojej przysiędze, ale nie skutkach. Jeśli nas zabije, to po górach i preriach rozlegnie się o! oburzenia i tysiące białych twarzy wyruszą przeciw Utahom, pomścić śmierć naszą, a ta zemsta będzie tym sroższa, że z" byliśmy przyjaciółmi czerwonych mężów.

- Wy? Nie zaś ty sam? Mówisz także o swych towarzyszach? Kto są te białe twarze?

- Jeden nazywa się Hóbbie-Frank; nie znasz go zapewne, '.c imiona dwóch innych słyszałeś nieraz: są to ,. gruby Jemmy" i ,... T Davy".

230

- Znam ich. Nie widziano nigdy jednego bez drugiego i nigdy też nie słyszałem, ? by byli wrogami Indian. Ale właśnie dlatego ich śmierć nauczy złych i niesprawiedliwych wodzów białych, jak niemądrze postąpili odtrącając naszych

posłów. Wasza śmierć jest postanowiona ale będzie zaszczytna. Jesteście mężami dzielnymi i sławnymi;

umrzecie śmiercią tak pełną męczarni, jaką tylko zdołamy wam zadać. Wy zaś poniesiecie ją i powieka wasza nie zadrga, a wieść o tym rozejdzie się po wszystkich krajach. Przez to sława wasza stanie się jeszcze większa, a w wiecznych ostępach będzie zażywać wielkiej czci. Sądzę, że zrozumiesz, jakim to jest względem z naszej strony, i będziesz nam wdzięczny!

Old Shatterhand bynajmniej nie był zachwycony przyobiecany przez wodza względami. Nie dał jednak tego poznać po sobie i odpowiedział:

- Twój zamiar jest bardzo dobry i to ci się chwali, ale tłumy tych, którzy pomścić nas przyjdą, nie będą ci za to wdzięczne.

- Śmieję się z nich! Niechaj przychodzą! Ovuts-avaht nie ma zwyczaju liczyć swych nieprzyjaciół. A czy wiesz, jak wielka liczba będzie nas wtedy? Zgromadzą się wojownicy Yamba, Unita, Sam-piczów, Pah-wantów, Wiminuczów, Elków, Kapotów, Weawerów, Patów, Taszów, Mauczów i Tabekwaczów. Wszystkie te ludy należą do szczepu Utah; one zmiażdżą białych wojowników.

- To idź na wschód i policz białych! A jakich dowódców mają!

Powstaną nasi mściciele, z których każdy z osobna będzie wart tyle, co wielu, wielu Utahów.

- Kto to będzie?

- Nazwę ci tylko jednego: Old Fireband!

- To bohater; jest on, wśród białych twarzy tym, czym grizzly między psami preriowymi - przyznał wódz. - Ale ten byłby jedy-nym; drugiego mściciela nie możesz mi wymienić.

-- O, wielu, wielu jeszcze mogę przytoczyć, ale wspomnę tylko jednego: Winnetou!

- Milcz! On jest wodzem Apaczów! Biali czują się za słabi wobec nas. Posiali do Nawahów i podjudzili ich przeciw nam.

- Wiesz już o tym?

- Oczywiście Wielkiego Wilka są bystre, a uszu jego nie ujdzie żaden szmer. Czy Nawahowie nie należą do szczepu Apaczów? Czyż więc nie

musimy uważać Winnetou za naszego wroga? Biada mu, jeśli wpadnie w nasze ręce!

- Wtedy biada i wam! Ostrzegam de. Mielibyście wówczas prze-ow sobie nie tylko białych wojowników, ale także wiele tysięcy

231

wojowników Meskalerów, Lianerów, Xikarillasów, Tarakonów, N wahów, Czrigamiów, Pilanenjów, Lipanów, Copperów, Gilasów i IV mbrejów, którzy wszyscy należą do szczepu Apaczów. Ci pociągnęli! przeciw wam, a biali nie potrzebowaliby nic robić, tylko spokojnie i przyglądać, jak Utahowie i Apacze nawzajem się mordują. C rzeczywiście mądry Wilk chce swym białym wrogom sprawić tai radość?

Wódz patrzył przed siebie.

- Powiedziałeś prawdę, ale blade twarze napierają na nas wszystkich stron; oni nas zalewają swą liczbą, a czerwony mąż je skazany na powolną i pełną męczarni śmierć z uduszenia. Czyż wi nie lepiej dla niego prowadzić walkę, aby prędzej umarł i prędz został wytępiony? Przyszłość, którą mi ukazałeś, nie może mnie powstrzymać, lecz tylko umacnia w tym, aby używać topora wojen-nego bez żadnej litości i względów. Nie zadawaj sobie trudu; pozostanie tak, jak powiedziałem. A może masz nadzieję, że nam umkniesz? Czy wiesz, ilu wojowników mam ze sobą? Jest ich dwustu!

- Tylko? Może ci opowiadano, że większe gromady na próżno wysilały się, aby mnie pojmać albo zatrzymać? Czy nie słyszałeś jeszcze, jaką broń posiadam?

- Masz podobno karabin, z którego można strzelać bez przerwy, ale to jest niemożliwe; nie wierzę w to.

- Czy mam ci pokazać?

- Tak! Pokaż! - zawołał wódz zachwycony, że będzie mógł zobaczyć tę tajemniczą i legendarną broń, o której tyle słyszał.

- A więc przyniosę ją!

Powstawszy, podszedł do skały, aby przynieść sztucer. W obecnym położeniu musiał przede wszystkim starać się o to, aby przerazić i oszołomić Indian mimo ich przewagi, a do tego celu najlepiej, nadawała się jego strzelba. Indianie uważali ją za broń czarodziejską którą Wielki Manitou dał słynnemu myśliwemu, aby go uczynił niezwyciężonym.

Jemmy podał sztucer ze skały westmanowi, a ten powróciwszy wodza, wyciągnął wolno broń ku niemu i rzekł:

- Oto jest strzelba; weź ją i obejrzyj!

Już czerwonoskóry wyciągnął rękę po broń, ale cofnął się i zapytał
- Czy może jej dotknąć kto inny prócz ciebie? Jeśli to rzeczywiście czarodziejska strzelba, to każdemu, do kogo nie nale musi grozić niebezpieczeństwo, skoro tylko jej dotknie.

- Nie mogę ci zdradzić tajemnicy. Weź ją i sam spróbuj!

Trzymając sztucer w prawej ręce, położył palec na bębenu,

232

go lekkim, zupełnie niedostrzegalnym ruchem tac obrócić, żeby przy naj?nniejszym poruszeniu musiał nastąpić strzał. Jego bystre oczy zauważyły grupę kilku czerwonoskórych, którzy : ciekawości opuścili swe obronne stanowisko i teraz stali obok siebie na brzegu polany. Grupa ta tworzyła tak dobry cel, że kula, nawet niezupełnie dokładnie wycelowana, musiała trafić jednego z Utahów.

Teraz szło tylko o to, czy wódz chwyci za karabin. Był wprawdzie mniej przesądny niż inni czerwonoskórzy, ale jednak niezupełnie dowierzał strzelbie.

Old Shatterhand ujął teraz szlucer obu rękami i zbliżył się do wodza, tak że lufa była skierowana w grupę Indian. Ciekawość Wielkiego Wilka przewyższała jednak obawę, więc chwycił za strzelbę. W tej samej chwili huknął strzał, a tam, gdzie sta li Indianie, rozległ się krzyk. Wielki Wilk przerażony upuścił sztucer. Jeden z Indian zosta' raniony.

- Czy ja go zraniłem? - zapytał wódz zmieszany.

- A któż inny? - odpowiedział Old Shatterhand. - To by!,,! dopiero przestroga; przy następnym poruszeniu karabinu sprawa

byłaby gorsza. Pozwalam ci dotknąć go powtórnie ale ostrzegam cię;

kula teraz...

- Nie! Nie! - zawołał wódz odpychając go obu rękami. - To naprawdę zaczarowana strzelba, przeznaczona tylko dla ciebie!

- To bardzo mądrze z twojej strony - oświadczył Old Shatter-hand poważnie. - Otrzymałeś tylko małą nauczkę. Następnym razem byłoby gorzej. Spójrz na ten mały klon nad potoaem. Jest zaledwie na dwa palce gruby; zrobię w nim jednak dziesięć otworów, które będą oddalone od siebie dokładnie na grubość paka.

Podniósłszy szlucer, złożył się, wycelowował v, kleń i nacisnął - raz - trzy - siedem - dziesięć razy. Potem rzekł:

- Idź i zobacz! Tak strzela czarodziejska strzdba!

Wódz podszedł ku drzewku, a Old Shatterhand zobaczył, że mierzył odległość otworów palcem. Kilku czerwonoskórych, wiedzio-nych ciekawością, wyszło ze swych kryjówek i podeszło ku niemu. Skorzystał z tego myśliwy, aby szybko wiezyc w bębenek, poruszający się numośrodkowo, nowe naboje.

- Uff, uff, uff! - słyszał okrzyki.

Jeśli dla Indian było prawdziwym cudem już to, że sztucer oddał tyte strzałów bez nabijania, to teraz podziw ich jeszcze się zwiększył, gdy widzieli, że nie tylko żadna kula nie chybiła, ale że wszystkie przebiły cienki klon dokładnie na grubość palca jedna nad drugą.

Wódz powróciwszy, usiadł znowu i skinieniem ręki yezwał myśliwego,

233

aby poszedł za jego przykładem. Przez dłuższą chwilę milczał p;ui,::ac w ziemię; wreszcie rzeki:

- Widzę, że jesteś ulubieńcem Wielkiego Ducha. Słyszałem o twojej strzelbie, ale nie mogłem w to uwierzyć. Teraz wiem, ;'" mówiono prawdę.
- Bądź więc ostrożny i rozważ dobrze, co czynisz. Chcesz n;

pochwyć i zabić? Spróbuj! Nie mam nic przeciw temu. Jeśli pote;
policzycie wojowników, którzy padną od moich ku!, to w waszej w rozlegnie się
okrzyk żałobny kobiet i dzieci po zabitych, wtedy jedne nie mnie, lecz sobie
będziesz musiał przypisać całkowitą winę.
- Czy sądzisz, że damy si? wystrzelać? Musicie się podda;

choć ani jeden strzał nie padnie. Jesteście otoczeni, a nie macie c jeść.
Będziemy was oblegać tak długo, aż głód zmusi was do złożeni broni.
- To możesz długo czekać. Mamy wodę do picia i mięsa po dostatkiem. Tam si'oja
nasze zwierzęta, cztery konie, których mięser rnożemy się żywić przez wiele
tygodni. Ale do tego nie dojdzie, b przebijemy się przez was. Ja pójdę przodem i
będę siał kuję za kula a jak dobrze trafiam, widziałeś sam.
- Będziemy stać za drzewami!
- Czy myślisz, że to was osłoni przed moją czarodziejską strzel ba? Miej się na
baczności.' Ty byłbyś pierwszy, do którego być mierzył. Jestem przyjacielem
czerwonych mężów i byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiał tylu z was zabić. Już
teraz oplakujecie ciężki. straty, a kiedy rozpocznie się walka z białyroi
żołnierzami i Nawaha-mi, padnie jeszcze wielu, wielu waszych wojowników. Dlatego
nie powinniście zmuszać nas, abyśmy siali śmierć w szeregach Utahów.

Te poważne słowa wywarły wrażenie. Wódz patrzył długo przez siebie, siedząc
nieruchomo jak posąg. Potem wyrzekł prawie z ubole-waniem: !
- Gdybyśmy nie byli przysięgali, że zabijemy każdą bladą twarz, to może
pozwolilibyśmy wam odejść; ale przysięgi musi się dotrzymać!
- '• Nie! Przysięgę można cofnąć.
- Ale tylko wtedy, gdy pozwoli na to wielka narada. Ja jestsm jednak tutaj
jedynym wodzem; z kła mam się n-radzać?

A więc Old Sliatterhand doprowadził wodza do tego, że nie nastawał już na ich
życie. Kiedy mówił teraz o naradzaniu się, to największe niebezpieczeństwo
minęło. Myśliwy znał zwyczaje czer-wonoskórych, dlatego milczał czekając, co
Wielki Wilk dalej powie.

Ten objął badawczym spojrzeniem polanę. Myślał naturalnie,
czyby nie można było jednak mimo niebezpiecznej czarodziej sidej
234

su-zelby dostać tych białych w swe ręce, wreszcie odezwał się, wzdy-chając
głęboko nad tym, że mając dwustu ludzi przeciw czterem, zmuszony jest czynić
ustępstwa.

- Ja sam nie mogę cofnąć mojej przysięgi; muszę mnie z nie} zwolnić tylko
zgromadzenie starszych. Dlatego pójdziecie z nami jako jeńcy, aby dowiedzieć
się, co postanowi o was rada.
- Phhaw! Jeńcem może być tylko ten, kto został pojmany. Poje-dziemy z wami, ale
nie jako jeńcy.
- Więc nie chcecie wydać waszej broni i nie pozwolicie się związać?
- Nie! W żadnym wypadku!
- Uff! To powiem ci jeszcze jedno. Jeśli nie zgodzisz się na to, będziemy was
oblegać mimo twojej czarodziejskiej strzelby, jeśli zaś ruszycie teraz
dobrowolnie z nami do naszej wsi, to zatrzymacie waszą broń i konie i nie
zostaniecie również związani. Będziemy postępować zupełnie tak, jakbyśmy żyli z
wami w pokoju; ale musicie nam zaprzysiąc, że poddacie się postanowieniom rady
bez żadnego oporu. Powiedziałem. Howgfa!

To słowo było dowodem, że teraz w żadnym razie nie ustąpi: Old
Shatterhand był zrapefaue zadowolony z wyniku rozmowy. Gdyby
Indianie chcieli obecnie naprawdę przejść do ataku, nikt nie uszedłby cało.
Dlatego odpowiedział:

- Wielki Wilk pozna, że jestem jego przyjacielem. Poddamy się bez oporu postanowieniom starszych.
 - Weź twój kałmiet i przysięgnij, że tak uczynisz.
- Oid Shatterhaud odwiązał ze sznura fajkę pokoju, napełnił ją szczyptą tytoniu i zapalił przy pomocy punksa -krzesiwo), potem, wypuściwszy dym ku niebu i ziemi, i w cztery strony świata, rzekł:
- Przrzekam, że nie będziemy myśleć o oporze.
 - Howgh! - stwierdził wódz. - Teraz jest dobrze.
 - Nie, bo i ty musisz stwierdzić przysięgą swe przrzeczenie
 - oświadczył Old Shatterhand podając wodzowi fajkę.

Ten liczył v/ duszy na to, że Old Shatterhand nie pomyśli o tym. W tym wypadku nie czułby się związany przrzeczeniem i postąpiłby z białymi według własnej woli, gdyby tylko zeszedli ze skały. Jednak zgodził się na żądanie bez oporu, wziął fajkę i wydmuchnąwszy dym w ten sam sposób ku niebu, ziemi i czterem stronom świata, rzekł:

- Czterem bladym twarzom nie stanie się z naszej strony nic

złego, dopóki rada starszych nie poweźmie postanowienia co do ich losu. Howgh! Teraz oddawszy kalumet Old Shatterhandowi, podszedł do Knoxa

235

i Hiltona, którzy leżeli ciągle w tej samej pozycji, jak zostali powaleni.

- Do tych nie odnosi się moje przrzeczenie - powiedział.
 - Należą do morderców, bo poznaliśmy ich konie jako nasze.
- Szczęście dla nich, jeśli twoja ręka zabrała im dusze. Czy są zabici?
- Nie - odpowiedział OSd Sliatterhand, którego oka nie uszło. że ci dwaj w czasie rozmowy podnieśli raz ostrożnie głowy, aby się rozejrzeć. - Nie są zabici, udają tylko nieżywych, bo myślą, że ich tutaj pozostawimy.
 - To niechaj się te psy podniosą, inaczej zmiażdżę ich pod nogami! - zawołał wódz wymierzwszy każdemu z nich tak potężną;

kopnięcie, że zaniechali udawania nieprzytomnych i podnieśli się.

- Dziś rano umknęliście moim wojownikom - odezwał się Wilk gniewnie. - Teraz oddał was Wielki Manitou w moje ręce i będziecie tak wyć przy palu męczeńskim za popełnione morderstwa, że usłyszą to wszystkie blade twarze w górach.
- Morderstwa? - zapytał Knox. - O tym nic nie wiemy. Kogo mieliśmy zabić?
- Milcz, psie! Znamy was, a te blade twarze, które przez wa' wpadły w nasze ręce, wiedzą, co uczyniliście!

Knox był człowiekiem chytrym; wiedział, że Old Shatterhand stoi cały i zdrowy obok wodza, a Indianie nie wazyli się porwać na tego sławnego westmana. Kto znajdował się pod jego opieką, był równie bezpieczny jak on sam; dlatego drab wpadł na pewną myśl, którą uważał za jedyny ratunek. Old Shatterhand był białym, musiał więc ująć się za białym u czerwonoskórych. Tak przynajmniej myślał Knox,

- Naturalnie - rzekł - muszę wiedzieć, co uczyniliście, bo jechaliśmy przecież z nimi i od tygodni już jesteście razem. Zapyta;

Old Shatterhand; ten ci wyjaśni i udowodni, że nie możemy być tymi za których nas uważasz.

- Mylicie się - oświadczył westman. - Nie popełnię kłamstwa aby was wydrzeć zasłużonej karze. Wiecie, co o was myślę, powiedziałem to i zdania nie zmieniam.
- Do pioruna! Jeśli tak, to i ja wiem, co mam robić. Nie chcecie nas ratować? Dobrze, zginiecie razem z nami! - A zwracając się do wodza, mówił dalej: - Dlaczego nie każesz związać i tych czterech? Oni także brali udział w rabunku koni i właśnie od ich kuł padło „najwięcej waszych ludzi!

Była to niezwykła bezczelność, ale natychmiast też nastąpiła kara.

Oczy wodza zabłysły. Miotając pioruny, wrzasnął:

- Tchorzu! Nie masz odwagi sam ponosić winy i zrzucasz ją na innych, wobec których jesteś smrodliwą ropuchą! Dlatego kara twoja

236

rozpocznie się nie dopiero przy palu męczeńskim, ale już teraz.

Zabiorę ci skalp, a ty będziesz żył i będziesz go widział u mego pasa.

Nani wieź, nani wieź! - Mój nóż; mój nóż!

- Na miłość boską! - zawołał zagrożony. - Za życia oskal-powany? Nie, nie!

Wykonał skok, chcąc uciec, ale wódz równie szybko skoczył za nim i chwycił go za kark; krótkie przyciśnięcie silną ręką i Knox zawisnął w niej bezwładnie jak szmata.

Jeden z Indian przyskoczył, podając wodzowi nóż, ten wziął go, rzucił na pół uduszonego na ziemię i ukląkł nad nim. Nastąpiły trzy szybkie cięcia, szarpnięcie za włosy, straszny krzyk leżącego pod nim i... wódz podniósł się, trzymając w lewej ręce krwawy skalp. Knox nie poruszał się, bo znowu stracił przytomność; czaszka jego przedstawiała straszny widok.

- Tak będzie z każdym psem, który szarpie czerwonych mężów,

a poterii chce zgubić niewinnych! - zawołał Wielki Wilk zatykając skalp za pas. Hilton ze zgrozą widział, co się jego towarzyszowi przydarzyło, a z przerażenia stracił zdolność ruchu; powoli opadł na ziemię obok oskalpowanego i usiadł, nie mówiąc ani słowa. Wódz przywołał znakiem ręki Indian; wkrótce polana zaroiła się od nich; Hilton i Knox zostali związani rzemieniami.

Kiedy Wielki Wilk mówił o skalpowaniu, Old Shatterhand wyszedł

na skałę, aby nie być świadkiem okrutnej sceny i zawiadomił towarzyszy o wyniku rozmowy.

- To źle! - odezwa! się Jemmy. - Czy nie mogliście sprawić,

aby nas całkiem uwolniono? A może byłoby lepiej, gdybyście dopuścili do walki?

- Z pewnością nie! Bylibyśmy to w każdym razie przypłacili życiem.

- Oho! Bronilibyśmy się, a ze względu na strach, jaki czerwono-skórzy czują przed sztuczerem, nie trzeba było tracić nadziei. Na pewno by nie odważyli się zbliżyć.

- Prawdopodobnie; lecz za to wygłodziliby nas. Mówiłem wprawdzie o tym, że zjedlibyśmy konie, ale prędzej umarłbym z głodu, niżbym miał zabić mojego karego.

- Czerwonoskórzy nie stoją zapewne w gęstych szeregach obok lub za sobą; skoro by tylko zmierzch zapadł, moglibyśmy się byli ześliznąć ze skały; dwa strzały i przebilibyśmy się.

- Ale co potem? Indianie z pewnością rozpaliliby ogień dookoła i natychmiast spostrzegli nasz zamiar ucieczki. A nawet gdyby się uam

237

udało przebić przez ich szeregi, to niestety, niezbyt daleko, bo mieli-byśmy ich na piętach. Trzeba by było zabić kilku z nich, wyrzekając się zupełnie nadziei, że nas w razie pojmania oszczędzą.

- Do czego jednak doprowadzi to, że pójdziemy z nimi? - na-stawał Jemmy. - Należy przecież przypuszczać, że zgromadzenie starszych będzie nas uważać za nieprzyjaciół.

- Tego bym im nie radził! - odgrażał się Frank. - Przy tym miałbym i ja jakieś słówko do dorzucenia. Mnie tak łatwo nie poprowadzą do pala męczeńskiego. Będę się bronił przed tym rękami

i nogami.

- Tego nie możesz zrobić, na to złożono przysięgę. Musimy

zgodzić się na wszystko spokojnie.

- Kto to powiedział? Czy rzeczywiście nie widzisz tego, ty nędzny mydłku, że ta przysięga ma swoje kaprysy i przenośnie? Przecież nasz sławny Old Shatterhand podniósł sobie przy jej pomocy bardzo zręcznie tylną portierę! Nie było mowy o tym, że musimy poddać się wszystkiemu, tylko że, jak słyszałeś już, nie będziemy myśleć o oporze.

Dobrze, tego dotrzymamy. Niech postanawiają, co chcą, o to nie będziemy kruszyć kopii; ale podstęp, to najważniejsze; podstęp to nie żaden opór! Ty jednak mnie nie rozumiesz, Jemmy! Jeśli kiedy zamknę oczy, zniknę z tego pięknego bytu i stracę to szlachetne życie przez twój brak szacunku, to będziesz sobie palce gryzł z żalu i bólu nad tym, żeś mi na tym ziemskim padole tak często i chronologicznie się sprzeciwiał!

Jemmy chciał małemu osobliwemu człowiekowi odpowiedzieć iro-nicznie, ale Old Shatterhand skinął na niego i rzeki:

- Frank mnie dobrze zrozumiał. Wyrzekłem się oporu, ale nie podstępu. Jednakże wolałbym nie być zmuszony do tak wykrętnego tłumaczenia swego przyrzeczenia. Spodziewam się, że będziemy mieć pod ręką jeszcze inne i uczciwsze środki. Teraz jednak mamy przede wszystkim z chwilą obecną do czynienia.

- A przede wszystkim idzie o to - wtrącił Davy - czy możemy ufać czerwonoskórym. Wielki Wilk dotrzyma, słowa?

- Z całą pewnością. Jeszcze nigdy wódz nie złamał przysięgi, którą przypieczętował zapaleniem kalumetu. Aż do narady możemy się śmiało z zamkniętym) oczyma powierzyć Utahom. No, schodźmy i wsiadajmy na konie. Indianie gotują się już do wymarszu!

Knoxa i Hiltona Indianie przywiązali do koni; pierwszy z nich, który znajdował się jeszcze w głębokim omdleniu, leżał na grzbiecie wierzchowca z rękami przeciągniętymi dookoła jego szyi. Utahowie wjeżdżali jeden za drugim na wąską ścieżkę; wódz jechał ostatni,

238

czekając na białych, aby się do nich przyłączyć. Było to pomyślnym znakiem, bo myśliwi przypuszczali, że Indianie wezmą ich w środek i będą strzec bardzo surowo.

Widać było, że Indianom bardzo się spieszy, jechali bowiem przeważnie klusem, nie zwracając najmniejszej uwagi na obu skrępo-wanych jeńców. Pod wieczór dopiero dotarto do pierwszych występów górskich. Odtąd jechano ciągle pod górę. Dopiero około północy zdawało się, że docierają do celu, bo wódz wydał kilka Indianom rozkaz, aby pojechali przodem, oznajmić o przybyciu wojowników.

Koryto i tak już dość szerokiej rzeki, której brzegami teraz jechali, coraz bardziej się rozstępowało, aż wreszcie mimo jasnego światła księżyca nie można już było więcej rozemnać jego krawędzi, tak oddaliły się od siebie.

Las, który początkowo po obu stronach sięgał prawie wody, cofnął się również, aż wreszcie otwarła się przed nim pokryta trawą sawanna, na której ujrzano w dali blask płonących ognisk.

- Uffi - dał się słyszeć głos wodza. - Tara leżą namioty mojego szczepu i tam rozstrzygnie się los białych twarzy.

- Czy jeszcze dzisiaj? - starał się dowiedzieć Old Shatterhand.

- Nie. Moi wojownicy potrzebują wypoczynku, a wasza walka o życie będzie trwać długo i sprawi nam większą radość, jeśli się przedtem wzmocnicie snem.

- Wcale nieźle! - odezwał się Jemmy szeptem. - Nasza walka o życie! Mówi zupełnie tak, jakbyśmy w ogóle nie mogli ujść pala. męczeńskiego. Co ty na to, stary Franku?

- Na razie nic - odpowiedział mały. - Będę mówił dopiero wtedy, kiedy nadejdzie pora. Teraz powiem tylko tyle, że wcale nie mam wrażenia, abym miał umrzeć. Czekajmy więc cierpliwie. Gdyby jednak brutalną przemocą chciano mnie wysłać do moich przodków, to będę bronił swej skóry i wiem z pewnością, że nad moim grobow-cem będzie zawodzić wiele wdów i sierot po tych, których przedtem wyekspeduję do Elizy.

- Do Elizjum, chciałeś pewnie powiedzieć? - zapytał grubas.

- Nie pleć głupstw! Eliza to imię czysto anielskie. Jestem dobrym chrześcijaninem i nie chcę mieć nic wspólnego ze starożytnym Elizjum.

Nadeszła chwila powitania. Mieszkańcy wsi wyruszyli gromadnie na spotkanie powracających wojowników; na przedzie szli mężczyźni i chłopcy, za nimi kobiety i dziewczęta, a wszyscy krzyczeli co sił w piersiach.

Old Shatterhand spodziewał się malej osady, lecz !cu swemu

239

rozczarowaniu spostrzegł, że był w błędzie. Ilość ognisk wskazywała, iż zgromadziło się tu o wiele, wiele więcej wojowników, niż mogły pomieścić namioty. Zebrali się bowiem mieszkańcy licznych wsi Uta" hów, aby uplanować zemstę na białych.

Kiedy dotarto do obozu, Old Shatterhand ujrzał namioty ze skóry bizonów i baraki wzniesione naprędce z gałęzi, tworzące koło, w którego środku zatrzymał się oddział. Tutaj odwiązano od koni obu jeńców i rzucono na ziemię. Straszne jęki ранego K-noxa zagłuszyło wycie czerwonoskórych. Teraz przyprowadzono pozostałych białych;

wojownicy utworzyli wielkie koło, a kobiety i dziewczęta wystąpiły naprzód, aby wśród wrzasku wykonać taniec dokoła pojmanych.

Była to jedna z największych obelg, jakie istniały, bo pozwolenie kobietom na taniec dokoła jeńców oznaczało odmówienie im czci i odwagi. Kto by to zniósł bez oporu, naraziłby się na pogardę. Old Shatterhand krzyknął więc kilka słów do swoich towarzyszy, na co ci uklękli i złożyli karabiny do strzału, myśliwy zaś wystrzelił z n;e-dźwiedziówki, której huk zagłuszył wycie tłumu, i przyłożył potem sztucer do policzka.

Natychmiast nastąpiło głębokie milczenie.

- Co to znaczy? - zawołał tak głośno, aby go wszyscy słysz

- Wypaliłem z Wielkim Wiikiem fajkę narady i zgodziłem się na aby wojownicy Utahów rozmówili się ze sobą, czy mamy być tr;

towani jak wrogowie, czy jako przyjaciele. Ale nawet gdybyśmy b>l;

jeńcami, nie ścierpiałbyrn, aby pozwolono kobietom i dziewczę': c m tańczyć dokoła nas, niczym tchórzliwych kujotów. Jest nas czterech wojowników, a mężów Utahów można liczyć n?, setki; mimo to pytam, kto z was odważy się obrazić Old Shattelhanda? Niechaj wystąpi i walczy ze mną! Miejcie się na baczości! Widzieliście moją strzelbę i wiecie, jak ona niesie. Jeśli tylko kobiety poważą ;•' rozpoznać taniec na nowo, przemówią nasze karabiny, a miejsce zarumieni się krwią wiarołomnych, którzy nie baczą na świętą fa narady! Wystąpienie to wywołało wielkie wrażenie. Odwaga, z jaką śła'.'-westman wypowiedział swe groźby wobec tak wielkiej liczby przeciwników, przypadła do smaku, czerwonoskórym.

Kobiety i dziewczęta cofnęły się teraz nie czekając rozkazu, n;

czyźni zaś poczęli półgłosem robić uwagi; najwyraźniej słyhać b „Old Shatterhand” i „strzelba śmierci”. Kilku Indian, ozdobion' piórami, zagadnęło Wielkiego Wilka; zbliżył się do myśliwych i -.;• zwał się w języku Utahów, którego użył także Old Shatterhand.

- Wódz Yamba-Utahów szanuje kalumet narady i pamięta,

240

nrzrzekł! Jutro, skoro dzień nastanie, rozstrzygnie się los czterech bladych twarzy, a do tego czasu pozostaną oni w namiocie, który im teraz wskażę. Tamci dwaj jednak są mordercami i ich moja obietnica nie dotyczy; umrą tak, jak żyli - ociekając krwią. Howgh! Czy Old Shatterhand zgadza się na moje słowa?

_ Tak! - odpowiedział zapylany. - Jednak żądam, aby nasze konie pozostały w pobliżu namiotu.

- I na to pozwolę, chociaż nie widzę powodu, dla którego Old Shatterhand wypowiada takie życzenie. Czy myśli może, że będzie mógł uciec? Ja mu powiadam, że jego namiot będzie otoczony kilka-krotnym pierścieniem wojowników, tak iż nawet mysz się nie wymknie.

- Przyrzekłem, że zaczekam na wynik narady; nie potrzebujesz

•więc stawiać przy nas żadnych strażników. Jeśli mimo to zechcesz to uczynić - nie mam nic przeciw temu.

Wszyscy czterej poszli za wodzem. Indianie, utworzywszy szpaler, przyglądali się im wzrokiem nieśmiałym i pełnym szacunku.

Białym wyznaczono jeden z największych namiotów. Po obu stronach wejścia tkwiło w ziemi kilka dzid, a trzy orle pióra, zdobiące ich ostrza, pozwalały przypuszczać, że jest to mieszkanie wodza.

Drzwi zastępowała rogoża, teraz podniesiona; w odległości zaledwie pięciu kroków płonęło ognisko, oświetlając wnętrze wigwamu.

Myśliwi weszli do środka, złożyli broń i usiedli. Wódz oddalił się, lecz już po chwili kilku czerwonoskórych usadowiło się wokół namiotu.

Wkrótce jakaś młoda kobieta postawiła przed białymi dwa naczynia. Stary garnek zawierał wodę, a w wielkim żelaznym rondlu leżało kilka kawałków mięsa.

- Oho! - uśmiechnął się Hobbie-Frank. - To pewnie obiad dla nas. Garnczek z wodą, to pięknie! Te draby tumania; z podziwu nad ich przyborami kuchennymi można ręce załamać. ! mięso bizona, przynajmniej osiem funtów! Chyba go nie natarto trucizną na szczury?

- Trucizna na szczury! - śmiał się grubas. - Skąd by Utahowie mieli taki smakołyk? Zresztą, to mięso z tosia, a nie z bizona.

- Już znowu wiesz lepiej niż ja? Cokolwiek bym zrobił lub mówił, zaraz musisz się wtrącać. Dziś jednak nie będę się z tobą spierał, lecz rzucę ci tylko miażdżące spojrzenie, z którego możesz poznać, jak nieskończenie wyżej wznosi się moja osobistość ponad twoją pigmentową postać.

- Pigmejską postać! - poprawił Jemmy.

- Czy będziesz ty milczał, chociaż przez dwanaście sześć ósmych taktów?! Nie doprowadzaj mej żółci do wzburzenia, lecz okaż

.16-Skarb..

241

szacunek, do jakiego mogę słusznie mieć pretensje na pods; niezwykłych kolei mojego życia! Tylko pod tym warunkiem r się zniżyć do takiej popularności, że zleję na tę pieczeń b;

sławieństwo mego niekłamane go talentu kucharskiego.

- Piecz ją! - skinął Old Shatterhand, aby odwrócić u, małego w inną stronę.

- Naturalnie! Łatwo to powiedzieć! Ale skąd wezmę cebuli i

ków bobkowych? Zresztą, nie wiem nawet, czy mogę zbliżyć z rondlem do ognia.

-•- Spróbuj!

- Tak, spróbuj! Jeśli te draby nie ścierpła tego i wsadzą mi i w brzuch, będzie mi wtedy zupełnie obojętne, czy mięso to aied/:

pod skórą łosia, czy bizona. No, hopla, wychodzę!

Poniósł rondel z mięsem do ogniska i usiadł przy nim j. -.-kucharz, nie spotkawszy się z żadnym oporem ze strony strażników.,1 Reszta białych pozostała w namiocie i przyglądała się przez otwarte drzwi życiu Indian.

Księżyc zesłał teraz na ziemię blaitk jasny jak v/ dzień, a światł jego padało na ciemny, pokryty lasem trzon pobliskiej góry, po któn wiła się w dół szeroka, połyskująca srebrna wstęga - rzeczka lu większy potok, rozlewający się w dość obszerną kotlinkę, wyglądająca prawie jak jezioro; odpływ jego tworzył bieg rzeki, której brzegiem przybyto do obozu. W pobliżu nie było, jak się zdawało, ani krzaka ani drzew, a okolica jeziora była płaska i otwarta jak talerz.

Przy ogniskach siedzieli Indianie, przyglądając się kobietom za tym pieczeniem mięsa. Czasem podniósł się jeden lub drugi i przed dząc powoli przed namiotem, przypatrywał się białym.

Po upływie godziny powrócił Hobbie-Frank z dymiącym rondle) usiadł obok towarzyszy i rzekł buńczucznie:

- Macie te wspaniałości! Jestem ciekawy, jak długo będzieci oblizywać palce.

Wprawdzie brak korzeni, ale dzięki wrodzone'-talentowi łatwo sobie poradziłem.

- W jaki sposób? - zapytał Jemmy przysuwając swój ma.., nosek do rondla. „

Mięso nie tylko skwierczało, ale unosił się nad nim dym, a namii w przeciagu kilku minut napełnił się ostrą wonią spalenizny.

- W tak prosty sposób, że skutek jest prawdziwie cudowi

- odpowiedział mały. - Czytałem kiedyś, że węgle drzewne nie tyl!< zastępują sól, której nam brak, ale także odbierają mięsu nie dość nr woń. Nasza pieczeń była cokolwiek przytęchła, dlatego chwyciłem s->' owego środka i posmarowałem ją popiołem z drzewa. Wprawdzie

242

sień zajrzał mi przy tym do rondla, ale to właśnie, jak mi przeczucie '- ucharskie wskazuje, nada jej niezwykłego smaku.

_ O biada! Pieczeń łosia w popiele drzewnym! Czyś ty oszalał?! _ Nie gadaj byle czego! Instykt nigdy mnie nie zawodzi. Powi-nienes wreszcie o tym wiedzieć. Popiół jest chemicznym wrogiem wszelkiej alcbemistycznej nieczystości. Jedz więc tego łosia z należytą rozważą! To ci zrobi bardzo dobrze, a twej twardej głowie da potrzebne siły cielesne i duchowe.

_ Ależ - odezwał się Jcmmy wstrzasając głową - przecież sam mówisz, że ogień dostał się do rondla. Mięso więc jest spalone.

- Nie śpiewaj, tylko jedz! - krzyknął Frank. - Bo może ci się otworzyć nieodpowiednie gardło i potrawa pójdzie do śledziony za-miast do żołądka.

- Tak, jedz! A kto to ugryzie? Czy to jest mięso?

Nabiwszy kawałek polędwicy na nóż, podsunął ją małemu pod nos. Mięso było spalone i otoczone ciemną, tłustą warstwą popiołu.

- Naturalnie, że mięso. Cóż by to było innego? - odpowiedział Frank, nie zbity z tropu.

- Ale czarne jak chiński tusz!

- Ugryź no tylko, a będzie d cudownie smakować!

- Wierzę! A ten popiół?

- Zeskrobie się i oczyści.

- Pokaż mi to przedtem!

- Z elektryczną szybkością! - wyjawszy kawałek pieczeni, tarł ją tak długo o skórę namiolu, aż popiół przylepił się do niej.

- Tak należy sobie poczynać! - ciągnął dalej. - Tobie jednak brak zręczności w palcach i przytomności umysłu. A teraz zobaczysz, jaki ma delikatny smak taki koniuszek, który obecnie odcinam, aby rozetrzeć na języku. Wtedy...

Nagle przerwał. Ugryzłszy kawałek, rozwarł szeroko zęby, otworzył usta i w osłupieniu spoglądał na towarzysza.

- No - nalegał Jemmy - gryźże!

- Gryź?! Jak? Diabli wiedzą, co tak chrupie i trzeszczy, zupełnis jak... jak... jak, no, jak pieczona miotła! Kto by to pomyślał?!

- To było do przewidzenia. Jestem przekonany, że ten stary rondel miększy jest niż to mięso. Teraz możesz samzjeść wytwór swojego ducha!

- No, może się znajdzie chociaż kawałek, który jeszcze nie doszedł do tak wielkiej stałości charakteru. Poszukamy.

Na szczęście znalazło się kilka kawałków, które jako tako dały się zjeść i wystarczył)' na cztery osoby, ale Frank, bądź co bądź, zwiesił nos na kwintę.

243

Rano Knox i Hiltoa mieli umrzeć przy palu męczeńskim;

taiych białych czekał może podobny los. To dawało Indianom ;

ność urzędzenia wielkiej uroczystości, do której musieli się pr;

wać; dlatego wkrótce udali się na spoczynek. Pogaszono -

z wyjątkiem dwóch, a mianowicie przed namiotem, w któryr

dował się Old Shatterha-ad ze swymi towarzyszami, i prze

w którym leżeli pod strażą Knox i Hilton. Dookoła pier ;u

rozłożyli się czerwonoskórzy w trzech rzędach; przed wsią stały .,.,•;-liczne strażę.

Old Shatterhaad nie chcąc, aby wzrok Indian przez całą cc;; by) na nich skierowany, opuścił rogożę przy drzwiach i teraz biali ! dęli w ciemnościach, na próżno starając się zasnąć.

- Co będzie z nami jutro o tej porze? - spytał Davy. - Może oni nas wyślą do wiecznych ostępów?

- A przynajmniej dwu lub trzech z nas - odpowiedział Jenur:y,

- Jak sądzicie, master Shatterhand? :

- Nie wierzę wprawdzie, ażeby nam tak bez niczego darowali życie i wolność, ale myślę, że każą nam o nie walczyć. -

- Do wszystkich diabłów! To by wypadło mniej więcej tak salrijo, jak gdyby nas wprost zamordowali, bo postawią przeciw takie wa:

nki, że będziemy musieli zginąć.

- Naturalnie. Nie powinniśmy jednak tracić odwagi. Białe v;

wał się w szkole czerwonoskórych i posiada tyle chytrych i zręcznych tamten, ale jest o wiele wytrwalszy. Duma wojenna nie pozwoli Ul przeciwstawić nam zbyt wielkiej przewagi. Gdyby to jednak uc:

postaramy się szyderstwem zmusić ich do cofnięcia takich zarzr;

- Ale - odezwał się milczący dotychczas HobbIs-Frank dzieją, którą nam ukazujecie, w każdym razie nie może nas us;

uwić. Tak, wy co prawda z waszymi muskularni i siłą słonia ir;-się śmiać; wy się przerabiecie, przebijecie czy przepchacie, lec:

trzej nieszczęśliwi słabeusze, zażywamy dziś po raz ostatni ri życia.

- Pewnie w postaci twojej pfeczeni z łosia? - zapyta! Jem)]

- Już znowu naprzykrzasz się najserdeczniejszemu przyjać! i towarzyszowi broni na krótko przed ostatnim jego wniebowzięs Nie osłabiaj mi władz umysłowych! Muszę wszystkie zmysły skier na ratowanie naszych skalpów.

Położył się i zamknął oczy. Po drugiej stronie dało się słyszeć co zabrzmiało jakby cichy, stłumiony śmiech, ale nie zważał n Tamci nie prowadzili dalej rozmowy; nastąpiła głęboka cisza, prze;

na czasem tylko trzaskiem ognia. Sen obejmował powoli zmęc

244

wieki które otwarły się dopiero wtedy, kiedy poza namiotem „brzmiały głośnie okrzyki i podniesiono w drzwiach rogożę. Do Środka wszedł jakiś czerwonoskóry.

_ Niech białe twarze wstaną i pójda za mną!

Wstali i wzięli broń. Ogień zgasł, a słońce podniosło się ca v. schodzie, rzucając jasne promienie na górę, tak że spływająca z niej woda lśnią jak płynne złoto, a powierzchnia jeziora błyszczała niczym gładka szyna metalu. Teraz wzrok sięgał dużo dalej niż poprzedniego wieczoru. Rów-nina na której zachodniej stronie leżało jezioro, miała około dwu mii angielskich długości, a połowę szerokości i była otoczona dookoła lasem. W południowej jej części rozbity był obóz, złożony z około stu namiotów i chat. Na brzegu jeziora pasty się konie; wierzchowce czterech myśliwych stały w pobliżu namiotu.

Miedzy chatami i namiotami snuły się czerwone postacie w pełnym rynsztunku wojennym ze względu na uroczystości śmierci obu morder-ców. Kiedy czterej biali przechodzili przed nimi, rozstępowali się uprzejmie, mierzac ich wzrokiem, który można było nazwać raczej badawczym i pełnym zaciekawienia niż nieprzyjaznym.

- Czego chcą te draby? - zapytał Frank. - Gapią się na nas, jakby oglądali konie na targu.

- Badają, jak jesteśmy zbudowani - odpowiedział Old Shatter-hand. - To znak, że słusznie przypuszczałem. Prawdopodobnie los nasz jest już znany. Będziemy musieli walczyć o życie.

- Dobrze! Mojego tanio nie dostaną! Jemmy, boisz się? - Jego gniew na grubasa dawno już minął; w pytaniu zaś czuć było, że więcej myśli o nim niż o sobie.

- Bać się nie boję, ale jestem zaniepokojony. Strach by nam tylko zaszkodził.

Poza obozem wbito w ziemię dwa pale; w pobliżu nich stało paru wojowników ozdobionych piórami, między nimi zaś Wielki Wilk.

- Kazałem sprowadzić blade twarze, aby były świadkami - rzekł - jak czerwoni mężowie zwykli karać swoich wrogów. Zaraz bowiem przyprowadzą morderców. Zginą na palu męczeńskim.

- Wcale nie pragniemy na to patrzeć - odpowiedział Old Shatterhand.

- Czy jesteście tchórzami, 7- mierzi was przelana krew? Jeśli tak, to musielibyśmy z wami poczynać sobie jak z kujotami!

~ Pshaw! Jesteśmy chrześcijanami; jeśli zachodzi kłopotliwość, -byaray naszych wrogów szybko, ale ich nie męczymy!

- ~~ Teraz jesteście u nas i musicie się stosować do naszych

zwyczajów! Jeśli nic zechcecie tego uczyć, obrazicie nas i poniesie śmierć! Old Shatterhand wiedział, że wódz mówi poważnie i że naraz się z towarzyszami na wielkie niebezpieczeństwo, gdyby odm-! asystowania przy wykonaniu wyroku; dlatego oświadczył:

- Pozostaniemy tutaj!

- Dobrze! Usiądźcie przy nas! Ponieważ się zgadzacie na nai żądanie, wyznaczmy wam przeto śmierć zaszczytną.

Usiadł w trawie, obróciwszy się twarzą ku słupom. Inni wodzom uczynili to samo, a biali musieli pójść za ich przykładem.

Wielki Wilk wydał głośny okrzyk, na który odpowiedziało triu falne wycie. Był to znak, że stia-zne widowisko ma się rozpocząć.

Wojownicy utworzyli dookoła słupów półkole, w którego siedzieli wodzowie z białymi. Kobiety i dzieci usadowiły się naprzeciw mężczyznom, zamykając koło.

Teraz przyniesiono Knoxa i Hiltona tak silnie związanych mogli chodzić.

Rzemienie wżarły się im głęboko w ciało; Obu p zano do pali.

Knox miał oczy zamknięte, gorączkował. Był nieprzytomny wiedział, co się z nim działo; Hilton, jęcząc, patrz; '! wokoło wzroki pełnym przerażenia. Na widok myśliwych zawołał:

- Ratujcie mnie, rafujcie, panowie! Przecież nie jesteście pogaś mi. Czy przyszliście przypatrzeć się strasznej śmierci, jaką ponieFiffn i napawać naszymi makami?

- Nie - odpowiedział Old Shatterhand. - Znajdujemy ES z musu i nie możemy, niestety, nic dla was uczynić.

- Możecie, możecie, gdybyście tylko chcieli. Czerwono:

was posłuchają!

Teraz wstał Wielki Wilk i dał znak ręką, że chce mówić. wszystkich skierowały się na niego. Opowiedział krótko, lecz na indiańską kwieciście, co się stało, i przedstawił zdradzieckie po wanie bladych twarzy, z którymi żyli w pokoju, w słowac dobitnych, że czerwonoskórzy z wrażenia poczęli brząkać i poti. bronią. Potem oświadczył, że obaj mordercy zostali skazani na śr przy palu męczeńskim i wykonanie wyroku nastąpi natychn Kiedy skończył i usiadł, Hilton podniósł znowu głos, aby Oid Shat handa zmusić do wstawienia się za nim.

- No, dobrze, spróbuję - odpowiedział myśliwy.

Odwrócił się ku wodzowi, ale jeszcze nie otworzył ust, kiedy Wit Wilk porwał się gniewnie.

- Wksz o tym, że mówię językiem bladych twarzy; .srommi-iłd

246

wiec co przyrzekłeś temu psu. Czyż nie uczyniłem dosyć, postawiwszy . - doeodue warunki? Czy chcesz się sprzeciwić naszemu wyrokowi i rozgniewać moich wojowników, tak że nie będę mógł cię przed nimi obronić? Milcz więc i nie mów ani słowa!

_ Moja religia nakazuje mi wstawić się za nimi. _ Według jakiej religii mamy się kierować, według twojej czy naszej? Czy wasza religia kazała tym psom napadać na nas wśród ngigłębszego pokoju, rabować nasze konie i zabijać naszych

wojow-ników? Nie! A więc wasza religia nie powinna też mieć żadnego wpływu na ukaranie sprawców.

Odwrócił się i dał ręką znak, na który wystąpiło naprzód tuzin wojowników. Potem odwrócił się znowu do Old Shatterhanda i oświadczył:

- Tu stoją krewni tych, którzy zostali pomordowani. Ci mają prawo do zemsty. Ani słowa więcej! Powiedziałem. Howgh!

Wśród nieustannego ryku obu męczonych zaczęła się egzekucja. Old Shatterhand i trzej jego towarzysze odwrócili głowy, aby nie przyglądać się tej scenie. Krzyków jednak musieli wysłuchać.

Indianin ćwiczy się od najmłodszej młodości w znoszeniu cierpień fizycznych, dochodzi więc do tego, że może znieść największe raęczarnie bez zmrużenia powiek. Kiedy Indianin zostanie schwytany i -imiera przy palu męczeńskim, przyjmuje zadawane mu męki z uśmiechem na ustach, śpiewa głośno pieśni, przerywając je tylko od czasu do czasu, aby szydzić i wyśmiewać swych dręczycieli. Ten zaś, idąc żali się na swe cierpienie, spotyka się z ogólną pogardą. Zdarzało się, że biali, których skazano na męki otrzymywali wolność tylko - 'Mego, że przez niegodnego męża skargi okazali, że są tchórzami, których nie potrzeba się obawiać, a których zabicie byłoby dla każdego wojownika hańbą. Toteż można sobie wyobrazić, jakie wrażenie uczyniły rozpaczliwe jęki Knoxa i Hiltona. Indianie odwrócili się od nich, wydając okrzyk oburzenia i pogardy. Teraz jeden z wodzów powstał:

- Ci ludzie nie są warci, aby jaki odważny wojownik podniósł na nich rękę. Oni muszą umrzeć, ale do wiecznych ostępów powinni wejść jako kujoty, które się będzie bez ustaniu szczuć i ścigać. Oddajmy ich psom. Powiedziałem! Howgh!

Rozpoczęła się narada, której wyciuk Old Shatterhand oczekiwał z zgrozą, przewidywając z góry. Kilku Indian oddaliło się, aby sprowokować psy. Wódz tymczasem zwrócił się do czterech białych:

- Psy Utahów są wytresowane przeciw bladym twarzom i rzucają się na nich, kiedy się je poszczuje: wówczas jednak rozdzierają

247

każdego białego, który znajdzie się w pobliżu. Każę więc wam prowadzić i strzec w namiocie, aż zwierzęta na powrót się przytakną. Tak się też stało. Na zewnątrz panowała przez dziesięć minut cisza, przerywana tylko czasem jękami Hiltona. Potem dało się usłyszeć głośne, żaźarte szczekanie, które przeszło w krwiożercze wycie ludzkie wrzasnęły straszliwie w śmiertelnej trwodze, po wszystkim ucichło. Kiedy białych wypuszczono z namiotu, aby poprowadzić psy do sądu, w oddali, w środku obozu, widać było czterech czy - Indian, którzy mieli odprowadzić psy, trzymane na mocnych łańcuchach. Zwierzęta pewno zwiędziały ślady białych, bo jednego - trudno było odciągnąć; obejrzał się w tył, a zobaczywszy myśl, potężnym szarpnięciem wydarł się i rzucił na nich wśród obojętnego krzyku przerażenia; pies był taki wielki i silny, że zdawało się, że po-dobieństwem, aby człowiek mógł podjąć z nim walkę, a przecież; ad; a z Indian nie chciał strzelać do tego cennego zwierzęcia. Davy przyłapał, karabin do oka i wymierzył.

- Stój, nie strzelać! - krzyknął Old Shatterhand. - Indianie mogliby nam wziąć za złe zabicie tego wspaniałego psa, a przy tym chcę im pokazać, co może pięść białego myśliwca!

Słowa te wymówił szybko; w ogóle wszystko odbyło się znacznie prędzej, niż można opowiedzieć lub opisać, gdyż pies przebiegł całą tę przestrzeń prawdziwie tygrysimi skokami. Old Shatterhand wyszedł naprzeciw niego, opuściwszy ręce w dół.

- Zginiesz! - zawołał na niego Wielki Wilk.

- Poczekasz trochę! - odparł myśliwy.

Teraz pies stanął przed nim i, rozwarłszy szeroko pysk, uzbrojony w potężne zęby, rzucił się na przeciwnika, warcząc dziko. Myśliwy wparł żrenice w oczy zwierzęcia, a kiedy pies zebrał się do skoku i już zawisł w powietrzu, rzucił się naprzeciw niego, w mg 'u oka rozłożywszy ramiona. Nastąpiło gwałtowne zderzenie s a z człowiekiem - Old Shatterhand zarzucił ręce na grzbiet zwie i, mierzącego w jego gardło, tak że pies nie mógł go ukasić. Ns1 o jeszcze silniejsze ściśnięcie i pies stracił oddech; nogi, drapiące p, .;-mi, zwisły bezwładnie. Szybkim ruchem lewej ręki myśliwy odeń 'd siebie głowę bestii. Jedno uderzenie prawą pięścią v/ pysk - i o.. - ją daleko od siebie. - Oto leży! - zawołał zwracając się do wodza. - K o związać, aby nie narobił nieszczęścia, jak się obudzi. - Uff, uff, uff! - wydarło się z ust zdumionych Indian, 'ż żaden z nich nie poważylby się na to. Wielki Wilk wydał i-.,-<"z

248 1.

usunięcia psa, podszedł ku Old Shatterhandowi i rzekł z widocznym podziwem: - Mój biały brat jest bohaterem. Nogii żadnego czerwonego nie stałyby tak silnie, a żadnego innego człowieka pierś nie wy-trzymałaby takiego zderzenia. Dlaczego Old Shatterhand nie kazał strzelać? - Bo nie chciałem was pozbawić tego wspaniałego zwierzęcia.

Wódz patrząc na niego wzrokiem, w którym odbijało się zarówno zdumienie, jak i podziw, sam odprowadził go na stronę, gdzie czterej biali mieli usiąść poza kołem Indian, aby nie móc podsłuchać ich narady, a potem wrócił na miejsce, które już przedtem zajmował.

Rozpoczęła się rozstrzygająca narada odbyta w sposób przyjęty u Indian. Najpierw mówił dłuższy czas Wielki Wilk, potem inni wodzowie, jeden po drugim, potem Wilk i inni; zwykli wojownicy nie mogli przemawiać; stali wokoło, przysłuchując się z uszanowaniem.

Narada trwała ze dwie godziny, czas bardzo długi dla tych, których los od niej zależał; powszechne, głośne „howgh” oznajmiło koniec posiedzenia. Sprowadzono białych, którzy musieli wejść w śro-dek koła i wysłuchać postanowienia co do ich losu.

Kiedy myśliwi znaleźli się w kole. Wielki Wilk, podniósłszy się, oświadczył:

- Blade twarze wiedzą, dlaczego wykopaliśmy topory wojenne. Przysięgliśmy zabić wszystkich białych, którzy wpadną w nasze ręce. Wy jesteście przyjaciółmi czerwonych mężów i dlatego nie podzielicie losu innych białych, których schwytamy; ci pójdą zaraz na pal męczeński, wam zaś wolno walczyć o swe życie.

Tu zrobił pauzę, z której Old Shatterhand skorzystawszy zapytał:

- Z kim? Czy my czterej przeciw wam wszystkim? Dobrze, zgadzam się! Moja strzelba śmierci wyśle wielu z was do wiecznych ostępów!

Po tych słowach podniósł sztucer. Wódz nie zdołał ukryć prze-strachu; toteż z szybkim gestem zaprzeczenia odpowiedział:

- Old Shatterhand myli się; każdy z was dostanie przeciwnika, z którym będzie walczył, a zwycięzca ma prawo zabić pokonanego i otrzyma jego własność.

- Zgadzam się na to! Ale kto ma prawo wybrać nam przeciwnika, my czy wy?

- My. Ja ogłoszę wezwanie, na które wystąpią ochotnicy.

- A jaką bronią mamy walczyć?

- Jaką oznaczy ten z nas, który się zgłosi.

- To niesprawiedliwe'

249

- Nie, to słuszne! Okazaliśmy wam tyle względów, że nie możecie już więcej wymagać.

- Dobrze, ale żądam uczciwych warunków. Mówisz, że zwycięzca ma prawo zabić pokonanego. A co będzie, gdy zabiję którego z twoich wojowników? Czy będę mógł potem swobodnie i bezpiecznie opuścić to miejsce?

- Tak. Ale ty nie zwyciężysz! Żaden z was nie zwycięży.

- Rozumiem! Zrobicie między waszymi wojownikami taki wybó i oznaczycie taki rodzaj walki, że będziemy musieli ulec. Mylisz '•" Łatwo może się stać inaczej, niż przypuszczasz. Żądam waszego sło że tego z nas, który wyjdzie z walki zwycięzcą, będziecie uważać przyjaciela.
- Przrzekam ci!
- Dobrze! Zawezwij więc swoich wojowników, aby się zgłosili walki.

Wśród Indian zapanowało niezwykle ożywienie. Old Shatterh? odezwał się do towarzyszy:

- Niestety, nie mogłem struny zbyt przyciągać, aby nie pęł Z danych nam warunków wcale nie jestem zadowolony.
- Musimy być z nich zadowoleni, bo lepszych nie dostanie;
- rzekł długi Davy.
- Obawiam się o was. Co do mnie, to ciekaw jestem, czy w ogi znajdzie się jaki przeciwnik.
- Z całą pewnością! Sam Wielki Wilk! Ponieważ nikt inny i zgłosi się, on musi ratować cześć swojego szczepu. Ten olbrzymi dn prawdziwy słoń!
- Ba! Nie boję się go. Ale wy? Wybiorą wam najniebezpieczni szych przeciwników i dla każdego wyznaczą taki rodzaj walki, w J kim, ich zdaniem, nie posiadamy doświadczenia. Na przykład ze m:

mój. przeciwnik nie wda sis w walkę aa. pięd. Ale wszelkie tros i obawy naprzód są bezowocne. Zbierzmy się i miejmy oczy otwart

- A rozum jasny - dodał Hobbłfi-Frank. - Co do mnie, jestem tak spokojny, jak drogowskaz nad rowem przy drodze. ` Utahowie poznają nas dzisiaj. Będę walczył, że iskry pójdą aż .

Grenlandii!

Wśród Indian nastał tymczasem znowu porządek; utworzyli po wtórnice koło, a Wielki Wilk wyprowadził trzech czerwonoskórcy których przedstawił jako zapaśników.

- To wyznacz teraz pary - wezwał Old Shatterhand.

Wódz popchnął pierwszego z wojowników ku długiemu Davy'emi i rzekł:

To jest Pagu-angare (-Czerwona Ryba), który będzie z bladą twarzą pływał o życie. Wybór był korzystny dla Indianina; po długim i chudym jak szczapa Davym widać było od razu, że niełatwo utrzymuje się na powierzchni wody. Natomiast czerwony drab był jakby do tego stworzony, miał okrągłe biodra, szerokie i mięsiste piersi, muskularne ramiona i silne nogi. Oczywiście był na pewno najlepszym pływakiem swego szczepu; na to wskazywało zarówno jego imię, jak pełne pogardy spojrzenie, którym obrzucił Davy'ego.

Naprzeciw małego, grubego Jemmy-go wódz postawił olbrzymia o rozłożystych barach i nabrzmiałych mięśniach.

- To jest Namboh-avaht (-Wielka Stopa) - odezwał się. - Bę-dzie walczył z tą grubą bladą twarzą. Zostaną związani plecami do siebie; każdy dostanie do ręki nóż, a który pierwszy przeciwnika rzuci pod siebie, ten może go zakłuó.

Wielka Stopa zupełnie słusznie nosił to imię; na ogromnych nogach stał tak pewnie, że Jemmy mógł na sam ich widok stracić otuchę.

Teraz powstał jeszcze trzeci drab, kościsty, wysoki prawie na cztery łokcie, szczupły, ale z piersią wysoko sklepioną o niezmiernie długich ramionach i nogach. Wódz przyprowadził go przed Hob-ble-Franka.

- A tu stoi To-ok-tey (-Skaczący Jeleń), który jest gotów biegać o życie z tą bladą twarzą - rzekł.

Biedny HobbIe-Franku! Kiedy ten Skaczący Jeleń robił swymi siedmiomilowymi nogami dwa kroki, musiał mały Frank zrobić ich dziesięć! Tak, czerwonoskórcy po trzykroć zapewnili sobie zwy-cięstwo.

- A kto będzie walczył ze mną? - zapytał Old Shatterhand.

- Ja - odparł Wielki. Wilk prostując dumnie pierś. - Myślałeś że się boimy, ja zaś ci pokażę, żeś się omylił!

- Bardzo mi przyjsmnie - odparł westman uprzejmie. - Do-szas zawsze szukałem przeciwników między wodzami.
- Ulegniesz! Któż może powiedzieć o sobie, że zwyciężył vahta?

'/alczy my nie słowami, lecz karabinem - Old Shatterhand
. sał to z lekką ironią, wiedząc, że wódz się nie zgodzi na
s rzeczywiście Wilk odpowiedział szybko:
- Nie chcę mieć do czynienia z twoją strzelbą śmierci! Między nami rozstrzygnie
nóż i tomahawk!

250

251

- Iz tego jestem zadowolony.
- To wkrótce będziesz trupem, a ja posiadę całą twoją własn przede wszystkim zaś
konia!
- Wiem, że mój koń wzbudza w tobie chciwość, ale czarodzie;

strzelba jest jeszcze cenniejsza. Co z nią poczniesz?
- Nie chcę jej i nikt inny nie pożąda. Kto jej dotknie, ten i swych najlepszych
przyjaciół. Zakopiemy ją głęboko w ziemię; l niechaj zardzewieje i zginie.
- Więc ten, kto ją ma zakopywać, niech będzie bardzo ostro? inaczey ściagnie
wielkie nieszczęście na szczep Utahów-Yamba. A te powiedz, kiedy i w jakim
porządku odbędą się pojedynki?
- Najpierw będą pływać. Ale! Wiem, że chrześcijanie pr śmiercią chętnie
odprawiają swe modły; dam wam przeto taki czas<> jaki wy, blade twarze,
nazywacie godziną, s;

Indianie utworzyli dookoła białych koło, zapewne tylko dlatego!'i aby widzieć
dokładnie, jak blade twarze przerażą się z powc"" przydzielenia im tak silnych
przeciwników; nie ujrawszy jednak takiego, rozeszli się znowu.

**Zdawało się, że teraz nikt nie dba o myśliwych, ale ci wiedz
dobrze, że ich bardzo uważnie obserwują. Siedzieli we czwóri.,,
rozmawiając o możliwości ratunku. Niebezpieczeństwo groziło przede s
wszystkim długiemu Davy'emu, który miał walczyć pierwszy; nie '
rozpacział wprawdzie, ale miał minę bardzo poważną, j**

- Czerwona Ryba - mrucał. - Ten hultaj otrzymał takie imię ;

naturalnie z tego powodu, że jest znakomitym pływakiem.

- A ty? - zapytał Old Shatterhand. - Wprawdzie widziałem, jak pływałeś, ale
tylko w kąpielu przy przejściu przez rzekę. Jak ta z szybkością?

- Nie nazbyt dobrze.

- Och, biada!

- Tak. Och, biada! Nie jestem winien, że moje ciało składa tylko z ciężkich
kości; a zdaje mi się, że mają one jeszcze większą wa;

niż jakiegokolwiek innego człowieka.

- A więc nic z szybkiego pływania. A czy jesteś wytrzymały?

- Wytrzymały? Ba! Tak długo, jak tylko chcecie, sir; ale co mi p sile! Będę
musiał oddać i tak mój skalp.

- Tego jeszcze twierdzić nie można. Czy pływałeś już kiedy na grzbiecie?

- Tak, zdaje mi się, że to mi idzie lżej.

- Naturalnie przekonano się, że ludzie chudzi i nie wyćwiczeń?;

lepiej pływają na wznak. Połóż się więc na grzbiecie, trzymaj głowę na

252

nrawo w dół, a nogi wysoko; uderzaj regularnie i wydatnie nogami, a oddech
wciągaj tylko wtedy, gdy będziesz miał ręce pod grzbietem.

- Well! Ale to nic nie pomoże, bo Czerwona Ryba weźmie mnie i tak z pewnością.

- Może jednak nie, jeśli mi się podstęp uda.

- Jaki?

_ Ty musisz płynąć z prądem, a on przeciw niemu.

- Ach, czyby to można zrobić? Czy istnieje prąd?

- Tak przypuszczam.

- Nie wiemy jednak jeszcze, gdzie będziemy pływać.

- Naturalnie tam na jeziorze, które właściwie jest tylko stawem.

Ma mniej więcej pięćset kroków długości, a trzysta szerokości, o ile stąd można zobaczyć. Z góry spływa woda wielkim spadkiem, i to, jak się zdaje, ku lewemu brzegowi. To wywołuje prąd, który idzie obok tego brzegu przez trzy czwarte długości jeziora aż do jego wpływu. Pozwólcie mi działać! Jeśli tylko będzie w ludzkiej mocy, doprowadzę do tego, że pobijesz przeciwnika dzięki temu prądowi.

- Toż by było gaudium, sir! A na wypadek gdyby mi się powiodło, czy tego draba zakłuć?

- Czy masz taką ochotę?

- On by mnie w każdym razie nie oszczędzał, choćby tylko ze względu na moją chudobę.

- To prawda. Ale, pomijając już to, że jesteśmy chrześcijanami, w naszym interesie powinniśmy kierować się łagodnością.

- Pięknie! Ale co zrobicie, jeśli on mnie zwycięży i trzaśnie nożem? Nie mogę się przecież bronić!

- W takim razie potrafię wymusić na nich, aby z kluciem wstrzymali się, aż wszystkie pojedynki się skończą.

- WeU! To jest pociechą nawet w najgorszym wypadku; teraz jestem spokojny. Ale, Jemmy, a jak z tobą?

- Nie lepiej niż z tobą - odparł grubas. - Mój przeciwnik nazywa się Wielka Stopa. Czy wiesz, co to znaczy?

-No?

- Stoi tak mocno na nogach, że nikt go nie przewróci. A ja, mniejszy o dwie głowy od niego, mam tego dokonać! Muskuiy ma ten człowiek jak hipopotam. Cóż wobec nich znaczy mój tłuszcz?

- Tylko się nie trwożyć, kochany Jemmy - pocieszał Old Shat-terhand. - Ja jestem zupełnie w takim samym położeniu. Wódz jest znacznie wyższy i szerszy ode mnie, ale z pewnością brak mu zręczności, więc mogę śmiało twierdzić, że mam przeto więcej siły w mięśniach niż on.

253

- Tak, wasza siła jest fenomenalna! Aleja wobec Wielkiej Stopy!

Będę się broni}, dopóki tchu stanie, ale mimo to ulegnę mu w końcu.

Ach, gdyby i tu był taki prąd, gdyby był jakiś podstęp!

- Jest i tutaj! - przerwał Hobbie-Frank. - Gdybym ja miał d.:

czynienia z tym Florianem, to wcale bym się nie obawiał.

- Ty? Jesteś jeszcze słabszy niż ja!

- Fizycznie tak, ale nie duchowo. A trzeba zwyciężać duchem:.

Rozumiesz maże?

- Cóż mogę poradzić duchem przeciw muskułom tego draba?

- Widzisz, jaki ty jesteś? Wszystko i zawsze wiesz lepiej ode mnie ale jeśli idzie o życie i skalp, to siedzisz jak mucha w mleku. Machas;

rękami i nogami i nie możesz się z niego wydostać.

- To wypal wreszcie, jeśli masz jakiś dobry koncept!

- Koncept! Co znowu za gadanie? Ja nie potrzebuję konceptu jestem i bez konceptu zawsze dowcipny. Wmyśl się tylko dobrze w swoje położenie! Obaj staniecie tyłem do siebie i zwiążą was razem przez brzuch, zupełnie jak konstelację bliźniat syjamskich na Mlecznej Drodze. Każdy dostanie do ręki nóż i zaczną się harcowanie. Kto drugiego weźmie pod siebie, ten zostanie zwycięzcą. Ale jak w tym położeniu można przeciwnika wziąć pod siebie, pytasz? Otóż w ten sposób, że się mn podrywa nogi i z tyłu kopie mocno w łydki lub też otacza jego nogę swoją i stara się ją poderwać. Mam słuszność czy nie?

- Tai Mów dalej!
- Tylko powoli! Wszystko musi się odbyć z namysłem, bo co nagle, to po diable. Jeśli eksperyment się uda, to przeciwnik upadnie na nos, a drugi powali się za nim, ale, niestety, plecami na jego plecy, przez co może sam bardzo łatwo stracić równowagę europejską. Właściwie powinni was tak związać, byście stali do siebie twarzami. Czy czerwunoskórzy z tym odwrotnym położeniem łączą jakiś podstęp, tego nie mogę jeszcze przewidzieć; ale to wiem dokładnie, że ich podstęp wyjdzie ci tylko na dobre.
- W jaki sposób? Mówże wreszcie! - napierał Jemmy,
- Olaboga! Mówię przecież już od kwadransa! Słuchaj tylko!

Czerwonoskórzy kopie cię z tyłu, aby ci podbić nogę i wytrącić z równowagi. To ci nie zaszkodzi, bo przy twych bezwstydnie grubych jłydkach poczujesz jego kopnięcie dopiero po czternastu miesiącach. ;- Teraz przeczekaś chwilę, aż zechce cię po raz drugi uderzyć, i będziesz stał na jednej nodze. Wtedy całą siłą pochyliš się ku przodowi, podniesiesz go więc na swych plecach, rozetniesz szybko szn-iu- czy

254

rzemień, którym będziecie związani, i machniesz nim szybkim ruchem przez głowę na ziemię. Potem rzucisz się natychmiast na niego, chwycisz draba za gardło i przyłożysz mu nóż do piersi. Zrozumiałeś mnie, ty stare rzeszoto?

Old Shatterhand podał małemu rękę i rzekł:

- Franku, jesteś morowym chłopem. Te wskazówki są wyśmieni-te i muszą odnieść skutek.

Pocziwa twarz Franka jaśniała z zachwytu, kiedy ścisnął podaną mu dłoń.

- Już dobrze, już dobrze, kochany mistrzu! Na coś tak zupełnie samodzielnego nie mógłbym się zdobyć. Ale to właśnie jest jeszcze jednym dowodem więcej, że ludzie niemądry uważają diament za cegłę. Dlatego myślę, że...

- Za kamień, nie za cegłę - przerwał mu Jemmy. - Nieba, cóż by to był za diament, który by miał wielkość cegły!

- Milczże już raz, niepoprawny kłótniku! Ja moją przewagą umysłową ratuję ci życie, a ty z wdzięczności za to rzucasz we mnie cegłą. Jeśli wreszcie nie przestaniesz się ze mną wadzić, to może łatwo dojść do tego, że ci wypowiem moją przyjaźń, a wtedy zobaczysz, czy potrafisz beze mnie postąpić krok jeden. Myślę, że byłby teraz wreszcie najwyższy czas nabrać już trochę rozumu.

- Słusznie! - odezwał się Jemmy pojednawczo. - Ale co ty poczniesz, kochany Franku?

- Kochany Franku! - powtórzył mały. - Jak pięknie i akus-tycznie to brzmi! Co pocznę? No, będę biegał, cóż by innego?

- O tym wiem dobrze, ale pozostaniesz w tyle. Musisz zrobić trzy kroki na jeden jego.

- Niestety, mój Boże!

- Idzie o to, jaką przestrzeń macie przebiec. I czy wytrzymasz?

Jak tam z oddechem?

- Wyśmienicie. Płuca mam jak bak; mogę brzęczeć i mruzczeć cały dzień i nie zabraknie mi oddechu. Biegać mogę; tego musiałem się nauczyć jako pomocnik leśny.

- Ale z takim długonogim Indianinem nie możesz się mierzyć!

- Hm! To jeszcze pytanie!

- Przecież nazywa się Skaczący Jeleń; a więc stawy w nogach są Jsgo głównym przymiotem.

-- Jak się nazywa, to mi obojętne, jeśli tylko dotrę do celu pr.-dziej niż on.

255

- Tego właśnie nie dokażesz. Porównaj twoje i jego nogi!

- Ach, tak, nogi! Myślisz więc, że idzie tylko o nogi?

- Naturalnie! A o cóż ma iść przy takim wyścigu, przy którym \..i J wchodzi w grę kwestia życia i śmierci?

- O nogi, tak, słusznie, ale po większej części jednak rozstrzyga głowa.

- Ta przecież nie będzie biegać!
- Właśnie, że będzie. A może mam pozwolić biec samym nogom? A z resztą ciała czekać, aż powrócą? To by był niebezpieczny eksperyment; gdyby mnie nie znalazły, to mógłbym tu siedzieć, ażby m-nowe wyrosły, a to ma się przydarzać tylko rakom. Nie, głowę musz-zabrać, bo ona ma spełnić główne zadanie.
- Nie pojmuję cię! - wtrącił Old Shatterhand, wielce zdumień) spokojem małego.
- Ja także nie, przynajmniej teraz jeszcze nie. W tej chwili wiem tylko tyle, że jedna dobra myśl jest lepsza niż sto kroków lub skoków-które mijają się z celem, j
- A więc masz jakiś plan?
- Jeszcze niezupełnie, ale myślisz, że jeśli mogłem Jemmy'8mu dać dobrą radę, to i sam siebie nie opuszczę w niebezpieczeństwie. Teraz przecież jeszcze nie wiem, gdzie mamy się ścigać. Gdy to rozstrzygnął będę wiedział zapewne, gdzie i jak zarzucę wędkę na mego przeciw-j nika. Tylko się nie trwóście o mnie! Jakiś wewnętrzny tenor mówi mi, -że dziś jeszcze nie odwrócę się plecami do tego świata. Stworzony-jestem do wielkich czynów, a osobistości historyczne nigdy nie umie-j ruja przed spełnieniem swych zadań. -

W tej chwili nadszedł znowu Wielki Wilk z innymi wodzami i wezwał białych, aby udali się za nimi nad jezioro, gdzie roją się od ludzi różnego wieku i płci; tam miała nastąpić walka w pływaniu. - Kiedy doszli do brzegu, Old Shatterhand przekonał -ę, że przypuszczają trafnie, gdyż rzeczywiście był prąd. Jezioro miało kształt prawie elipsy. W górze, przy krótszym jego boku, wpadał doń potok górski - i prąd parł z początku wzdłuż lewego dłuższego, a potem wzdłuż dolnego węższego brzegu ku w; pływowi, który znajdował się na j prawym brzegu, i to w pobliżu miejsca, gdzie potok wpływał do jeziora. Tak więc prąd ciągnął się prawie przez trzy czwarte obwodu jeziora. Gdyby tylko Davy'emu udało się z niego skorzystać, mógłby może ocaleć. J

Kobiety, dziewczęta i chłopcy rozsypali się daleko po brzegach, a wojownicy obsiedli dolny brzeg, bo tam miały się zacząć zapasy.'

Oczy wszystkich zwrócone były na obu współzawodników. Czerwona j 256

Ryba dumnym i pewnym spojrzeniem ogarniał jezioro. Davy również nie zdradzał niepokoju, ale często wzdychał, a grdyka jego wciąż to nr-żyła się, to kurczyła. Był bowiem w głębi duszy wzruszony. v Wielki Wilk zwrócił się do Old Shatterhanda:

-- Czy sądzisz, że powinniśmy rozpocząć?

- Tak, ale nie znamy jeszcze ostatecznych warunków - od-powiedział zapytany.

- Zaraz je usłyszycie. Tu wprost przede mną wejdą obaj do ','. ody, a gdy dam znak, klasnąwszy w ręce, odpłyną. Mają opłynąć raz dokoła jeziora, trzymając się dokładnie na długość człowieka od brzegu. Kto odchyli się od tej linii, e by sobie skrócić drogę, ten będzie uznany za zwyciężonego; ten zaś, który pierwszy przyjdzie, przebije drugiego nożem.

- Dobrze! Ale w którą stronę mają płynąć? Na prawo czy na lewo?

- Na lewo, a potem powrócą z prawej strony.

- Czy mają płynąć obok siebie?

- Naturalnie!

- A więc mój towarzysz po prawej, a Czerwona Ryba po l" w" j ręce?

- Nie, odwrotnie.

- Dlaczego?

- Bo ten, który będzie płynął po lew-j ręce, będzie bliżej brzegu

l będzie miał do odbycia dalszą drogę.

- To źle i niesprawiedliwie, aby obaj płynęli w tym samym kierunku. Ty nie lubisz oszustwa i zgodzisz się, że będzie słuszniej, jeśli pójdą w przeciwnych

kierunkach. Jeden popłynie stąd wzdłuż prawego brzegu, drugi wzdłuż lewego brzegu, w górę spotkają się, a potem powrócą wzdłuż przeciwnego brzegu.

- Masz słuszość - oświadczył wódz. - Ale który ma płynąć na prawo, a który na lewo?

- Aby i tu postąpić sprawiedliwie, niechaj rozstrzygnie los. Patrz, tu biorę dwa żdźbła, a obaj pływacy niechaj wybierają. Kto wyciągnie dłuższe, ten popłynie na lewo, który krótsze - na prawo.

- Dobrze! Niech tak będzie. Howgh!

Ostatnie słowo wypowiedział na szczęście Davy'ego; było to zapewnieniem, że postanowienia tego nie można już ani na jotę zmienić.

Old Shatterhand zerwał dwa żdźbła, ale tak, że były zupełnie jednakowej długości, a przystąpiwszy najpierw do Czerwonej Ryby, kazał fffi wybierać; potem drugie żdźbło dał Davy'emu, uszczknawszy

z niego jednak przedtem mały kawałeczek. Porównano żdźbła i Davy, który miał krótsze, musiał płynąć na prawo. Przeciwnik jego nie „-Skarb-. 2S7

wydawał się tym bynajmniej zrażony; widocznie nie miał pojęcia, w jak niewygodnym położeniu się znalazł. Tym weselej zajaśniała twarz Davy'ego, który spojrzawszy na jezioro, szepnął do Old Shatterhanda:

- Nie wiem, jak doszedłem do tego małego żdźbła; ale ono ronię uratuje, bo spodziewam się, że przyjdę pierwszy do celu. Prąd jest silny i przysporzy tamtemu dosyć roboty.

Zrzuciwszy odzież, wszedł do płytkiej w tym miejscu wody, Czerwona Ryba uczynił to samo. Wódz klasnął w dłonie - jeden skok i obaj znaleźli się w głębinie; popłynęli w przeciwne strony; czerwony na „lewo, a biały na prawo, obaj wzdłuż brzegu. ,

- Davy, trzymaj się mocno! - krzyknął Hobbie-Frank do przyłajciela. `

Z początku nie można było zauważyć wielkiej różnicy między obu współzawodnikami; Indianin zagarniał rękami wodę powoli, ale szeroko i silnie; czuł się w wodzie jak ryba; patrzył tylko przed siebie i nie oglądał się za białym, aby nie stracić choćby jednej sekundy. Davy płynął mniej spokojnie, mniej regularnie. Nie był bowiem doświadczonym pływakiem i musiał dopiero wpaść w odpowiednie tempo. Kiedy mu się to niezbyt powiodło, położył się na grzbiecie; teraz szło, raźniej. Prąd tutaj był nieznaczny, lecz mimo to pomagał mu tak? wielce, że nie pozostawał w tyle za Indianinem i obaj znajdowali się już przy dłuższych brzegach jeziora.

Teraz jednak Indianin począł rozumieć, jak ciężkie zadanie mu przypadło; miał przepłynąć wzdłuż całego brzegu jeziora w górę aż do ujścia potoku, a z każdym ruchem odczuwał, że prąd jest coraz

mocniejszy. Zrazu jeszcze dawał sobie radę, ale wnet poznać było, że musi wyteżać siły; odbijał się tak gwałtownie, że za każdym posunięciem wynurzał piersi z wody.

Po drugiej stronie Davy miał prąd coraz słabszy, który nadto szedł w pożądanym dla niego kierunku, i coraz łatwiej zdobywał się na odpowiednie ruchy; pracował już regularniej i przezorniej, bo obserwując skutek każdego uderzenia, niebawem nauczył się unikać fałszywych ruchów. Dlatego też szybkość jego podwoiła się i wkrótce wyprzedził czerwonoskórego; na widok tego Indianin jeszcze bardziej wyteżył siły, zamiast zachować je dla pokonania późniejszych, a wymagających więcej wysiłku trudności.

Davy zbliżał się do ujścia; prąd, teraz coraz silniejszy, ostatecznie nie pochwycił go i nie porwał z wyznaczonej linii poza jezioro.

Davy walczył z wysiłkiem i pozostał znowu poza czerwonoskórym.

Była to chwila, od której wszystko zawisło.

258

Towarzysze stali na brzegu i przyglądali się mu z największym napięciem.

- Czerwonoskóry znowu go wyprzedza - odezwał się Jemmy z obawą. - Przegra!

- Jeśli jeszcze posunie, się tylko ze trzy łokcie dalej, to zmoże prąd i będzie uratowany - odpowiedział Ołd Shatterhand.
- Tak, tak! - dodał Frank. - Widać, że to zrozumiał. Ależ pracuje rękami i nogami! Tak, dobrze! Idzie naprzód! Już przepłynął! Alleluja, wiwat, hura!

Davy'emu udało się zmóc opór prądu i wypłynąć na spokojną wodę; wkrótce pozostawił poza sobą prawy brzeg, podczas gdy czerwonoskóry jeszcze nie przebył lewego, i skręcił teraz wzdłuż krótszego brzegu ku ujściu potoku. Widział to czerwonoskóry i pracował jak wściekły; ale każdy nawet najmocniejszy ruch posuwał go naprzód zaledwie o łokieć, gdy tymczasem Davy płynął ze zdwojoną szybkością. Teraz dotarł do miejsca, gdzie wpływał potok, którego woda pochwycała go i porwała ze sobą. Pozostała mu jeszcze tylko trzecia część drogi do przebycia, podczas gdy Indianin nawet pierwszej nie ukończył. Obaj przepłynęli obok siebie.

- Hura! - Davy nie mógł wstrzymać się od okrzyku, na który czerwonoskóry odpowiedział donośnym rykiem wściekłości.

Dla Davy'ego skończył się trud, a zaczęła rozrywka, bo wystarczyło mu tylko lekko poruszać ramionami, aby utrzymać się w przepisany kierunku. Powoli jednak prąd stawał się słabszy i Davy musiał znowu wziąć się do roboty, ale szło mu jak z płatką i czuł się, jakby całe swe życie spędził w wodzie. Wreszcie dotarł do oznaczonego miejsca i wyszedł na brzeg, a kiedy się odwrócił, ujrzał, że czerwono-skóry dosięgnął właśnie wypływu jeziora i znowu walczył z prądem. Zabrzmiało krótkie, wstrząsające do szpiku kości wycie Indian, którzy w ten sposób stwierdzili, że Czerwona Ryba przegrał i płaci gardłem, Davy skoczył czym prędzej do swego ubrania, a potem do towarzyszy, aby ich przywitać, jakby się po raz drugi narodził.

- Kto by to myślał! - odezwał się potrząsając ręką Old Shatter-handa. -

Zwyciężyłem najlepszego pływaka Utahów!

- Dzięki żdźbłu trawy! - odpowiedział z uśmiechem myśliwy.

- Jak dokazaliście tego?

- O tym potem. Był to maleńki fortel, którego jednak nie można nazwać oszustwem, bo szło o uratowanie tobie życia, a czerwono-skórzy szkody nie ponieśli.

- Tak jest - przytaknął Frank, niezmiernie uszczęśliwiony zwycięstwem przyjaciela. - Życie twoje wisiało już nie na włosku nawet,

259

ale na trawce. To samo i z wyścigami, nogi same tu jeszcze nie wystarczą. Kto wie, jakie żdźbło mnie przyniesie ratunek. Tak, w nocach musi się mieć trochę siły, ale znacznie więcej w głowie. Patrzcie! Wynurza się nieszczęśliwy rybak! Indianin wyszedł na brzeg i usiadł zwróciwszy twarz ku wodzie. Żaden z czerwonoskórych nie patrzył ku niemu, żaden się nie poru-Keył; czekali, że Davy wymierzy zwyciężonemu cios śmiertelny.

Wtem nadeszła skwaw, prowadząca za ręce dwoje dzieci i przystąpiła do niego; on przyciągnął ku sobie jedno z prawej, drugie z lewej strony, potem odsunął je lekko od siebie, podał kobiecie rękę i skinął na nią, „by się odd-liła.

Następnie zwrócił oczy ku Davy'emu i zawołał;

- Nami wież, ne pokai! - Twój nóż, zabij mnie!

Dzielnemu długoszowi prawie łyzy stanęły w oczach. Wziąwszy kobietę wraz z dziećmi, popchnął ją znowu ku niemu i odezwał się na pół po angielsku, na pół w języku Utahów, którym dobrze nie władał:

- No wież - not pokai!

Potem odwrócił się i przystąpił do towarzyszy. Widzieli to i słyszeli Utahowie, więc wódz zapytał:

- Czemu go nie zabijesz?

- Bo jestem chrześcijaninem. Daruję mu życie.

- Ale gdyby on zwyciężył, toby cię zakłuł!

- On nie zwyciężył, nie może więc tego uczynić. Niechaj żyje. •

- Ale zabierzesz jego własność? Jego broń, konie, kobieta i dzieci?

- Ani mi to w głowie! Nie jestem rabusiem. Niech zatrzyma to, ®o jest jego.
- Uff, nie rozumiem cię! On postąpiłby mądrzej.

Spojrzenia, jakie na niego skierowali czerwonoskórzy, świadczyły najwymowniej, że uważano go bodaj za pomyleńca. Żaden z nich nie wyrzekłby się swego prawa, a oto Czerwonej Rybie włos z głowy nie spadł; ten ostatni także nie mógł pojać, dlaczego biały go nie zakłuł i nie oskalpował. Wstyd go palił, iż został pokonany, uznał więc za najlepsze zniknąć z oczu zebranych.

A jednak i tu przemówiła czyjaś wdzięczność. Żona Czerwonej Ryby przystąpiła do długosza i podała mu rękę; podniosła również ku niemu ręce dzieci, mamrocząc półgłosem słów parę, których znaczenia Davy wprawdzie nie zrozumiał, ale mógł się z łatwością domyślić.

Teraz podszedł do wodza Namboh-avaht, Wielka Stopa, i zapytał,,;

czy może rozpocząć walkę z drugą bladą twarzą. Wielki Wilk skinął głową i wydał rozkaz, aby udano się na przeznaczone na ten cel miejsce. Leżało ono w pobliżu obu pali męczeńskich. Tam utworzyło

260

się, jak zwykle, obszerne koło, w środek którego wódz wprowadził Wielką Stopę. Jemmy'emu towarzyszył Old Shatterhand bacząc, aby nie pograżono grubasa jakim podstępem.

Obaj zapaśnicy obnażyli górną część ciała i stanęli plecami do siebie. Jemmy nie sięgał czerwonoskóremu nawet do ramienia. Wódz trzymał w ręce lasso, którym miał icfi związać. Rzemień przechodził czerwonemu ponad biodrami, a białemu przez pierś; na szczęście jednak, końce lassa sięgały przypadkowo tylko tak daleko, że wódz musiał zrobić węzeł na piersiach grubasa.

- Teraz zamiast rozcinać rzemień wystarczy pociągnąć za węaał

- uprzedził go Old Shatterhand po cichu.

- Stój mocno, Jemmy, i nie daj się nakryć! - zawołał Hob-ble-Frank. - Wiesz przecież, iż gdyby cię zakłuł, zostałbym na zawsae wdowcem i sierota, a tej przykrości chyba mi oszczędzisz. Pozwól się tylko kopnąć, a potem machnij nim dobrze przed sobą!

Indianinowi rzucano z różnych stron zachęcające okszyki, toteż zawołał:

- Nie jestem Czerwoną Rybą, który pozwala się zwyciężać!

W kilka chwil zduszę i zmiażdżę tę małą, grubą ropuchę, która mi wisi na plecach.

Jemmy nie otwierał ust; patrzył spokojnie i poważnie, ale napraw-dę przedstawiał na grzbiecie czerwonoskórego śmieszny widok. Od-wrócił przezornie twarz na bok, aby móc obserwować ruchy nóg Indianina. Czekał. Nie obiecując sobie żadnej korzyści z rozpoczęcia walki, wolał raczej pozostawić to czerwonoskóremu.

Ów przez dłuższy czas stał cicho i bez ruchu, chcąc powalić przeciwnika nagłym natarciem, ale to mu się nie powiodło. Kiedy zupełnie - jak sądził - niespodziewanie wysunął nogę w tył, aby ją podstawić Jemmy'emu, ten wymierzył mu w drugą, silnie opartą, takiego kopniaka, że uderzony omal nie upadł. Teraz jednak nastąpił raz za razem. Czerwonoskóry był silniejszy, biały natomiast ostrożny i przezorniejszy. Indianin w miarę bezskutecznych usiłowań wpadł w gniew, ale wściekłość jego i ciosy, zadawane nogami, napotykały jedynie spokój przeciwnika. Walka przewlekała aię i nic było widać przewagi po żadnej stronie. Czerwonoskóry postanowił użyć podstępu. Dotychsaasowy jfe system walki zmierzał do tego, aby uśpić uwagę przeciwnika. Biały powinien był myśleć, że nie można już użyć innego sposobu ataku i t®B raa ostatecznie rozstrzygnąć. Teraz jednak Indianin chwycił za lasso, naciągnął je mocno, tak że zyskał przed sobą miajsee do wykonania zwrotu, i obrócił się - chodaż niezupełnie. .

m

Gdyby mu się zamiar udał, byłby się zwrócił przodem do białego i mógłby go po prostu przygnieść go do ziemi, ale Jemmy nie wyrzekł się sprytu ani baczności. Frank zrozumiał również natychmiast zdra-dziecki zamiar czerwonoskórego i zawołał szybko do grubasa:

- Zrzuć go z siebie! Obrócił się!

- Już wiem! - odpowiedział Jemmy.

W chwili kiedy wymawiał te słowa, Indianin dopiero w połowie-wykonał obrót, a więc nie miał pewnego oparcia; Jemmy pochylił się szybko, podrywając przeciwnika do góry, i pociągnął za węzeł. Lasso puściło. Indianin uderzył rękami w powietrze i wykonał ponad głową Jemmy'ego zupełnie prawidłowego koziołka na ziemię, przy czym wypadł mu nóż. Szybko jak piorun grubas uklęknął na nim, chwycił lewą ręką za gardło, a prawą przyłożył mu nóż do piersi.

Wielka Stopa żywił może zamiar, by nie poddawać się za żadną - cenę, lecz bronić wszelkimi środkami, jednak koziołek tak go oszoło-`-mił, oczy grubasa błyszczały tak groźnie obok jego twarzy, że pozostał bez ruchu. Wtedy Jemmy zwrócił oczy na wodza i zapytał:

- Czy przyznajesz, że przegrał?

- Nie - odpowiedział zapytany, zbliżając się.

- Dlaczego nie? - wtrącił się natychmiast Old Shatterfaand, przysunawszy się do nich.

- Bo nie jest zwyciężony.

- Ja twierdzę wręcz przeciwnie: został pokonany.

- To nieprawda; lasso jest rozwiązane.

- Temu winien sam Wielka Stopa, bo obracając się, rozerwał rzemień, j

- Tego nikt nie widział. Puść go! Nie został pokonany i walka-musi się zacząć na nowo. i

- Nie, Jemmy! Nie puszczaj go! - rozkazał Old Shatterhand.1

- Skoro ci nakażę albo skoro on się poważny poruszyć, zakłuj go!

Wówczas wódz wyprostował się dumnie i zapytał:

- Kto tu ma rozkazywać, ty czy ja?

- Ty i ja, my obaj.

- Kto to mówi?

- Ja. Ty jesteś wodzem twoich, a ja jestem dowódcą moich ludzi.

Ty i ja, my obaj, zawarliśmy umowę co do warunków walki. Kto nie trzyma się tych warunków, ten łamie umowę, jest kłamcą i oszustem.

- Ty...! Ty ośmielasz się tak przemawiać do mnie wobec tylu czerwonych wojowników?!

- Mówię prawdę, a żądam lojalności i uczciwości. Jeśli nie mam dalej mówić, to niechaj przemówi moja strzelba śmierci!

262

Podniósł w górę groźnie sztucer, który dotąd trzymał wsparty kolbą o ziemię,

- Więc powiedz, czego żadasz? - zapytał wódz pokorniej.

- Czy przyznajesz, że ci dwaj mieli walczyć, zwróceni do siebie plecami?

- Tak.

- Wielka Stopa jednak rozluźnił lasso i obrócił się. Czy to prawda? Musiałeś to widzieć!

- Tak - przyznał wódz ociągając się.

- Następnie miał umrzeć ten, którego przeciwnik przewróci pod siebie. Czy przypominasz sobie ten warunek?

- Znam go.

- Dobrze. Kto leży pod spodem?

- Wielka Stopa.

- A więc kto jest pokonany?

- On... - odpowiedział wódz pod przymusem, gdyż Old Shatter-hand trzymał sztucer w ten sposób, że otwór lufy dotykał prawie jego piersi.

- Czy masz co do powiedzenia przeciw temu?

Przy tych słowach z oczu słynnego westmana padło na wodza tak potężne i zniewalające spojrzenie, że ten, zбитy z tropu, dał oczekiwaną odpowiedź:

- Nie. Pokonany należy do zwycięzcy. Powiedz temu człowieko-wi, że może go zabić.

- Tego nie mam potrzeby mu mówić, bo sam wie o tym, lecz tego nie uczyni.

--- Czy i on także chce darować mu życie?

- To rozstrzygniemy później; aż do tej chwili Wielka Stopa pozostanie związany tym samym lassem, od którego chciał się uwolnić.

- Na co go wiązać? On wam nie ucieknie.

Czy ręczysz za to?

Tak!

To wystarczy. Niechaj idzie, dokąd chce, ale po ukończeniu dwu pozostałych jeszcze pojedynków ma powrócić do swego zwycięzcy.

Teraz Jemmy powstał i wdział z powrotem odzież. Wielka Stopa zerwał się i przedarł przez koło czerwonoskórych, którzy nie byli Pewni, czy mają mu okazać pogardę, czy też nie.

; Wódz naturalnie pienił się z gniewu, że już dwaj jego najlepsi wojownicy zostali pokonani, i to przez przeciwników, których, jak się

263
zdawało, znacznie przewyższali. Teraz wzrok jego padł na Hobble-Pranka i humor mu się poprawił. Czyż można było pomyśleć, aby-ten mały człowieczek prześcignął Skaczącego Jelenia? Tym razem! przynajmniej zwycięstwo czerwonych mężów było pewne.

Przywoławszy więc Jelenia, przedstawił go Old Shatterhand-i i rzekł:

- Ten wojownik posiada szybkość wiatru; jeszcze żaden biegacz

nie prześcignął go; czy nie poradzisz twemu towarzyszowi, aby się raczej poddał bez walki?

- Nie!

- Umarłby prędzej, bez ściągnięcia na siebie hańby. '

- A czyż to nie większa hańba poddawać się bez walki? Czyż nie, uważałeś także Czerwonej Ryby za niezwycięzonego i czy Wielka Stopa nie mówił, że swego przeciwnika, tę ropuchę, zdusi i zmiażdży w kilka minut? Czy jesteś pewny, że Skaczący Jeleń będzie szczęśliwszy

niż ci, którzy tak dumnie sobie poczynali, a tak cicho i skromnie skończyli i umknęli stąd?

- UfH - zawołał Skaczący Jeleń. - Ja biegam z jeleniem w zawody!

Oid Shatterhand przypatrzył mu się teraz dokładnie; tak, miał budowę dobrego biegacza i nogi jego z pewnością mogły bez zmęczenia przemierzać wielkie połacie prairii. Widać jednak było, że objętość jego mózgu nie harmonizuje z długością nóg. Twarz miał prawdziwie małpią, lecz na próżno byłoby szukać na niej oznak przebiegłości, która cechuje ten ród zwierząt.

Hobble-Frank zbliżył się również, aby przyjrzeć się Jeleniowi.

- Co myślisz o nim? - zapytał Old Shatterhand. -

- To istny głupek, który widząc tłuszczyk, pływający na talerzu, nie może znaleźć rosołu. Co do nóg, to przewyższa mnie co najmniej - trzykrotnie; ale co się tyczy głowy, to spodziewam się, że mu nie j ustępuję. Dowiedzmy się najpierw, na jakiej przestrzeni będziemy f biegali, a może ja głową będę biegał lepiej niż on nogami, f

Oid Shatterhand zwrócił się więc znowu do Wielkiego Wilka: i

- Czy już jest postanowione, gdzie odbędzie się bieg?

- Tak! Chodź, to ci pokażę!

Old Shatterhand i Frank wyszli za Wielkim Wilkiem poza koło utworzone przez Indian; Skaczący Jeleń pozostał na miejscu. Wódz wskazał ku południowi i rzekł:

- Czy widzisz to drzewo, które stoi w połowie drogi stąd do lasu?

- Tak. ,

- Do niego mają biec. Kto obejdzie je trzy razy i powrót - pierwszy, ten będzie zwycięzcą. `

264

4obble-Frank zmierzył oczyma odległość, a także całą okolice

- ;g dalej na południe, i odezwał się potem do wodza:
- Ale spodziewam się, że obie strony zachowają się uczciwie!
- Czy chcesz przez to powiedzieć, że posadzysz nas o nieucz- ość?
- Tak.

_ Czy mam cię zabić?

_ Spróbuj! Kula mojego rewolweru jest szybsza niż twoja ręka. Czy poprzednio Wielka Stopa nie obrócił się, chociaż było to za-biroaionc? Czy na tym polega uczciwość?

- To nie było nieuczciwe, tylko chytre.
- Ach! A taka chytrość ma być dozwolona?

Wódz zamyślił się; gdyby powiedział „tak”, byłoby to obroną zachowania się Wielkiej Stopy, a może i dałoby w dodatku Skaczące-mu Jeleniowi sposobność użycia również podstępny; biali dokazali znacznie więcej, niż się po nich spodziewano, a ten mały człowieczek mógł być także dobrym biegaczem; dlatego wydało się Wielkiemu Wilkowi pożądane pozostawić Skaczącemu Jeleniowi furtkę ratunku.

- Chytrość nie jest oszustwem. Dlaczego miałbym jej wzbronić
- odpowiedział.
- Oświadczam, że się zgadzam na to i gotów jestem rozpocząć bieg. Z jakiego miejsca zaczynamy?
- Wbiję dzidę w ziemi w tym miejscu, skąd się bieg rozpocznie i gdzie się ma skończyć.

Oddalił się na krótko, biali pozostali sami.

- Czy przyszła ci jaka szczęśliwa myśl do głowy? - zapytał Old Shatterhand.

~ Tak. Czy widać to po mnie?

- Naturalnie, uśmiechasz się z zadowoleniem.
- Bo też jest się z czego śmiać. Ten wódz chciał mi swoją chytrością zaszkodzić, a tymczasem wyświadczył nieocenioną przy-sługę?, za którą gotów jestem go uściskać.
- Jaką?

~ Zaraz się dowiecie. Jakie to jest drzewo, dokoła którego mamy ;.zy zatańczyć? Buk, jak mi się zdaje.

Popatrzcie teraz dalej na lewo. Tam stoi również drzewo, ale M>-..; dwa razy tak daleko. Jak się ono nazywa?

- Świerk.

~~ Pięknie! Dokąd więc mamy biec?

~~ Do buka

265

- A ja właśnie pobiegnę wprost do świerka.
- Czyś oszalał?
- Nie. Do buka pobiegnę głową, a nogami do świerka.
- Ależ w jakim celu?
- Przekonacie się potem, i to ku niemałej radości. Jestem pe'< że się na sobie nie zawiodę. Kiedy patrzę na frontowy garnitur Skaczącego Jelenia, to wydaje mi się, że pomyłka jest niemożliwa.
- Bądź ostrożny Franku! Tu idzie o życie!

- No, jeśli idzie tylko o życie, to nie potrzebuję się wcale natęć. Nawet gdybym został pokonany, to i tak pozostałbym przy żywi Wielka Stopa ma umrzeć, a wodza rozciągniecie na ziemi; a za t dwóch możecie mnie wykupić. A więc o życie zupełnie się nie trwi idzie jednak o cześć. Czy potem w historii czwartej ćwierci dzie nastego stulecia ma się czytać, że ja, Hobole-Frank, zostałem zżony przez taki indiański pysk merynosa? Na to nie pozwolę!
- Ale objaśnij mi przynajmniej swój zamiar. Może będę udzielić ci dobrej rady!
- Dziękuję uniżenie! Rady udzieliłem sobie już sam i chcę również sam wykorzystać swój wynalazek. Powiedzcie mi tylko jak się nazywa świerk w języku Utahów?
- Ovomb.
- Ovomb? Szczególna nazwa! A jak by brzmiało zdanie owego świerka”?
- Incz ovomb.
- To bardzo krótko, tylko dwa słowa. N’ę zapomnę ich.
- A cóż to „incz ovomb” ma do roboty z twoim planem?
- Będzie gwiazdą przewodnią dla mnie w czasie tego bi A teraz cicho - wódz nadchodzi!

Wielki Wilk powrócił; wetknął dzidę w miękką murawę i oświa czyi, że bieg na śmierć i życie może się zacząć. Frank zrzucił odzież z wyjątkiem spodni. Skaczący Jeleń miał na sobie tylko fartuszek skórzany. Patrzył na przeciwnika wzrokiem, który miał oznaczać pogardę, był zaś jedynie wyrazem bezdennej głupoty.

- Franku, natęż się! - upominał Jenimy. - Pomyśl o tyra, v-Davy i ja zwyciężyliśmy!
- Nie szlochaj! - pocieszał mały. - Jeśli nie widziałeś dotąd c?) mam nogi, czy nie, to niebawem przekonasz się, jak będą latał)‘.

Wódz klasnął w dłonie. Wydawszy przeraźliwy okrzyk zerwei si { Skaczący Jeleń, a za nim mały Frank. Wszyscy mieszkańcy obozu zgromadzili się znowu, aby sekundować wyścigom. Już po kitkr chwilach Jeleń wyprzedził znacznie przeciwnika, a z każdym krokiem

266

7vskiwa? na dystansie. Indianie radowali się. Jedynie szaleniec twier-dziłby, że biały może jeszcze czerwonoskórego dogonić.

Cudaczny to był widok, jak kusy człowieczek wywijał nóżkami.

prawie i-h wdać nie było, tak szybko się poruszały, a mimo to udawało się, przynajmniej temu, kto śledził bacznie, że nie okazał

-ałej swej chyżości i mógłby biec jeszcze szybciej, gdyby tylko zechciał.

Wtem wśród Indian nastąpiło poruszenie, poczęli śmiać się i wy-jawać okrzyki szyderstwa lub radości. Powód był następujący:

Buk stał na wprost, pośrodku prerii, może o trzy tysiące stóp od

>bozu; na lewo od niego, ale przynajmniej o dwa tysiące stóp dalej,

stał świerk. Teraz, kiedy obaj biegacze znaleźli się w odpowiedniej

odległości, widać było dokładnie, że mały obrał za cel nie buk, ale

świerk i biegł ku niemu, co tylko sił w nóżkach. Dlatego to Indianie nie mogli powściągnąć wesołości.

- Twój towarzysz fałszywie mnie zrozumiał! - zawołał wódz do Old Shatterhanda.

- Nie.

- Biegnie przecież do środka?

- Oczywiście.

- To Skaczący Jeleń zwycięży go dwa razy prędzej!

- Nie.

- Nie? - zapytał Wielki Wik zdumiony.

- To podstęp, a ty sam pozwoliłeś na to.

- Uff, uff, uff! Tak jest! - wołali także i inni czerwonoskórzy,

kiedy wódz objaśnił im słowa Old Shatterhanda. Śmiech zamilkł, a napięcie wzrosło dziesięciokrotnie.

W krótkim czasie Jeleń dobiegł do buka, który musiał trzy razy okrążyć. Już przy pierwszym kółku, obejrawszy się, ujrzał swego współzawodnika biegnącego w zupełnie innym kierunku, chociaż zaledwie w odległości trzystu kroków. Stana! więc zupełnie zbity z tropu i spoglądał na białego.

Nagle zobaczono w obozie, że mały wyciągnął rękę w stronę Ciekłego jeszcze świerka, ale nie można było rozoznać jego słów, gdy -ał do czerwonego:

- Incz ovomb, incz ovomb! - Do owego świerka, do owego

Gierka!

Indianin namyślał się, czy dobrze słyszał, ale sprawność jego „tozgu nie sięgała dalej poza myśl, że źle zrozumiał wodza i nie buk, - świerk jest celem wyścigów. Mały odbiegł już dalej, znacznie dalej;

-:as więc było na namysły i ociąganie się: szło przecież o życie! aćy Jeleń porzucił buk i popędził szybko w stronę świerka.

267

-V kilka chwil potem przemknął obok przeciwnika i me ogląd;;

pognał do rzekomego celu.

To wywołało wśród czerwonoskórych ogromne podniecenie:

i wrzeszczeli, jakby na szali zwycięstwa leżało życie ich wszyy Tym większa radość wstąpiła w blade twarze; zwłaszcza gruby J< gotów był wyskoczyć ze skóry, olśniony fortem towarzysza.

Frank tymczasem, kiedy Skacząc; Jeleń przebiegł koło i zawrócił ku bukowi; przybywszy do celu, obiegł pień trzy, cztery, razy dookoła i, co tchu w piersiach, ruszył z powrotem. Cztery ` drogi powrotnej przemierzył ostrym kłusem, potem zatrzymał si-spojrzeć w stronę świerka. Tam stał Skaczący Jeleń, jakby do przyrósł. Nie rozumiał, co/zaszło, nadmierna zaś tępota nie poz-mu się domyślić, jak sromotnie wywiedziono go w pole.

HobbIe-Frank, niezmiernie z siebie kontem, resztę drogi kroczyłem nad podziw spokojnym. Indianie przyjęli go pos? wzrokiem, ale on, mc sobie z tego nie robiąc, przystąpił do „ klepnął go po ramieniu i zapytał:

- No i co, kto zwyciężył?

- Ten, który wypełnił warunki - odpowiedział gniewnie

Wilk.

- Tym jestem Ja.

-Ty?

- Tak, czy nie byłem przy buku?

- Widziałem.

- A czy nie jestem pierwszy z powrotem tutaj?

- Tak.

- Czy nie obszedłem drzewa pięć razy zamiast trzech?

- A dlaczego dwa razy więcej?

- Z czystej miłości dla Skaczącego Jelenia. Obiegłszy raz ruszył dalej, a ja odrobiłem za niego to, czego brakło, aby `

nrnsiai się na niego uskarżać.

- Dlaczego porzucił go, aby udać się do świerka?

- Chciałem go o to zapytać, ak przebiegł tak szybko obok;

że nie miałem na to czasu”, jak przyjdzie, to pewnie ci powie.

- Dlaczego i ty również biegłeś najpierw ku świerkowi?

- Bo byłem przekonany, że to jodła. Old Shatterhand ns drzewo świerkiem, chciałem więc przekonać się, kto miał słuszn<j

- A dlaczego zawróciłaś nie dobiegłszy do niego? `•

- Bo Skaczący Jeleń tam poszedł. Od niego mogę a dobrze dowiedzieć, kto się pomylił, ja czy Old Shatterhand.

Odpowiadał zupełnie swobodnie i niefrasobliwie. W wodzu niast kipiało; słowa wyrwały mu się z sykiem, Idedy zapytał:

„ - Czy może oszukałeś Skaczącego Jelenia?

_ - Oszukałem? Czy mam cię grzmotnąć? - krzyknął mały.

_ - A może posłużyłeś się podstępem?

_ - Podstępem? Do czego miał on służyć?

_ - Aby Jelenia wysłać pod świerk.

- To byłby kiepski koncept i musiałbym się go wstydzić. Człowiek, który walczy o życie, nie da się tak daleko odwieść od celu.

•y/ przeciwnym razie dałby dowód ułomnego rozumu, a towarzysze ego upiekliby się ze wstydu, iż go tak nieszczególnie wypiaścowali. Pytko półgłówek mógłby kazać takiemu człowiekowi walczyć z białym) ?ycie- Ni® mogę pojąć ciebie i twoich podejrzeń, bo w ten sposób 3brażasz własną cześć.

Wódz sięgnął do pasa i ścisnął kurczowo rękę-kojęć noża. Najchęć-niej zmiażdżyłby za tę zuchwałosc i chytrosć małego, ale musiał itłumić gniew.

Hobbie-Frank przystąpił do swych towarzyszy, którzy winszowali

•aa cicho, ale tym serdeczniej i radośniej.

- Czy jesteś ze mnie zadowolony? - zapytał Jemmy'ego.

- Naturalnie! Postąpiłeś rzeczywiście chytrze. To wprost genialny pomysł.

- Naprawdę? To zachowaj go wiernie w pamięci, pagina pięć-dziesiąt siedem, część trzecia, i otwieraj tę stronę, ilekroć uroi ci się wątpić w mą wyższość. Ale oto zbliża się Skaczący Jeleń, co prawda nie skacząc, tylko przemykając chyłkiem.

Zdaje się, że ma nieczyste sumienie i szuka samotności, jakby czekała go chłosta. Popatrzcie

•ylko aa jego twarz! I z tym Konfucjuszem ja musiałem się mierzyć!

Fak, tak, nogi nic nie znaczą, nawet przy wyścigach, lecz przeważnie -łowa!

Widać było, że Jeleń chce zniknąć, ale wódz zawołał go do siebie [huknął nań:

- Kto zwyciężył?

- Błada twarz - brzmiała wylękniona odpowiedź.

- Dlaczego pobiegłeś do świerka?

- Błada twarz mnie okłamała; powiedział, że celem jest świerk.

- I uwierzyłeś w to? Przecież sam wskazałem ci cel.

Old Shatterhand przetłumaczył Hobbie-Frankowi, że został na--toy kłamcą. Na to kpiarz nic omieszkał zwrócić się do wodza:

--Ja miałem skłamać?! Ja powiedziałem Jeleniowi, że celem jest „-erk?! To kłamstwo wierutne! Widziałem, jak stał przy buku i pa-„'-1 na mnie zdumiony; zdawało się” że zginie z trwogi i niepokoju.

268

269

Poczułem więc litość dla tego nieszczęśliwego i zawołałem do „Incz ovomb”!

Powiedziałem mu więc, że chcę się dostać do świ Dlaczego on potem pobiegł w moje ślady, tego nie mogę odga on sam nawet może tego nie wie. Powiedziałem. Howgh!

Indiański styl w ustach tego sowizdrzała wprawił wodza w n - sany gniew.

- Tak, ty powiedziałaś i skończyłaś - zawołał - ale ja j<; ze nie skończyłem i pomówię z tobą, kiedy przyjdzie na to czas! S;lo-Jednak muszę dotrzymać; życie, skalp i własność Skaczącego Jdsnj należą do ciebie.

- Nie, nie! - bronił się Frank. -Ja nie chcę niczego. Zachowaj go dla siebie; możecie go odpowiednio użyć, zwłaszcza pn wyścigach o życie.

Wśród Indian rozległ się cichy, gniewny pomruk, n. - •'. ii zgrzytał zębami.

- Teraz możesz jeszcze pluć na nas zjadliwymi słowami ./ni:

jednak będziesz skowyczał o łaskę, że aż pod niebo będzie się rozlega Każdy członek twojego dała musi umrzeć osobno, a dusza fwo będzie wychodzić z dębnie kawałkami, tak że konanie twoje trwi będzie przez wiele księżyców.

- Cóż możecie mi uczynić? Zwyciężyłem i jestem wolny. ;

- Jest tu jeden, który jeszcze nie zwyciężył, Old Shatterhand. Zaczekaj trochę, a będzie leżał przede mną w prochu, błagając o Daruję mu je w zamian za twoje, a wtedy będziesz moją własnością. Chodźcie wszyscy za mną! Zbliży się walka ostatnia, najiii i rozstrzygająca!

Indianie ruszyli za wodzem bezładną kupą, biali powoli za

- Czy może za wiele powiedziałem? - zapytał Hobbie-] strapiiony.

- Nie - odparł Old Shatterhand. - To bardzo dobrze, dumni wojownicy musieli się raz ugiąć. Ale widać, że Utaha można ufać. Jestem przekonany, że w żadnym wypadku nie po, nam spokojnie odejść. Zdecydowali się na pojedynek, bo byU g przeświadczeni, że wszyscy padniemy, a ponieważ się zawiedli, w, la cos innego. Mam wrażenie, że chcą nas zatrzymać tutaj zakładników; ten plan musimy im pokrzyżować, gdyż ani przez c-nie byliśmy pewni życia.

Tymczasem doszli do utworzonego przez namioty i chaty pośrodku którego poczyniono przygotowania do nadchodzącego nadzwyczaj dekadnego pojedynku. Na stosie kamieni, z których ważył co najmniej cetnar, wznosił się silny pal, do krórego pr.

-70

wane były dwa lasa. Dookoła placu stali wszyscy mieszkańcy obozu, tak mężczyźni, jak i kobiety. Old Shatterhand wszedł w środek koła, odzie czekał już wódz; ten zdawał się nie wątpić w zwycięstwo; wskazując na lasa' rzekł:

- Czy widzisz te rzemienie? Jeden koniec lasa przymocowany

jest do pala, a drugim obwiążą nas w pół ciała.

- Dlaczego?

- Byśmy się mogli poruszać tylko w tym ciasnym kole i żeby jeden przed drugim nie uciekł.

- Zgaduję właściwy powód. Przypisujesz mi więcej szybkości i zręczności niż siły i chcesz tymi więzami przeszkodzić w wykorzystaniu mej przewagi. Niechaj będzie! Mnie to obojętne! Jaką bronią będziemy walczyć?

- Każdy dostanie do lewej ręki nóż, a do prawej tomahawk.

Będziemy walczyć, dopóki jeden z nas nie padnie trupem.

- Zgadzam się.

- Popatrz najpierw, jaki jestem silny!

Podszedłszy kilka kroków, podniósł ciężki kamień i puścił go na ziemię. Posiadał ogromną siłę fizyczną i spodziewał się, że biały nie potrafi, tego zrobić.

- Jesteś silnym człowiekiem - rzekł Old Shatterhand - i spodziewam się, że w tej walce będziesz poległ na sobie samym.

- Tak będzie. Kto by mi miał pomagać?

- Twoi wojownicy. Jak się zdaje, uważają oni jednak za możliwe, że zostaniesz przeze mnie zwyciężony. Dlaczego uzbrowili się, jakby mieli ruszyć do walki?

- Czy twoi towarzysze są bez broni?

- Nie. Ale oni odniosą wszystką naszą broń do namiotu. Czy mam wierzyć, że i ty jesteś odważny?

- Uff! - zawołał czerwonoskóry. - Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Moi wojownicy również odniosą wszystką broń do namiotów!

- Dobrze! Uczynimy tak. Ja zatrzymam tylko mój nóż.

Po tych słowach oddał swę strzelby Hobbie-Frankowi, a Jemmy

` D?.vy uczynili to samo; przy tym wstman odezwał się do małego po cichu:

- Zaniesiesz to wszystko pczorme do namiotu, ale gdy cię nikt „ie będzie widział, wysuniesz na zewnątrz pod tylną ścianę. Nie -acaj, uwaga wszystkich jest zwrócona na walkę i na ciebie nikt nie o?dae zważał. Wymkniesz się za namiot i przygotujesz dc drogi nasze -nie, które tam stoja.

Frank oddalił się. Na rozkaz wodza wszyscy Indianie odłożyli ręk nież broń i oddali kobietom, aby zaniósły ją do namiotów. Wó? zrzucił wierzchnie odzienie, Old Shatterhand jednak nie pos; za jego przykładem, gdyż ubieranie się spowodowałoby stratę a „.. która łatwo mogła się stać niebezpieczną. Kobiety powróciły `: szybko, aby nie stracić nic z widowiska. Oczy wszystkich z, były na środek koła i nikt nie myślał o małym Franku.

- Stało się według twojej woli - rzekł Wielki Wilk. - zaczniemy?
- Zaraz. Jeszcze jedno J pianie. Co się stanie z moimi towa mi, gdybyś mnie zabił?
- Będą naszymi jeńcami.
- Ale przecież wywalczyli sobie wolność i mogę pójść, zechcę.

JL- Tak. Przedtem jednak muszą pozostać u nas jako zakła-

- To się sprzeciwia umowie; jednak jestem zdania, że s słów. A co się stanie w tym wypadku, gdy ja ciebie zabiję?
- Wypadek taki nie nastąpi! - zawołał dumnie czerwonos
- Musimy jednak go rozpatrzyć.
- No, dobrze! Jeśli mnie zwyciężysz, będziecie wolni.
- I nikt nas nie zatrzyma?
- Nikt!
- Więc możemy zacząć.
- Howgh! Dajmy się związać. Tu masz tomahawk.

Dwa topór/ wojenne zatrzymano i wódcz, również uzbroję, w nóż, wręczył jeden z nich Old Shatterhandowi. Obejrząwszy, m-liwy odrzucił go tak, że wielkim łukiem przeleciał wysoko poza kot

- Co robisz? - zapytał wódcz zdumiony.
- Odrzuciłem topór, ponieważ był do niczego. Twój, jak widh znakomitej jest roboty, tamten zaś przy pierwszym uderzeniu r<3 leciałby się w ręce.

Mimo grubej warstwy farby, która zakrywała twarz wodza, wic było, jak pokrywały ją szyderskie zmarszczki, kiedy odezwa? się:

- Wolno ci tomahawk odrzucić, ale innego nie dostaniesz!
- To niepotrzebne. Będę walczył tylko moim nożem, na któr mogę polegać.
- Uff! Jesteś szalony! Pierwsze uderzenie mojego tomahawl zabije cię. Ja mam topór i nóż, a ty nadto ustępujesz mi w sile!

Na to Old Shatterhand schylił się, chwycił kamień, który •”•”MS dnio podniósł Wielki Wilk, podciągnął go do wysokości pasa, ?- podźwignął ponad głowę, potrzymał przez chwilę, a wres;< ryucił ta-., ze P8- w o-e-o-a dziewięciu czy dziesięciu kroków.

_ Zrób to samo? - zawołał do czerwonoskórego.

_ Uff, uff, uff! - zabrzmiało dokoła. Wódcz zrazu nic nie odaoied<iał, patrzył zdumiony to na Old Shatterhanda, to znowu na kamień. Dopiero po chwili odezwał się:

- Czy myślisz, że mnie przerazisz? Nie spodziewaj się tego! Zabiję

cię i zabiorę skalp, choćby walka miała trwać do wieczora. Przywiąz-cie nas!

Rozkaz był skierowany do dwóch stojących w pogotowiu Indian; związawszy wodzowi i Old Shatterhandowi lassa dookoła bioder, cofnęli się natychmiast. Tak przywiązani do pala mogli się przeciwnicy aoruszać tylko wewnątrz koła, którego promień miał długość pozos-talej części lassa. Walczący staU tak, że oba lassa tworzyły linię proiita, a więc średnicę koła, a twarzami byli zwrócenii każdy do placu przeciwnika. Wielki Wille teyinai w prawej ręce tomahawk, a w lewej nóż, gdy tymczasem Old Shatterhand miał w dłoni tylko nóż. Wielki Wilk wyobrażał sobie walkę zapewne w ten sposób, że jeden drugiego będzie pędził w koło i próbował zbliżyć się do przeciwnika na tyle, aby zyskać możność

zadania pewnego ciosu lub pchnięcia. Musiał sobie wprawdzie powiedzieć, że co do siły nie przewyższa swego przeciwnika, ale broń była nierówna i żywił niezłomne przekonanie, że zwycięży, zwłaszcza że jego zdaniem biały trzymał nóż zupełnie fałszywie. Mianowicie Old Shatterhand trzymał nóż tak, iż ostrze skierowane było nic w dół, ale w górę, nie mógł więc wykonać ciosu z góry na dół. Czerwonoskóry śmiał się z tego w duchu i skierował wzrok na swego przeciwnika, aby nie uszedł mu żaden jego ruch.

Biały również zwrócił bacznie oczy na wodza, nie chcąc pierwszy atakować, bo pierwsze starcie powinno było zdecydować o walce. Szło tylko o to, w jaki sposób Wielki Wilk użyje tomahawka; gdyby używał go, trzymając stale w ręce, nie byłoby się czego obawiać; gdyby jednak nim miotał, należało wyteńczyć całą uwagę, na jaką tylko stać człowieka.

Stali tak pięć, dziesięć minut i żaden się nie poruszył. Indianie „oczęli już wydawać okrzyki zachęty lub nawet przygany.

Wielki Wilk wzywa? swego przeciwnika wśród głośnych szyderstw, ?y zaczynał, i obsypywał go obelgami. Old Shatterhand nie mówił c. Usiadł, przybierając postawę tak spokojną i swobodną, jakby znajdował się w/ zupełnie bezpiecznym otoczeniu, als muskuły i ścięgna trzymał w pogotowiu do podjęcia natychmiastowej akcji.

Wódz przyjął to za oznakę lekceważenia, gdy naprawdę Old Shatterhand jedynie tym fortelem pragnął uspić jego czujność; cel
273

został w pełni osiągnięty. Wódz osadził, że siedzącego wroga ła pokona, i postanowił szybko wykorzystać tę sposobność. Wyd;-więc głośny okrzyk wojenny, skoczył ku Old Shatterhandowi nosząc tomahawk do śmiertelnego ciosu. Wydawał się tak niech-że Indianie otworzyli już usta, aby wydać okrzyk radości, gdy r biały uskoczył w bok i bowie, skierowany w górę, spełnił swe zac' cios wodza chybił, Old Shatterhand zaś wymierzył szybko w ramię Wilka, wytrącając mu nóż z ręki, a potem, prawie mewie nym ruchem, uderzył swego przeciwnika twardą rękobjęścią i w okolicę serca z taką szła, że Wilk padł na ziemię jak kłoda.

Shatterhand podniósł nóż i zawołał:

- Kto jest zwycięzcą?

Nikt mu nie odpowiedział. Nawet ci, którzy dopuszczali my a wódz ich może ulec, nie spodziewali się przede, że nastąpi to prędko i w taki sposób.

- Wielki Wilk sam powiedział, że skalp pokonanego nales zwycięzcy - ciągnął dalej Old Shatterhand. - Jego czupryna zatem moją własnością, ale ja jej me chcę. Jestem chrześcijan' i przyjacielem czerwonych mężów; daruję mu więc życie. Może zł.;

łcm wodzowi jakie żebro, ale żyje. Niechaj moi czerwoni b;
zbadają go!

Odwiązał lasso i odszedł; nikt mu nie przeszkodził, nikt rów nie wstrzymywał Davy'ego i Jemmy'ego, którzy poszli za nim. K chciał się jak najprędzej przekonać o stanie zdrowia Wielkiego W i wszyscy cisnęli się do środka koła. Toteż myśliwi dotarli zupełniil niepostrzeżenie do namiotu, za którym leżała ich broń; stał te również Hobbie-Frank z końmi. Biali szybko wsiedli na nie i rus< najpierw powoli, szukając osłony poza namiotami i chatami; kie jednak zostali zauważeni przez strażę stojące poza obozem i kie strażnicy wydawszy okrzyk wojenny, strzelili do nich, przynaglił konie do galopu. .

Obejrzawszy się poza siebie, ujrzeli, że wołanie i .strzały wartow-ników zwróciły uwagę innych. Indianie wprost strumieniem wylewał:

się spoza namiotów, śląc za zbiegami szatańskie wycie, którego ech-odbito się od gór wielokrotnie.

Myśliwi pędzili poprzez równinę wprost ku miejscu, gdzie potoi spadał z gór do jeziora. Old Shatterhand znalazł okolicę dość dobrtl i wiedział, że dolina tego potoku najprędzej nastreczy możliwość ucieczki. Był bowiem przekonany, że Utahowie ruszą natychmia w pogoń, musiał więc zwrócić się tam, gdzie trudno będzie rozpozna ślady.

274

JL ego samego dnia, brzegiem potoku, wzdłuż którego poprzedniego wieczora jechali Utahowie ze swymi jeńcami, posuwał się w górę oddział jeźdźców. Na czele

Old Firehand z Ciotką Droll, za nimi Humpy-Bill i Gunstick-Uncle z angielskim lordem, krótko mówiąc, byli to biali, którzy przeżyli opowiedzianą już przygodę w Eagle-tail, a potem ruszyli w góry, aby się dostać do Srebrnego Jeziora. W Denver przyłączył się do nich inżynier Butler z córką; z farmy bowiem brata udał się tam wprost na spotkanie białych. Żona jego, nie czując się na siłach od czasu przygody z panterą, pozostała na farmie Butлера. Dziewczynka żadną miarą nie chciała się rozstać z ojcem; musiał więc wziąć ją ze sobą. Jechała w pewnego rodzaju palankinie umieszczonym na dwu drobnych, ale wytrawnych indiańskich kucykach.

Winnetou nie było widać; ruszył naprzód jako zwiadowca. Przypadałkowo Old Firehand obrał drogę przez las i ową polanę, gdzie Old Shatterhand i jego towarzysze spotkali się z Utahami. Myślicy rozpoznali ze śladów, że biali zostali pojmani przez Indian, toteż gotowi byli ruszyć natychmiast śladami, aby przyjść im z pomocą. Nie wiedzieli, że Utahowie wykopali topory wojenne, przeto zarówno Winnetou, jak i Old Firehand spodziewali się, iż znajdą gościnnie przyjęcie i będą mogli wstawić się za pojmanymi.

Nie wiedzieli wprawdzie, że czerwonoskórzy rozbili obóz, ale znali jezioro, a ponieważ jego okolica nadawała się znakomicie na obozowisko, więc domyślali się, że tam znajdą Utahów. Mimo przyjaznego, Jak się spodziewali, nastawienia ze strony czerwonoskórych, byłoby przeciwne zwyczajom Zachodu pokazywać się, nie zbadawszy pierwaj położenia. Dlatego Winnetou wyjechał naprzód na zwiady i właśnie w chwili, kiedy oddział dotarł do miejsca, gdzie brzegi potoku się rozstępowały, Apacz, powiacając galopem, skinął już z daleka, aby się

275

zatrzymano. Nie był to pomyślny znak, Oki Firehand zawołał wzywając go do siebie:

- Mój brat chce nas ostrzec? Czy widział Utahów?
- Widziałem ich obóz.
- I Winnetou nie mógł się im pokazać?
- Nic, gdyż wykopali topór wojenny.
- Po czym można było to poznać?
- Po barwach, którymi się pomalowali, a także i po tym, że siei ich tak wielu zgromadziło. Czerwonych wojowników w takiej liczbie można widzieć tylko w czasie wojny lub wielkich łowów. Ponieważ '•' „,' Jest to pora wędrówek bizonów, może więc być jedynie topór woj. dokoła którego tak licznie się zbrali.
- Wielu ich jest?
- Tego Winnetou nie mógł dokładnie widzieć. Stało ich ;

trzystu nad jeziorem, a znajdowali się pewnie także i w namiotach;

- Nad jeziorem? Tak wielu? Co się stało? Może wielki polów
- Nie. Przy połowie ryb ludzie poruszają się naprzód, a ci spokojnie i patrzyli w wodę. Winnetou myśli, że to były wy w wodzie o życie.
- Czy masz do tego jakie podstawy?
- Tak. Utahowie noszą barwy wojenne, uważają więc biali znajdujących się u nich, za nieprzyjaciół. Ci mieli zostać zabici, czerwony mąż nie pozwala swemu nieprzyjacielowi szybko umrzeć tylko zamęcza go powoli na śmierć; często wyznacza mu walkę o ż z przeciwnikiem silniejszym od niego; na przykład każą jen':

pływać, aby przedłużyć jego konanie i trwogę przed śmiercią.

- Jestem w zupełności tego samego zdania. Natrafiliśmy na -i najpierw czterech, a potem jeszcze dwu białych, to znaczy jesi:

sześciu. Nie wszyscy przecież będą pływać, lecz każdy w inny sposób będzie walczył o życie. Musimy im pośpieszyć na ratunek, bo ina' zginą.

- Nie - zaprzeczy? Apacz. - Między bladymi twarzami znaj- duje się pewien mąż, który siebie i swoich towarzyszy nie pozwoli talfj łatwo zabić. U
- Kto to? l
- Old Shatterhand. j-

- Co?! - zawołał myśliwy. - Old Shatterhand, z którym miałem się spotkać w górach nad Srebrnym Jeziorem? Czyżby rzeczywiście J... przybył?
- Old Shatterhand jest punktualny jak słońce na niebie.
- Czy widziałeś go?

276

- Nie.
- Skąd wiesz tedy?

- Wiem o tym już od wczoraj.

- I me powiedziałeś mi tego?

- Milczeć jest czasem lepiej niż mówić. Kiedyśmy przeszukali skraj lasu i trawę na polanie, znalazłem drzewko podziurawione od kulek. Te kuleki pochodziły ze strzelby Old Shatterhanda; wiem to na pewno. Chciał nastraszyć czerwonych mężów i ci obawiają się teraz jego strzelby.

- Gdybyś mi był pokazał to drzewko! Hm! Jeśli Old Shatterhand jest między tymi białymi, to rzeczywiście nie ma zbytnej obawy. Co mamy teraz przedsięwziąć?

- Moi przyjaciele pojedą za mną jeden za drugim, aby Utahowie, gdyby natrafili na nasze ślady, nie mogli policzyć, ilu nas jest. Howgh!

Odwróciwszy konia, pojechali dalej, nie oglądając się.

Brzegi potoku rozstały się w szereg wzgórz okalających równinę dookoła jeziora. Równina była bezdrzewna, ale wzgórza pokrywał gęsty las, sięgający aż do środka doliny i okolonny wąskim pasem zarośli.

Szukając osłony poza tymi krzakami i drzewami, Winnetou siedł na prawo wzdłuż pagórków, które stanowiły północną granicę równiny, a dalej na zachodzie dotykały owej góry, skąd woda wpływała do jeziora.

Tak tedy biali objechali równinę od wschodu na zachód, aż wreszcie dotarli do potoku i w odległości kilkuset kroków od jeziora znaleźli się pod drzewami, pomiędzy których mogli przyjrzeć się obozowi. Tam zsiadł z koni, spętał je i rozłożyli się na miękkim mchu. Miejsce było jakby stworzone na to, aby po kryjomu, a przy tym jak najwygodniej obserwować obóz.

Niedaleko od niego stali Utahowie, potem ujrano dwóch ludzi, którzy oddzielili się od gromady i co się popędzili na południe. Old Firehand, spojrzawszy przez lunetę, zawołał:

- To wyścigi między czerwonoskórym a białym! Czerwonoskóry już daleko na przedzie i z pewnością zwycięży. Biały to jakiś mały człowieczek.

Oddał lornetę Apaczowi: ten zaledwie skierował szkła na białego, ;rzyknął:

- Uff Hobbie-Frank! Mały bohater musi walczyć o życie, a nie-
-bna, aby czerwonego prześcignął.
- Hobbie-Frank? - zapytał Old Firehand. - Nie powinniśmy
- tu z zakąszonymi rękami, lecz musimy coś przedsięwziąć?

2-7

- Teraz jeszcze nie - oświadczył Apacz. - Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Old Shatterhand jest przecież przy nim. -

Drzewa rosły w ten sposób, że nie było widać całej przestrzeni, na której odbywał się wyścig. Obaj współzawodnicy zniknęli na prawo, oczekiwano naturalnie, że pierwszy pojawi się Indianin. Jakież jednak było zdumienie, kiedy zamiast niego ukazał się mały, idący zupdink; swobodnie, jakby tu szło o spacer.

- Frank pierwszy! - zawołał Old Firehand. - Jak to możliwe?
- Dzięki fortelowi - odpowiedział Winnefou. - Zwyciężył;

wnet dowiemy się, jak tego dokazał. Słuchajcie, z jakim gniewem krzyczą Utahowie! Odchodzą, powracają do obozu. Patrzcie! Ta stoją cztery blade twarze, poznaj je.

- Ja też! - zawołał Droll. - To Old Shatterhand, diugi DavyJ gruby Jemmy i mały HobbIe-FrankI i
- Nasi przyjaciele mają jeszcze broń - odezwał się teraz Win-1 netou do Old Firehanda - a więc nie jest z nimi najgorzej. Pozostań-cię tutaj, a ja spróbuję zbadać, co się dzieje.

Z hinetą w ręce, zniknął między drzewami. Minęło przeszło godziny, zanim wreszcie powrócił oznajmiając:

- Pośrodku obozu odbywa się pojedynek. Utahowie stoją tam gęsto obok siebie, że nie mogłem ujrzeć walczących; widziałem jednak HobbIe-Franka. Ukradkiem wyprowadził konie poza namiot i rzucił na nie koce; biali chcą się widać oddalić.

- Ukradkiem? A więc uciekają? - zapytał Old Firehand.

Stańmy zatem na drodze i czekajmy na nich albo nawet chodźmy naprzeciw nich. -

- Ani jedno, ani drugie - odparł Apacz potrząsając głową

- Niech Old Firehand się zastanowi: co uczynią czerwoni mężowie gdy biali umkną?

- Będą ich ścigać.

- Jeśli się ściga czterech lub sześciu ludzi, ilu wojowników po-trzeba do tego?

- No, dwudziestu do trzydziestu.

- Dobrze! Tych pokonamy bardzo łatwo. Jeśli jednak pokażemy się Utahorn, to rzuci się za nami cały szczep i popłynie wiele krwi.

- Masz słuszość, Winnetou! Ale czerwoni mężowie poznają ze śladów, ilu nas jest.

- Będą patrzeć na trop, który jest przed nimi, a nie na ten, i będzie za nimi,

- Ach, myślisz, że pójdziemy za nimi? Słuchaj! Cóż to?

Od strony obozu zabrzmiało straszliwe wycie, a zaraz po

278

uui-zano, jak wyjechało stamtąd galopem czterech ludzi. Byli to biali. Zwrócili się w górę jeziora, mieli więc zamiar dotrzeć do potoku, aby wzdłuż niego jechać.

- Niech Old Firehand pójdzie ze mną - rzekł Winnetou - inni natomiast biali bracia muszą prędko udać się z końmi głębiej w las i tam czekać, aż powrócimy. Niechaj wezmą także nasze konie!

Ujawszy Old Firehanda za rękę, pociągnął go za sobą wzdłuż wysokiego brzegu rzeczki pod drzewami aż do miejsca, skąd widać było obóz bez narażenia się na odkrycie. Tam stanęli.

Old Shatterhand z towarzyszami jechał dołem. Nagle nabrzmiął nad nim głos:

- Uu Niech moi biali bracia zatrzymają się tutaj!

Wstrzymali konie i spojrzeli w górę, wołając równocześnie:

- Winnetou, Winnetou!

- Tak, Winnetou, wódz Apaczów. A tu stoi drugi przyjaciel moich białych braci! - popchnął naprzód olbrzyma.

- Ola Firehand! - zdziwił się Old Shatterhand. - Ty tutaj! Co za radość! Czy jesteście sami?

- Nie, będzie nas pewnie ze czterdziestu westmanów i rafterów.

Znajdziesz tu dobrych znajomych. Teraz nie czas na opowiadanie.

Dokąd zmierzasz?

- Nad Srebrne Jezioro.

- My też. Jedźcie daJeJI Skoro tylko wasi prześladowcy miną nas, pójdziemy za nimi i weźmiemy ich w środek, i

- Bardzo dobrze! Co za szczęście, żeśmy was spotkali. Czy widzicie stąd obóz?

- Tak. ;

- To uważajcie, aby nas nie schwytano. Chcę wam opowiedzieć to, co najpotrzebniejsze.

.Opowiedział zaszłe wypadki, jak mógł najkrócej, po czym Win-nstou zabrał głos:

- Mój brat zna ów głęboki wąwóz, który blade twarze nazywają Night-canyon -

Kanion Nocy. Stąd można się do niego dostać v/ przeciągu pięciu godzin; wąwóz

rozszerza się w środku, tworząc okrągły plac, którego ściany zdają się sięgać nieba. Czy Old Shatter-hand przypomina sobie to miejsce?

-Tak.

- Tam niechaj mój biały brat jedzie, a kiedy minie okrągły plac, isiech się usadowi po przeciwnej stronie. Wawóz jest tak wąski, że dwu jeźdźców zaledwie może się wyminąć, więc mój brat, dzięki swej strzelbie, sam jeden może zatrzymać kilka setek Utahów. Dostaną się

279

tam, to nie będą mogli pójść ani naprzód, ani się cofnąć, bo m) będziemy na ich tyłach.

- Dobrze, pójdziemy za tą radą. Ale przede wszystkim poe-cie mi jeszcze jedno. Dlaczego jedziecie w tak wielkiej liczbie w nad Srebrne Jezioro?

- Zaraz się dowiesz - odpowiedział Old Firehaod. - w górze znajduje się nadzwyczaj bogata mina srebrna, ale w oi.:

tak suchej, że nie można by na razie jej wyzyskać, gdyby się nie - sprowadzić tam wody. Toteż wpadłem na myśl, aby spuścić •;

Srebrnego Jeziora. Jeśli nam się uda, to mina przyniesie miliony, l ze sobą inżyniera, który sprawę oceni ze strony technicznej, a v myślnym razie przeprowadzi ją.

Po twarzy Old Shatterhanda przebiegł lekki uśmiech, kieci:

odezwał:

- Mina? Kto ją odkrył?

- Ja sam byłem przy mej.

- Hm! Jeśli ci się uda sprowadzić wody jeziora do owej kop to zrobisz podwójny interes. Na dnie jeziora leżą bogactwa, w> których blednie twoja srebrna mina.

- Ach! Czy masz na myśli skarb w Srebrnym Jeziorze? Co v, o nim?

- Więcej, niż myślisz. Dowiesz się o lym później. Ale ty ss również mówisz o tym skarbie. Od kogo dowiedziałeś się o nim?

- Od... no, i o tym później. Teraz uchodź! Widzę Indian, nad' dżają z obozu. ~
Ilu?

- Pięciu.

- Pshaw! Nie ma się czego bać. To straż przednia, której powinniśmy stracić z oczu, główny oddział pójdzie wnet po ni A więc naprzód! Do widzenia w Kanionie Nocy!

Spiął konia ostrogą i odjechał z towarzyszymi; Old Firehat i Winnetou przyczaili się, aby obserwować Utahów. Ci minęli z oczyma utkwionymi w ziemię.

Y/tedy obaj powrócili do swego oddziału, który cofnąwszy w las, stał w pobliżu ujścia potoku. Już Old Firehand chciał oznajn o czym mówił z Old Shatterhendem, gdy wtem wzrok jego padł kilka kobiat Utahów, zbliżających się ku brzegowi jeziora; nios w rękach przybory niezbędne do połowu ryb. Zwrócił więc na uwagę Winnetou:

- Gdyby tak podsłuchać te skwaw, to może dowiedzielibyśmy czego o zamiarach wojowników?

Winnetou spróbuje to uczynić, jeśli dość blisko podejda - od-powiedział Apacz. Zbliżyły się dostatecznie. Nad ujściem potoku zasiadły na brzegu nod krzakami i zarzuciwszy wędki, poczęły rozmawiać nie zważając • - że łowiąc ryby, powinny milczeć. Winnetou poczołgał się ku nim Jak w-21 P0-02- za krzakami, przy których siedziały.

-- Jeśli te skwaw nie nauczą się milczeć, to nigdy nie złapią ani iednego pstrąga! - rzekł wróciwszy po kwadransie. - Powiedziały mf wszystko, co chciałem wiedzieć. Tych pięciu wojowników, którzy przejechali obok nas, ma wskazywać ślady Old Shatterhanda, a wkrót-ce pójdzie za nimi jeszcze pięćdziesięciu, których poprowadzi Wielki

Wilk.

- To on nie raniony? - zapytał Old Firehand.

- Cios Old Shatterhanda zwichnął mu prawą rękę i pozbawił oddechu, oddech już powrócił, a ręka nie przeszkadza mu kierować osobiście pościgiem. Utahowie jeszcze dzisiaj udadzą się na polowanie, by przygotować zapasy mięsa, gdyż jutro mają zwinąć obóz,
- Dokąd się przenoszą?
- Kobiety i dzieci pociągną w góry do starców; wojownicy zaś pójdą za Wielkim Wilkiem na miejsce zebrań wszystkich plemion Utabów.
- Gdzie ono leży?
- Tego skwaw, jak się zdaje, nie wiedzą. Więcej dowiedzieć się nie mogłem, ale dla naszego planu i to wystarczy.

Rozłożono się więc na czatach; po upływie może godziny Wielki Wilk ze swymi wojownikami przejechał obok, nie rzuciwszy nawet okiem pod drzewa. Czerwonoskórzy, wszyscy bez wyjątku uzbrojeni w broń palną, wyglądali niezwykle marsowo,

Wódz miał prawą rękę na temblaku, twarz pomalował jeszcze mocniej niż rano; z ramion opadał mu na grzbiet konia płaszcz wojenny ozdobiony piórami, ale na głowie brakło orlich piór, bo został zwyciężony i postanowił tę odznakę przywdziać dopiero wtedy, gdy pomści swą hańbę.

W dziesięć minut później poszedł za Utahami Winnetou sam jeden, frochę później ruszyła reszta.

O ubitej drodze naturalnie nie było mowy; jechano ciągle w górę -dłuż rzeki, która w czasie wiosennych roztopów naderwała brzegi; pędzie leżały oderwane kamienie i pnie, posuwano się więc naprzód °ardzo powoli, zwłaszcza że przez takie przeszkody trudno było Ponosić palankin młodej Ellen Butler.

Droga ku Kanionowi Nocy prowadziła przez najwęższe miejsce

280

281

Ełk-inountains poprzez góry. Tymczasem porzucono potok, a szyc przez las dziewiczy. Grunt był zbutwiały i miękki, a wciskały się głęboko. Kilka razy zbliżano się tak do Apacza, że i go było dojrzeć; postawa jego ukazywała zupełny spokój, wiedz Utahowie nie zwróca tak prędko uwagi poza siebie.

Kiedy Old Firehand ruszył ze swymi ludźmi znad jeziora, godzina dziewiąta. Aż do pierwszej jechali prawie wyłącznie ` potem przez prerię, pokrytą zaroślami. Wreszcie dotarto zno lasu, ale nie na długo, bo już po kilku minutach osiągnięto pi nego skraju. Tam zatrzymał się Apacz czekając na towarzyszy.

Osobliwy widok ukazał się białym. Przebyli już obszar Ełk-mo tains, przed okiem ich rozciągała się Grand-river ze swymi kaniona Po stronie prawej, lewej i tam, gdzie jeźdźcy przystanęli, obniżały ku sobie trzy ukośne, skaliste równiny. Pochyłość ich była tak stroi powierzchnia tak gładka, że niepodobna było pozostać ca sic Z obu stron, tam gdzie owe olbrzymie równiny się stykały, pły w dół strumienie, nie dając jednak życia choćby nawet źdźbłu trą W dole łączyły się oba potoki i znikaly w szczelinie skalnej.-

- To jest Night-canyon - objaśnił Old Firehand, wskazując szczelinę. - Otrzymał tę nazwę dla głębokości swojej i ciasnoty, światło słoneczne nie może osiągnąć jego dna. Ale spojrzcie w dc

Wskazał, gdzie woda zniknęła w szczelinie. Tam posuwały drobne postacie, byli to Utahowie. Pograżali się właśnie w szcze skały, wyżłobioną prawie prostopadle w gigantycznej ścianie, poi którą leżała szeroka równina, zamknięta omglonymi olbrzym! górskimi, Book-mountains.

Ciotka Droll, spojrzawszy w górę, odezwał się do Czarnego Tol

- Tu mamy zejść na dół, jeśli to potrzebne? Tego dokaże jed kominiarz! Wszak to istna ślizgawka.

- A jednak musimy zejść! - oświadczył Old Firehand. -;

dźde z koni i weźcie je za cugle, ale krótko. Musimy natur, postępować zupełnie tak, jak na ślizgawce. Ponieważ nie ma ani są ani hamulca, przeto należy spuszczać się zygzakiem.

Posłuchali tej rady, zejście zabrało znacznie więcej niż pół godz W końcu znaleźli się u wejścia kanionu, który tutaj był tak wąsk starczyło miejsca tylko dla dwu jeźdźców obok siebie. Przodem jc< naturalnie znowu Winnetou, za nim Old Firehand, obok lord. D.uCJ myśliwi, a w końcu rafterzy, którzy wzięli między siebie inżyniera i jego córkę. Oddział po przygodzie w Eagle-tail powiększył się pn'ez to, że nadzorca Watson z kilku jeszcze robotnikami przystał ii-1 wyprawy.

282

Ponieważ stukot kopyt mógł ich zdradzić, Winnetou zsiadł z wierz-linwca i w swych miękkich mokasynach ruszył przed towarzyszami, 'jv tymczasem rafterzy poprowadzili jego konia. e! Była to jazda jakby w podziemiu. Przed sobą i za sobą mieli wąską 7czeline, pod nogami zaś twardą, pokrytą kamieniami skałę i ciemną, niesamowitą wodę, a na prawo i !ewo prostopadłe ściany tak wysokie, . pje pozwalały widzieć nieba. Im głębiej się posuwano, tym powiet-. g stawało się zimniejsze i cięższe, a światło dzienne zasnuwało zmrokiem.

Kanion był nieskończenie długi. Czasem rozszerzał się nieco, tak -e starczyło miejsca dla pięciu lub sześciu jeźdźców, to znowu ściany iggo tak się schodziły, iż ludzie doznawali uczucia, że się podusza. Nawet konie parskały bojaźliwis i wydzierały się szybko naprzód.

Minał kwadrans i drugi, na-le - mimo woli wszyscy zatrzymali 5,ę - rozległ się huk, jakby z dziesięciu armat.

- Na miły Bóg, co to? - zapytał inżynier. - Czy to skały się

wala?

- Wystrzał ze strzelby - odpowiedział Old Firehand. - Nad-szedł czas. Pozostanie tu jeden człowiek na trzy konie, a reszta naprzód! Zsiadać!

W okamgnieniu stanęło na ziemi przeszło trzydziestu ludzi goto-wych iść za nim, a każdy miał strzelbę w ręce. Już po kilku krokach ujrzeli Winnetou, który zwrócony do nich tyłem, trzymał strzelbę wymierzona naprzód.

- Broń precz, inaczej przemówi moja czarodziejska strzelba!

- rozległ się zniecka potężny głos, nie wiadomo z góry czy też z ziemi.

- Broń precz! - zagrzmiało również w języku Utahów.

Teraz padły krótko po sobie trzy strzały; słyhać było, że wyszły z jednej i tej samej lufy. Był to oczywiście słynny sztucer Henry'ego, a jego trzask nabrał tu siły naprawdę strzału armatniego. Niebawem błysnęło także ze srebrnej rusznicy Winnetoa. Trafieni krzyknęli. Posłyszano wycie, jakby zerwały się wszystkie moce piekielne.

Old Firehand dotarł do Apacza, mógł teraz widzieć, kogo ma przed sobą i co się dzieje. Szczelina rozszerzała się na krótkiej przestrzeni, tworząc pewnego rodzaju grotę skalną. Miała kształt °kraglaka, a była tak obszerna, że mogła pomieścić ze stu jeźdźców. Wzdłuż lewej krawędzi biegła woda. Pomimo mroku widać było gromadę Utahów.

Pięciu wysłanych naprzód wojowników popełniło wielki błąd, zatrzymując się tutaj, aby czekać na swoich. Gdyby byli tego nie

283

uczynili, to czterej biali, stojący po drugiej stronie, byliby : 'mu;

przemówić do nich, a cz mogliby pewnie cofnąć się, aby o;;

towarzyszy. Ponieważ jednak czekali, aż pozostali nadejda, wi-s wszyscy znaleźli yię w pułapce. Fu drugiej strome stał Old Shatflfel ze sztucerem Henry'ego wzniesionym do strzału, a obok niego Id HobbIe-Frauk, aby Davy i Jemmy mogli strzelać ponad jego jgi Czerwonoskórzy nie opuścili broni aa wezwanie Old Shatterlr i dlatego padły strzały. Pięciu Utahów leżało martwych na zieirrii; nie mogli nawet myśleć o obronie, gdyż mieli dość roboty z o niem koni, spłoszonych potężnym echem wystrzałów.

- Odrzućcie broń, inaczej znowu będę strzelał! - z powtórnie głos Old Shatterhanda.

A z drugiej strony rozległo się wołanie:

- Tu stoją Old Firehand i Winnetou, wódz Apaczów! Pode się, jeśli chcecie zachować życie!

Żaden z Utahów nie ośmielił się podnieść broni. Osłupiali pa to naprzód, to wstecz, nie wiedząc, co mają począć.

Wtem obok Winnetou i Old Firehanda prześliznął się]

pomknął ku wodzowi, a przyłożywszy mu lufę karabinu do-zawołał:

- Odrnąć strzelbę, bo pociągnę za kurek!

Wielki Wilk utkwili osłupiały wzrok w tę grubą, cudaczną

jakby ujrzał przed sobą widmo, palce jego ręki otwarte się i wypadła.

- Tomahawk i nóż także!

Wódz sięgnął do pasa i uwolnił go z balastu.

- Odwiąż swe lasso! a

I tego rozkazu usłuchał Wielki Wilk; Droll lassem związała wodza pod brzuchem konia i odprowadził go na bok, wołając Gunstick-Uncle'a, który stał za Old Firehandem:

- Chodź no, Uncle, i zwiąż rnu ręce!

Uncle przystąpił sztywno, uroczyście i odrzekł:

- Trza mu u pasa ręce związać, aby już nie mógł więcej i

- i skoczywszy poza Wielkiego Wilka na konia, wprowadził j zapowiedź w czyn.

Zdawało się, że wódz nie zdaje sobie s-w ogóle z tego, co się z nim dzieje,

bezwolny był jak we śnie. Przi jego podziałal na innych, poddali się swemu

losowi. Szybko'1 brojono ich i związano. Teraz szło przede wszystkim o to, aby

z kanionu, dlatego skoro tylko uwinięto się z ostatnim czer skorym i zebrano

zdobytą broń, ruszono w dalszą drogę. P) jechali myśliwi, w środku Indianie,

pochód zamykali rafterzy.

284

Winnetou i Firehand wysunęli się z Old Shatterhandem naprzód, „lawszy mu w

milczeniu rękę, było to jedyne pozdrowienie możliwe - razie. Tuż przed jeńcami

jechali Ciotka Droll i Hobbie-Frank. i ->ea do drugiego nie mówił ani sl-owa.

Po pewnym c-zasie Droll wyjął osa zs strzemienia i stanął na grzbiecie konia,

aby na powrót usiąść w siodle, lecz już okrakiem.

- Olaboga! Co to ma znaczyć? - zapytał Frank. - Czy za-chciewa się wam żartów,

sir? A może występowaliście w cyrku jako kłown?

_ Nie, master - odpowiedział grubas. - Siadłem okrakiem, bo mogłoby być z nami źle. Pomyślcie tylko! Za nami jedzie pięćdziesięciu czerwonoskórych, może się więc łatwo zdarzyć coś takiego, o czym nic pomyśleliśmy- W tej pozycji będę ich miał na oku; w ręce mam rewolwer, aby posłać im jaką pigułkę, jeśli to potrzebne.

- Hm! To nawet słuszne. Mój koń nie weźmie mi tego za złe, jeśli i ja się obrócę.

W kilka sekund później siedział również okrakiem, aby pilnować Indian. Teraz, rzecz naturalna, ci dwaj zabawni jeźdźcy musieli często ku sobie zerkać; nie dziw tedy, że ich spojrzenia stawały się coraz cieplejsze. Tak ujechali szmat drogi w milczeniu, aż wreszcie Hob-bie-Frank, nie mogąc dłużej utrzymać języka, zagadnął:

- Nie weźcie mi za złe, że zapytam was o nazwisko. Tak, jak teraz siedzicie obok mnie, widziałem was już nieraz!

- Gdzie?

- W wyobraźni.

- Do stu piorunów! Kto by pomyślał, że ja żyję w waszej wyobraźni! Jaki czynsz mam za to płacić i jak stoi sprawa z wypowie-deeniem mieszkania?

- Całkiem wedle waszej wo!i; ale dziś z wyobraźnią koniec, bo widzę was teraz osobiście. Jeśli jesteście tym, za kogo was uważam, to słyszałem o was wiele rzeczy zabawnych.

- No, a za kogo mnie uważacie?

~ Za Ciotkę Droll.

- A gdzie słyszeliście o niej?

- W różnych miejscach, w których byłem z Old Shatterhandem i Winnetou tam w górze w Parku Narodowym, a także na Liano -tacado.

-- Tak? Hm! A ja także o was słyszałem, mister HobbIe-Franku!

Yfówił o was Apacz i jeszcze dziś, kiedy leżeliśmy przed obozem -tahów, nazwał was małym bohaterem.

~~ Małym... bohaterem! - powtórzył Frank, a po twarzy jego

285

przemknął uśmiech szczęścia.- Małym... bohaterem! Muszę sobie zapisać! Dobrze odgadliście, kim jestem; a ja, czy zgadłem?

- Naturalnie. Ale jak wpadliście na to, że jestem Ciotką Droi

- Powiedziało mi to wasze ubranko, jak również zachowa Słyszałem często, że Ciotka Droll jest nadzwyczaj śmiałą kobi widząc, jak poprzednio poczynaliście sobie z wodzem Utahów, poi siałem zaraz: to jest Ciotka, nikt inny!

- Sprawiacie mi wielki zaszczyt. Słyszałem, że pochodzicie starej Europy.

- Tak. Z Czech.

- A to wspaniale! Ja też z Czech.

- Olaboga! - zdziwił się mały. -r- Czy to możliwe? Z P-„agi z okolicy, he?

- Nie ze stolicy, tylko spod Pilzna.

- Pilzna? - Frank otworzył szeroko usta - Spod Pilzna?

- Tak! Czy znacie tam kogo?

- Co za pytanie! Mam tam krewnych, u których byłem dwa r na czereśniach. Wiecie, tam dopiero są czereśnie! Przez całych czter naście dni pieką placki, a jak skończą w jednej wsi, to zaczynają w drugiej.

- To prawda! - potwierdził Droll. - Więć macie i;} .v'viiyd u nas? Jak się nazywają ci ludzie i skąd pochodzą?

- Nazywają się Drołl, tak samo jak wy! To bardzo blishi pokrewieństwo! Mój ojciec miał kuma, którego nieboszczka synów. wyszła powtórnie za mąż do Pilzna. Później umarła, ale jej pasierb m;

szwagra i ten jest owym, o którym myślę. To był sprytny ci który wszystko potrafił; raz był kelnerem, to znowu kościelu sierżantem policji, drużba wreszcie.

- Stój! - przerwał Droll wyciągając rękę i chwytając ramię. - Czy miał dzieci?

- Bardzo dużo.

- Czy wiecie, jak im było na imię?

- Nie, już nie pamiętam. Tylko najstarszego przypominam bo lubiłem tego hultaja. Nazywał się 8astel-Sebastian. Zdaje mi nazywano go również Melchior.

- Słusznie, bardzo słusznie! To się zgadza, to się dok z,gadza! Sebastian-Melchior Droll! Czy wiecie, co się z nim stal

- Niestety, nie!

- To popatrzcie na mnie, a przekonacie się, na kogo.

To ja.

- Wy... wy? - zawołał mały.

28<"

_ - Tak, tak! Ja byłem owym Bastelem i jeszcze teraz wiem .nełnie dokładnie, kto bawił u nas na czereśniach; to był kuzyn Frank, który potem został pomocnikiem leśnym.

- Słusznie! Kuzynie, a więc tutaj wśród dziczy spotykamy się my, krewni. Chodź tu, kochany braciszku, muszę cię przycisnąć do serca!

Jeden sięgnął ku drugiemu; uścisk ten, ponieważ obaj siedzieli okrakiem, połączony był z pewnymi trudnościami, które jednak, choć 7 mozołem, przewyciężyli. Nie troszcząc się o posępne spojrzenia jeńców z pomalowanymi twarzami, jechali obok siebie ręka w rękę, tyłem zwróceniu ku znakomitym myśliwcom, i prawili o minionej młodości. Rozmowa ich długo by jeszcze się przeciągnęła, gdyby pochodu nie przerwano, dotarło mianowicie do wylotu szczeliny zakończonej większym i szerszym kanionem.

Słońce zapadło już tak głęboko, że promienie nie sięgały dna parowi, ale dość jeszcze było jasno, a powietrze było czyste i świeże. Jeźdźcy odetchnęli swobodniej, wydostawszy się na otwarte miejsce. Kanion ten miał może dwieście kroków szerokości, a na jego dnie płynęła wąska rzeczka, którą łatwo można było przebyć w bród. Na wodą rosła trawa, krzaki i kilka drzew. Jeńców posadzono na ziemi, nie uwalniając ich z więzów. Oddział Old Firehanda miał nieco żywności, toteż najpierw się posilono. potem miano rozstrzygnąć o losie czerwo;“io?kórych. Winnetou, Old Firehand i Old Shatterhand byli gotowi puścić ich wolno, inni jednak żądali surowej kary. Głos zabrał lord:

- Nie sądzę, aby byli godni kary za czyny swoje aż do końca pojedynków; lecz że potem, zamiast zwrócić wam wolność, ścigali was z zamiarem mordu, to ten właśnie zamiar uważam za karygodny.

- Jak ich ukarać za ten zamiar? Chyba nie śmiercią!

- Nie! . . .

- Nie!

- Aresztem, więzieniem czy domem poprawy?

- Pshaw! Sprawcie im dobre cięgi!

- To najgorsze, co moglibyśmy popełnić, gdyż dla Indianina nie -a większej obelgi nad uderzenie. Ścigaliby nas przez całą Amerykę.

- To nałóżcie na nich jaką grzywnę! Zabierzcie im konie i broń!

- To okrucieństwo! Pozbawieni wierzchowców, zginęliby z głodu 1"11 wpadli w ręce nieprzyjaciół! - odparł Old Shatterhand.

- Nie pojmuje was, sir! Właśnie wy nie powinniście okazywać iron ogólnych względów, bo na was przede wszystkim się targnęli.

- Właśnie, ponieważ targnęli się na mnie. Franka, Davy'ego mrny'ego, my czterej powinniśmy rozstrzygać o ich los'e

287

- Postąpcie, jak uważacie! - lord odwrócił się z niechęcią, cofnął się - idzie o zakład?

- O co?

- O to, że te hultaje źle się wam odpłaca, jeśli z nimi pos' pobłażliwie.

- Nie zakładam się!

Coraz wyraźniej skłaniano się do wniosku Old Shatterh) który przemawia! za jaką taką ugodą z czerwonoskórymi; nie jednak byłoby układać się z samym wodzem; podwładni jego m-również słyszeć, co powie i co przyobieca; może natenczas ze wz na dobrą sławę nie złamie przyrzeczeń.

Utworzono więc szerokie koło złożone ze wszystkich bi i czerwonoskórych. Dwaj rafterzy musieli stanąć w górze i w kanionu na straży, aby natychmiast donieść o zbliżaniu się wróg

Wódz Utahów usiadł przed Winnetou i Old Shatterhande:"), patrząc na nich, czy to ze wstydu, czy z zapamiętałego gniewu.

- Jak Wielki Wilk wyobraża sobie swój los? - zapytał Shatterhand w języku Utahów. Wódz zbył pytanie milczeniem.

- Wódz Utahów boi się i dlatego nis odpowiada.

Czerwonoskóry podniósł wzrok, wbił go z wściekłością w Old Shatterhanda i rzeki:

- Błada twarz jest kłamcą, jeffi twierdzi., że ja się boję.

- Więc odpowiadaj! A nie powinieneś mówić o kłamstwie sam skłamałeś.

- Nieprawda!

- Prawda! V/ obozie rytafem, czy będziemy wolni, jeśli zwycięstwo. Co na to odpowiedziałeś?

- Że będziecie mogli odejść.

- Czy to me był fałsz?
- Nie, gdyż odeszliście.
- Ale wyście nas ścigali! Czy zaprzeczysz temu?
- Zaprzeczę. Chcieliśmy udać się na miejsce zgromadzeń hów, a nie ścigać was.
- Ale dlaczego wysłaliście pięciu wojowników naszymi siadł
- Tego nie uczyniłem. Skoro topór wojenny wykopany, ri-mieć się na baczności. Chcieliśmy pozwolić wam odejść i dotrzv naszego siewa. Wy jednak napadliście na nas, odebraliście wszystkim własność i zabiliście pięciu Utahów. -1,
- Dlaczego twoi strażnicy strzelali do nas, kiedyśmy odjijci
- Nie wiedzieli o moim przyrzeczeniu. 1- 1
- Dlaczego wszyscy twoi ludzie wydali okrzyk wojenny? Ci znali twoje przyrzeczenie zupełnie dokładnie.
- Ten okrzyk odnosi się nie do was, lecz do strażników, aby zaniechali strzałów. Old Shatterhand białe tłumaczy na czarne! -
- A ty czarne na białe! Ale mam niezbity dowód twojej winy podkradliśmy się pod wasz obóz i podsłuchaliśmy twoich ludzi, wiemy więc, że chcieliście nas zabić. Jaką karę za to poniesiecie?

Wódz nie odpowiedział.

- Nie utraciliśmy wam ani jednego włoska, a wy chcieliście odebrać nam życie, zasłużyliście więc na śmierć. My jednak jesteśmy chrześcijanami i przebaczymy. Otrzymacie wolność i broń, lecz za to musicie nam przyrzec, że żadnemu z nas, jak tu siedzimy, nigdy nie spadnie włos z głowy z waszego powodu.
- Czy to mówi twój język, czy twoje serce? - zapytał wódz rzuciwszy na Old Shatterhanda niedowierzające, badawcze, ostre spojrzenie.
- Mój język nie ma innych słów niż moje serce. Czy jesteś gotów dać nam takie przyrzeczenie?
- Tak.
- I jesteś gotów potwierdzić je fajką pokoju?
- Jestem gotów.

Odpowiedział szybko, bez namysłu, stąd należało się spodziewać, że przyrzeczenie bierze poważnie. Wyrazu jego twarzy nie można było dojrzeć z powodu grubo nałożonej farby.

- Niechaj więc fajka obiegnie dokoła - ciągnął Old Shatter-hand. - Powtarzaj słowa, które ci podyktuję.
- Mów, a powtórzę!

Ta gotowość dawała dobre prognozyki, westman jednak nie mógł pominąć zastrzeżenia:

- Spodziewam się, że tym razem masz zamiary uczciwe. Byłem zawsze przyjacielem czerwonych mężów i uwzględniam to, że Utaho-wie zostali zaczepieni, w innym wypadku nie poszłoby wam tak gładko.

Wódz patrzył w ziemię, nie podnosząc oczu na mówiącego. Old Shatterhand zdjął swój kalumet z szyi, napełnił go i zapaliwszy, rozwiązał wodzowi więzy. Wielki Wilk musiał się podnieść, wypuścić dym w sześciu kierunkach, powtarzając:

- Ja, Wielki Wilk, wódz Yamba-Utahów, mówię za siebie ` za swych wojowników. Mówię do białych twarzy, które widzę Przed sobą, do Old Firehanda i Old Shatterhanda, i wszystkich innych, a także do Winnetou, słynnego wodza Apaczów. Wszyscy

288

„-Skarb...

289

ci wojownicy i biali mężowie są naszymi przyjaciółmi i braćmi. Nie może im nigdy z naszej strony stać się krzywda, a my raczej umrzemy, niżbyśmy mieli dać powód, aby musieli uważać nas za swych wrogów. To jest moja przysięga. Powiedziałem. Howgh!

Kiedy usiadł, uwolniono także innych z więzów i fajka przeszła z ust do ust. Nawet mała Ellen Butler musiała pociągnąć sześć razy. Następnie czerwonoskórzy odzyskali broń. Mimo ich przysięgi biali nie rezygnowali z ostrożności i każdy trzymał rewolwer w pogotowiu.

Wilk, przyproadziwszy konia, odezwał się do Old Shatterhanda:

- Powrócimy teraz do naszego obozu.
- Ach! Szliście przecież na miejsce zgromadzeń Utahów! Więc jednak przyznajesz, że jazdę tę podjęliście tylko ze względu na nas.
- Nie. Wy zabraliście nam -yle czasu, że przyszlibyśmy tam , późno. Powracamy zatem.
- Przez szczelinę w skale?
- Tak. Bywaj zdrów!

Podawszy mu rękę, wsiadł na konia, aby wjechać w szczelirf

Utahowie poszli za nim, a każdy z nich żegnał się po przyjacielsku

- Ten łajdak jest jednak tylko łajdakiem! - odezwał się sta Blenter. - Gdyby nie miał na twarzy warstwy farby grubej na pali to można by na niej wyczytać fałsz. Kula w łeb byłaby najlepszym środkiem.

Winnetou, słysząc te słowa, odrzekł:

- Mój brat może ma słuszość, jednakże lepiej jest czynić dobrze niż źle. Przez noc pozostaniemy tutaj, więc ja pójdę teraz za Utahami i postaram się ich podsłuchać.

Po tych słowach znikł w szczelinie.

Dzień zbliżał się ku końcowi, zwłaszcza że tu w kanionie wcześniej nastawała ciemność. Kilku z gromady poszło poszukać drzewa na ognisko; Old Firehand pojechał zaś na południe do kanionu, a Old Shatterhand na północ, aby zbadać okolicę. Musieli być ostrożni. Obaj, ujechawszy znaczną przestrzeń i nie zauważywszy nic podejrzanego, zawrócili, aby wraz z pozostałymi posilić się skąpą wieczerzą.

Po dłuższym czasie powrócił Winnetou. Mimo głębokich ciemności, panujących w szczelinie, trafił do obozu. Opowiedział, że Utahowie zabrali trupy swoich, leżące jeszcze w kanionie, i rzeczywiście ruszyli obroną drogą. Poszedł za nimi aż do drugiego wylotu szczeliny i widział dokładnie, jak wspinali się po stromym stoku skały i potem zniknęli w lesie.

Mimo to ustawiono straż głęboko w szczelinie, aby uniemożliwić

290 --

z tej strony wszelki niespodziewany napad. Dwaj inni strażnicy stanęli w głównym kanionie o sto kroków w górę i w dół od obozu; w ten sposób zapewniono sobie zupełne bezpieczeństwo. Naturalnie było nadzwyczaj wiele do opowiadania i dawno już północ minęła, kiedy ułożono się na spoczynek. Old Firehand obszedł strażę, aby dojrzeć, czy czuwają bacznie, i wyznaczył kolejność, w jakiej miano się zmieni-
niać. Zgaszono ogień; w kanionie zapanowała cisza.

Winnetou widział dobrze: Utahowie zniknęli w lesie, ale nie przejechali go, tylko się zatrzymali. Transport zwłok nie sprawiał im trudności, bo oprócz swoich wierzchowców mieli w zapasie konie . zabitych. Teraz wódz nakazał zmarłych zdjąć z koni, powrócił na brzeg lasu, spojrział w dół ku szczelinie i rzekł:

- Z pewnością nas obserwują; te białe psy zechcą zobaczyć, czy rzeczywiście wracamy do obozu.
- Nie uczynimy tego? - zdziwił się jeden z poddowódców.
- Czy masz tak mało mózgu w głowie jak szakal preriowy?
- skoczył na niego Wielki Wilk. - Idzie wszak o zemstę na tych białych ropuchach!
- Ale oni są teraz naszymi przyjaciółmi i braćmi! Paliliśmy z nimi fajkę pokoju!
- Do kogo należała fajka?
- Do Old Shatterhanda.
- Tak, przysięga obowiązuje więc jego, a nie nas! Dlaczego był taki głupi, że nie posługiwał się moją fajką? Czy tego nie rozumiesz?

- Wielki Wilk ma zawsze słuszość - zgodził się tamten z sofis-tyką wodza - lecz jak ich napadniemy? Nas jest mało, a w dodatku nie możemy powracać przez szczelinę, bo będą jej strzec pilnie.

- To obierzemy inną drogę i sprowadzimy tylu wojowników, ilu zapagniemy. Czy nie obozuje ich dosyć w Pla-mow? A tam dalej, w górze, czy nie prowadzi w poprzek kanionu droga, której, jak się

•-aje, blade twarze nie znają? Ciała zabitych i konie pozostaną tutaj, Przy nich dwóch strażników. Z pozostałymi pojedziemy na północ.

Postanowienie szybko wykonano. Bór był wprawdzie wąski, ale tworzył pas długości godziny jazdy, wzdłuż którego Utahowie gnali galopem, aż wzgórze poczęło powoli spadać w wąwóz poprzeczny.

Tym wąwozem Wielki Wilk dotarł do kanionu głównego, w którym -ajdowaii się biali, wąwóz uchodził do niego w odległości trzech mil -gielskich w górę od obozu. Naprzeciw niego boczny kanion wcinął się w główny. Tam zwrócił się Wielki Wilk ze swymi ludźmi; widać

291

było, że zna drogę bardzo dokładnie, bo mimo ciemności nie zbłądził ani razu.

Kanion, przez który teraz jechali, nie miał wody, a wznosił się pod górę.

Wkrótce Utahowie dotarli do obszernej równiny skalnej, w którą głęboko wciniała się rozgałęziona sieć kanionów. Księżyc świe jasno. W galopie przebyli równinę; w pół godziny potem okoli obniżyła się powoli w rodzaj szerokiego, łagodnego klina. Na prawo i na lewo skały, jakby ściany ochronne, rosły, w miarę jak d opadało, a na przedzie wynurzały się wierzchołki drzew, pod którymi płonęło bardzo wiele ognisk. Był to las, prawdziwy las, na równi wymiecionej do czysta przez burze i spalanej na kamień przez słońce. Zawdzięczał swe istnienie jedynie owej wklęsłości w ziemi. Górą w burze, nie dotykając go, a częste opady utworzyły coś na kształt jeziora, którego wody rozwilgotniały grunt, pieniając urodzaj kór. To był Plamow, Las Wodny, do którego zmierzał Wielki Wilk.

Nawet bez drogowskazu księżyc łatwo było trafić, tak licz płonęły ognie.

Panował tu ożywiony ruch obozu wojennego. Ani namiotu, ani chaty. Liczni czerwonoskórzy leżeli przy ogniach na kocach lub na gołej ziemi; pomiędzy nimi pasły się konie. W miejscu tym miały się zbierać gromady wszystkich szczepów Utahów na wyprawę wojenną przeciw Nawahom i białym.

Wielki Wilk zsiadł z konia przy pierwszym ognisku, skinął na swych ludzi, aby poczekał, po czym zawołał na jednego z siedzących przy ogniu: „Nanap-neaw”, „Stary Wódz”. Był to naczelnik wszystkich szczepów Utahów. Wezwany poprowadził Wielkiego Wilka ku jezioru, gdzie z dala od innych płonęło wielkie ognisko.

Siedziało tam czterech Indian, wszyscy przystrojeni orlimi piórami. Jeden z nich zwłaszcza zwracał na siebie uwagę. Twarz jego, nie pomalowana, przecinały niezliczone, głębokie bruzdy. Białe jak śnieg włosy spływały mu nisko na kark. Człowiek ten miał z pewnością osiemdziesiąt rok życia, a jednak siedział tak prosto, dumnie i krzepko, jakby miał lat niespełna pięćdziesiąt.

Zwrócił baczne spojrzenie na nadchodzącego, ale nie wypowiedział nawet pozdrowienia; inni również milczeli. Wielki Wilk usiadł i patrzył przed siebie. Tak minęła długa chwila; w końcu z ust starca padły słowa:

- Drzewo zrzuci liście jesienią, jeśli jednak drzewo traci liście przedtem, to nic nie jest warte i należy je ścinać. Przed trzema dniami miało jeszcze ozdobę, gdzie się dziś podziała?

Pytanie to odnosiło się do braku piór orlich na głowie Wielkiego Wilka; słowa zawierały wyrzut druzgocący dla każdego dzielnego wojownika.

292

- Jutro ozdoba znowu zabłyśnie na mej głowie, a u pasa będą wisieć skalpy dziesięciu, a nawet dwudziestu bladych twarzy! - odparł wódz.

• _ Czy Wielki Wilk został zwyciężony przez blade twarze, że nie

inoże nosić oznak swego męstwa i godności?

_ przez jedną tylko bladą twarz, ale przez taką, której pięść jest cięższa niż dłoń wszystkich innych.

- Uff! Tym mógł być tylko Old Shatterhand!
- To on. Jest w pobliżu, a z nim jeszcze wielu innych; Old Firehand, Winnetou, długi i gruby westman i oddział, który liczy pięć razy po dziesięć głów. Przyszedłem do was, aby przynieść wam ich

skalpy.

- Uff - Sędziwe oblicze Nanap-neawa przybrało wyraz takiego napięcia, że znikły prawie wszystkie jego zmarszczki. - Uff! Niech Wielki Wilk opowiada!

Wielki Wilk usiłował siebie i własne czyny przedstawić w dobrym świetle. Indianie siedzieli bez ruchu, słuchając z największą uwagą. Wódz zakończył:
- Nanap-neaw da mi pięćdziesięciu wojowników, z którymi na-padnę na tych psów. Skalpy ich muszą wisieć u naszych pasów, zanim jeszcze zabłyśnie zorza poranna.

Twarz starego znowu porały zmarszczki.

- Jeszcze przed zorzą poranną? - zapytał. - Czy to są słowa czerwonego wojownika? Błede twarze chcą naszej zagłady i teraz, kiedy Wielki Duch oddaje w nasze ręce najszlachetniejszych i najznakomitszych spośród nich, mają umierać szybko i bez bólu, jak dziecko na rękach matki? Czy nie powinni ponieść mąk tych cięższych, im są sławniejsi? Musimy ich pochwytać żywcem, aby poszli na pal męczeński!

- Howgh! - potwierdzili trzej inni.

- Niechaj Stary Wódz pomyśli, jacy mężowie są pomiędzy nimi!

- ostrzegał Wielki Wilk. - W ich bronii siedzą wszystkie złe duchy.

- Dość! - przerwał gniewnie stary. - Wiem, jak silni i zręczni są ci biali, ale mamy pod dostatkiem ludzi, aby ich rozgnieść. Dam ci trzystu wojowników, a przyprowadzisz mi te blade twarze żywcem! Ty sam masz pięćdziesięciu swoich, więc na każdego białego przypadnie siedmiu czerwonych. Musicie podejść ich i związać, zanim się obudzą. Weźcie tylko dosyć rzemieni! Powiedziałem! Teraz chodź; wybiorę, kto ma wyruszyć z tobą!

Poszli od ogniska do ogniska. Wkrótce zebrało się trzystu ludzi

293

oraz pięćdziesięciu do pilnowania koni, których nie mogli przeci zabrać ze sobą aż do obozu białych. Wielki Wilk objaśnił wojo ników, o co chodzi, opisał im dokładnie okolicę i przedstawił pl napadu. Dosiedli koni. Obrali dokładnie tę samą drogę, którą przybył Wielki Wilk, ale tylko do głównego kanionu. Tam zsiadli z koni i pozostawili je poJ opieką owych pięćdziesięciu. Przy takiej przewadze przedsięwzięcie to można było nazwać prawie zupełnie bezpiecznym. Szkopuł leżał jedynie w tym, że konie białych mogły zwietrzyć podkradających się czerwonoskórych i przez niespokojne wierzganie lub głośne parskanie ` zdradzić ich.

- Jak temu zaradzić? - Wódz wypowiedział to zdanie t głośno, że słyszeli je otaczający. Jeden, schyliwszy się i zerwaw;

jakaś roślinę, podał ją wodzowi:

- Tu jest pewny środek, aby oszukać ich powonienie.

Wódz poznał roślinę po zapachu. Była to szałwia. W kanioni którego dna słońce nie mogło dosięgnąć, rosła ta roślina masow< Rada była dobra. Indianie natarli ręce i odzież szałwią. Nad' zauważył Wielki Wilk, że lekki powiew wiatru szedł z dołu, a wii w korzystnym dla nich kierunku.

W dalszą drogę ruszono pieszo; wynosiła trzy mile angielskie. Początkowo szli szybko naprzód, kiedy jednak przebyli dwie mile, musieli już dalej posuwać się cicho jak węże. Oddaleni zaledwie o sześćset kroków, nie uczynili jeszcze najmniejszego szelestu; nie poruszono kamyczka, nie potracono nawet gałazki. Wtem... Wilk, idący przodem, stanął, ujrzawszy płonące ognisko strażników. W tym właśnie czasie Old Firehand obchodził strażę. Wódz widział jeszcze za dnia, że jedną straż postawiono w górze, drugą w dole obozu. Strażników należało najpierw unieszkodliwić. Wydawszy cichy rozkaz zatrzymania się, wyznaczył tylko

dwóch ludzi, aby szli za nim. Wkrótce doczołgali się do strażnika, stojącego w górze obozu; zwrócony tyłem do Indian, patrzył na nikoną postać Old Firehanda. Nagle... dwie dłonie objęły go za szyję, a cztery inne chwyciły za ręce i nogi; nie mógł złapać oddechu i stracił przytomność, a kiedy powrócił do siebie, był związany i w ustach miał knebel. Obok niego siedział Indianin przykładając mu do piersi ostrze noża.

Tymczasem ognisko zagaszono, a wódz wezwał do siebie znowu obu wojowników. Szło teraz o strażnika stojącego poniżej obozu;

musiano więc prześliznąć się koło obozowiska; dlatego trzej napastnicy przeszli przez potok i po drugiej stronie, gdzie nie było białych, przeczolgali się dalej. Należało przypuszczać, że obie placówki usta-

294

wiono w równej odległości od obozu, łatwo więc było obliczyć, jaką przestrzeń należy przebyć. Woda fosforzowała; plusk jej mógł ich zdradzić. Dlatego czerwonoskórzy poczołgali się jeszcze jakąś przestrzeń po drugim brzegu, potem przeszli znowu przez wodę i posunęli się na rękach i nogach dalej. Niezadługo ujrzeli strażnika; stał o sześć kroków przed nimi. Jeszcze jedna minuta, ciche, krótkie tupnięcie. Dwaj Indianie pozostali przy nim, a Wielki Wilk powrócił sam poza wodę, aby teraz wykonać główne zadanie.

Konie, które stały w dwóch grupach pomiędzy obozem a placówkami, zachowywały się dotąd zupełnie spokojnie; mimo jednak zapachu szałwi musiały nabrać podejrzania, gdyby Indianie przechodzili blisko nich. Dlatego Wielki Wilk kazał swym ludziom również przejść przez wodę. Odbyło się wszystko bez najmniejszego szelestu. Na drugim brzegu przyłgnęli wszyscy do ziemi, aby pełzając, odbyć drogę około stu kroków, aż znajdą się naprzeciw obozu. Największa trudność polegała na tym, że wiele ludzi, skupionych na ciasnej przestrzeni, musiało się poruszać bez szmeru. Kiedy tak leżeli obok siebie naprzeciw ludzi i koni, te ostatnie poczęły się jednak niepokoić. Należało teraz działać szybko.

- Naprzód! - rozległ się głos Wilka.

Przeskoczono przez rzekę. Biali leżeli pogrążeni w pierwszym śnie, i to tak blisko siebie, że owych trzystu Indian nie miało nawet miejsca do swobodnego poruszania się. Rzucili się po pięciu, sześciu, a nawet więcej na jednego białego, porywali ich i na półśpiących rzucali stojącym za nimi, aby natychmiast pochwycić drugiego, potem trzeciego i czwartego. Poszło to tak szybko, że śpiący znaleźli się w mocy czerwonoskórych, zanim jeszcze uwolnili się z objęć snu. Wręcz odmiennie od zwyczajów Indian, którzy każdy napad wieńczą wyciem, Utahowie krzatali się całkiem cicho i dopiero, kiedy biali podnieśli hałas, wydali i oni przeraźliwy okrzyk, który rozległ się daleko po nocy, odbity wielokrotnie od ścian kanionu.

Powstało kłębowisko ciał, rąk i nóg, że trudno je było w ciemności odróżnić. Tylko Old Firehand, Old Shatterhand, Winnetou i kilku jeszcze innych zerwało się dosyć wcześnie, aby, oparłszy się plecami o ścianę skały, próbować obrony. Bronili się też nożami i rewolwerami przed przeważającą liczbą nieprzyjaciół, którzy nie chcieli używać swej broni, bo miano białych schwytać żywcem. Jednakże otoczono ich tak ciasno, że w końcu nie mogli nawet ręką ruszyć. Toteż pokonano ich wreszcie, a przejmujące do szpiku kości wycie Indian zwiastowało, że napad się udał.

Wielki Wilk nakazał rozpalić ognisko; kiedy płomienie oświetliły

295

miejsce walki, okazało się, że przeszło dwudziestu Indian padło rannych lub zabitych.

- Za to poniosą te psy dziesięćkroć większe męki! - pieniał si-wódz. - Będziemy im skórę pasami drzeć z ciała. Zabierzcie zmarłych, konie i broń bladych twarzy. Musimy powracać.

- Kto ma dotknąć czarodziejskiej strzelby Old Shatterhanda?

-zapytał jeden. - Niebezpieczeństwo grozi każdemu, kto jej dotknie.

- Pozostawimy ją tutaj i wzniesiemy nad nią stos z kamieni, aby żaden czerwony mąż nie położył na niej ręki. Gdzie ona?

Szukano jej z łuczywem w rękę i nie znaleziono - zniknęła. Kiedy Old Shatterhand obudził się w czasie zamieszania i walki, wyrwano mu sztucer z ręki i odrzucono precz; on jednak odmówił wodzowi odpowiedzi. Yamba-Utahowie widzieli za dnia strzelbę w jego rękach i nie mogli pojąć jej zniknięcia. Jak długo tu pozostawano, mogli czarodziejska strzelba okazać swą niepojętą moc i dlatego Wielki Wilk, który natychmiast poczuł się markotnie, rozkazał:

- Przywiążcie jeńców do koni i precz stąd! Tę czarodziejski strzelbę sporządził zły duch! Nie możemy czekać, aż zaczniesz na kule miotać!

Rozkazu posłuchano natychmiast i od początku walki upłynęło niewiele ponad godzinę, kiedy zabobonni czerwonoskórzy ruszyli' w drogę. Wielki Wilk nie wiedział, że Old Shatterhand pozostawił jeszcze jedną straż, która czuwała w szczelinie skalnej; był to Droll, którego miano zluźnić dopiero po dwu godzinach. Przyłączył się do niego z własnej chęci Hobbie-Frank, aby pogawędzić o swoich. Siedząc wśród głębokich ciemności, rozmawiali szeptem, nasłuchując od czasu do czasu w kierunku rozpadliny.

Nagle usłyszeli od wylotu szczeliny podejrzany szmer.

- Słuchaj! - szepnął Frank do swego kuzyna. - Czy słyszał co?

- Tak, słyszałem - odpowiedział równie cicho Droll. - Co to było?

- Musiało wstać kilku naszych ludzi.

- Nie, nie to. To musiało być wiele, wiele ludzi. Tupot nóg przynajmniej...

Przerwał przerażony, bo w tej chwili napadnięci obudzili się i podnieśli krzyk.
296

- Do stu piorunów. Tam toczy się walka! - zawołał Hob-bie-Frank. - Zdaje mi się, że zostaliśmy napadnięci!

- Tak, napadnięci! - zgodził się Droll. - To z pewnością te czerwone łotry, jeśli to potrzebne!

W tej chwili rozległo się przeraźliwe wycie Indian.

- Boże, ratuj! To rzeczywiście oni! - krzyknął Frank. - Na-przód, na nich! Chodź prędko!

Pochwylił Drolla za ramię, aby go za sobą pociągnąć, ale myśliwy, znany ze swej chytryści, powstrzymał go:

- Pozostań tutaj! Nie tak prędko! Jeśli Indianie przedsięwzięli napad teraz po nocy, to jest ich tylu, że musimy być bardzo ostrożni.

Zobaczymy najpierw, co się święci. Musimy położyć się i poczołgać do nich. -

Na czworakach poczołgali się ku wyjściu; mimo ciemności ujrzeli, że towarzysze są już straceni, bo przewaga nieprzyjaciół była zbyt wielka. Na lewo rozgorzała walka; słychać było huk strzałów Old Firehanda, Old Shatterhanda i Winnetou, ale niedługo, bo wkrótce setki Utahów wydały okrzyk zwycięstwa. Droll zauważył, że na wprost wylotu szczeliny droga była wolna.

- Szybko za mną i poprzez wodę na drugi brzeg! - szepnął do kuzyna.

Poczołgał się po ziemi tak prędko i ostrożnie, jak tylko mógł, Frank poszedł za nim; ręką zawadził o jakiś twardy, długi przedmiot: karabin z bębniem na kule.

„To sztucer Old Shatterhanda!” - przemknęło mu przez myśl.

Zabrał więc strzelbę ze sobą.

Szczęśliwie dostali się na wodę, potem na drugi brzeg. Tam Droll ujął Hobbie-Franka za rękę i pociągnął go w dół w kierunku połu-dniowym. Ucieczka się powiodła. Wkrótce jednak przestrzeń między wodą a skałą tak się zwężyła, że musieli przejść znowu na lewy brzeg. Na szczęście zaszli już daleko od miejsca, gdzie stała placówka; toteż niepostrzeżenie biegli dalej, potykając się już to o ścianę skalną, już to o kamienie leżące na drodze, aż wreszcie przestały

dobiegać ich głosy Indian. Teraz Hobbie-Frank zatrzymał towarzysza i rzekł z wyrzutem:

- Stójże już raz, ty pieronie! Dlaczego właściwie umknąłeś i mnie

haniebnie pociągnąłeś za sobą? Czy już nie masz w sercu ani krztyny honoru?

- Honoru? - odpowiedział dysząc Droll, któremu z powodu otyłości szybki bieg zatchnął oddech w piersiach. - Mam go z pew-nością, jeśli to potrzebne, ale kto chce zachować honor, ten przede wszystkim musi ratować skórę. Dlatego też umykałem.

297

- Ale tego nam właśnie nie wolno!

- Tak? Ciekaw jestem, dlaczego?

- Bo obowiązek każe ratować przyjaciół!

- Tak? A w jaki sposób chciałbyś ich ratować?

- Powinniśmy się byli rzucić na tych czerwonoskórych, rozsiek ich i wykluć.

- Hihihih! Rozsiekać i wykluć! Tyle byśmy dokazali tylko, żel i nas schwytano.

- Schwytano? Czy sądzisz, że naszych towarzyszy tylko schw no, a nie zastrzelono, zakłuto i zabito?

- Nie, na pewno ich nie wymordowano. Czy słyszałeś strzał}

- Tak.

- A kto strzelał? Czy może Indianie?

- Nie, strzały pochodziły z rewolwerów.

- Aha! Indianie nie używali karabinów; mieli więc zamiar schwy-tać białych żywcem, aby ich później tym bardziej zamęczyć. Dlatego uciekłem. Teraz my dwaj jesteśmy uratowani i możemy dla naszych towarzyszy więcej zrobić, niż gdybyśmy dali się schwytać razem z nimi.

- Masz słuszość, kuzynie, masz słuszość! Spadł mi wielki ciężar z serca! Czy mają mówić o sławnym na cały świat Hobbie-Franku, że kiedy jego towarzysze znaleźli się w niebezpieczeństwie, on da? drapa-ka? Na duszę, nie! Raczej rzucę się w najgorętszy wir walki. Odchodzę zupełnie od zmysłów! Ale co to za Indianie?

- Naturalnie, że Utahowie. Wielki Wilk nie powrócił do swego obozu, lecz wiedząc, że jeszcze inni czerwonoskórzy znajdują się w pobliżu, sprowadził ich na pomoc. Ponieważ jednak nie wiemy, w jakim kierunku się teraz zwróci, nie możemy tutaj pozostać. Musimy iść dalej, i to jak najszybciej, aż znajdziemy jaką odpowiednią kryjówkę.

- A potem? l]

- Potem? No, będziemy czekać, aż się dzień zrobi, po;

zbadamy ślady i będziemy szli za Utahami tak długo, aż się dowie jak trzeba pomóc naszym przyjaciołom. Chodź!

Ujął Franka, przy czym dotknął sztucera.

- Co? - zapytał. - Masz dwa karabiny?

- Tak. Kiedyśmy pełzali po wodzie, znalazłem sztucer Henryk Old Shatterhanda.

- Wyśmienicie! Może nam się bardzo przydać. Ale, czy umiesz także z niego strzelać?

- Naturalnie! Przebywałem tak długo z Old Shatterhandem, że

298

noznałem jego strzelbę dość dokładnie. Biada Indianom i biada całemu Dzikiemu Zachodowi, jeśli któremu z naszych przyjaciół spadnie choćby jeden włos z peruki!

Woda po prawej i ściana po lewej ręce biegły ciągle na południe;

dopiero P° godzinie kanion zwrócił się ku wschodowi; w tym miejscu z głównym kanionem łączył się boczny. Droll stanął i rzekł:

- Stój! Musimy się zastanowić, w którą iść stronę.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości - odparł Frank.

- Musimy pójść boczną doliną, bo należy przypuszczać, że czerwonoskórzy pozostaną w głównym kanionie. Jeśli się ukryjemy w bocznym jarze, przejdą koło nas i rano będziemy mogli ucześcić się ich śladów. Czy tak?

- Hm! Myśl niezła, zwłaszcza że księżyc stoi nad bocznym parowem i oświeca nam drogę. /

Przeskoczywszy przez potok, wcisnęli się w kanion boczny; prowa- dził on teraz w kierunku dokładnie zachodnim. Wędrowali tak może pół godziny, gdy nagle zostali mile zaskoczeni. Po prawej ich ręce ściana skalna niepostrzeżenie się urywała, tworząc ostry kąt z inną, idącą od północy. Przed nimi leżał las, prawdziwy las, jakiego by się tutaj nikt nie domyślał. Nad skąpym poszyciem wznosiły się wierzcho-łki drzew tak gęsto sklepione, że światło księżyca tylko w nielicznych miejscach mogło się przez nie przedrzeć. Był to Las Wodny, gdzie Utahowie rozbili obóz.

Zapadlina, którą las wypełniał, ciągnęła się dokładnie z północy na południe, równoległe do głównego kanionu, oddalonego niewiele więcej nad pół godziny drogi. Między nim a lasem prowadziły dwie boczne doliny - północna, z której skorzystał Wielki Wilk, i południowa, przez którą przeszli Droll i Frank. Obie te doliny tworzyły z głównym kanionem i lasem prostokąt, w którego powierzchni wody wyźłobiły prostopadłe łożyska, głębokie na kilkaset stóp.

- Las, bór z autentycznymi krzakami i drzewami! - odezwał się Frank. - Lepiej nie mogliśmy trafić. Znajdziemy tu kryjówkę, jak w księdze głównej. Czy prawda?

- Nie - odpowiedział Droll. - Ten las wydaje mi się podejrzany, a może nawet niebezpieczny. Nie dowierzam mu. Kto może lepiej wiedzieć, że tu jest las, my czy te czerwone draby? A wszak domyśla się, że dla nas najlepsza kryjówka - to las. Czy ci już nie Powiedziałem, że i inni Indianie muszą być w pobliżu?

- Tak, bo Wielki Wilk od nich otrzymał pomoc.

- Gdzie więc ci ludzie się kryją? W pustyni i nagim kanionie czy w dogodnym dla nich lesie? Jestem przekonany, że mamy wszelkie

299

powody po temu, aby postępować bardzo ostrożnie. Przejdźmy szyb-ko; przykucniemy pod krzakami i będziemy nasłuchiwać, czy się co nie rusza. Naprzód!

Przeskoczyli przez jasne, oświetlone księżycem miejsce, a gdy dostali się do drzew, przykucnęli nasłuchując. Nie usłyszeli nic; nie poruszył się nawet listek; jednakże Droll, wciągnawszy powietrze w nozdrza, zapytał cicho:

- Franku! Pociągnij nosem! Tu czuć dym. Prawda?

- Tak! Ale ledwie, ledwie. To tylko pół pojęcia ćwierci śladu dymu.

- Bo pochodzi z daleka. Podkradnijmy się bliżej i zbadajmy!

Wzięli się za ręce i ruszyli naprzód, powoli a cicho. Pod dachem z liści było ciemno jak w piwnicy, musieli więc zdać się raczej na zmysł dotyku. W miarę jak szli, tym mocniejsza stawała się woń dymu. Skradali się jednak dalej, aż ujrzeli blask ognia. Teraz słychać było również jakby dalekie głosy ludzkie. Las rozszerzał się na prawo. Poszli więc w tym kierunku i wkrótce ujrzeli znacznie więcej ognisk.

- Jakiś wielki obóz - szepnął Droll. - To pewnie wojownicy Utahów. Będzie ich kilkuset. `

- Nie szkodzi! Musimy podejść bliżej. Chcę się dowiedzieć, co s ? stanie z Old Shatterhandem i innymi. Muszę...

Przerwał, bo nagle rozległo się przed nimi wycie radości. -

- Ach! Prowadzą jeńców! - odezwał się Droll. - Musimy f • bezwarunkowo dowiedzieć, co zamierzają z nimi zrobić!

Dotychczas szli wyprostowani, teraz zaś musieli się czołgać. Po krótkiej chwili dotarli do ściany skalnej, tworzącej wschodnią granicę lasu. Wzdłuż niej poczołgali się dalej, tuż obok siebie. Ognisko mieli po lewej ręce. Wkrótce ujrzeli małe jezioro, na którego zachodnim brzegu płonęło ognisko wodzów. Blisko niego napotkali wysokie drzewo, którego niższych konarów łatwo można było dosięgnąć rękami. W tej chwili dorzucono do głównego ogniska świeżych gałęzi;

płomienie buchnęły wysoko oświetlając pojmane blade twarze, które właśnie przyprawiono.

- Musimy bardzo pilnie uważać - powiedział Droll. - Czy umiesz wspinać się, kuzynie?

- Jak wiewiórka!

- A więc jazda na drzewo! Z góry będziemy mieli znacznie swobodniejszy i piękniejszy widok niż tu na dole.

Wkrótce siedzieli dobrze ukryci wśród liści.

Jeńcy musieli iść, a więc nie mieli skrępowanych nóg. Poprowadzono ich do ogniska, gdzie usiedli wodzowie, wśród których naturalnie

300

znajdował się Wielki Wilk. Wyciągnął orle pióra, tkwiące dotąd za pasem, i wetknął je w czuprynę. Zwyciężył, mógł więc znowu nosić swą oznakę. Oczy jego spoczęły z wyrazem zgłodniałej pantery na białych, jednakże nie mówił jeszcze nic, bo najstarszy wódz jedynie miał prawo pierwszy głos zabrać.

Wzrok Nanap-neawa prześliznął się z jednego jeńca na drugiego, aż wreszcie zatrzymał się na Winnetou.

- Kim jesteś? - zapytał. - Czy masz jakie imię? Jak się nazywa ten wściekły pies, którego zwiesz twym ojcem?

Naturalnie spodziewał się, że dumny Apacz w ogóle mu nie odpowie; ale Winnetou odparł spokojnie:

- Kto mnie nie zna, jest ślepym kretem, ryjącym w ziemi. Jestem Winnetou, naczelny wódz Apaczów.

- Nie jesteś wodzem ani wojownikiem, lecz ścierwem zdechłego szczura! - szydził z niego stary. - Te wszystkie blade twarze poniosą zaszczytną śmierć przy palu męczeńskim; ciebie zaś wrzucimy do wody, aby cię pożarły żaby i raki.

- Nanap-neaw jest starym człowiekiem. Widział wiele słońc i zim i zdobył wielkie doświadczenie, ale mimo to nie wie, jak się zdaje, że Winnetou nie pozwala z siebie bezkarnie szydzić. Wódz Apaczów gotów jest znieść wszystkie męki, ale obrażać się nie pozwoli żadnemu Utahowi!

- Cóż mi uczynisz? - zaśmiał się stary. - Członki masz skrępowane.

- Niech Nanap-neaw pomyśli, że wolnemu i uzbrojonemu mężowi łatwo jest być grubianinem wobec skrępowanego jeńca. Ale to się nie godzi z czią. Dumny wojownik gardzi obelgami, a jeśli Na-nap-neaw nie posłucha, to sam poniesie tego skutki.

- Jakie skutki? Czy nos twój wachał kiedy śmierdzącego szakala, o którym nawet sę nie chce nic wiedzieć? Takim szakalem jesteś ty. Smród, który...

Z gardzieli wszystkich Utahów, stojących w pobliżu, wyrwał się okrzyk przerażenia. Winnetou potężnym susem skoczył ku staremu, przewrócił go w tył, wymierzył mu piętą kilka ciosów w pierś i głowę ~- i powrócił na swoje miejsce. Po ogólnym krzyku nastąpiła chwila tak głębokiej ciszy, że daleko -chać było głos Apacza:

- Winnetou ostrzegał! Nanap-neaw nie posłuchał. Nanap-neaw Die obrazi już nigdy żadnego Apacza.

Wodzowie skoczyli, aby zająć się starym. Leżał z pękniętą czaszką
' Opadła klatką piersiową. Nie żył. Czerwoni wojownicy z dłońmi na

301

rękojeściach nożów rzucili chciwie krwi spojrzenia na Winnetou. Zdawało się, że czyn Apacza podnieci Utahów do wściekłości i gniewu; ale stało się inaczej. W gronie zachowali milczenie, zwłaszcza że Wielki Wilk podniósł rękę, mówiąc:

- Precz! Apacz zabił Starego Wodza, aby umrzeć szybko i bez męki. Sadził, że zgładzicie go natychmiast. Ale się przerachował! Umrze śmiercią, jakiej jeszcze żaden człowiek nie poniósł. Naradzimy się nad tym. Teraz usuńcie zwłoki Starego Wodza i zawińcie je w koc, aby oczy białych psów nie cieszyły się widokiem trupa. Wszyscy jeńcy zostaną zabici na jego grobie. Howgh!

Białych i Winnetou odprowadzono teraz na małą otwartą polanę w lesie, gdzie płonęło jedno tylko ognisko. Związano im nogi i ułożono na ziemi. Dookoła stało pod drzewami sześciu uzbrojonych wojowników, aby strzec tego miejsca. Ucieczka wydawała się niepo-dobieństwem.

Drzewo, na którym siedzieli Droll i Frank, stało w odległości może stu kroków od ogniska wodzów, tak że mogli swobodnie zrozumieć znaczną część wypowiedzianych wyrazów. Teraz szło o odnalezienie miejsca, na które miano przenieść jeńców. Właśnie w tej chwili, kiedy schodzili z drzewa, przyniesiono zdobytą broń oraz inne przedmioty i złożono przy wodzach. Przy ognisku płonącym na brzegu siedzieli tylko dowódcy; musiała zajść jakaś przyczyna, która resztę wojowników pociągnęła na inne miejsce. I rzeczywiście. Słychać było osobliwe dźwięki skargi - zawodził jakiś głos solowy, potem zawtórował mu chór; tak szło dalej bez przerwy, to słabiej, to znowu głośniej.

- Czy wiesz, co to jest? - zapytał Droll swego kuzyna.

- Pewnie pieśń pogrzebowa nad Starym Wodzem?

- Tak.

- Może to mieć dla nas wielkie znaczenie, bo przy tym biadoleniu trudno nas będzie drabom posłyszeć. Musimy bezwarunkowo od-należć naszych przyjaciół. Jeśli strzegą ich niedaleko ogniska wodzów, gdzie leży broń, to wygraliśmy. Prawdziwe szczęście, że tu pod drzewami jest ciemno. Ognie wcale nam nie przeszkadza, przeciwnie, nawet pomogą, bo łatwo będziemy mogli rozpoznać postacie czerwonoskórych i zejść im z drogi.

- To prawda. A więc na ziemię i dalej naprzód! Ja popełnę pierwszy.

- Dlaczego ty?

- Bo dłużej jestem na Zachodzie i lepiej rozumiem się na pod-kradaniu niż ty.

302

- Ach! Nie mów tak! Tylko nie wmawiaj sobie niebieskich migdałów! Ponieważ jednak jesteś moim kuzynem, pozostawię ci pierwszeństwo. Jeśliby cię kto chciał z przodu zakłuć na śmierć, to powiedz tylko słowo, abym ci z tyłu mógł przyjść z pomocą!

Prześliznęli się obok wodzów w odległości pięćdziesięciu kroków j zbliżyli niepostrzeżenie do ogniska, przy którym leżeli jeńcy. Kilka-krotnie zdawało się im, że tuż obok przemknął jakiś czerwonoskóry, raz nawet Frank musiał błyskawicznie rzucić się w bok, aby uniknąć dotknięcia przebiegającego Indianina. Później jednak bieganie ustało. Ci, którzy podjęli się śpiewu nad zmarłym, siedzieli przy zwłokach, inni zaś rozłożyli się na ziemi, aby pokrzepić się choćby jednogodzin-nym spoczynkiem.

Tak więc Droll i Frank dostali się poza strażę otaczającą plac z jeńcami i ułożyli się za dwoma drzewami, tuż obok siebie. Płomienie przygasły i rzucały skąpe światło, zaledwie można było rozpoznać jeńców, Droll poczołgał się kilka kroków na prawo, potem na lewo, ale nigdzie nie ujrzał strażników. Kiedy powrócił do Franka, szepnął:

- Chwila wydaje mi się stosowna. Czy widzisz Old Shatterhanda?

- Tak. Leży przecież najbliżej nas.

- Poczołgaj się ku niemu i połóż się przy nim tak sztywno, jakbyś był skrepowany!

- A ty?

- Ja udam się do Old Firehanda i Winnetou, którzy leżą po drugiej stronie.

Właśnie płomień przygasł. Jeden ze strażników podszedł do ogniska, aby nałożyć świeżego drzewa; zanim je ogień ogarnął, Droll i Frank skorzystali z ciemności, aby znaleźć się na swych miejscach.

Frank położył się obok Old Shatterhanda, wyciągnął nogi, jakby był skrepowany, podsunął myśliwemu sztucer Henry'ego, a potem przycisnął ręce, aby strażnicy myśleli, że ma je przywiązane do ciała.

~ Franku, to ty? - szepnął Old Shatterhand. - Gdzie Droll?

- Leży po drugiej stronie przy Old Firehandzie i Winnetou.

- Dzięki Bogu, że znaleźliście nasze ślady!

- Czy wiedzieliście, że przyjdziemy?

-- Naturalnie! Kiedy te draby rozpały ogień, zobaczyłem, że nie -a was między pojmanymi. Czerwonoskórzy szukali mojej strzelby ' bałem się, że was znajdą; powrócili jednak bez was, a mój sztucer Fiknął; to wyjaśniło wszystko.

- Tak. Bez nas byłoby źle z wami!

- Niezupełnie. Popatrz tu!

Frank spojrział ku niemu i zobaczył, że westman pokazuje mu wolną prawą rękę.

- Tę rękę mam już wolną, a druga będzie swobodna za kwa-drans. Mam w małej ukrytej kieszeni szczyryk, który by powędrował od jednego do drugiego, tak że w krótkim czasie mielibyśmy wszyscy rozcięte rzemienie. Potem, zerwawszy się szybko, skoczylibyśmy po broń, która leży obok wodzów. Lepiej jednak, żeście nas znaleźli. Daj mi nóż, abym mógł uwolnić sąsiada, potem ten poda go dalej.

- A później, kiedy więzy zostaną zerwane, pobiegniemy po bron i po nasze konie!

- Nie. Pozostaniemy. Aby móc pobiec po broń, a potem do koni, trzeba by było uczynić to tak szybko, że powstałoby pewnie przy tym zgubne dla nas zamieszanie. Nikt nie mógłby w tak krótkim czasie znaleźć swej strzelby, noża ani reszty własności. Indianie rzuciliby się na nas, zanim moglibyśmy dopaść koni. A kto wie, czy są one jeszcze osiodłane. Nie, musimy się natychmiast ukryć za tarczami, mam ni myśli wodzów. ;!

- To rzeczywiście wspaniała myśl! 4!

- Postaramy się dostać w swoje ręce dowódców, a wtedy będzie-my pewni, że nic się nam nie stanie. Teraz cicho! Ogień znowu przygasa i strażnicy pewnie nie spostrzegą, jeśli poruszymy rękami.

Rozdawszy swe więzy, uczynił to samo sąsiadowi, a potem podał nóż dalej. Bowie Drolla także już krążyło. Potem z ust do ust poszła wskazówka Old Shatterhanda, że wszyscy mają pobiec do wodzów, skoro tylko on zagasi ognisko.

- Zagasi ognisko? - mruzczał Frank. - Jak tego dokażecie?

- Zobaczysz! Musi zagasnąć, inaczej dosięgną nas kule stnJ-ników.

Teraz leżeli wszyscy w pogotowiu. Old Shatterhand czekał, aż jeden z czerwonoskórych powstał, aby dorzucić drzewa do ognia, wskutek czego płomienie na krótki czas zostały przytłumione. Wtedy zerwał się, rzucił na niego, uderzył go pięścią w głowę i stracił w-ogień. Potoczywszy nim trzy czy cztery razy w jedną i drugą stronę, zagasił ognisko. Stało się to tak szybko, że ciemność zapadła, zanim strażnicy zrozumieli, co zaszło; toteż za późno wydali okrzyk ostrzegawczy, bo jeńcy rzucili się już przez las w stronę jeziora.

Wielki Wilk udał się właśnie do swoich wojowników i jedynie trzech pozostali wodzowie siedzieli przy ognisku. Usłyszeli wprawdzie okrzyk strażników, ale równocześnie ujrzeni, że zbliżają się ku nim uwolnieni, a w parę chwil potem leżeli już sami rozbrojeni i skrepowani. Biali chwycili bez wyboru za karabiny. Kiedy strażnicy ukazali się pod ostatnimi drzewami, ujrzeni swych dowódców na ziemi; nad

.304

nimi klęczało kilku białych z wyciągniętymi nożami. Za tą grupą stali inni z wymierzonymi ku nim strzelbami. Indianie cofnęli się przerażeni i wydali ryk wściekłości, który ściągnął szybko resztę wojowników,, stanęli pod osłoną drzew; płomienie ogniska jasno oświetlały białych,. ale nie można było wątpić, że przy pierwszym strzale groźnie pod-niesione noże zagłębią się w piersiach wodzów. Old Shatterhand, który pochwycił najstarszego z dowódców, zapy-ta? go rozkazująco, jak się nazywa.

- Moje imię jest Kun-pui -Ogniste Serce) - odparł Indianin..

- Uwolnijcie mnie, a będę z wami mówił!

- Będiesz wolny, ale dopiero wtedy, gdy zgodzicie się na nasze, żądania.

- Czego żądacie? Wolności?

- Nie, gdyż tę już mamy; żądamy...

Przerwano mu. Kiedy powalono wodzów i związano ich, wypuścił na chwilę sztucer z ręki i teraz właśnie go podniósł. Naprzeciw niego, pośród wrogów, stanął - przezornie ukryty za drzewem - Wielki.

Wilk; kiedy wzrok jego padł na strzelbę, krzyknął przerażony:

- Czarodziejska strzelba, czarodziejska strzelba! Znowu tutaj;;

duchy przyniosły ją przez powietrze!

- Czarodziejska strzelba, czarodziejska strzelba! - zawtórowały-głosy przerażonych Utahów.

Old Shatterhand zwrócił się do Ognistego Serca:

- Żądamy, abyście pozwolili nam odejść bez przeszkody. Z brza-skiem dnia odjedziemy i zabierzemy was jako zakładników. Potem, skoro się przekonamy, że nie grozi nam już żadne niebezpieczeństwo z waszej strony, puścimy was wolno.

- To hańba, to wielka hańba! - jęczał Ogniste Serce.

- Czy zyskacie co, odrzucając nasze żądania? Pomyślcie o mojej czarodziejskiej strzelbie!

To ostatnie ostrzeżenie wywarło widocznie niezwykły skutek, ba Ogniste Serce zapytał:

- Dokąd mamy wam towarzyszyć? W jakie okolice pojedziemy?

- Z ostrożności mógłbym cię okłamać - odpowiedział Old Shatterhand - ale ja gardzę fałszem. Udajemy się do Book-moun-tains nad Srebrne Jezioro. Skoro wypróbujemy waszą uczciwość, zatrzymamy was tylko przez jeden dzień. Teraz daję wam kwadrans do namysłu. Jeśli się będziecie wzbraniać, to po upływie oznaczonego czasu przemówią nasze strzelby. Powiedziałem!

Ogniste Serce opuścił głowę. Nagle uwaga jego skierowała się ku drzewom, skąd usłyszał półgłosem:

20

Skarb..

305

- Mai iwe!

Słowa te znaczą: „Popatrz tutaj”. Każdemu innemu mogło się zdawać, że zostały wypowiedziane przypadkiem i że dla białych nie mają żadnego znaczenia; lecz Old Shatterhand, Old Firehand i Win-1 netou zerknęli niepostrzeżenie, a to, co ujrzeli, było zjawiskiem nie-1 zwykłym. Stali tam dwaj Indianie, trzymając koc za dwa końce, jakbyś prostopadłą zasłonę, którą poruszali w pewnych odstępach od góry i na dół. Poza nimi widać było blask ognia. Ci dwaj Indianie i rozmawiali z Ognistym Sercem.

Indianie bowiem umieją porozumiewać się różnymi znakami. W nocy posługują się w tym celu płonącymi strzałami, którymi zapalają wiązki trawy, rzucając w powietrze; za dnia rozpalają ogień i rozciągają przed nim skórę albo koc, aby zebrać dym. Ilekroć usuną tę zasłonę lub też poruszają nią, wznosi się w górę kłęb dymu, który tworzy owe znaki. Jest to pewnego rodzaju telegraf, zupełnie podobny do naszego, gdyż pauzy między pojedynczymi kłębami dymu mają określone znaczenie, podobnie jak nasze kreski i kropki. Nie należy jednak sądzić, że szczerp trzyma się zawsze tych samych znaków; przeciwnie, zmienia je bardzo często, aby utrudnić obcym i wrogom odczytywanie sygnalizacji.

Kiedy Indianie zaczęli poruszać kocem, Winnetou odszedł kilka kroków w bok, tak że stanął dokładnie poza Ognistym Sercem, dla którego te znaki były przeznaczone. Telegrafowanie trwało pewnie z pięć minut, podczas których Ogniste Serce nie odwrócił oczu od miejsca, gdzie tamci dwaj stali. Potem, kiedy rozeszli się, spostrzegł dopiero, że Winnetou był za nim; zaniepokojony obrócił się szybko, aby sprawdzić, gdzie Apacz spogląda. Ten jednak udał, że zajęła go wyłącznie błyszcząca w świetle księżyca powierzchnia jeziora. Ogniste Serce uspokoił się.

Winnetou przystąpił powoli do Old Shatterhanda i Old Firehanda.

- Czerwoni mężowie rozmawiali ze swym wodzem Ognistym Sercem.
- Czy mój brat widział ich słowa i zrozumiał je? - zapytał ostatni, gdy odeszli na stronę.
- Widziałem, ale nie rozumiem wszystkiego. Mimo to znaczenie ich jest mi jasne. Są to młodzi wodzowie Sampiczów, których wojow-nicy ścignęli tu również. Wezwali oni Ogniste Serce, aby spokojnie jechał z nami. Ponieważ udajemy się nad Srebrne Jezioro, więc droga nasza prowadzi stąd przez Grand-river do Teywipah -Dolina Jeleni).
Tam obozuje wielu wojowników Utahów szczepu Taszów, Kapotów i Wihminuczów, zebranych na wyprawę przeciw Nawahom; oczekują
306.

Utahów znajdujących się tutaj. Musimy się na nich natknąć, a ci, jak sędzę, zwyciężą nas i uwolnią zakładników. Teraz wysła posłów, aby ich o tym zawiadomić. Żebyśmy zaś w żadnym wypadku nie mogli ujść, skoro tylko ruszymy, opuszczą Utahowie ten obóz i pójda za nami, abyśmy wpadli między dwie gromady.
- Do wszystkich diabłów! Ten plan jest niezły. Co mówi na to mój czerwony brat?
- Zgadzam się, że jest sprytnie pomyślany, ale ma jeden wielki błąd.
- Jaki?
- Ten, że ja go poznałem. Znamy go teraz i wiemy, co należy czynić.
- Ale przez Dolinę Jeleni musimy przechodzić, jeśli nie chcemy nadłożyć drogi!
- Nie będziemy okrażać, a mimo to nie wpadniemy w ręce Utahów. Zapytaj mojego białego brata, Old Shatterhanda. Byłem z nim w Dolinie Jeleni, ścigały nas dwie gromady Utahów-Elków, lecz umknęliśmy im, ponieważ odkryliśmy ścieżkę, po której przed nami pewnie nikt nie szedł.
- Dobrze. Jedźmy więc tą drogą! A zakładników wypuścimy nie pierwiej, aż zostawimy poza sobą tę niebezpieczną dolinę.

Ponieważ kwadrans już upłynął, Old Shatterhand zapytał Ogniste Serce:
- Czas oznaczony już minął. Co wódz Utahów postanowił?
- Zanim odpowiem - odparł zapytany - muszę przedtem wiedzieć dokładnie, jak daleko zamierzacie wlec zakładników.
- Mają nam towarzyszyć do Doliny Jeleni. Jeśli do tego miejsca nic się nam nie stanie, to uznamy, że dotrzyмалиście słowa i uwolnimy was.
- Czy stwierdzicie to fajką pokoju?
- Dobrze. Będiesz mówił i palił w imieniu reszty.
- Weź więc twój kalumet i zapal go!
- Nie, ty weźmiesz swój.
- Dlaczego? Czy twoja fajka nie jest równie dobra jak moja?
A może twoja wydaje tylko chmury nieprawdy?
- Mój kalumet mówi zawsze prawdę, fajka zaś Wielkiego Wilka nas okłamała. Nie, będziemy palić tylko z twojego kalumetu. Jeśli tego nie chcesz, to nie masz wobec nas uczciwych zamiarów. Rozstrzygaj prędko!
- Rozwiąż mnie, abym mógł zapalić fajkę.
- To zbyteczne. Jesteś zakładnikiem i musisz pozostać w więzach

307

aż do Doliny Jeleni, gdzie cię uwolnimy. Ja sam nałożę twój kalumet i potrzymam ci go przy ustach.
Ogniste Serce wolał nie odpowiadać. Old Shatterhand zdjął mu fajkę z szyi, nabił ją, zapalił, wypuścił dym w górę, w dół, w cztery strony świata i oświadczył krótko, że dotrzyma umowy z Ognistym Sercem, jeśli Utahowie wyrzekną się wszelkich kroków nieprzyjacielskich. Potem postawiono Ogniste Serce na nogi i obrócono w cztery strony, pociągnął sześć razy z fajki i złożył przyrzeczenie za siebie i swoich.
Przyprowadzono teraz konie białych i zakładników. Tymczasem nastał dzień. Biali uważali za wskazane przyśpieszyć odmarsz; przy-wiazano więc wodzów do koni; każdego z nich wzięto w środek białych i oddział wyruszył w stronę bocznego kanionu, przez który Hobbie-Frank i Ciotka Droll zakradli się do obozu. Czerwonoskórzy zachowywali się spokojnie i tylko posępne spojrzenia, którymi ścigali blade twarze, wskazywały, jakie uczucia względem nich żywią.
S.

k-zczęśliwy wynik wyprawy najwięcej du-my przysporzył Drollowi i Hobbie-Frankowi. Kiedy opuścili obóz, odezwał się Droll chichocząc swym osobliwym, niewieścim głosem:

- Hihihih, to dopiero uciecha dla mojej duszy! No, ale też Indianie się pienia, że muszą nas wolno puścić. Czy prawda, kuzynie?

- Naturalnie! - zgodził się Frank. - Ale bez nas tamci leżeliby jeszcze w kajdanach i więzach, niczym Prometeusz, który całymi latami może zajadać jedynie wątróbkę z orłów.

Tymczasem oddział dostał się do kanionu bocznego, który skręcał nie na lewo ku głównemu, lecz na prawo, równoległe do niego.

Winnetou znał tę drogę wyśmienicie i jechał, jak zwykle, na czele; za nim myśliwi, potem rafterzy, prowadząc między sobą jeńców; za nimi palankin Ellen Butler; obok jechał jej ojciec. Pochód zamykało kilku rafterów. Wąski kanion piał się dość stromo w górę; może po godzinie drogi wyszedł na drugą, otwartą równinę skalną, którą, jak się zdawało, otaczała ciemna masa Gór Skalistych. Popędzono konie. Szybka jazdę przerwała okoliczność bardzo radosna dla jeźdźców. Ujrano miano-wicie stado antylop widlastych i udało się dwie z nich okrążyć i zabić. W ten sposób zdobyto dostateczną ilość prowiantu na cały dzień.

Góry zbliżały się coraz bardziej. Około południa, kiedy promienie słońca poczęły dokuczać, dotarto do wąskiej pochyłości na skraju skalnej równiny.

- To początek kanionu prowadzącego nad rzekę - objaśnił Winnetou wjeżdżając na pochyłość.

Zdawało się, że jakiś olbrzym wyciął dłutem w twardym kamieniu głęboki, coraz głębszy tor. Ściany na prawo i lewo, początkowo zaledwie dostrzegalne, potem wysokości człowieka, sięgały coraz wy-

-ej, aż wreszcie zdawały się zlewać w górze. W głębi było ciemno

309
i chłodno. Ze ścian sączyła się woda, zbierając na dnie, tak że spragnione konie mogły się napić. Kanion ten nie miał żadnego zakrętu. Wycięty był w skale tak prosto, że zanim jeszcze dosięgło się końca, widać już było jego kraniec. Kiedy tam jeźdźcy dotarli, niemal osłupieli na widok doliny Grand-mer. Miała szerokość może pół mili angielskiej - środkiem płynęła rzeka wywabiając po obu stronach bujne pasma trawy, za-mknięte prostopadłymi ścianami kanionu. Dolina biegła z północy na południe, prosto jak strzelił, a obie ściany skalne nie zdradzały najmniejszej rysy czy występu. A jednak na wprost jeźdźców na prawym brzegu rzeki z dość szerokiej szczeliny wypływał obfity potok.

- Musimy iść tą wodą w górę, prowadzi ona do Doliny Jeleni

- rzekł Winnetou.

- Ale jak się tam dostaniemy? - zapytał Butler, któremu szło o córkę. - Rzeka wprawdzie nie wydaje się rwąca, lecz za to głęboka.

- Powyżej ujścia potoku jest bród tak płytki, że o tej porze roku woda nie dosięgnie palankinu. Brzeg zaś jest szerszy, więc wygodniej-szy. Niech moi bracia pójda za mną!

Przejechano przez trawę w poprzek ku brodowi. Winnetou wparł konia w wodę; reszta poszła za nim; w pobliżu drugiego brzegu zatrzymał się nagle i wskazując na brzeg, wydał stłumiony okrzyk:

- Uff! Po tamtej stronie jechali ludzie!

Old Firehand i Old Shatterhand, posunawszy się kilka kroków dalej, ujrzeli również trop wielu jeźdźców; trawa jeszcze niezupełnie się podniosła. Trzej myśliwi wyszli na brzeg, zsiadli z koni i zbadali ślady.

- To były blade twarze - oświadczył Winnetou.

- Tak - potwierdził Old Shatterhand. - Indianie byliby jechali jeden za drugim, nie pozostawiając tak szerokiego i wpadającego w oczy siadu. Moim zdaniem, oddział liczył trzydzieści lub czterdzieści osób.

- Hm! - mruknął Old Firehand. - Zdaje mi się, że mamy przed sobą rudego kornela z jego oddziałem.

- Do pioruna! Możliwe! Według moich obliczeń, te draby mogą już tu być, a to zgadza się także z tym, czego dowiedziałem się od Knoxa i Hiitona. Ale dokąd oni zdążają? Tam po drugiej stronie skręcili na prawo, a zatem nie poszli dalej w dół Grand-river, lecz w górę wzdłuż potoku ku Dolinie Jeleni. Jadą więc Utahom wprost w ręce. Los swój sami sobie zgotowali i my nie możemy go odmienić.

- Oho! - zawołał Old Firehand. - W takim razie utracimy plany, które skradł kornel. Jeśli nie dostaniemy tych rysunków, nie dowiemy się nigdy, gdzie leżą skarby Srebrnego Jeziora.

310

- Pomyśl, o ile nas wyprzedzili!

Old Firehand schylił się, aby jeszcze raz zbadać ślady, po czym rzekł rozczarowanym głosem:

- Niestety! Byli tu przed pięcioma godzinami i wpadną w ręce Indian, zanim jeszcze odbędziemy połowę drogi. Co się jednak stało z posłańcami, których Yamba-Utahowie mieli wysłać do tej doliny? Ruszyli naturalnie przed nami, a dotąd jeszcze nie widzieliśmy ich śladów.

- Ci ludzie z pewnością nie pojechali konno, lecz pobiegli pieszo

- wyjaśnił Winnetou. - Dla pieszych droga jest znacznie krótsza, bo można przejść przez takie miejsca, na których konie i jeźdźcy połama-liby karki. Niech moi bracia myślą nie o kornelu, lecz o tym, że musimy pozacierać ślady.

- Dlaczego pozacierać?

- Wiemy, że Yamba-Utahowie idą za nami. Muszą ślady kornela, które prowadzą wprost ku Dolinie Jeleni, uważać za nasze;

wtedy pójdą nimi, nie przypuszczając, że zeszedliśmy na bok i umknęliśmy im. Dlatego nie powinni widzieć ani się domyślać, że już przed nami byli tu jeźdźcy. Niechaj moi biali bracia zatra ślady, jak daleko można je dojrzeć; kiedy potem Yamba-Utahowie nadejdą, trawa już się podniesie i nie będzie nic widać. Plan był znakomity. Myśliwi wrócili po śladach kornela może z dwieście kroków, skropili trawę wodą i podnieśli ją, idąc powoli z powrotem i ciągnąc za sobą po ziemi koce. Reszty miało dopełnić słońce, kto by teraz nadszedł, sądziłby, że ma przed sobą tylko trop Old Firehanda i jego towarzyszy.

Jeńcy patrzyli na to w milczeniu. W ogóle od czasu wymarszu żaden z nich nie odezwał się ani słowem. To, co teraz ujrzeli, wydawało im się podejrzanym; poczęli się domyślać, że ich podstępne plany zostały odkryte, i zwiesili głowy. Teraz ruszono szerokim tropem trampów. Potok wił się w wielu zakrętach powoli w górę. Dolina, coraz szersza, porastała w krzaki i drzewa. Wreszcie rozgałęziła się w liczne boczne doliny, z których wypływały drobne strumyki, zasilające potok u samego źródła. Winnetou skierował się za największy z tych strumyków; dolina jego miała szerokość pewnie z milę angielską, a potem nagle przechodziła w wąwóz, poza którym znowu się rozszerzała, radując oczy zieloną, soczystą murawą.

- Tu jest znakomite miejsce na wypoczynek i posilenie się - rzeki Winnetou. - Nasze konie zmęczone są i głodne, a i nam potrzeba krótkiego wytchnienia. Niechaj moi bracia zsiada i upieką antylopy.

311

Zastosowano się do woli Apacza. Postawiono straż; jeńców przywiązano do drzew, konie puszczono na paszę i wkrótce zapłonęły dwa ogniska, nad którymi piekła się dziczyzna. Niezadługo można ją było spożyć. Indianie otrzymali również porcję mięsa i wody.

Po krótkim postoju zebrano się znowu do odmarszu. Drogę tamowały odłamy skalne różnego kształtu i wielkości, spiętrzone wysoko jeden na drugim, jak gdyby tu

kiedyś przed wiekami zawalił się olbrzymi tunel naturalny. Wśród tego rumowiska trudno było znaleźć wyraźny ślad. Tylko tu i ówdzie kamień, ruszony z miejsca lub -zarysowany kopytem końskim, świadczył, że jechano tędy.

- Za dwie godziny rumowisko to zejdzie w wielką, zieloną Dolinę Jeleni - objaśnił Winnetou. - My jednak skręcimy na lewo. Niechaj Old Shatterhand i Old Firehand zsiada z koni, aby natychmiast

niszczyć nasze ślady, bo Yamba-Utahowie zauważą, żeśmy zeszli w bok.

Zwrócił się na lewo, między gruzy; wezwani posłuchali jego wskazywek i dopiero kiedy dość daleko oddział się oddalił, dosiedli znowu koni. Apacz złożył dowody, że ma wprost niezrównaną zdolność orientacji w terenie. Zdawało się, że w tej gmatwaninie, w której znalazł się raz tylko przed laty, zna każdy kamień, każdą skalę, wzniesienie czy załom.

Droga szła stromo w górę. Wydostawszy się na obszerną, pustą wyżynę, ruszono galopem. Słońce zniknęło już za Skalistymi Górami, kiedy dojechano do krańca równiny. Tu Apacz zatrzymał się.

- O pięćset kroków stąd - rzekł - skała opada prosto w dół jak kropla wody w głębinie; z tamtej strony tak samo; pośrodku zaś leży Dolina Jeleni, z dobrą wodą i obszernym lasem. Prowadzi do niej tylko jedna znana droga. Old Shatterhand jednak i ja odkryliśmy przypadkiem jeszcze jeden dostęp. Pokażę go wam. a

Staął nad brzegiem przepaści. Leżały tam złomy skalne ułożone obok siebie niczym mur ochronny dla zabezpieczenia przed upadkiem

w tę straszliwą głębię. Winnetou zniknął między dwoma odłamami; reszta poszła za nim gęsiego.

I rzecz szczególna! Prowadziła tamtędy droga. Na prawo rozwierała się przepaść, na dno której zamierzali zejść; droga prowadziła na lewo między bloki skalne, i to tak stromo, że jeźdźcy woleli zsiąść z koni i prowadzić je za sobą. Ogromny, długi na milę i szeroki kolos skalny wykazywał pęknięcie, które wśród różnych zagięć szło z góry w dół. Mimo że droga była tak stroma, konie spaść nie mogły, bo tworzył ją nie gładki kamień, ale gęste rumowisko. Im głębiej schodzono, tym głębsza okrywała ich ciemność. Old Firehand posadził Ellen

312

Butler na swym wierzchowcu i szedł obok, podpierając ją i przytrzymując. Zdawało się, że schodzą już całe godziny, gdy nagle pochyłość się skończyła, grunt wyrównał, a rozpadlina się rozszerzyła. Winnetou stanął.

- Jesteśmy prawie w dolinie. Tutaj pozostaniemy, aż ciemności pozwolą nam przejść obok Utahów. Zabierzcie konie w tył, gdzie znajdują wodę, i załóżcie jeńcom kneble, aby nie mogli krzyczeć!

Apacz wysunął się naprzód, aby zbadać położenie; powróciwszy oświadczył:

- Na prawo od nas w kierunku północnym obozują Utahowie.

W dole jest ciemno. Sądzę, że nie stoją tam strażę; zapewne postawio-no tylko dwóch albo trzech ludzi przy wyjściu z doliny; tych łatwo unieszkodliwić.

Mogliśmy więc opuścić dolinę bez większego ryzyka, gdyby nie rudy kornel. Musimy się jednak dowiedzieć, co z nim. Dlatego, skoro ciemność się zwiększy, poczołgam się z Old Firehandem i Old Shatterhandem ku ogniskom, aby podsłuchać Utahów.

Po dwóch godzinach trójka poczołgała się ostrożnie w stronę lasu. Ogniska Utahów płonęły dość daleko, a było ich wiele; z liczby należało wnioskować, że obozują tu liczne gromady czerwonoskórych. Śmiałkowicie posuwali się prawym brzegiem doliny; Winnetou na przedzie. Znajdowali się już na równi z przednimi

ogniskami. Na lewo, z dala od innych, płonął ogień jasny i wysoki. Przy nim spoczywało pięć głów ozdobionych w orle pióra.

W tej właśnie chwili podniósł się jeden z wodzów, odrzuciwszy płaszcz wojenny. Jego naga pierś, podobnie jak twarz i ramiona, grubo pokrywała jasnożółta farba.

- Tab-wahgare! -Złote Słońce) - szepnął Winnetou. - Ten wódz Kapotów posiada siły niedźwiedzia. Popatrzcie na jego ciało? Jakie grube, mocne mięśnie, a jaka szeroka pierś!

Utah skinął na drugiego wodza, który również powstał. Jeszcze wyższy od poprzedniego, nie mniejszą wykazywał siłę.

- To Tsu-in-kuts -Cztery Bizony) - objaśnił Old Shatterhand.

- Nosi to imię dlatego, iż razu pewnego czterema strzałami powalił cztery bizony.

Obaj wodzowie zamienili ze sobą parę słów i oddalili się od ogniska. Może chcieli obejść straż. Omijali inne ognie, trzymając się w pobliżu ściany skalnej.

- Aha! - odezwał się Old Firehand. - Będą przechodzić blisko nas. Jak myślisz, Old Shatterhand? Czy nie weźmiemy ich?

- Uff! Wesoły figiel! Z miejsca na ziemię! Ty pierwszego, ja drugiego!

313

Obaj Utahowie zbliżyli się, jeden za drugim. Nagle za rur wynurzyły się dwie postacie - dwa potężne uderzenia pięścią i w" dzowie runęli na ziemię.

- Dobrze! Teraz prędko do kryjówek!

Każdy wziął swego na barki. Winnetou miał pozostać Myśl zdali towarzyszom owych jeńców, kazali ich związać i zakneblować a potem powrócili do Winnetou. Stał jeszcze na tym samym miejscu

Teraz należało wykryć, gdzie znajdował się rudy kornel. W tym celu musieli przejść przez całą dolinę.

Ruszyli więc dalej wzdłuż ściany skalnej, pozostawiając ogniska na lewo.

Wszystko, co się działo po tej stronie, widzieli dokładnie; przez nimi jednak było ciemno. Gdzie wzrok nie sięgał zdawali się na dotyk?

Winnetou czołgał się, jak zwykle, przodem- naraz krzyknął prawie głośno:

- Uff! Człowiek przede mną!

- Trzymaj go! Nie pozwól mu krzyczeć! szepnął Old Firehand szybko.

- On nie może krzyczeć: nie żyje!

- Zadusiłeś?

- Był już martwy, wisi na palu.

- Boże! Na palu męczeńskim!

- Tak. Ciało pokryte ranami, już ostygł. Ręce mam mokre krwi!

- A więc biali zabici, tu jest miejsce kaźni. Szukajmy dalej!

Macając dookoła siebie, znaleźli pokaleczone ciała, przywiązani do drzew i słupów.

- Straszne! -jęknął Old Shatterhand. - Myślałem, że będziemy mogli tych ludzi uratować. Zwykle Indianie czekają z kaźnią do następnego dnia, a tu się pokwapili.

- A plan, rysunki! - odezwał się Old Firehand. - Stracone!

- Jeszcze nie. Mamy przecież wodzów w niewoli. Może będziemy mogli wymienić ich za te rysunki.

- Jeśli ich do tej pory nie zniszczyli!

- Zniszczyli? Z pewnością nie! Indianie poznali już wagę takich papierów. Nie ma obawy. Zresztą, domyślam się, z jakiego powodu tak szybko zamordowano trampingów. Chcieli oczyścić zapewne miejsce

dla świeżych białych. Doniesiono im o naszym przybyciu, więc czekają na nas.
- Dobrze mój brat sądzi. Wysłani z zawiadomieniem Indianie są już tutaj; Yamba-Utahów nie ma jednak jeszcze - przytaknął Win-netou - gdyż upłynęły pewno godziny, zanim odważyli się minąć

314

miejsce naszego postoju i wejść w wąwóz. Może przyjdą dopiero jutro rano, bo ostatek drogi jest tak uciążliwy, że w nocy nie... Uff! Nadchodzą! Powyżej miejsca, gdzie stali, odezwał się głośny, radosny okrzyk, na który odpowiedziano natychmiast z dołu. To przybyli Yam-ba-Utahowie mimo ciemnej nocy i złej drogi. Indianie wybiegli z obozu, porwawszy z ognisk płonące szczapy. Las się rozjaśnił i zapano-owało ożywienie, groźne dla trzech śmiałków.
- Musimy uciekać - odezwał się Old Firehand. - Ale dokąd?
Przed nami i za nami wszędzie czerwonoskórzy.
- Na drzewa! - odpowiedział Old Shatterhand. - Wśród gęstych gałęzi możemy zaczekać, aż ustanie rwetes.
- A więc w górę! Ach, Winnetou już tam siedzi!

Tak. Apacz nie pytał długo, ale czym prędzej ukrył się wśród liści. Myśliwi, idąc za jego przykładem, wspięli się na najbliższe drzewa. Przy blasku ognisk i pochodni ujrzeli nadchodzących Yambów. Indianie, dowiedziawszy się o śmierci przeszło dwudziestu białych, sądzili, że to poszukiwani przez nich, i chcieli przyjrzeć się trupom. Yambowie rozpoznali, że trupy są im obce, i wyładowali swą wściekłość w sposób trudny do opisania. Na szczęście scena ta nie trwała długo, a zakończyła się w sposób nieoczekiwany. U spadzistego krańca doliny rozległ się przeciągły krzyk; krzyk, którego się nie zapomina. Krzyk przedśmiertelny.
- Uff! - zawołał z przerażeniem jeden ze stojących pod drzewem

wodzów. - Co to było? Tam w dole znajdują się Żółte Słońce i Cztery Bizony. Odpowiedział mu drugi, podobny krzyk, a potem kilka strzałów.
- Nawahowie, Nawahowie! - krzyknął wódz. - Winnetou, Old Shatterhand i Old Firehand zwabili ich tutaj, aby się zemścić. Hej,

wojownicy! Rzućcie się na tych psów! Zniszczyć ich! Pozostawcie konie i walczcie pieszo spod drzew!

Przez chwilę wszystko biegło w największym zamieszaniu; chwytano za broń i dorzucano drzewa do ognia, aby oświetlić należycie pole walki. Krzyczano. Strzały padały coraz bliżej, od drzewa do drzewa przemykały ciemne postacie. Utahowie odpowiadali tu i ówdzie, zrazu pojedynczo, potem grupami. Walczono z osobna dokoła każdego ogniska. Tak, to byli Nawahowie; chcieli napaść niespodziewanie na Utahów, nie umieli jednak usunąć bez hałasu straży stojących u wejścia doliny. Krzyk mordowanych wywołał alarm i teraz zawiązała się walka.

315

Wkrótce okazało się, że przewagę mieli Utahowie; znali okolicę lepiej niż ich wrogowie, toteż chociaż napastnicy trzymali się dzielnie wypierano ich krok za krokiem. Walczono z dala i z bliska, bronią palną, nożami i tomahawkami. Z trzech pozostałych przy ognisku wodzów dwaj wzięli udział w walce, aby przykładem odwagi zagrzać swoich do męstwa. Trzeci oparł się w pobliżu ogniska o drzewo i zwracając baczną uwagę na przebieg walki, rzucał na prawo i lewo rozkazy, rycząc głośno. Był to naczelny wódz; w rękach swych trzymał wszystkie nici obrony. Nawet kiedy Nawahów wyparto, on pozostał na miejscu, rzekłbyś, kamienny.
Walka oddalała się coraz bardziej. Teraz dla trzech mimowolnych świadków nadszedł czas cofnięcia się w bezpieczne miejsce, droga była bowiem do kryjówki wolna; zeszli z drzew. Wódz Utahów stał jeszcze na tym samym miejscu. Z dala dochodziła wrzawa walki.

- Teraz z powrotem! - odezwał się Winnetou. - Później rozpalą ognie na znak radości i będzie dla nas za późno. Zabierzemy ze sobą wodza. Ja pójdę...

Przerwał, zdumiony, bo z ciemności wyskoczył, szybko jak piorun, mały, szczupły, kulawy człowieczek, podniósł w górę strzelbę i potężnym uderzeniem kolby powalił wodza na ziemię. Potem chwycił go za kark i pociągnął szybko w ciemności. Z jego ust wybiegły niezbyt)

głośne, ale zrozumiałe słowa: -

- Co mogą Old Shatterhand i Old Firehand, to przeważnie potrafimy także i my.

- Hobbie-Frank! - wyrzekł Old Firehand. - Ten hultaj oszalał?

Musimy pójść czym prędzej za nim, aby nie zrobił jakiegoś głupstwa.

Pospieszyli za małym. Już prawie dotarli do kryjówki, gdy nagle padł przed nimi strzał i zaraz potem rozległ się śmiech Franka:

- Głupcze! Uważaj, gdzie celujesz! Jeśli mnie chcesz trafić, to nie mierz do księżycy! Masz swoją porcję, a teraz - dobranoc. [

Odezwał się trzask ciężkiego uderzenia - nastąpiła cisza. Trójka natknęła się na Franka.

- Na bok! - zawołał. - Tu strzelają i kłują!

- Stój! - ostrzegł Old Shatterhand. - To my!

- Podziękujcie Bogu, że otworzyliście usta! Gdybym nie poznał waszego głosu, to, na moją duszę, byłbym was krótko i węzłowato zastrzelił.

- Dlaczego opuściłeś kryjówkę?

- Tylko z troski o was. Zaledwie odeszliście, rozległ się krzyk, jakby Cymbrowie wpadli między Teutonów; potem zaczęła się strzelanina, a ja zląkłem się i zaniepokoiłem o was. Dlatego chwyciłem za

316

strzelbę i wymknąłem się niepostrzeżenie. Na lewo strzelano, wy udaliście się na prawo. Przy drzewie stał wódz jak śledź marynowany;

to rozgniewało mnie i dałem mu klapsa po południku, tak że padł na ziemię w kierunku równikowym. Chciałem go naturalnie szybko usunąć w bezpieczne miejsce, więc pociągnąłem za sobą; ale że był trochę przyciężki, siadłem na chwilę na jego corpusjuris, aby sumienie wypaczyć. Wtem podpełził jakiś czerwony „wolny strzelec” i zmierzył <jo mnie z flinty; odbiłem ją w bok, kula poszła po mlecznej drodze, a ja rozciągnąłem go kolbą obok wodza. Co się stanie z tym hultajem? Sam mu nie poradzę.

- Pomożemy ci. Teraz szybko do kryjówki! Strzelanina ustała i Utahowie zaraz powrócą.

Obu nieprzytomnych Indian wniesiono do kryjówki, gdzie ich związano i skneblowano jak poprzednich.

Utahowie w istocie powrócili, i to jako zwycięzcy. Rozpalili dwakroć więcej ognisk, przetrząsali las, szukając zabitych i rannych. Nawahowie zabrali swoich. Nad każdym znalezionym trupem zawo-dzono pienia żałobne i wydawano wycie wściekłości. Ciała zebrano na jedno miejsce, aby je pochować z należytych honorami. Brakło tylko trzech wodzów. Po tym odkryciu las rozbrzmiał znowu od ryku rozgniewanych czerwonoskórych. Dwaj pozostali dowódcy zwołaU wybitnych wojowników na naradę.

To naprowadziło Winnetou na myśl podkradnięcia się jeszcze raz do obozu Utahów, aby usłyszeć, co postanowią; dokonał tego bez trudności. Czerwonoskórzy przekonani, że są zupełnie sami, uważali wszelką ostrożność za zbyteczną. Odparci Nawahowie, ich zdaniem, nie powrócą już, a gdyby się nawet na to odważyli, to u wyjścia z doliny stały strażę. Postanowiono jeszcze tej nocy pogrzebać zmar-łych. Teraz należało przede wszystkim uwolnić pojmanyh wodzów. To było nawet bardziej wskazane niż czekać do rana na przybycie Winnetou i jego białych towarzyszy, bo ci, udając się nad Srebrne Jezioro, musieli i tak bezwarunkowo wpaść w ręce Utahów. Dlatego uradzono poczynić wszelkie potrzebne przygotowania, aby z brzas-kiem dnia ruszyć w pościg za Nawahami.

Winnetou cofnął się powoli i ostrożnie. W pobliżu kryjówki ujrzał kilka koni; zwierzęta spłoszyły się w czasie walki i odłączyły od reszty.

Apaczowi wpadło na myśl, że przecież muszą transportować nowych jeńców, to znaczy trzech wodzów i wojownika. W pobliżu nie było nikogo. Konie nie lękały się, ponieważ był Indianinem; wziął więc

--17

jednego za uzdę i poprowadził ku kryjówce, aby oddać Old Firehandowi. W ten sposób przyprowadził trzy pozostałe.

W kryjówce czas nikomu się nie dłużył, bo miano dość tematu do opowiadania i słuchania. Zasnęli dopiero po północy, ale już z braskiem dnia wszyscy byli na nogach, gdyż odmarszowi Indian towarzyszył znaczny hałas. Wkrótce w dolinie nie było ani jednego Uta i biali mogli opuścić kryjówkę.

Obejrzano trupy pomordowanych białych. Skonali wśród wielkich meczami. Trampowie zebrali owoce własną ręką posiane. Najokrutniej obeszli się czerwonoskórzy z kornelem; wisiał na palu głową na dół, do naga, podobnie jak jego towarzysze, odarty z odzieży. Indianie rozchwyтали ją, nie pozostawiając najmniejszego drobiazgu. Skradziony rysunek zniknął; gdyby go nie można było wydostać od Utahów, pozostawała jeszcze wątpliwa nadzieja, że obaj Niedźwiedzie uchyliły tajemnicy Srebrnego Jeziora.

Zmarłych pogrzebano i pod wodzą Winnetou ruszono manowcami ku Srebrnemu Jezioru. W.

V V kilka dni później oczom białych,

zbliżających się już do celu uciążliwej podróży, przedstawił się groźny widok. Jechali powoli wznoszącym się kanionem, po którego bokach jeżyły się potężne i wysokie masy skalne. Kolosalne piramidy z piaskowca pięły się różnobarwnymi pokładami w niebo. Między skałami ani kropli wody, na głębokim dnie ani źdźbła trawy, na stromych ścianach ani cienia zielonej gałązki czy liścia, którego barwa radowała by oczy. Suchy obecnie kanion tworzył niegdyś łożysko rzeki, która wartkie fale wylewała szerokim strumieniem do Colorado. Stąd też na jego dnie leżały grube pokłady okrągłych i wygładzonych kamieni, a przestrzeń między nimi wypełniał piasek. Utrudniało to ogromnie drogę, bo kamienie usuwały się za każdym krokiem spod kopyt koni i nużyły zwierzęta.

Old Firehand, Old Shatterhand i Winnetou jechali przodem. Pierwszy z widoczną uwagą przyglądał się otoczeniu. Nagle zatrzymał konia w miejscu, gdzie dwa potężne słupy skalne, opierające się w górze o siebie, tworzyły wolną przestrzeń, szeroką może na dziesięć stóp, która zdawała się zwięzać w głąb; przyjrawszy się bacznie, rzekł:

- Tutaj z pewnością wyszedłem wówczas, kiedy znalazłem żyłę.

Przypatrzmy się jednak pierwej; może się mylę.

Chciał zsiąść z konia dla przekonania się, ale Apacz zwrócił się ku otworowi i odezwał:

- Niechaj moi bracia pójdą ze mną, bo tu zaczyna się ścieżka, którą możemy sobie znacznie skrócić drogę.

- Znasz tę szczelinę? - zapytał Old Firehand zaskoczony.

- Tak. Z początku się zwięża, potem rozszerza bardzo, i to nie

w wąski parów, ale w równą płaszczyznę skalną, która powoli wznosi się w górę.

- To się zgadza, to się zgadza! A więc jestem w dobrym miejscu.

Ta płaszczyzna ciągnie się kilkaset stóp w górę. A co jest dalej? Czy wiesz?

- Górna krawędź tej tafli spada po drugiej stronie stromo w głąb w wielki, okrągły kocioł, z którego prowadzi w licznych zakrętach wąska ścieżka w szeroką, piękną dolinę Srebrnego Jeziora.

- I to także się zgadza. Czy znalazłeś może w tym kotle coś ciekawego?

- Nie. Tam nie ma nic, ani wody, ani trawy, ani zwierzęcia.
- Żaden owad, żadna mrówka nie czołga się po tych wiecznie suchych kamieniach.
- Więc jeżeli ci dowiodę, że można tam znaleźć coś, co je o wiele cenniejsze od wody i trawy?
- Czy masz na myśli żyłę srebra, którą odkryłeś?
- Tak. Dlatego właśnie kotła podjąłem tę daleką jazdę. Naprzód, skręcamy w bok!

Wjechali do szczeliny jeden za drugim, gdyż nie było dość miejsca dla dwu koni. Wkrótce jednak ściany poczęły się rozstępować; przed jeźdźcami leżał gładki, wznoszący się powoli trójkąt skalny, tworzący w górze na tle jasnego nieba ostrą, prostą linię.

Jechano w górę. Zdawało się, że konie wdzierają się na ogromny dach, jednakże pochyłość nie nastroczała zbyt wielkiej trudności. Upłynęła godzina, zanim oddział dostał się na szczyt, i teraz przed oczyma jeźdźców ciągnęła się milami równina skalista w kierunku zachodnim. Na jej przedzie był głęboki kocioł, o którym mówili Old Firehand i Winnetou; na lewo w kierunku południowym szła w górę ciemna kresa - wąwóz, przez który z kotła można się było dostać do Srebrnego Jeziora.

Old Firehand chciał pokazać towarzyszom, co znalazł w kotlinie; Utahowie jednak nie powinni byli o tym nic wiedzieć. Dlatego odprowadzono ich do wąwozu, pozostawiając kilku rafterów na straży.

Kocioł miał przynajmniej milę angielską średnicy, a dno jego składało się z kamieni i grubej warstwy piasku, otoczonej przez wodę.

Inżynier Butler, rzuciwszy dookoła badawcze spojrzenie, odezwał się:

- Może natrafimy na bogatą bonanzę? Jeśli rzeczywiście znajduje się tutaj szlachetny metal, to należy się go spodziewać od razu w znacznych ilościach. To ogromne zagłębienie zostało wymyte w ciągu całych stuleci. Woda, spływająca z południa przez parów, nie mając ujścia, utworzyła wir, który odrywał kamienie i ścierał je na żwir i piasek. Grunt, na którym stoimy, powstał przez powolne osadzanie się i musi zawierać czysty metal, który wskutek swej ciężkości opadał

320

na spód, a więc leży pod warstwą piasku. Jeśli wykopiemy dół na kilka łokci, to się pokaże, czy podróż nasza osiągnęła swój cel, czy też była daremną.

- Nie potrzeba kopać. Wystarczy przecież przekonać się, czy brzegi tej wyżyny, niegdyś wypełnionej wodą, zawierają poszukiwany kruszec.
- Oczywiście. Jeśli w tych ścianach znajduje się srebro, to jest rzeczą zupełnie pewną, że i dno kotła je zawiera.
- Więc chodźcie! Dam wam dowody.

Ruszył wprost ku znanemu sobie miejscu.

- Kuzynie, serce mi bije - przyznał się Hobbie-Frank Drollowi.

- Jeśli znajdziemy srebro, to napcham kieszenie po brzegi i powrócę do domu. Tam zbuduję sobie willę i od rana do nocy będę wystawiał przez okno głowę, aby pokazać ludziom, jak wygląda człowiek, który znalazł pokłady srebra.

- A ja - odpowiedział Droll - kupię sobie folwark z dwudziestu-toma końmi, z osiemdziesiątką krów i nic nie będę robił, tylko twaróg, bo to najlepszy interes.

Old Firehand przystąpił do ściany skalnej, podmytej i pokruszonej w tym miejscu, i wyciągnął luźno leżący kamień, jeden, drugi, kilka. Powstała szpara. Old Firehand sięgnął do niej ręką.

- Z tego, co tu znalazłem - rzekł - zabrałem próbkę i kazałem zbadać. Zobaczymy teraz, czy z oceną zgodzi się Butler.

Kiedy cofnął rękę, trzymał w niej coś białego, z brązowym nalo-tem, coś na kształt drutu. Inżynier, zaledwie wziął to do ręki i rzucił okiem, zawołał głośno:

- Nieba! To szczerze srebro! I to tkwi w szparze?
- Tak! Wypełnia całą szczelinę. Zdaje się, że sięga ona głęboko w skałę i obfituje w kruszec.

- Wobec tego mogę ręczyć, że czeka nas bogaty połów. Naturalnie znajdzie się więcej rozpadlin i szczelin zawierających czyste srebro.

Westman zaśmiał się i wydobył drugi, jeszcze znacznie większy przedmiot. Był to kawał kruszcu wielkości co najmniej dwu pięści;

Butler obejrzał go uważnie i zawołał:

- Badanie chemiczne jest naturalnie o wiele pewniejsze, ale mogę przysiąc, że natknęliśmy się na chlorek srebra, a więc rogoekrusz srebra, kerargyrit!

- To się zgadza. Analiza chemiczna wykazała chlorek.

- Ilu procentowy?

- Siedemdziesiąt pięć procent czystego kruszcu.

- Co za odkrycie! Rzeczywiście w Utah znajduje się przeważnie rogoekrusz srebra. Gdzie jest ta żyła?

1 -Skarb...

321

- Dalej stąd, po drugiej stronie kotła. Nakryłem ją grubą warstwą rumowiska.

- Mister Firehand! Tu leżą miliony, a odkrywca jest krezusem!

- zawołał Watson, były nadzorca robotników.

- Tylko odkrywca? Pshaw! Wy wszyscy otrzymacie w tym udział.

Ja jestem odkrywcą, Butler inżynierem, a reszta będzie pomagać w wydobywaniu srebra. W tym celu przecież was zabrałem. Warunki, na jakich będziemy pracować, i udział, który każdy z was otrzyma, omówimy jeszcze bliżej.

Słowa te wywołały ogólną radość; zdawało się, że nie będzie jej końca. Większość chciała natychmiast podjąć dalsze badania, jednak Old Shatterhand położył kres temu, ostrzegając:

- Nie tak spiesznie, panowie! Przede wszystkim musimy pomyśleć o czymś innym. Przecież nie jesteśmy sami.

- Ale wyprzedziliśmy czerwonoskórych - zauważył lord, który wprawdzie nie wnosił żadnych pretensji do odkrytego kruszcu, lecz podzielał entuzjazm innych.

- Wyprzedziliśmy, to prawda, ale nie o wiele. Nawahowie przybędą nad jezioro zaledwie o kilka godzin później niż my, a za nimi naturalnie Utahowie. Nie mamy więc czasu do stracenia, bo musimy się przygotować na ich przyjęcie.

- To prawda! - potwierdził Old Firehand. - Ale chciałbym jeszcze wiedzieć, czy eksploatacja nie natrafi na trudności; aby nam to wyjaśnić, master Butler będzie potrzebował zaledwie kilku minut.

Inżynier rzucił długie, badawcze spojrzenie na okolicę, po czym zapytał:

- Jak daleko stąd leży Srebrne Jezioro?

- Za dwie godziny będziemy na miejscu.

- Czy leży wyżej niż to miejsce?

- Znacznie wyżej.

- A więc mielibyśmy potrzebny spadek; trzeba jednak rur, choć- by początkowo drewnianych. Czy znajdziemy je tutaj?

- Nawet mnóstwo. Srebrne Jezioro jest otoczone lasem.

- Świetnie! Może nie będziemy musieli całej przestrzeni wykładać rurami. Możemy nieco wyżej stąd założyć zbiornik, a z jeziora aż do tego rezerwuaru woda będzie płynąć na powierzchni; stamtąd jednak sprowadzimy ją rurami, aby otrzymać potrzebne ciśnienie.

- Aha, do płuczkami?

- Tak. Unikając pracy i łopaty przy obróbce kamienia, będziemy go rozsadzać wodą, a gdzie sikawki nie wystarczą, użyjemy prochu. Również i grunt, zawierający kruszec, obrobimy wodą.

322

- Ale woda musi wszak znaleźć odpływ, gdyż zaleje kocioł i nie będziemy mogli pracować.

- Tak, odpływ! Ten trzeba najpierw przygotować. Myślę, że początkowo wystarczy pompa lub wiadro blokowe do podnoszenia wody na wyżynę, przez którą dostaliśmy się tutaj. Stamtąd sama już pójdzie w dół, a przez szczelinę do kanionu.

Naturalnie, potrzeba nam maszyn, ale to nie nastręczy żadnych trudności i w ciągu miesiąca może być wszystko gotowe. Jedną tylko rzecz nasuwa mi pewne wątpliwości: do kogo należy ta ziemia?

- Do Timbabczów, lecz wpływ Winnetou skłoni ich do sprzedaży jej, co każę urzędowo potwierdzić.

- To dobrze. Najważniejsze jest to, że można wodę z jeziora

sprowadzić tutaj, nad czym jeszcze zastanowię się w czasie obecnej jazdy. Jedźmy dalej!

Małą szczelinę, którą Old Firehand odsłonił, zamknięto z powrotem, a również zasypano wejście do żyły. Całe towarzystwo dosiadło koni, aby kontynuować przerwana jazdę.

Jeszcze nie dotarli do Srebrnego Jeziora, kiedy dawne łożysko rzeczne nagle się rozszerzyło tworząc równinę, otoczoną skalami, na której znajdował się niewielki stawek. Tu rosła trawa. Wskutek gorąca, braku wody i złej drogi, konie mocno ucierpiały, toteż nie

chęć już słuchać wędzidła, samowolnie rzuciły się na paszę. Jeźdźcy siedli, aby im dogodzić.

Inżynier zwracał pilną uwagę na drogę, którą przebywali; teraz „ostrzeżenia swe zakomunikował towarzyszom:

- Dotychczas jestem zadowolony. W wądole pod dostatkim jest miejsca nie tylko dla przeprowadzenia wody, ale także dla transportu, wszystkich potrzebnych nam przedmiotów. Muszę przyznać, że przyroda okazała się dla nas bardzo łaskawa i... Przerwał i począł nawoływać, przerażony:

- Ellen! Gdzie jest Ellen? Nie widzę jej nigdzie!

Po raz pierwszy od dwu dni dziewczynka ujrzała nie tylko trawę, ale także kilka kwiatków; więc nie dziwiła się, że pobiegła je zerwać. Wilgoć i bliski jeziora przesycała ziemię aż tutaj i roślinność pokryła wąóz, prowadzący ku jezioru. Ellen, zrywając kwiatki, szła coraz dalej, aż do zakrętu. Właśnie chciała zawrócić, kiedy spoza zakrętu drogi wyszło trzech mężczyzn - trzech uzbrojonych Indianie. Dziewczę struchlało, chciało wołać o pomoc, ale nie mogło wydobyć głosu. Indianie szybko rzucili się na nią. Jeden położył jej rękę na ustach, drugi przytknął nóż do piersi, grożąc łamaną angielszczyzną:

- Cicho, inaczej umrzeć!

323

Tymczasem trzeci posunął się naprzód, aby zobaczyć, do kogo biała dziewczynka należy, gdyż rozumiało się samo przez się, że nie była tu sama. Po dwu zaledwie minutach powrócił i szepnął do towarzyszy kilka słów, których Ellen nie zrozumiała.

Wąóz kończył się niezbyt wysokim stokiem, którego dolny brzeg porastały krzaki, połączone w górze z lasem. Ellen pociągnięto w stronę, a potem ku drzewom, gdzie siedziała gromada Indian. Broń leżała przy nich, ale natychmiast ją pochwycili i zerwali się, zobaczywszy, że towarzysze nadchodzą z dziewczynką.

Ellen, widząc oczy wszystkich skierowane groźnie na siebie, była pewna, że znalazła się w największym niebezpieczeństwie. Wtem przypomniała sobie totem, który podarował jej na okręcie Mały

Niedźwiedź. Ten powiedział, że to pismo ocali ją w każdym niebezpieczeństwie. „

„Jego cień jest moim cieniem, a jego krew jest moją krwią; on jest

moim starszym bratem” - brzmiały słowa totemu. Wyciągnawsza

nitkę, na której totem wisiał, odwiązała go i podała temu z Indian

którego z powodu straszego wyglądu uważała za najniebezpieczniejszego.

Czerwonoskóry rozwinął skórę, przyjrzał się figurom, wyć

okrzyk zdziwienia i podał totem najbliższemu. Totem przeszedł z r,

do ręki. Twarze się rozjaśniły, a ten, który mówił już do Ellen, zapyl

- Uff! Kto dać ci?

- Nintropan-homosz - odpowiedziała.

- Młody wódz?

- Tak.

- Gdzie?
- Na statku.
- Wielkie, ogniste canoe?
- Tak.
- Na Arkansas?
- Tak.
- To prawda! Nintropan-homosz być na Arkansas. Kto lud:

tam? - zapytał wskazując na wawóz.

- Winnetou, Old Firehand, Old Shatterhandi
- Uff, uff! - zawołał, a inni zawtórowali: - Uff! - Chciał nadal pytać, lecz coś zaszeleściło w krzakach i wyszli z nich pod wodzą trzech wymienionych biali, którzy w jednej chwili otoczyli Indian.

Zwiadowca nie zauważył poprzednio Winnetou, teraz dopiero go poznał.

- Wielki wódz Apaczów! - zawołał. - Ta biała dziewczynka

ma totem Małego Niedźwiedzia, jest więc naszą przyjaciółką. Po-rwaliśmy ją, bo nie wiedzieliśmy, czy mężowie, do których należy, są naszymi przyjaciółmi czy wrogami.

Mieli na twarzach barwy błękitną i żółtą, co skłoniło Winnetou do zapytania:

- Wy jesteście wojownikami Timbabaczów?
- Tak.
- Kto was prowadzi?
- Czia-nicas. - Imię to znaczy: „Długie Ucho”; widocznie ten człowiek wsławił się bystrym uchem.
- Gdzie on? - pytał Winnetou.
- Nad jeziorem.
- Ilu wojowników znajduje się tutaj?
- Stu.
- Czy zebrały się również inne szczepy?
- Nie. Przyjdzie jednakże jeszcze dwustu wojowników Nawahów;

pociągniemy z nimi na północ, aby zabrać skalpy Utahom.

- Miejcie się na baczności, aby oni waszych nie zabrali. Czy postawiliście straż?
- Po co? Nie spodziewamy się żadnego wroga.
- Przyjdzie ich więcej, niżbyście chcieli. Czy Wielki Niedźwiedź jest nad jeziorem?
- Tak, a również i Mały Niedźwiedź.
- Prowadźcie nas do nich.

Właśnie nadeszło z wawozu kilku rafterów z końmi i jeńcami, bo reszta białych poszła pieszo za Ellen. Teraz dosiedli koni, a Tim-babaczowie stanęli na przedzie jako przewodnicy. Oddział dotarł na szczyt góry. Potem grunt opadł po drugiej stronie, a wkrótce ujrzano błyszczącą powierzchnię wody - Srebrne Jezioro!

Wysokie jak wieże baszty skalne, błyszczące wszelkimi barwami, zamykały dokoła dolinę, której długość wynosiła dwie godziny drogi, a szerokość połowę tego. Poza tymi bastionami wznosiły się inne i coraz inne olbrzymie górskie, których szczyty sterczały jedne nad drugimi. Ale te góry i skały nie były nagie. W rozpadlinach rosły drzewa i krzaki, a im niżej, tym bardziej gęstniał las, który schodził aż w pobliże jeziora; między nim a jeziorem widać było tylko wąski pas trawy. Pośrodku jeziora leżała zielona wyspa z osobliwą budowlą z cegieł, która zdawała się pochodzić z tych odległych czasów, kiedy to dzisiejsi Indianie nie wyparli jeszcze pierwotnych mieszkańców Ameryki. Na

trawie stały liczne chaty, w pobliżu których przywiązanych było do

brzegu kilka canoe. Wyspa, okrągła, mogła mieć sto kroków średnicy.) Stara budowlę pokrywały kwitnące pnącza, a reszta przestrzeni była uprawna jak ogródek i zarośnięta krzewami.

Wierzchołki lasu odbijały się w wodzie jeziora, szczyty gór rzucał cień na jego fale. Mimo to jezioro nie było ani zielone, ani błękitne raczej błyszczalo barwą srebrnoszarą, a ponieważ żaden wietrzyk nie marszczył powierzchni jego wody, przybysze mogli sądzić, że mają przed sobą kotlinę wypełnioną żywym srebrem. W chatach i obok nich leżeli Indianie, mianowicie owych stu Timbabaczów. Pojawienie się białych wywołało wśród nich lekki niepokój, który jednak ustąpił, skoro tylko na czele oddziału ujrzeli swych towarzyszy. Zanim jeszcze biali doszli do owego miejsca, wyszły z chaty na wyspie dwie męskie postacie. Apacz przyłożył dłoń do ust i zawołał:

- Nintropan-hauey! Tu jest Winnetou!

Odpowiedziano mu głośnym okrzykiem; potem obie postacie wsia-dły do łódki przywiązanej u brzegu wyspy, aby popłynąć na drugą' stronę. Byli to obaj Niedźwiedzie, ojciec i syn. Wielki Niedźwiedź wysiadłszy wyciągnął rękę do Winnetou:

- Wielki wódz Apaczów bywa wszędzie, a gdzie tylko przyjdzie, rozwesela serca wszystkich. Pozdrawiam także Old Shatterhanda, którego znam, i Old Firehanda, który był ze mną na okręcie!

Kiedy ujrział Ciotkę Droll, po twarzy jego przebiegł uśmiech, przypomniał sobie ostatnie spotkanie z tym śmiesznym człowiekiem i odezwał się, podając mu rękę:

- Mój biały brat jest dzielnym mężem: zabił panterę, witam go.

Tak szedł od jednego do drugiego, podając każdemu rękę. Syn jego zbliżył się do Ellen, która wysiadła z palankinu; skłoniwszy się jej. przemówił łamaną angielszczyzną:

- Mały Niedźwiedź nie spodziewał się, aby mógł jeszcze kiedy widzieć białą miss. Co jest celem jej podróży? :

- Udajemy się do Srebrnego jeziora - brzmiała odpowiedź. Pti obliczu jego przebiegł rumieniec radości, chociaż nie mógł uk zdumienia.

- To mała miss pozostanie tu przez pewien czas? - zapytał.

- Nawet długo - odpowiedziała.

- Więc proszę, abym mógł zawsze być przy niej. Miss póz wszystkie drzewa, rośliny i kwiaty. Będziemy łowić ryby i polować,;

ja muszę być zawsze w pobliżu niej, bo tu są dzikie zwierzęta i wrod ludzie. Czy miss pozwoli na to?

- Bardzo chętnie! Cieszę się bardzo, że jesteś tutaj.

326

Wyciągnęła ku niemu rękę, a on - istotnie - zbliżył ją do ust, jak prawdziwy džentelmen!

Konie przybyłych odprowadzili Timbabaczowie w las, gdzie stały już ich własne.

Wódz czerwonoskórych siedział dotychczas dumnie w chacie i dopiero teraz wyszedł z niej powoli, dość niechętnie z tego powodu, że

nie troszczono się o niego. Był to człowiek o posępnej twarzy,

z długimi nogami i rękami, które czyniły go podobnym do oran-

gutana. Stanął z dala i patrzył ponad przybyszów na góry, jakby nie

miał z nimi nic wspólnego. Ale się pomylił, bo Droll natychmiast podszedł do niego:

- Dlaczego Długie Ucho się nie zbliża? Czy nie zechce powitać sławnych wojowników bladych twarzy?

Wódz mruknął coś niezrozumiale w swej ojczyściej mowie, ale źle się z tym wybrał, bo Droll uderzył go po ramieniu jak starego dobrego znajomego i zawołał:

- Mów po angielsku, stary hultaju! Ja twego języka nie znam.

Indianin mruknął znowu kilka niezrozumiałych wyrazów, toteż Droll obstawał:

- Nie udawaj! Wiem, że mówisz zupełnie dobrze po angielsku.

- No! - zaprzeczył wódz.

. - Nie? Czy znasz mnie?

- No!

- Czy nie widziałeś mnie jeszcze nigdy?

- No!

- Hm! Namyśl się! Musisz mnie chyba pamiętać?

- No!

- Widzieliśmy się w Forcie Defience!

- No!

- Było nas tam trzech białych i jedenastu czerwonoskórych.

Graliśmy trochę w karty, a trochę popijaliśmy. Czerwoni jednak

łyknęli więcej niż biali i w końcu nie wiedzieli już, jak się nazywają

i gdzie są. Potem przespali całe popołudnie i całą noc. No, przypomi-nasz sobie teraz, stary?

- No!

- Nie? Dobrze! My, biali, położyliśmy się także w szopie obok Indian, bo nie było innego legowiska. Kiedy otwarliśmy powieki, czerwoni już odjechali! Czy wiesz dokąd?

- No!

- Z nimi zniknął także mój karabin i torba na kule. Kazałem na .lufie wyryć C.D., to znaczy „Ciotka Droll”. Dziwnym zbiegiem

327

okoliczności litery te znajdują się na lufie twojej strzelby. Czy wiesz' może, jak się tam dostały?

- 'No!

- A torba była haftowana perłami i również oznaczona literami C.D. Nosilem ją przy pasie, tak samo jak ty twoją. Ale ku wielkiej radości widzę, że ma ona te same litery. Nie wiesz, w jaki sposób moje litery znalazły się na twojej torbie?

- No!

Tym lepiej, za to ja wiem, jak moja strzelba znalazła się w twoich rękach, a moja torba na kule u twego pasa. Zaraz cię od nich uwolnię!

W okamgnieniu wyrwał Indianinowi karabin z ręki, woreczek zza pasa i odwrócił się od niego. Ale czerwonoskóry rzucił się błyskawicz-nie ku niemu, wołając dość dobrą angielszczyzną:

- Oddaj je!

- No! - odpowiedział teraz Droll.

- To moja strzelba!

- No!

- Ten woreczek również!

- No!

- Jesteś złodziejem!

- No!

- Oddaj je albo cię zmuszę do tego!

- No!

Indianin wyciągnął nóż. Droll jednak roześmiał się wesoło.

- Ty jesteś Długie Ucho; znam cię jak zły szeląg. Jeszcze dłuższ jednak niż uszy są twoje ręce i palce! Powiedz uczciwie prawdę ` a będziesz mógł zatrzymać te przedmioty. A więc mów szczerze: znasz mnie?

- Yes! - odpowiedział Indianin wbrew wszelkim oczekiwaniom.

- Byłeś ze mną w Forcie Defience?

- Yes!

- Upiłeś się!

- Yes!

- A potem zniknąłeś z moją strzelbą i woreczkiem?
- Yes!
- Dobrze! Możesz je więc zatrzymać, masz tutaj! A tu jest moja ręka. Zostańmy przyjaciółmi, ale musisz mówić po angielsku i nie wolno ci kraść. Zrozumiałeś?

Pochwywszy czerwonoskórego za rękę, potrząsnął nią i zwrócił mu zabrane przedmioty. Ten wziął je i nie zmieniając wyrazu twarzy, rzekł najprzyjaźniejszym tonem:

- Mój biały brat jest moim przyjacielem. On wie, co jest słuszne

328

i dobre, bo chociaż znalazł te rzeczy u mnie, oddał mi je z powrotem.

On jest przyjacielem czerwonych mężów i ja go miłuję!

- Tak, przyjacielu, ja cię też miłuję. Wkrótce się o tym przekonasz, bo gdybyśmy nie byli przyszli, to z wielkim prawdopodobieństwem utracilibyście skalpy na rzecz Utahów.

- O, ci nie przyjdą! Pobili ich Nawahowie i my wkrótce ruszymy za nimi, aby także zdobyć dużo skalpów Utahów.

- Mylisz się!

- Przecież widzimy wodzów i wojowników Utahów jako waszych jeńców, a więc widocznie zostali zwyciężeni!

- Tych schwytaliśmy na nasz własny rachunek. Nawahowie jednakże zostali haniebnie pobici i uciekli; Utahowie ścigają ich i może jeszcze dziś pojawiają się nad Srebrnym Jeziorem.

- Uff? - zawołał Długie Ucho otwierając szeroko usta.

- Czy to możliwe? - pytał Wielki Niedźwiedź. - Czy ta biała Ciotka mówi prawdę?

- Tak - potwierdził Old Firehand. - Opowiemy wam wszystko, ale najpierw musimy się upewnić, że wrogowie nas nie zaskoczą. Należy się ich spodziewać lada chwila. Niechaj pięćdziesięciu wojowników Timbabaczów pojedzie natychmiast w dół do kanionu. Frank, Oroli, Davy, Jemmy, Bili i Uncle pojedą z nimi! W miejscu gdzie kanion zaczyna się zwężać, usadowicie się poza skałami. Dość tam wysoków i zagłębień, za którymi znajdziecie osłonę. Utahowie będą mocno napierać na Nawahów, aby razem z nimi dostać się do jeziora.

Macie przyjaciółom użyć pomocy i skoro tylko ujrzycie wrogów,

pchnąć do nas posłańca. Napójcie jednak przedtem konie i sami

przepluczcie gardła, bo tam w dole nie ma ani kropli wody. Wielki Niedźwiedź da wam mięsa.

Mięsa było dosyć; schło rozwieszane na rzemieniach między drzewami. Wody do picia dostarczały potoki, spływające z gór do jeziora. Wkrótce owych pięćdziesięciu ludzi z sześciu białymi stanęło w pogotowiu do wymarszu; prowadził ich Mały Niedźwiedź.

- -

Dolina Srebrnego Jeziora ciągnęła się z północy na południe, od półschodu i zachodu zupełnie niedostępna; od północy można się do niej było dostać tylko przez kanion i wąwóz, którym przyszli biali, podczas gdy ku południowi wody jeziora wylewały się w szczelinę, stanowiącą jego ujście. Stąd nie można się było spodziewać wroga;

raczej mogli nadejść zaprzyjaźnieni Nawahowie.

329

Kto by badał otoczenie Srebrnego Jeziora, musiałby dojść do przekonania, że jezioro to miało dawniej odpływ nie na południe, lecz na północ, do kanionu. Teraz jednak między jeziorem a kanionem leżało dość szerokie wzniesienie, podobne do grobli. Samorzutnie powstać nie mogło, a więc zostało sztucznie wzniesione. Ręce jednak, które tę pracę wykonały, rozpadły się już dawno w proch, bo na grobli rosły drzewa, których wiek sięgał co najmniej stu pięćdziesięciu lat.

Oddział wysłany przez Old Firehanda przejechał przez groblę do kanionu. Po trzech kwadransach przejście się rozeszło, ponieważ ściany skalne miały liczne

szczeliny nie tylko w górze, ale i w dole, więc zdawało się, że stoją na słupach tworzących krużganki, w których można się było ukryć.

- Tu się zatrzymamy! - rzekł Mały Niedźwiedź, jadący przodem z białymi. - Możemy się ukryć w otworach i jamach.

- A konie odprowadzimy z powrotem na pewną odległość - do-dał Droll - aby ich nie było stąd widać, bo łatwo może dojść do walki.

Wskazówki te wykonano, po czym biali i czerwonoskórzy ukryli się w zagłębieniach po obu stronach kanionu; po niedługim wy-czekiwaniu usłyszeli tętent znużonego konia, a wkrótce potem ukazał się jeden jeździec - Nawaho, którego wierzchowiec zaledwie mógł biec jeszcze. Człowiek ten był widocznie ranny, bo odzież miał okrwawioną. Mimo to rękami i nogami ustawicznie pobudzał konia do nowych wysiłków.

Młody Niedźwiedź opuścił kryjówkę i wyszedł na drogę. Nawaho go zobaczył, wstrzymał konia i zawołał:

- Uff! Mój młody brat! Czy oczekiwani wojownicy Nawahów już nadeszli?

- Jeszcze nie.

- Więc jesteśmy zgubieni! Wielki Duch opuścił nas i przeniósł się do tych psów, Utahów. Napadliśmy na nich w Dolinie Jeleni, ale zostaliśmy odparci. Umknęliśmy, a Utahowie ruszyli za nami i dziś rano natknęli się na nowy, wielki oddział; teraz są czterokrotnie silniejsi niż my i gonią nas co koń wyskoczy.

- Ufn Więc rozbito was?

- Prawie. O dziesięć strzałów stąd toczy się walka. Mnie wysłano, abym sprowadził pomoc znad jeziora, bo myśleliśmy, że oczekiwani wojownicy już nadeszli. Teraz jednak jesteśmy zgubieni!

- Jeszcze nie. Zejdź z konia i wypocznij tutaj. Pomoc zaraz nadejdzie.

Należało ciężko udręczonym Nawahom nieść co prędzej pomoc-

330

1

pchnąwszy więc posłańca nad Srebrne Jezioro, Nawaha zaś pozostawiając przy koniach, ruszono szybko w stronę placu boju.

Tak. Nawahowie byli w ciężkiej opresji! Konie im wystrzelano. Za ich ciałami znaleźli jedyną osłonę, bo ściany kanionu były tak gładkie,

że nie dawały schronienia. Widocznie zabrakło im pocisków, gdyż strzelali jedynie wtedy, gdy byli pewni celu; kilku najodważniejszych

biegało dookoła, zbierając strzały Utahów. Tych ostatnich było takie mnóstwo, że chociaż stali w kilku szeregach jedni za drugimi, wypełnili

całą szerokość kanionu; walczyli pieszo, pozostawiając konie w tyle, aby ich nie wybito.

Wycie na chwilę zamilkło, ujrzano bowiem nadchodzącą pomoc. Biali, kiedy ich kule mogły już Utahów dosięgnąć, stanęli zupełnie odsłonięci na środku kanionu, przyłożyli karabiny i wypalili. Wycie Utahów było dowodem, że kule nie chybiły. Jeszcze sześć strzałów i ponowne wycie, po czym Timbabaczowie pochylili się ku ziemi i poczołgali naprzód, aby również dojść do głosu.

Humpy-Bill był zdania, że biali nie powinni naraz strzelać, bo w czasie ładowania broni następowała za długa przerwa. Postanowiono więc, że dwu będzie ładować, a dwu strzelać. Wkrótce okazało się, czego może dokazać sześciu dzielnych strzelców z dobrymi karabinami; każdy bowiem strzał powalał jednego wroga. Utahowie cofnęli się, a pozostali tylko ci, którzy posiadali strzelby; kule ich jednak nie dosięgały nieprzyjaciół, a bliżej podejść nie śmieli. Wtedy Hub-bie-Frank zawołał do Małego Niedźwiedzia.

- My w sześciu zatrzymamy ich! Nawahowie niech się cofną poza nas. Powiedz im to!

Syn wodza posłuchał wezwania, czerwonoskórzy zerwali się i pobiegli w tył, aby się usadowić poza białymi. Dopiero teraz widać było, jak bardzo Nawahowie ucierpieli: liczyli jeszcze najwyżej sześćdziesięciu ludzi, lecz więcej niż

połowa z nich nie miała koni. Szczęściem, mogli się cofnąć bez przeszkód, bo i Timbabaczowie trzymali Utahów w szachu.

Teraz wybawcy Nawahów rozpoczęli powolny odwrót, a Utahowie ruszyli za nimi, oszczędzając strzał i podtrzymując walkę tylko bronią palną. Tak krok za krokiem dotarli w pobliże miejsca, gdzie się poprzednio ukrywali. Biali radzili schronić się szybko do jam i zagłębień. Nastąpił nagły odwrót i ci, na których dotąd tak silnie napierano, znikli. Znaleźli się w miejscu bezpiecznym, bo mieli osłonę przed wszelkiego rodzaju strzałami, podczas gdy Utahowie nie mogli się ukryć. Gdyby teraz nadeszła spodziewana pomoc, to spokojnie można byłoby oczekiwać wyniku dalszej walki.

331

A pomoc była już w drodze. Old Firehand opowiedział krótko

Wielkiemu Niedźwiedziowi, co zaszło. Wódz zaniepokojony odrzekł

- Ostrzegałem Nawahów i radziłem im poczekać, aż zbiorą się wszyscy wojownicy, lecz byli przekonani, że Utahowie także się jeszcze

nie połączyli, i chcieli znieść każdy oddział z osobna. Toteż spotkał kłopot, który gotowali swym wrogom. Nawet gdyby im się udało umknąć w góry, to liczba ścigających będzie się ciągle zwiększać i łatwo może

się zdarzyć, że tutaj nad jeziorem stanie do tysiąca Utahów.

- A co wtedy będzie z tobą? Czy Utahowie będą cię uważać nieprzyjaciela?

- Tak.

- To grozi ci największe niebezpieczeństwo!

- Nie.

- Czy dlatego, że masz tu Timbabaczów i oczekujesz jesa innych Nawahów?

- Nie. Polegam jedynie na samym sobie.

- Nie rozumiem cię!

- Nie obawiam się nawet tysiąca Utahów. Podniosę tylko rękę a będą zgubieni; w ciągu jednej krótkiej chwili będą wszyscy zabici

- Hm! Wszyscy?

- Czy nie wierzysz? Tak, ty tego nie możesz pojąć. Wy, blade twarze, jesteście bardzo mądrymi ludźmi, ale żaden z was nie wpadłby na taką myśl.

- Zobaczymy! Tego nie możesz dokazać ani nożem, ani strzelbą, lecz tylko za pomocą żywiołów. Za pomocą powietrza, a więc burzy? Nie! Ogniem? Także nie. Zatem tylko za pomocą wody! Gdzie masz taki ogrom wody, abyś mógł zabić tyle ludzi? W jeziorze. A więc jezioro musi wylać swe fale do kanionu. Czy to możliwe? Przecież leży między nimi wysoka i silna grobla! No, ta grobla nie wznosi się tutaj od wieków; została zbudowana, i to tak, że można ją nagle otworzyć i wyschły kanion w okamgnieniu zamienić w koryto rwącego strumienia. Czy zgadłem?

Mimo spokoju, jaki Indianin zachowuje w każdym położeniu, Wielki Niedźwiedź zerwał się i zawołał:

- Uff!... Czy jesteś wszechwiedzącym?

- Nie, tylko zastanawiam się.

- Zgadłeś, rzeczywiście zgadłeś! Ale jak dostąpiłeś tej tajemnicy

- Drogą spadku.

- A jak otwiera się groblę?

- Jeśli mi pozwolisz ją zbadać, to bardzo prędko odpowiem na twoje pytanie.

- Nie, nie mogę ci na to pozwolić! Czy możesz jednak zgadnąć, w jakim celu zbudowano ją?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, dla obrony. Zdobywcy okolic południowych przychodzili z północy, a ten kanion był ulubioną drogą zaborców. Zbudowano więc groblę, aby im drogę zamknąć i móc nagle wodę wypuścić.

- A drugi powód?

- Skarb.

- Skarb?! - zapytał wódz cofając się. - Co wiesz o nim?

- Nic, ale domyślałam się wiele. Widzę jezioro, jego brzegi, otoczenie i zastanawiam się; zanim powstała grobla, nie było jeziora, tylko głęboka dolina, przez którą płynęły do kanionu potoki. Mieszkał tu naród bogaty. Długo czasu walczył z napierającymi zdobywcami; wreszcie wodzowie zrozumieli, że muszą

ustąpić, uciekać, może tylko na pewien czas. Zakopali więc kosztowności i święte naczynia w dolinie i zbudowali tę groblę, tak że powstało wielkie jezioro, którego fale miały być niezwykłym, niemy strażnikiem skarbu.

- Milcz, milcz! - zawołał Wielki Niedźwiedź przerażony. - Nie mówmy o skarbie! Tak, mogą tamę otworzyć i zatopić Utahów, jeśli się znajdą w kanionie. Czy mam to uczynić, gdy przyjdą?

- Na miłość boską, nie! Przecież mamy zakładników. Są to najznakomitsi wodzowie Utahów i ci, aby ich ratować, zgodzą się na każdy warunek.

Nakarmiwszy jeńców, przewieziono ich na wniosek Wielkiego Niedźwiedzia na wyspę. Old Firehand, Old Shatterhand i Winnetou udali się tam również, gdyż ciekawiło ich wnętrze budowli.

Górna jej część składała się tylko z parteru, przedzielonego murem na dwie części. W jednej było palenisko, druga zaś stanowiła izbę mieszkalną. Była nadzwyczaj ubogo urządzona; mata do zawieszania i prymitywne łożo - to wszystko.

- Tu mają jeńcy pozostać? - spytał Old Firehand.

- Nie, bo nie bylibyśmy ich dość pewni. Znajdzie się lepsze miejsce - odpowiedział Wielki Niedźwiedź.

Odsunął łożo na bok, składało się z rusztowania i rozciągniętych na nim mat z sitowia i koców. Pod łóżkiem odsłonił się czworokątny otwór; pień drzewa, użyty jako drabina, prowadził w dół. Wódz i Old Shatterhand zeszli do lochu, a reszta miała spuszczać jeńców po jednym.

Przez otwór dostawało się -tutaj' niewiele światła. Ciemnica,

333

większa niż izba mieszkalna, rozszerzona była w kierunku otworu. Przeciwnie ścianę zamykał mur z cegieł; ani drzwi, ani jakie-gokolwiek otworu. Kiedy westman zapukał w cienki mur, zabrzmiało pusto; za nim więc, pod izbą z paleniskiem, leżała druga piwnica, choć nie prowadziło do niej żadne wejście. Utahów spuszczone w dół i położono obok siebie. Old Shatterhand, jakby mimo woli, stąpnął bardzo silnie: podłoga piwnicy za-dźwięczała również pusto. Czyżby tam w dole na dnie wyspy leżały ukryte owe legendarne skarby? Na dalsze poszukiwania nie miał czasu, bo spuszczone już ostatniego z jeńców i musiał wrócić na górę.

Kiedy przypłynęli do brzegu, ukazał się na spienionym koniu - posłaniec, którego pchnięto po pomoc. Wszyscy więc chwycili za broń - i pośpieszyli do koni. Ellen musiała naturalnie pozostać, a z nią dla ochrony ojciec. Wielki Niedźwiedź poradził mu, aby popłynął z córką na wyspę, bo tam będzie bezpieczniej. Oprócz tego wysłano jeszcze silną straż do wąwozu, przez który biali przybyli nad jezioro; wystarczyła zupełnie do osłonięcia tyłów.

Ruszono galopem i w kwadrans odbyto całą drogę. Słychać było strzały. Zeskoczyli więc z koni i rozdzielili się na dwie grupy, - z których jedna pobiegła na prawo, a druga na lewo, nie zauważeni'-przez Utahów, dostali się do rozpadlin skalnych, służących im przy-jacjom za kryjówkę.

Utahowie sądzili, że ciągle jeszcze walczą ze szczupłą garst Zdawało się im, że już dawno mogli zakończyć rozprawę przez szy"' napad, i chcieli teraz ten błąd naprawić. Rozległo się wycie, jakby wypuszczono stado dzikich zwierząt. Utahowie ruszyli naprzód. Przy-jęto ich strzałami, po dwóch minutach cofnęli się, pozostawiając zabitych i rannych.

Old Shatterhand oddał również kilka strzałów, mierzył jednak tak, aby kule jego jedynie raniły Utahów. Teraz ujrzał, że Timbabaczowie wysunęli się naprzód, aby poległych oskalpować; wódz ich znajdował się z nimi.

- Stać! - krzyknął westman gromkim głosem. - Pozostawcie tych ludzi w spokoju!

- Dlaczego? Ich skalpy należą do nas! - odpowiedział Długie Ucho, p-zy czym wyciągnął nóż i schylił się, aby jednemu z rannych ściągnąć skórę z głowy. W tej samej chwili Old Shatterhand stanął przy nim; przyłożywszy mu rewolwer do skroni, zawołał groźnie:

Zastrzelę cię, jeśli nie zostawisz jeńców!

334

Długie Ucho podniósł się i odezwał tonem przyjacielskiej wymó-wki:

- Co możesz mieć przeciwko temu? Utahowie byliby nas także oskalpowali!
- Gdybym był z nimi, również nie pozwoliłbym na to. Nie zniosę tego!
- Nie rozumiem cię! - odrzekł Indianin zmieszany. - Pokona-nego nieprzyjaciela trzeba przecież oskalpować!
- Tu leży ich wielu! Czy zwyciężyłeś wszystkich?

-- Nie. Jednego chyba trafiłem.

- Pokaż mi więc zabitego, w którym tkwi kula twojego karabinu;

wtedy możesz go oskalpować, ale nie przedzej, aż mi go pokażesz!

A teraz precz!

Wódz mruczając cofnął się ze swoimi do kryjówki.

W dole, gdzie zgromadzili się odparci Utahowie. powstał krzyk. Ponieważ westman stał dotąd między Timbabaczami, nie mogli go dokładnie widzieć i teraz dopiero poznali. Rozległy się okrzyki przerażenia:

- Old Shatterhand! Zaczarowana flinta, czarodziejska strzelba!

Westman podszedł powoli ku nim i zawołał:

- Zabierzcie swoich zabitych i rannych!

Na to wystąpił jeden z dowódców i zapytał:

- Będziecie do nas strzelać?

- Nie! - Po czym odwróciwszy się. wrócił do swej kryjówki' Indianin uważa wd wielką hańbę opuścić zabitych lub rannych.

Utahowie wysiali - 'ec riini próbę dwóch ze swoich ludzi którzy, -bhzy—Y „t DowoS„ podn?r / ziemi -ednego ? rannych i odnieśli na bok pniem ;•• ‘”-ocili /'ihrali drugiego Kiedy i tera? nie podjęto przeć”1 nim - ••;)i-h mepi<. rażnych kroków, nabrali ufności i przyszło ic? >wiecfi

Old Sha!""1'1'""!- wywedł 7 kryjówki i zawołał:

Pozosliuu-ie' Nie sianie się wam nit ztogo! - Zbliżył się do nich i zapytał: - Ilu woażuwUicie wraz/

- Czterech.

- Kióry z nich najznakomitszy?

- Kai-unune.

- Powiedzcie mu. że chcę 7 nim pomówić' Miprbai 'ył-w-ie połowę drogi, a ja druga, spotkamy się w srudku. Brun puzusici-im-tu na miejscu, gdzie teraz stoimy.

- Przyjdzie i przyprowadzi leszcze trzech innych dowódców. - Utahowie przenieśli JUpomedz woUza.

Wkrótce zbliżyli się czterej Utahowie z jednej strony, a z drugiej wyruszył Old Shatterhand z Old Firehandem i Winnetou.

Powitali się poważnym skinieniem głowy i usiedli na ziemi na-przeciw siebie.

Duma nie pozwalała Indianom rozpocząć rozmowy. Przez dłuższy czas obie partie patrzyły na siebie wzajemnie, aż wreszcie najstarszy z czerwonoskórych, Kai-unune, Huczący Grzmot, straciwszy cierpliwość, postanowił przemówić. Podniósł się więc, a przybrawszy pełną godności postawę, zaczął:

- Kiedy jeszcze ziemia dookoła należała do synów Wielkiego Manitou i nie było u nas żadnej bladej twarzy, wtedy...

- Wtedy mogliście wygłaszać mowy takie długie, jak wam się podobało! - przerwał Old Shatterhand. - Blade twarze jednak lubią mówić krótko! Chcesz mówić o tych czasach, kiedy jeszcze nie było tutaj bladych twarzy, my zaś mamy mówić o dniu dzisiejszym. A ponieważ ja kazałem cię zawołać, więc ja też pierwszy będę mówił.

Powiedziałem. Howgh!

Była to ostra nauczka, toteż Utah zamilkł, a on ciągnął dalej:

- Jestem Old Shatterhand, to zaś są Old Firehand i Winnetou, wódz Apaczów.

Wiesz, że byliśmy zawsze przyjaciółmi czerwonych mężów. Dlaczego ścigaliście nas?

- Bo jesteście przyjaciółmi naszych wrogów.

- To nieprawda! Wielki Wilk pojmał nas, mimo że nie uczyniliś-my mu nic złego. Aby ratować życie, musieliśmy się bronić przed Utahami.

- Czy nie zabiliście w Lesie Wodnym Starego Wodza, a teraz czy nie łączycie się z Nawahami i Timbabaczami, którzy są naszymi wrogami?

- To się stało przypadkiem. Szliśmy nad Srebrne Jezioro i spot-kaliśmy ich tutaj. Słyszeliśmy, że między wami i nimi ma dojść do walki, i pośpieszyliśmy, aby sprowadzić między was pokój.

- My chcemy zemsty, a nie pokoju!

- Zostaliście ciężko obrażeni, to wiemy. Ale niesłusznie to z wa-szej strony mścić się na niewinnych. Gdyby od was zależało, to byłibyśmy już rano umarli przy palu męczeńskim, jak tamte blade twarze w Dolinie Jeleni.

- Co wiecie o tym?

- Wszystko. Pogrzebaliśmy ich zwłoki. Byliśmy pośrodku was.

Słyszeliśmy, co Utahowie mówili, i widzieliśmy, co robili. Stałem z towarzyszami pod drzewem, kiedy Nawahowie przyszli, i widziałem, jak ich odpędziliście, ł

- To niemożliwe! To nieprawda!

336

- Ty wiesz, że ja nie kłamię. Zapytaj wodzów Utahów, którzy

byli przy tym.

- Jak mam ich zapytać, kiedy zniknęli? Wielki Duch zabrał ich do siebie.

- Nie. Wielki Duch nie chce nic wiedzieć o takich wiarołomcach i zdrajcach. On wydał ich w nasze ręce.

- Twój język jest fałszywy, bo przemawia w taki sposób, aby na nas wymusić pokój.

- Tak, chcę i wymuszę na was pokój, ale mówię prawdę. Kiedyś-my wieczorem byli u was w Dolinie Jeleni, pojмалиśmy trzech wodzów. Udowodnię ci, że mówię prawdę. Co to jest?

Wyciągnął z kieszeni piaski rzemień, wysadzony guzikami, wycię-tymi ze skorupy muszli, i podsunął pod oczy Huczącego Grzmotu.

- Uff! - zawołał Indianin przerażony. - To wampun Żółtego Słońca!

- A to? - wyciągnął drugi rzemień.

- Wampun wodza Cztery Bizony.

- A ten trzeci wampun?

Kiedy Old Shatterhand pokazał trzeci rzemień, staremu słowa ugrzęzły w gardle; z gestem przerażenia wyjąkał w oderwanych zda-niach:

- Żaden wojownik nie odda swego wampunu; to święte ponad wszystko; kto ma wampun drugiego, ten go zabił lub pojmał. Czy trzej wodzowie żyją jeszcze?

- Tak. Znajdują się w naszych rękach.

- Co chcesz z nimi uczynić?

- Życie za życie, krew za krew! Zawrzyjcie pokój z Nawahami i Timbabaczami, a wydamy wam wodzów!

- My również mamy jeńców; wymieńmy ich, wojownika za wojownika.

- Czy uważasz mnie za niedorostka, który nie wie, iż wodza wymienia się przynajmniej za trzydziestu wojowników? Zapowiadam ci, że jeśli nie zawrzecie z nami pokoju, to tylko niewielu z was zobaczy rodzinne wigwamy!

- Mężowi nie przystoi gorąca krew! - odparł Huczący Grzmot.

- Odejdziemy i zastanowimy się, co należy czynić. Kto zechce mówić, wy czy my, niechaj da strzał i potem głośno zawoła. Powiedziałem. Howgh! - Powstał, skinął lekko głową i oddalił się, a pozostali poszli za jego przykładem.

Kiedy Winnetou i Old Shatterhand powrócili do reszty towarzyst-wa, Długie Ucho przyjął ich zapytaniem:

22 - Skarb...

337

- Utahów było czterech, a was poszło tylko trzech! Jestem również wodzem i należę do rady tak samo jak wy! ;
- Dostyc było niepotrzebnej gadaniny i bez czwartego - odparł niechętnie OSD Firehand.

Długie Ucho umilkł, ale gdyby nie miał twarzy pomazanej farbami, można by było poznać, jak go to dotknęło. W ogóle nie dopisywał mu humor: Droll go zblamował, a on nie mógł okazać gniewu; potem Old Shatterhand obraził go ciężko wobec jego ludzi, nie pozwalając mu oskalpować zabitych wrogów; teraz zaś Old-Firehand dopełnił miary. Wódz był tchórzem: nie miał dość odwagi, by otwarcie wystąpić przeciw nim, ale gniew, który tłumiał, zapadł mu tym mocniej w sercu. -

Wkrótce poczęło się zmierzchać i nastąpiła noc. Wprawdzie nie było obawy, aby Utahowie odważyli się na napad, ale mimo to należało wziąć środki ostrożności. Długie Ucho zgłosił dobrowolnie, że obejmie straż ze swymi ludźmi. Linie, idącą w poprzek kanionu, tworzyło wraz z wodzem Tim-babaczów pięciu ludzi, a Długie Ucho znajdował się na skraju prawego skrzydła. Gniew wrzał w nim ustawicznie; pragnął pokazać białym, że jest tuzem, bez którego nie mogą się obejść. A gdyby tak teraz Utahowie knuli coś, a jemu udało się wyszpiegować? Ta myśl nie dawała mu spokoju; począł czołgać się przed siebie coraz dalej. A'ę nie poszło łatwo. Kamienie nie leżały mocno i poruszały się często pod ciężarem jego długich członków. Dlatego musiał raczej całą uwagę zwrócić pod niż przed siebie. Znowu potoczył się jakiś kamień - a obok wychyliło się nagle coś ciemnego; dwie silne ręce chwyciły go jak obcęgami za gardło, dwie inne przycisnęły mu ramiona do ciała; stracił przytomność.

Kiedy przyszedł do siebie, leżał pomiędzy dwoma ludźmi, którzy przyłożyli mu ostrza nożów do obnażonej piersi; członki miał skrępowane, w ustach knebel. Przerażony, wykonał ruch, który zanurzył trzeci człowiek, siedzący u jego głowy.

Ten odezwał się cicho:

- Jestem Huczący Grzmot. Jeśli Długie Ucho będzie mądry, nie stanie mu się nic złego. Niechaj da mi znać skinieniem głowy, czy będzie mówił po cichu, jeśli mu wyjmę knebel.

Timbabacz skinął głową. Grzmot wyjął mu knebel.

.338

- Jeśli powiesz jedno głośne słowo - ostrzegł - umrzesz. Jeśli zaś połączysz się ze mną, to otrzymasz część naszego łupu. Odpowiadaj!

Łup! - Na dźwięk tego słowa przyszła Timbabaczowi wielka myśl. Podszuchał był rozmowę Wielkiego i Małego Niedźwiedzia i dotąd jeszcze brzmiało mu w uszach każde słowo. Łup! Tak! Tam był łup, łup, jakiego jeszcze nigdy nie dzielono po walce! W jednej chwili oddał się sprawie Utahów ciałem i duszą.

- Nienawidzę i gardzę tymi białymi - rzekł. - Jeśli mi pomożesz, to zniszczymy ich i obu Niedźwiedzi. Błede twarze mnie obraziły! Muszę wytoczyć ich krew!

- Uff! Będziesz mógł się zemścić! Niechaj mój brat powie, czy blade twarze mają naprawdę w swoich rękach naszych wodzów?

- Tak. Widziałem ich.

- Te psy są chyba w przymierzu z diabłem! Gdzie są wodzowie Utahów?

- W domu na wyspie wśród jeziora. Leżą skrępowani. Strzeże ich jedna blade twarz i jego córka.

- A ilu wojowników jest na brzegu?

- Zaledwie kilku białych, strzegą drugiego dostępu do Srebrnego Jeziora.

- Uff! Więc droga przez ten kanion nie jest jedyną? Jest jeszcze druga?

- Tak. Jeśli chcesz, to cię poprowadzę. Nieco dalej w dół między dwoma słupami jest szczelina, którą można się dostać do głębokiego kotła; stamtąd prowadzi wąwóz do jeziora.

- Ile czasu potrzeba, aby tą drogą dostać się do Srebrnego Jeziora?
 - Trzech godzin.
 - To dużo, bardzo dużo!
 - Ale nagroda tym większa; w ręce twoje wpadną wszyscy wrogowie i... - przerwał nagle.
 - L..? Mów dalej!
 - I znajdziesz łup, jakiego nikt jeszcze nie zdobył!
 - Łup? U Nawahów? Czy myślisz: konie i broń?
 - Mówię nie o Nawahach, lecz o obu Niedźwiedziach i Srebrnym Jeziorze, na dzień którego schowano ogromne bogactwa.
 - Uff! Kto ci o tym mówił?
 - Słyszałem to od obu Niedźwiedzi. Wieczorem leżałem w ciem-ności pod drzewami, gdy Niedźwiedzie nadeszli i nie spostrzegłszy mnie, rozmawiali o skarbach.
 - Jak dostały się one na dno jeziora?
 - Ukrył je lud, który mieszkał tutaj przed dawnymi czasy i został pokonany. Tam gdzie teraz jest jezioro, leżała dawniej sucha dolina. Ów naród zbudował wieżę, której szczyt tworzy obecnie wyspę. Od tej wieży prowadził przez dolinę silny tunel, kończący się tam, gdzie teraz zaczyna się kanion. Potem wzniesiono mocną i szeroką groblę, aby woda nie mogła odpływać na północ; dolina zapełniła się wodą i zamieniła w jezioro, tworząc ze szczytu wieży wyspę. Wylot tunelu zakryto kamieniami.
 - I to wszystko ma być prawdą?
 - Najzupełniej są. Przekonałem się o tym, bo odwaliłem po kryjomu kamienie i znalazłem ów korytarz. Tam gdzie się zaczyna, leżą pochodnie, potrzebne do oświetlenia tunelu. Prowadzi po dnie jeziora ku wieży, w której na dolnym piętrze leżą skarby. Korytarz służy również do spuszczenia wody do kanionu celem zniszczenia wrogów, którzy by się tam znaleźli. Otwiera się w jednym miejscu, a woda wylewa się do kanionu i wszystko, co w nim jest, musi zatonać.
 - Jeśli rzeczywiście wszystko tak jest, jak mówisz, to biali są zgubieni. Pokaże się, czy jesteś uczciwym. Czy poprowadzisz nas teraz do jeziora?
 - Tak. Jestem gotów. Lecz jaką część łupu otrzymam?
 - To postanowię, skoro się przekonam, że powiedziałeś prawdę. Teraz rozwiążę cię i każę dać konia. Przy najmniejszej próbie ucieczki - zginiesz!
- Wódz wydał cichym głosem rozkaz i wkrótce wszyscy Utahowie siedzieli już w siodłach i wracali kanionem, naturalnie z największą ostrożnością, aby nie wywołać szmeru.
- Jazda nocą była jeszcze uciążliwsza niż za dnia, ale Indianie mieli prawdziwie kocie oczy, a konie orientowały się doskonale. Jechano w górę pochyłości do drugiej strony kotła, a potem do wąwozu, dokładnie tą samą drogą, która jechali biali.
- Minęły trzy godziny, zanim Utahowie dotarli do miejsca, gdzie zaczynały się drzewa. Tutaj Długie Ucho zatrzymał się i rzekł:
- Jesteśmy przy tunelu! Wylot znajduje się o kilka tylko kroków. Otworzymy go, odrzucając kamienie. W ten sposób dostaniemy się do wieży i wyjdziemy na wyspę. Tam jest zawsze kilka canoe; prze-płyniemy na brzeg i znajdziemy się na tyłach nieprzyjaciół. Moi Timbabaczowie staną po waszej stronie, jeśli im nakażę.
 - Dobrze! Połowa Utahów zostanie tutaj, połowa pójdzie nami do tunelu.

340

Zsiedli z koni. Długie Ucho poprowadził ich na miejsce, gdzie do skały przytykała kupa kamieni. Kiedy je odrzucono, ukazał się ciemny otwór, mający pięć łokci szerokości, a trzy wysokości. Wodzowie weszli do środka i macając dokoła siebie, znaleźli zapas pochodni, sporządzonych z łożu jeleniego i bizonowego. Przy pomocy „punksa” rozniecono światło i wtargnięto do tunelu. Powietrze było stęchłe, ale nie wilgotne.

Po pewnym czasie dotarli do obszernej sali, gdzie przy ścianach ułożone były liczne skrzynie, osłonięte rogożami.

- To jest najniższe piętro wieży, a więc wyspy - odezwał się Długie Ucho. - W tych skrzyniach zapewne leżą skarby, o których mówiłem. Czy zobaczymy?

- Tak! - skinął Huczący Grzmot. - Ale nie mitrężmy długo, bo musimy się dostać na wyspę. Później będzie czas na skarby!

Kiedy podniesiono rogożę z jednej skrzyni, ujrzano w świetle pochodni figurę bożka ze ziota. Posążek miał wartość rozległych włości. Opuszczono rogożę, po czym ruszono dalej.

W górę prowadziły wąskie stopnie, dlatego czerwonoskórzy musieliby iść gęsiego. Na przedzie postępował Długie Ucho z pochodnią w ręce; jeszcze nie doszedł do ostatniego stopnia piętra, kiedy pod sobą usłyszał wołanie, na które odpowiedziały liczne okrzyki trwogi. Stanął więc i obejrzał się, a to, co zobaczył, mogło go przerazić. Do tunelu, w którym znajdowało się jeszcze wielu Utahów, wdzierała się woda. Pochodnie rzucały promienie światła na szumiące fale, sięgające ludziom już do pasa, a które wznosiły się w górę z przerażającą szybkością. Ci, którzy znajdowali się jeszcze w tunelu, byli straceni, bo woda zalała ich natychmiast; po chwili zguba zawisała nad tymi, którzy cisnęli się naprzód, stracając wzajem. Odrzucono pochodnie, aby uwolnić ręce do walki bratobójczej. Toteż żadnemu nie udało się stanąć na stopniach. Wody przybywało tak szybko, że w minutę po pierwszym okrzyku sięgała już czerwonoskórzym do pasa; próbowali pływać, walcząc ze śmiercią i wręcz ze sobą - daremnie! Zaledwie sześciu znajdowało się tak wysoko, że mogli pomyśleć o ucieczce; wśród nich był Huczący Grzmot i Długie Ucho, a mieli jedną jedyną pochodnię, którą trzymał idący przodem Timbabacz. Wąski otwór w powale prowadził na dalsze piętro, skąd szły w górę takie same stopnie.

- Daj mi światła i puść naprzód! - krzyknął Grzmot do Timbabacza, chwytając za pochodnię, ale Długie Ucho wzbraniał się wypuścić ją z ręki. Krótka niesnaska trwała jednak dość długo na to, aby woda podeszła w górę; przedostała się przez otwór na dalsze

341

piętro. Tu było ciasniej niż na dole, toteż woda wzbierała dziesięćkroć szybciej.

Długie Ucho jednakże był młodszy i silniejszy od Huczącego Grzmotu, wydarł mu się więc z ramion i silnym uderzeniem powalił go na ziemię. W tej samej chwili rzucili się nań inni Utahowie; broni nie miał żadnej, a tylko jedną rękę wolną. Już Huczący Grzmot podniósł pięść, aby go powalić, gdy wtem Długie Ucho zawołał:

- Stać, inaczej rzucę pochodnię do wody, a wtedy wszyscy zginiecie!

To poskutkowało; czerwonoskórzy zrozumieli, że mogą się tylko wtedy uratować, gdy zachowają światło. Woda sięgała już do pasa.

- Więc zatrzymaj pochodnię i idź przodem, ty psie! - odpowiedział Huczący Grzmot. - Ale potem zapłacisz mi za to!

Timbabacz stał już na schodach i szedł dalej; znowu przez wąski otwór dostał się na wyższe piętro. Stary wódz wypowiedział groźbę zupełnie poważnie. Długie Ucho zdawał sobie z tego sprawę; kiedy przecisnął się przez otwór, stanął i spojrzał za siebie. Poza nim ukazała się głowa Huczącego Grzmotu.

- Nazwałś mnie psem i chcesz się zemścić! - zawołał do niego.

- Ty sam jesteś psem i zginiesz jak pies. Ruszaj do wody!

Wymierzył mu nogą cios w twarz. Stary runął i zniknął w otworze.

W chwilę później wystawił głowę następny Utah, aby również zniknąć. Długie Ucho dyszał z trwogi i wysiłku, ale po twarzy jego przebiegł wyraz dzikiej radości. Nagle z ciemnego otworu wysunęło się potężne ramię i ręka jak z żelaza chwyciła za nogę Timbabacza, który ze zgrozą poczuł, że się chwieje, a zaraz potem zabłysła w otworze wykrzywiona wściekłością twarz Wielkiego Wilka.

Rozpacz jednak dała Długiemu Uchu siły olbrzymia. Ze straszliwą mocą uderzył przeciwnika w oczy płonąca pochodnią. Wielki Wilk zawył z bólu i chwycił się obu rękami za głowę, a w tej samej chwili dostał drugie, nieubłagane pchnięcie głownią; potoczył się i spadł w bełkocącą pod nim falę, która wcisnęła się już na następne piętro.

Długie Ucho jedyny pozostał przy życiu. Teraz szedł jeszcze kilka piętér wyżej, ale woda dosięgała go z tą samą szybkością. Wtem poczuł powietrze daleko czystsze. Wyjście się zacieśniło i zabrakło schodów; jednak ponacinany drąg, oparty o mur, służył za drabinę.

Długie Ucho oparł już nogę o nacięcie, gdy usłyszał ponad sobą:

- Stój! Pozostań w dole, inaczej zastrzelę cię! Utahowie chcieli nas zgubić; teraz sami zginęli, a ty umrzesz jako ostatni z nich!

Był to głos Wielkiego Niedźwiedzia. Timbabacz poznał i od-powiedział dygocąc z trwogi:

342

Jam nie Utah! Jam twój przyjaciel, wódz Timbabaczów.

Ach, Długie Ucho! Zasłużyłeś na śmierć, bo jesteś odstępcą, zdrajcą!

- Nie, nie! Mylisz się!

- Wykradłeś mi tajemnicę i zdradziłeś ją Utahom! Teraz musisz zginać!

- Niczego nie zdradziłem! - zapewniał czerwonoskóry; woda sięgała mu już po kolana.

- Nie kłam!

- Puść mnie! Pomyśl, że byłem twoim przyjacielem!

- Nie! Pozostaniesz w dole!

Wtedy odezwał się Old Firehand:

- - Puść go! Już dość okrucieństwa! On wyzna winę!

- Tak, wyznam, powiem wam wszystko, wszystko! - prosił.

Woda sięgała mu do pasa.

- Dobrze! Daruję ci życie! Wychodź teraz!

Czerwonoskóry rzucił do wody pochodnię, aby mieć obie ręce swobodne przy wspinaniu się, i wyszedł na górę. Stał w tej samej izbie budynku, wznoszącego się na wyspie, w której było ognisko. Płonęło przed otwartymi drzwiami; przy padającym od niego blasku ujrzał Wielkiego Niedźwiedzia, Old Firehanda, Old Shatterhanda. Wyczerpany drogą i ciągłym napięciem, osunął się na ziemię; prędko jednak się zerwał, aby wypaść z izby.

- Precz, precz - krzyczał. - Woda dojdzie aż tutaj, zanim będziemy się mogli uratować!

- Pozostań! - odpowiedział Wielki Niedźwiedź. - Nie masz się czego obawiać; woda nie może wewnątrz wyspy podnieść się wyżej niż na zewnątrz. Jesteś uratowany. Teraz opowiedz, jak zszedłeś ze swego stanowiska i jak się tutaj dostałeś!

Upłynęła może godzina od wystawienia placówek, kiedy Old Firehand wyszedł obejrzeć strażę. Miejsce, gdzie miał stać Długie Ucho, było puste. Od najbliższego Timbabacza usłyszał, że wódz si? oddalił do Utahów i dotąd nie wrócił.

- Jak dawno odszedł?

- Prawie przed godziną.

- Musiało mu się przydarzyć jakieś nieszczęście! Pójdę zobaczyć!

Poczołgał się tam, gdzie poprzednio widział nieprzyjacielskie strażę; nie było ich. Posunął się dalej. Nigdzie nie było widać żywej duszy.

343

To napełniło go obawą; przeszedł szybko znaczną przestrzeń kanionuJ jednak nie napotkał nigdzie wrogów; Utahowie zniknęli. Wypadek ten- nie był ani trudny do zrozumienia, ani straszny, lecz z nimi zniknął- Długie Ucho! -

- Musieli go schwytać - odezwał się Wielki Niedźwiedź, gdy-

Old Firehand zdał relację, wróciwszy. - Odważył się na zbyt wiele, • teraz już po nim.

- A po nas również - odparł Old Firehand.

- Jak to?

- Zastanawia mnie, że się oddalili. Musieli mieć jakiś niezwykły powód. Ta okoliczność, że w ręce ich dostał się wódz, nie może być przyczyną nieoczekiwanego odwrotu; musiał zajść jakiś zupełnie inny powód, który jednak pozostaje w związku z wodzem.

- Jakaż to może być przyczyna?

- Hm! Nie dowierzam Długiemu Uchu! Nie jest to człowiek, na

którego zdać się można. Czy zna dokładnie tutejszą okolicę?

- Tak.

- A drogę prowadzącą przez kocioł skalny do jeziora?

- Również. Był tam ze mną.

- Więc musimy natychmiast ruszyć nad jezioro!

- Dlaczego?

- Bo prawdopodobnie zdradził tę drogę Utahom! Mogę się

mylić, wiem jednak, że Utahowie odeszli przed godziną i w ciągu ;
dwóch godzin mogą się zjawić nad jeziorem.

- Twarz Długiego Ucha nie jest dobra - dodał Winnetou.,

- Niechaj moi bracia wracają prędko nad jezioro, inaczej Utahowie , będą tam wcześniej od nas i zabiorą do niewoli Butlera i jego córkę. `

Dosiedli koni i ruszyli kanionem tak szybko, jak na to pozwalały ciemności.

Upłynęła z pewnością godzina, zanim dotarło do doliny. :

Wejście jej obsadzono białymi, gdyż nie można było darzyć zaufaniem !;

Timbabaczów, kiedy brakło ich wodza. -

Butlera nie było już na wyspie. Siedział z córką w budynku, pod nimi leżeli

jeńcy, rozmawiając ze sobą. Głosy ich dochodziły przytłumio-ne na górę, a

brzmiało to tak niesamowicie, że Ellen ogarnął lęk, prosiła ojca, aby opuścili

wyspę i-przeprawili się na brzeg. Butler przewiózł ją na drugą stronę. Kiedy

nadeszła noc, rozpałił ognisko, ale był na tyle przezorny, że nie usadowił się

przy nim, lecz cofnął z Ellen w cień; stąd mogli objąć wzrokiem oświetlony plac,

sami nie będąc widziani. Ellen ucieszyła się wielce, gdy teraz nadeszli westmani

z Timbabaczami.

Biali rozłożyli się dokoła ogniska, a Timbabaczowie rozpałili dla siebie drugie;
rozmawiali o zniknięciu wodza.

-

344

Od czasu przybycia nad jezioro Watson, dawny nadzorca, nie miał jeszcze sposobności do rozmowy z Wielkim Niedźwiedziem. Teraz jednak odezwał się do czerwonoskórego:

- Mój czerwony brat nie mówił jeszcze ze mną. Jestem jedną z owych bladych

twarzy, które tu w górach spędziły całą zimę. Wówczas żył jeszcze Ikhaczi-

tatli, twój dziadek; pielęgnowaliśmy go aż do jego śmierci. Dał nam za to

podarunek. Powierzył nam mianowicie tajemnicę skarbu Srebrnego Jeziora.

- Wielki Ojciec postąpił bardzo źle, mówiąc o tej tajemnicy. Był stary i słaby, a wdzięczność sprawiła, że zapomniał o przysiędze

wiecznego milczenia. O tej tajemnicy, przechodzącej z ojca na syna, nie powinien był mówić.

- Więc sądzisz, że i ja nie mam mówić o tym?

- Nie mogę ci tego zabronić, ale musisz wyrzec się korzystania z niej; wszelkie inne twoje życzenia spełnię z radością.

- Czy mówisz poważnie? - zapytał szybko Old Firehand.

- Więc ja wypowiem prośbę zamiast towarzysza.

- Jeśli będzie w mojej mocy, chętnie ją spełnię!

- Do kogo należy ziemia, na której się znajdujemy?

- Do mnie.

- Czy możesz wykazać swoje prawo do niej?

- Tak. U czerwonych mężów ma znaczenie słowo, biali jednak żądają papieru z czarnymi znakami. Kazałem taki papier przygotować i postarałem się o podpisy białych wodzów; jest na nim także pieczęć. W tym właśnie celu byłem w mieście Białego Ojca. Cała ziemia dokoła jeziora jest moją własnością. Mogę z nią czynić, co mi się podoba.
- A do kogo należy kocioł skalny?
- Do Timbabaczów. Biali wodzowie wymierzyli i wyrysowali całą okolicę, a potem Biały Ojciec w Waszyngtonie podpisał, że jest ona własnością Timbabaczów.
- I mogą ją sprzedać, wydzierżawić lub darować zupełnie według swojej woli?
- Tak.
- Więc powiem ci, że chcę od nich kupić tę kotlinę.
- Nie mogę im zabronić sprzedać jej, ani tobie kupić.
- Nie o to idzie, tylko czy będzie ci miło, jeśli będziesz miał z nas sąsiadów?

Twarz Niedźwiedzia przybrała chytry wyraz.

- Dlaczego chcecie mieszkać właśnie w takim miejscu, gdzie nie ma wody i gdzie nie rośnie ani źdźbło trawy? Biały wszak kupuje tylko taką ziemię, która mu przynosi wielką korzyść! Idzie wam o samą skalę, co?

345

- To prawda! Lecz ta będzie mieć wartość dopiero wtedy, gdy otrzymamy wodę.
- Weźcie ją z jeziora. •
- O to cię chciałem prosić!

Będziesz-jej miał tyle, ile zapragniesz.

- Czy mogę poprowadzić rury?
- Tak.
- Czy sprzedasz mi prawo do tego? Zapłacę za nie.
- Jeśli kupno jest konieczne, to nie mam nic przeciw temu. Ty oznaczysz cenę, lecz ja ci ją zwrócę. Wyświadczyliście mi wielką przysługę; bez was byłbym wpadł w ręce Utahów; w zamian za to pomogę wam wyzyskać skarby z kotliny.
- To mi się podoba! - szepnął Hobbie-Frank do swego kuzyna.
- Woda już jest i złoto przypłynie nam też chętnie, tak że będziemy mogli wkrótce udawać krususów.
- Masz na myśli pewnie krezusów.
- Nie chwytaj mnie za słowa, jak gruby Jemmy! Jeśli chcesz pozostać moim przyjacielem i kuzynem, to... Słuchaj!

Od strony wejścia dało się słyszeć gwizdnięcie. Był to znak umówiony z rafterami, toteż biali zerwali się i pospieszyli ku wejściu do doliny. Od strony wąwozu usłyszano odgłos kopyt końskich. Szybko przedsięwzięto zaradcze kroki. Biali ukryli się za drzewami i z na-prężeniem oczekiwali, co też nastąpi. Jednakże minął dłuższy czas" a nie usłyszano ani nie ujrano nic podejrzanego. To było właśnie-zastanawiające. Winnetou poczołgał się, aby ostrożnie zbadać prze-strzeń leżącą przed nimi. Po niespełna kwadransie powrócił.

- Wojownicy Utahó- podzielili się - rzekł. - Połowa za-trzymała się ze wszystkimi końmi na lewo od miejsca, gdzie droga wchodzi do kotliny, reszta stoi u początku kanionu; wygrzebali tam otwór, w którym znikają.
- Otwór? - zapytał Wielki Niedźwiedź przerażony. - Więc znają podziemne przejście! Tajemnica została zdradzona! Wydać ją mógł tylko Długie Ucho! Chodźcie ze mną! Muszę to sprawdzić!

Pospieszyli przez groblę. Wkrótce ujrzeni jasno oświetlony kanion. Stos kamieni leżał rozrzucony; przy świetle księżyca widzieli, jak Utahowie wdzierali się do podziemnego korytarza.

- Tak, znają tajemnicę - odezwał się Niedźwiedź. - Chcą się-dostać na wyspę, aby zająć tam tyły i przywłaszczyć sobie skarby. Muszę iść prędko. Old Firehand i Old Shatterhand niechaj mi towa-rzysz, Winnetou zaś pozostanie tutaj, chcę mu coś pokazać.

Poprowadził Apacza kilka kroków naprzód ku miejscu, gdzie

346

grobla spadała prostopadle do jeziora. Tam leżał ciężki odłamek, -

•na podłożu mniejszych kamieni, ułożonych w osobliwy sposób <"" „J Niedźwiedź wskazał na jeden z tych kamieni i rzekł:

- Skoro Winnetou ujrzy, że rozpalilem na wyspie ogień, oj-pchnie ten kamień, po czym skała zsunie się do wody. t-ied jednak mój czerwony brat szybko uskoczy i nie przerazi s- g-usłyszysz wielki huk.

Gdy wrócili do ogniska, wyrwał łuczywo i wsiadł do łodzi; podczas gdy starał się utrzymać płomień, Old Firehand i Old Shatterhand chwycili za wiosła i skierowali łódź ku wyspie. Tam Wielki Niedźwiedź pobiegł ku budynkowi; na ognisku leżało drzewo - zapalił je.

- Niechaj moi bracia słuchają! - odezwał się, wskazując ręką w stronę, gdzie pozostał Winnetou.

Z drugiego brzegu usłyszano krótki, głuchy łoskot, jakby coś się stoczyło, potem doszedł syk wody wzburzonej upadkiem odłamu skalnego, a wreszcie straszliwy huk.

- Powiodło się! - zawołał Wielki Niedźwiedź oddychając głębo-ko. - Wejście zamknięte, a Utahowie zginą! Chodźcie!

Wrócił znowu do budynku. Palenisko stało, jak to teraz westmani zobaczyli, na ruchomym podłożu, które czerwonoskóry odsunął na bok bez wielkiego wysiłku.

Ukazał się otwór, przez który Wielki Niedźwiedź począł nasłuchiwać.

- Są wewnątrz; słyszę, jak się zbliżają. Teraz trzeba prędko wpuścić wodę!

Skoczył poza budynek; kiedy powrócił, wskazał na jezioro:

- Czy widzicie, jak faluje? Utworzył się wir, gdyż wodę wpuściłem do korytarza.

~ Mój Boże! Toż Utahowie nędznie potoną! - zawołał Old Shatterhand.

- Tak, wszyscy, wszyscy! Żywa noga nie ujdzie!

- Straszne! Czy nie można było tego uniknąć?

- Nie! Nie powinien żaden ująć! Teraz budowla została zburzona i nie można jej nigdy odbudować; skarby są dla ludzi stracone; żaden śmiertelnik ich nie wydobędzie, bo wyspa wypełni się aż po szczyt wodą.

Obu białymi wstrząsnął zimny dreszcz. Woda, podnosząca się w głębi, wypchała w górę stęchłe powietrze. Oznaczało to śmierć s, górą stu ludzi.

- Ale nasi jeńcy, którzy są tu obok! - przypomniał Old Shatterhand. - Ci przecież także potoną!

- Nie. Mur się oprze. Słuchajcie!

347

Usłyszano w dole szmer, a potem wysunął się jakiś Indianin z pochodnią w ręce. Był to Długie Ucho. Wielki Niedźwiedź na naleganie Old Firehanda darował mu życie. Zaledwie Timbabacz znalazł się w miejscu bezpiecznym, woda wewnątrz podniosła się do poziomu jeziora.

Drugie Ucho usiadł przy ogniu. Wielki Niedźwiedź usadowił się naprzeciw niego, wyciągnął zza pasa rewolwer i rzekł groźnie:

- Teraz niechaj wódz Timbabaczów opowie, jak dostał się z Uta-hami do korytarza. Jeśli mnie okłamię, wpakuję mu kulę w, łeb! Czy znał tajemnicę wyspy?

- Tak! - wyznał zapytany.

- Kto ci ją zdradził!?

- Ty sam!

- To nieprawda!

- Prawda! Siedziałem na brzegu pod starym dębem, kiedy przy-szedłeś tam z synem. Stańliście w pobliżu i rozmawialiście o wyspie, o skarbach i o korytarzu. Czy przypominasz sobie?

- Tak!
- Z waszych ust dowiedziałem się, że korytarz prowadzi do stosu kamieni. Nazajutrz polowaliście na jelenie, skorzystałem z tego, aby usunąć ową zasłonę. Potem wszedłem do korytarza i ujrzałem pochodnie.
- - I dziś poszedłeś do Utahów, aby im zdradzić tajemnicę?
- Nie! Chciałem ich podpatrzeć, lecz zostałem schwytany. Tylko aby się ratować, powiedziałem o korytarzu, j
- Postąpiłeś jak tchórz! Gdyby Old Firehand nie zauważył, że ciebie nie ma, zdrada byłaby się udała i nasze dusze znalazłyby się w wiecznych ostępach. Czy widzieliście, co leżało w pakunkach w głębi wyspy? l
- Tak. Posążek boga z czystego złota.
- Ludzkie oko już go nie zobaczy. I twoje również. Jak sądzisz, na co zasłużyłeś? Timbabacz milczał.
- Na śmierć, na stokrotną śmierć! Ale byłeś moim przyjacielem i towarzyszem, a te blade twarze nie życzą sobie, abym cię zabił. Pozostaniesz więc przy życiu, jeśli uczynisz to, czego od ciebie żądam.
- Czego żądasz?
- Old Firehand chce zamieszkać w kotlinie. Sprzedasz mu ją wraz z ziemią, która stamtąd prowadzi do Srebrnego Jeziora.
- Muszę pomówić z moimi Timbabaczami.
- Powiem ci, jakie żądania możecie postawić. Old Firehand da

348

dwadzieścia strzelb i dwadzieścia funtów prochu, dziesięć koców, pięćdziesiąt noży i trzydzieści funtów tytoniu. To nie jest mało. Czy zgadzasz się?

- Zgadzam się i nakłonię innych.
- Będziesz musiał pójść z Old Firehandem i kilku świadkami do najbliższego wodza bladych twarzy, aby potwierdzić kupno. Za to otrzymasz jeszcze osobny podarunek. Widzisz, że troszcę się o twoją korzyść, ale mam nadzieję, że dołożysz starań, żebym zapomniał o twojej zdradzie. Teraz zawołaj swoich ludzi, aby przywieźli na brzeg pojmanych wodzów.

Był już najwyższy czas przenieść jeńców w miejsce bezpieczne;

wnet bowiem po złożeniu ich przed budynkiem usłyszano szum i bełkot wody; wdarła się do ostatniej piwnicy.

Jeńców przewieziono w canoe na brzeg i powierzono straży Tim-babaczów, z którymi jednak wodza nie pozostawiono. Musiał pójść do doliny, gdzie biali stali w ostrym pogotowiu, gdyż druga połowa Utahów usadowiła się naprzeciw nich. Ludzie ci nie wiedzieli, jak sprawy stoja. Większość tych, którzy mieli iść na wyspę, wcisnęła się już do korytarza, kiedy nagle obsunęła się potężna masa kamieni i ziemi. Zmiażdżyła wielu Indian, a tak mocno zasypała korytarz, że woda jeziora nie mogła się przecisnąć na zewnątrz. To było właśnie zamiarem Wielkiego Niedźwiedzia; woda nie powinna była płynąć do kanionu, lecz wedrzeć się do wnętrza wyspy.

Utahowie, którzy nie zostali zasypani, cofnęli się przerażeni i po-spieszyli do drugiego oddziału, aby opowiedzieć, co zaszło. Nie wiedzieli jednak, czy wszyscy w tunelu zginęli, czy też tym, którzy nie zostali zasypani, udało się dotrzeć do wyspy. W tym wypadku musieli uderzyć na białych. Czekano więc z minuty na minutę, ale czas mijał, a nadzieje się odwlekały.

Świtało. Utahowie ciągle jeszcze stali ze swoimi końmi na tym samym miejscu. Wtem ujrzech pod drzewami Old Shatterhanda, zawołał na nich, iż pragnie się rozmówić z dowódcą.

- Czy wiesz, że kilku waszych wodzów i wojowników znajduje się w naszych rękach?
- zapytał go.
- Wiem - odpowiedział dowódca posępnie.
- A czy wiesz, co się stało z waszymi wojownikami, którzy weszli do tunelu?
- Nie!
- Tunel zapadł się, a woda wdarła się do niego i wszyscy ;potonęli. Tylko Długie Ucho uszedł cało. W tym czasie nadeszło

349

dwustu oczekiwanych przez nas Nawahów; teraz jesteście znacznie silniejsi od was. Nie pożądamy waszej krwi, lecz chcemy pokoju. Bądź rozsądny i pójdz ze mną! Poprowadzę de do twoich wodzów. Pomów z nimi, a potem możesz znowu powrócić!
- Wierzę ci i pójde z tobą!

Zawiadomiwszy o tym swoich iudzi, odłożył broń ; poszedł—A westmanem. Nad jeziorem panował ożywiony ruch, bo Nawahowie rzeczywiście nadeszli; pałali żądzą pomszczenia na Utahach klęsk swoich braci i trzeba było mezwykłego daru przekonywania, aby ich nakłonić do zawarcia pokoju

Zakładnicy, których uwolniono : ' więzów, siedzieli pod strażą, kiedy Old Shatterhand przyprowadził ich towarzysza. Długie Ucho na polecenie Old Shatterhanda opowiedział im przebieg katastrofy. Roz-mowa trwała długo; wreszcie dowódca Utahów doniósł, że postanowił się zgodzić na proponowany pokój. Otrzymała się uroczysta narada, w której wzięli udział wybitni biali i czerwonoskórzy; przez kilka godzin wygłaszano mowy, aż wreszcie obiegnęła wokoło fajka pokoju.

Wynikiem tego był „wieczny” pokój między wszystkimi szczepem -ricy zostali uwolnieni i wszyscy Utahowie, Nawahowie i Tirr fabaczkowie zobowiązali się do przyjaźni i udzielania wszelka pomocy bladym twarzom, które chciały zamieszkać i pracować w kotlinie.

Rysunek, który miał rudy komel, zniknął, lecz teraz i tak byłby: . stracił wartość.

Nastąpiło wielkie polowanie, które trwało aż do wieczora i przy niosło znaczną 'dobyć. Następnego dnia wybiła godzina rozstania Utahowie pociągnęli na północ, Nawahowie na południe, Timbaba czowie zaś do swoich wigwamów.

Długie Ucho przyrzekł odbyć naradę w sprawie sprzedaży kotliny, Powrócił już na trzeci dzień i oświadczył, że zgromadzenie przystało na cenę ustanowioną przez Niedźwiedzia. Szło jeszcze tylko o to, aby zawrzeć kontrakt u odpowiedniej władzy i kazać go potwierdzić.

To dało powód do rojeń i marzeń, z którymi tylko jeden człowiek; nie mógł 'ię pogodzić - lord. Umówił się był- z Humpy-Billen-i Gunstick-Uncie'em, że go odprowadzą do Frisco; w obecnych jednal;

warunkach myśliwi ani myśleli o odjeździe, a lord miał tyle rozsądku.

że rm brał im lego za złe. Zresztą pracy w kotlinie nie można było

350

jeszcze rozpocząć, więc lord miał dosyć czasu, aby powalęsać się z obu towarzyszami w poszukiwaniu przygód.

Old Firehand pojechał z Wielkim Niedźwiedziem i Długim Uchem do Filmore-City, gdzie ubito sprawę kupna. Tutaj również zakupiono potrzebne maszyny i narzędzia. Ciotka Droll udał się do biura detektywów Harrisa Blothera, aby udowodnić wobec notariuszy, że rudy komel nie żyje, i podjąć przyrzeczoną nagrodę.

Po dwu prawie miesiącach maszyny znalazły się nad Srebrnym Jeziorem. Inżynier przystąpił do pracy. Położono rury, doprowadza-jące wodę, i wzięto się do odbudowy kotliny Miejsce obiecywało rzeczywiście bogatą eksploatację i zysk zwiększał się z dnia na dzień. Każdego wieczora ważono i szacowano wydobyty kruszec, a kiedy wynik był zadowolający, Droll szeptał z zadowoleniem do swego kuzyna:

- Jeżeli tak dalej pójdzie, to wkrótce będę mógł kupić folwark!

Interes nasz jest brylantowy.

A Hobbie-Frank odpowiadał stale:

- A moja wiUa jest już prawie gotowa, przynajmniej w mojej głowie. Będzie to wspaniała budowla, a jej imię będzie jeszcze wspa-nialsze. Powiedziałem. Howgh!